

NEW YORK TIMES
BESTSELLING AUTHOR

ROMANS

POWIEŚĆ

NEW YORK TIMES
BESTSELLING AUTHORS

ROMANS

NORA
ROBERTS
NIEBIESKI
DIAMENT

NORA ROBERTS
NIEBIESKI DIAMENT



NR 17111

ISBN 378577 CENA 4,90 ZŁ



Harlequin

Orchidea

KONTYNUACJA SERII *Temptation*

NORA ROBERTS



Zaginiona
gwiazda

Z CYKLU
„NIERIESKI DIAMENT”

NOWA SERIA III

NORA ROBERTS
ZAGINIONA
GWIAZDA

ROZDZIAŁ 1

Dzień, w którym do biura Cade'a Parrisa wkroczyła kobieta z jego snów, zdecydowanie nie należał do udanych. Poprzedniego dnia odeszła jego sekretarka i choć pożytek był z niej niewielki, bo bardziej dbała o swój manicure niż o cokolwiek innego, Cade przecież potrzebował kogoś, kto trzymałby rękę na pulsie i wrzucał papiery do właściwych szuflad. Nawet podwyżka, którą zaproponował z czystej rozpaczy, nie odwiodła jej od nagłej i kategorycznej decyzji, żeby rzucić wszystko w diabły i zostać sensacyjnym odkryciem piosenkarskim.

Tak więc, przyszyła gwiazda country zmierzała własnie rozklekotaną furgonetką w stronę Nashville, a biuro Cade'a wyglądało jak kilometry koszmarnej drogi, która, (taką miał przynajmniej nadzieję) będzie musiała pokonać jego zdradliwa sekretarka.

Już przez ostatnie dwa miesiące myśli jej zdawały się krążyć wokół wszystkiego, tylko nie pracy. Cade utwierdził się jeszcze w podejrzeniach, kiedy w jednej z szuflad na dokumenty znalazł kanapkę z wędzoną kiełbasą (takie odniósł wrażenie, kiedy zobaczył plastikową torebkę, zawierającą jakąś rozmiękłą papkę). *A wszystko to pod literą L - chyba jak lunch?*

Nawet nie chciało mu się kłać. Nie ruszył się też z miejsca, żeby odebrać telefon, którego uporczywie powtarzający się dzwonek dochodził z biurka w recepcji. Zaczął właśnie przepisywać raporty, a ponieważ, niestety, nie był w tym zbyt biegły, nie chciał sobie przerywać.

Agencja Detektywistyczna Parrisa to nie było jakieś szczególnie imponujące przedsiębiorstwo. Jemu jednak w zupełności wystarczało, podobnie jak zaniedbane, dwupokojowe biuro na ostatnim piętrze wąskiego budynku z cegły w północno-zachodniej dzielnicy Waszyngtonu, o wyjątkowo źle funkcjonującej kanalizacji.

Nie łąknał puszystych dywanów i wypolerowanych parkietów. Dorastał w takich luksusach, wśród wielkiej pompy i parady, i kiedy skończył dwadzieścia lat, miał już tego wszystkiego po dziurki w nosie. Teraz, w wieku lat trzydziestu, mając za sobą jedno nieudane małżeństwo oraz rodzinę, której nadzieje srodze zawiódł, wybierając sobie takie a nie inne zajęcie, uważał się, ogólnie rzecz biorąc, za człowieka sukcesu.

Zdobył licencję, cieszył się reputacją detektywa. Mury dobrze wykonuje swoją robotę, oraz miał całkiem przyzwoite dochody, które pozwalały jego agencji utrzymać się na powierzchni.

Choć, prawdę mówiąc, z tym akurat było w tej chwili dość krucho. Cade lubił to określać jako chwilowy zastój.

Większość spraw, jakimi się zajmował, wiązała się z ubezpieczeniami albo z konfliktami rodzinnymi - trochę poniżej tych frapujących atrakcji, jakie sobie wyobrażał, kiedy postanowił zostać detektywem. Właśnie zakończył dwie sprawy, w których chodziło o drobne szwindle ubezpieczeniowe i których rozwiązanie nie wymagało ani specjalnego wysiłku, ani inteligencji.

Nic nowego na razie się nie kroiło, -a tymczasem ten chciwy

krwiopijca, jego gospodarz, po raz kolejny podniósł mu czynsz, silnik w samochodzie zaczął ostatnio wydawać jakieś wysoce niepokojące odgłosy, a klimatyzacja szwankowała. Nie mówiąc już o tym, że dach znowu przeciekał. Chwycił donicą z żółknącym filodendronem, który zostawiła mu jego zdradliwa sekretarka, i postawił ją na podłodze, pod miejscem, z którego lała się ciurkiem woda. Może do reszty zatopi tę paskudną roślinę.

Jakiś głos zaczął się nagrywać na automatyczną sekretarkę. To był głos jego matki. Mój Boże, pomyślał, czy jest na tym świecie ktoś, komu udało się kiedykolwiek uciec przed matką?

„Cade, kochanie, mam nadzieję, że nie zapomniałeś o balu w ambasadzie. Chyba pamiętasz, że masz towarzyszyć Pamela Lovett. Jadłam dziś lunch z jej ciotką. Powiedziała mi, że po krótkim wypadzie do Monaco Pamela wygląda wręcz cudownie”.

- Taak, taak, taak - mruknął i mrużąc oczy, zapatrzył się w ekran komputera. Nie lubił żadnych mechanicznych urządzeń i raczej im nie ufał.

Usiadł, nie przestając patrzeć w ekran, a tymczasem jego matka trajkotała jak najęta: „Czy oddałeś smoking do czyszczenia? Znajdź czas, żeby się ostrzyć, ostatnim razem, kiedy cię widziałam, byłeś straszliwie zarośnięty”.

I nie zapomnij umyć się za uszami, pomyślał z goryczą, po czym wyłączył sekretarkę. Wiedział doskonale, że matka za nic na świecie nie pogodzi się z faktem, iż styl życia rodziny Parriśów nigdy nie był i nie będzie jego stylem. Nie miał ochoty ani na obiady w klubie, ani na pokazywanie znudzonym paniąkom z dobrego domu uroków jego miasta. I nie miał też zamiaru zmienić zdania pod wpływem jej perswazji.

Pragnął ekscytujących przygód i choć przepisywanie raportu

o rzekomo nadwreżonym karku jakiegoś biednego niedołągi raczej nie było domeną Sama Spade'a, wykonywał bez szemrania swoją robotę. Na ogół jednak nie czuł się ani bezużyteczny, ani znudzony czy nie na miejscu. Lubił uliczny gwar za oknami, chociaż okno otwarte było tylko z powodu skąpstwa gospodarza: budynek nie miał centralnego systemu chłodzenia, a klimatyzator na jego piętrze był akurat zepsuty. Upał panował nieludzki i deszcz padał do pokoju, ale gdyby zamknął okno, w biurze natychmiast zrobiłoby się niewiarygodnie duszno.

Pot sływał mu po plecach. Z narastającą irytacją stwierdził, że wszystko zaczyna go swędzieć. Zdjął marynarkę i koszulę i został tylko w podkoszulku. Jego smukłe palce błędziły niepewnie po klawiszach klawiatury komputera. Co jakiś czas musiał odgarniać włosy, które łaskocząc, opadały mu na czoło. Matka miała jednak rację. Powinien się ostrzyć.

Kiedy po raz kolejny wilgotny kosmyk opadł mu na oczy. Cade postanowił nie zwracać na niego uwagi, tak jak przestał zwracać uwagę na upał, szum ulicy i uporczywe kapanie z sufitu. Tkwił przy komputerze, metodycznie wciskając klawisze - uderzająco przy stojny mężczyzna z grymasem niechęci na twarzy.

Urodę odziedziczył po Parrisach. Miał bystre, zielone oczy, których spojrzenie, w zależności od nastroju, potrafiło być ostre jak sztylet albo miękkie jak nadmorska mgła. Włosy, które prosiły się o fryzjera, były ciemnobrązowe i miały skłonność do układania się w fale. Teraz na przykład zwijały się w loczki na karku i nad uszami, co zaczynało być dość irytujące. Nos miał Cade prosty, arystokratyczny, a usta pełne i skore do uśmiechu, kiedy był rozbawiony. A także do grymasów, kiedy był w złym nastroju.

Mimo że od wstydliwego okresu wczesnej młodos'ci, w którym przypominał cherubinka, rysy mu się wyostrzyły, to jednak

na jego twarzy pozostały ślady uroczych dołeczków. Cade nie mógł się już doczekać, kiedy wejdzie w średni wiek i wtedy, jeśli będzie miał szczęście, dołeczki zmieniają się w poważne bruzdy.

Chciał mieć męską, surową urodę, a tymczasem wciąż wyglądał jak model z okładki luksusowego magazynu, dla którego pozował, mając dwadzieścia kilka lat, mimo wielkich protestów rodziny.

Znowu zadzwonił telefon. Tym razem usłyszał głos siostry. Beształa go z furją za to, że nie przyszedł na jakiś beznadziejny koktajl na cześć jakiegoś popieranego przez nią senatora o spasionym brzuchu.

Pomyślał, że najchętniej wyrwałby sznur z gniazdka i wyrzucił tę przeklętą, automatyczną sekretarkę, wraz z natarczywym głosem jego siostry, przez okno, na ruchliwą Wisconsin Avenue.

A potem deszcz, który wzmagął tylko morderczą duchotę, zaczął mu kapać na głowę. Komputer zamigotał i zgasł bez żadnej wyraźnej przyczyny poza czystą złośliwością. W tej samej chwili kawa, którą dawno nastawił i o której zupełnie zapomniał, zaczęła kipieć z nienawistnym sykiem.

Zerwał się i chwytając ekspres, oparzył sobie rękę. Zaklął wściekle i upuścił szklany dzbanek, który roztrzaskał się na podłodze, opryskując wszystko wrzącą kawą. Jednym szarpnięciem otworzył szufladę i chwycił pęk ligninowych chusteczek, rozcinając sobie przy okazji kciuk o śmiertcionośne ostrze pilnika do paznokci jego dawnej - a teraz bez wątplenia skazanej na wieczne potępienie - sekretarki.

Kiedy kobieta jego snów wkroczyła do biura, wciąż przeklinał i krwawił, a do tego właśnie przewrócił filodendron na środku pokoju, więc nawet nie podniósł na nią wzroku.

Nic więc dziwnego, że stała po prostu w progu, ociekając deszczem, z twarzą bladą jak śmierć i oczyma szeroko otwartymi z przerażenia.

- Przepraszam pana. - Głos miała zachrypnięty, jakby go od dłuższego czasu nie używała. - To chyba jednak nie to biuro. - Cofnęła się lekko i wielkimi, ciemnymi oczyma, spojrzała na wizytówkę na drzwiach. Zawahała się, a potem znowu zwróciła się do Cade'a: - Czy to pan Parris?

Przez jeden oślepiający moment nie był w stanie wydobyć z siebie głosu. Czuł, że gapi się na nią bezwstydnie, ale nie mógł nic na to poradzić. Serce po prostu zamarło mu w piersi i ugięły się pod nim kolana. A jedyne, co przyszło mu do głowy, to: „Więc jesteś nareszcie. Czemu cię tak długo nie było, u licha?”

Żeby się nie ośmieszyć, z najwyższym trudem przybrał obojętną, a nawet cyniczną minę detektywa.

- Tak? - mruknął i przypomniał sobie, że ma w kieszeni chustkę do nosa, więc owinał nią obficie krwawiący kciuk. - Miałem tu mały wypadek.

- Widzę. - Wciąż wpatrywała się w jego twarz. - Chyba przysłałam nie w porę. Nie byłam umówiona, ale pomyślałam sobie, że może...

- Mój kalendarz i tak jest pusty...

Chciał, żeby weszła do środka. Bez względu na jego odruchową, absurdalną reakcję, wciąż była potencjalną klientką. A poza tym jednego był absolutnie pewny; żadna z dam, które kiedykolwiek przekroczyły próg biura Sama Spadea, nie była bardziej doskonała.

Nieznajoma była piękną blondynką i była przerażona. Mokre włosy opadały jej na ramiona, i były proste jak strugi deszczu. Oczy miała czekoladowe, a jej twarz w kształcie serca, której

przydałoby się trochę więcej koloru, była delikatna jak u wróżki. Miała wdzięcznie zarysowane policzki i pełne usta, poważne i nie umalowane.

Deszcz zmoczył jej kostium i buty - wszystko w najlepszym gatunku, odznaczające się tą spokojną elegancją, właściwą tylko najlepszym, markowym salonom mody. Płócienna torba, którą obiema rękami tuliła kurczowo do piersi, była na tle niebieskiego jedwabiu bluzki kompletnie nie na miejscu, a zarazem wyglądała bardzo intrygująco.

Dama w tarapatkach, pomyślał rozbawiony, a usta lekko mu drgnęły. Czy nie taką właśnie kurację przepisał mu lekarz?

- Czemu pani nie wejdzie i nie zamknie drzwi, panno...?

Serce dwukrotnie szybciej załomotało jej w piersi. Mocniej ścisnęła w rękach torbę.

- Czy pan jest prywatnym detektywem?

- Tak przynajmniej jest napisane na drzwiach. - Cade znowu się uśmiechnął, bezczelnie używając swoich dołeczków, i patrzył, jak dziewczyna przygryza prześliczną, dolną wargę. Niech go diabli, sam miał ochotę wgryźć się w nią zębami.

Taka reakcja, pomyślał z pewną ulgą, była całkiem naturalna. Żądza to uczucie, które zawsze jest w stanie zrozumieć.

- Wejdźmy do biura. - Jednym spojrzeniem ogarnął najświeższe zniszczenia: stłuczone szkło, rozsypaną ziemię z doniczki, kałużę kawy. - Zaraz to wszystko sprzątnę.

- W porządku. - Zaczepnęła tchu, przekroczyła próg i zamknęła za sobą drzwi. Pomyślała, że i tak gdzieś trzeba zacząć.

Stąpając ostrożnie nad całym tym gruzowiskiem, przeszła do sąsiedniego pokoju. Stało w nim tylko biurko i kilka foteli, pochodzących najpewniej z garażowej wyprzedaży. Pomyślała, że raczej nie powinna zwracać uwagi na wystrój. Poczekała, aż

mężczyzna usiadł za biurkiem, odchylił się w krześle i znowu uśmiechnął się do niej szybkim, pokrzepiającym uśmiechem.

- Czy pan... Czy mogłabym... - Zaciśnęła mocno powieki, próbując się skoncentrować. - Czy mogłabym zobaczyć pańskie referencje?

Bardziej jeszcze zaintrygowany, wyjął licencję i podał ją nieznanemu. Zauważył przy tym, że ma dwa piękne pierścionki, po jednym na każdej ręce - cytryn o kwadratowym szlifie w antycznej oprawie i drugi, z trzech barwnych, szlachetnych kamieni. Miała też kolczyki, stanowiące komplet z drugim pierścionkiem. Zauważył to, kiedy założyła włosy za ucho i zaczęła starannie studiować jego licencję, jakby ważyła każde słowo.

- Czy zechciałaby mi pani powiedzieć, jakie ma pani problemy, panno...?

- Myślę... - Oddała mu licencję, a potem znowu obiema rękami chwyciła torbę. - Myślę, że chciałabym pana wynająć. - Czekoladowe oczy znowu spoczęły na jego twarzy i zaczęły ją studiować równie uważnie jak przed chwilą licencję. - Czy zajmuje się pan też osobami zaginionymi?

Kto ci zginął, kochanie? - pomyślał. Ze względu na nią oraz na ten mały plan, który rodził się w jego głowie, miał nadzieję, że nie chodzi tu o męża.

- Owszem, zajmuję się takimi przypadkami.

- A jakie jest pańskie... honorarium?

- Dwieście pięćdziesiąt za dzień, plus wydatki. - Kiedy skinęła głową, sięgnął po formularz i wziął pióro. - Kogo mam dla pani odnaleźć?

Nieznajoma westchnęła urywanie.

- Mnie. Chcę, żeby pan odnalazł mnie.

Patrząc na nią, zastukał ołówkiem w tekturową podkładkę.

- Chyba już to właśnie zrobiłem. Mam pani wystawić rachunek czy chce pani teraz zapłacić ?

- Nie. - Jakoś udało jej się dotąd utrzymać na powierzchni, ale teraz czuła, że wąta gałąź, której się uchwyciła, kiedy świat usunął jej się spod nóg, zaczyna niepokojąco trzeszczeć; - Ja nic nie pamiętam. Nic... Ja... - Głos zaczął jej się załamywać. Puściła torbę i ukryła twarz w dłoniach. - Nie wiem, kim jestem. Naprawdę nie wiem, kim jestem. - A potem rozplakała się. - Nie wiem, kim jestem - zaczęła powtarzać przez łzy.

Cade wiedział, jak postępować z rozhisteryzowanymi kobietami. Dorastał wśród pań, które reagowały potokami łez i rozpaczliwym szlochem na wszystko, od złamanego paznokcia po rozbite małżeństwo. Wstał wobec tego zza biurka i uzbrojony w pudełko chusteczek do nosa przykucnął przed nieznajomą.

- Uspokój się, kochanie. Nie martw się, wszystko będzie dobrze. - Mówiąc to, z dużą wprawą ocierał jej moką twarz. Potem poklepał ją po ręce, pogłaskał po głowie i spojrzał w zapłakane oczy.

- Przepraszam, ale nie mogę...

- Niech się pani wypłacze - powiedział. - Zaraz się pani lepiej poczuje. - Podniósł się i poszedł do łazienki wielkos'ci szafy, żeby nalać wody do papierowego kubka.

Kiedy na kolanach nieznajomej leżały już trzy pogniecione kubki i cały stos mokrych chusteczek, z jej piersi wyrwało się, ciche westchnienie.

- Przepraszam. Dziękuję. Już mi lepiej. - Z zaróżowionymi ze wstydu policzkami zgarniała mokre chusteczki i kubki. Cade wziął od niej śmieci i wrzucił do kosza, a potem oparł się o biurko.

- Może teraz zechce mi pani o wszystkim opowiedzieć ?

Skinęła głową, a potem splotła palce i zaczęła je z trzaskiem wyłamywać.

- Ja... Nie mam dużo do powiedzenia. Po prostu nic nie pamiętam. Ani kim jestem, ani co robią, ani skąd pochodzę. Żadnych przyjaciół, znajomych, rodziny. Nic. - Znowu zaczerpnęła tchu, a potem powoli odetchnęła. - Kompletnie nic - powtórzyła.

To jak sen, który miał się wreszcie zścić, pomyślał Cade. Piękna kobieta bez przeszłości przychodzi z deszczu prosto do jego biura. Spojrzył na torbę, którą wciąż trzymała na kolanach. Zaraz dojdą i do tego.

- A może mi pani powie, co pani w ogóle pamięta?

- Obudziłam się w pokoju - w małym hoteliku na Szesnastej Ulicy. - Odchyliła głowę na oparcie fotela, zamknęła oczy i spróbowała się skoncentrować. - Choć nawet to nie jest całkiem jasne. Leżałam skulona na łóżku, a klamka była zablokowana krzesłem. Padał deszcz. Słyszałam to wyraz'nie. Byłam dziwnie zamroczona i zdezorientowana, ale serce biło mi tak mocno, jakbym się obudziła z jakiegoś koszmaru. Na nogach wciąż miałam buty. Pamiętam moje zdumienie, że położyłam się do łóżka w butach. Pokój był mroczny i duszny. Wszystkie okna były zamknięte. Czułam się taka zmęczona i ociężała, że poszłam do łazienki, żeby sobie obmyć twarz.

Otworzyła oczy i podniosła na niego wzrok.

- Zobaczyłam moją twarz w lustrze - małym, odrapanym, z ciemnymi plamami w miejscach, gdzie powinno być na nowo posrebrzone. I ona nic mi nie mówiła. Moja twarz. - Podniosła rękę i przesunęła nią po policzku i po podbródku. - Moja twarz nic mi nie mówiła. Nie mogłam sobie przypomnieć żadnego imienia, które by się z nią wiązało, żadnych planów, myśli czy przeszłości. Nie mogłam sobie przypomnieć, w jaki sposób zna-

lażłam się w tym okropnym pokoju. Przejrzałam szuflady i zajrzałam do szafy, ale nic w nich nie było. Żadnych ubrań. Bałam się tam zostać, ale nie wiedziałam, dokąd mogłabym pójść.

- A ta torba? Czy to wszystko, co pani miała ze sobą?

~ Tak. - Jej dłonie znowu zacisnęły się na płóciennych rączkach. - Nie miałam przy sobie żadnej torebki, portfela czy kluczy. W kieszeni znalazłam tylko to. - Sięgnęła do kieszeni żakietu po mały strzępek papieru.

Cade wziął od niej karteczkę i zerknął na pospiesznie nagryzoloną notatkę:

Bailey, sobota o 7, dobrze?

MJ

- Nie mam pojęcia, co to znaczy. Widziałam gazetę. Dziś mamy piątek.

- Aha. Proszę to napisać - powiedział Cade, wręczając jej podkładkę i pióro.

- Co?

- Proszę jeszcze raz napisać to, co jest na karteczce.

- Och. - Przygryzając wargę, spełniła polecenie.

Chociaż wcale nie musiał tego robić, żeby dojść do jedyne­go możliwego wniosku, wziął od niej podkładkę i porównał obie karteczki.

- Skoro nie jest pani MJ, to pewnie jest pani tą Bailey.

- Co takiego?

- Sądząc po piśmie MJ, on - albo ona - to mańkut. A pani jest praworęczna. Pani pismo jest staranne i proste, a MJ pospieszne i zamaszyste. Wszystko przemawia za tym, że pani to Bailey.

- Bailey. - Spróbowała zaakceptować to imię oraz wiążące się z nim nadzieje i smak na nowo odzyskanej tożsamości. Ale brzmiało tak sucho i obco. - Ono nic dla mnie nie znaczy - westchnęła.

- Ale znamy imię i możemy się do pani zwracać po imieniu. I mamy też jakiś punkt zaczepienia. Powiedz mi, Bailey, co zrobiłaś potem?

Rozkojarzona, zamrugła nerwowo.

- Ach, ja... W sąsiednim pokoju była książka telefoniczna. Znalazłam w niej adresy agencji detektywistycznych.

- A dlaczego wybrałaś akurat mnie?

- Ze względu na nazwisko. Brzmiało tak twardo i zdecydowanie. - Po raz pierwszy na jej twarzy ukazał się uśmiech. Błady, ale zawsze uśmiech. - Zaczęłam telefonować, ale potem pomyślałam sobie, że pewnie będą mnie chcieli spławić. Więc będzie rozsądniej, jeżeli po prostu przyjdę... Poczekałam w hotelu aż do otwarcia biur, a potem przeszłam się trochę, i na koniec wzięłam taksówkę. No i jestem.

- Czemu nie pojechałaś do szpitala? Albo nie wezwałaś lekarza?

- Myślałam o tym. - Spuściła wzrok i popatrzyła na swoje dłonie. - Ale tego nie zrobiłam.

Pomyślał, że w jej opowieści brakowało wielu rzeczy. Obszedł biurko, otworzył szufladę i wyjął z niej batonik.

- Nie wspomniałaś ani słowem o tym, że wstąpiłaś gdzieś na śniadanie. - Patrzył, jak ze zdumieniem i rozbawieniem ogląda czekoladkę. - To cię trochę pokrzepi, zanim będziemy mogli sobie pozwolić na coś większego.

- Dziękuję. - Szybkimi, zręcznymi ruchami rozwinęła folię i wyjęła batonik. Może ten dziwny skurcz w żołądku to był głód.

- Panie Parris, może jest ktoś, kto się o mnie martwi. Moja rodzina, przyjaciele. Może mam dziecko. Nie wiem. - Wbiła wzrok w jakiś punkt nad jego ramieniem. - Chociaż, chyba nie. Nie wierzę, żeby można było zapomnieć o swoim dziecku. Niemniej jednak ktoś może się denerwować i dziwić, dlaczego nie wróciłam na noc do domu.

- Mogłaś pójść na policję.

- Nie chciałam iść na policję. - Tym razem jej głos brzmiał twardo i zdecydowanie. - Nie, dopóki... Nie, nie chce w to mieszać policji. - Otarła palce czystą chusteczką, a potem zaczęła ją drzeć w wąskie paski. - Może szuka mnie ktoś, kto wcale nie jest moim przyjacielem czy rodziną. Ktoś, komu wcale nie chodzi o moje dobro. Nie wiem, dlaczego mam takie uczucie, ale jedno wiem na pewno: boję się. A to znacznie gorsze niż zanik pamięci. I nie będę w stanie niczego zrozumieć, póki się nie dowiem, kim jestem.

Może sprawiły to wpatrzone w niego łagodnie, zamglone oczy, a może zdenerwowanie damy w tarapatach i jej nerwowe ruchy rąk. Cokolwiek to było, Cade nie mógł się powstrzymać, żeby się przed nią troszeczkę nie popisać.

- Już teraz mogę powiedzieć kilka rzeczy. Jesteś kobietą inteligentną, trochę po dwudziestce. Masz wyczucie koloru i stylu i wystarczające konto, żeby sobie pozwolić na włoskie buty i jedwabne kostiumy. Jesteś schludna i dobrze zorganizowana. Wolisz niedopowiedzenia od nagiej prawdy. A ponieważ nie jesteś zbyt dobra w robieniu uników, podejrzewam, że marny z ciebie kłamca. Masz głowę nie od parady i potrafisz wszystko przemyśleć. Niełatwo wpadasz w panikę. No i lubisz czekoladę.

Machinalnie zrolowała w palcach papierek po batoniku.

- Skąd pan to wie?

- Wyrażasz się poprawnie, nawet kiedy jesteś przerażona. Logicznie, krok po kroku, przemyślałaś sobie wszystko, co należy zrobić w sytuacji, w jakiej się znalazłaś. Ubierasz się dobrze, masz znakomity gust. Masz staranny manicure, ale nie przesadnie krzykliwy. Twoja biżuteria jest unikatowa, ale nie nazbyt ozdobna. A poza tym, nie chciałaś mi udzielić żadnej informacji, póki nie weszłaś do biura i nie zadecydowałaś, czy i na ile możesz mi zaufać.

- A na ile mogę panu zaufać?

- Przecież do mnie przysłaś.

Przemyślała to, a potem wstała i podeszła do okna. Deszcz bębnił o parapet, potęgując jeszcze ćmiący ból, który gromadził się pod jej powiekami.

- Nie poznaję tego miasta - mruknęła - choć czuję, że powinnam. Wiem, gdzie się znajduję, bo w kiosku widziałam „Washington Post”. Wiem, jak wyglądają Biały Dom i Kapitol. Znam wszystkie pomniki, ale przecież mogłam je widzieć w telewizji albo w książce.

Mimo że parapet był mokry od deszczu, oparła na nim dłonie, napawając się jego chłodem.

- Mam uczucie, jakbym spadła znikąd wprost do tego pasudnego hotelowego pokoju. A jednak umiem czytać i pisać, umiem chodzić i mówić. Taksówkarz miał włączone radio, a ja rozpoznałam muzykę. Rozpoznałam drzewa. Nie dziwiło mnie to, że deszcz jest mokry. Wchodząc do pańskiego biura, poczułam aromat palonej kawy - i nie był mi obcy. Wiem, że ma pan zielone oczy. I wiem też, że kiedy przestanie padać, niebo znowu będzie niebieskie. - Przygryzła wargi, a potem cicho westchnęła. - Tak więc sam pan widzi, że nie mogłam spaść znikąd. Są rzeczy, które wiem na pewno. Ale moja własna twarz nic mi nie

mówi, a to, co się poza nią kryje, to tylko pustka. Mogłam wyrządzić komuś krzywdę albo zrobić coś złego. Może jestem samolubna i wyrachowana, a nawet okrutna. Może mam męża, którego oszukuję, albo sąsiadów, od których chciałam się uwolnić.

Odwróciła się, a jej ściągnięte, zdecydowane rysy dziwnie kontrastowały z delikatną firanką rżęs, mokrych od łez.

- Nie wiem, czy spodoba mi się ta osoba, którą pan dla mnie odnajdzie, panie Parris, ale muszę wiedzieć, kim jestem. - Postawiła torbę na biurku, zawahała się, a potem szybko ją otworzyła. - Chyba jest w niej dość pieniędzy na pańskie honorarium.

Cade pochodził z rodziny, która zawsze, miała pieniądze i z pokolenia na pokolenie skutecznie je pomnażała. Jednak nawet on nigdy nie widział naraz takiej sumy. Płócienna torba pełna była plików studolarówek - a wszystkie były nowiutkie i szeleszczące. Zafascynowany, wyjął jeden i szybko go przejrzał. Na każdym z banknotów widniała znajoma, pełna godności twarz Benjamina Franklina.

- Będzie tego z milion - mruknął.

- Milion dwieście tysięcy. - Bailey zajrzała do torby i zadrdzała. - Policzyłam pliki. Nie mam pojęcia, skąd wzięłam tyle pieniędzy i czemu mam je przy sobie. A może je ukradłam? - Kiedy uniosła głowę, z oczu popłynęły jej łzy. - Może to pieniądze na okup. Może jestem zamieszana w kidnaping. Może gdzieś przetrzymują jakieś dziecko, a ja mam te pieniądze. Ja tylko...

- Do tych wszystkich zalet, które przed chwilą, wymieniłem, dodajmy jeszcze żywą wyobraźnię - przerwał jej Cade.

Chłód tej uwagi sprawił, że się odwróciła.

- Przecież w tej torbie jest cała fortuna.

- Milion czy dwa to nie taka znów fortuna w dzisiejszych czasach. - Cade wrzucił banknoty do torby. - Poza tym przykro mi, Bailey, ale nie jesteś typem zimnej, wyrachowanej porywaczki.

- Ale pan może to sprawdzić. Dowiedzieć się, byle dyskretnie, czy nie było jakiegoś porwania.

- Jeżeli policja jest w to zaangażowana, na pewno się czegoś dowiem.

- A jeżeli dokonano morderstwa? - Starając się zachować spokój, znowu sięgnęła do torby. Tym razem wyjęła z niej pistolet, trzydziestkę ósemkę.

Jako człowiek przezorny Cade błyskawicznie odsunął na bok łufę, a potem wziął broń z rąk Bailey. Była, jak się okazało, naładowana.

- Jak ci leży w ręku? - zapytał.

- Nie rozumiem.

- Jakie miałaś wrażenie, kiedy go wzięłaś do ręki? Chodzi mi o wagę, o kształt?

Mimo że pytanie wydało jej się zaskakujące, postarała się udzielić możliwie wyczerpującej odpowiedzi.

- Nie był taki ciężki, jak myślałam. Zdawało mi się, że coś o tej mocy powinno być cięższe, bardziej masywne. Trzymając go w ręku, miałam takie dziwnie nienaturalne uczucie.

- Ale kiedy trzymałaś pióro, niczego takiego nie czułaś.

Tym razem Bailey przeciągnęła ręką po włosach.

- Nie rozumiem, o czym pan mówi. Przed chwilą, pokazałam panu ponad milion dolarów i pistolet, a pan mi tu mówi o jakichś piórach.

- Kiedy dałem ci pióro, żebyś napisała parę słów, nie miałaś tego dziwnego uczucia. Nie zastanawiałaś się nad tym. Po prostu

wzięłaś je i zaczęłaś pisać. - Uśmiechnął się i zamiast do torby, wsunął pistolet do kieszeni. - Moim zdaniem, jesteś przyzwyczajona do posługiwania się piórem, a nie trzydziestką ósemką.

W tym prostym, logicznym wywodzie było coś kojącego, mimo to Cade'owi nie udało się rozpedzić wszystkich chmur.

- Może i ma pan rację. Ale to nie znaczy, że nie użyłam tej broni.

- Nie, nie znaczy. A ponieważ trzymałaś ją w ręku, nie mogę dowieść, że jej nie użyłaś. Mogę za to sprawdzić, czy jest zarejestrowana i na kogo.

W jej oczach błysnęła nadzieja.

- Może to moja broń. - Machinalnym gestem chwyciła go za rękę. - Mielibyśmy wtedy nazwisko. Wiedziałabym, jak się nazywam. Nie zdawałam sobie sprawy, że to jest takie proste.

- To może być proste.

- Ma pan rację. - Puściła jego dłoń i zaczęła krążyć po pokoju. Ruchy miała zwinne, opanowane. - Może trochę się zagalopowałam. Ale to mi tak pomaga, kiedy mogą z kimś porozmawiać. Więcej nawet, niż jest pan w stanie pojąć. Kiedy mogę opowiedzieć o tym komuś, kto wie, jak rozwikłać różne sprawy. Bo ja nawet nie wiem, czy jestem dobra w rozwiązywaniu zagadek, panie Parris...

- Cade - powiedział, zastanawiając się, dlaczego jej oszczędne ruchy wydawały mu się takie pociągające. - Uprośćmy te formalności.

- Cade. - Zaczerpnęła tchu, a potem odetchnęła. - Miło jest móc nazwać kogoś po imieniu. Jesteś jedyną osobą, jaką znam, jedynym człowiekiem, z jakim rozmawiałam, bo innych nie pamiętam. To bardzo dziwne, a zarazem bardzo pokrzepiające uczucie.

- Więc może zjadłaby' lunch z pierwszą osobą, jaką pamiętasz? Jeden batonik to kiepskie śniadanie. Wyglądasz mi na bardzo zmęczoną, Bailey.

Dziwnie było słuchać, jak wymawia to imię. A ponieważ było ono wszystkim, co miała, zmusiła się, by na nie zareagować.

- Owszem, jestem zmęczona - przyznała. - Mam wrażenie, że się nie wyspałam. Nie wiem też, kiedy ostatnio coś jadłam.

- Lubisz jajecznicę?

Na jej ustach znowu ukazał się blady uśmiech.

- Nie mam zielonego pojęcia.

- No to zaraz sprawdzimy. - Sięgnął po torbę, ale ona położyła rękę na jego dłoni, która już trzymała uchwyt.

- Jest jeszcze coś. - Zamilkła na chwilę, ale nie przestawała patrzeć mu w oczy, tak jak wtedy, kiedy stanęła w progu jego biura. Jej spojrzenie było badawcze, taksujące, zdecydowane. Wiedziała, że skoro już tam jest, nie ma wyboru. On był wszystkim, co miała. - Ale zanim ci to pokażę, musisz mi coś obiecać.

- Wynajęłaś mnie, Bailey. Od tej chwili pracuję dla ciebie.

- Nie wiem, czy to, o co chcę poprosić, jest do końca etyczne, ale muszę mieć twoje słowo. Jeżeli odkryjesz, że popełniłam jakieś przestępstwo, musisz mi obiecać, że zbadasz wszystkie okoliczności i wszystkie fakty, zanim przekażesz mnie w ręce policji.

Cade spojrzał na nią z ukosa.

- Więc zakładasz, że wydam cię policji?

- Jeżeli złamałam prawo, oczekuję, że to zrobisz. Ale najpierw muszę poznać wszystkie twoje racje. Muszę poznać wszystkie dlaczego, wszystkie jak, wszystkie kto. Czy możesz dać mi na to słowo?

- Oczywiście. - Ujął jej wyciągniętą dłoń. Była zarazem krucha jak porcelana i mocna jak skała. A i ona sama, pomyślał, stanowiła fascynującą kombinację delikatności i siły. - Żadnej policji, póki nie dowiemy się wszystkiego na temat twojej osoby. Możesz mi zaufać, Bailey.

- Chcesz oswoić mnie z tym imieniem. - Bez chwili zastanowienia, w naturalnym odruchu pocałowała go w policzek. - Jesteś bardzo miły.

Wystarczająco miły, pomyślała, żeby ją wziąć w ramiona, gdyby go o to poprosiła. A ona tak rozpaczliwie pragnęła, żeby ktoś ją przytulił, ukoił, zapewnił, że odnajdzie jej dawny świat. Musiała jednak polegać tylko na sobie. Miała nadzieję, że należy do tego rodzaju kobiet, które twardo stąpają po ziemi i same radzą sobie ze swoimi problemami.

- Jest jeszcze coś. - Sięgnęła po torbę i wsunęła do niej głęboko rękę, szukając aksamitnego woreczka i tego, co się w nim kryło. - Myślę, że to jest chyba najważniejsze.

Wyciągnęła go bardzo ostrożnie, niemal z nabożnym szacunkiem, rozwiązała sznureczek i wysypała sobie na dłoń zawartość.

Pieniądze zaskoczyły Cade'a, pistolet zaniepokoił, ale to, co teraz zobaczył, przeraziło go.

Klejnot wypełniał całą dłoń Bailey, a jego szlify były czyste i na tyle ostre, żeby wychwycić nawet najmniejszy błysk światła i posłać go w powietrze jasną, płonąca wiązką. Królewski połysk nawet w ciemnym od deszczu pokoju zapierał dech w piersi. Cade pomyślał, że miejsce tego klejnotu było w koronie jakiejś mitycznej królowej albo między piersiami antycznej bogini.

- Nigdy nie widziałem tak wielkiego szafiru.

- To nie szafir. - Kiedy mu go podawała, mogłaby przysiąc, że poczuła przepływające między nimi fale ciepła. - To błękitny diament, około stu karatów. Szlif brylantowy, prawdopodobnie z Azji Mniejszej. Gołym okiem nie widać żadnych szkod. Jest bardzo rzadki ze względu na wielkość i kolor. Myślę, że jego rynkowa cena co najmniej trzykrotnie przekracza zawartość torby.

Teraz nie patrzył już na klejnot, tylko na Bailey. Podniosła na niego wzrok i potrząsnęła głową.

- Nie mam pojęcia, skąd to wszystko wiem, ale wiem. Tak samo jak wiem, że on nie jest... nie jest... kompletny.

- Co masz na myśli?

- Sama chciałabym wiedzieć. Ale to bardzo silne uczucie, niemal pewność. Wiem, że ten kamień to tylko część całości. Podobnie jak wiem, że on nie może należeć do mnie. Tak naprawdę, on nie należy do nikogo. Do nikogo - powtórzyła, starannie akcentując sylaby. - Pewnie musiałam go ukraść.

Zacisnęła wargi i wyzywająco uniosła podbródek.

- A może nawet z jego powodu zabiłam.

ROZDZIAŁ 2

Cade zabrał Bailey do domu. Było to najlepsze wyjście, jakie przyszło mu do głowy. Chciał też jak najszybciej zamknąć w swoim sejfie płócienną torbę, wraz z jej zawartością. Bailey nie protestowała, kiedy wyprowadził ją z budynku, nie robiła też żadnych uwag na temat małego, lśniącego jaguara zaparkowanego na popękany asfalcie parkingu.

W pracy Cade wolał używać swojego nie rzucającego się w oczy, poobijanego sedana, ale skoro coś w nim szwankowało, musiał się przesiąść do przykuwającego wzrok cacka o eleganckich, opływowych kształtach.

Bailey nic nie mówiła, nawet kiedy wjechali na teren zabytkowej, eleganckiej dzielnicy i zatrzymali się przed ceglana rezydencją w stylu federalnym, otoczoną starymi drzewami i starannie przystrzyżonymi trawnikami, obsadzonymi mnóstwem kwiatów.

Gotów był jej powiedzieć, że odziedziczył ten dom po ciotce, której był ulubieńcem - co zresztą było prawdą. A także wyjaśnić, że zamieszkał tu, ponieważ lubi spokój i eleganckie sąsiedztwo, a zarazem przebywanie w samym sercu Waszyngtonu.

Ale ona o nic nie pytała.

Widocznie w końcu opadła z sił. Uszła już z niej energia,

która kazała jej wyjść na deszcz, poszukać jego biura i opowiedzieć swoją historię. Bailey pograżyła się w apatii.

Nagle wydała mu się też drobna i krucha. Cade z trudem oparł się pokusie, żeby wziąć ją na ręce i wnieść do domu. Mógł to sobie łatwo wyobrazić - mężny rycerz wprowadza damę swego serca w bezpieczne schronienie starego zamczyska, z dala od wszelkich smoków, które ją prześladowały.

Powinien przestać myśleć o takich głupstwach.

Chwycił płócienną torbę, wziął uległą Bailey za rękę i poprowadził przez eleganckie foyer do holu, a stamtąd do kuchni.

- Jajecznicza - powiedział, podsuwając Bailey krzesło i zapraszając ją, by usiadła przy stole.

- Może być. Dziękuję.

Czuła się osłabiona i rozkojarzona i była mu głęboko wdzięczna. Nie zasypywał jej pytaniami ani też nie wydawał się szczególnie wstrząśnięty czy oburzony jej opowieścią. Może to charakter jego pracy kazał mu przyjmować wszystko w sposób naturalny. Jakkolwiek było - była mu wdzięczna za czas, który jej dawał, by mogła jakoś dojść do siebie.

Kręcił się teraz po kuchni z dużą wprawą i niemal jak automat. Wbijał jajka do miski i wkładał kromki chleba do tosterka stojącego na blacie z kolorowego granitu. Powinna zaproponować, że mu pomoże. Tak by wypadało. Ale była tak potwornie zmęczona i tak przyjemnie się siedziało w tej przestronnej kuchni, słuchając deszczu, który melodyjnie bębnił o dach, i patrząc, jak męczyzna przyrządza jej śniadanie.

Cade postanowił się nią zaopiekować. A ona mu na to pozwalała. Bailey zamknęła oczy i zastanawiała się, czy należy do kobiet, które potrzebowały, by rządził nimi męczyzna, i które lubiły grać rolę bezradnych.

Miała nadzieję, że nie, niemal rozpaczliwą nadzieję. A potem zastanowiło ją, dlaczego ta drobna, niemal nieistotna cecha osobowości tak wiele dla niej znaczyła, skoro ona sama może okazać się złodziejką albo morderczynią.

Przyłapała się na tym, że uważnie studiuje swoje ręce. Krótko obcięte, zaokrąglone paznokcie pokryte bezbarwnym lakierem. Czy to miało oznaczać, że jest praktyczna? Dłonie ma miękkie, pozbawione odcisków. Raczej wątpliwe, żeby nimi pracowała.

Pierścionki... Bardzo ładne. Nie tyle wyzywające, ile wyjątkowe. Albo tak jej się przynajmniej wydawało. Rozpoznała kamienie, które do niej mrugały. Granat, cytryn, ametyst. Jak to możliwe, że znała nazwy kamieni szlachetnych, a nie znała imion swoich najbliższych przyjaciół?

I czy w ogóle miała jakichś przyjaciół?

Czy była osobą miłą czy niesympatyczną? Wyrozumiałą czy taką, która szuka dziury w całym? Czy łatwo się śmiała albo płakała na filmach? Czy był ktoś, kogo kochała z wzajemnością? Czy ukradła ponad milion dolarów i użyła tego brzydkiego, małego pistoletu?

Kiedy Cade postawił przed nią talerz, drgnęła nerwowo i uspokoiła się dopiero, gdy położył jej rękę na ramieniu.

- Musisz coś zjeść. - Wrócił jeszcze po filiżankę, którą zostawił na kuchni. - Myślę, że herbata zrobi ci lepiej niż kawa.

- Chyba tak. Dziękuję. - Bailey chwyciła widelec i skosztowała jajecznicy. - Niezła. - A potem uśmiechnęła się bladym, nieśmiałym uśmiechem, który chwycił Cade'a za serce. - To coś pysznego.

Usiadł naprzeciw niej z kubkiem kawy w ręku.

- Słynę z jajecznicy w całym cywilizowanym świecie.

Bailey nagle się rozpromieniła.

- Doskonale rozumiem dlaczego. To świetny pomysł, żeby dodać trochę koperku i papryki.

- Poczekaj, aż spróbujesz moich omeletów po hiszpańsku.

- Istny mistrz jajka. - Bailey jadła z apetytem, czując, jak ogarnia ją miłe ciepło. - Często sam gotujesz?

Rozejrzała się po kuchni. Szafki w kolorze kamienia i ciepłe, lekkie drewno. Okno bez firanek nad podwójnym zlewem z białej porcelany. Ekspres do kawy, toster, pomieszczone strony porannej gazety.

Pomieszczenie było schludne, ale bez przesady, i stanowiło wyraźny kontrast z raczej brudnym i zabałaganionym biurem Cade'a.

- Nie pytałam cię jeszcze, czy jesteś żonaty.

- Rozwiodłem się, a gotuję, kiedy mam dosyć stołowania się na mieście.

- Ciekawe, co ja robię. Jadam na mieście czy sama gotuję.

- Rozpoznałaś smak papryki i koperku w jajecznicy. - Cade odchylił się w krzesło i upił łyk kawy, nie spuszczać oczu z Bailey. - Wiesz, że jesteś piękna? - A kiedy spojrzała na niego z niepokojem, dodał szybko: - To tylko sucha obserwacja, Bailey. Musimy zacząć od tego, co już mamy. Jesteś piękna. To zwykłe stwierdzenie faktu, a nie żaden wymysł czy pochlebstwo. A ty, jak mi się zdaje, nie lubisz błyszczeć i nie przepadasz za komplementami. Mam nawet wrażenie, że cię trochę zdenerwowałem.

Bailey objęła obiema dłońmi filizankę.

- Czy próbujesz mnie zdenerwować?

- Nie, ale to takie interesujące - ba, nawet słodkie - kiedy się tak rumienisz i patrzysz na mnie podejrzliwie. Możesz się

odprężyć, nie mam zamiaru cię podrywać. - Choć, musiał przyznać, była to bardzo podniecająca myśl. - Nie sądzę też, żeby łatwo cię było poderwać - ciągnął. - Wątpię, czy komukolwiek udałoby się zdobyć twoje względy samymi tylko opowieściami, że masz oczy jak rozgrzana brandy, a kontrast między nimi i tym twoim spokojnym, kulturalnym głosem jest cholernie seksowny.

Uniosła do ust filiżankę, mimo iż kosztowało ją to sporo wysiłku, i spojrzała mu w oczy.

- Wiesz co, kiedy cię słucham, odnoszę wrażenie, że mimo wszystko chcesz mnie poderwać.

Cade uśmiechnął się szeroko, czarując ją swoimi dołeczkami.

- Sama widzisz, nie jesteś wcale słaba i uległa, tylko uprzejma, nawet bardzo, i do tego bardzo dobrze wychowana. Sądząc po twoim akcencie, pochodzisz z Nowej Anglii.

Nie spuszczać z niego wzroku, odstawiła filiżankę.

- Z Nowej Anglii?

- Connecticut, Massachusetts - nie jestem pewny. Ale w twoim głosie pobrzmiewa wyraz'na nuta jankeskiego wychowania, zwłaszcza kiedy przybierasz zimny ton.

- Nowa Anglia. - Wyteńczyła pamięć, starając się znaleźć jakiś bodaj najdrobniejszy punkt zaczepienia. - Nic mi to nie mówi.

- To kolejna sprawa, nad którą muszę popracować. Masz klasę, Bailey. Nie wiem, czy się z nią urodziłaś, czy nabyłaś ją później, ale jakkolwiek jest, masz ją wypisaną na twarzy. - Wstał i zabrał jej brudny talerz. - Podobnie jak zmaczenie. Musisz się teraz przespać.

- Tak. - Na myśl o tym, że ma znowu wrócić do tego obskurnego hotelu, wstrząsnął nią dreszcz. - Czy mam zadzwonić do ciebie do biura i umówić się na kolejne spotkanie? Zapisałam

ci numer hotelu, w którym mieszkam, i numer pokoju. Zadzwoń do mnie, jak się czegoś dowiesz.

- Nie wrócisz tam. - Wziął ją za rękę i lekko pociągnął, a kiedy wstała, wyprowadził z kuchni. - Możesz zostać tutaj. Jest naprawdę mnóstwo miejsca.

- Tutaj?

- Myślę, że to najlepsze wyjście, bo będę mógł mieć na ciebie oko. Przynajmniej na razie. - Z holu poprowadził ją na górę. - To bezpieczna, cicha okolica, a ja nie chcę, żebyś sama chodziła po ulicach, póki nie dojdziemy do tego, w jaki sposób wpadł ci w ręce milion dolarów i brylant wielki jak twoja pieść.

- Przecież mnie nie znasz.

- Ani ty mnie. I nad tym też musimy popracować.

Otworzył drzwi do jakiegoś pokoju. Przyćmione światło wpadało przez delikatne, koronkowe firanki i odbijało się od wyfroterowanej, dębowej posadzki. Przed kominkiem ustawiono kilka wygodnych foteli oraz niski stolik. W wielkich donicach pyszniły się paprocie. Wygodne łóżko z czterema kolumnkami, nakryte wełnianą kapą, kusiło puchatymi poduszkami.

- Zdrzemnij się teraz - powiedział. - Obok jest łazienka, a ja tymczasem znajdę ci coś, w co będziesz się mogła przebrać, jak wstaniesz.

Znowu zebrało jej się na płacz. Była rozstrojona, ogarnęły ją naraz lęk, wdzięczność i zmęczenie.

- Czy zapraszasz do domu wszystkich swoich klientów?

- Nie. - Dotknął jej policzka, a potem szybko opuścił rękę, bo nagle zapragnął ją przytulić i poczuć jej głowę na swojej piersi. - Tylko tych, którzy tego potrzebują. Będę na dole. Mam jeszcze trochę pracy.

- Cade - chwyciła jego dłoń i na chwilę przytrzymała w swojej - dziękuję ci. Wygląda na to, że wybrałam z książki telefonicznej najlepsze nazwisko.

- Prześlij się teraz, a zmartwienia zostaw mnie, przynajmniej na chwilę.

- Dobrze. Nie zamykaj drzwi - dodała szybko, kiedy wyszedł do holu.

Cade otworzył drzwi i popatrzył na Bailey. W smudze światła wyglądała tak strasznie bezbronne i samotnie.

- Będę na dole.

Stała przez chwilę bez ruchu, a kiedy jego kroki ucichły, osunęła się na miękką, wyściełaną ławę w nogach łóżka. Może to brak rozsądku, że mu zaufała i złożyła swoje życie w jego ręce. Ale mimo wszystko ufała mu. Nie tylko dlatego, że, przynajmniej na razie, jej świat składał się z niego jednego i z tego, co mu opowiedziała. To instynkt podpowiadał jej, że może na nim polegać.

Może to tylko ślepa wiara i rozpaczliwa nadzieja, ale w tej chwili bez nich nie potrafiła przeżyć nawet godziny. Tak więc jej przyszłość zależała wyłącznie od Cade'a Parrisa - od zręczności, z jaką pokieruje jej teraźniejszością, a także od tego, czy uda mu się odtworzyć jej przeszłość.

Zsunęła buty, zdjęła żakiet i położyła go na ławie. Niemal nieprzytomna ze zmęczenia wyciągnęła się na łóżku, na kapie, i zasnęła, gdy tylko dotknęła policzkiem poduszki.

Na dole, w kuchni, Cade zdjął z filiżanki odciski palców Bailey. Dzięki odpowiednim kontaktom będzie mógł je sprawdzić szybko i dyskretnie. Jeżeli Bailey była notowana albo pracowała dla rządu, nie będzie kłopotu z jej identyfikacją.

Trzeba też wziąć listę osób zaginionych i zbadać, czy jakiś rysopis nie pasuje do Bailey.

To też było proste.

Kolejny trop to pieniądze i brylant. Kradzież klejnotu takiej wielkości musiałaby trafić na pierwsze strony gazet. Należy koniecznie zweryfikować dane, które podała mu Bailey, a potem poszperać jeszcze w paru źródłach.

Będzie też musiał sprawdzić, czy broń jest zarejestrowana, i przejrzeć listę niedawnych morderstw, dokonanych za pomocą trzydziestki ósemki.

Te kroki byłyby znacznie bardziej skuteczne, gdyby zajął się wszystkim osobiście. Nie mógł jednak w tym momencie zostawić Bailey samej. Mogłaby wpaść w panikę i uciec, a on nie zamierzał ryzykować, bo nie chciał jej utracić.

Całkiem możliwe, że kiedy się obudzi, przypomni sobie, kim jest, i wróci do swojego dawnego życia, zanim on zdąży zdobyć ją dla siebie.

A on tak strasznie chciał ją mieć tylko dla siebie.

Kiedy chował torbę do sejfu w bibliotece, włączał komputer i robił notatki, ani na chwilę nie opuszczała go myśl, że ona może przecież mieć męża, sześcioro dzieci, dwudziestu zazdrosnych kochanków albo przeszłość kryminalną, której nie powstydziliby się rasowy przestępca. Ale było mu wszystko jedno.

Bailey była jego damą w tarapatkach, i niech go diabli, jeżeli nie uda mu się jej zatrzymać.

Wykonał wszystkie telefony i posłał odciski palców do swojego człowieka w policji. Ta mała przysługa miała go kosztować butelkę najlepszej szkockiej, ale Cade już dawno pogodził się z tym, że nie ma nic za darmo.

- A tak przy okazji, Mick? Nie masz nic na temat kradzieży klejnotu? I to wielkiego?

Mógł bez trudu wyobrazić sobie detektywa Micka Marshalla, jak nerwowo grzebie w papierach, ze słuchawką przy uchu i z przekrzywionym krawatem. Rude, kręcone włosy sterczą mu na wszystkie strony nad twarzą zastygłą w permanentnym grymasie.

- Masz coś, Parris?

- Tylko jakieś plotki - rzucił Cade od niechcienia. - Gdyby chodziło o coś dużego, mógłbym użyć kontaktów w firmie ubezpieczeniowej. Muszę zarobić na czynsz, Mike.

- Nie rozumiem, czemu nie kupisz tego budynku, a potem nie wyrzucisz tego szczura. Przecież cholernie bogaty z ciebie chłopak.

- Bo jestem ekscentrykiem. Tak podobno nazywają bogatych chłopaków, którzy zadają się z takimi jak ty. No więc, co wiesz?

- Nic nie słyszałem.

- Dobra. Mam Smitha & Wessona, trzydziestkę ósemkę. - Cade odwrócił pistolet i podyktował numer seryjny. - Sprawdź go dla mnie, dobrze?

- Dwie butelki szkockiej, Parris.

- A po co ma się przyjaciół? Jak tam Doreen?

- Bezczelna od dnia, w którym przyniosłeś jej te cholerne tulipany. Jakbym ja miał czas każdego wieczora zrywać dla niej fiołki przed powrotem do domu. Właściwie powinienem zażądać trzech butelek szkockiej.

- Jeżeli znajdziesz mi coś o kradzieży ważnego klejnotu, kupię ci całą skrzynkę, Mick. Będziemy w kontakcie.

Cade odłożył słuchawkę i ze złością popatrzył na swój kom-

puter. Na tym etapie człowiek będzie musiał zawrzeć przymierze z komputerem. Odszukanie tego, o co mu chodziło, zajęło mu trzy razy tyle czasu, co przeciętnemu dwudziestolatkowi.

Amnezja.

Wypił kolejny kubek kawy, a następnie dowiedział się więcej o ludzkim mózgu, niż kiedykolwiek chciał wiedzieć. Przez jedną krótką, przerażającą chwilę obawiał się nawet, że Bailey może mieć guz mózgu. I on też. Poczuł wielki niepokój o swój mózg, co tylko utwierdziło go w przekonaniu, że postąpił słusznie, nie wybierając medycyny, choć tak bardzo życzyła sobie tego jego matka.

Ludzkie ciało, z jego wszystkimi sztuczkami i tykającymi bombami zegarowymi, było zbyt niepokojące. Cade pomyślał, że na co dzień woli stawać oko w oko z naładowaną bronią niż z własnym kapryśnym organizmem.

W końcu jednak, z pewną ulgą, doszedł do wniosku, że to wykluczone, żeby Bailey miała guz. Wszystko wskazywało raczej na amnezję na tle histerycznym. Ten rodzaj amnezji ustępował zazwyczaj samoistnie kilka godzin po wstrząsie ~ ale bywało, że i po wielu tygodniach. A czasem miesiącach. A nawet latach.

Co oznaczało cofnięcie się do punktu wyjścia. Podręczny słownik medyczny sugerował, że amnezja to raczej symptom niż choroba, a leczenie powinno polegać na znalezieniu i usunięciu przyczyny.

W tym właśnie miejscu zaczyna się jego rola. Cade pomyślał, że on, jako detektyw, ma takie same kwalifikacje jak lekarz - a nawet większe - żeby zająć się problemem Bailey.

Wpisał pracowicie do komputera swoje notatki, pytania i wnioski. A potem, bardzo z siebie zadowolony, wrócił na górę, żeby znaleźć jakieś stroje dla Bailey.

Nie wiedziała, czy to jawa, czy sen - ani też, czy to jej własny sen, czy czyjaś jawa. Ale to, co widziała, było jej znane - tak dobrze znane...

Ciemny pokój, mocny strumień światła z lampy na biurku. Słoń. To dziwne, ale miała wrażenie, że słoń się do niej uśmiecha i unosi w górę trąbę, życząc jej szczęścia, a w jego niebieskich oczach migoczą iskierki rozbawienia.

Kobiecey śmiech - znowu dobrze znany, i tak kojący. Ciepły, przyjazny śmiech.

- To musi być Paryż, Bailey. Nie mamy zamiaru grzebać z tobą w błocie przez kolejne dwa tygodnie. Romans, namiętność, seks - oto czego ci trzeba. Potrzebny ci Paryż.

Trójkąt, złoty i lśniący. I pokój pełen światła, pełen oślepiającej jasności. Mężczyzna, który nie jest mężczyzną, o twarzy tak łagodnej, tak mądrej, tak wyrozumiałej, że aż człowiekowi serce się ściska. Złoty trójkąt, który trzyma w otwartych dłoniach, jakby w ofiarnym geście. Moc i siła błękitnych kamieni, spoczywających w trzech wierzchołkach trójkąta. Drogocenne kamienie lśnią i pulsują jak serce, wysyłając w powietrze snopy złotych iskier.

Ich piękno jest porażające.

Teraz ona trzyma je w dłoniach, a palce jej drżą. Narasta w niej gniew - straszny gniew, panika i wściekłość. Kamienie wystrzelają jej z rąk najpierw jeden, potem drugi, unosząc się w górę jak brylantowe ptaki. Trzeci kamień przyciska otwartą dłońią do serca, w obronnym geście.

Srebrne błyski, smugi srebrnych błysków. I miarowy rytm bębnowy, od którego aż, trzęsie się ziemia. Zniknęło światło, zgasły wszystkie gwiazdy. Krew. Wszędzie pełno krwi, rozlewającej się jak purpurowa rzeka.

O mój Boże, jak mokro, jak czerwono i mokro, i jak piekielnie ciemno.

Biegnie, potykając się i słysząc oszalały łomot swojego serca. Znowu jest ciemno. Zniknęło światło, zgasły gwiazdy. Biegnie korytarzem, a odgłos jej kroków rozbrzmiewa jak grzmot po błyskawicy. Coś ją ściga, poluje na nią w tych ciemnościach, a ściany coraz ciasniej ją okrążają.

Słychać trąbienie słońca. Błyski przybliżają się. Wpełza do jamy i kryje się, drżąc i dygocząc jak zaszczute zwierzę, a smuga światła prześlizguje się obok niej...

- Obudź się, kochanie. Już wszystko dobrze, kotku. To tylko zły sen.

Wypełza z ciemności ku temu spokojnemu, kojącemu głosowi i ukryła spoconą twarz na szerokiej,, muskularnej piersi Cade'a.

- Widziałam krew, tyle krwi. I błyskawice. Coś straszego nadchodzi. Jest już całkiem blisko.

- Nie, już na zawsze zniknęło. - Cade wtulił usta we włosy Bailey i zaczął ją kołysać w ramionach. Kiedy wślizgnął się do pokoju, żeby położyć jej przy łóżku bluzę do przebrania, krzyczała przez sen. Teraz tuliła się do niego, roztrzęsiona, więc podniósł ją i posadził sobie na kolanach, jak dziecko. - Jesteś już bezpieczna. Przysięgam.

- Gwiazdy, trzy gwiazdy. - Zawieszona między snem a jawą, poruszyła się z niepokojem w objęciach Cade'a. - Muszę znaleźć jakiegoś detektywa.

- Już to zrobiłaś. Jestem tutaj. - Musnął ustami jej wilgotną skroń. - Jestem przy tobie - powtórzył, czekając, aż w jej oczach pojawi się błysk zrozumienia. - Odpreż się, jestem przy tobie.

- Nie odchodź. - Wstrząsana dreszczem, oparła mu głowę

na ramieniu, tak jak to sobie wyobrażał. A jemu znowu ścisnęło się serce.

Tak chyba musi wyglądać miłość od pierwszego wejrzenia.

- Nie zostawię cię. Zaopiekuję się tobą.

Bailey uspokoiła się i trochę rozluźniła. Oparła się mocniej o jego pierś i znowu zamknęła oczy.

- To był sen, ale jakiś taki dziwny i przerażający. Nic z tego nie rozumiem.

- Opowiedz mi.

Z trudem zebrała myśli i spróbowała ustawić szczegóły w logiczny ciąg.

- Było w nim tyle emocji, olbrzymie fale emocji. Gniew, szok, poczucie zdrady i strach. A potem trwoga. Już tylko czysta, bezrozumna trwoga.

- To mogła być przyczyna twojej amnezji. Nie jesteś jeszcze gotowa, żeby się z tym zmierzyć, więc się od tego odcinasz. To rodzaj odwróconej hysterii.

- Histeria? - Na sam dźwięk tego słowa wyprostowała się i spojrzała na niego z wyrzutem. - Uważasz, że jestem histeryczką?

- Jeżeli już o tym mówimy - obwiodł dłonią kontur jej wzniesionej twarzy - ten termin doskonale pasuje do twoich objawów.

Ostrym, zdecydowanym ruchem odtrąciła jego dłoń.

- Nie obchodzi mnie żadna terminologia.

- Użyłem tego słowa w czysto medycznym sensie. Chyba nikt nie walnął cię w głowę, co?

Bailey zmrużyła oczy.

- Niczego takiego sobie nie przypominam. Tak czy inaczej, usiłujesz mi wmówić, że jestem histeryczką.

- Chcę ci tylko wyjaśnić, że amnezja może być rezultatem wstrząsu mózgu. - Cade owinał sobie wokół palca kosmyk jej włosów, żeby poczuć ich miękkość. - Zawsze uważałem, że to bzdura albo jakieś hollywoodzkie pomysły, ale tak piszą w książkach medycznych. Jedną z wielu innych przyczyn mogą być też zaburzenia nerwowe, takie jak na przykład - przepraszam za ten termin - histeria.

- Nie jestem histeryczką, ale z pewnością potrafię nią być, jeżeli masz ochotę coś takiego oglądać.

- Znam to na pamięć. Mam siostry. Posłuchaj mnie, Bailey - ujął w dłonie jej twarz tak rozbijającym gestem, że znowu szeroko otworzyła oczy - u podłoża tego wszystkiego leżą jakieś poważne kłopoty. A my musimy do nich dotrzeć i jakoś im zaradzić.

- I dlatego trzymasz mnie na kolanach?

- To tylko korzyść uboczna. - Kiedy jej uśmiech zgasł i próbowała się odsunąć, wzmocnił uścisk. - Lubię to. I to bardzo.

W jego oczach dostrzegła coś więcej niż rozbawienie, i to spowodowało, że jej puls znacznie przyspieszył.

- Nie wiem, czy to rozsądne flirtować z kobietą, która nawet nie wie, kim jest.

- Może nie, ale to dobra zabawa. A poza tym, będziesz miała nowy temat do rozmyślań.

Widok jego czarujących dołeczek kompletnie ją rozbroił. Podobnie jak lekko ironiczny uśmiech. Jej kochanek powinien mieć takie usta. Szybkie, energiczne - pełne, zmysłowe, skore do śmiechu. Bez trudu mogła je sobie wyobrazić na swoich.

Może dlatego, że nie potrafiła sobie przypomnieć żadnych innych, nie pamiętała innego smaku, innego dotyku. A ponieważ w ten sposób Cade byłby pierwszym mężczyzną, który ją poca-

łuje, wstrząsnął nią lekki dreszczyk emocji, jakby czekała na coś miłego i ekscytującego.

Cade odchylił jej głowę do tyłu, a jego spojrzenie prześliznęło się od jej oczu do ust, i z powrotem. Mógł to sobie bez trudu wyobrazić, był niemal pewny, że spotkaniu ich ust będzie towarzyszyła niebiańska muzyka.

- Chcesz spróbować?

Ogarnęło ją pożądanie, głębokie i wstrząsające, szarpiące nerwy i obezwładniające ciało. Była z nim sama, z tym obcym mężczyzną, któremu zawierzyła swoje życie. A wiedziała o nim więcej niż o samej sobie.

- Nie mogę. - Położyła mu rękę na piersi i ze zdumieniem stwierdziła, że choć jego głos brzmi chłodno, to serce wali mu jak młotem. Jak jej własne serce. A skoro tak, mogła sobie pozwolić na szczerość. - Boję się.

- Jeśli dobrze pamiętam z własnego doświadczenia, całowanie nie jest aż takie straszne. Chyba że mówimy o całowaniu babci Parris. Bo to było przerażające.

Rozbawiły ją jego słowa. Uśmiechnęła się, a kiedy się poruszyła, Cade wypuścił ją z objęć.

- Nie komplikujmy spraw - powiedziała. -I tak są wystarczająco skomplikowane. - Energicznym ruchem głowy odrzuciła włosy do tyłu i odwróciła wzrok. - Jeżeli to możliwe, chciałabym teraz wziąć prysznic. Muszę się trochę odświeżyć.

- Jasne. Przyniosłem ci nawet bluzę i dzinsy, możesz je podwinąć. Żebyś ich nie zgubiła, przewiąż je w pasie kawałkiem tego grubego sznura do bielizny. Będziesz wyglądała awangardowo.

- Jesteś słodki, Cade.

- Wszystkie mi tak mówiły. - Odegnął natrętą myśl i wstał.

- Wytrzymasz sama przez godzinę? Muszę jeszcze sprawdzić parę rzeczy.

- Dam sobie radę.

- Ale obiecaj mi, że nie wyjdiesz z domu, Bailey.

Uniosła ręce w geście zdumienia.

- A niby dokąd?

Cade położył jej dłonie na ramionach i czekał, aż podniesie na niego oczy.

- Obiecaj mi, że nigdzie stąd nie pójdziesz.

- Niech ci będzie. Obiecuję.

- Wróć jak najszybciej. - Podeszedł do drzwi i zatrzymał się w progu. - I jeszcze jedno, Bailey, przemyśl to sobie.

Krótki błysk w jego oczach, zanim zdążył się odwrócić, uświadomił jej, że nie miał na myśli dramatycznych okoliczności, które ją do niego sprowadziły. Kiedy podeszła do okna i patrzyła, jak wsiada do samochodu i odjeżdża, już gorączkowo myślała. Rozmyślała o nim.

W tym samym czasie ktoś myślał o niej. A były to posępne, mściwe myśli. Wymknęła mu się z rąk, a wraz z nią nagroda i władza, której najbardziej pragnął.

Wyzaczył już cenę za niekompetencję, ale to jeszcze nie wszystko. Znajdzie ją, a kiedy to nastąpi, będzie musiała zapłacić znacznie więcej. Cenę życia, ale to także bez znaczenia.

Bo najpierw będzie ból i wielki strach. Dopiero to go zadowolili.

Utracone pieniądze były niczym. Były równie nieważne jak życie tej głupiej kobiety. Ale ona miała coś, co było mu potrzebne i co musiał mieć. Odbierze jej swoją własność.

Było ich trzy. Już każdy z osobna był bezcenny, ale w kom-

plecie miały wręcz niewyobrażalną wartość. Przedsięwziął już pewne kroki, żeby odzyskać te dwa, które tak nierozsądnie chciała przed nim ukryć.

To oczywiście musi jeszcze trochę potrwać, ale dostanie je z powrotem. Ważne jest tylko, żeby zachować ostrożność i nie tracić pewności. Jeśli zajdzie potrzeba użycia przemocy, zrobi to, ale będzie trzymać się z daleka.

Wkrótce dwa wierzchołki trójkąta będą już należały do niego - dwie starożytne gwiazdy, z całą ich urodą, blaskiem i mocą.

Siedział w pokoju, który zbudował dla swoich skarbów - tych odziedziczonych, tych skradzionych i tych zdobytych za cenę krwi. Klejnoty i obrazy, rzeźby i cenne futra lśniły i rzucały błyski w jego sekretnej grocie Alladyna.

Podobny do ołtarza postument, który zaprojektował, żeby umieścić na nim swój najbardziej upragniony skarb, był pusty i czekał.

Ale już niedługo...

Wkrótce będzie miał dwa, a kiedy zdobędzie trzeci, stanie się nieśmiertelny.

A wtedy tej kobiety nie będzie już wśród żywych.

ROZDZIAŁ 3

To moje ciało, powtarzała sobie Bailey, stojąc przed lustrem. Najwyższa pora zacząć się do niego przyzwyczajać. W zaparowanej tafli szkła skóra jej była blada i gładka. Spontanicznym gestem położyła rękę na piersi.

Długie palce, krótko przycięte paznokcie, raczej mały biust. Marszcząc brwi, doszła do wniosku, że ramiona ma trochę za chude. Może powinna pomyśleć o jakichś ćwiczeniach, żeby rozbudować mięśnie.

Na biodrach nie było ani grama zbędnego tłuszczu, więc może jednak uprawiała gimnastykę. Zwłaszcza że uda były smukłe, lecz dość muskularne.

Cerę miała jasną, bez śladu opalenizny.

Jaki mogła mieć wzrost? Metr sześćdziesiąt? Wolałaby być wyższa. Pomyślała, że jeśli kobieta zaczyna życie od nowa w wieku lat dwudziestu paru, powinna móc wybrać sobie swój typ urody. Miło byłoby mieć pełniejszy biust i dłuższe nogi.

Rozbawiona tą myślą, odwróciła się i znowu spojrzała w lustro, żeby się sobie przyjrzeć z tyłu. I wtedy otworzyła usta ze zdumienia. Na pośladku widniał tatuaż!

Co jej strzeliło do głowy, żeby robić sobie tatuaż na pupie?

I co to było? Jednorożec? Chyba postradała zmysły? A poza tym, jeśli kazała zrobić go sobie na pośladku, musiało to oznaczać, że dobrowolnie obnażyła tę część ciała przed jakimś specem od tatuażu.

Czyżby za dużo wtedy wypła?

Lekko zażenowana, owinęła się ręcznikiem i szybko opuściła zaparowaną łazienkę. Trochę czasu zajęło jej dopasowanie dżinsów i koszuli. Potem starannie powiesiła kostium i wygładziła spódnicę. Kiedy skończyła, głęboko westchnęła i przeczesała palcami wilgotne włosy.

Cade prosił, żeby nie wychodziła z domu, ale nie prosił jej, żeby nie opuszczała pokoju. Jeżeli nie znajdzie sobie jakiegoś zajęcia, zacznie się znowu denerwować. Będzie myślała o torbie z pieniędzmi, o olbrzymich niebieskich brylantach, o morderstwie i o tatuażach.

Kiedy wyszła z pokoju, uświadomiła sobie, że w tym pustym, obcym domu nie było jej wcale nieswojo. Podobnie zresztą jak w towarzystwie Cade'a. Przy nim czuła się bezpiecznie. Na nim można było polegać. Gdy go zobaczyła w tym zabałaganionym biurze, od razu zrozumiała, że to człowiek, któremu można się zwierzyć i zaufać.

Pewnie dlatego, że nie było nikogo innego, z kim mogłaby porozmawiać i na kim się oprzeć.

A poza wszystkim, Cade był wyjątkowo miłym, życzliwym człowiekiem. Musiał też być inteligentny i sprytny, w przeciwnym razie nie mógłby przecież zostać prywatnym detektywem. Miał uroczy, radosny uśmiech, i oczy, którymi potrafił tak wiele wyrazić. Miał też mocne ramiona i silny charakter.

No i te chłopięce dołeczki w policzkach, których z taką ochotą by dotknęła.

Jak wygląda jego sypialnia? Przystanąła w progu i przygryzła wargi. To nieładnie podglądać. Zastanawiała się, czy aby nie jest gruboskórna, czy zwraca uwagę na uczucia innych i czy nie narusza ich prawa do prywatności. Musiała to jakoś sprawdzić i potrzebowała czegoś, czym mogłaby wypełnić te białe plamy. A Cade zostawił drzwi otwarte. Przekroczyła próg.

To był piękny, olbrzymi pokój, pełen Cade'a. Na krześle leżały rzucone w pośpiechu džinsy i w pierwszym odruchu chciała je pozbierać i poszukać wieszaka. Na blacie toaletki porzucono garść drobnych monet i kilka guzików od koszuli. W pokoju stała piękna, antyczna komoda z szufladami, w których niewątpliwie kryło się więcej rzeczy należących do Cade'a.

Nie pociągnęła jednak za mosiężne uchwyty, choć miała na to wielką ochotę.

Łóżko - duże i nie pościelone - miało rzeźbione płyty u wezgłowia i u nóg. Zmięte prześcieradła były ciemnoniebieskie. Nie mogła się oprzeć pokusie i przejechała po nich palcami. Poczowała delikatny zapach mięty - zapach Cade'a.

Nagle przyłapała się nad tym, że zadaje sobie pytanie, czy Cade sypia nago. Gorący rumieniec wypłynął jej na policzki. Szybko odwróciła się od łóżka.

W pokoju był też ceglany kominek, a nad nim sosnowa półka. Bailey uśmiechnęła się na widok brązowej figurki krowy. Obok leżały porzrzucone w nieładzie książki. Zaczęła uważnie przeglądać poszczególne tomiki, zastanawiając się, czy mogła znać niektóre z nich. Większość traktowała o tajemniczych zagadkach i zbrodniach, jednak niektóre nazwiska i tytuły wydały jej się znajome. Świadomość tego podniosła ją nieco na duchu.

Bez zastanowienia chwyciła brudny kubek do kawy i pustą butelkę po piwie i zniosła je na dół, do kuchni.

Kiedy Cade przyprowadził ją do domu, nie zwróciła większej uwagi na budynek. Była zupełnie zdeorientowana i wszystko jakby tonęło we mgle. Dopiero teraz dostrzegła jego proste, eleganckie linie, piękne, wysokie okna z klasycznymi portykami oraz lśniące antyki.

Kontrast pomiędzy tym eleganckim domem a tandetnym, zaniedbanym biurem był uderzający. Marszcząc brwi, opłukała kubek nad zlewem, wyrzuciła butelkę do pojemnika na szkło, a potem ruszyła zwiedzać dom. Już po niespełna kilku minutach zorientowała się, że jego właściciel ma masę pieniędzy.

Dom pełen był prawdziwych skarbów o muzealnej wartości. Tego była bezsprzecznie pewna. Może nie rozumiała, skąd wziął się jednorożec na jej pośladku, za to doskonale orientowała się w wartości intarsjowanego biureczka z różanego drewna. Dlaczego tak było, nie potrafiła powiedzieć.

Rozpoznała wazy od Waterforda, georgiańskie srebra i porcelanę z Limoges w serwantce w jadalni. A i pejzaż Turnera raczej nie był kopią.

Wyjrzała przez okno. Dobrze utrzymany trawnik, stare, majestatyczne drzewa, róże w pełnym rozkwicie. Dlaczego człowiek, który mógł mieszkać w takim domu, zdecydował się pracować w dusznym i ciasnym biurze, na ostatnim piętrze rozsypującej się kamienicy?

A potem nagle uśmiechnęła się ze zrozumieniem. Widocznie Cade Parris był w takim samym stopniu zagadką jak ona. Co za ulga.

Wróciła do kuchni w nadziei, że zdoła się do czegoś przydać, przygotowując mrożoną herbatę albo coś bardziej konkretnego na lunch. Kiedy zadzwonił telefon, podskoczyła jak oparzona. W chwilę później włączyła się automatyczna sekretarka, z której

popłynął znajomy, kojący głos Cade'a „To numer pięć, pięć, pięć, dwa, trzy, dziewięć, sześć. Proszę zostawić wiadomość, żebym mógł oddzwonić”.

„Cade, to zaczyna być w najwyższym stopniu irytujące”. Kobieta, która telefonowała, była wyraźnie zniecierpliwiona. „Od rana nagrałam się już kilka razy w biurze, więc mógłbyś okazać choć tyle dobrego wychowania, żeby się odezwać. Wątpię, czy jesteś aż tak zajęty z tymi twoimi tak zwanymi klientami, żeby nie znaleźć czasu dla swojej matki”. Po tym nastąpiło długie, pełne rezygnacji westchnienie. „Doskonale wiem, że nie skontaktowałeś się z Pamelą w sprawie dzisiejszego wieczoru. Postawiłeś mnie w bardzo nieprzyjemnej sytuacji. Wychodzę teraz na brydża do Dodiego. Możesz mnie tam złapać do czwartej. Nie zmuszaj mnie, żebym się za ciebie wstydziła, Cade. A tak przy okazji - Muffy jest na ciebie wściekła”.

Monolog zakończył zdecydowany trzask. Bailey zaszcło w gardle, więc cicho chrząknęła. Miała wrażenie, że to do niej skierowany był ten chłodny, apodyktyczny, pełen pretensji głos. Zastanowiła się, czy i ona ma matkę, która wciąż tylko beszta i wymaga posłuszeństwa. A może i martwi się teraz o nią.

Nastawiła czajnik i zaczęła szukać herbaty, kiedy znowu zadzwonił telefon.

„Cade, tu Muffy. Mama mówi, że nadal nie udało jej się z tobą skontaktować. To oczywiste, że nas unikasz, bo wstydzisz się swojego zachowania. Doskonale wiedziałeś, że wczoraj wieczorem Camilla miała recital fortepianowy. Mogłeś okazać bodaj tyle przyzwoitości, żeby wpaść i udawać, że wiesz co to lojalność w stosunku do własnej rodziny. A zresztą, czego się można po tobie spodziewać? Mam głęboką nadzieję, że zadzwoni-

nisz do Camilli i przeprosisz ją za to, że cię nie było. Póki tego nie zrobisz, nie mamy sobie nic do powiedzenia".

Trzask.

Bailey prychnęła i wzniosła oczy do nieba. Jak z tego widać, pomyślała, stosunki rodzinne to trudny i złożony problem.

A może i ona ma brata, który jest tak... no, tak wredny jak ta żmija Muffy o ostrym języku?

Zalała herbatę w czajniczku, a potem otworzyła lodówkę. Znalazła w niej mnóstwo jajek. Na ich widok uśmiechnęła się. Była także paczkowana szynka, trochę żółtego sera i kilka do-rodnych pomidorów. Miała z czego przygotować coś na lunch.

Przez chwilę zastanawiała się, czy użyć majonezu, czy musztardy, a także czy powinna posłodzić herbatę, czy nie. Każdy szczegół był jak kolejna cegiełka w odbudowywaniu jej osobo-wości. Właśnie kiedy kroїła ostrożnie pomidory, trzasnęły fron-towe drzwi i natychmiast poprawił jej się humor.

Zawołała:

- Cade, Cade! - Nagle głos uwiązał jej w gardle. A jeżeli to wcale nie był Cade? Może ją odnaleźli? Może po nią przyszli? Zaciskając dłoń na trzonku noża, ruszyła na palcach ku drzwiom. Strach, głęboki i nie do opanowania, wycisnął jej na czole krople potu, drobne jak perełki. Serce podskoczyło jej do gardła.

Uciec, uciec jak najdalej od tych przerażających błyskawic. Ale jak, kiedy oddech grzęźnie w piersi, a wokół jest tak ciemno i wszędzie pełno krwi.

Bailey zacisnęła palce wokół gałki i przekręciła ją, gotowa do walki lub do ucieczki.

Kiedy zobaczyła Cade'a, z piersi wyrwał jej się głośny szloch. Rzuciła mu się w ramiona. Nóż z brzękiem upadł na podłogę.

- To ty, to ty.

- Oczywiście, że to ja. - Powinien mieć wyrzuty sumienia. W końcu to strach pchnął ją w jego ramiona, ale cóż, był tylko człowiekiem. A poza tym, ona tak ślicznie pachniała. - Przecież ci mówiłem, że jesteś tutaj bezpieczna, Bailey.

- Wiem. Przez cały czas czułam się bezpieczna. Dopiero kiedy usłyszałam, że ktoś otwiera drzwi, wpadłam w popłoch. - Tuliła się do niego rozpaczliwie. Uniosła głowę i spojrzała mu w oczy. - Chciałam uciekać, po prostu uciekać. Przestraszyłam się, że to może być ktoś obcy. Nienawidzę być takim tchórzem. Nienawidzę nie wiedzieć, co mam robić. Przez chwilę wydawało mi się, że nie potrafię zebrać myśli.

Cade głaskał Bailey po policzku, patrząc jej uważnie w oczy. Jego ramię mocno ścisnęło ją w talii, a kojąca dłoń pogładziła włosy i zatrzymała się na karku.

Czekał tak długo, aż się uspokoiła. Wargi lekko mu drgnęły, a jej aż serce podskoczyło w piersi i wtedy pochylił głowę i dotknął delikatnie ustami jej warg.

Jak cudownie... To była jej pierwsza myśl. Jak cudownie było znaleźć się w ramionach Cade'a i tak dogłębnie smakować jego usta. To był pocałunek, to słodkie spotkanie ust, od których krew żywiej krążyła w żyłach, a dusza zaczynała śpiewać. Z cichym pomrukiem przesunęła mu rękami po plecach i wspięła się na palce, żeby zaspokoić ich wspólne życzenie.

Kiedy obwiodł językiem jej usta, zadrżała z rozkoszy. A potem otworzyła się przed nim w sposób tak naturalny, jak róża otwiera się do słońca.

Wiedział, że tak będzie. Nie wiadomo, skąd miał tę pewność, że będzie zarazem nieśmiała i hojna, że będzie smakowała świeżością i pachniała wiatrem. To niewiarygodne, że spotkali się

niespełna parę godzin temu. Wydawało mu się, że kobieta, którą trzyma w ramionach, należy do niego od zawsze.

Jakie to ekscytujące, jakie podniecające wiedzieć, że jest to pierwszy pocałunek w jej życiu, jaki zapamięta. Że był jedynym mężczyzną w jej myślach i sercu, któremu wolno było trzymać ją i dotykać jej w taki sposób. To on pierwszy potrafił sprawić, że drżała, to jego imię wyszeptała jako pierwsze, kiedy ogarnęła ją pożądanie.

A kiedy wyszeptała jego imię, zniknęły wszystkie inne kobiety, które kiedykolwiek trzymał w ramionach. Ona także stała się jego pierwszą.

Zaczął całować Bailey coraz mocniej i głębiej, lękając się jednocześnie, żeby jej nie zrazić i nie zranić. Ale ona nagle ożyła w jego ramionach i żywo reagowała na jego pocałunek. Jej usta były głodne i gorące, a ciało spazmatycznie tuliło się do jego ciała.

Bailey czuła, że żyje, tak wspaniale żyje! Była tak cudownie świadoma bicia własnego serca. Obejmowała Cade'a kurczowo, jakby chciała go na zawsze zatrzymać. To on wypełniał sobą wszystkie te puste miejsca, wszystkie przerażające, białe plamy. To było rzeczywiste, to działo się naprawdę. I to miało dla niej takie olbrzymie znaczenie.

- Spokojnie. - Słowa przychodziły mu z trudem. Żałował, że musi je wymówić. Drżał cały podobnie jak Bailey i czuł, że jeśli się teraz nie wycofa, nie zapanuje nad sytuacją i weźmie ją tak jak stał, w progu kuchni. - Spokojnie - powtórzył, przyciskając jej głowę do ramienia, bo nie chciał, by znowu kusiły go jej pełne, chętne usta.

Wtuliła się w niego, a nerwy miała napięte do ostateczności. Krew tętniła jej w żyłach, huczało w głowie.

- Nie wiem, czy kiedykolwiek tak było. Po prostu nie wiem.

Jej słowa sprowadziły go z obłoków na ziemię. Może nawet zbyt gwałtownie. Przypomniawszy sobie, że przecież, w przeciwieństwie do niego, ona nic nie wie. Bo on już miał całkowitą jasność, że nigdy nie było tak jak teraz.

- Nie martw się tym, Bailey - powiedział i odsunął ją, a potem położył jej dłonie na ramionach, bo wyczuł w niej narastające napięcie. - To było coś niezwykłego, ale na razie powinno nam to wystarczyć.

- Ale... - Zagryzła wargę, a Cade szybko odwrócił się do niej plecami i szarpnął za drzwi lodówki. - Ja... ja właśnie zaparzyłam herbatę.

- Chcę się napić piwa.

Żachnęła się, zaskoczona jego ostrym tonem.

- Jesteś zły, prawda?

- Nie. - Otworzył butelkę i wypił trzy wielkie hausty piwa.

- Tak. Jestem trochę zły na siebie. W końcu to ja zacząłem, - Odstawił butelkę i uważnie przyglądał się Bailey.

Stała z rękami skrzyżowanymi na piersi. Obszerne dzinsy marszczyły się na biodrach, a jego własna koszula zsuwała jej się z ramion. Była boso, wilgotne włosy, wijąc się, opadały jej na ramiona.

Była absolutnie bezbronna.

- Chętnie ci wszystko wyjaśnię. - Oparł się o kuchenny blat, pragnąc zachować między nimi pewien dystans. - Kiedy stanęłaś na progu mojego biura, to było jak grom z jasnego nieba. Nigdy przedtem niczego takiego nie przeżyłem. Pomyślałem: „jesteś nareszcie”. Może dlatego, że szukałaś mnie, bo miałaś kłopoty, a ja mam słabość do ludzi w tarapatkach, zwłaszcza pięknych kobiet. - Znowu pociągnął łyk piwa, tym razem wol-

niej, a ona patrzyła na niego z uwagą. - Ale to nie to, Bailey, albo przynajmniej nie wszystko. Pragnę ci pomóc. Tak samo jak ty chcę dowiedzieć się wszystkiego o tobie. Ale chcę się też z tobą kochać, powoli, bez pośpiechu, tak żeby każda sekunda wydawała nam się godziną. A kiedy skończymy i będziesz leżała pode mną, naga i osłabła, ja zacznę od nowa.

Bailey nadal kurczowo ścisnęła skrzyżowane ramiona, teraz już tylko po to, żeby oszalałe serce nie wyskoczyło jej z piersi.

- Och... - wyszeptała bez tchu.

- I zobaczysz, że zrobię to, jak tylko mocniej staniesz na nogi.

- Och - powtórzyła. - No cóż. - Głośno chrząknęła. - Przecież ja mogę być morderczynią. Cade.

- Ho ho! - Cade nagle zmienił temat i zaczął oglądać leżące na blacie kromki chleba. - To ma być lunch?

Oczy Bailey zwięzły się z gniewu. To ma być odpowiedź człowieka, który dopiero co powiedział jej, że chce się z nią kochać tak długo, aż całkiem osłabnie?

- Mogłam przecież ukraść masę pieniędzy, zabić kogoś albo porwać niewinne dziecko.

- Tak jest. - Nałożył sobie na kanapkę plaster szynki. - Prawdziwa z ciebie desperatka, kochanie. To widać. Masz w oku ten wyrachowany, zabójczy błysk. - A potem odwrócił się do niej ze śmiechem. - Bailey, na Boga, spójrz tylko na siebie. Jesteś uprzejmą, porządną kobietą, o skrupułach jak stąd do Kansas. Bardzo wątpię, czy masz na swoim koncie chociaż jeden mandat za złe parkowanie. I pewnie nigdy nie odważyłaś się na coś bardziej szalonego niż głośny śpiew pod prysznicem.

Swoimi uwagami dopiekł jej do żywego. Nie umiała powiedzieć dłaczego, ale poczuła się urażona tą charakterystyką.

- Mam tatuaż na pupie - rzuciła wyzywająco.

Cade odłożył na bok rozpadającą się kanapkę.

- Przepraszam, co takiego?

- Mam na pupie tatuaż - powtórzyła z błyskiem w oku.

- Coś podobnego! - Nie mógł się już doczekać chwili, w której będzie mógł go obejrzeć. - Trzeba cię wobec tego aresztować. I proszę cię, nie mów mi, że przekłułaś sobie coś więcej niż uszy, bo będę musiał sięgnąć po broń.

- Cieszę się, że udało mi się tak cię rozbawić.

- Kochanie, ty mnie fascynujesz. - Szybko zastawił jej drogę, żeby nie uciekła z kuchni. - Widzę, że masz niezły temperament. Tb dobry znak. Okazuje się, że moja Bailey to nie jakaś malowana lala. Lubi jajecznicę z koperkiem i papryką, wie, jak się robi mrożoną herbatę, kroi pomidory na idealnie równe plasterki i umie wiązać węzeł żeglarski.

- Co?

- Twój pasek - powiedział, machnąwszy niedbale ręką. - Pewnie byłaś harcerką albo lubisz żeglować. Kiedy jesteś zirytowana, przybierasz lodowaty ton, masz wyśmienity gust, jeżeli chodzi o stroje, przygryzasz wargę, gdy się denerwujesz. To zaś, ostrzegam cię, z niewiadomych przyczyn budzi we mnie dzikie żądze.

Kiedy nagle przestała przygryzać wargę i chrząknęła, na jego policzkach ukazały się dołeczki.

- Utrzymujesz praktyczną długość paznokci - ciągnął. - A także potrafisz zatracić się w pocałunku. Co za ciekawa kobieta ta nasza Bailey.

Po tych słowach przyjaźnie poklepał ją po ramieniu.

- A teraz siądźmy wreszcie i zjedzmy lunch, a ja ci opowiem, czego się dowiedziałem. Chcesz musztardę czy majonez?

- Nie wiem. - Wciąż lekko nadaśana osunęła się na krzesło.

- Ja wolę musztardę. - Postawił na stole słoiczek musztardy oraz inne przyprawy. - No więc, co to takiego?

Bailey rozsmarowała musztardę na kanapce.

- Ale co?

- Ten twój tatuaż. Co to jest?

Zawstydzona spuściła wzrok i położyła na chlebie plasterek szynki.

- A co to ma do rzeczy?

- Daj spokój. - Uśmiechnął się i pogłaskał ją po głowie.

- No więc? Motylek? Pączek róży? A może jesteś motocyklistką w przebraniu i pod moimi dżinsami ukrywasz trupią czaszkę?

- To jednorożec - mruknęła niechętnie.

- Dość pomysłowe - cmoknął Cade. Patrzył, jak Bailey kroi kanapkę w równe, precyzyjne trójkąty, ale powstrzymał się od komentarzy.

Czując, że najchętniej zapadłaby się ze wstydu pod ziemię, Bailey pospiesznie zmieniła temat.

- Miałeś mi powiedzieć, czego się dowiedziałeś.

Z niechęcią rozstał się z wizją jednorożca na jej pośladku, ale czuł, że to jedyny sposób, żeby ciśnienie wróciło do normy.

- Masz rację - westchnął. - No więc, broń nie jest zarejestrowana. Moim informatorom nie udało się na razie jej namierzyć. Poza tym, magazynek był pełny.

- A co z tego wynika?

- To znaczy, że nikt jej ostatnio nie używał, albo też została na nowo załadowana.

- Mówisz, że nikt z niej nie strzelał. - Zamknęła oczy i odechnęła z ulgą. - Więc może wcale jej nie użyłam.

- Powiedziałbym, że to wysoce nieprawdopodobne, żebyś z niej strzelała. Gdy patrzę na ciebie, trudno mi sobie wyobrazić, żebyś mogła posiadać nie zarejestrowaną broń. Może jednak przy pewnej dozie szczęścia uda nam się ją namierzyć i wtedy będziemy mieli jaśniejszy obraz.

- Już i tak dowiedziałeś się dość dużo - powiedziała z podziwem.

Chciałby dłużej napawać się jej uznaniem, wzruszył jednak tylko ramionami i odgryzł wielki kęs kanapki.

- Niestety, większość to informacje negatywne. Nie przyjęto żadnego zgłoszenia kradzieży klejnotu takiego jak ten, który mi pokazałaś, ani takiej sumy pieniędzy. Nasza lokalna policja nie prowadzi żadnych dochodzeń w sprawie kidnapingu albo wzięcia zakładników. W ostatnim tygodniu nie było też morderstw dokonanych za pomocą tego typu broni, jaką miałaś przy sobie.

Przerwał, żeby napić się piwa.

- Nie zgłoszono również zaginięcia kobiety, której rysopis odpowiadałby twojemu.

- Jak to możliwe? - Bailey odłożyła nadgryzioną kanapkę. - Przecież mam ten klejnot i gotówkę. A do tego nie ma mnie, bo zaginęłam.

- Możliwości są różne. - Cade spojrzał jej w oczy. - Może ktoś nie chce, żeby wiadomość o tym się rozeszła. Bailey, mówiłaś, że ci się wydaje, iż ten brylant to tylko część większej całości. A kiedy obudziłaś się z koszmaru, mówiłaś o trzech

gwiazdach. Gwiazdy. Diamenty. To może być to samo. Nie wydaje ci się, że mogą być trzy takie kamienie?

- Gwiazdy? - Przycisnęła palce do skroni, jakby nagle rozboleła ją głowa. - Czy mówiłam o gwiazdach? Nie przypominam sobie żadnych gwiazd.

Wszelkie próby pobudzenia pamięci były takie bolesne. Spróbowała więc skoncentrować się na tym, co wydało jej się sensowne.

- Trzy klejnoty tej wielkości i czystości to rzecz niewiarygodnie rzadka. A w komplecie, nawet gdyby pozostałe dwa były mniejsze, i tak nie byłoby na nie ceny. Nie można by ich nawet oszacować... - Nagle zabrakło jej tchu. Zaczęła się dusić. - Cade, nie mogę oddychać!

- W porządku. - Cade poderwał się i pochylił jej plecy tak, że głowa Bailey znalazła się między kolanami, po czym zaczął jej masować grzbiet. - Na razie dość. Nie powinnaś się do niczego zmuszać. Odpręż się.

Zastanawiał się, co takiego zobaczyła, że w jej oczach pojawił się autentyczny strach.

- Przepraszam - wykrztusiła. - Ja naprawdę chcę ci pomóc.

- Ależ pomagasz mi. I na pewno na tym się nie skończy. - Pomógł jej się wyprostować i poczekał, aż odgarnie włosy z poblądłej twarzy. - No, rozchmurz się, przecież to dopiero nasz pierwszy dzień.

- Już wszystko w porządku. - Bailey zaczerpnęła tchu. Co za szczęście, że Cade nie wyśmiał jej słabości. - Kiedy spróbowałam zastanowić się nad tym, o co mnie pytałeś, nagle ogarnęła mnie panika. Poczułam obłądny strach i jakieś dziwne wyrzuty sumienia. Miałam wrażenie, że pęka mi głowa, a serce zaczęło walić jak szalone. Nie mogłam złapać tchu.

- No to nie będziemy się spieszyć. Czy kiedy rozmawiamy o tym klejnocie, też się tak denerwujesz?

Zamknęła na moment oczy i wyobraziła sobie brylant. Był taki piękny i niezwykły. Czuła przy tym lekki niepokój i lęk, jednak nie tak paraliżujący.

- Nie, to absolutnie nie ten rodzaj reakcji. - Potrząsnęła głową i otworzyła oczy. - Chociaż sama nie wiem dlaczego.

- Będziemy nad tym pracować. - Cade znowu podsunął jej talerz. - A teraz jedz. Zaplanowałem sobie długi wieczór, więc musisz się porządnie najeść.

- Co to za plany?

- Przejeżdżałem obok biblioteki. Wypożyczyłem cały stos książek o kamieniach szlachetnych - informacje techniczne, ilustracje, historie słynnych brylantów, i tak dalej.

- Może coś znajdziemy. - Uradowana Bailey znowu skubnęła kanapkę. - Jeżeli uda nam się zidentyfikować kamień, może uda nam się też zdobyć dane jego właściciela, a wtedy... Och, ale ty przecież nie możesz.

- Czego nie mogę?

- Pracować dziś wieczorem. Masz gdzieś iść z jakąś Pamelą.

- Ja? Cholera... - Cade przypomniał sobie i potarł z westchnieniem oczy.

- Przepraszam, zupełnie o tym zapomniałam. Dzwoniła twoja matka. Byłam akurat w pokoju, więc usłyszałam wiadomość. Martwi się, że nie odpowiadasz na jej telefony. Jest też zaniepokojona, bo nie skontaktowałaś się z Pamelą w sprawie ustaleń co do dzisiejszego wieczoru. Będzie u Dodiego do czwartej. Możesz tam do niej zadzwonić. I jeszcze jedno. Muffy jest na ciebie zła. Dzwoniła zaraz po matce i ma pretensje, że nie

przyszedłeś na recital fortepianowy Camilli. I nie ma zamiaru z tobą rozmawiać, póki jej nie przeprosisz.

- Szczęściarz ze mnie - mruknął Cade i zatarł ręce. - To się dobrze składa. Chcesz popracować? - zapytał nagle, a kiedy się uśmiechnęła, potrząsnął głową i ciągnął dalej, z przekonaniem: - Mówię serio. Jesteś o wiele lepiej zorganizowana niż moja poprzednia, nieodżałowanej pamięci sekretarka. Przydałaby mi się w biurze pomoc, a ty też miałabyś jakieś zajęcie.

- Nie wiem nawet, czy umiem obsługiwać komputer.

- Ja za to wiem, że ledwie umiem, więc jesteś o oczko lepsza. Potrafisz odbierać telefony, prawda?

- Oczywiście, ale...

- Wyświadczyłabyś mi wielką przysługę. - Widząc jej wanie, zaczął nalegać, przekonany, że w ten sposób Bailey wypełni pożytecznie czas, a on będzie ją miał przy sobie. - Szkoda Czasu na dawanie ogłoszeń i szukanie nowej sekretarki. Gdybyś mogła mi pomóc chociaż przez kilka dni, byłbym ci bardzo wdzięczny.

Pomyślała o jego biurze i doszła do wniosku, że bardziej niż sekretarka przydałby mu się buldożer. Choć może i ona mogłaby coś dla niego zrobić.

- Z chęcią ci pomogę.

- To dobrze. Fantastycznie. Posłuchaj, przywozłem ci kilka rzecz/y.

- Jakich znowu rzeczy?

- Ubrań i tak dalej. - Cade wstał i zebrał talerze.

Bailey spojrzała na niego ze zdumieniem.

- Kupiłeś mi ubranie?

- Nic szczególnego. Musiałem zgadywać rozmiary, ale mam dość wyrobione oko. - Dostrzegł, że znowu przygryzła wargę,

i omal nie westchnął. - Tylko kilka podstawowych rzeczy, Bailey. Chociaż w moim ubraniu prezentujesz się bardzo atrakcyjnie, potrzebny ci jakiś własny strój. A przecież nie możesz codziennie chodzić w jedwabnym kostiumie.

- Nie, chyba rzeczywiście nie - powiedziała, wzruszona jego zapobiegliwością. Przecież to ona powinna o tym pomyśleć. -Dziękuję ci, Cade.

- Nie ma za co. Właśnie przestało padać. Co ty na to, żeby zażyć świeżego powietrza? Chodźmy na spacer. Może nam się trochę rozjaśni w głowach.

- Nie mam żadnych butów. - Bailey wstawiła talerze do zmywarki.

- Kupiłem ci tenisówki. Jaki nosisz numer? Sześć i pół?

Bailey ze śmiechem zawinęła w folię pozostałe plasterki szynki.

- Skąd mam to wiedzieć?

- Musisz je przymierzyć.

Bailey wsunęła tacę do zmywarki i zamknęła drzwiczki.

- Cade, musisz koniecznie zadzwonić do matki.

- Ha! - zaśmiał się Cade.

- Mówiłam ci, że jest niezadowolona.

- Jeżeli chodzi o mnie, ona zawsze jest niezadowolona. Jestem czarną owcą w rodzinie Parrisów.

Bailey zmoczyła ściereczkę i zaczęła metodycznie przecierać blaty.

- Ale to twoja matka i czeka na twój telefon.

- Wcale nie. Ona tylko czeka, żeby mnie zmusić do zrobienia czegoś, na co nie mam najmniejszej ochoty. A jak tego nie zrobię, zadzwoni do Muffy, tej mojej wiedźmowatej siostry, i nie zostawią na mnie suchej nitki.

- Nie wypada tak mówić o własnej rodzinie. A poza tym, sprawiłeś przykrość Camilli. To twoja siostrzenica, prawda?

- Są takie plotki.

- Przecież to dziecko twojej siostry.

- Nie, Muffy nie ma dzieci, tylko jakieś paskudne stwory. A Camilla to tłusty, płaczący mutant.

Bailey wcale się nie roześmiała, tylko wyjęła ściereczkę i rozwiesiła ją nad zlewem.

- To obrzydliwe mówić tak o swojej siostrzenicy. Nawet jeżeli nie lubisz dzieci.

- Ależ bardzo lubię dzieci. - Zaczynało go to bawić. Oparł się o blat i patrzył, jak Bailey sprząta. - Mówię ci, że Camilla nie jest ludzką istotą. Moja druga siostra, Doro, ma dwójkę dzieci, i jakimś dziwnym sposobem młodsze wymknęło się spod kurateli Parrisów. To fantastyczny dzieciak. Uwielbia bejsbol i podsłuchuje. Doro uważa, że potrzebna mu terapia.

Bailey mimowolnie zachichotała.

- Zmyślasz.

- Możesz mi wierzyć, kochanie, ale choćbym nie wiem jak zmyślał na temat klanu Parrisów, nie potrafiłbym wymyślić niczego ani w połowie tak okropnego jak prawda. To zakochani w sobie egoiści i zarozumialcy. Czy masz zamiar umyć teraz podłogę?

Bailey zamknęła usta, które same jej się otworzyły, kiedy słuchała tak lekceważąco niepochlebnej opinii o rodzinie, i z roztargnieniem spojrzała na lśniące kafelki koloru kości słoniowej.

- Dobrze. Gdzie...

- Bailey ja tylko żartowałem.-Chwyił ją za rękę i wyciągnął z kuchni. I właśnie wtedy rozdzwonił się telefon.

- Nie - powiedział, zanim zdążyła otworzyć usta. - Nie odbiorę, i już.

- Wstydź się!

- To tylko samoobrona. Nigdy się nie zgodziłem na ten pomysł z Pamela. I nie mam zamiaru dać się w to wmanewrować.

- Cade, nie chcę, żebyś sprawiał przykrość swojej rodzinie, nie przychodząc na spotkanie z mojego powodu. Ja sobie tu poradzę.

- Już ci mówiłem, że nie ja ustalałem to spotkanie, tylko moja matka. Natomiast jeżeli chodzi o tamten koncert, mogę użyć ciebie jako pretekstu. Jestem ci niewymownie wdzięczny. Tak wdzięczny, że potracę całą dniówkę z mojego honorarium. Masz. - Sięgnął po jedną z toreb, które postawił przy drzwiach, i wyjął kartonowe pudełko. - Twoje szklane pantofelki. Jeżeli okaże się, że pasują, idziemy na bal.

Poddała się, usiadła na pierwszym stopniu schodów i otworzyła pudełko. Kiedy zajrzała do środka, uniosła brwi.

- Czerwone tenisówki?

- Spodobały mi się. Są bardzo seksowne.

- Seksowne tenisówki - powtórzyła i zaczęła się zastanawiać, jak to możliwe, że ucieszyła się jak dziecko z powodu głupiej pary butów. Wchodziły bez trudu i z jakiejś niewiadomej przyczyny Bailey poczuła, że ma ochotę zarazem śmiać się i płakać. - Pasują jak ulał.

- Mówiłem ci, że mam dobre oko. - Uśmiechnął się, patrząc, jak Bailey ściąga równo sznurowadła i wiąże je w schludny węzeł. - Miałem rację. Są bardzo seksy. - Pociągnął ją za rękę, żeby pomóc jej wstać. - Prawdę mówiąc, wyglądasz dość dziwnacznie.

- Jestem tego pewna. Zwłaszcza że jedyna rzecz, jaka na

mnie pasuje, to te tenisówki. - Wspięła się na palce i już miała go cmoknąć w policzek, ale zmieniła zdanie.

- Lepiej nie - powiedział.

- Może i tak. - Podała mu rękę. - Strasznie chciałabym się przejść. - Wyszła na dwór i spojrzała na Cade'a. - Czy ta Pamela jest ładna?

Zawahał się, a potem uznał, że naga prawda może przemawiać na jego korzyść.

- Jest cudowna - powiedział, po czym zamknął drzwi i objął Bailey ramieniem. - A do tego ma na mnie straszną ochotę.

Ciche, pogardliwe prychnięcie wywołało na jego ustach uśmiech nieklamanej satysfakcji.

ROZDZIAŁ 4

Układanki zawsze go frapowały. Dopasowywanie fragmentów, rozrzucanie ich i ponawianie prób, póki nie weszły na właściwe miejsce - to było jak wyzwanie, które przynosiło mu wielką satysfakcję, a także jeden z powodów, dla których Cade porzucił rodzinne tradycje i obrał sobie inną drogę.

Pełen buntu, był gotów wybrać jakąkolwiek karierę, byle tylko wyłamać się spod wpływów rodziny. Własna agencja detektywistyczna miała jednak jeszcze ten plus, że prócz samodzielności dawała mu szansę nieustannego rozwiązywania układanek, a także - od czasu do czasu - doprowadzenia do tego, żeby dobro zatriumfowało nad złem.

Cade miał bardzo zdecydowaną opinię na temat dobra i zła. Jego zdaniem ludzie dzielili się na dobrych i złych. Istniało prawo, tak jak istniały przestępstwa. Mimo to nie był na tyle naiwny, żeby nie zdawać sobie sprawy, że istnieją też różne odcienie szarości, które trzeba zaakceptować. Prawdę mówiąc, często odwiedzał szare strefy, a nawet je pochwalał. Były jednak granice, których nigdy nie przekroczył.

Cade miał też dość rozsądku, by od czasu do czasu pozwolić sobie na małą rozrywkę.

Ale najbardziej lubił rozwiązywanie zagadek.

Tego ranka po rozstaniu się z Bailey spędził dużo czasu w bibliotece, przeglądając mikrofilmy w poszukiwaniu jakiegokolwiek wzmianki o skradzionym błękitnym diamencie. Nie miał serca powiedzieć jej, że trudno będzie określić, skąd pochodziła. Przecież w ciągu minionych paru dni mogła przyjechać do Waszyngtonu skądkolwiek. To, że wraz z pieniędzmi i diamentem znalazła się właśnie tutaj, wcale nie musiało oznaczać, że tu mieszka, a nikt nie był w stanie określić, jak długo mógł trwać jej zanik pamięci.

Przejrzał dodatkowe materiały o amnezji, ale nie znalazł niczego, co by mu się przydało. Z tego, co już wiedział, byle drobiazg był w stanie uruchomić jej pamięć, która mogła też nadal pozostać czysta. W tej sytuacji nowe życie Bailey mogło się rozpocząć parę godzin przed tym, nim się poznali.

Cade nie miał najmniejszych wątpliwości, że przeżyła wielki wstrząs lub była świadkiem jakiegoś wyjątkowo tragicznego wydarzenia. I choć to przekonanie można było uważać za jeden z przejawów nieobliczalnej, ekscentrycznej natury Cade'a, on był przeświadczony o absolutnej niewinności Bailey.

Jak kobieta o takich oczach mogłaby popełnić jakiegokolwiek przestępstwo?

Bez względu na odpowiedź był zdecydowany na jedno: zamierzał otoczyć Bailey opieką. Był gotów nawet zaakceptować tę prostą prawdę, że wpadł już w chwili, kiedy ją zobaczył. Kimkolwiek i czymkolwiek była Bailey, była jednak na pewno tą kobietą, na którą czekał.

Miał więc zamiar nie tylko ją chronić, ale i zatrzymać.

Pierwszą żonę wybrał sobie powodowany rozumem i tradycją. A może - tak mu się czasami zdawało - został w to małżeństwo wmanewrowany przez swoich przyszłych teściów, a także

przez własną rodzinę. I ten bezduszny związek okazał się katastrofą, właśnie dlatego, że był efektem zimnej kalkulacji.

Od czasu rozwodu, który wstrząsnął wszystkimi poza dwójką najbardziej zainteresowanych. Cade skakał z kwiatka na kwiatek i z wyjątkowym mistrzostwem unikał wszelkich zobowiązań.

A przyczyna tego wszystkiego, której wówczas jeszcze nie znał, ale na którą podświadomie czekał, siedziała właśnie przed nim po turecku na dywanie i oczyma krótkowidza wpatrywała się w książkę o kamieniach szlachetnych.

- Bailey, potrzebujesz okularów.

- Hmm? - mruknęła z nosem w książkę.

- To tylko mój domysł, ale zaryzykowałbym twierdzenie, że na co dzień używasz okularów do czytania. Jeżeli jeszcze bardziej zbliżysz twarz do książki, wkrótce sama się w niej znajdziesz.

- Och. - Bailey zamruwała, a potem potarła oczy. - To tylko ten druk. Jest taki drobny.

- Nie przejmuj się. Zajmiemy się tym jutro. Zostaw już tę książkę. Chcesz się napić wina?

- Chyba tak. - Zagryzając dolną wargę, nie przestawała wpatrywać się w tekst, którego litery jakoś nie chciały być ostre,

- Jak dotąd, największym oszlifowanym diamentem jest Gwiazda Afryki. Ma pięćset trzydzieści przecinek dwa karata.

- To brzmi jak bajka - skomentował Cade, wybierając butelkę sancerre'a, schowaną na stosowną okazję.

- Jest osadzony w brytyjskim berle królewskim. A poza tym jest za duży i nie jest niebieski. Na razie nie udało mi się znaleźć nic, co by pasowało do naszego klejnotu. Szkoda, że nie mam refraktometru.

- Czego?

- Refraktometru - powtórzyła, pocierając czoło. - Mierz się nim wskaźnik refrakcji. - Nagle podchwyciła zdumione spojrzenie Cade'a i zamarła w pół gestu. - Zaraz, zaraz, skąd ja to wszystko wiem?

Cade przyniósł dwa kieliszki i znowu usiadł obok niej na podłodze.

- Co to jest współczynnik refrakcji?

- To względna zdolność załamywania promieni świetlnych. Dla diamentów wynosi jeden. Cade, ja nic z tego nie rozumiem. Skąd ja to wiem?

- Jesteś pewna, że to nie szafir? - Cade sięgnął po klejnot, który spoczywał na jego notatkach jak szklana, ozdobna kula. - Według mnie. Wygląda raczej jak szafir.

- Szafiry są dwułamne. - Bailey nagle się wzdrygnęła. - Pewnie jestem złodziejką klejnotów i stąd to wiem.

- Albo jesteś jubilerem czy gemmologiem. Albo prawdziwą bogaczką, która lubi się bawić takimi świecidełkami. - Wręczył jej kieliszek. - Nie wyciągaj zbyt pochopnie wniosków, Bailey. W ten sposób mogą ci umknąć istotne szczegóły.

- Dobrze. - Mimo to zachowała przed oczyma wizję siebie samej, ubranej na czarno, i wspinającej się nocą do okna na piętrze. Pociągnęła duży łyk wina. - Bardzo bym chciała zrozumieć, dlaczego pamiętam niektóre rzeczy. Na przykład refraktometr. Albo „Sokoła maltańskiego”.

- Sokoła maltańskiego?

- Tak, ten film z Bogartem i Mary Astor. Masz tę książkę w swoim pokoju i kiedy ją zobaczyłam, natychmiast przypomniał mi się film. A poza tym róże. Wiem, jak pachną róże, a nie pamiętam, jakie są moje ulubione perfumy. Wiem, co to jest jednorozec, ale nie wiem, dlaczego kazałam go sobie wytatuować.

- Bo to jednorożec. — Usta Cade'a wygięły się w łobuzerskim uśmiechu, a w policzkach ukazały się dołeczki. - Symbol niewinności.

Wzruszyła ramionami i szybko dopiła wino. Cade podał jej swój kieliszek, a sam podniósł się i sięgnął po butelkę.

- I jeszcze ta melodia, która dźwięczała mi w głowie, kiedy brałam prysznic. Nie wiem, co to było, ale nie mogłam się od niej uwolnić. - Znowu sączyła wino, marszcząc z wysiłkiem brwi, a potem cicho zanuciła.

- Dziewiąta Symfonia Beethovena - powiedział Cade. - Beethoven, Bogart i mityczne zwierzę. Z każdą chwilą stajesz się bardziej fascynująca, Bailey.

- A w ogóle, co to za imię, Bailey? - zapytała, energicznie wymachując ręką, w której trzymała kieliszek. - Czy to moje imię czy nazwisko? Kto by chciał uszczęśliwić dziecko takim imieniem? Wołałabym się nazywać Camilla.

Cade znowu się uśmiechnął i zastanowił, czy nie powinien usunąć wina z zasięgu jej ręki.

- O, na pewno byś nie wołała. Możesz mi wierzyć.

Bailey zdmuchnęła włosy, które opadały jej na czoło, a potem wydeła usta.

- Opowiedz mi coś o diamentach - poprosił.

- Diamenty to najlepsi przyjaciele dziewczyny. - Bailey zachichotała, a potem spojrzała na Cade'a rozpromienionym wzrokiem. - Czy ja to wymyśliłam?

- Nie, kochanie, to nie ty. Jest taka piosenka. Śpiewała ją Marilyn Monroe. - Ostrożnie wyjął jej z rąk na wpół opróżniony kieliszek i pomyślał, że Bailey ma bardzo słabą głowę. - Powiedz mi, co wiesz o diamentach.

- Lśnią i migoczą. Wyglądają, jakby były zimne, i takie też są

w dotyku. W ten właśnie sposób łatwo je odróżnić od podróbek ze szkła. Szkło jest ciepłe, a diamenty są zimne. A to dlatego, że są znakomitym przewodnikiem ciepła. Zimny ogień. - Leżała na plecach, z zamkniętymi oczyma. Po chwili podjęła swą opowieść. - To najtwardsza substancja, jaką znam. Dziesięć w skali twardości Mohsa. Diamenty o największej wartości są białe. Zabarwienie żółtawe albo brązowe uważane jest za wadę. - O mój Boże, pomyślała z westchnieniem, czując, że kręci jej się w głowie. - Niebieskie, zielone i czerwone diamenty są bardzo rzadkie i osiągają bardzo wysoką cenę. Ich zabarwienie spowodowane jest obecnością pierwiastków innych niż czysty węgiel.

- Dobrze. - Patrzył uważnie na jej twarz, wygięte usta, zamknięte oczy. Równie dobrze mogłaby mówić o swoim kochanku. - Mów dalej.

- W warunkach ziemskiego ciężenia diamenty wahają się między trzy przecinek piętnaście a trzy przecinek pięćdziesiąt trzy, ale wartość dla czystego kryształu prawie zawsze osiąga trzy przecinek pięćdziesiąt dwa. Potrzeba nam blasku i ognia - westchnęła, przeciągając się leniwie.

Jego wzrok mimowolnie ześlizgnął się na jej mały, jędrny biust, wyraźnie rysujący się pod koszulą.

- O, tak, mogę się o to założyć - mruknął.

- Diamenty nie oszlifowane mają matowy połysk, ale kiedy się je oszlifuje, lśnią tak pięknie. - Bailey przewróciła się na brzuch, zgięła nogi w powietrzu i skrzyżowała kostki. - Technicznie określa się to jako twardość. Nazwa diament pochodzi od greckiego słowa *adamas*, czyli „stal”. W jego sile jest tyle piękna.

Znowu otworzyła oczy i spojrzała na niego ciężkim, chmurnym wzrokiem. A potem, zanim zdążył się zorientować, już siedziała mu na kolanach.

- Jesteś taki silny. Cade. I taki piękny. Kiedy mnie całowałeś, miałam wrażenie, jakbyś chciał mnie połknąć, a ja nie mogłam nic na to poradzić. - Westchnęła i wygodniej się rozsiadła, a potem wyznała: - Sprawilo mi to wielką przyjemność.

- Coś podobnego. - Cade poczuł, że krew zaczyna mu z wolna odpływać z głowy do łędźwi. Ostrożnie nakrył dłońmi ręce Bailey, które już spoczywały na jego piersi.

- Myślę, że dobrze nam zrobi kawa - powiedział.

- Wiem, że chcesz mnie znowu pocałować.

- Owszem. I to równie mocno, jak pragnę zaczerpnąć powietrza. - Miała takie dojrzałe, chętne usta, były tak blisko... A oczy miała zamglone i pociemniałe.

I była też lekko wstawiona.

- No to zatrzymajmy się przy tym na chwilę - zachichotała.

Próbował ją łagodnie odsunąć, ale ona była nieustępliwa i błyskawicznie otoczyła go w pasie nogami.

- Nie wydaje mi się... Posłuchaj... - Pomyślał, że jak na damę w tarapatach okazała się całkiem zręczna i bystra. W samą porę chwycił ją za ręce, bo już zamierzała zdjąć koszulę. - Mówię ci, przestań.

Wcale nie chciał tego powiedzieć. Przeraził się, że chyba postradał zmysły.

- Jak myślisz, czy będę dobra w łóżku? - zapytała z westchnieniem, po czym oparła mu głowę na ramieniu i dodała:

- Mam nadzieję, że nie jestem oziębła.

- Na to raczej nie ma szans.

Cade poczuł, że ciśnienie mu podskoczyło. To z powodu Bailey, która delikatnie ssała jego ucho. Sięgnęła pod jego koszulę i zaczęła gładzić go po plecach, lekko drapiąc paznokciami.

- Masz taki miły smak - stwierdziła z aprobatą, muskając ustami jego szyję. - Tak mi gorąco. A tobie też?

Cade zaklął, a potem wpił się ustami w jej wargi.

Bailey smakowała jak dojrzały, rozgrzany owoc. Zatracił się w niej, w tych jej gorących, cudownych ustach.

Była tak uległa, a zarazem tak kusicielska. Kiedy odchyliła głowę, poddając szyję pod jego pocałunki, żaden święty w niebie nie byłby w stanie jej się oprzeć. Przesunął wargami po tej gładkiej, białej szyi. Słyszał westchnienia Bailey i czuł, że zaprasza go każdym swoim grzesznym gestem.

Mógł ją teraz wziąć bez trudu. Popchnąłby ją po prostu na dywan i zanurzył się w jej ciało. Już sobie wyobrażał tę aksamitną głębię i rytm, który byłby tylko ich własnym rytmem.

Ale choć wiedział, że byłoby to właściwe i cudowne, wiedział też, że nie mogło się to stać tutaj i teraz.

- Nigdy nie pragnąłem nikogo tak jak ciebie. - Zanurzył dłoń w jej włosy i odwrócił jej głowę tak, by ich oczy się spotkały. - Do diabła, Bailey, skup się na chwilę. Spójrz na mnie.

Przecież nie widziała nic innego. I nie chciała też niczego innego. Ciało miała lekkie jak wiatr, a umysł wyzuty ze wszystkiego, prócz Cade'a.

- Pocałuj mnie jeszcze raz, Cade. Robisz to tak cudownie.

Modląc się o to, by starczyło mu siły woli, nachylił się nad nią i spróbował zapanować nad własnym wzburzonym oddechem.

- Następnym razem, kiedy cię pocałuję, będziesz wiedziała, o co chodzi. - Wstał, pociągając ją za sobą.

- Kręci mi się w głowie. - Chichocząc, położyła mu głowę na ramieniu.

- A komu się nie kręci? - Z heroicznym samozaparciem

podprowadził Bailey do sofy i pomógł jej się położyć. - Zdrzemnij się trochę.

- Dobrze. - Bailey posłusznie zamknęła oczy. - A ty tu zostań. Kiedy jesteś przy mnie, czuję się taka bezpieczna.

- Oczywiście, że tu będę - zapewnił. Przechesał palcami włosy i patrzył, jak Bailey zapada w sen. Przyjdzie jeszcze taki dzień, że oboje będą się z tego śmiali, pomyślał. Może wtedy, kiedy będą mieli wnuki.

Gdy uznał, że Bailey śpi już głęboko, zabrał się znowu do pracy.

Kopała w ziemi. Słońce świeciło jak latarka na szafirowym niebie. Otaczający ją krajobraz był skalisty - w spalonych odcieniach czerwieni, brązu i lawendy. Nad spękaną ziemią bladozielone krzewy wydzielały cierpki, gryzący zapach szałwi. Pracowała z. zapałem, łopatką i małym młoteczkim.

W cieniu spiczastego głazu siedziały dwie kobiety i przyglądały jej się uważnie. Była bardzo z siebie zadowolona, a kiedy spojrzała na nie z uśmiechem, poczuła się niemal szczęśliwa.

Jedna z kobiet miała krótką, rudą czuprynę, połyskującą jak miedź, oraz drobną twarz o ostrych, lisich rysach. A choć oczy były przysłonięte słonecznymi okularami, Bailey doskonale wiedziała, że są ciemnozielone.

Druga miała włosy czarne jak heban, ukryte pod szerokim słomkowym kapeluszem, którego rondo zdobiły drobne, czerwone kwiatki. Gdyby go zdjęła, nie skrepowane niczym włosy opadłyby gęstą falującą kaskadą aż do pasa. Stanowiły doskonałe uzupełnienie przepięknej twarzy o bladokremowej cerze i niewiarygodnie błękitnych oczach.

Patrząc na nie, Bailey poczuła miłość, która brała się z po-

czucia silnej więzi oraz. wspólnoty. Głosy ich brzmiały w jej uszach jak muzyka – jak odległa piosenka, z której udało jej się wychwycić jedynie luźne fragmenty.

Mam ochotę na zimne piwo.

Cokolwiek, byle zimne.

Jak myślisz, kiedy ona wreszcie skończy?

Do końca życia. Na przyszły rok do Paryża. Zdecydowanie. Trzeba ją trzymać z daleka od tych skał.

No i od tych lizusów.

Kategorycznie.

Na myśl o tym, że o niej mówki, uśmiechnęła się łagodnie. Obchodziła je tak bardzo, że wciąż o niej rozmawiały. Pojedzie z nimi do Paryża. Teraz jednak natknęła się na bardzo ciekawą formację i miała nadzieję, że znajdzie coś godnego uwagi, coś, co będzie mogła zabrać ze sobą i przestudiować, a potem przerobić na coś ładnego dla przyjaciółek.

Trzeba mieć do tego cierpliwość i dobre oko. Podzieli się z przyjaciółkami tym, co uda jej się dzisiaj znaleźć.

A potem, nagle, niebieskie kamienie dosłownie posypały jej się na rękę. Trzy absolutnie doskonałe, niebieskie diamenty, o niebywałej wręcz, wielkości i połysku. Patrzyła na nie z przyjemnością raczej niż z zaskoczeniem, obracając je w rękę. I wtedy ciało jej wypełniła dziwna moc i siła.

Burza nadciągała szybko i nieuchronnie, zasłaniając prążące słońce. Czarne cienie zaległy nad ziemią. Teraz czuła już tylko panikę i gwałtowną potrzebę pospiechu. Szybko, szybko. Kamień dla każdej z nich, zanim będzie za późno. Zanim ciemność rozdrze błyskawica.

Było już jednak za późno. Błyskawica boleśnie ją trafiła, kłując jak ostry nóż, a ona biegła, biegła na oślep przed siebie.

Była sama i pełna przerażenia, wokół niej zamykały się ściany, a błyskawice goniły ją, parząc swym oddechem...

Obudziła się, ciężko łapiąc oddech, i natychmiast się pode-
rwała. Co też zrobiła najlepszego! O Boże, jak mogła to zrobić!
Zaczęła się kołysać, z rękoma przyciśniętymi do ust, czekając,
aż minie pierwszy wstrząs.

W pokoju panowała cisza. Nie było grzmotów ani błyskawic, |
nie zagrażała jej burza. W kącie, w smudze światła padającego
od stojącej lampy, Cade drzemał w fotelu. Na kolanach miał
otwartą książkę.

Na jego widok od razu się uspokoiła. Drzemał wśród papie-
rów, rozsypanych wokół wyciągniętych nóg, które skrzyżował
w kostkach. Obok, na stoliku, stał kubek po kawie.

Nawet śpiący sprawiał wrażenie mocnego, solidnego męż-
czyzny. Jednak jej nie zostawił. Stłumiła chęć, by podkrąsć się
bliżej, wspiać mu się na kolana i spokojnie zasnąć w jego obję-
ciach. Cade pociągał ją, wzbudzał w niej takie burzliwe uczucia.
I nie miało to żadnego znaczenia, że znała go niecałą dobę.
W końcu samą siebie znała niewiele dłużej.

Odrzuciła włosy i spojrzała na zegarek. Była trzecia nad
ranem. Bailey przeciągnęła się, a potem podparłszy rękami
głowę, zapatrzyła się na Cade'a. Doskonale pamiętała ten wie-
czór - w jej pamięci nie było żadnych luk i przeskoków. Z zaże-
nowaniem i zdumieniem przypomniła sobie, że się rzuciła na
niego.

Miał rację, że ją powstrzymał, zanim wszystko wymknęło im
się spod kontroli. Wiedziała, że miał rację.

Mimo to żałowała, że nie wziął jej wtedy tutaj, na podłodze,
nim miała czas pomyśleć o tym co dobre, a co złe i o wszystkich
tego konsekwencjach.

Część pustki, którą w sobie odczuwała, wkrótce się zapełni. Wtedy jej potrzeby zostaną zaspokojone.

Opadła z westchnieniem na plecy i zapatrzyła się w sufit: Cade miał rację, że ją powstrzymał, powtórzyła w duchu. Musiała sobie wszystko przemyśleć.

Zamknęła oczy, nie żeby szukać snu, lecz by przywołać pamięć. Kim były te kobiety, które jej się przyśniły? I gdzie były teraz? Nie znalazła jednak odpowiedzi, bo nie minęło wiele czasu i znowu zapadła w sen.

Cade obudził się następnego ranka sztywny jak deska. Kiedy się przeciągnął, usłyszał suchy trzask kości, a gdy przesunął rękami po policzkach, poczuł świeży, kłujący zarost. Oprzytomniał, otworzył oczy i spojrzał na sofę. Była pusta.

Można by pomyśleć, że mu się to wszystko przyśniło, gdyby nie te książki i papiery porozrzucane po podłodze. Choć, prawdę mówiąc, to rzeczywiście było jak sen - piękna, skłopotana kobieta bez przeszłości, która w jednej chwili wkroczyła w jego życie i w jego serce. Teraz, w świetle poranka, zastanawiał się, na ile sam idealizował tę więź, która się między nimi zrodziła. Jednak do głowy przychodziło mu tylko jedno określenie: miłość od pierwszego wejrzenia.

Niestety, Bailey nie potrzebowała jego zachwyków. Dla niej musiał teraz zachować trzeźwy umysł. Na nic się zda rozpamiętywanie, jak oplotła go swoimi kształtnymi nogami i prosiła, żeby się z nią kochał. Teraz powinien uruchomić zdolność logicznego rozumowania.

Żeby zacząć znów funkcjonować, musi się koniecznie napić kawy.

Wstał i masując zeszywniały kark, ruszył w stronę kuchni.

Bailey już tam była, ślicznajak obrazek i świeża jak poranek. Złote włosy zaczesana gładko do tyłu i ściągęła na karku gumką. Miała na sobie kupione przez niego spodnie w granatowo-białe paski oraz białą, płócienną bluzę. Stała przy kuchennym blacie, z kubkiem parującej kawy w ręku, i patrzyła na ogród. Między dwoma klonami zawieszono hamak i kwitły właśnie róże.

- Ale z ciebie ranny ptaszek.

Drgnęła, zaskoczona, a potem odwróciła się z uśmiechem. Na jego widok serce mocniej zabiło jej w piersi.

- Zaparzyłaś kawę. Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko temu.

- Ależ, najdroższa, zawdzięczam ci życie - powiedział z patosem, sięgając po kubek.

- Skoro zaparzyłaś kawę, to znaczy, że wiem, jak się to robi. Pewne rzeczy przychodzą mi całkiem naturalnie. Nie muszę się nawet nad tym zastanawiać. Ta kawa jest chyba trochę za mocna. Widocznie lubiłam mocną kawę.

Cade już pił czarny, aromatyczny płyn, delektując się jego smakiem i zapachem.

- Pyszna - pochwalił.

- To dobrze. Nie wiedziałam też, czy mam cię zbudzić, czy nie. Nie wiem, o której wychodzisz do biura, i ile potrzebujesz czasu na to, żeby zjeść śniadanie.

- Dzisiaj jest sobota. Mamy długi, wakacyjny weekend.

- Długi weekend?

- Czwartego lipca. - Czując, że jego organizm zaczyna już, lepiej funkcjonować pod wpływem zbawiennego działania kofeiny, Cade ponownie napełnił swój kubek. - No wiesz, fajerwerki, sałatka ziemniaczana, parady orkiestr.

- Ach, tak. - W ułamku sekundy zobaczyła małą dziewczynkę na kolanach matki i kolorowe światła eksplodujące na czarnym niebie. - Oczywiście. Rozumiem, że nie idziesz do pracy. Masz jakieś plany na ten weekend?

- Owszem, mam. Chcę, żebyśmy wpadli do biura koło południa. Chyba nie uda nam się zdziałać zbyt wiele, bo wszystko jest zamknięte, ale moglibyśmy przynajmniej zrobić jaki taki porządek.

- Ale ja nie chcę, żebyś dla mnie rezygnował z wolnego weekendu. Z chęcią pójde i posprzątam w biurze, a ty mógłbyś...

- Bailey, przecież to nasza wspólna sprawa.

Odstawiła kubek i splotła palce.

- Dlaczego?

- Uważam, że tak musiało się stać. Według mnie robisz instynktownie to, czego nie potrafisz rozwickać rozumem. - Jego zielone oczy prześliznęły się po twarzy Bailey, a potem spoczęły na jej ustach. - Lubię myśleć, że jest jakiś powód, dla którego wybrałaś akurat mnie. I że będzie to z korzyścią dla nas obojga.

- Dziwię się, że mówisz coś takiego po tym, jak zachowałam się wczoraj wieczorem. Zaczynam się obawiać, że wieczorami zamieniam się w barową ćmę i podrywam obcych mężczyzn.

Cade zaśmiał się. Lepiej się śmiać niż płakać, pomyślał.

- Bailey, byłem świadkiem, jak podziałał na ciebie jeden kieliszek wina, i mocno wątpię w to, że mogłabyś spędzać dużo czasu w barach. W życiu nie widziałem, żeby ktoś upijał się w tym tempie.

- To chyba żaden powód do dumy. - Chłodny, wyniosły ton sprawił, że znowu zachciało mu się śmiać.

- Ale nie ma się też czego wstydzić. A poza tym, nie podrywałaś jakiegoś obcego faceta, tylko mnie. - W oczach Cade'a pojawiły się wesołe iskierki. - Wiemy oboje, że z alkoholem czy bez dawałaś wyraz własnym uczuciom.

- No to czemu... czemu nie skorzystałaś z okazji?

- Bo to byłoby właśnie to, o czym mówisz. Nie mam nic przeciwko okazjom, lubię je mieć, ale nie lubię ich wykorzystywać. Masz ochotę na śniadanie?

Potrząsnęła głową i poczekała, aż Cade przyniesie paczkę płatków i głęboki talerz.

- Cenię sobie twoją powściągliwość.

- Naprawdę? - Uniósł brwi.

- No, może niezupełnie.

- To dobrze. - Odetchnął z ulgą i wyjął mleko z lodówki. Nalał sobie na talerz, a potem dosypał tyle cukru, że Bailey otworzyła oczy ze zdumienia.

- To musi być strasznie niezdrowe - powiedziała.

- Żyję dla ryzyka. - Cade zaczął jeść na stojąco. - Później możemy pojechać do centrum i pospacerować trochę wśród turystów. Może zobaczysz coś, co odblokuje twoją pamięć.

- W porządku. - Bailey zawahała się, a potem sięgnęła po krzesło. - Tak naprawdę, nie wiem nic o twojej pracy ani o twojej klienteli. Ale wydaje mi się, że doskonale sobie radzisz.

- Uwielbiani tajemnice. - Cade wzruszył ramionami, a po tem dosypał sobie płatków. - Ty jesteś moim pierwszym przypadkiem amnezji, jeżeli o to ci chodzi. Zazwyczaj zajmuję się oszustwami ubezpieczeniowymi i sprawami rodzinnymi. To też może być interesujące.

- Od jak dawna jesteś detektywem?

- Od czterech lat. A raczej od pięciu, jeżeli policzyć ten rok,

który przepracowałem u Guardian. To taka duża firma ochroniarska w centrum Waszyngtonu. Eleganckie towarzystwo. Ale ja wolę pracować na własną rękę.

- Czy kiedykolwiek musiałeś do kogoś... strzelać?

- Nie. A szkoda, bo jestem w tym cholernie dobry. - Kątem oka dostrzegłem, że Bailey przygryza wargę, więc szybko potrząsnąłem głową. - Spokojnie, gliny i detektywi często łapią przestępców, nawet nie wyciągając broni. Nabiłem sobie i innym kilka guzów, ale na ogół wszystko polega na wydeptywaniu ścieżek, ciągłych próbach i telefonach. Twój problem to kolejna zagadka. Chodzi o to, żeby znaleźć wszystkie kawałki i ułożyć z nich całość.

Miała nadzieję, że Cade się nie mylił. Że to wszystko rzeczywiście jest takie proste, zwyczajne i logiczne.

- Znowu miałam dziwny sen. Śniły mi się dwie kobiety. Jestem pewna, że je znałam.

Cade przysunął sobie krzesło i usiadł naprzeciw Bailey, a ona opowiedziała mu to, co zapamiętała.

- Wygląda na to, że byłaś na pustyni - odezwał się, kiedy zapadła cisza. - Może w Arizonie albo w Nowym Meksyku.

- Tego nie wiem. Ale wiem, że ani trochę się nie bałam. Byłam szczęśliwa, bardzo szczęśliwa. Aż do chwili, kiedy rozpętała się burza.

- Jesteś pewna, że znalazłaś trzy kamienie?

- Tak, prawie identyczne, choć nie całkiem. Miałam je. Były takie piękne i niezwykłe, ale nie mogłam zachować ich wszystkich. To było bardzo ważne. - Bailey westchnęła. - Nie mam pojęcia, co z tego było prawdziwe, a co tylko symboliczne, jak to często bywa we śnie.

- Jeżeli jeden kamień jest prawdziwy, mogą istnieć jeszcze

dwa. - Cade ujął ją za rękę. - Jeżeli jedna kobieta jest prawdziwa, mogą istnieć jeszcze dwie. Musimy je tylko odnaleźć.

Zjawili się w biurze po dziesiątej. Brudne, zabałaganione pomieszczenie wydało się Bailey jeszcze bardziej szokujące. Mimo to z uwagą słuchała, kiedy próbował jej wytłumaczyć, jak przepisywać jego notatki, jak prowadzić dokumentację i jak obsługiwać telefon oraz intercom.

Kiedy w końcu zostawił ją, a sam zamknął się w swoim gabinecie, Bailey rozejrzała się po pokoju. Zobaczyła przewrócony filodendron, rozsypaną ziemię i potłuczone szkło, lepkie plamy po kawie oraz kurz, który można było zgarniać szuflą.

Uznała, że przepisywanie będzie musiało poczekać, bo nie sposób skoncentrować się w takim bałaganie.

Cade wykonał większość zadań, nie ruszając się z biurka. Zadzwoił do agencji turystycznej i pod pretekstem planowania wakacji zapytał o pustynie, na których dozwolone było kopanie kamieni. Pracownicy biura wyjaśnił, że znalazł sobie nowe hobby.

Z lektury przeczytanej ubiegłej nocy zdążył się dowiedzieć, że są ludzie, którzy pasjonują się wykopywaniem kryształów i drogocennych kamieni. To właśnie musiała robić Bailey w swoim śnie.

Może pochodziła z zachodniej części Stanów i tylko przyjechała do Waszyngtonu. Jakkolwiek było, należało zbadać i ten trop.

Pomyślał, że powinien zadzwonić do gemmologa i poprosić o ekspertyzę. Doszedł jednak do wniosku, że lepiej nie ryzykować, na wypadek gdyby Bailey rzeczywiście weszła w posiadanie tego klejnotu w sposób nielegalny.

Wyjął fotografie diamentu zrobione ubiegłej nocy i rozłożył je na biurku. Zastanowił się, jak dużo mógłby powiedzieć gemmolog na podstawie tych zdjęć.

Może jednak warto spróbować? We wtorek, kiedy wszystko znowu będzie otwarte, spróbuje i tego.

Miał również kilka innych pomysłów.

Wreszcie, była też pewna droga, bardzo ważna, od której należało zacząć. Sięgnął znowu po słuchawkę i wykręcił numer. Detektywa Micka Marshalla złapał w domu.

- A niech cię. Cade, przecież jest sobota. Mam dwudziestu umierających z głodu gości w ogrodzie i hamburgery na grillu.

- Wydajesz przyjęcie, a mnie nie zaprosiłeś? Jestem zdruzgotany.

- Gliny nie mają wstępu na moje przyjęcia.

- No wiesz, zraniłeś głęboko moje uczucia. Czy chociaż zasłużyłeś na tę whisky?

- Odciski palców, które mi przysłałeś, nie figurują w żadnych kartotekach. Nic nie znalazłem.

Cade poczuł ulgę, ale był też lekko zawiedziony.

- W porządku. Masz jakieś nowe informacje o skradzionym kamieniu?

- Może gdybyś mi powiedział, o jaki kamień chodzi...

- Błyszczący. Gdyby było jakieś zgłoszenie, wiedziałbyś o tym.

- Nie było żadnych zgłoszeń. Chyba ty sam uroiłeś sobie jakieś kamienie, Parris. A teraz przepraszam, ale muszę nakarmić zgłodniały tłum.

- Jeszcze wrócimy do tej sprawy. I do mojej whisky.

Odłożył słuchawkę i zamyślił się.

W snach Bailey ciągle powtarzały się błyskawice. Poprze-

dniej nocy, nim zjawiła się w jego biurze, nad miastem przeszło kilka burz. Może wytłumaczenie jest bardzo proste. Jedną z ostatnich rzeczy, jakie Bailey zapamiętała, mogły być grzmoty i błyskawice. Może po prostu chorobliwie bała się burzy.

Wspominała też coś o ciemnościach. Tamtej nocy w centrum parokrotnie wyłączano prąd. Zdażył już to sprawdzić. Może ta ciemność była dosłowna.

Domyślał się, że nie spędziła tamtej nocy na dworze, bo ani słowem nie wspomniała o deszczu, albo że zmokła. Gdzie była wobec tego? W jakimś domu? W biurowcu? Jeżeli to, co ją spotkało, zdarzyło się w noc przed jej przyjściem do biura, musiało to być w Waszyngtonie.

Ale nie było żadnego zgłoszenia o zaginięciu lub kradzieży klejnotu.

W jej snach ciągle powtarzała się trójka. Trzy kamienie. Trzy gwiazdy. Trzy kobiety. Trójkąt.

Prawdziwy czy symboliczny?

Zaczął znowu robić notatki, w dwóch kolumnach. W jednej zapisywał sny Bailey jako dosłowne wspomnienia, w drugiej próbował wyjaśnić ich symboliczne znaczenie.

A im dłużej pracował, tym bardziej był skłonny przypuszczać, że chodzi o kombinację obu tych rzeczy.

Zaciskając zęby, zmusił się do wykonania ostatniego telefonu. Jego siostra Muffy przez swoje małżeństwo weszła w jedną z najstarszych i najbardziej uznanych firm jubilerskich - Westlake Jewelers.

Kiedy Cade wyszedł z gabinetu, w uszach wciąż mu brzęczało, a nerwy miał w strzępach, jak zwykle po rozmowie z siostrą. Na szczęście udało mu się załatwić to, o co mu chodziło.

Na widok wysprzątanego pokoju i Bailey, która energicznie

stukała w komputerową klawiaturę, natychmiast poprawił mu się humor.

- O moja dobra wróżko! - Chwycił ją za rękę i szarmancko ucałował. - Jesteś chyba cudotwórczynią.

- Tu było tak obrzydliwie brudno.

- No, chyba tak.

Bailey zmarszczyła brwi.

- W szufladach natknęłam się na zepsute jedzenie.

- Wierzę ci. Widzę też, że umiesz pracować na komputerze.

Bailey spojrzała na monitor.

- Najwyraźniej tak. To było jak zaparzenie kawy dziś rano.

W ogóle nie musiałam się nad tym zastanawiać.

- Skoro wiesz, jak na nim pracować, pewnie potrafisz go też wyłączyć. Chodź, przejdziemy się po mieście. Kupię ci loda.

- Ale ja dopiero zaczęłam przepisywać.

- Praca nie zajac, nie ucieknie. - Cade chciał wyłączyć komputer, ale trzepnęła go po palcach.

- Jeszcze nie zabezpieczyłam. - Mrucząc pod nosem, zaczęła błyskawicznie stukać w klawisze, a Cade patrzył na nią z najwyższym zachwytem. - Muszę mieć parę godzin, żeby doprowadzić to biuro do porządku.

- Wrócimy tu. Pospacerujemy przez parę godzin, a potem czeka nas ciężka praca.

- Jaka praca? - zapytała, kiedy pociągnął ją za rękę.

- Załatwiłem dostęp do refraktometru. - Niemal siłą wyciągnął ją za drzwi. - Jakie lubisz lody?

ROZDZIAŁ 5

Twój szwagier jest właścicielem Westlake Jewelers? - spytała Bailey.

- Nie osobiście. To rodzinna firma.

- Rodzinna firma. - Bailey wciąż kręciło się w głowie. Dopiero co sprzątała zepsute jedzenie z szuflad w biurze Cade'a, a już stała na stopniach Lincoln Memorial, z wafelkiem truskawkowych lodów w ręku. Samo to było dość męczące. A brawura, z jaką Cade przebijał się przez zatłoczone ulice, ścinając zakręty i przyspieszając na żółtych światłach, przyprawiła ją o zawrót głowy. Czuła się kompletnie zdezorientowana.

- Tak. - Cade zaczął z apetytem pochłaniać podwójną porcję lodów orzechowych. Jej kupił truskawkowe, ponieważ nie potrafiła powiedzieć, jakie lubi, a on uważał, że truskawki to typowo dziewczęcy smak. - Mają filie w całym kraju, ale sklep firmowy tutaj. Muffy poznała Ronalda na imprezie charytatywnej. Rozgrywali turniej tenisa i ona trafiła go piłką w głowę. Bardzo romantyczne.

- Rozumiem. - Albo przynajmniej próbowała zrozumieć. - I to on zgodził się, żebyśmy użyli jego refraktometra?

- Nie, to Muffy się zgodziła. Ronald zawsze robi to, co ona mu każe.

Bailey oblizała wafelek i zaczęła przyglądać się turystom, głównie rodzinom z dziećmi, wspinającym się po schodach Lincoln Memorial.

- Myślałam, że jest na ciebie wściekła.

- Wybiłem jej to z głowy. To znaczy, udało mi się ją przekupić. Jej córka, Camilla, oprócz fortepianu bierze też lekcje baletu. W przyszłym miesiącu będzie miała występ. Wybiore się obejrzeć, jak będzie robiła piruety w kostiumie baletnicy, a to przykry widok, mogę cię zapewnić.

Bailey mimowolnie się zaśmiała.

- Ale ty jesteś wstrętny.

- Widziałem Camillę w stroju baletnicy, a ty nie. Zapewniam cię, że jestem dla niej bardzo łaskawy. - Pomyślał, że lubi patrzeć na Bailey, jak idzie obok niego, uśmiechnięta, liżąc loda.

- Poza tym, jest jeszcze Chip. To drugi mutant mojej siostry. Chip gra na pikolo.

- Teraz to już zmyślasz.

- Sam nie potrafiłbym wymyślić czegoś takiego. Moja wyobraźnia ma pewne granice. Za kilka tygodni zasiądę w pierwszym rządzie na koncercie Chipa i jego orkiestry. - Cade aż się wzdrygnął. - Muszę sobie kupić wtyczki do uszu. Usiądźmy na chwilę.

Usiedli na gładkich, kamiennych stopniach, pod pomnikiem mądrego, zadumanego prezydenta. Zerwał się lekki wiatr, ale od rozgrzanych chodników wciąż bił duszny żar. Bailey widziała falujące powietrze, które przypominało jej fatamorganę na pustyni.

Było coś dziwnie znajomego w tych tłumach ludzi, którzy przechodzili obok, pchając wózki z dziećmi i robiąc zdjęcia, w mieszaninie głosów i akcentów, w zapachu potu, spalin

i kwiatów na klombach wokół pomnika, w widoku sprzedawców, którzy natarczywie zaczęli przechodniów, usiłując im wcisnąć swój towar.

- Musiałam już tu kiedyś być - powiedziała Bailey. - Te wspomnienia są jakieś niesynchronizowane, jakby to był sen, ale nie mój, tylko kogoś innego.

- Z czasem odzyskasz pamięć. - Cade odgarnął jej z twarzy kosmyk. - Przecież już zaczęłaś sobie przypominać jakieś fragmenty. Umiesz zaparzyć kawę, potrafisz obsługiwać komputer, może uda ci się też poprowadzić biuro.

- A może z zawodu jestem sekretarką?

Cade był przekonany, że nie. Sposób, w jaki wyrecytowała mu poprzedniego wieczora wszystkie informacje na temat diamentów, podsunął mu inną myśl. Chciał ją sam rozważyć, zanim podzieli się nią z Bailey.

- Jeżeli jesteś sekretarką, podwoję ci pensję, byłeś tylko zgodziła się u mnie pracować. - Wstał i podał Bailey rękę. - Chodź, musimy jeszcze zrobić zakupy.

- A co chcesz kupić?

- Okulary dla ciebie. Powłóczymy się trochę po sklepach.

To było zupełnie nowe doświadczenie - ruchliwe centrum handlowe, pełne ludzi polujących na specjalne okazje. Od rana trwała wakacyjna wyprzedaż, Mimo upału wywieszono zimowe palta, przecenione o dwadzieścia procent, a moda jesienna wyparła przebrane resztki letnich kolekcji.

Cade zaprowadził Bailey do sklepu, w którym obiecywali zrobić okulary w ciągu godziny, i wypełnił zamówienie, a tymczasem Bailey oglądała gabloty z oprawkami.

Kiedy w rubrykę „nazwisko” wpisał „Bailey Parris” i podał

swój adres, ogarnęło go dziwnie miłe uczucie. Wydało mu się to takie naturalne. A gdy przyszedł optyk, żeby zabrać Bailey na zaplecze, na badanie wzroku - bezpłatne, jeżeli kupowało się też oprawki - pocałował ją w policzek. Po niespełna dwóch godzinach siedziała w jego samochodzie, oglądając nowe okulary w ładnej, cieniutkiej oprawce i badając zawartość pokaźnej torby, pełnej tajemniczych zakupów.

- Kiedy zdążyłeś to wszystko kupić?- Bailey, pełna podniecenia, przesunęła dłonią po eleganckiej, skórzanej torebce.

- To sprawa strategii i planowania. Wiedziałem, czego potrzebujesz, a poza tym nikt mi nie przeszkadzał.

Bailey zajrzała do firmowej torby ze sklepu z bielizną. Błysnął czarny jedwab. Niecierpliwym gestem wyjęła skapą, przybraną koronkami koszulkę.

- Przecież musisz w czymś spać - odpowiedział na jej pytające spojrzenie Cade. - To była wyprzedaż. Rozdawali to niemal za darmo.

Może nie wiedziała, kim jest, ale była pewna, że potrafi odróżnić zwykłą piżamę od seksownego, nocnego negligiu. Odłożyła jedwab do torby. Sięgnęła głębiej i natrafiła na woreczek pełen kolorowych kamieni.

- Ach, jakie śliczne!

- Natknąłem się na sklepik z minerałami, więc kupiłem ci trochę. - Zahamował i odwrócił się, by móc lepiej obserwować Bailey. - Wybrałem takie, które mi się spodobały. Te gładkie to... Jak się nazywają?

- To oszlifowane kamienie - mruknęła, dotykając ich delikatnie koniuszkiem palca. - Krwawnik, cytryn, sodalit, jaspis, - Zarumieniona z radości, rozwijała kolejne bibułki. - Turmalin, różowy turmalin - widzisz te różowe i zielone żyłki? A to

prześliczny odłamek fluorytu. To jeden z moich ulubionych kamieni. Ja... - Bailey urwała i przycisnęła palce do skroni.

Cade sięgnął po pierwszy z brzegu kamyk.

- A co to jest?

- Aleksandryt. To chryzoberyl, z gatunku kamieni przezroczystych. W zależności od światła zmienia barwę. O, widzisz, teraz, w dziennym świetle, jest niebieskozielony, ale o zmroku będzie fioletowy. - Bailey ze zdumieniem stwierdziła, że wszystkie te wiadomości same cisną się jej na usta. - To kamień o wielu zastosowaniach, rzadki i drogi. Został tak nazwany na cześć cara Aleksandra I.

- Dobrze już, dobrze, odpocznij, rozluźnij się. - Cade skrzyknął nagle w szeroką, wysadzaną drzewami ulicę. - Widzę, że doskonale znasz się na kamieniach.

- Chyba tak.

- Widać też, że sprawia ci to przyjemność - dorzucił, patrząc, jak z rozjaśnioną twarzą ogląda kamienie, które dla niej wybrał.

- Powiem ci, że mnie to przeraża. Ten natłok informacji w mojej głowie.

Zajechali przed dom i zatrzymali się na podjeździe. Cade zwrócił się do Bailey:

- Czujesz się na siłach, żeby dziś jeszcze trochę popracować?

Doskonale wiedziała, że może powiedzieć „nie”. Wtedy wprowadziłyby ją do tego domu, w którym czuła się taka bezpieczna. Mogłaby pójść na górę i zamknąć się w swojej przytulnej sypialni, gdzie nie musiałaby stawiać czoła niczemu - prócz własnego tchórzostwa.

- Tak, tak - powiedziała szybko, a potem z głębokim westchnieniem dodała: - Muszę.

- To dobrze. - Cade chwycił ją za rękę i mocno uściskał.
- Zaczekaj tu. Pójdę po diament.

Firma Westlake Jewelers mieściła się w okazałym, starym budynku o granitowych kolumnach i wysokich oknach, przysłoniętych aksamitnymi portierami. Nie było to miejsce, w którym można by się targować. Jedynym znakiem rozpoznawczym była dyskretna i elegancka mosiężna tabliczka przy łukowatych, frontowych drzwiach.

Cade zajechał od tyłu.

- Szykują się do zamknięcia na cały weekend - wyjaśnił.
- O ile znam Muffy, kazała Ronaldowi poczekać. Raczej nie będzie zachwycony moją obecnością, więc... O, tak, to jego wóz. - Cade zaparkował obok szarego mercedesa. - Tylko mi nie popsuj zabawy, dobrze?

- Jakiej zabawy? - Bailey zmarszczyła brwi, bo nagle zaczął wrzucać do jej nowej torebki kupione kamienie. - O co ci chodzi?

- Przecież musiałem coś wymyślić, żeby nas przyjęli i wpuścili do swojej pracowni. - Otworzył przed nią drzwi. - Chodź ze mną i nic nie mów.

Wysiadła z samochodu i poszła za nim do wejścia.

- Może jednak byłoby lepiej, gdybym wiedziała, o co chodzi.

- Bądź spokojna. - Cade nacisnął dzwonek. - Zobaczysz, że dam sobie radę.

Bailey poprawiła na ramieniu torebkę, która zrobiła się bardzo ciężka.

- Jeżeli okłamałeś swoją rodzinę, powinnam chyba... - Urwała, ponieważ właśnie otworzyły się ciężkie, żelazne drzwi.

- Witaj, Cade. - Ronald Westlake skinął głową bez uśmiechu.

Bailey pomyślała, że Cade ma rację. To nie był człowiek szczęśliwy. Średniego wzrostu, szczupły, doskonale prezentował się granatowym garniturze ze stonowanym krawatem w prążki, zawiązanym tak ciasno, że natychmiast zaczęła się zastanawiać, jak może w ogóle oddychać. Twarz miał ogorzałą, a w ciemnych, starannie przystrzyżonych i wymodelowanych włosach dyskretnie połyskiwały srebrne nitki.

Biła z niego przesadna godność i pewność siebie.

- Cześć, Ronald, cieszę się, że cię widzę - rzucił Cade radosnym tonem, nie zwracając uwagi na chłodne powitanie, a potem entuzjastycznie potrząsnął ręką szwagra. - Jak tam golf? Podobno wykosiłeś wszystkich. Tak mi przynajmniej powiedziała Muffy.

Coraz bardziej się rozkręcał. Bailey pomyślała, że wyglądał jak akwizytor, któremu już udało się wsunąć nogę między drzwi. Ronald nadal stał nachmurzony, marszcząc brwi.

- Poznaj Bailey. Muffy musiała ci o niej wspominać. - Gestem posiadacza Cade otoczył Bailey ramieniem i przyciągnął do siebie.

- Owszem, mówiła mi. Witam panią.

- Chowałem ją dotąd tylko dla siebie - dorzucił Cade, zanim Bailey zdążyła otworzyć usta. - Teraz chyba sam rozumiesz dlaczego. - Ujął Bailey za podbródek i mocno pocałował. - Jestem ci bardzo wdzięczny, że pozwalasz nam się pobawić twoim sprzętem. Bailey jest taka podniecona. Nawet podczas wakacji nie rozstaje się ze swoimi kamykami. Chce mi pokazać, na czym polega jej praca. - Potrząsnął torebką, żeby kamienie głośno zagrzechotały.

- Nie zauważyłem, żebyś dawniej pasjonował się klejnotami - sucho zauważył Ronald.

- Bo wtedy nie znałem jeszcze Bailey. - Cade miał gotową odpowiedź. - Teraz zaczęły mnie fascynować. A skoro udało mi się namówić moją panią, żeby została w Stanach, niech otworzy swój własny butik. Prawda, kochanie...?

- Ja...

- W tym przypadku strata Anglii to nasz zysk - ciągnął dalej Cade. - A jeżeli jakaś koronowana głowa zażyczy sobie nowego świecidełka, będzie się musiała pofatygować tutaj. Bo ja nigdzie cię nie puszcze. - Znowu wycisnęła na ustach Bailey namiętny pocałunek, nie zwracając uwagi na Ronalda, który stał, mnąc z irytacją krawat.

- Cade mówił mi, że pani projektuje od jakiegoś czasu biżuterię. To doskonałe referencje, jeżeli dwór brytyjski kupuje pani wyroby.

- Wszystko zostaje w rodzinie - paplał Cade bez zmrżenia oka. - Matka Bailey jest skuzynowana z księstwem Kentu. W trzeciej czy czwartej linii? Jak to było, kochanie? A zresztą, co za różnica?

- Trzeciej. - Bailey ze zdumieniem przyłapała się na tym, że nie tylko odpowiada, ale i robi to z charakterystycznym akcentem, typowym dla najwyższych sfer. - Ale nie utrzymują zbyt bliskich kontaktów. Cade trochę koloryzuje. W rzeczywistości było tak, że szpilka, którą zaprojektowałam, spodobała się Sarze Fergusson. Sam pan wie, jak ona uwielbia zakupy.

- Tak, rzeczywiście. - Wytworny akcent Bailey wywarł natychmiastowy skutek. Życzliwy uśmiech rozjaśnił nieruchomą dotąd twarz Ronalda. - Tak się cieszę, że pani do nas wstąpiła. Żałuję, że nie mogę zostać dłużej. Chętnie bym panią oprowadził.

- Nie chcemy cię zatrzymywać. - Cade protekcyjnie poklepał go po plecach. - Muffy mówiła mi, że wyjdziecie dziś wieczorem przyjęcie.

- Cade zachował się jak egoista, psując państwu weekend. Bardzo bym chciała zwiedzić pańską firmę. Może innym razem.

- Ależ oczywiście. W każdej chwili. Spróbujcie wpaść do nas później, jak skończycie. - Podniecony perspektywą goszczenia u siebie kuzynki rodziny królewskiej, Ronald zaprowadził ich do pracowni. - Mamy najlepsze urządzenia, i najlepsze kamienie. Westlake'owie od pokoleń cieszą się doskonałą opinią.

- Rzeczywiście. - Z bijącym sercem Bailey patrzyła na wyposażenie przestronnego pomieszczenia o szklanych ścianach: specjalne stoły, piłki do cięcia kamieni, maleńkie wagi. - Jesteście przecież najlepsi w branży.

- Szczycimy się tym, że dajemy naszym klientom wyłącznie to, co najlepsze. Często tutaj właśnie tniemy i szlifujemy nasze kamienie, z naszych lapidariów.

Drżącą ręką Bailey dotknęła koła. To szlifierka, pomyślała, szlifierka do obróbki kamieni. Niemal widziała, jak się to robi. W uszach miała ten dźwięk. Czuła wibracje maszyny.

- Lubię szlifować kamienie - odezwała się cichym głosem. - Lubię precyzję, jakiej wymaga to zajęcie.

- Muszę pani wyznać, że podziwiam jedynie doskonałych rzemieślników i artystów. Co za oryginalny pierścionek. Można? - Ronald ujął jej dłoń i zaczął oglądać trzy kamienie, ułożone w łuk i osadzone w wytrawionym złocie. - Jakie to piękne. To pani projekt?

- Tak. - To chyba była najlepsza odpowiedź. - Najbardziej lubię kolorowe kamienie.

- Musi pani któregoś dnia obejrzeć nasz towar. - Ronald zerknął na zegarek i cicho cmoknął. - Robi się późno. Strażnik wypuści was, kiedy skończycie. Nie musicie się spieszyć. Niestety, saia wystawowa jest automatycznie zamykana i nie da się jej otworzyć aż do wtorku. Wezwijcie też strażnika, jak będziecie chcieli wyjść, bo dom ma podwójne zabezpieczenie, od wewnątrz i od zewnątrz. - Posłał Bailey znaczący uśmiech kolegi po fachu. - Sama pani rozumie, jakie to ważne w naszej branży.

- Oczywiście. Dziękuję, że poświęcił nam pan tyle czasu, panie Westlake. - Bailey wyciągnęła do niego rękę.

Ronald ujął jej dłoń.

- Proszę mi mówić Ronald. Cała przyjemność po mojej stronie. Niech Cade nie będzie taki samolubny. Proszę mu na to nie pozwalać. Muffy bardzo by chciała poznać swoją przyszłą bratową. Wpadnijcie później, koniecznie.

Bailey wydała jakiś zdławiony odgłos, ale Cade już ją zagłuszył i niemal siłą wypchnął Ronalda z pracowni.

- Jaką bratową? - zapytała, kiedy odzyskała głos.

- Przecież musiałem im coś powiedzieć. - Cade rozłożył ręce z miną niewiniątka. - Usiłują mnie wyswatać od chwili, kiedy wysechł atrament na moim orzeczeniu rozwodowym. A skoro jesteś spokrewniona z rodziną królewską, stawia cię to na drabinie towarzyskiej o kilka szczebli wyżej od tych kobiet, za które chcieli mnie wydać.

- Biedny Cade. To straszne, kiedy kogoś tak atakują ze wszystkich stron.

- Bardzo się nacierpiałem. - Na widok niebezpiecznych błysków w oczach Bailey, pokazał zęby w rozbrajającym uśmiechu. - Nie masz pojęcia, jak się nacierpiałem. A teraz weź mnie za rękę.

Ale doczekał się tylko trzepnięcia w dłoń.

- Tobie się pewnie wydaje, że to świetny żart.

- Nie, ale akurat ta część to dobry kawał. - Cade uznał, że bezpieczniej będzie trzymać ręce w kieszeni. - Jestem pewny, że moja siostra wisi przy telefonie, odkąd do niej dzwoniłem. A teraz Ronald będzie miał dodatkową porcję plotek na twój temat...

- Okłamałeś swoją rodzinę.

- Tak. Czasami to mnie bawi. A czasami muszę tak robić, żeby jakoś przetrwać. - Nachylił się nad Bailey. - Trafiłaś w dziesiątkę, kochanie. A ten brytyjski akcent! To było wspaniałe.

- Zostałam postawiona wobec faktów dokonanych i wcale nie jestem z tego powodu dumna.

- Byłabyś świetnym detektywem. Śmiem twierdzić, że umiejętność szybkiego i zręcznego zmyślenia jest jednym z podstawowych wymogów w tej pracy.

- A cel uświęca środki, tak? - zapytała.

- Owszem. - Lodowaty ton jej głosu zaczynał go irytować. Przyszło mu do głowy, że w szarych strefach Bailey nie jest jednak tak pobłażliwa jak on. - Oboje mamy w tym swój interes. A Ronald i Muffy odniosą dziś wielki sukces na swoim przyjęciu. Więc w czym problem?

- Od jednego kłamstwa do drugiego prowadzi krótka droga.

- Jednak kłamstwo prowadzi czasami do prawdy. - Cade sięgnął po torebkę Bailey, wyjął z niej aksamitny woreczek i wysypał sobie na dłoń kamienie. - Czego ty chcesz, Bailey? Prawdy czy tylko uczciwości?

- Nie powinno być między nimi żadnej różnicy - powiedziała, biorąc do ręki diament. - No cóż, sam powiedziałeś, że oboje mamy w tym swój interes. Co mam teraz zrobić?

- Upewnij się, czy ten kamień jest prawdziwy.
- Oczywiście, że jest - powiedziała, zniecierpliwiona. -

Wiem to.

Jednak Cade uniósł tylko brew.

- Udowodnij.

Mrucząc z irytacją, odwróciła się i ruszyła w stronę mikroskopu.

- Cudowny - powiedziała po chwili z zachwytem. - Po prostu cudowny.

- A co widzisz?

- Wnętrze kamienia. Nie mam żadnych wątpliwości, że jest autentyczny. A te inkluzje są charakterystyczne.

- Niech no zobaczę. - Cade odsunął ją i sam nachylił się nad mikroskopem. - Przecież to może być byle co.

- Nie, nie. Nie ma pęcherzyków powietrza. A byłyby, gdyby to był stras. No i te inkluzje.

- Nic mi to nie mówi. Jest niebieski, a niebieskie są szafiry.

- Och, na Boga, szafir to korund. Chcesz mi wmówić, że nie potrafię odróżnić węgla od korundu? - Wzięła kamień i poszła z nim do innego instrumentu. - To jest polaryskop, który wykrywa, czy kamień ma pojedynczą, czy podwójną refrakcję. Jak ci już mówiłam, szafiry są dwułomne, a diamenty nie.

Bailey znowu zabrała się do pracy, mrucząc coś cicho pod nosem. Co jakiś czas zakładała okulary, a kiedy je zdejmowała, zahaczała je o wycięcie bluzki. Ruchy miała pewne i zaskakująco precyzyjne.

Cade patrzył na nią, kołysząc się na piętach, z rękami w kieszeniach.

- No proszę, co mówi refraktometr - odezwała się Bailey.
- Każdy dureń widzi, że współczynnik refrakcji tego kamienia

wskazuje na diament. To nie jest szafir. - Odwróciła się, unosząc kamień w górę. - To niebieski diament, o brylantowym szlifie i wadze stu dwu i sześciu dziesiątych karata.

- Brakuje ci tylko białego kitla - powiedział cicho Cade.

- Co?

- Ty pracujesz w tym fachu, Bailey. Z początku myślałem, że to twoje hobby, ale jesteś nazbyt precyzyjna, zbyt dobrze to robisz. I za łatwo się denerwujesz, kiedy ktoś zadaje ci pytania. Wnioski nasuwają się same. Pracujesz przy kamieniach - przy klejnotach. Ta aparatura jest ci znana równie dobrze jak ekspres do kawy. To część twojego życia.

Bailey opuściła rękę i osunęła się na stołek.

- Kiedy organizowałeś to wszystko, zadając sobie tyle kłopotu, nie chodziło ci wcale o sprawdzenie kamienia, prawda?

- Powiedzmy sobie, że była to wtórna korzyść. Teraz musimy się dowiedzieć, czy jesteś gemmologiem, czy jubilerem. Tylko w taki sposób ten kamień mógł trafić w twoje ręce. - Wziął od niej diament i zaczął mu się uważnie przyglądać. - Takich rzeczy nie wystawia się na sprzedaż u Westlake'a czy innego jubilera. To okaz, który można znaleźć jedynie w prywatnych kolekcjach albo w muzeum. Mamy tu w Waszyngtonie wspaniałe muzeum. Nazywa się Smithsonian Institute. Może o nim słyszałaś?

- Chcesz powiedzieć... myślisz, że mogłam ukraść ten diament właśnie tam?

- Nie, chcę tylko powiedzieć, że ktoś w tym muzeum mógł o nim słyszeć. - Niedbałym gestem wsunął do kieszeni bezcenny klejnot. - Niestety, to będzie musiało poczekać do jutra, dziś muzeum jest zamknięte. Ach, nie, niech to diabli, do wtorku. - Cade cicho syknął. - Jutro jest niedziela, czwartego, a poniedziałek też jest wolny.

- No to co będziemy robić do wtorku?
- Zaczniemy od książki telefonicznej. Ciekawe, ilu gemmologów mieszka w okręgu stołecznym.

Dzięki okularom Bailey mogła śmiało zagrzebać się w książkach, nie ryzykując bólu głowy. I rzeczywiście to zrobiła. To było jak lektura dobrze znanych i ukochanych bajek. Poruszała się po znajomym terenie, ale ta powrotna podróż sprawiała jej niebywałą przyjemność.

Czytała o historii szlifów mezopotamskiego, o klejnotach z czasów starożytnej Grecji, o rycie florenckim.

Czytała o słynnych diamentach, natrafiając na znane jej nazwy Vargas, Jonker czy Wielki Mogoł, który zaginął przed wiekami. Czytała o Marii Antoninie i o jej naszyjniku z brylantów, za który, jak twierdzą pewne źródła, królowa zapłaciła głową.

Przeglądała literaturę fachową dotyczącą szlifów, identyfikacji kamieni szlachetnych oraz ich właściwości.

Wszystko to było dla niej absolutnie zrozumiałe i tak gładkie w treści jak oszlifowany krwawnik, który machinalnie obracała w palcach.

Zadawała sobie pytanie, jak to możliwe, że pamiętała kamienie, ale nie ludzi? Mogła bez trudu zidentyfikować i omówić cechy setek kamieni szlachetnych i klejnotów, ale na tym świecie znała tylko jedną, jedyną osobę.

I to nie siebie, bo siebie też nie znała.

Znała tylko Cade'a. Cade'a Parrisa, człowieka o umyśle tak błyskotliwym, że aż czasami męczącym. Cade'a o delikatnych, ciepłych dłoniach i cudownych zielonych oczach, które wpały w nią, jakby była pępkiem świata.

Ale świat Cade'a był w porównaniu z jej światem taki wielki. Zaludniały go rozmaite postacie i wspomnienia, miejsca, w których przebywał, rzeczy, które robił, chwile, które dzielił z innymi. A ona za całą swoją przeszłość miała tylko białą ścianę.

Jakich ludzi znała? Kogo kochała albo nienawidziła? Czy był ktoś, kto ją kochał? Kogo zraniła? A może to ją ktoś zranił? I wreszcie - skąd pochodziła i czym się zajmowała?

Czy była naukowcem, czy może złodziejką? Czyjaś kochanką czy kobietą samotną?

Bo teraz pragnęła zostać kochanką. Kochanką Cade'a. To przerażające, jak bardzo o tym marzyła. Chciała pójść z nim do łóżka i dać się unieść fali namiętności. Chciała, by jej dotykał, dotykał wszędzie. Chciała poczuć na sobie jego dłonie, przeslizgujące się po jej nagim ciele i rozgrzewające je. Pragnęła, by jego ręce uniosły ją do miejsca, gdzie przeszłość nic nie znaczy, a przyszłość także jest bez znaczenia.

Gdzie istnieje tylko terażniejszość, wspaniała, nienasycona terażniejszość.

Ona także pragnęła go dotykać. Pragnęła czuć twarde muskuły jego pleców i ramion, kiedy zagarniał ją pod siebie. Chciała czuć bicie jego serca przy swoim sercu, przyjąć go, a potem...

Nagle książka głośno się zatrzasnęła. Bailey aż podskoczyła.

- Zrób sobie przerwę - powiedział Cade, zabierając jej sprzed nosa książkę. - Jak będziesz tak dużo czytać, oczy wypadną ci z głowy.

- Och, ja... -Dobry Boże, pomyślała, wpatrując się w niego nieprzytomnym wzrokiem. Podniecona własnymi rojeniami, drżała jak liść. Krew żywo pulsowała jej w żyłach. - Ja tylko...

- Jesteś cała czerwona.

Kiedy Cade odwrócił się, żeby wyjąć z lodówki mrożoną

herbatę, Bailey wzniosła oczy do nieba. Czerwona? Ona była czerwona? Czy ten człowiek nie widzi, co się z nią dzieje?

Nie rozumie, na co ona czeka?

Cade nalał jej szklanekę herbaty i wrzucił kilka kostek lodu, a sam sięgnął po piwo.

- Na dzisiaj już dosyć. Pomyślałem, że moglibyśmy zjeść steki z grilla. Przy okazji sprawdzimy, czy potrafisz zrobić sałatkę? Hej... - Wyjął z rąk Bailey szklanekę. - Ręce ci się trzęsą. Jesteś przemęczona.

- Nie, ja... - Jak mogła mu powiedzieć, że właśnie wyobrażała sobie, że gryzie go w szyję. Zdjęła ostrożnie okulary, złożyła je i odłożyła na stół. - Może trochę tak. Tyle rzeczy chodzi mi po głowie.

- Mam pierwszorzędne lekarstwo na przepracowanie. - Cade wziął ją za rękę i wyciągnął do ogrodu. Rozgrzane powietrze przesiąknięte było aromatem róż. - Pół godziny leniuchowania.

Wziął jej szklanekę i postawił obok swojego piwa na żelaznym stolyczku, pod hamakiem.

- Chodź, popatrzymy przez chwilę na niebo.

Czy chciał, żeby się obok niego położyła? Czy ma wejść razem z nim do tego hamaka, gdy całe jej ciało domaga się spełnienia?

- Chyba nie powinnam...

- Ależ powinnaś.

Żeby uciąć dyskusję, Cade jednym silnym ruchem podszedł ją do hamaka, a potem sam do niego wskoczył. Hamak zakołysał się gwałtownie. Bailey krzyknęła, a Cade wybuchnął śmiechem.

- Rozluźnij się. To jedno z moich ulubionych miejsc. Odkąd

sięgnę pamięcią, zawsze wisiął tu hamak. Mój wuj często ucinął sobie w nim drzemkę, kiedy ciotka kazała mu pracować w ogrodzie. - Wsunął jej ramię pod głowę i ujął za rękę.

- Jak tu miło i przytulnie. Między liśćmi prześwituje niebo.

W cieniu klonu było chłodno. Cade położył sobie na piersi ich splecione dłonie. Bailey czuła mocne, regularne bicie jego serca.

- Jako chłopak często się tu zakradałem. W tym hamaku snułem najśmielsze marzenia i układałem plany. Zawsze był tu laki spokój i z perspektywy tego hamaka wszystko stawało się jakby nieważne.

- Myślę, że to takie uczucie, jakby człowiek leżał w kołysce.

- Bailey za wszelką cenę chciała się odprężyć. Nerwy miała napięte do ostateczności. Pragnęła już tylko jednego: stopić się z Cade'em w jedno.

- W hamaku wszystkie problemy wydają się łatwiejsze. - Cade bawił się jej smukłymi palcami, oczarowany pięknem pierścionków. Kiedy jakby od niechcienia pocałował wewnątrz jej dłoni, serce podskoczyło jej do gardła.

- Ufasz mi, Bailey?

Była już pewna, że bez względu na swoją przeszłość nigdy nikomu bardziej nie ufała.

- Tak.

- To zagrajmy w pewną grę.

Rozbudzona wyobraźnia natychmiast podsunęła Bailey cały ciąg erotycznych skojarzeń.

- W jaką grę...? - wyjąkała.

- W skojarzenia słowne. Wyczyść sobie umysł ze zbędnego balastu. Ja będę mówił różne słowa, a ty za każdym razem odpowiesz to, co jako pierwsze przyszło ci do głowy.

- Skojarzenia słowne. - Bailey sama już nie wiedziała, czy ma się śmiać, czy płakać. Zamknęła oczy. - Myślisz, że odblokuję w ten sposób moją pamięć?

- Spróbować nigdy nie zaszkodzi. Możemy to zresztą potraktować jako leniwą grę w upalne popołudnie. Jesteś gotowa?

Skineła głową. Miała wrażenie, że łagodne kołysanie hamaka zaczynają usypiać.

- Gotowa. Możemy zaczynać.
- Miasto.
- Tłum.
- Pustynia.
- Słońce.
- Praca.
- Satysfakcja.
- Ogień.
- Niebieski.

Kiedy otworzyła oczy i zaczęła się niespokojnie kręcić, Cade ciałniej objął ją ramieniem.

- Nie przerywaj, żeby analizować. Niech to będzie absolutnie spontaniczne. Gotowa? Miłość.

- Przyjaciele. - Odetchnęła głęboko i poczuła, że ogarnia ją spokój. - Przyjaciele - powtórzyła.

- Rodzina.
- Matka. - Bailey cicho jęknęła, a Cade pogładził ją po policzku.

- Szczęście.
- Dzieciństwo.
- Diament.
- Władza.
- Błyskawica.

- Morderstwo. - Zakrztusiła się, a potem ukryła twarz na ramieniu Cade'a. - Nie mogę. Nie mogę na to patrzeć.

- Dobrze już, w porządku. Wystarczy. - Cade pogłaskał ją po włosach i choć jego dłoń była chłodna, oczy, wpatrzone w sklepienie z liści, gorzały ogniem.

Ten, kto ją tak przeraził i sprawił, że drżała z trwogi, będzie musiał za to zapłacić. Już on tego dopilnuje.

W chwili gdy Cade trzymał Bailey w ramionach w cieniu potężnego klonu, inny mężczyzna stał na kamiennym tarasie i patrzył na swoją rozległą posiadłość - łagodne wzgórza, zadbane ogrody i tryskające fontanny.

Był wściekły.

Ta kobieta zniknęła z powierzchni ziemi z jego własnością. A jego siły były tak rozproszone, jak te trzy gwiazdy.

Wszystko miało być takie proste. Już prawie je miał. Tymczasem ten roztrzęsiony dureń spanikował. A może po prostu odezwała się w nim chciwość. Jakkolwiek było, pozwolił tej kobiecie uciec wraz z diamentami.

Straciłem zbyt wiele czasu, pomyślał, stukając pięknie wymanicurowaną ręką w kamienną balustradę. Jedna kobieta zniknęła, druga uciekła, a trzecia nie jest w stanie odpowiedzieć na jego pytania.

Trzeba coś z tym zrobić, i to jak najszybciej, ponieważ wszystkie jego plany wezmą w łeb. A winić o to można tylko jednego człowieka. Mężczyzna cofnął się do swojego gabinetu i sięgnął po słuchawkę.

- Sprowadźcie mi go - powiedział i odłożył słuchawkę z niedbałą arogancją człowieka, który przywykł do wydawania rozkazów i posłuchu.

ROZDZIAŁ 6

Sobotni wieczór. Bailey wyobrażała sobie, że spędzi ten czas przy kuchennym stole, z filiżanką mocnej kawy, obłożona książkami. Tymczasem zaraz po kolacji Cade postanowił zabrać ją na tańce. Porwał ją z domu, zanim zdążyła sprzątnąć ze stołu. Ledwo miała czas przygłodzić włosy.

Powiedział, że powinna się rozerwać, że dobrze jej zrobi, jak posłucha muzyki i zafunduje sobie jakieś miłe przeżycie.

I rzeczywiście, to było niezłe przeżycie.

Nigdy nie widziała czegoś podobnego. Była tego absolutnie pewna. Hałaśliwy, zatłoczony klub w samym sercu Georgetown wibrował życiem i trząśł się w posadach od gwaru podniesionych głosów i tupotu roztańczonych stóp. Muzyka była tak głośna, że Bailey nie słyszała własnych myśli, a maleńki stolik, który Cade znalazł dla nich w samym środku tego zamętu, nosił jeszcze lepkie ślady po rozlanym piwie poprzednich gości.

Bailey była oszołomiona.

Miała wrażenie, że nikt tam nikogo nie zna. Albo też wszyscy znali się tak dobrze, że nie wstydzili się uprawiać miłości na stojąco, na oczach tłumu. Przecież trudno inaczej określić to, co

wyprowały w rytm muzyki na parkiecie te spazmatycznie przy-
ciśnięte do siebie ciała.

Cade kupił jej wodę sodową i sam także poprzestał na tym nieszkodliwym napoju. Usiadł przy stoliku i patrzył na otaczający go spektakl. Co więcej, uważnie obserwował reakcję Bailey. Wkoło migotały kolorowe światła, podniesione głosy odbijały się echem od ścian, i jakby nikogo świat w ogóle nie obchodził.

- Czy to jest właśnie to, co robisz w każdy weekend? - Musiała wykrzyknąć mu to pytanie do ucha i nadal nie była pewna, czy usłyszał ją w tym huku i łomocie gitar i perkusji.

- Od czasu do czasu. - Prawie nigdy, pomyślał, śledząc przyływ i odpływ samotników przy barze. A już na pewno nieczęsto, odkąd ukończył studia. Pomyślał, żeby ją tu przyprowadzić, to był czysty impuls, jakieś natchnienie. W takich warunkach nie będzie miała okazji zamartwiać się i denerwować.

- Gra tu lokalny zespół - zwrócił się do Bailey.

- Nie wierzę - powiedziała z powątpiewaniem.

- Ależ tak. Ta orkiestra to naprawdę lokalny zespół. - Cade chrząknął, przysunął bliżej swoje krzesło i objął ją ramieniem. - *Dirty rock*. Nie żadna muzyka country ani *soft rock*, ani pop. Kiedy grają, dostajesz niezłego kopa. Jak ci się to podoba?

Próbowała się skupić, wczuć w ten pulsujący, wciąż powtarzający się rytm. Ponad zalewającymi ją falami muzyki zespół wykrzykiwał coś o sprośnych sprawkach i wykonywał dwuznaczne gesty.

- Sama nie wiem, ale z pewnością nie jest to Dziewiąta Symfonia.

Cade głośno się roześmiał, a potem chwycił ją za rękę.

- Chodź, zatańcz ze mną.

- Nie wiem, czy potrafię...

- Do diabła, Bailey, nie ma tu na tyle miejsca, żeby robić coś innego niż złamać reguły przyzwoitości. A do tego nie trzeba żadnej praktyki.

- Tak, tylko że... - Ale Cade już ciągnął ją w stronę parkietu, przepychając się między stolikami i zderzając z ludźmi. Po upływie pierwszych sekund straciła rachubę, na ile stóp musieli nadeprnąć.

- Cade, wołałabym popatrzeć.

- Jesteś tu po to, żeby doświadczyć życia. - Porwał ją w objęcia i chwycił za biodra gestem tak władczy i intymny, że zabrakło jej tchu. - Reszta jest bardzo łatwa.

- Nie sądzę, żebym kiedykolwiek coś takiego robiła. - Reflektory, krążące i migoczące pod sufitem, przyprowadziły ją o zawrót głowy. - Jestem pewna, że bym to zapamiętała.

Pomyślał, że pewnie ma rację. Z jej zachowania była jakaś dziecięca niewinność, a rumieniec raz po raz wypływał jej na policzki. Przesunął dłonie po jej pośladkach i objął w talii.

- Przecież to tylko taniec, Bailey.

- Nie, na pewno nie. Czuję to, bo musiałam przecież dawniej tańczyć.

- Obejmij mnie. - Cade chwycił ją za ręce i zarzucił je sobie na szyję. - I pocałuj mnie.

- Co?

- Nic już, nic.

Jego twarz była tak blisko. Bailey czuła, że muzyka wypełnia ją całą. Żar, bijący od jego ciała i od innych ciał, tłoczących się wkoło, był jak ogień z paleniska. Nie mogła oddychać, nie mogła myśleć, a kiedy jego usta spoczęły na jej wargach, poczuła, że nie dba o nic.

W głowie huczało jej od rytmicznej muzyki. Upał był niemiłosierny, a powietrze gęste od dymu i zapachu rozgrzanych ciał - przesycone potem, perfumami i oparami alkoholu. Wszystko to nagle jakby się rozplynęło.

Zakołysała się rytmicznie, wtulona w Cade'a, a jej usta rozchyliły się na jego przyjęcie.

- Gdybyśmy zostali w domu, pewnie poszlibyśmy do łóżka - szepnął, a potem przycisnął wargi do jej ucha. Poczłł delikatną woń perfum, które dla niej wybrał. Nagle zapach wydał mu się dziwnie intymny. - Chcę iść z tobą do łóżka, Bailey. Chcę być w tobie.

Zamknęła oczy i mocniej do niego przyłgnęła. Była pewna, że nikt nigdy do niej tak nie mówił. Nie potrafiłaby zapomnieć tej frapującej kombinacji podniecenia i lęku. Zanurzyła palce w rozwichrzzone włosy, które opadały mu na kark.

- Przedtem, kiedy siedziałam w kuchni, ja...

- Wiem. - Obwiodł językiem jej ucho, wzniciając żar w najodleglejszych zakątkach jej ciała. - Mogłem cię wtedy mieć. Myślisz, że się nie zorientowałem? - Powiodł ustami po jej szyi. - Dlatego przyszliśmy tutaj, zamiast zostać w domu. Nie jesteś jeszcze gotowa na to, czego od ciebie chcę.

- Przecież to bez sensu - mruknęła cicho, ale Cade i tak ją usłyszał.

- A kogo obchodzi jakiś sens? Teraz to teraz. - Ujął jej podbródek i zwrócił ku sobie jej twarz. - Teraz - powtórzył i pocałował Bailey tak mocno, że krew uderzyła jej do głowy - może być gorąco. - Poczłła, że miękną jej kolana. - Albo słodko. - Delikatnie obwiodł językiem jej usta. - Albo zabawnie. - Obrócił ją wokół osi i znowu chwycił w ramiona z taką zręcznością, że zamruęła ze zdumienia. - Jak sobie życzysz.

Dłonie Bailey spoczywały na ramionach Cade'a, a jej twarz była blisko jego twarzy. Wokół nich migotały światła i pulsowała muzyka.

- Myślę, że... bezpieczniej będzie poprzestać na zabawie. Przynajmniej na razie.

- No to się bawmy. - Znowu szybko nią zakręcił, raz za razem, a kiedy się roześmiała, w jego oczach pojawił się błysk rozbawienia.

Kiedy ich ciała znowu się spotkały, wzięła głęboki oddech.

Musiałeś chodzić na lekcje tańca.

- Kochanie, prowadziłem kotyliona więcej razy, niż chciałbym się do tego przyznać, ale pewne rzeczy zostają w człowieku na zawsze.

Unosili się jakby za pomocą czarów pośród zbitego tłumu tańczących.

- Kotyliion? Białe rękawiczki i krótkie krawaty?

- Coś w tym rodzaju. - Cade przesunął dłonie wzdłuż jej boków, muskając przy okazji piersi. -I nic w tym rodzaju.

Pomyliła krok, cofnęła się i zderzyła z czymś, co wzięła za stalową belkę. Kiedy spojrzała za siebie, zobaczyła masę lśniących muskułów, połyskującą łysą czaszkę, srebrny kolczyk w nosie i promienny uśmiech.

- Bardzo przepraszam - zaczęła, ale nie zdążyła powiedzieć nic więcej, bo muskularne ramię chwyciło ją i zakręciło w prawo.

Nagle znalazła się w samym środku rozbawionej grupki tancerzy, którzy z zapałem rozpychali się łokciami i kręcili biodrami. Uśmiechali się do niej tak zachęcająco, że znowu spróbowała złapać rytm. Po chwili wylądowała z chichotem w ramionach Cade'a.

- Świetna zabawa. - Wciągająca, wyzwalająca, niemal po-

gańska, dodała w duchu. - Ja tańczę, Cade! - Twarz jej promieniała, a głos nabrzmiał radością i śmiechem. Cade także się uśmiechnął.

- Na to mi wygląda.

Zaczęła się wachlować dłonią, chcąc odpędzić męczący upał.

- To mi się podoba.

- Wobec tego musimy to powtórzyć. - Muzyka przycichła, a ostry rytm złagodniał. - Teraz będzie wolny kawałek. Musisz się tylko do mnie mocno przykleić.

- Chyba już to zrobiłam.

- Jeszcze bliżej. - Cade wsunął nogę między jej uda, a jego ręce spoczęły nisko na jej biodrach.

- O Boże. - Bailey poczuła dziwny skurcz żołądka. - Teraz chyba łamiemy kolejną regułę.

- I to mi się podoba.

Muzyka była uwodzicielska, podniecająca i smutna. Wraz z nią zmienił się też nastrój Bailey. Miejsce rozchichotanej radości zastąpiła tęsknota.

- Cade, tak chyba nie wypada.

Ale Cade uniósł ją na palce, tak że ich twarze znalazły się na jednym poziomie.

- Poszalejmy sobie, chociaż przez ten jeden taniec.

- Ale to nie potrwa długo - szepnęła, z policzkiem przy jego policzku.

- Cśś. Może trwać tak długo, jak tylko zechcemy.

Na zawsze, pomyślała, tuląc się do niego.

- Ja nie jestem pustą tablicą. To tylko ktoś na chwilę wymazał wszystko z mojej pamięci. A ja boję się, że to, co na niej znajdziemy, może się żadnemu z nas nie spodobać.

Cade czuł jej zapach, jej smak, dotyk jej ciała.

- Wiem wszystko, co chcę wiedzieć.

Potrząsnęła głową.

- Ale ja nie wiem. - Odsunęła się i spojrzała mu w oczy. - Ja nie wiem - powtórzyła. A potem nagle wyrwała się z jego uścisku i zaczęła przepychać przez tłum. Nie próbował jej zatrzymać.

Pospieszyła do toalety. Potrzebowała samotności, chciała odzyskać oddech. Musiała sobie raz jeszcze uprzytomnić, że bez względu na to, jak bardzo by sobie tego życzyła, jej życie nie zaczęło się z chwilą, gdy po raz pierwszy weszła do biura Cade'a Parrisa.

Toaleta była równie zatłoczona jak parkiet. Rozchichotane dziewczęta kłębiły się przed lustrami, rozmawiając o chłopakach i obgadując inne dziewczyny. W powietrzu unosił się gęsty zaduch lakieru do włosów, tanich perfum i potu.

Bailey dopchała się do jednej z wąskich umywalk, odkręciła kran i zimną wodą spryskała rozpaloną twarz. Czy to naprawdę ona tańczyła w jakimś podrzędnym nocnym klubie, śmiejąc się na cały głos? Czy to ona pozwoliła obcemu mężczyźnie, by dotykał jej w sposób tak intymny, i to na oczach wszystkich, nie czując przy tym cienia wstydu?

Kiedy spojrzała na swoje odbicie w poplamionym lustrze, zrozumiała, że dawniej nie robiła żadnej z tych rzeczy.

Była to dla niej nowość. Tak jak nowością był Cade Parris. I nie umiała powiedzieć, jak obie te rzeczy wpasują się w jej poprzednie życie.

Wszystko stało się tak szybko, pomyślała, szukając szczotki w torebce. Torebce, którą jej kupił, szczotki, którą jej kupił. Ogarnęła ją fala sprzecznych uczuć. Wszystko, co teraz miała, zawdzięcza wyłącznie Cade'owi.

Co do niego czuła? Wdzięczność? Pożądanie?

Pewnie niejedna spośród tłoczących się wokół niej kobiet przeżywa podobne dylematy. Niejedna zadaje sobie identyczne pytania, dotyczące mężczyzny, z którym dopiero co tańczyła. Mężczyzny, którego pragnęła albo który jej pragnął.

Za chwilę wszystkie wyjdą na salę i znowu będą tańczyć. Albo pójdą do domu. Będą się kochać tej nocy, jeżeli tego zechcą. A nazajutrz ich życie pobiegnie utartym torem.

Czuła, że musi postawić sobie te pytania. Skąd jednak miała znać odpowiedź, skoro sama siebie nie znała? I jak mogła przyjąć Cade'a albo mu się oddać, póki się tego wszystkiego nie dowie?

Doprowadź się do porządku, kobieto, powiedziała sama do siebie, starannie rozczesując splątane włosy. Pora znowu stać się rozsądną, chłodną, praktyczną. Zadowolona, że jej włosy odzyskały dawny, przyzwoity wygląd, wrzuciła szczotkę do torebki.

Drzwi otworzyły się i do środka wkroczyła jakaś rudowłosa dziewczyna o nieskończenie długich nogach.

- Ten cholerny sukinsyn złapał mnie za tyłek - obwieściła na cały głos, po czym zniknęła w jednej z kabin, zatraskując z hukiem drzwi.

Bailey zrobiło się ciemno przed oczami. Żeby nie upaść, kurczowo chwyciła się krawędzi umywalki. Kolana się pod nią ugięły. Zaczęła spazmatycznie chwytać powietrze.

- Hej, hej, co ci jest? Źle się czujesz?

Ktoś poklepał ją po plecach, a wszystkie głosy wydały jej się jak brzęczenie pszczoł.

- Zakręciło mi się w głowie. Już dobrze. - Nabrała zimnej wody w złożone dłonie i znowu spryskała sobie twarz.

Kiedy doszła do wniosku, że potrafi już utrzymać się na

nogach, urwała kawałek papierowego ręcznika i otarła mokre policzki. Zataczając się jak pijana, wyszła z toalety i zanurzyła w rozwrzeszczaną jaskinię, jaką był ten klub.

Nikt nie zwracał na nią najmniejszej uwagi. Ludzie potrącali ją i popychali. Ktoś zaproponował jej drinka. Ktoś inny skęta. Przebijała się przez zwarty tłum, nie widząc nic prócz oślepiających świateł i ciał pozbawionych twarzy. Kiedy Cade ją odnalazł, była biała jak kreda. Nie zadając pytań, ku hałaśliwej aprobacie sąsiadów, wziął ją po prostu na ręce i wyniósł na dwór.

- Przepraszam. Zrobiło mi się słabo.

- To nie był dobry pomysł. - Cade przeklinał w duszy samego siebie za to, że zabrał ją do tej speluny. - Nie powinienem cię tu przyprowadzać.

- Nie, to był cudowny pomysł. Cieszę się, że mnie tu zabrałeś. Tylko że tam było tak strasznie duszno. - Dopiero teraz uświadomiła sobie, że Cade wciąż trzymają na rękach. Ogarnęła ją fala wdzięczności, a zarazem wstydu. - Mogę już stać o własnych siłach, Cade. Wszystko w porządku.

- Zabieram cię do domu.

- Nie. Jest tu gdzieś jakieś miejsce, gdzie moglibyśmy usiąść i zaczerpnąć trochę powietrza?

- Oczywiście. - Postawił ją, ale nie przestawał patrzeć na nią z troską w oczach. - Niedaleko stąd jest mała kafejka. Siądziemy sobie na zewnątrz i napijemy się kawy.

- Dobrze.

Chwyliła go mocno za rękę i pozwoliła się prowadzić jak dziecko. Chodnik pod jej stopami trząsł się i wibrował od dobiegających z klubu basowych tonów. Kafejka, znajdująca się parę domów dalej, była równie zatłoczona jak klub, a kelnerzy uwiłali się, roznosząc kawy i mrożone napoje.

- Sam się sobie dziwię, że tak mnie wzięło - powiedział Cade, sadzając Bailey przy stoliku.

- Szczerze mówiąc, bardzo mi to pochlebia.

Cade usiadł naprzeciw niej.

- Pochlebia ci to?

- Tak. Może nic nie pamiętam, ale na pewno nie jestem głupia. - Bailey z rozkoszą zaczerpnęła świeżego powietrza. - Jesteś niebywale przystojnym mężczyzną, Cade. A kiedy się tu rozglądam... - Bailey omiotła wzrokiem sąsiednie stoliki, stłoczone pod zieloną markizą - widzę same piękne kobiety. Pełno ich w tym mieście - tam, gdzie spacerowaliśmy wczoraj, w tym klubie, a także tutaj, w tej kawiarni. Ale ty wybrałeś mnie, więc mi to bardzo pochlebia.

- Nie o to mi w gruncie rzeczy chodziło ani się tego nie spodziewałem. Tak czy inaczej myślę, że na razie muszę na tym poprzestać. - Cade podniósł wzrok na kelnera, który stanął właśnie nad ich stolikiem. - Cappucino? - zwrócił się do Bailey.

- O, tak, chętnie.

- Zwykle czy bez kofeiny? - zapytał kelner.

- Prawdziwą kawę - odpowiedział Cade i nachylił się ku Bailey. - Wracają ci kolory.

- Bo już mi lepiej. Tam, w toalecie, była pewna kobieta.

- Zaczepiała cię? - zaniepokoił się Cade.

- Nie, nie. - Wzruszona jego reakcją, położyła mu dłoń na rękę. - Zrobiło mi się trochę słabo i wtedy właśnie ona tam weszła. Czy raczej wtargnęła. - Bailey lekko się uśmiechnęła. - A mnie przez ułamek sekundy wydawało się, że ją znam.

Cade chwycił ją mocno za rękę.

- Rozpoznałaś ją?

- Nie, nie... To nie było tak. Szczerze mówiąc, wydawało mi się, że... To był po prostu ten sam typ. Arogancka, pewna siebie, zwracająca uwagę. Wysoka, rudowłosa kobieta w opiętych dżinsach, z blizną na ramieniu. - Bailey zamknęła na chwilę oczy, głęboko odetchnęła, a potem znowu je otworzyła. - Już wiem, ona mi przypominała MJ.

- Tak brzmiał podpis na karteczce, którą miałaś w kieszeni, kiedy przyszedłaś do mojego biura.

- To tkwi gdzieś tutaj - mruknęła Bailey, masując sobie skronie. - W mojej głowie. To coś bardzo ważnego. Czuję, że to ważna sprawa, ale nie potrafię się na tym skoncentrować. Ale jedno wiem na pewno: istnieje jakaś rudowłosa kobieta i jest częścią mojego życia. I mam też złe przeczucia.

- Myślisz, że ona może mieć jakieś kłopoty?

- Nie wiem. Ilekroć usiłuję ją sobie przypomnieć - i jestem już tego bliska - wydaje mi się, że wszystko dobrze się układa. Ale potem zaczynam się bać, bo czuję, że coś jest nie tak. To musi być moja wina.

Cade potrząsnął głową. Obwinianie się w niczym im nie pomoże. Nie tędy droga.

- Opisz mi dokładnie, co widzisz, kiedy zaczynasz ją sobie przypominać. Spróbuj się rozluźnić i opowiedz mi.

- Krótkie, ciemnorude włosy, ostre rysy. Zielone oczy. Ale może to twoje oczy. Z drugiej strony wydaje mi się, że ona ma jednak zielone oczy, i to ciemniejsze niż ty. Czuję, że mogłabym narysować jej portret. Gdybym tylko umiała rysować.

- A może umiesz. - Cade wyjął z kieszeni pióro i notes, i podał je Bailey. - Spróbuj.

Przygryzając wargę, zaczęła rysować ostrą, trójkątną twarz. Kiedy podano kawę, odłożyła z westchnieniem pióro.

- Jednego możemy być już całkiem pewni: nie jestem i nigdy nie byłam artystką.

- W takim razie będziemy musieli postarać się o jakąś artystkę. - Cade sięgnął po notes i widząc nieudolny szkic, szczerze się roześmiał. - Nawet ja zrobiłbym to lepiej, a przecież z trudem zaliczyłem jedyny semestr z rysunku. Potrafiłabyś opisać mi jej rysy?

- Mogę spróbować, chociaż nie widzę jej zbyt wyraźnie. To takie uczucie, jakbym chciała nastawić ostrość kamery, która nie jest całkiem sprawna.

- Policijni rysownicy potrafią bez trudu wykonać portret pamięciowy.

Ręka, unosząca filiżankę z kawą, zadrżała. Kilka kropel kapnęło na blat stołu.

- Policja - przeraziła się Bailey. - Czy musimy iść na policję?

- Nieoficjalnie. Nie martw się. Zaufaj mi.

- Ależ ufam ci, ufam. - Mimo to słowo „policja” dźwięczało jej w uszach jak dzwon.

- Przynajmniej mamy już coś, czego możemy się trzymać. Wiemy, że MJ to kobieta, wysoka i rudowłosa, z blizną na ramieniu. Mary Jane, Martha June, Melissa Jo? Byłaś z nią na pustyni.

- Widziałam ją we śnie. - Słońce i niebo, i skały. Zadowolenie. A potem strach. - We śnie byliśmy we trójkę, ale wszystko jest takie zamazane.

- Zobaczymy, czy uda nam się ułożyć jakiś rysopis. Będziemy wtedy mieli punkt wyjścia.

Bailey spojrzała na parującą kawę i pomyślała, że tak właśnie wygląda jej życie. Jest jak obłok, za którym kryje się istota rzeczy.

- W twoich ustach brzmi to tak prosto.

- To tylko kolejny krok, Bailey. A my, krok po kroku, będziemy próbowali zbliżyć się do celu.

Skinęła głową i nie odrywając wzroku od filiżanki, zapytała:

- Dlaczego ożeniłeś się z kobietą, której nie kochałeś?

Zaskoczony, odchylił się w krzesło.

- Co za nagła zmiana tematu.

- Przepraszam. Sama nie wiem, czemu cię o to pytam. Przecież to nie moja sprawa.

- Nie jestem tego taki pewien. Zważywszy na okoliczności, masz pełne, prawo o to zapytać. - Niecierpliwie zabębnił palcami w stół. - Można by powiedzieć, że uległem naciskom rodziny, ale to byłby wykręt. Nikt nie przykładał mi lufy do głowy i byłem już pełnoletni.

Nagle zdał sobie sprawę, że niełatwo mu się do tego przyznać. Żeby jednak być uczciwym w stosunku do Bailey, musiał stawić czoło prawdzie.

- Można powiedzieć, że bardzo się lubiliśmy. Przynajmniej przed ślubem. Kilka miesięcy małżeństwa położyło kres tej przyjaźni.

- Tak mi przykro, Cade. - Widziała jego zażenowanie i domyśliła się, że nie są to radosne wspomnienia. I choć zazdrościła mu nawet tych niemiłych wspomnień, poczuła wyrzuty sumienia, że to ona je przywołała. - Nie musisz do tego wracać.

- Było nam dobrze w łóżku - ciągnął Cade, nie zwracając uwagi na jej protesty i patrząc jej przenikliwie w oczy. - Aż do samego końca seks był w porządku. Problem polegał na tym, że pod sam koniec, który nastąpił w niespełna dwa lata po ślubie, był już tylko sam seks i ani odrobiny serca. Staliśmy się sobie kompletnie obojętni. Para znudzonych ludzi, zmuszonych do

przebywania pod jednym dachem. Wszystko się do tego sprowadza. Nie było innego mężczyzny ani innej kobiety. Żadnych wściekłych awantur o pieniądze, pracę, brudne talerze, dzieci. Nie czuliśmy do siebie nic. Staliśmy się sobie obojętni. A kiedy to nastąpiło, zrodziła się w nas wrogość. Potem wkroczyli adwokaci i wtedy zrobiło się jeszcze gorzej. I to już był koniec.

Bailey słuchała go ze ściśniętym sercem.

- Czy ona cię kochała?

- Nie - odpowiedział natychmiast, a potem zmarszczył brwi, spojrzał przed siebie nie widzącym wzrokiem i znów spróbował być szczerzy. A jego odpowiedź była smutna i raniąca. - Nie, nie kochała mnie ani trochę więcej niż ja ją. I żadnemu z nas nie chciało się nawet postarać. - Wyjął pieniądze z portfela i rzucił je na stół. - Wracamy do domu - powiedział wstając.

- Cade. - Bailey nieśmiało dotknęła jego ramienia. - Zasłużyłeś sobie na coś lepszego.

- Tak. - Spojrzał na rękę spoczywającą na jego ramieniu, na delikatne palce, ładne pierścionki. - Podobnie jak ona. Ale teraz już za późno. - Uniósł jej rękę. Pierścionek zaśnił. - Można zapomnieć wiele rzeczy, Bailey, ale czy można zapomnieć miłość?

- Przestań.

Niech go piekło pochłonie, jeżeli się teraz wycofa. Poczuli się tak, jakby ktoś cisnął mu w twarz całe jego nieudane małżeństwo.

- Bailey, gdyby jakiś mężczyzna włożył ci na palec ten pierścionek, mężczyzna, którego kochałaś, czy mogłabyś o tym zapomnieć?

- Nie wiem. - Wyrwała mu się i pospiesznie ruszyła w stro-

nę samochodu. A kiedy podbiegł i odwrócił ją ku sobie, oczy miała pełne gniewu i lęku.

- Naprawdę nie wiem.

- Nie zapomniabyś. Nie mogłabyś, gdyby to było ważne.

A to teraz jest bardzo ważne.

Zaczął miażdżyć ustami jej usta, przyciskając ją do karoserii, ogarnięty rozpaczą i pożądaniem. Zniknęła gdzieś cierpliwość i sztuka powolnego uwodzenia. Została tylko czysta żądza. Pragnął Bailey, chciał, by była mu uległa i pożądała go równie rozpaczliwie. Tutaj i teraz.

W tej chwili.

Najpierw przyszła panika, która schwyciła ją za gardło i pozbawiła tchu. Nie potrafiła odwzajemnić mu tej niepohamowanej namiętności. Nie była przygotowana. Nie miała dość siły, żeby się jej poddać i przeżyć.

Więc poddała się, nagle i bez reszty, niemal bezmyślnie, z nadzieją, że on jej nie skrzywdzi. Modląc się o to, żeby nie potrafił. Uległa potężnej fali gorąca, miażdżącej sile pożądania, i dała się jej unieść przez krótką chwilę.

Chociaż wiedziała, że tego też może nie przeżyć.

Drżała, a on odczuwał wściekłość i palący wstyd. Sprawiał jej ból. Zresztą, w gruncie rzeczy jakby tego chciał w nadziei, że ona zapamięta, iż ją zranił. Czy nie łatwiej zapamiętać ból niż dobroć? Wiedział już, że gdyby o nim zapomniła, nie przeżyłby tego.

Jeśli jednak ją zrani, zabije wszystko, na czym mu kiedykolwiek zależało.

Puścił ją i cofnął się krok. Bailey uniosła ręce i zasłoniła się obronnym gestem, który trafił go w serce jak nóż. Z dala dobiegały dźwięki muzyki i podniesione glosy. Ktoś głośno się śmiał.

Popatrzył na Bailey. Stała, zalekniona jak łania schwytna w pułapkę reflektorów.

- Przepraszam.

- Cade...

Uniósł ręce do góry, jakby się poddawał.

- Przepraszam - powtórzył. - To mój problem. Odwiozę cię do domu.

A kiedy już ją odwiózł, kiedy Bailey była w swoim pokoju i światła pogasły, położył się w hamaku, skąd mógł patrzeć w jej okna.

Wtedy też uświadomił sobie, że to nie rozpamiętywanie jego życia wytrąciło go z równowagi. Znał przecież jego wzloty i upadki, fałszywe kroki i głupie pomyłki. To przez te jej pierścionki na palcach. Patrząc na nie, musiał wreszcie dopuścić do siebie myśl, że mogła dostać je od jakiegoś mężczyzny. Od mężczyzny, który być może czeka, żeby sobie o nim przypomniela.

I nie chodziło wcale o seks. Seks był łatwy. Dobrze wiedział, że oddałaby mu się tego wieczora. Widział to w jej oczach, kiedy wszedł do kuchni, a ona siedziała pogrążona w czytaniu, ale myślała tylko o nim. I pragnęła go. Tak jak on jej.

Musiał być głupcem, żeby nie wziąć tego, co mu ofiarowywano. Nie zrobił tego, ponieważ chciał dostać więcej. Znacznie więcej.

Chciał miłości, a przecież było to tak nierozważne pragnienie. Była zdeorientowana, przerażona, w kłopotach, którym żadne z nich nie potrafiło zaradzić. Mimo to pragnął, by zakochała się w nim tak całkowicie i bez reszty jak on w niej.

A to bardzo nierozsądne.

Tylko że on nie dbał o rozsądek.

Zabije smoka, który mu bronił do niej dostępu - bez względu na koszty. A kiedy już go zabije, pokona każdego, kto mu stanie na drodze i będzie chciał przeszkodzić w zatrzymaniu Bailey. Nawet gdyby to była ona sama.

Gdy wreszcie zasnął, miał sen. Śniły mu się smoki, czarna noc i złotowłosa dama zamknięta w wieży, która kręci na kołowrotku niebieskie diamenty.

A kiedy Bailey zasnęła, także miała sen. Śniły jej się błyskawice i strach, i ucieczka przez noc, i moc bogów, unoszona w kurczowo zaciśniętych dłoniach.

ROZDZIAŁ 7

Bailey źle spała tej nocy, mimo to obudziła się już o siódmej rano. Widocznie miała jakiś wewnętrzny zegar, który nakazywał jej budzić się o pewnej stałej porze. Nie potrafiła przy tym osądzić, czy dzięki temu była obowiązkowa, czy może tylko nudna. Tak czy inaczej, wstała i powściągnąwszy chęć, by pójść korytarzem i zajrzeć do pokoju Cade'a, zeszła na dół, prosto do kuchni, zaparzyć kawę.

Czuła, że Cade był na nią zły. A ona nie miała pojęcia, jak poradzić sobie z jego gniewem. Przez całą drogę z Georgetown nie odezwał się ani słowem, a cisza w samochodzie była ponura i - tego Bailey była absolutnie pewna - naładowana seksualną frustracją.

Zastanawiała się, czy kiedykolwiek mogła być przyczyną seksualnej frustracji jakiegoś mężczyzny. Pomyślała też, że wolałaby nie odczuwać tej wewnętrznej, czysto kobiecej satysfakcji, iż udało jej się wpędzić w rozdrażnienie tak atrakcyjnego mężczyznę jak Cade.

Ale poza tym ta nieustanna huśtawka nastrojów męczyła ją i drażniła. W pewnej chwili pomyślała nawet, że wie niewiele więcej o ludzkiej naturze niż o swojej przeszłości.

A czy w ogóle wiedziała cokolwiek o mężczyznach?

Czy mężczyźni zawsze zachowują się w tak niekonsekwentny sposób? A jeżeli tak, to jak radzą sobie z tym mądre kobiety? Czy powinna traktować go chłodno i wyniośle, póki Cade nie wytłumaczy się jej ze swojego postępowania? A może raczej powinna zachowywać się przyjaźnie, jakby nigdy nic? Jakby nie całował jej tak zachłannie. Jakby jej nie dotykał, nie wodził dłońmi po jej ciele tak władczo. Jakby najnaturalniejszą rzeczą pod słońcem było zmienić ją w rozedrgany kłębek nerwów i pożądania.

A na domiar złego ona sama czuła się na przemian to oniesmielona, to rozdrażniona. Sięgnęła do lodówki po mleko. Skąd, na Boga, miała wiedzieć, jak powinna się zachować? Przecież nawet nie wiedziała, czy ktoś już ją kiedyś tak całował, czy kiedykolwiek tak się czuła, czy kogoś tak bardzo pragnęła? Czy tylko dlatego, że utraciła swoją tożsamość, ma zgadzać się na wszystko i iść w każdym kierunku, jaki wskaże jej Cade Parris?

I czy jeśli wskaże na łóżko, ona ma potulnie do niego wskoczyć?

O, nie, tak nie mogło być. Jest dorosłą kobietą, zdolną podjąć rozsądną decyzję. Nie jest ani głupia, ani bezradna. W końcu, mimo amnezji, potrafiła wynająć sobie detektywa, prawda?

A niech to diabli!

To, że nie znała żadnych wzorców swojego dawnego postępowania, nie musi przecież znaczyć, że nie będzie w stanie wytyczyć sobie nowych. Tutaj i teraz.

Nie będzie popychadłem.

Nie będzie głupia.

I nie będzie ofiarą.

Rzuciła karton mleka na blat z kolorowego granitu i wyjrzała

przez okno. Cade miał pecha, że nakryła go śpiącego w hamaku w chwili, gdy jej zły humor sięgał szczytu.

Nie drzemałby tak spokojnie, gdyby mógł zobaczyć, jak płoną jej oczy, a usta wyginają się we wzgardliwym grymasie. Naładowana wściekłością, Bailey wypadła z domu, zatrzaszkując za sobą drzwi, i pomaszerowała przez trawnik.

Podeszła do hamaka i mocno nim szarpnęła.

- Co ty sobie wyobrażasz? Kim ty właściwie jesteś?

- Co? - Wyrwany brutalnie ze snu, Cade poderwał się, chwytając boki hamaka, żeby odzyskać równowagę. Głowę wciąż miał pełną sennych majaków. - Co? Nie pamiętasz?

- Nie rób ze mnie idiotki. - Kiedy próbował usiąść, Bailey raz jeszcze, potrząsnęła hamakiem. - To ja podejmuję decyzje dotyczące mojej osoby. Ja odpowiadam za moje życie - nawet za takie jak w tej chwili. Wynajęłam cię po to, żebyś pomógł mi dowiedzieć się, kim jestem i co mi się przydarzyło. Nie płacę ci za to, żebyś robił kwaśną minę, bo nie chcę pójść z tobą do łóżka, kiedy ty masz na to ochotę.

- Dobrze już, dobrze. - Cade potarł oczy i wreszcie udało mu się skupić wzrok na pięknej i rozwścieczonej twarzy, która się nad nim nachylała. - O czym ty mówisz, do licha? Wcale nie robię kwaśnej miny, ja tylko...

- Tylko mi nie mów, że to nie są dąsy - odparowała. - Cemu śpisz na podwórku, w hamaku, jak jakiś włóczęga?

- Przecież to moje podwórko - stwierdził z pewną irytacją. Co za dziki pomysł wrywać go ze snu i wciągać w idiotyczną kłótnię, zanim do końca się obudzi.

- Zabierasz mnie na tańce - ciągnęła Bailey, miotając się po trawniku - próbujesz mnie uwieść na parkiecie, a potem wpadasz w histerię, bo...

- W histerię? - Cade poczuł się dotknięty. - Słuchaj, kochanie, jeszcze nigdy w życiu nie wpadłem w histerię.

- A ja ci mówię, że tak było, a poza tym przestań mówić do mnie kochanie, i to jeszcze takim tonem.

- Nie podoba ci się mój ton? - Oczy Cade'a zwięzły się w zielone szparki. - No to wypróbujemy całkiem nowy i zobaczymy, co ty na to... - zakończył przekleństwem, bo Bailey szarpnęła za sznurki tak silnie, że wypadł na ziemię.

Pierwszą reakcją Bailey było zaskoczenie, potem zapragnęła go przeprosić. W końcu jednak rozmyśliła się i odmaszerowała z dumnie uniesioną głową.

Cade wylądował na trawie z głuchym łomotem i był niemal pewny, że usłyszy trzask łamanych kości. Tymczasem nic takiego się nie stało. Wobec tego poderwał się na nogi i lekko utykając, dogonił Bailey, zanim zdążyła wejść do domu.

Chwycił ją za ramię i odwrócił twarzą ku sobie.

- Co cię opętało...

- Dostałeś za swoje - prychnęła Bailey. W głowie jej huczało, a serce waliło jak młotem.

- Ale za co?

- Za... byle co.

- No, to już wszystko jasne.

- Proszę, zejdź mi z drogi. Idę na spacer.

- Nie - powiedział dobitnie. - Nigdzie nie idziesz.

- Nie możesz mi nic kazać.

Szybko ocenił, że jest od niej ze dwa razy cięższy i co najmniej dwadzieścia centymetrów wyższy.

- Owszem, mogę - syknął. - Widzę, że to ty wpadłaś w histerię.

To dopełniło czary goryczy.

- Nie wpadłam w histerię. Gdyby tak było, startałabym ci z twarzy ten złośliwy uśmiech i wydrapała oczy i...

Żeby uniknąć dalszej dyskusji, Cade przerzucił ją sobie przez ramię i wniósł do domu. Chociaż wrywała mu się, kopiąc i bijąc go pięściami, zdołał ją posadzić na krześle w kuchni. Potem położył jej ręce na ramionach i zbliżywszy twarz do jej twarzy,,; wydał jeden, zwięzły rozkaz:

- Siedź tu!

Pomyślał, że jeżeli natychmiast nie napije się kawy, umrze .
- albo kogoś zabije.

- Zwalniam cię!-krzyknęła Bailey.

- To fajnie. - Cade nalał sobie kawy i wypił duszkiem cały kubek. - O Boże, co za początek dnia. - Chwycił buteleczkę aspiryny i zaczął się mocować ze specjalnie zabezpieczoną nakrętką, a tymczasem ból głowy, który przyczaił się pod czaszką, wybuchnął ze zdwojoną siłą.

- Nie zniosę tego, żeby jakaś baba wrzeszczała na mnie, zanim zdążę otworzyć oczy. Nie wiem, co cię ugryzło, moja kochana, ale opanuj się łaskawie, przynajmniej dopóki ja...

- Z głośnym przekleństwem walnął nakrętką w marmurowy blat.

Głowa mu pękała, bolało stłuczone kolano i czuł, że byłby w stanie przegryźć plastik, byle tylko dostać się do upragnionych tabletek.

W końcu, klnąc siarczyście, wyrwał rzeźnicki nóż z drewnianego klocka i zaczął nim walić w butelkę, póki nie przeciął plastikowej szyjki. Z twarzą ściągniętą z wściekłości odwrócił się do Bailey, z butelką w jednej ręce, a nożem w drugiej.

- Posłuchaj... - zaczął ze wściekłą miną.

Bailey zabrakło tchu. Błada jak kreda, zsunęła się z krzesła

na podłogę w głębokim omdleniu, zanim zdążył wykonać choćby jeden ruch.

- Dobry Boże. - Nóż wypadł mu z ręki, a tabletki aspiryny rozsypały się po całej kuchni, kiedy rozerwana butelka upadła na podłogę. Cade chwycił Bailey na ręce i z braku lepszego miejsca położył ją na kuchennym stole, a potem zmoczył pod zlewem lniany ręcznik.

Obmywał jej twarz i rozcierał nadgarstki, przeklinając w duchu swoją porywczosć. Jak mógł tak na nią krzyczeć? Jak mógł zachować się tak po chamsku, wiedząc, że jest taka wrażliwa? Może następnym razem, kiedy się zdenerwuje, pójdzie i skopie jakiegoś małego pieska albo kotka?

Kiedy Bailey poruszyła się i cicho jęknęła, przycisnął do ust jej dłoń.

- Obudź się, Bailey, obudź się. - A kiedy zatrzepotała powiekami i otworzyła oczy, pogłaskał ją po głowie. - Już wszystko dobrze, Bailey, tylko spokojnie.

- On mnie zabije! - Bailey patrzyła na niego nie widzącym wzrokiem. Chwyciła go kurczowo za koszulę, łapiąc oddech.

- On mnie zabije.

- Nie bój się, nikt cię nie skrzywdzi. Jestem przy tobie.

- On mnie zabije. On ma nóż. Jeżeli mnie znajdzie, na pewno mnie zabije.

Musi jej pomóc, bo przecież mu zaufała. Delikatnie rozprostował jej palce i zamknął w swojej dłoni.

- Kto ma nóż, Bailey? - zapytał cichym, spokojnym głosem.

- Kto chce cię zabić?

- On... on... - Miała to przed oczyma: ręka z nożem, który połyskiwał przy każdym ruchu. - Wszędzie jest krew, tyle krwi. Muszę uciec przed tą krwią. Nóż. Błyskawice. Muszę uciekać.

Cade trzymał ją mocno, a głos miał nadal spokojny.

- Gdzie jesteś? Powiedz mi, gdzie jesteś?

- W ciemnościach. Wszystkie światła zgasły. On mnie zabije. Muszę uciekać.

- Dokąd?

- Gdziekolwiek. - Oddech miała tak przyspieszony, że niemal ranił jej gardło. - Byle gdzie, byle dalej. Jeśli mnie znajdzie, zabije mnie.

- On cię nigdy nie znajdzie. Ja mu na to nie pozwolę. - Otoczył dłońmi jej twarz i zwrócił ku sobie tak, że ich spojrzenia się spotkały. - Uspokój się, odpocznij...

Pomyślał, że jeśli nie przestanie tak dyszeć, znowu straci przytomność.

- Jesteś tutaj bezpieczna. Ze mną zawsze będziesz bezpieczna. Rozumiesz?

- Tak, tak. - Zamknęła oczy, a potem wstrząsnął nią dreszcz.

- Tak. Powietrza. Proszę, potrzebuję więcej powietrza.

Cade znowu wziął ją na ręce i wyniósł na patio. Posadził ją w wyściełanym fotelu, a sam usiadł obok.

- Uspokój się. Pamiętaj, że jesteś tu bezpieczna. Nic ci nie grozi.

- Tak, w porządku. - Z wysiłkiem zrobiła głęboki wydech, bo zdawało się jej, że powietrze rozsadzi jej płuca. - Już wszystko w porządku.

Niestety, nie, pomyślał Cade. Bailey była biała jak ściana, skórę miała wilgotną i wciąż drżała. Ale jej pamięć została uruchomiona i trzeba było nakierować ją teraz na właściwe tory.

- Póki jesteś ze mną, nikt nie zrobi ci krzywdy. Nikt cię tu nie znajdzie. Pamiętaj o tym i spróbuj mi opowiedzieć wszystko, co sobie przypomniałaś.

- To są takie przebłyski. - Spróbowała oddychać mimo bolesnego ucisku w klatce piersiowej. - Kiedy trzymałeś ten nóż...
- Urwała. Strach znowu chwycił ją w swoje szpony.
- Przestraszyłem cię. Przepraszam. - Cade ujął ją za rękę.
- Ale chyba wiesz, że nie chciałem zrobić ci krzywdy.
- Wiem. - Znowu zamknęła oczy, a promienie słońca padły na jej powieki. - Był tam nóż. Z długim, zakrzywionym ostrzem. Bardzo piękny. Miał rzeźbioną rękojeść z kości słoniowej. Widziałam go, a może nawet go używałam.
- Gdzie go widziałas?
- Nie wiem. Słyszałam jakieś głosy i krzyki. Ale nie słyszałam, co mówią. To było jak szum morza, narastający, gwałtowny ryk. - Zatkała rękami uszy, jakby chciała odciąć się od tego hałasu. - A potem była krew, wszędzie pełno krwi. Cała podłoga była nią zalana.
- Jaka to była podłoga?
- Dywan. Szary dywan. I ciągle się błyskało. A nóż też połyskiwał jak błyskawica.
- Jest tam jakieś okno? Czy widzisz te błyskawice przez okno?
- Tak. Chyba tak... - Bailey znowu zadrżała, a scena, którą usiłowała przywołać z pamięci, roztopiła się w mroku. - Jest ciemno. Wszędzie panują ciemności, a ja muszę się stamtąd wydostać. Muszę się gdzieś ukryć.
- Gdzie musisz się ukryć?
- To takie małe pomieszczenie, jak komórka, a jeżeli on mnie zobaczy, zginę. On ma nóż. Widzę go, widzę jego dłoń zaciśniętą na rękojeści. Jest tak blisko. Jeżeli się odwróci...
- Opowiedz mi o tej ręce, Bailey - łagodnie przerwał jej Cade. - Jak wyglądała ta ręka?

- Jest ciemno, bardzo ciemno, ale widzę poruszającą się smugę światła. Już mnie prawie dosięgła. On trzyma nóż, palce aż mu zbielały. Jest na nich krew. 1 na pierścieniu też jest krew.

- Jak wygląda ten pierścień, Bailey? - Cade nie przestawał spoglądać jej z natężeniem w twarz, ale głos miał spokojny.
- Przypomnij sobie ten pierścionek.

- Gruby, złoty sygnet. Z żółtego złota. A centralny kamień to rubinowy kaboszon. Po obu stronach ma małe diamenty, o brylantowym szlifie. Ma też stylizowany monogram - T.S. Brylanty są czerwone od krwi. On jest już blisko, tak blisko. Czuję zapach krwi. Jeżeli popatrzy w dół, zobaczy mnie. A jak mnie zobaczy, to mnie zabije. Pokroi mnie na kawałki, jeśli mnie znajdzie.

- Przecież cię nie znalazł. - Cade nie mógł już dłużej tego znosić. Porwał Bailey w ramiona i przyciągnął do siebie. - Uciekłaś mu. W jaki sposób udało ci się uciec, Bailey?

- Nie wiem. - Nagle poczuła niewysłowioną ulgę. Cade trzymał ją w objęciach, słońce przyjemnie rozgrzewało jej skórę, policzek Cade'a był tuż przy jej policzku. Miała ochotę płakać ze szczęścia. - Nie pamiętam.

- Już dobrze. Wystarczy.

- Może go zabiłam. - Bailey odsunęła się i pojrzała Cade'owi w oczy. - Może użyłam tego pistoletu, który był w torbie, i zastrzeliłam go.

- Przecież ci mówiłem, że magazynek był pełny.

- Mogłam go potem załadować.

- Kochanie, moim zdaniem, a jestem w tych sprawach fachowcem, nie potrafiłabyś tego zrobić.

- Ale gdybym...

| - A nawet jeżeli - ujął ją za ramiona i lekko nią potrząsnął - zrobiłaś to w obronie własnej. On był uzbrojony, ty byłaś przerażona i wygląda na to, że on rzeczywiście kogoś wcześniej zabił. W tej sytuacji każde twoje posunięcie było właściwe.

Bailey odsunęła się i popatrzyła w dal, poprzez patio, kwiaty, stare drzewa i solidne ogrodzenie.

- Co ze mnie za człowiek? Bardzo możliwe, że byłam świadkiem morderstwa, a nie zrobiłam nic, żeby mu zapobiec.

- Bailey, bądź rozsądna. Co mogłaś zrobić?

- Cokolwiek - mruknęła. - Nie poszłam do telefonu, nie zadzwoniłam na policję. Tylko sama uciekłam.

- Bo gdybyś nie uciekła, już byś nie żyła. - Musiał powiedzieć to ostrym tonem, ponieważ Bailey lekko się wzdrygnęła. Jednak właśnie tego było jej potrzeba. - A tymczasem żyjesz i zobaczysz, że uda nam się rozwikłać tę zagadkę.

Wstał i cofnął się, nie chcąc poddać się pokusie, żeby wziąć ją w ramiona.

- Byłaś w jakimś budynku. W pomieszczeniu z szarym dywanem i prawdopodobnie z oknem. Doszło do jakiejś kłótni, i ktoś miał nóż i użył go. Ten ktoś może mieć inicjały T.S. Potem zapadły ciemności i ten ktoś cię ścigał. Prawdopodobnie wyłączono wtedy prąd. Cały kwartał w północno-zachodniej części Waszyngtonu miał przez dwie godziny wyłączone światło w noc przed tym, nim pojawiłaś się w moim biurze, więc mamy już skąd zaczynać. Musiałaś znać ten budynek dość dobrze, skoro wiedziałaś, gdzie szukać kryjówek. Zaryzykowałbym twierdzenie, że albo tam mieszkałaś, albo pracowałaś.

Odwrócił się i zauważył, że Bailey uważnie go słucha, a jej ręce, spoczywające na kolanach, były już spokojne.

- Mogę sprawdzić w raportach policyjnych, czy tej nocy

była jakaś bójka na noże, ale przeglądałem gazety i w prasie nie ma na ten temat ani słowa.

- Przecież to było kilka dni temu. W tym czasie ktoś musiał znaleźć... znaleźć ciało, jeśli takie było.

- Niekoniecznie. To mogło się zdarzyć w prywatnym domu albo w jakimś biurze, które zamknięto na ten długi weekend. Gdyby ktoś był wtedy w tym budynku, jacyś inni ludzie, na pewno zgłosiliby to na policję. Wszystko przemawia za tym, że byłaś sama.

Na samą myśl o tym poczuł bolesny skurcz żołądka. Bailey w ciemnościach, sam na sam z mordercą.

- Burza rozpetęła się dopiero po dziesiątej wieczorem.

Było to całkiem logiczne i ten prosty krok od teorii do praktyki trochę ją uspokoił.

- No to co teraz zrobimy? - zapytała.

- Objedziemy ten rejon, gdzie wyłączono prąd, poczynając od hotelu, w którym wylądowałaś.

- Ale ja nie pamiętam, jak dostałam się do tego hotelu. Nie wiem, czy przyszłam, czy wzięłam taksówkę.

- Albo przyszłaś, albo przyjechałaś metrem lub autobusem. Sprawdziłem już wszystkie taksówki. Żadna z korporacji nie miała tamtej nocy kursów w okolicy hotelu. Możemy wyjść z założenia, że przyszłaś na piechotę, zbyt wstrząśnięta i przerażona, żeby pomyśleć o autobusie. A ponieważ metro kursuje tylko do północy, można je raczej wykluczyć.

Bailey skinęła głową i spojrzała na swoje ręce.

- Przykro mi, że tak na ciebie krzyczałam. Nie zasłużyłeś na to, po tym wszystkim, co dla mnie zrobiłeś.

- Owszem, zasłużyłem sobie na to. - Cade wsunął ręce do kieszeni. - Nie przyjmuję też do wiadomości terminu „histeria”,

choć jestem w stanie zgodzić się z tym, że miałem kwaśną minę. - Z radością zauważył, że Bailey podniosła głowę, a jej usta rozchyliły się w lekkim uśmiechu.

- Zdaje mi się, że oboje mieliśmy kwaśne miny. Czy bardzo się uderzyłeś, kiedy cię wyrzuciłam z hamaka?

- Moje ego będzie nosić blizny jeszcze przez dłuższy czas. Ale poza tym, zbyt nie ucierpiałem. - Cade lekko przechylił głowę i spojrzał z ukosa na Bailey. W jego oczach zapaliły się błyski. - I jeszcze jedno, ja nie próbowałem cię uwodzić na parkiecie, Bailey. Ja cię uwiodłem na parkiecie.

Bailey poczuła, że jej puls lekko przyspieszył. Cade był niebywale przystojny, kiedy tak stał w porannym słońcu, nieogolony i potargany, z dołeczkami na policzkach i aroganckim uśmiechem. Pomyślała, że chyba nie ma takiej kobiety, której na ten widok nie zmiękłyby kolana.

Była też absolutnie pewna, że Cade doskonale o tym wie.

- Wydaje mi się, że z bliznami czy bez, twoje ego świetnie funkcjonuje.

- Możemy przeciwżyć to jeszcze raz.

Bailey splonęła rumieńcem, ale zaraz się uśmiechnęła.

- Cieszę się, że już się na mnie nie gniewasz. Nie wydaje mi się, żebym dobrze znosiła takie konfrontacje.

Cade pomasaował łokieć, odarty z kilku warstw naskórka.

- Och, bardzo dobrze sobie poradziłaś. Teraz trochę posprzątam, a potem wybierzemy się na niedzielną przejażdżkę.

Ile tu rozmaitych budynków, myślała Bailey, kiedy Cade woził ją po mieście. Stare i nowe, na wpół zrujnowane czynszówki i świeżo wyremontowane kamienice. Wysokie biurowce i niskie witryny sklepów.

Zastanawiała się, czy już kiedyś oglądała to miasto. Strome kamienne mury, drzewa rosnące na chodnikach. Krztuszące się autobusy o piszczących hamulcach.

Czy w lipcu zawsze jest tak wilgotno? Czy niebo w lecie zawsze ma kolor papieru? I czy kwiaty zawsze rosną tak bujnie wokół pomników i wzdłuż ulic?

Czy robiła już kiedyś zakupy w jednym z tych sklepów, czy jadła w którejś z restauracji?

Znowu wjechali między szpaler wysokich, rozłożystych drzew. Bailey miała wrażenie, że jada przez park, a nie przez zatłoczone centrum wielkiego miasta.

- Przykro mi, ale chyba widzę to wszystko po raz pierwszy - powiedziała.

- Nie szkodzi. Albo coś nagle zaskoczy, albo nie.

Minęli stare, okazałe budynki z granitu i cegły, a potem kolejny ciąg sklepów, drogich i ekskluzywnych. Nagle z ust Bailey wyrwał się cichy dźwięk. Cade natychmiast zwolnił.

- Coś ci się przypomniało?

- Ten butik. „Marguerite”. Nie wiem.

- No to go sobie obejrzymy. - Zawrócił i wjechał na mały parking, który obsługiwał kilka najbliższych sklepów. - Wprawdzie wszystko jest zamknięte, ale to nie znaczy, że nie możemy popatrzeć na wystawy. - Nachylił się i otworzył Bailey drzwiczki, a potem sam wysiadł z samochodu.

- Może po prostu spodobała mi się ta sukienka na wystawie - mruknęła Bailey.

Suknia była rzeczywiście prześliczna - z lśniącego, różowego jedwabiu, na cieniutkich ramiączkach, z wąskim paskiem sztucznych brylancików, krzyżującym się pod biustem.

Ekspozycję uzupełniała srebrna, wizytowa torebka i niebywale wysokie szpilki, także srebrne.

Widząc zachwycony uśmiech Bailey, Cade pożałował, że sklep nie jest otwarty, bo natychmiast kupiłby jej tę sukienkę.

- To twój styl, prawda? - stwierdził.

- Sama nie wiem. - Przytknęła dłonie do szyby i z przyjemnością patrzyła na elegancką wystawę. - Ten granatowy kostium z lnu także jest bardzo piękny. Ach, popatrz na tę czerwoną suknię! Cudowna! W takiej sukni kobieta czuje się jak królowa. Myślę, że powinnam zacząć nosić bardziej zdecydowane kolory, chociaż najbardziej lubię odcienie pastelowe.

- *Przymierz ten trawiasty kostium, Bailey. On naprawdę ma w sobie coś. Co może być bardziej nudnego niż osoba, która boi się ubrać z charakterem?*

- *Jak długo będzie mi czekać? Kiedy wreszcie przestaniecie przebierać w tych szmatkach? Nie widzicie, że umieram z głodu?*

- *Och, nie nudź. Lubisz tylko dwie rzeczy - jeść i kupować pięćdziesiątą parę spodni. Bailey, w żadnym wypadku ten okropny beż - Tylko zieleń. Zaufaj mi.*

- Namówiła mnie - mruknęła Bailey. - Namówiła mnie na ten zielony kostium. I miała rację. Ona zawsze ma rację.

- Kto ma rację? - Cade nawet nie położył jej ręki na ramieniu. Bał się ją spłoszyć. - Kto ma rację? MJ?

- Ach, nie, nie. Nie MJ. Ona jest strasznie niecierpliwa i nienawidzi tracić czasu. A zakupy to przecież taka strata czasu.

Boże, jak strasznie boli ją głowa. Miała wrażenie, że lada chwila pęknie z bólu. Jednak przemogła się i próbowała skon-

centrować na tej jednej rzeczy. Na tej właśnie odpowiedzi. Czuła bolesny skurcz żołądka. Skóra jej zwilgotniała. Z trudem powstrzymywała mdłości.

- Grace. - Nagle usłyszała swój głos, wypowiadający to imię. - Grace - powtórzyła i ugięły się pod nią nogi. - Ona ma na imię Grace. Grace i MJ. - Łzy trysnęły jej z oczu. Zarzuciła Cade'owi ręce na szyję. - Byłam tu. Byłam w tym sklepie. Kupiłam zielony kostium. Pamiętam.

- Dobrze. Dobra robota, Bailey. - Cade mocno ją przytulił.

- Ale to już wszystko. - Bailey przycisnęła dłoń do czoła. Ból rozsadał jej czaszkę. - To wszystko, co pamiętam. Byłam z nimi i kupowałam kostium. Jakie to głupie. Czemu miałabym akurat zapamiętać coś takiego jak kupno stroju?

- Pamiętasz ludzi. - Cade zaczął jej masować skronie. Niemal czuł pulsujący ból. - Te kobiety są dla ciebie ważne. Spędziłaś z nimi jakieś miłe chwile.

- Ale ja ich nie pamiętam. Prawie wcale, Pamiętam tylko atmosferę, uczucia.

- To dobry znak. To oznacza, że wreszcie nastąpił jakiś przełom. - Cade musnął ustami jej czoło, a potem pociągnął do samochodu. - Teraz wszystko pójdzie już bardzo szybko. - Posadził ją na przednim fotelu i zapiął jej pasy. - Oczywiście wiem, że to bolesny proces.

- Ach, to nieważne. Ja muszę się wszystkiego dowiedzieć.

- Ale dla mnie to bardzo ważne. Nie chcę, żebyś niepotrzebnie cierpiała. Teraz musisz coś zjeść i wziąć proszki na ból głowy. A potem pojedziemy dalej.

Cade był głuchy na wszystkie argumenty. Bailey doszła do wniosku, że nie jest w stanie wygrać bitwy z nim i z paraliżują-

cym bólem głowy jednocześnie. Pozwoliła się położyć do łóżka i posłusznie połknęła aspirynę. Zamknęła oczy, tak jak jej kazał, i otworzyła je dopiero gdy przyniósł jej talerz zupy z kurczaka.

- Niestety z puszki - powiedział, podkładając jej pod plecy kilka poduszek - ale mam nadzieję, że poczujesz się lepiej.

~ Mogę przecież zjeść w kuchni, Cade. To tylko ból głowy, a nie zapaść. I już mi prawie przeszło.

- Później będę bardzo zajęty. Więc korzystaj teraz z okazji i pozwól się obsłużyć.

- Dobrze, niech ci będzie. - Bailey nabrała łyżkę zupy. - Pyszna. Dodałeś tymianku.

~ Tak. To miał być ten mały akcent francuski.

Uśmiech zniknął z twarzy Bailey.

- Paryż - mruknęła. - Było coś w związku z Paryżem. - Kiedy spróbowała się skupić, ból znowu powrócił.

- Daj sobie spokój. - Cade usiadł obok niej. - Myślę, że twoja podświadomość daje ci znać, że nie jesteś jeszcze do końca gotowa, żeby sobie wszystko przypomnieć. Wystarczy, jak będziesz to robić stopniowo.

- Musi wystarczyć. - Bailey znowu się uśmiechnęła. - Chcesz trochę zupy?

- Teraz, kiedy o to spytałaś, nabrałem apetytu. - Nachylił się, a Bailey karmiła go łyżką. - Nie wydaje ci się, że jest trochę za bardzo wodnista?

Tym razem Bailey sama podniosła łyżkę do ust.

- Nie, jest naprawdę pyszna. Dziwię się, że twoja żona pozwoliła ci odejść, bo w kuchni radzisz sobie wspaniale.

- Moja była żona, a poza tym mieliśmy kucharkę.

- Rozumiem. - Znowu zaczęła go karmić. - Nie wiem, jak zapytać, żeby to nie wyglądało na brak taktu.

Cade odgarnął jej kosmyk za ucho.

- Po prostu zapytaj.

- Masz taki piękny dom pełen antyków, lubisz sportowe samochody... a pracujesz w takim biurze...

- Coś ci się nie podoba w moim biurze? - Usta Cade'a lekko drgnęły.

- Nie. To znaczy nic, czemu jeden spychacz i porządna ekipa remontowa nie mogłyby zaradzić. Chodzi mi o to, że to biuro tak bardzo nie pasuje do reszty.

- Postanowiłem sobie, że moje biuro ma być samowystarczalne, a na razie nie stać mnie na nic lepszego. Z honorariów płacę wszystkie rachunki i zostaje mi niewiele. Natomiast prywatnie po prostu tarzam się w pieniądzu. - Cade patrzył na nią rozbawionym wzrokiem. - Jeżeli o to chciałaś zapytać.

- Chyba tak. To znaczy, że jesteś bogaty.

- To zależy od twojej definicji - czy masz na myśli mnie, czy całą rodzinę. Mamy pieniądze ulokowane w centrach handlowych, nieruchomościach i tym podobnych. W rodzinie od pokoleń było wielu lekarzy, prawników, bankierów. No i ja. A ja jestem...

- Czarną owcą - dokończyła za niego, podekscytowana tą myślą. - Nie chciałaś kontynuować rodzinnych tradycji. Nie chciałaś zostać ani lekarzem, ani prawnikiem czy bankierem.

- Nie. Chciałem być Samem Spade'em.

Bailey roześmiała się i dotknęła jego policzka.

- Wiem, to bohater „Sokoła maltańskiego”. Jeżeli chodzi o mnie, cieszę się, że nie zostałem bankierem.

- Ja też się z tego cieszę. - Ujął jej dłoń i przycisnął do ust.

- Cieszę się, że znalazłam twoje nazwisko w książce telefo-

nicznej. - Bailey nagle spowaźniała. - Cieszę się, że trafiłam na ciebie.

- Ja też. - Wziął talerz i odstawił go na bok. Nawet gdyby był całkiem ślepy, nie mógłby nie zauważyć tego, co malowało się w jej wzroku. Serce żywiej zabiło mu w piersi. - Mógłbym teraz wyjść i zostawić cię samą. - Powiódł palcem po jej obojczyku, a potem zatrzymał się na pulsującej żyłce w zagłębieniu szyi. - Ale nie chcę tego zrobić.

To była jej decyzja. Była tego świadoma. Jej wybór. Jej chwila.

- Ja też tego nie chcę - powiedziała i zamknęła oczy, kiedy ujął w dłonie jej twarz. - Cade, przecież wiesz, że mogłam zrobić coś strasznego.

Jego usta zatrzymały się o milimetr od jej warg.

- Nic mnie to nie obchodzi.

- Mogłam... może jestem.... - Zdecydowana stawić temu czoło, otworzyła szeroko oczy. - Może jest jeszcze ktoś.

Cade mocniej zacisnął palce.

- Guzik mnie to obchodzi.

Wtedy Bailey odetchnęła z ulgą.

- Mnie też - powiedziała i przyciągnęła go do siebie.

ROZDZIAŁ 8

To było oszałamiające przeżycie, zapierające dech w piersi. Podniecające i zupełnie nowe. Wszystko było nowe. Sposób, w jaki Cade wplątywał palce w jej włosy; dotyk jego rozpalonych ust na jej wargach. Jakby jedynym zadaniem ust i języka było smakowanie ukochanej. A i jego smak wypełniał ją całą - silny, męski i prawdziwy.

Bez względu na przeszłość i przyszłość, liczyła się tylko ta chwila.

Wodziła dłońmi po ciele Cade'a i było to cudowne uczucie. Wielbiła kształt jego szyi, szerokość ramion, długość pleców, wąskość talii, rozbudowane, napięte mięśnie. A kiedy dłonie wślizgnęły się pod jego koszulę, natrafiły na fascynująco gładką i rozgrzaną skórę.

- Nie masz pojęcia, jak bardzo chciałam cię dotknąć - szepnęła, obsypując twarz Cade'a gradem pocałunków. - Bałam się, że to nigdy nie nastąpi.

- A ja pragnąłem cię od pierwszej chwili. - Cade uniósł głowę i spojrzał w jej oczy koloru roztopionej czekolady. - Jeszcze zanim przekroczyłaś próg mojego biura. Pragnąłem cię od zawsze.

- Przecież to bez sensu. My nawet nie...

- To bez znaczenia. Liczy się tylko to. - Znowu dotknął ustami jej warg, a potem pocałował ją głęboko i zachłannie, tak jakby już stanowili jedność.

Nie zamierzał się spieszyć. Chciał do końca wykorzystać każdą chwilę. Miał wrażenie, że czekał na Bailey przez całe życie, więc teraz może ją bez końca dotykać, poznawać jej smak, jej ciało i jej duszę. Każdy milimetr jej ciała jawił mu się jak jakiś specjalny dar, a każde westchnienie było bezcennym skarbem.

Mieć ją tylko dla siebie, kiedy słońce wpadało przez okno, barwiąc złotem jej rozrzucone włosy, a także jej ciało, tak chętne i spragnione - to było piękniejsze niż najczarowniejszy sen.

Należeli do siebie. Więcej nie chciał wiedzieć.

Patrzeć na nią, rozpinać guziki prostej koszuli, którą jej wybrał, odsłaniać centymetr po centymetrze jej jasne, gładkie ciało - to było to, czego pragnął najbardziej na świecie. Przesuwał palcami po krągłej piersi, czując, jak pręży się w odpowiedzi na pieszczotę. Patrzył w jej ciemne oczy - to nieprzytomne, to znów wpatrzone w jego oczy.

- Jesteś cudowna, absolutnie doskonała.

Bailey miała drobne, jędrne piersi, jakby stworzone do tego, żeby wypełnić jego dłonie. Nachylił się i dotknął ustami miejsca, gdzie kończyła się koronka stanika i zaczynała naga skóra. A potem leniwie przesunął wargami wzdłuż jej szyi i podbródka, aż do kącika ust.

Nikt jej tak przedtem nie całował. Była tego pewna. Komu chciałoby się wkładać w każdy pocałunek tyle uczucia. Z cichym westchnieniem poddała się pieszczotom, mrużąc, kiedy uniósł ją lekko, żeby zdjąć jej koszulę. A kiedy rozpiął stanik i obnażył piersi, Bailey zadrżała w oczekiwaniu na dotyk jego rąk. I ust.

Wzdychała, rozkosznie zagubiona w ciemnym labiryncie nieznanych emocji. Czuła miękkość i twardość, chłód i rozpálny żar, jedno wrażenie przeradzało się w drugie, a potem wszystkie zlewały się w uczucie czystej rozkoszy. Ze wszystkich stron przybywało do niej coś nowego i frapującego. Kiedy rozsunęła poły jego koszuli, poczuła dotyk ciała przy ciele, bicie serca przy sercu, i poraziła ją intymność tej chwili.

Serce jej tańczyło do wtóru jego chciwych ust, podniecającego dotyku zębów i powolnej tortury języka.

Kiedy zaczął ją rozbierać, powietrze zrobiło się gęste i słodkie jak syrop. Chciała je smakować, napawać się nim, ale oddech miała płytki i urywany. Cade dotykał jej wszędzie, a jego zręczne ręce wzniewały uniesienie, które lada moment miało wypełnić całe ciało.

Wyszeptała z jękiem jego imię, a palce kurczowo zacisnęły się na prześcieradle. Czuła, że zbliża się coś, co jest poza zasięgiem jej poznania. Kiedy jej ciało wygięło się w łuk w rozpaczliwym oczekiwaniu, Cade patrzył na nią uważnie. Potem uniósł się i zbliżył usta do jej warg i znów patrzył. Patrzył jej w oczy, gdy nienasyconymi palcami wyzwał w niej rozkosz.

Kiedy żar stał się nie do zniesienia, wykrzyknęła jego imię, a jej drżące ciało przylgnęło do jego ciała.

O to mu właśnie chodziło. Tego pragnął.

Jego imię wciąż wibrowało na jej ustach, kiedy zmiażdżył je wargami, a potem zagarnął ją pod siebie, w potężnym pragnieniu zdobywania i posiadania. Oślepiiony żądzą, szybko pozbył się resztek ubrania. Kiedy ukryła usta w zagłębieniu jego obojczyka, zadrżał, bo czuł, że jest już gotowa, by go przyjąć bardziej hojnie, niż śmiał sobie wyobrazić. To było wspanialsze niż najskrytsze marzenia i najpiękniejsze sny.

Skapana w słońcu, które złotym blaskiem zalewało pościel i jej białe ciało, otworzyła się, jakby czekała na niego przez całe życie. Czując bicie własnego serca, słysząc galopujący puls, wszedł w nią, żeby ją sobą wypełnić.

Na jeden krótki moment zastygł z przerażenia. Ale Bailey potrząsnęła tylko głową, otoczyła go udami i przyjęła go w swoje wnętrze.

- Ty - szepnęła - tylko ty.

Leżał uspokojony, słuchając bicia jej serca i przejmując drgania jej ciała. Tylko on, pomyślał i zamknął oczy. Bailey była niewinna, nietknięta. To istny cud. A w jego sercu zmagaly się wyrzuty sumienia i uczucie czysto męskiej satysfakcji.

Była niewinna, a on ją posiadł.

Była nietknięta, póki jej nie dotknął.

Chciał błagać ją o przebaczenie.

Pragnął stanąć na dachu i krzyknąć z radości.

Niepewny, jak się teraz zachować, zaczął delikatnie badać grunt.

- Bailey?

- Hmmm?

- Jako licencjonowany detektyw pozwolę sobie stwierdzić, że moim zdaniem to raczej nieprawdopodobne, żebyś była mężatką. - Poczuł, że ciało Bailey drży ze śmiechu. Uniósł głowę i sam się uśmiechnął. - Umieszczę to w moim raporcie.

- Koniecznie.

Odgarnął jej włosy z policzka.

- Czy cię bolało? Przepraszam, jeżeli sprawiłem ci ból. Nigdy nie myślałem, że ...

- Nie. - Bailey uwięziła w dłoni jego dłoń. - Nie sprawiłeś mi bólu. Jestem szczęśliwa, oszołomiona, wyzwolona. - Usta jej

wygięły się w uśmiechu. - Ja też nie brałam tego pod uwagę. Śmiałem twierdzić, że dla nas obojga było to zaskoczenie. - Poczowała się zakłopotana. - Ale chyba nie jesteś... rozzarowany? Bo jeżeli tak, to...

- Jestem zdruzgotany. Miałem głęboką nadzieję, że jesteś zamężna i masz szóstkę dzieci. Ponieważ tak naprawdę lubię się kochać tylko z mężatkami.

- Nie, nie o to mi chodziło. Czy... czy to... czy ja byłam w porządku?

- Bailey. - Cade roześmiał się i przekreślił na plecach tak, by mogła położyć mu głowę na piersi. - Jesteś doskonała. Absolutnie, całkowicie doskonała. Kocham cię.

Zamarła, z policzkiem przy jego sercu.

- Wiesz, że cię kochani - powiedział cicho. - Od pierwszego wejrzenia.

Zachciało jej się płakać, bo tylko to pragnęła usłyszeć, tylko to gotowa była zaakceptować.

- Przecież mnie nie znasz.

- A ty mnie znasz?

Bailey uniosła głowę i energicznie nią potrząsnęła.

- W tym właśnie cała rzecz. Robienie sobie z tego żartów nie zmieni prawdy.

- No więc masz tę swoją prawdę. - Cade usiadł i zamknął ją w mocnym uścisku. - Jestem w tobie zakochany. Kocham kobietę, którą właśnie trzymam w ramionach. Jesteś wszystkim, czego pragnę, czego potrzebuję, a poza tym, kochanie... - złożył na jej ustach delikatny pocałunek - zamierzam cię zatrzymać.

- Dobrze wiesz, że to nie takie proste.

- Nie pragnę rzeczy prostych. - Cade chwycił ją za rękę.
- Pragnę się z tobą ożenić.

- Ale to niemożliwe. - Ogarnięta paniką, próbowała się wyrwać, ale mocno trzymał ją za ręce. - Doskonale wiesz, że to niemożliwe. Nie wiem nawet, skąd pochodzę i co dotąd robiłam. Przecież poznaliśmy się zaledwie trzy dni temu.

- Owszem, w tym wszystkim jest - albo byłby -jakiś sens, gdyby nie jedna rzecz. - Przyciągnął ją do siebie i obdarzył namiętnym pocałunkiem.

- Nie rób tego. - Zarzuciła mu ręce na szyję i mocno do niego przyłgnęła. - Nie rób tego, Cade. Nie wiem, jakie było przedtem moje życie, ale teraz czuję się zagubiona. Najpierw muszę poznać odpowiedzi na wszystkie gnębiące mnie pytania.

- Nie martw się, znajdziemy te odpowiedzi. Masz na to moje słowo. Ale teraz chcę od ciebie jednego. - Spojrzał jej w twarz. Spodziewał się ujrzeć łyzy, które zmieniają czekoladowy brąz jej oczu w ciemne złoto. - Powiedz mi, czy mnie kochasz, Bailey. Albo mi powiedz, że mnie nie kochasz.

- Nie mogę...

- Tylko to jedno pytanie - powiedział cicho. - Żeby na nie odpowiedzieć, nie potrzebujesz wczorajszego dnia.

Rzeczywiście, nie potrzebowała niczego prócz rozeznania we własnym stanie uczuć.

- Nie mogę powiedzieć, że cię nie kocham, bo nie potrafię cię okłamywać. - Potrząsnęła głową i przycisnęła palce do jego ust, zanim zdążył się odezwać. - Nie powiem ci też, że cię kocham, bo to nie byłoby fair. Ta odpowiedź musi zaczekać, póki ja nie poznam odpowiedzi na swoje pytania, póki się nie dowiem, kim jest kobieta, która ci to powie. Daj mi trochę czasu.

Dam jej ten czas, pomyślał, gdy jej głowa znowu spoczęła na jego ramieniu. Postanowił solennie, że nic i nikt nie zdoła

mu jej odebrać, bez względu na to, co oboje odnajdą w jej przeszłości.

Cade zawsze lubił powtarzać, że do wszystkiego można dojść metodą „krok po kroku”. Bailey zastanawiała się, ile jeszcze tych kroków będzie musiała zrobić. Miała uczucie, jakby tego dnia pokonała bardzo wysokie schody, a na samej górze przekonała się, że wie tyle samo co na dole.

Być może to przekonanie nie było do końca prawdą, stwierdziła, sadowiac się przy stole w kuchni, z notatnikiem i ołówkiem. Nawet potrzeba sporządzenia listy tego, co już wiedziała, wskazywała na to, że jest osobą zorganizowaną - taką, która widzi wszystko w kolorze czarnym albo białym.

Kim jest Bailey?

Kobietą, która ma zwyczaj wstawać o tej samej porze. Czy jest przez to nudna i pedantyczna, czy może odpowiedzialna i obowiązkowa? Lubi mocną, czarną kawę, jajecznicę i średnio wysmażone steki. To raczej przeciętne upodobania. Ciało ma szczupłe, niezbyt umięśnione, bez śladów opalenizny. Z tego wniosek, że nie jest fanatyczką siłowni i solarium. Może ma pracę, która zatrzymuje ją w domu?

A to znaczy, pomyślała z humorem, że nie jest drwalem ani ratownikiem. Jest praworęczną, piwnooką blondynką i jest pewna, że to naturalny kolor jej włosów, albo też bliski tego, z jakim się urodziła.

Wie dużo o klejnotach. Może to być jej hobby lub praca, a może po prostu lubi nosić biżuterię. Weszła w posiadanie diamentu wartego fortunę, który albo ukradła, albo kupiła - co uznała za mało prawdopodobne - albo też zdobyła przez pewnego rodzaju niecodzienny przypadek.

Była świadkiem brutalnej napaści, prawdopodobnie morderstwa, po czym uciekła.

Ponieważ na samą myśl o tym poczuła narastający ból w skroniach, postanowiła ominąć to wydarzenie.

Nuci muzykę klasyczną pod prysznicem i lubi oglądać stare, czarno-białe filmy w telewizji. A przy tym wszystkim nie ma pojęcia, jak się to ma do jej przeszłości i pochodzenia.

Lubi atrakcyjne stroje, dobre materiały i - jeśli ma możliwość wyboru - unika jaskrawych kolorów.

Nagle przeraziła się, że może być lekkomyślna i próżna.

Miała, za to przynajmniej dwie przyjaciółki, które były częścią jej życia. Grace i MJ. MJ. i Grace. Zaczęła wypisywać ich imiona na kartce w nadziei, że za którymś razem uda jej się wykrzesać jakąś iskierkę.

Wiele dla niej znaczyły, czuła to. I bała się o nie, choć nie potrafiła powiedzieć dlaczego. Może jej umysł jest białą plamą, ale serce mówiło jej, że były dla niej kimś wyjątkowym - bliższym niż ktokolwiek inny na tym świecie.

Tyle tylko, że bała się zaufać swojemu sercu.

Była też jeszcze jedna rzecz, której Bailey nie chciała zakwalifikować jako czarną lub białą. Nie miała kochanka. Nie było w jej życiu nikogo, na kim by jej tak zależało - i komu by na niej tak zależało - żeby się zdecydować na intymność. Może w przeszłości była zbyt wybredna, zbyt nietolerancyjna, zbyt zajęta sobą, żeby w pełni zaakceptować mężczyznę.

A może była zbyt pospolita, zbyt nudna, zbyt mało pociągająca, żeby jakiś mężczyzna zapragnął wziąć ją w ramiona?

Jakkolwiek było - teraz miała już kochanka.

Dlaczego sam akt miłosny nie wydał jej się ani obcy, ani przerażający, co przecież byłoby normalne u osoby bez doświad-

czenia? Wprost przeciwnie: z Cade'em wszystko wydało jej się tak naturalne jak oddychanie.

Naturalne, podniecające i doskonałe.

Powiedział jej, że ją kocha, ale jak mogła w to wierzyć? Przecież nie wiedział, jaka ona jest, nie znał jej przeszłości, nie miał pojęcia, skąd się wywodzi. Kiedy odzyska pamięć, może się okazać, że Cade nie będzie w stanie jej zaakceptować.

To, co jej wyznał, nie ma na razie znaczenia. Cade musi najpierw poznać prawdziwą Bailey.

A jej uczucia? Z bladym uśmiechem odłożyła ołówek. Coś przyciągało ją do niego już od pierwszej chwili. Zaufała mu, gdy tylko wziął ją za rękę. A zakochała się w nim, kiedy zobaczyła, jak w kuchni rozbija jajka do miski.

Niestety, i w tym przypadku nie mogła ufać własnemu sercu. Im bardziej byli bliscy prawdy, tym bardziej przybliżał się moment, w którym być może odwróca się do siebie plecami, i każde pójdzie w swoją stronę.

Bez względu na to, jak bardzo tego pragnęła, nie mogła po prostu zostawić płóciennej torby w sejfie Cade'a i zapomnieć o jej istnieniu.

- Zapomniałaś o czymś.

Drgnęła, a potem szybko odwróciła głowę i spojrzała mu w twarz. Jak długo stał za nią, czytając ponad jej ramieniem notatki, podczas gdy ona o nim myślała?

- Przyszło mi do głowy, że dobrze byłoby zapisać wszystko, co wiem.

- Zawsze masz dobre pomysły. - Cade podszedł do lodówki i wyjął dla siebie piwo, a Bailey nalał mrożonej herbaty.

Siedziała z niewyraźną miną, zaciskając dłonie. Czy naprawdę niespełna godzinę temu kochali się na skąpanej w słońcu

pościeli? I jak zachować tę intymność w czystej kuchni, nad szklanką zimnego napoju i plikiem notatek?

Cade wydawał się nie mieć z tym najmniejszego problemu. Usiadł naprzeciw Bailey, położył nogi na wolnym krześle i sięgnął po notatnik.

- Lubisz się zamartwiać.

- Naprawdę?

- Tak. - Przejrzał kilka stron, a potem zaczął spisywać nową listę. - W tej chwili też się martwisz. Nie wiesz, co powinnaś powiedzieć facetowi, który został twoim kochankiem i który jest w tobie nieprzytomnie zakochany, i chce spędzić z tobą resztę życia.

- Cade...

- Ja tylko stwierdzam fakt. - Jeżeli będzie go stwierdzał wystarczająco często, Bailey w końcu go zaakceptuje. - Nasza miłość była wspaniała i łatwa, więc i to cię martwi. Czemu pozwoliłaś facetowi, którego znasz od trzech dni, na to, na co nie pozwoliłaś dotąd żadnemu innemu mężczyźnie? - W oczach Cade'a pojawiły się wyzywające błyski. - Odpowiedź jest prosta i oczywista. Jesteś we mnie równie szaleńczo zakochana jak ja w tobie, tylko boisz się przyjąć to do wiadomości.

Bailey podniosła szklankę do ust i upiła łyk zimnej herbaty, żeby ochłodzić sobie gardło.

- Więc jestem tchórzem?

- Nie, Bailey, nie jesteś tchórzem, ale nieustannie żyjesz w strachu, że nim jesteś. Jesteś mistrzem zamartwiaczy. A także, jak mi się wydaje, kobietą, która ma mało wiary we własne siły i mało tolerancji dla własnych słabości. Osobą niesłuchanie samokrytyczną.

Zapisał te stwierdzenia, a Bailey skrzywiła się na widok tych słów.

- Wydaje mi się, że osoba w mojej sytuacji powinna przynajmniej spróbować osądzić siebie samą.

- Praktyczna, racjonalna - pisał dalej Cade. - Teraz, na jakiś czas, zostaw ocenę mnie. Jesteś odpowiedzialna, zorganizowana, zdolna do współczucia. Jesteś także zwolenniczką pewnej rutyny. Powiedziałbym, że piastujesz jakieś stanowisko, które prócz intelektu wymaga także tych cech. W pracy jesteś zdyscyplinowana i precyzyjna. Masz także wyrafinowany gust i jesteś estetką.

- Skąd ta pewność?

- Bailey, to, że zapomniałaś, jaka jesteś, wcale nie znaczy, że się zmieniłaś. I to jest właśnie najsłabszy punkt twojej argumentacji. Jeżeli przedtem nie znosiłaś na przykład brukselki, wedle wszelkiego prawdopodobieństwa nie będziesz jej nadal lubić. Jeżeli byłaś uczulona na sierść kotów, nadal będziesz kichać w ich obecności. A jeśli miałaś gorące, wrażliwe serce i byłaś z gruntu osobą moralną, nie zmieniłaś się, a to samo serce bije i teraz w twojej piersi. Tutaj chciałbym zakończyć.

Wyciągnęła szyję, próbując czytać do góry nogami.

- Co tam piszesz?

- Masz strasznie słabą głowę. Może to wynik jakichś kłopotów z przemianą materii. W związku z tym proponuję, żebyśmy się później napili wina, tak bym mógł wykorzystać tę twoją słabość. - Posłał jej łobuzerski uśmiech. - I często się czerwienisz. To taka słodka, staroświecka reakcja. Jesteś schludna. Rozwieszasz starannie ręcznik po kąpielu, spłukujesz po sobie talerze, codziennie ścielisz swoje łóżko.

Były też inne szczegóły, pomyślał. Kręciła stopą, kiedy była

zdenerwowana, jej oczy robiły się złote, gdy była podniecona, a głos stawał się lodowaty, kiedy czuła się urażona.

- Odebrałaś staranne wykształcenie, prawdopodobnie na północy, sądząc po twoim słownictwie i akcencie. Podejrzewam też, że pilnie studiowałaś, i nieczęsto chodziłaś na randki. Inaczej nie byłabyś do dzisiejszego dnia dziewicą. O, znowu się zarumieniłaś. Bardzo mi się to podoba.

- Co to ma do rzeczy?

- Aha, znowu ten chłodny, uprzejmy ton. Wybacz mi - dodał, a potem pociągnął łyk piwa. - Masz szczupłe ciało, gładką skórę. Albo bardzo o nie dbasz, albo to wynik genetycznych uwarunkowań. A tak przy okazji, podoba mi się ten twój jednorozec.

Bailey chrząknęła.

- Dziękuję.

- Nie dziękuj - powiedział ze śmiechem Cade. - Tak czy inaczej, masz dość pieniędzy, żeby się elegancko ubierać. Te skórzane włoskie pantofelki, w których przyszłaś do mojego biura, kosztują w domach towarowych dwieście pięćdziesiąt dolarów. Nosisz też jedwabną bieliznę. Powiedziałbym, że jedwabna bielizna i jednorozec świadczą o tym, że lubisz być troszkę prowokacyjna.

Bailey otworzyła usta.

- Przeszukiwałaś moje rzeczy? Moją bieliznę? - wydyszała z oburzeniem.

- Tak, to, co miałaś, a wszystko wyłącznie dla dobra śledztwa. Nosisz piękną bieliznę - powiedział. - Bardzo podniecającą, a zarazem prostą i drogą. Myślę, że brzoskwiniowy jedwab wygląda na tobie wspaniale.

Bailey cicho jęknęła, a potem umilkła. Co mogła na to powiedzieć?

- Nie znam przeciętnych rocznych dochodów gemmologa albo projektanta biżuterii, ale przypuszczam, że jesteś albo tym, albo tym. Śmiem twierdzić, że jesteś naukowcem z zawodu, a artystką z powołania.

- To duży krok. Cade.

- Wcale nie. To tylko kolejny krok. Próbujemy poskładać wszystkie kawałki. Czy nie uważasz, że diament taki jak ten w sejfie potrzebuje konsultacji gemmologa? Ktoś przecież musi zweryfikować jego autentyczność i oszacować wartość. Tak jak ty to zrobiłaś wczoraj.

Bailey znowu zaczęły drżeć ręce, więc spłótła je na kolanach.

- Jeżeli to prawda, to wzrasta prawdopodobieństwo, że go ukradłam.

- Nie, wcale nie. - Zniecierpliwiony, zaczął stukać ołówkiem w notatnik. - Spójrz na inne fakty. Dlaczego nie potrafisz zobaczyć samej siebie? Nie zdołałabyś ukraść nawet gumy do żucia. Czy to, że czujesz wyrzuty sumienia na samą myśl o tym, nie daje ci nic do myślenia?

- Ale faktem jest, że mam ten kamień.

- Owszem. Czy nigdy nie przyszło ci do tej twojej rozsądnej i uporządkowanej głowy, że może go chronisz?

- Ja go chronię? A przed czym?

- Przed tym kimś, kto zabił, żeby go dostać. Przed tym kimś, kto zabiłby i ciebie, gdyby cię znalazł. Wszystko doskonale pasuje do siebie, Bailey. Jeżeli rzeczywiście są trzy klejnoty, ty możesz wiedzieć, gdzie znajdują się dwa pozostałe. Może nawet chronisz wszystkie trzy.

- Jak?

Cade miał na ten temat swoją własną teorię, ale nie sądził, żeby Bailey była gotowa jej wysłuchać.

- Nad tym jeszcze popracujemy. A tymczasem muszę zadzwonić w parę miejsc. Jutro czeka nas pracowity dzień. Rano przyjdzie rysownicza z policji i spróbuje pomóc ci stworzyć portret pamięciowy twoich przyjaciółek. Udało mi się też namówić jednego z pracowników Smithsonian Institute i jesteśmy umówieni na jutro, na pierwszą.

- Umówili się na wolny dzień?

- W tym miejscu właśnie przydało się nazwisko i majątek Parrisów. Mała wzmianka o darowiźnie otwiera wiele starych, zardzewiałych zamków. Sprawdzimy też, czy ten butik nie będzie otwarty. Może uda nam się znaleźć kogoś, kto zapamiętał, jak kupowałaś zielony kostium.

- Mam wrażenie, że ciągle za mało się staramy.

- Kochanie, przeszliśmy bardzo długą drogę w bardzo krótkim czasie.

- Masz rację. - Bailey wstała i podeszła do okna. Jakiś ptaszek w gałęziach klonu wyśpiewywał na całe gardło. - Nawet nie potrafię powiedzieć, jak bardzo jestem ci wdzięczna.

- Za moje usługi profesjonalne wystawię ci rachunek - powiedział. - A za resztę nie chcę żadnej wdzięczności.

- Ale ja jestem ci winna wdzięczność, czy chcesz ją przyjąć, czy nie. Dzięki tobie moje obecne życie stało się znośne. A nawet znacznie więcej niż znośne. Nie wiem, ile razy śmiałam się i płakałam dzięki tobie, ile razy zapomniałam o dręczących mnie koszmarach, bodaj na krótką chwilę. Myślę, że bez ciebie bym oszalała, Cade.

- Zawsze chcę być z tobą, Bailey. Nawet gdybyś zamierzała się mnie pozbyć, to ci się nie uda.

- Przywykłeś dostawać to, co chcesz - mruknęła. - Ciekawe, czyja też. Niestety, mam wrażenie, że ze mną jest inaczej.

- To akurat potrafisz zmienić.

Miał rację. To jedynie kwestia cierpliwości, wytrwałości, kontroli. Oraz tego, by chcieć właściwych rzeczy. Pragnęła go, chciała myśleć, że któregoś dnia usiądzie w tym ogrodzie, słuchając śpiewu ptaków, podczas gdy Cade będzie spokojnie drzemać w hamaku. To mógłby być ich wspólny dom. Ich życie. Ich rodzina.

Jeśli to jest ta właściwa rzecz, a jej nie zabraknie wytrwałości.

- Mogę ci coś obiecać. - Wiedziona impulsem, odwróciła się i pozwoliła, by serce wzięło górę nad rozumem. Cade był wszystkim, czego potrzebowała, kiedy tak siedział boso i w rozdartych na kolanie dżinsach, a za długie włosy opadały mu na kark.

- Gdy już będzie po wszystkim, kiedy wszystkie fragmenty zostaną złożone w jedną całość... jeżeli wtedy nadal będziesz mnie chciał, wyjdę za ciebie.

Serce podskoczyło mu w piersi. Ostrożnie odstawił na bok butelkę i wstał.

- Powiedz mi, że mnie kochasz.

Miała to w sercu i tak bardzo chciała powiedzieć, ale potrząsnęła głową.

- Kiedy już będzie po wszystkim, gdy będziesz wszystko wiedział. I jeżeli nadal będziesz mnie chciał.

- Takie przyrzeczenie wcale mi nie odpowiada. Żadnych warunków, Bailey. Żadnych „kiedy” i żadnych „jeżeli”. Chodzi mi tylko o ciebie.

- Tylko to mogę ci dać. To wszystko, co mam.

- We wtorek możemy pojechać do Maryland i wziąć tam licencję. Wtedy ślub jest już tylko kwestią paru dni.

Mógł ich sobie wyobrazić, jak szaleńczo zakochani wyciągają z łóżka w środku nocy jakiegoś prowincjonalnego sędziego.

A potem, w saloniku, gdzie stary pies drzemie w kącie na macie, żona sędziego gra na pianinie, a on i kobieta jego snów wymieniają przysięgę, trzymając się za ręce.

A kiedy włoży jej na palec obrączkę, a ona jemu, połączą się na wieki.

- W Maryland nie trzeba robić badania krwi - ciągnął. - Trzeba tylko wypełnić kilka formularzy i już po wszystkim.

Mówił serio. Patrząc w jego zielone oczy, stwierdziła ze zdumieniem, że mówi to, co myśli. Że wzięłby ją tak, jak stała, nie wiedząc, kim jest. I kochałby bez zastrzeżeń.

Jak mogła mu na to pozwolić?

- A jakie nazwisko wpisałabym w formularz?

- To nie ma znaczenia. Ja dałbym ci swoje nazwisko. - Chwycił ją za ręce i przyciągnął do siebie. W całym swoim życiu nie spotkał nikogo, kogo by tak bardzo potrzebował. - Przyjmij moje nazwisko, Bailey.

Jakie to proste, pomyślała, kiedy dotknął wargami jej ust. Wystarczy przyjąć to, co oferował - miłość, bezpieczeństwo, obietnice. Niech przeszłość przyjdzie, kiedy chce, a teraz trzeba cieszyć się życiem.

- Przecież wiesz, że tak nie można. - Przytuliła policzek do jego policzka. - Oboje musimy poznać moją przeszłość.

Może i tak. Bez względu na to, jak atrakcyjny wydawał się pomysł szybkiego ślubu i podania fałszywych danych Bailey, nie była to odpowiedź, jakiej którekolwiek z nich oczekiwało.

- To mogłoby być zabawne - powiedział, starając się wprowadzić lżejszy nastrój. - Coś jakby wstępna praktyka. - Odsunął Bailey i uważnie wpatrywał się w jej twarz. Delikatną i zatroskaną. Śliczną. - Chcesz mieć wianek z kwiatów pomarańczy, Bailey? Białą suknię i muzykę organową?

Uśmiechnęła się, bo serce jej rwało się do tej wizji.

- Chyba tak. Wydaje mi się, że lubię tradycję.
- Wobec tego powinienem ci kupić tradycyjny diament.
- Cade...
- Tak sobie tylko mówię - mruknął, unosząc jej lewą rękę.
- Nie, choćbyś była nie wiem jaką tradycjonalistką, jeżeli chodzi o biżuterię, gust masz wyjątkowy. Znajdziemy coś, co ci się spodoba. Ale najpierw powinienem cię poznać z moją rodziną.
- Spojrzał jej w oczy i roześmiał się. - I niech cię Bóg ma w swojej opiece.

To tylko gra, pomyślała, trzeba udawać. Odpowiedziała mu uśmiechem.

- Marzę o tym, żeby poznać twoją rodzinę. A zwłaszcza zobaczyć Camillę, jak kręci piruety w baletowej spódniczce.

- Jeżeli potrafisz przez to przejść i nadal będziesz chciała wyjść za mnie, to jesteś zakochana we mnie równie beznadziejnie jak ja w tobie. Poddadzą cię surowej próbie, kochanie. A będą to robić bardzo wytwornie, w białych rękawiczkach. Gdzie chodziłaś do szkoły, co robi twój ojciec, czy twoja matka gra w brydża, czy w tenisa? A tak przy okazji, do jakich klubów należysz, i czy aby nie spotkali cię na zakupach w St. Moritz?

Bailey wcale nie wydawała się przerażona tą wizją.

- No to będę musiała przygotować sobie odpowiedzi - powiedziała ze śmiechem.

- Uwielbiam je wymyślać. Kiedyś przyprowadziłem pewną policjantkę na przyjęcie z okazji dziesiątej rocznicy ślubu Muffy. Nie mogłem się od tego wykręcić. Powiedzieliśmy wszystkim, że ona jest siostrzenicą premiera Włoch i kształciła się w szkole z internatem w Szwajcarii, a przyjechała do Waszyngtonu, żeby kupić sobie małe *pied-a-terre*.

Bailey ściągnęła brwi.

- Ach, tak?

- Wszyscy wręcz rzucili się na nią. Zresztą myślę, że to samo zrobiliby, gdyby poznali prawdę.

- To znaczy...?

- Była zwykłą policjantką, która urodziła się we włoskiej dzielnicy Nowego Jorku, a do Waszyngtonu przeprowadziła się po rozwodzie z facetem, który miał małą pizzerię na jednej z bocznych uliczek od Broadwayu.

- Czy ona była ładna?

- Jasne. - Cade błysnął zębami w uśmiechu. - Była cudowna. A potem była ta piosenkarka z restauracji, która...

- Nie chcę już tego słuchać. - Bailey odwróciła się, wzięła pustą szklankę i umyła ją starannie, robiąc z tego cały spektakl. - Musiałeś się spotykać z całą masą kobiet.

- To zależy, co rozumiesz przez „masę”. Chyba mógłbym ci przygotować listę nazwisk, adresów i rysopisów. Zechcesz mi ją przepisać?

- Nie.

Cade z zadowoleniem musnął ustami jej kark.

- Ale tylko jedną kobietę poprosiłem o rękę.

- Dwie - poprawiła go, po czym z hałasem odstawiła kryształowo czystą szklankę na blat.

- Jedną. Nie prosiłem o to Carli. To jakoś tak samo wyszło. A teraz - o ile wiem - ona jest szczęśliwą żoną jakiegoś zamożnego adwokata i dumną mamą małej, tłustej córeczki imieniem Eugenia. Tak czy inaczej, to się nie liczy.

Bailey przygryzła wargę.

- Nie chciałeś mieć dzieci?

- Ależ chciałem. Nadal chcę. - Cade odwrócił się i delikat-

nie ją pocałował. - Ale nie nazwiemy żadnego z naszych dzieci Eugenia. A teraz, co byś powiedziała na kolację w jakimś spokojnym miejscu, żebyśmy się mogli całować przy stoliku? A potem popatrzeć na fajerwerki. Zastanów się nad tym.

- Jest jeszcze za wcześnie na kolację.

- Dlatego mówię, że trzeba się nad tym zastanowić. - Pociągnął ją za sobą. - Najpierw musimy iść na górę i znowu się pokochać.

Serce podskoczyło jej w piersi. Zarzuciła Cade'owi ręce na szyję.

- Musimy?

- To nam pomoże przetrwać czas do kolacji. Chyba że wolisz zagrać w pokera?

Bailey pocałowała go w szyję.

- No, jeżeli nie mam wyboru...

- Wiesz co, moglibyśmy zagrać w rozbieranego pokera. Ha, ale byśmy wtedy oszukiwali.

Cade, z głową pełną pomysłów, jak będą się kochać, był już w połowie drogi na górę, kiedy nagle rozległ się dzwonek u drzwi. Posadził Bailey na schodach, a sam poszedł otworzyć.

Wystarczył jeden rzut oka przez szklaną płytkę w drzwiach. Jęknął z rozpacz.

- Jak zwykle, w samą porę. - Z ręką na klamce odwrócił się do Bailey. - Kochanie, ta kobieta po drugiej stronie drzwi to moja matka. Zdaję sobie sprawę, że wyraziłaś uprzejmą chęć poznania mojej rodziny, ale dam ci tę jedyną szansę, bo cię kocham. Naprawdę. Radzę ci, uciekaj, schowaj się gdzieś i nie pokazuj się, póki ona sobie nie pójdzie.

Bailey, mocno zdenerwowana, wyprostowała się z godnością.

- Przestań zachowywać się jak głupek i otwórz drzwi.

- Dobrze, ale pamiętaj, że cię ostrzegałem. - Pociągnął za kławkę i z promiennym uśmiechem otworzył. - Mama! - Tak jak tego po nim oczekiwano, pocałował ją w gładki, lśniący policzek. - Co za miła niespodzianka.

- Nie musiałabym robić ci takich niespodzianek, gdybyś choć raz odpowiedział na moje telefony. - Leona Parris dumnie wkroczyła do holu. Była to niesamowita kobieta. Na jej widok Bailey wręcz osłupiała. Jako matka trójki dorosłych dzieci i babcia kilkorga wnucząt Leona Parris musiała już przekroczyć sześćdziesiąt lat, a tymczasem wyglądała stosunkowo młodo i atrakcyjnie.

Jej lśniące, ciemnobrazowe włosy z modnymi, złotawymi pasemkami upięte były na karku w elegancki węzeł, który świetnie podkreślał jej cerę koloru kości słoniowej oraz twarz o zimnych, zielonych oczach, prostym nosie i nadąsanych ustach. Ubrana była w szykowny brązowy kostium, dopasowany w talii.

W uszach miała topazy o kwadratowym szlifie, wielkości kciuka. Bailey z niemym zachwytem patrzyła na kolczyki.

- Byłem zajęty - zaczął Cade. - Miałem kilka dość trudnych przypadków oraz pewną sprawę osobistą.

- Z całą pewnością nie chcę słuchać o twoich tak zwanych przypadkach. - Leona położyła torebkę na stoliczku. - A co do twoich spraw osobistych - jakiegokolwiek one są, nic nie usprawiedliwia zaniedbywania obowiązków rodzinnych. Postawiłeś mnie w bardzo kłopotliwym położeniu. Musiałam przeproszać Pamelę w twoim imieniu. To żałosne.

- Nie musiałabyś jej przeproszać, gdybyś mnie w to nie wpakowała. Przecież to był wyłącznie twój pomysł. - Cade poczuł, że zbiera w nim dawna złość, ale postanowił nie dać się sprowokować. - Mimo to przykro mi. Chcesz się napić kawy?

- Chcę usłyszeć od ciebie wyjaśnienie, Cade. Na wczorajszym garden party u Muffy - na którym także nie raczyłeś się pojawić - Ronald opowiedział mi jakąś zwariowaną historyjkę o tym, że jesteś zaręczony z kobietą, o której nigdy nie słyszałam, a która ma być spokrewniona z księstwem Kentu.

- Bailey. - Cade zdążył już o niej prawie zapomnieć. Teraz odwrócił się z przeproszającym uśmiechem i wyciągnął rękę.

- Bailey, bądź łaskawa podejść. Oto moja matka.

O Boże, tylko tyle była Bailey w stanie pomyśleć, kiedy schodziła na dół po schodach.

- Leona Parris, a to moja narzeczona Bailey.

- Miło mi panią poznać. - Bailey drżał lekko głosem. - Cade tylko mi o pani opowiadał.

- Doprawdy? - Całkiem atrakcyjna, pomyślała Leona. I wiedać, że dobrze wychowana. - Za to mnie ani słowem nie wspomniał o pani. Przepraszam, ale chyba nie dosłyszałam pani nazwiska.

- Bailey jest w Stanach dopiero od kilku miesięcy - wtrącił się Cade, cały w uśmiechach. - Chowałem ją tylko dla siebie. - Otoczył ramieniem jej talię i uściśnął gestem posiadacza. - Przeżyliśmy błyskawiczny romans, nieprawdaż, najdroższa?

- O, tak - wyjąkała Bailey. - Błyskawiczny. Rzeczywiście, można tak powiedzieć.

- Słyszałam, że jest pani projektantką biżuterii. Wspaniałe pierścionki - zauważyła Leona. - Unikatowe i piękne. Podobno jest pani także krewną księżną Kentu.

- Bailey nie lubi szermować nazwiskami - szybko wtrącił Cade. - Kochanie, czy nie powinnaś teraz zadzwonić? Pamiętaj o różnicy czasu między Stanami a Londynem.

- Gdzie się poznaliście? - drążyła Leona.

Bailey otworzyła usta, usiłując sobie przypomnieć, jaką wersję przygotowali dla RONALDA.

- Prawdę mówiąc...

- W Smithsonian Institute - gładko podsunał Cade. - Przed gablotą z Diamentem Nadziei. Ja prowadziłem właśnie pewną sprawę, a Bailey robiła szkice. Przez dwadzieścia minut mówiłem bez przerwy i chodziłem za nią po całym muzeum - pamiętasz, najdroższa, jak zagroziłaś mi, że wezwiesz strażnika? - ale w końcu oczarowałem ją na tyle, że dała się zaprosić na filiżankę kawy. A jeżeli już mowa o kawie...

- To śmieszne - przerwała mu Bailey. - Absolutnie śmieszne. Cade, przecież to twoja matka. Ja nie mogę się zgodzić na coś takiego. - Odwróciła się i zaczęła mówić wprost do Leony: - Nie poznaliśmy się w Smithsonian Institute i nie jestem spokrewniona z księstwem Kentu. A przynajmniej mocno w to wątpię. Poznałam Cade'a w piątek rano, kiedy przyszłam do jego biura, żeby go wynająć. Musiałam zatrudnić prywatnego detektywa, ponieważ cierpię na amnezję i nie wiem, skąd mam niebieski diament oraz ponad milion dolarów w gotówce.

Leona odczekała całe dziesięć sekund, stukając niecierpliwie nogą. Potem mocno zacisnęła usta.

- No cóż, jak widzę, żadne z was nie zamierza powiedzieć mi prawdy. Skoro wolicie częstować mnie tymi skandalicznymi wymysłami, mogę tylko powiedzieć, że dobraliście się jak w korcu maku.

Chwyciła torebkę i pomaszerowała do drzwi, a każdy jej krok świadczył o urażonej godności.

- Cade, spodziewam się twojego telefonu, kiedy uznasz, że przyszła pora wyjawić mi prawdę.

Bailey stała bez ruchu i patrzyła, jak rozbawiony Cade śmieje

się od ucha do ucha wpatrzony w drzwi, które zatrzasnęła za sobą jego matka.

- Nic z tego nie rozumiem. Przecież powiedziałam jej prawdę,

- A ja nareszcie zrozumiałem, co oznacza powiedzenie „prawda będzie twoim wyzwoleniem”. - Cade wybuchnął śmiechem, a potem porwał Bailey na ręce. - Jest taka urażona, że da mi święty spokój przez najbliższy tydzień. Albo i dwa. - Pocałował ją z zapałem i ruszył ku schodom. - Jesteś absolutnie fenomenalna. Kto by pomyślał, że wystarczy powiedzieć prawdę, żeby mieć ją z głowy? - Nie przestając się śmiać, wniósł Bailey do sypialni i położył na łóżku. - Trzeba to oblać. Mam butelkę zamrożonego szampana i zamierzam cię znowu upić.

Bailey usiadła i odgarnęła włosy z czoła.

- Cade, przecież to twoja matka. Nie masz wstydu.

- Nie, ja tylko walczę o przeżycie. - Nachylił się i obdarzył ją długim pocałunkiem. - No cóż, kochanie, teraz oboje jesteśmy czarnymi owcami. Nie masz pojęcia, jak się z tego cieszę.

- Nie wydaje mi się, żebym chciała zostać czarną owcą! - zawołała za nim, kiedy ruszył do drzwi.

- Już za późno! - odkrzyknął ze śmiechem.

ROZDZIAŁ 9

Mimo wszystko udało im się wyjść z domu, ale nieoczekiwanie wylądowali na wiejskim festynie w Maryland, gdzie zafundowali sobie steki z grilla i frytki smażone w orzechowym oleju. Cade myślał z początku o kolacji w małej, przytulnej restauracyjce, po której mieli się wybrać na pokaz ogni sztucznych w centrum miasta.

A potem nagle go olśniło. Diabelski młyn i strzelnice. Skoczna muzyka, migoczące lampki, robaczki świętojańskie na okolicznych polach, a na zakończenie ognie sztuczne.

Tak powinna wyglądać pierwsza randka.

Kiedy powiedział to Bailey, w chwili gdy tuliła się do niego w wagoniku rozpędzonej kolejki, wybuchnęła śmiechem, zacisnęła powieki, a potem jeszcze mocniej do niego przywarła.

Cade chciał spróbować wszystkiego i ciągnął ją z miejsca na miejsce, jak dziecko, które niecierpliwie szarpie rodziców za ręce. Bailey trzęsła się, wirowała i wzlatywała w górę, aż wreszcie zakreśliło jej się w głowie, a żołądek podjechał do gardła.

A potem Cade uniósł ku sobie jej twarz i stwierdził, że skoro nie jest zielona, mogą zacząć wszystko od nowa.

I tak też się stało.

- Teraz należy ci się nagroda - powiedział, kiedy na miękkich nogach wygramoliła się z ośmiornicy.

- Ach, błagam cię, mam już dość cukrowej waty.

- Myślałem raczej o słoniu. - Otoczył ją ramieniem i pościagnął w stronę strzelnicy. - O tym wielkim czerwonym.

Słoń miał chyba z metr wysokości, uniesioną trąbę i paznokcie u nóg polakierowane na jaskraworóżowy kolor. Bailey uśmiechnęła się promiennie.

- Jaki śliczny. - Uwodzicielsko zatrzepotała rzęsami. Cade, muszę go mieć.

- Wobec tego moim obowiązkiem jest upolować go dla ciebie. Odsuń się, panienko. - Wykupił żetony i wybrał wiatrowkę. Odczekał, aż zacznie się przed nimi przesuwać rząd różowych króliczków i kaczek ściganych przez wilka, a potem wycelował i zaczął strzelać.

Bailey roześmiała się, zaklaskała w ręce, a potem spojrzała na rząd trafionych zwierzaków.

- Nie spudłowałeś ani razu! - wykrzyknęła, a oczy zrobiły jej się całkiem okrągłe. - Ani razu!

Na widok jej pełnej podziwu twarzy Cade poczuł się dumny jak nastolatek.

- Pani życzy sobie słonia - powiedział do obsługującego strzelnicę i roześmiał się, kiedy Bailey rzuciła mu się w ramiona.

- Dziękuję, jesteś cudowny! Jesteś naprawdę wspaniały!

A ponieważ każdemu wykrzykownikowi towarzyszył grad pocałunków, Cade pomyślał, że Bailey może chciałaby też dostać brązowego psa o wielkich, oklapniętych uszach.

- Chcesz jeszcze coś?

- Człowieku, wykończysz mnie - mruknął mężczyzna ze

strzelnicy, a potem z westchnieniem wręczył Cade'owi garść nowych żetonów.

- A może ty masz ochotę spróbować? - Cade podał Bailey wiatrówkę.

- Może i tak. - Przygryzła wargę i zaczęła oglądać strzelbę. Wszystko wyglądało tak prosto, kiedy Cade to robił. - Dobrze, spróbuję.

- Musisz tylko popatrzeć przez tę małą szczelinę w kształcie litery V na końcu lufy - wytłumaczył Cade i stanął za nią, żeby pomóc jej zająć pozycję strzelecką.

- Widzę ją. - Bailey wstrzymała oddech i nacisnęła spust. Po wystrzale wzdrygnęła się, ale kaczki dalej płynęły, a króliczki nie przestawały podskakiwać. - Czy chybiłam?

- Tylko o kilka metrów. - Był już w stu procentach pewien, że Bailey nigdy w życiu nie miała w ręku broni. - Spróbuj jeszcze raz.

Więc próbowała i próbowała. Kiedy wreszcie udało jej się strącić kilka piórek i musnąć królicze futerko, Cade musiał wypłacić rozpromienionemu pracownikowi strzelnicy dwadzieścia dolarów.

- To wydawało mi się takie łatwe, kiedy ty to robiłeś.

- Nie przejmuj się, kochanie. To tylko zabawa. Co moja dziewczyna wygrała?

Pracownik sięgnął do najniższego rzędu nagród, zazwyczaj rezerwowanych dla dzieci poniżej dwunastu lat, i wręczył Bailey plastikową kaczuszkę.

- Jaka śliczna. - Bailey, zachwycona, wsunęła ją do kieszeni. - To moje pierwsze trofeum.

Trzymając się za ręce, ruszyli środkiem wesołego miasteczka, pośród gwaru, głośnej muzyki i świszających odgłosów

rozpędzonej karuzeli. Bailey podobały się jaskrawe dekoracje i kolorowe lampki, połyskujące jak klejnoty pośród balsamicznej nocy. Nie przeszkadzał jej także zapach smażonej oliwy, palonego cukru i pikantnych sosów. Wszystko wydawało się takie proste, jakby na świecie nie istniały żadne kłopoty - tylko światła, muzyka i śmiechy.

- Nie wiem, czy kiedykolwiek byłam na wiejskim festynie - powiedziała do Cade'a. - Ale nawet jeżeli byłam, to ten jest najlepszy ze wszystkich.

- Wciąż jestem ci winny kolację przy świecach.

Odwrociła głowę i uśmiechnęła się do niego.

- Chciałabym jeszcze raz przejechać się na diabelskim młynie.

- Jesteś pewna, że to wytrzymasz?

- Chcę się jeszcze raz przejechać. Z tobą.

Stanęła w kolejce i zaczęła kokietować małego chłopczyka, który oparł główkę na ramieniu ojca i patrzył na nią olbrzymimi, niebieskimi oczami. Zastanawiała się, czy dobrze radzi sobie z dziećmi i czy miała kiedykolwiek taką szansę. A potem oparła głowę na ramieniu Cade'a i oddała się marzeniom.

Jeżeli tak wyglądały zwyczajne noce w zwyczajnym życiu, mogłoby je spędzać razem. Trzymaliby się za ręce, jak teraz, i nic więcej by ich nie obchodziło. Nie bałaby się niczego, a jej życie byłoby tak pełne i bogate, i barwne jak karnawał.

A zresztą, czemu by nie udawać, że tak jest, choćby przez tę jedną noc? Co w tym złego?

Wsiadła do rozchybotanego wagonika za Cade'em i oparła mu głowę na ramieniu. A potem wzniesli się w niebo. Pod nimi ludzie przechadzali się po trawie. Nastolatki grupkami, dorośli parami, a dzieci biegały, krzycząc głośno z podniecenia. Wiatr

przynosił rozmaite zapachy, tworząc mieszanekę, którą Bailey mogłaby wdychać przez całe wieki.

Droga w dół była szybka i ekscytująca. Włosy wlatywały jej do góry, a żołądek podskoczył do gardła. Odchyliła głowę i zamknęła oczy w oczekiwaniu, aż znowu zaczną się wznosić do góry. Oczywiście Cade ją pocałował, czego też bardzo chciała. Pragnęła tego słodkiego, niewinnego spotkania warg, kiedy mknęli nad wyrosniętą letnią trawą, a światła wokół nich tworzyły tęczowy łuk.

Wykonali kolejny obrót, gdy pierwsze fajerwerki błysnęły złotem na tle czarnego nieba.

- Jakie to piękne. - Bailey chwyciła go za rękę. - Jak klejnoty wrzucone do morza. Szmaragdy, rubiny, szafiry.

Wielobarwny snop trysnął w niebo, a potem opadł blednącą fontanną i zgasł z głośnym trzaskiem. Ludzie w dole klaskali i gwizdali, napełniając powietrze harmidrem, jakiegoś dziecko głośno się rozpłakało.

- Boi się - mruknęła Bailey. - To brzmi jak wystrzał albo grzmot.

- Mój ojciec miał setera, który każdego roku na czwartego lipca chował się pod łóżko. - Cade bawił się palcami Bailey, podczas gdy ona oglądała pokazy. - Trząsał się potem godzinami.

- Huk pękających ogni sztucznych jest tak głośny, że można umrzeć ze strachu, jeśli się nie wie, co to jest.

Kiedy znaleźli się na samej górze koła, z nieba posypała się kaskada diamentów. Bailey poczuła, że serce zaczyna jej bić jak oszalałe, a w głowie wzbiera pulsujący ból. Wszystko przez ten hałas i wstrząsy przy wysiadaniu pasażerów z kolejnych wagoników.

- Bailey? - Cade przysunął się bliżej i spojrzał na nią z nie-

pokojem. Drżała, blada na twarzy, a oczy dziwnie jej pociemniały.

- Wszystko w porządku. Trochę mi się zakręciło w głowie.
 - Zaraz będziemy wysiadać. Jeszcze tylko kilka wagoników.
 ~ Nic mi nie jest. - Właśnie w tym momencie w niebo wystrzelił następny snop światła, a ją poraził natłok brutalnych obrazów.

- Wyrzucił ręce do góry - wyszeptała z trudem. Nie widziała już światła ani wielobarwnych diamentów, rozsypanych po niebie. - Wyciągnął je w górę, żeby chwycić nóż. Chciałam krzyknąć, ale nie mogłam. Nie mogłam. Nie mogłam się ruszyć z miejsca. Było ciemno, tylko lampa paliła się na biurku. Był tylko jeden strumień światła. Oni są jak cienie i krzyczą, ale ja nie mogę. A potem była błyskawica. Taka jasna. To trwało tylko ułamek sekundy, ale oświetliła cały pokój. A on... o Boże, jego gardło! On poderżnął mu gardło!

Ukryła twarz na ramieniu Cade'a.

- Nie chcę na to patrzeć. Nie mogę.
 - Nie myśl już o tym. Złap mnie mocno za szyję i oddychaj głęboko. - Wziął ją na ręce i wyniósł z wagonika, a potem ruszył przez trawnik. Bailey drżała, jakby nagle powietrze zrobiło się lodowate. Słyszał jej zdławiony szloch.

- Nic ci się nie może stać, Bailey. Nie jesteś już sama.

Przeszedł przez pole, na którym urządzono parking, i kłął za każdym razem, kiedy kolejny wystrzał przyprawiał ją o dygot. Kiedy wsadził ją do samochodu, zwinęła się w kłębek na siedzeniu, kiwając jak małe dziecko, a on szybko usiadł za kierownicą.

- Wypłacz się - powiedział, przekręcając kluczyk w stacyjce.
 - Jeżeli masz ochotę, krzycz. Nie pozwól, żeby to cię zadreńczyło.

Ponieważ nie starał się jej zawstydić, popłakała trochę, a po-

tem oparła obolałą głowę o oparcie fotela. Tymczasem Cade pędził wąską, krętą szosą w kierunku miasta.

- Wciąż widzę klejnoty - powiedziała po długim milczeniu. Głos miała schrypnięty, ale pewny. - Piękne kamienie. Całe masy. Lapis-lazuli i opale, malachity i topazy. Różnych kształtów, szlifowane i surowe. Mogę sobie wybrać, jakie chcę. Wiem, jak się nazywają i jakie to uczucie, kiedy się je trzyma w ręku. Jest tam długi kawałek chalcedonu, gładki w dotyku, w kształcie miecza. Leży na biurku jako przycisk do papierów. I ten śliczny rutyłowy kwarc ze srebrnymi nitkami, które wyglądają jak spadające gwiazdy. Widzę je bardzo wyraźnie. Są mi dobrze znane.

- Czujesz się wśród nich bardzo dobrze. Jesteś szczęśliwa.

- Tak, chyba tak. Kiedy o nich myślę, gdy widzę je przed oczami, mam takie miłe uczucie. Kojące. Jest też słoń, ale nie ten.

- Przytuliła się do pluszowego słonia. - Wyrzeźbiony z alabastru, a na grzbiecie ma derkę wysadzaną klejnotami, i ma też jaskrawoniebieskie oczy. Jest taki majestatyczny, a zarazem głupkowaty.

- Urwała na chwilę, próbując przebić się przez ścianę bólu, który rozsadzał jej skronie. - Są też inne kamienie, wszystkie możliwe rodzaje, ale one nie należą do mnie. Mimo to też są kojące. Kiedy o nich myślę, nie czuję strachu. Widzę nawet ten niebieski diament. Jest taki piękny. Istny cud natury. To zdumiewające, że właściwe pierwiastki, właściwe minerały, odpowiednie ciśnienie i odpowiedni czas potrafią tak się połączyć, by stworzyć coś tak absolutnie doskonałego. Oni się o nie kłócą. A raczej o ten diament - ciągnęła po krótkiej przerwie. Zaciśnęła mocno powieki, próbując przywołać widziane kiedyś obrazy. - Słyszę ich, jestem zła i oburzona. Niemal widzę siebie, jak idę do pokoju, w którym trwa kłótnia. Jestem wściekła, ale zarazem mam satysfakcję. To taka dziwna

kombinacja uczuć. A do tego boję się... tylko troszkę. Pewnie zrobiłam coś... ale nie wiem co.

Zacisnęła mocno pięści, usiłując sobie to przypomnieć.

- Postąpiłam pochopnie, impulsywnie, a może nawet nierozsądnie. Idę do drzwi. Są otwarte, a ich głosy odbijają się echem na zewnątrz. Podchodzę do drzwi i czuję, że cała drzę. Ale to nie tylko strach, nie wydaje mi się, żeby to był tylko strach. Jest w tym też trochę złości. Zaciskam w dłoni kamień. Mam go w kieszeni i czuję się lepiej, kiedy trzymam go w ręku. Jest tam też płócienna torba - stoi na stole, przy drzwiach. Jest otwarta i widzę, że są w niej pieniądze. Chwytam torbę, a oni nadal się kłóca.

Kiedy wjechali z przedmieść do centrum, blask świateł poraził jej oczy. Znowu zacisnęła powieki.

- Oni nie wiedzą, że ja tam jestem. Są tak zajęci sobą, że nawet mnie nie zauważyli. A potem widzę, że on ma w ręku no/o lśniącym, zakrzywionym ostrzu. A ten drugi wyciąga ręce, żeby chwycić za nóż. Biją się o niego, są już poza zasięgiem światła, ale wiem, że się biją. Nagle widzę krew i jeden z cieni się potyka. Za to drugi nadal się porusza. Nie przestaje się poruszać. Nie przestaje. A ja zastygam bez ruchu, ściskając w rękach torbę. I tylko patrzę. Nagle światło gaśnie i zapada kompletna ciemność. A potem błyskawica rozdziera ciemności i natychmiast robi się przeraźliwie jasno. On znowu przesuwają mu nożem po gardle i wtedy mnie widzi. Widzi mnie, a ja uciekam.

- Dobrze już, w porządku. - Ruch był o tej porze morderczy, co chwila trzeba było zatrzymywać i uruchamiać samochód Cade nie mógł wziąć Bailey za rękę, przytulić jej i pocieszyć.
- Nie szarżuj, Bailey. Porozmawiamy o tym w domu.

- Cade, to ta sama osoba - mruknęła, a z piersi wyrwał jej się na poły szloch, na poły śmiech. - Oni są tacy sami.

Przeklinając zatłoczone ulice, Cade dokonywał karkołomnych sztuczek, żeby wyprzedzić wlokące się przed nim pojazdy.

- Tacy sami jak co?

- Są identyczni. To ta sama osoba. Ale przecież to niemożliwe. Wiem, że to niemożliwe, bo jeden nie żyje, a drugi jest żywy. Boję się, że zwariowałam.

Znowu symbole, a może prawda? - pomyślał Cade.

- Co to znaczy, że oni są tacy sami?

- Mają taką samą twarz.

Bailey wniosła wypchanego słonia do domu, ściskając go w ramionach, jakby to była lina łącząca ją z rzeczywistością. W okolicach skroni czaił się ból, gotów w każdej chwili wybuchnąć z dawną siłą.

- Masz się teraz położyć. Zrobię ci herbatę.

- Nie, ja to zrobię. Czuję się znacznie lepiej, kiedy mam jakieś zajęcie. Jakiegokolwiek. Przepraszam cię, Cade. To był taki cudowny wieczór. - Kiedy znaleźli się w kuchni, postawiła uśmiechniętego słonia na stole. - Oczywiście do czasu - dodała.

- To był wspaniały wieczór. A jeżeli cokolwiek może nam się przydać w ułożeniu wszystkich kawałków w jedną całość, warto się trochę pomęczyć. Wiem, że cię to boli - ujął ją za rękę - i jest mi bardzo przykro, ale musisz przejść przez to wszystko, jeżeli mamy dotrzeć do celu.

- Wiem. - Bailey oswobodziła się z jego uścisku, a potem nastawiła czajnik. - Ja się nie załamie, Cade. Boję się tylko, że nie jestem dość zrównoważona. - Przyłożyła palce do skroni

i roześmiała się. - Śmieszne stwierdzenie w ustach osoby, która nawet nie pamięta swojego nazwiska.

- Ale zauważ, że coraz więcej sobie przypominasz, Bailey. I jesteś najbardziej zrównoważoną osobą, jaką kiedykolwiek poznałem.

- Martwię się też o ciebie, Cade, i o twój gust co do kobiet.

Ustawiła filiżanki na spodeczkach, koncentrując się na najprostszych czynnościach. Torebki herbaty, łyżeczki, cukiernica.

Ptaszek, który zamieszkał w gałęziach klonu, znowu rozpoczął swój koncert, a jego trele były jak płynne srebro. Pomyślała o kapryfolium oplatającym ażurowe ogrodzenie i nasycającym wieczorne powietrze słodkim aromatem, gdy nocny ptak wabił śpiewem partnerkę.

A także o młodej dziewczynie płaczącej pod wierzbą.

Wzdrygnęła się. Może to jedno ze wspomnień z dzieciństwa - gorzkie, a zarazem słodkie. Miała nadzieję, że te ilustracje z przeszłości zaczną teraz napływać szybciej.

- Wiem, że chciałbyś mi zadać kilka pytań. - Postawiła herbatę na stole, wyprostowała się i spojrzała na Cade'a. - Nie zadajesz mi ich, bo się obawiasz, że mogłabym się załamać. Ale nie bój się o to. Chcę, żebyś mnie o wszystko pytał. Łatwiej mi sobie przypomnieć, kiedy to robisz.

- Najpierw usiądźmy. - Cade podsunął Bailey krzesło i starannie mieszał w filiżance cukier, żeby zyskać na czasie. - Wiemy już, że w tamtym pokoju jest szary dywan, okno, stolik przy drzwiach. Jest też lampa na biurku. Jak wygląda to biurko?

- To biblioteczne biurko z drewna satynowego. Z czasów Jerzego III. - Odstawiła z brzękiem spodek. - O, to dobre pytanie. Nie spodziewałam się, że zapytasz o biurko, więc o nim nie myślałam. Ono po prostu tam było.

- Skoncentruj się na biurku, Bailey. Spróbuj mi je opisać.

- To piękny mebel. Błat ma intarsjowany różnym drewnem i bukszpanem. Z jednej strony znajduje się długa szuflada z fałszywymi panelami. Kiedy się ją otworzy, w środku są półki. Co za sprytnie urządzenie. Uchwyty są mosiężne i starannie wypolerowane.

Bailey zapatrzyła się w swoją herbatę.

- Teraz mówię zupełnie jak antykwariusz.

Nie, pomyślał Cade, raczej jak ktoś, kto kocha piękne przedmioty. I kto bardzo dobrze zna to biurko.

- Co jest na tym biurku?

- Lampa. Mosiężna, z zielonym, szklanym kloszem. Włącza się ją, pociągając za staroświecki łańcuszek. Są też papiery, równo poukładane stosy papierów na rogach biurka. Na środku leży oprawna w skórę księga, jest też pojemnik.

- Co?

- Pojemnik, mały papierowy kubek, w którym trzyma się pojedyncze kamienie. Są w nim szmaragdy, trawiastozielone, różniące się szlifem i liczbą karatów. Jest jubilerska lupa i mała mosiężna waga, a także kryształowa szklanka, z lodem topniejącym w whisky I... nóż... - Bailey oddychała z wielkim trudem.

- Jest tam nóż, z rzeźbioną rękojeścią z kości słoniowej i zakrzywionym ostrzem, stary i bardzo piękny.

- Czy ktoś siedzi przy biurku?

- Nie, fotel jest pusty. - Czuła, że lepiej nie patrzeć na nóż, lecz gdziekolwiek indziej. - Jest z ciemnoszarej skóry. Stoi zwrócony oparciem do okna. Na dworze szaleje burza. Błyskawice, ulewny deszcz. Oni starają się przekrzyczeć grzmoty.

- Gdzie oni są?

- Przed biurkiem. Stoją zwrócony twarzami do siebie.

Cade odsunął filiżankę i wziął Bailey za rękę.

- Co oni mówią, Bailey?

- Nie wiem. Coś o depozycie.

Weź depozyt i wyjedź z kraju. To zły interes. Zbyt niebezpieczny. On już podjął decyzję.

Słyszała wyraźnie ich głosy. Wykrzykiwali gniewne, brutalne słowa.

Podstępny sukinsyn.

Chcesz z nim gadać, proszę bardzo. Ja w to nie wchodzę.

My obaj. Razem. Nie ma odwrotu.

Ty weź kamienie i załatw to z nim. Bailey zrobiła się podejrzliwa. Ona nie jest taka głupia, jak myślisz..

Nie wyjdiesz, stąd. z tymi kamieniami. Nie wystawisz mnie do wiatru.

- On go odpycha. Biją się, popychają, szaiپیą, kopia. To przerażające, jak bardzo się nienawidzą. Nie rozumiem, jak oni mogą czuć do siebie taką nienawiść, skoro są tak do siebie podobni, że aż identyczni. Są tacy sami.

Nie chciał, żeby raz jeszcze przechodziła przez to, co nastąpiło potem. Postanowił ominąć opis zbrodni i wykonać następny krok.

- Co to znaczy, że oni są tacy sami?

- Mają takie same twarze. Takie same ciemne oczy i ciemne włosy. Wszystko mają takie same. Są jak lustrzane odbicie. Nawet ich głosy mają ten sam timbre. To ten sam człowiek, Cade. Nie wiem, jak to możliwe. Chyba że to się wcale nie zdarzyło. Może ja nie tylko straciłam pamięć, ale i postradałam zmysły?

- Nie, widzisz, jakie to proste, Bailey? Proste i całkiem oczywiste. - Cade ponuro się uśmiechnął, ale oczy mu załśniły.

- Przecież to bliźniaki.

- Bliźniaki? Bracia? - Wszystko w jej wnętrzu protestowa-

ło, każda cząsteczka jej jestestwa krzyczała: nie. Mogła tylko potrząsać głową i wciąż powtarzać: „nie, nie, nie”. Nie potrafiła zaakceptować tej prawdy. Nie chciała. - Nie, to nie to. To niemożliwe. - Odsunęła się gwałtownie od stołu. Krzesło zazgrzytało na kamiennej posadzce. - Nie wiem, co widziałam. - Zdecydowana zatrzymać atakujące ją obrazy, chwyciła filiżankę, rozlewając herbatę na stół, a resztę wylała do zlewu. - Było ciemno. Nie pamiętam, co zobaczyłam.

Widocznie nie chce pamiętać, pomyślał Cade. Nie jest jeszcze gotowa. A on nie miał zamiaru bawić się w psychoanalitika, póki Bailey nie dojdzie do siebie.

- Zostawmy to już. Miałaś ciężki dzień. Teraz musisz odpocząć.

- Tak. - Jej umysł rozpaczliwie domagał się spokoju, domagał się zapomnienia. Jednak bała się zasnąć, bała się swoich snów. Odwróciła się i przytuliła do Cade'a. - Chodź się ze mną kochać. Nie chcę myśleć. Chcę tylko, żebyś mnie kochał.

- Ależ kocham cię, kocham. - Poszukał ustami jej ust. - I też chcę się z tobą kochać.

Wyprowadził ją z kuchni, przystając co jakiś czas, żeby jej dotknąć albo ją pocałować. U stóp schodów rozpiął Bailey bluzkę, wsunął ręce pod materiał i nakrył dłońmi jej piersi.

Zachłysnęła się, chwyciła go za włosy i przyciągnęła jego głowę ku swojej.

Chciał być łagodny i delikatny. Ale jej usta były dzikie i desperowane. Zrozumiał, że tego właśnie potrzebowała. I przestał nad sobą panować.

Zdarł z niej stanik, patrząc, jak jej oczy płoną pożądaniem. A kiedy jego ręce wzięły ją w posiadanie, były natarczywe i szorstkie.

- Jest jeszcze tyle rzeczy, których nie zdążyłem ci pokazać.
 - Poszukał ustami delikatnego łuku między szyją i ramieniem, Tyle jest rzeczy, których nie zna, pomyślał ogarnięty dziką żądzą. - Możesz nie być jeszcze na to gotowa.

- To mi je pokaż. - Odchyliła głowę, a puls jej drżał jak u strwożonego ptaka. Jednak ten strach miał w sobie nagłą, wyzwalającą moc. - Chcę cię.

Jednym szarpnięciem zsunął jej spodnie i zawładnął jej kobiecością. Wbiła się paznokciami w jego ramiona, wzbierający w jej gardle jęk przeszedł w krzyk radości i trwogi.

Z chrapliwym oddechem patrzył, jak wlatywała coraz wyżej i wyżej. A wstrząśnięte spojrzenie jej oczu sprawiało mu przewrotną satysfakcję. Była kompletnie bezradna, zdana na jego łaskę-jeśli chciał ją taką mieć.

A bardzo chciał. Szybko wyłuskał ją z ubrań, a jego ręce były zręczne i pewne siebie. Kiedy już stała przed nim naga i drżąca uśmiechnął się. Obwiodł palcami jej sutki i zobaczył, że kurczowo zaciska drżące powieki.

- Należysz do mnie. - Głos miał niski, schrypnięty. - Chcę usłyszeć, jak to powiesz. Teraz należysz już tylko do mnie.

- Tak. - Była gotowa powiedzieć mu, co tylko chciał. Obiecać mu duszę i czego tylko zażąda. To już nie była leniwie płynąca rzeka, tylko istna powódź rozsalałych namiętności, Chciała, by te wzburzone wody uniosły ją ze sobą. - Jeszcze -jęknęła.

Więc dał jej jeszcze więcej. Jego usta pospieszyły w dół jej ciała, a potem wpiły się chciwie w źródło jej pragnień.

Drżała i dygotała, aż wreszcie przyszła eksplozja. Feeria kolorów eksplodowała jej w głowie - barwne światła z festynu i klejnoty, gwiazdy i tęcze. Przycisnęła plecy do poręczy i wcze-

piła się w nią rękami, żeby nie stracić równowagi, a świat wokół niej wirował jak na oszalałej karuzeli.

Potem przyszło uczucie rozkoszy tak potężnej, że aż bolesnej.

Cade chwycił ją w ramiona, a jej słabość napawała go radością. Zostawiwszy ubrania na schodach, chwycił Bailey na rękę i wniósł na górę. Tym razem w swoim łóżku, pomyślał ogarnięty dzikim pragnieniem, żeby tam właśnie ją posiadać.

Opadł wraz z nią na łóżko, czując, jak trawi go wewnętrzny żar.

To było cudowne. A zarazem nie do zniesienia. Usta Cade'a i jego ręce niszczyły ją, a zaraz potem pomagały jej się odrodzić. Pot zraszał jej skórę, która stawała się coraz bardziej śliska - a kiedy zrzucił z siebie ubranie, także jego skórę. Ciało Bailey wygięło się w łuk, błagając o więcej i wychodząc naprzeciw jego potężnemu pragnieniu.

Kiedy pociągnął ją do góry, na klęczki, objęła go udami, a potem odchyliła do tyłu, gdy sięgnął ustami do jej piersi. A gdy dotknęła głową materaca, zanurzył się w nią aż po kres.

Z ust Bailey wyrwał się gardłowy jęk - bezrozumny odgłos najwyższej rozkoszy. Czując, jak serce wali mu z całych sił w piersi, przyspieszył. Żadnych myśli, żadnych wątpliwości, nic, tylko rozpalona, oszalała jedność.

Twarz Bailey skąpana była w świetle księżyca, które malowało srebrem jej włosy i odbijało się w wilgotnej skórze. Nawet kiedy mgła przysłoniła mu świat, wciąż miał ten obraz przed oczyma, zamknął go pod powiekami.

Czekał tak długo, aż nabrał pewności, że zasnęła. Przez jakiś czas patrzył tylko na nią, oczarowany jej osobą i tym, co sobie nawzajem ofiarowali. Żadnej kobiecie, której dotykał, i żadnej ko-

biecie, która go dotykała, nie udało się nigdy osiągnąć tak głęboko, żeby chwycić go za serce i utrzymać je, oszalałe, w swojej dłoni.

Żądał od niej, aby mu powiedziała, że do niego należy. Ale prawdą było również to, że i on do niej należał. Ten cud sprawił, że poczuł się bardzo pokorny.

Przytulił usta do jej skroni. Kiedy ją opuszczał, leżała na brzuchu, z ręką wyciągniętą w jego stronę. Może zmęczenie sprawi, że będzie miała spokojniejsze sny. Zostawił drzwi otwarte, żeby móc ją usłyszeć, gdyby krzyczała przez sen albo go wołała.

Zaparzył sobie dzbanek kawy i zabrał go ze sobą do biblioteki. W bibliotece uśmiechnął się szyderczo do komputera, a potem go włączył. Zegar w rogu wybił północ, a później następne pół godziny, zanim Cade wreszcie odnalazł swój rytm.

Potrzebował zaledwie dwa razy tyle czasu co wyspecjalizowany haker, żeby na ekranie pojawiły się informacje, o które mu chodziło.

Eksperci od biżuterii. Teren wielkiej metropolii.

Przemknął wzrokiem przez listę, wspomagając się kofeiną, a potem przez dłuższą chwilę nastawiał drukarkę.

Boone i Syn.

Kleigmore - wycena diamentów.

Landis - projektowanie biżuterii artystycznej.

Komputer dostarczył mu informacji bardziej szczegółowej niż książka telefoniczna. Po raz pierwszy w życiu błogosławił technologię. Przeglądał dane, nazwiska, daty - ale wciąż bez skutku.

Salvini.

Salvini. Kiedy zaczął przeglądać tekst, cicho gwizdnął. Eks-

perci od wyceny i gemmolodzy. Specjalizacja - biżuteria i antyki. Firma została założona w roku 1952 przez nieżyjącego już Charlesa Salviniego.

Certyfikaty i przyjmowanie w komis. Zastawy. Konsultanci muzeów, a także prywatnych kolekcji. Projektowanie biżuterii na specjalne zamówienie. Naprawy i konserwacja. Wszystkie prace wykonywane w lokalu firmowym.

Jakiś adres z Chevy Chase, pomyślał. Czyli niedaleko. Firma cieszy się dobrą opinią. Właściciele - Thomas i Timothy Salvini. T.S. -bracia.

Bingo!

ROZDZIAŁ 10

Zastanów się, przecież nikt cię nie popędza - uspokoił Cade.

Bailey wzięła głęboki oddech i spróbowała być tak opanowana i precyzyjna, jak sobie życzył Cade.

- Wydaje mi się, że jej nos jest trochę bardziej szpiczasty.

Policyjny rysownik okazał się bardzo wyrozumiały i cierpliwą młodą kobietą, imieniem Sara. Musi być bardzo zdolna, pomyślała Bailey, inaczej Cade wezwałby kogoś innego. Sara siedziała teraz przy stole w kuchni, ze swoim blokiem i ołówkami oraz kubkiem parującej kawy.

- A teraz lepiej? - Kilkoma szybkimi ruchami ołówka poprawiła kontury nosa.

- Tak, tak mi się wydaje. Oczy też są trochę inne. Jej oczy były większe i bardziej skośne.

- O migdałowym kształcie? - Sara wymazała gumką zarys oczu, a potem poprawiła ich wielkość i kształt.

- Chyba tak - westchnęła Bailey. - Trudno mi to sobie dokładnie przypomnieć.

- Wystarczy mi ogólne wrażenie. - Sara uśmiechnęła się zachęcająco. - Od tego zaczniemy.

- Wydaje mi się, że ona miała szerokie usta, delikatniejsze

niż reszta twarzy. Poza tym pamiętam tylko zarys kości policzkowych.

- Całkiem niezła twarz - skomentował Cade, kiedy Sara wykonała prowizoryczny szkic. - Interesująca. Seksy.

Podczas gdy Bailey udzielała Sarze dalszych instrukcji, on uważnie przyglądał się powstającemu rysunkowi. Zaokrąglone kości policzkowe, krótko przycięte włosy z długą, postrzępioną grzywką, ciemne, mocno wygięte brwi, przenikliwy wzrok. Egzotyczna i zdecydowana, pomyślał, próbując dopasować osobowość do rysów.

- Tak, to jest bardzo podobne do tego, co pamiętam. - Bailey wzięła szkic z rąk Sary. Dobrze znała tę twarz i teraz, patrząc na nią, miała ochotę zarazem śmiać się i płakać.

MJ. Kim była MJ i co je łączyło?

- Chcesz sobie zrobić małą przerwę? - zapytał Cade, kładąc jej ręce na ramionach, żeby rozmasować napięte mięśnie.

- Nie, chciałabym, żebyśmy dalej nad tym popracowali. Jeśli pani nie ma nic przeciwko temu - zwróciła się do Sary.

- Ach, mogę to robić przez cały dzień. Muszę tylko mieć pod ręką gorącą kawę. - Sara podała Cade'owi pusty kubek z uśmiechem, który jednoznacznie świadczył o tym, że musieli znać się bardzo dobrze.

- Pani... to bardzo ciekawa praca - zaczęła Bailey.

Sara odrzuciła na plecy długie, rude warkocz. Miała na sobie swobodny, letni strój. Dżinsowe szorty i prosty, biały podkoszulek tworzyły wyjątkowo seksowną kombinację.

- Żyję z tego - powiedziała do Bailey - chociaż komputery powoli wypierają mnie z branży. To zdumiewające, co można zrobić z ich pomocą. Ale wielu policjantów i detektywów nadal

woli odręczne rysunki. - Wzięła z rąk Cade'a świeży kubek kawy. - Na przykład Parris jest gotów zrobić prawie wszystko, byle tylko uniknąć komputera.

- No, no, zaczynam się do niego powoli przyzuczać.

Sara prychnęła.

- Kiedy to nastąpi, będę zarabiała na życie, rysując karykatury w barach. - Wzruszyła ramionami, pokręciła głową, a potem sięgnęła po ołówek. - Chce pani teraz spróbować z tą drugą osobą?

- Tak, oczywiście. - Starając się nie myśleć o tym, jak dobrze znali się Sara i Cade, Bailey zamknęła oczy i usiłowała się skoncentrować.

Grace. Parokrotnie powtórzyła w myślach to imię, z nadzieją, że pociągnie to za sobą kolejne obrazy.

- Miękka - zaczęła. - W jej twarzy jest jakaś miękkość. Jest bardzo piękna, niewiarygodnie piękna. Twarz ma owalną, o klasycznych rysach. Włosy czarne i bardzo długie, opadają na plecy łagodną falą. Przypominają mięsisty, ciemny jedwab. Oczy szeroko rozstawione, o ciężkich powiekach i gęstych rzęsach. Są błękitne. Nos krótki i prosty. Idealny.

- Czuję, że przestaję ją lubić - mruknęła Sara, czym rozśmieszyła Bailey.

- Taka piękność ma niełatwe życie, nie uważa pani? - zapytała Bailey. - Ludzie widzą tylko jej urodę.

- Myślę, że jakoś bym sobie z tym poradziła. Jakie ona ma usta?

- Miękkie. Pełne.

- A niech ją.

- O, tak, właśnie takie. - Bailey poczuła, że krew zaczyna jej żywiej krążyć w żyłach. Sara szybko kończyła szkic. - Brwi są

trochę grubsze, a pod lewą brwią ma maleńkie znamię. O, tutaj - wskazała miejsce na swojej twarzy.

- No, teraz to już jej nienawidzę - stwierdziła Sara. - Nie chcę nawet wiedzieć, czy ciało ma równie piękne. Może chociaż ma słoniowe uszy?

- Nie, obawiam się, że nie. - Bailey z sympatią uśmiechnęła się do szkicu i znowu zachciało jej się płakać. - Jest uderzająco piękna.

- Jej twarz wydaje mi się znajoma.

Bailey znowu się zaniepokoiła.

- Naprawdę?

- Mogłabym przysiąc, że już ją gdzieś widziałam. - Sara zacisnęła wargi i machinalnie stuknęła ołówkiem w stół. - Może w jakimś piśmie. Wygląda jak jedna z tych modelek, które reklamują kosztowne perfumy albo krem. Jak się ma taką twarz, głupstwem byłoby nie zrobić z niej użytku.

- Modelka. - Bailey przygryzła wargę, próbując sobie przypomnieć. - Nie wiem.

Sara oderwała z bloku zarysowaną kartkę i podała ją Cade'owi.

- Co ty o tym sądzisz?

- Pożeraczka męskich serc - powiedział po chwili. - Pan Bóg musiał być w doskonałym humorze, kiedy ją stwarzał. Niestety, z niczym mi się nie kojarzy, a przecież jest to twarz, której żaden mężczyzna nie zapomni.

Ona ma na imię Grace, powtórzyła w myślach Bailey. I jest więcej niż piękna. To nie tylko twarz.

- Dobra robota, Saro. - Cade położył oba rysunki na stole.

- Masz trochę czasu?

Sara zerknęła na zegarek.

- Mogę wam poświęcić jeszcze pół godziny. ,

- A ten mężczyzna? - Cade nachylił się i zajął Bailey w oczy. - Czy teraz już wiesz, jak wyglądał?

- Janie...

- Wiesz, wiesz - powiedział zdecydowanie i z naciskiem, mimo że jego ręce łagodnie spoczywały na jej ramionach. - To bardzo ważne. Powiedz Sarze, co widzisz.

Wiedziała, że to będzie bardzo bolesne. Mięśnie żołądka już zaczynały jej się kurczyć na samą myśl o tym, że ma przywołać z pamięci wizerunek tego człowieka.

- Nie chcę go więcej widzieć.

- Ale chcesz poznać odpowiedzi. Chcesz, żeby już było po wszystkim. To kolejny krok w przód. Musisz zrobić ten krok.

Zamknęła oczy. Skronie zaczęły jej boleśnie pulsować. Znowu była w tym pokoju z szarym dywanem, a za oknami szalała burza.

- To brunet - powiedziała cicho. - Ma podłużną twarz, ściągniętą gniewem. Jego wąskie, uparte usta są mocno zacisnięte. Nos ma lekko haczykowany. Nie jest brzydki. Z jego twarzy bije jakaś siła. To bardzo charakterystyczna twarz, z głęboko osadzonymi oczami. Ciemnymi. Bardzo ciemnymi.

Gorejącymi z wściekłości. Czai się w nich zbrodnia. Bailey wzdrygnęła się, mocno zacisnęła powieki i spróbowała się skoncentrować.

- Zapadnięte policzki i wysokie czoło. Brwi ciemne, proste. Włosy też ma proste i ciemne, starannie przystrzyżone. U góry dłuższe, za to wygolone za uszami. To przystojna twarz, choć trochę psuje ją zarys szczęki, zbyt miękki i znamionujący słabość.

- Czy to on, Bailey? - Cade znowu położył jej rękę na ramieniu, żeby jej dodać otuchy.

Otworzyła oczy i spojrzała na szkic. Nie był dokładny, daleki od ideału. Oczy powinny być szerzej rozstawione, a usta pełniejsze. Ale i tak na widok tej twarzy zadrżała.

- Tak, jest bardzo do niego podobny. ~ Próbując wziąć się w garść, uniosła się powoli z krzesła. - Przepraszam na chwilę - mruknęła, po czym wyszła z pokoju.

- Ta dziewczyna jest przerażona - skomentowała Sara, chowając ołówki do pudełka.

- Wiem.

- Powiesz mi, jakie ma kłopoty?

- Nie jestem tego pewny. - Cade wsunął ręce do kieszeni.

- Wkrótce będę wszystko wiedział. Odwaliłaś kawał dobrej roboty, Saro. Jestem twoim dłużnikiem.

- Przyślę ci rachunek. - Sara pozbiierała swoje rzeczy i wstała. Lekko pocałowała Cade'a, patrząc mu uważnie w twarz.

- Nie wydaje mi się, żebyś miał jeszcze kiedyś ochotę zaprosić mnie na kolację.

- Jestem w niej zakochany - powiedział Cade.

- Tak, to widać. - Sara zarzuciła torbę na ramię, a potem musnęła palcami jego policzek. - Będzie mi ciebie brak.

- Przecież będę pod ręką.

- Tak, będziesz pod ręką - przyznała. - Ale tamte dzikie, zwariowane czasy już się dla ciebie skończyły, Parris. Ona mi się podoba. Mam nadzieję, że wam się uda. - Odwróciła się ze smutnym uśmiechem. - Sama trafię do drzwi.

Cade mimo wszystko odprowadził ją do wyjścia, a kiedy zamknął za nią drzwi, miał wrażenie, że rzeczywiście raz na zawsze zakończył pewien etap w swoim życiu. Etap, w którym przychodził i odchodził, kiedy miał na to ochotę i do kogo tylko zechciał. Czasy szalonych nocy w klubach, z miłą perspektywą

niezobowiązującego seksu. Czasy, w których nie odpowiadał za nikogo prócz siebie.

Spojrzał w górę. Tam, na piętrze, była Bailey. Odpowiedzialność, stabilizacja, obowiązki. Od tej pory już jedyna kobieta, aż do końca życia. Kobieta w tarapatach. Kobieta, która miała dopiero powiedzieć mu upragnione słowa i poczynić upragnione obietnice.

Mógł jeszcze odejść, a ona nie żywiłaby do niego najmniejszych pretensji. Szczerze mówiąc, był nawet pewny, że tego się po nim spodziewała. Widocznie ktoś musiał już kiedyś ją porzucić.

Potrząsając głową, ruszył do niej na górę z uczuciem, że niczego nie żałuje.

Bailey była w sypialni. Stała przy oknie, skrzyżowawszy ręce na piersiach.

- Wszystko w porządku?

- Tak, przepraszam. Byłam niegrzeczna dla twojej przyjaciółki. Nawet się z nią nie pożegnałam i nie podziękowałam.

- Sara to zrozumie.

- Dobrze się znacie.

- Tak, od kilku lat.

Bailey zawahała się, nim zapytała:

- Byliście ze sobą?

Cade uniósł brwi i podszedł do Bailey.

- Tak, byliśmy ze sobą. Zanim ciebie poznałem, byłem z innymi kobietami. Z kobietami, które lubiłem, na których mi zależało.

- Wiedziałaś - powiedziała z naciskiem, a w jej oczach zapaliły się niepokojące błyski.

- Wiedziałaś. - Cade pokiwał głową.

- To wszystko jest bez sensu. - Bailey przeczesła palcami włosy. - Ty i ja to bez sensu. Jak to się ma do reszty naszego życia? To nie powinno się zdarzyć.

- Ale jednak się zdarzyło. - Wsunął ręce do kieszeni, czując, że same zaciskają mu się w pięść. - Masz zamiar tak stać i mówić mi, że jesteś przygnębiona, bo poznałaś kobietę, z którą kiedyś sypiałem? Bo nie przyszedłem do ciebie w taki sam sposób jak ty do mnie?

- Czysty. - Słowo to wystrzeliło z jej ust jak pocisk. - Nie przyszedłeś do mnie czysty. Masz rodzinę, przyjaciół, kochanki. Swoje życie. A ja nie mam nic prócz fragmentów, które do siebie nie pasują. A poza tym nie obchodzi mnie ani trochę, z iloma kobietami sypiałeś. - Głos jej wzniósł się, a potem przeszedł w syk. - Chodzi mi wyłącznie o to, czy je pamiętasz. Pamiętasz je?

- Mam ci powiedzieć, że mnie nie obchodzą? -. Nagle ogarnęła go złość i panika. Bailey zaczynała się od niego oddalać. - Oczywiście, że mnie kiedyś obchodziły. Nie potrafię wymazać mojej przeszłości - nawet dla ciebie, Bailey.

- Wcale tego nie chcę. - Ukryła na moment twarz w dłoniach. Podjęła już decyzję. Teraz musiała skupić wszystkie siły, żeby przy niej wytrwać. - Przepraszam cię, Cade. Twoje prywatne życie przed tym, nim się poznaliśmy, to nie moja sprawa. Nie mogę mieć do ciebie żadnych pretensji. Chodzi mi tylko o to, że je w ogóle miałeś.

- Przecież ty też miałeś swoje życie.

- Tak. - Skinęła głową i pomyślała, że to właśnie tak bardzo ją przerażało. - Dzięki tobie jestem bliska poznania mojej przeszłości. Ale zdaję też sobie sprawę, że od razu powinnam iść na policję. Skomplikowałam sobie życie. I tobie też. Dlatego postanowiłam zrobić to teraz.

- Nie ufasz mi na tyle, żeby mi pozwolić, abym doprowadził tę sprawę do końca?

- Nie o to chodzi...

- Pewno, że nie - przerwał jej ze wzburzeniem. - Wiem, że nie chodzi o żadną policję, tylko o nas. O mnie i o ciebie. Myślisz, że uda ci się stąd tak po prostu wyjść? Uciec od tego, co zrodziło się między nami? - Wyjął ręce z kieszeni i chwycił ją za ręce. - Zastanów się.

- Ktoś nie żyje, a ja jestem w to wplątana - wyjąkała, drżąc. Nie była w stanie patrzeć mu w oczy. - Zrozum mnie, ja nie chcę cię mieszać w te sprawy.

- Teraz już za późno. W chwili gdy stanęłaś w progu mojego biura, było już za późno. Nie pozbędziesz się mnie tak łatwo.'

- Usta Cade'a zaczęły miażdżyć jej usta, a jego pocałunek miał smak frustracji i furii. Tulił Bailey w ramionach, aż wreszcie poczuł, że słabnie w jego objęciach.

- Nie rób tego - wydyszała, kiedy wziął ją na ręce. Ale i na to również było za późno, bo oto leżała pod nim na łóżku, a wszystkie jej zmysły szalały pod dotykiem jego dłoni.

- Guzik mnie obchodzi, czego nie pamiętasz. - Z pociemniałymi oczyma zdzierał z niej ubranie. - Postaram się za to, żebyś dobrze zapamiętała tę chwilę.

Czuła, że traci kontrolę nad sobą, nad czasem i nad miejscem. Cade wprowadził ją w świat doznań niepoohamowanych i dzikich, o których dotąd nie miała pojęcia i którym nie potrafiła się oprzeć. Jego usta atakowały jej piersi, śląc rozkosz do najdalszych zakątków jej ciała.

Z ust Bailey wyrwał się krzyk. Ale nie był to okrzyk przerażenia czy protestu, lecz świadectwo szaleńczej, bezrozumnej namiętności. Wpiła paznokcie w plecy Cade'a, otworzyła mu się kompletnie i bez reszty. W głowie kołatała jej tylko jedna myśl - teraz, teraz, teraz.

Wtargnął w nią, czując, jak konwulsyjnie zaciska się wokół niego, gdy pokonują kolejny próg. To była nieprzytomna, desperacka pasja. To wszystko było nie tak. Ale nie sposób było się temu oprzeć.

Uwięził jej dłonie w swoich i patrzył, jak na jej twarzy malują się kolejne fazy rozkoszy. Drzemiące w nim zwierzę wyzwoliło się wreszcie i zaatakowało ich oboje. Dlatego jego usta brutalnie miażdżyły jej usta a jego ciało - jej ciało, aż wreszcie wykrzyknęła ze szlochem jego imię, a jemu osłepiająca mgła do reszty zaćmiła rozum.

Pusty, wypalony, opadł na jej ciało, wstrząsane rytmicznym dreszczem. Z jej gardła wydobywał się jęk. Leżała osłabła, z rękami rozrzuconymi na skłębionej pościeli. Patrząc na nią, poczuł dojmujący wstyd.

Nigdy jeszcze nie brał kobiety w tak prymitywny sposób. Nigdy nie stawiał żadnej kobiety w sytuacji kompletnie bez wyboru. Przewrócił się na wznak i wbił wzrok w sufit, przerażony tym, co nagle odkrył w sobie.

- Przepraszam. - Zabrzmiało to wyjątkowo żałośnie i niepotrzebnie. Usiadł i ukrył twarz w dłoniach. - Sprawilem ci ból, Nie ma na to żadnego usprawiedliwienia. - Wstał i wyszedł z pokoju, zostawiając ją samą.

Usiadła, przyciskając dłoń do oszalałego serca. Ciało miała osłabłe i wciąż rozpalone, a głowę pełną rozkosznej mgły, która wcale nie chciała się rozwiać. Jedyne, czego była teraz świadoma, to że została brutalnie wzięta w posiadanie - przez nie znane jej dotąd doznania, przez niewyobrażalne namiętności - i przez Cade'a.

I było jej z tym cudownie.

Cade dał jej dość czasu, żeby mogła ochłonać, a sam wykorzystał go na przeprowadzenie kolejnych kroków. Trudno mu było skupić myśli, tak był wzburzony. Przedtem był zły, nawet wściekły. Potem zraniony, zawstydzony. Kiedy jednak zobaczył, jak Bailey schodzi na dół, starannie ubrana i uczesana, a zarazem zdenerwowana, znowu zalała go fala pretensji.

- Dobrze się czujesz, Bailey?

- Tak. Cade, ja...

- Zrobisz, co zechcesz - przerwał jej zimno. - Podobnie jak ja. Przepraszam, że potraktowałem cię w taki sposób.

Pod Bailey ugięły się nogi,

- Jesteś na mnie zły?

- Na ciebie i na siebie. Tyle że z samym sobą jakoś sobie poradzę. Ale najpierw muszę się uporać z tobą. Podobno chcesz ! odejść?

- Wcale tego nie chcę. - W jej głosie zabrzmiała błagalna nuta. - Natomiast wydaje mi się, że powinnam tak zrobić. Bóg jeden wie, w co cię wplątałam.

- Przecież mnie wynajęłaś.

Westchnęła, zniecierpliwiona. Jak on może być taki ślepy i uparty!

- Cade, to się tylko tak zaczęło.

- Masz rację. To sprawa osobista. Dlatego nie wyjdiesz stąd, powodowana bzdurnym poczuciem winy. Jeżeli masz jakieś inne powody, możesz sobie odejść, ale dopiero wtedy, gdy doprowadzimy tę sprawę do końca. Kocham cię, Bailey. - Słowa te, pełne furii, podkreśliły tylko kryjące się za nimi uczucie. - Jeżeli ani trochę cię nie obchodzę, jeżeli nie chcesz albo nie potrafisz mnie kochać, będę musiał z tym jakoś żyć. Jeśli jednak wyjdiesz w tym momencie, to nie jest żadne rozwiązanie.

- Ja tylko chcę...

- Chcesz iść na policję. - Przerwał na chwilę, a potem wsunął ręce do kieszeni, żeby ich nie wyciągnąć do Bailey. - W porządku, to twoja decyzja. Wynajęłaś mnie, żebym wykonał pewne zadanie, którego jeszcze nie skończyłem. I bez względu na osobiste odczucia twoje czy moje, zamierzam je doprowadzić do końca. A teraz weź torebkę.

Jak miała się zachować? Ten stojący przed nią wyniosły, rozwścieczony mężczyzna był jej bardziej obcy niż tamten, którego zobaczyła w zabałaganionym biurze zaledwie parę dni wcześniej.

- Jesteśmy umówieni w Smithsonian Institute, pamiętasz?
- zaczęła.

- Przełożyłem to spotkanie. Najpierw musimy pójść gdzie indziej.

- Gdzie?

- Weź torebkę - powtórzył. - Następny krok należy do mnie.

Przez całą drogę nie odezwał się ani słowem. Bailey rozpoznała kilka budynków, obok których już wcześniej przejeżdżali. Kiedy jednak wyjechali z miasta i znaleźli się w Maryland, zaczęła się denerwować.

- Wolałabym wiedzieć, dokąd jedziemy - odezwała się, czując narastającą panikę. Przerazały ją drzewa rosnące zbyt blisko drogi. Były za duże i za bardzo zielone,

- Wracamy - powiedział Cade. - Czasami trzeba tylko otworzyć drzwi i zobaczyć, co jest po drugiej stronie.

- Mieliliśmy porozmawiać z kustoszem w muzeum - upierała się przez ściśnięte gardło. Dałaby wszystko za szklanek wody.

- Powinniśmy zakręcić i wracać do miasta.

-Wiesz, dokąd jedziemy?

- Nie - zaprzeczyła ostro, kategorycznie. - Nie, nie mam pojęcia.

Zielone oczy Cade'a błysnęły w jej stronę.

- Po nowe fragmenty układanki, Bailey.

Kiedy skręcił z głównej drogi w lewo, usłyszał, jak jej oddech staje się ciężki, urywany. W pierwszym odruchu chciał ją, uspokoić, potem jednak zmienił zdanie. Wiedział już, że Bailey jest silniejsza, niż mu się wydawało. I potrafi przebrnąć przez to wszystko, a on jej w tym pomoże.

Jeśli to miejsce było obserwowane, Bailey znajdzie się na widoku. Musiał wziąć pod uwagę i tę możliwość, ale nie mógł już zrezygnować z zadania, które sobie wyznaczył. W końcu Bailey wynajęła go po to, żeby pomógł jej ułożyć w całość części pewnej układanki. A tutaj znajdował się ostatni brakujący fragment. Był tego pewny.

Przecież Bailey nie mogła dalej żyć w małym, bezpiecznym światku, który dla niej stworzył. Nadszedł czas, by każde z nich wykonało następny ruch.

Zacisnął zęby i wjechał na parking Salvinich.

- Wiesz, gdzie jesteśmy.

Skóra Bailey pokryła się potem. Niecierpliwym ruchem wytarła mokre dłonie w materiał spodni.

- Nie, nie wiem.

Był to stary, piętrowy budynek z cegły. Miał piękne, wysokie witryny, obramowane dobrze utrzymanymi krzewami azalii, które będą pięknie kwitły na wiosnę. Miejsce to było tak eleganckie, że prawdę mówiąc, Bailey nie powinna wzdrygnąć się na jego widok.

Na parkingu stał tylko jeden samochód. Ciemnoniebieska limu-

zyna marki BMW. Chromowane części karoserii lśniły w blasku słońca.

Budynek stał na rogu ulicy, a za nim, po drugiej stronie dużego parkingu, ciągnął się elegancki pasaż handlowy.

- Nie chcę tu być. - Bailey odwróciła wzrok, jakby nie chciała patrzeć na umieszczony na dachu szyld z napisem: SALVINI. - Widzisz, że mają dziś zamknięte - zwróciła się do Cade'a. -- Nie ma tu nikogo. Chodźmy stąd.

- Przecież na parkingu stoi jakiś samochód - stwierdził Cade, biorąc ją za rękę. - Co nam szkodzi zobaczyć? To nie boli.

- Nie! - Bailey wyszarpnęła dłoń i mocno wcisnęła się w fotel. - Ja tam nie idę! Nie idę i już!

- Co tam jest, Bailey?

- Nie wiem. - Trwoga. Czysta trwoga. - Nie wejdę do środka.

Wolałby raczej uciąć sobie rękę niż zmuszać Bailey, by zrobiła to, co zamierzał. Mając jednak na względzie jej dobro, wysiadł z wozu, obszedł go wokoło i otworzył drugie drzwiczki.

- Będę z tobą przez cały czas. Chodźmy.

- Już mówiłam, że tam nie wejdę.

- Tchórz - powiedział z pogardą. - Chcesz się ukrywać do końca życia?

Łzy trysnęły jej z oczu.

- Nienawidzę cię! - krzyknęła z furją i jednym szarpnięciem rozpięła pas.

- Wiem - mruknął, ujmując ją mocno za ramię, a potem podprowadził do wejścia.

W środku było ciemno. Przez okna widać było niewiele. Tylko gruby dywan i szklane gabloty, w których połyskiwało

złoto i szlachetne kamienie. Był to mały salon recepcyjny, bardzo elegancki, ze ścianami zawieszonymi lustrami i z kilkoma wyściełanymi fotelami, na których klienci mogli zasiąść, aby podziwiać swój zakup.

Bailey, ukryta za plecami Cade'a, drżała jak liść.

- Obejrzyjmy sobie ten dom od tyłu - powiedział.

Tyły budynku wychodziły na małą uliczkę dla personelu i dostawców. Cade obejrzał służbowe wejście, a zwłaszcza zamek w drzwiach, i uznał, że potrafi sobie z nim poradzić. Sięgnął do kieszeni i wyjął skórzany portfel z narzędziami.

- Co ty wyrabiasz? - Bailey aż się cofnęła, kiedy wybrał cienki pręt i zabrał się do pracy. - Chcesz się włamać? Nie wolno ci!

- Myślę, że sobie z tym poradzę. Ćwiczę otwieranie zamków co najmniej przez cztery godziny w tygodniu. Bądź cicho przez chwilę.

Teraz to już tylko sprawa koncentracji, dobrego wyczucia w palcach oraz kilku nerwowych minut. Jeżeli alarm był włączony, uruchomi się w momencie sforsowania pierwszego zamka. Jednak to nie nastąpiło, więc Cade zmienił narzędzie i zabrał się do drugiego zamka.

Może mają tu bezgłośny alarm, pomyślał, nie przerywając pracy. Jeżeli zjawi się policja, będzie się musiał grubo tłumaczyć.

- Chyba postradałeś zmysły. - Bailey cofnęła się o kilka kroków. - Włamujesz się do budynku w biały dzień. Nie możesz tego zrobić, Cade.

- Już to zrobiłem - powiedział z pewną satysfakcją, kiedy otworzył ostatni zatrzaszek. Szybko pozbierał narzędzia i schował je do kieszeni. - Takie zamki powinny mieć też zabezpieczającą fotokomórkę.

Przeszedł przez drzwi. W przyćmionym świetle dostrzegł skrzynkę alarmową tuż nad drzwiami. Była wyłączona.

Oczyrna duszy widział, jak kolejny fragment układanki wpasowuje się na swoje miejsce.

- Co za nieostrożność - mruknął. Chwycił Bailey za ramię i siłą wciągnął do środka. - Nikt ci nie zrobi krzywdy, kiedy ja tu jestem. Mnie też nic się nie stanie.

- Nie mogę tego zrobić.

- Już to robisz. - Trzymając ją mocno za rękę, zapalił światło.

Pomieszczenie było wąskie, przypominało korytarz, o drewnianej podłodze i nagich, białych ścianach. Pod jedną z nich stała chłodziarka do napojów i mosiężny wieszak. Na jednym z haczyków wisiał damski, szary płaszcz przeciwdeszczowy.

W poprzedni czwartek zapowiadano burze, pomyślał Cade. Kobieta praktyczna, taka jak Bailey, nie wyszłaby do pracy bez płaszcza przeciwdeszczowego.

- To twój płaszcz, prawda?

- Nie wiem.

- Jest w twoim stylu. Doskonałej jakości, elegancki i drogi.

- Sprawdził kieszenie i znalazł w nich rolkę dropsów, krótką listę zakupów oraz paczkę chusteczek do nosa. - To twoje pismo - powiedział, podając jej karteczkę.

- Nie wiem. - Nawet nie chciała na nią spojrzeć. - Nie pamiętam.

Schował kartkę do kieszeni i poprowadził Bailey do następnego pomieszczenia.

Była to pracownia, mniejsza wersja tej, którą już widział w firmie szwagra. Domyślając się przeznaczenia poszczególnych mebli, uznał, że gdyby miał dość czasu, by otworzyć zamki w szufladach wysokiego, drewnianego sekretarzyka, na pewno

znalazłby w nim drogie kamienie. Tę masę klejnotów, którą Bailey widziała we śnie. Kamienie, które dawały jej szczęście, były wyzwaniem dla jej twórczej wyobraźni, kołły jej duszę.

Na stole do pracy panowała sterylność i pedantyczny porządek. Wszystkie przedmioty - nawet najcenniejsze złote łańcuszki - leżały na swoim miejscu.

Cade miał absolutną pewność, że to warsztat pracy Bailey.

- Ktoś utrzymuje tu piękny porządek - powiedział łagodnym tonem. Dłoń Bailey zrobiła się lodowata. Przed nimi wznosiły się schody. - Zobaczmy, co jest za drzwiami numer dwa.

Tym razem nie zaprotestowała. Była zbyt przerażona, by znaleźć potrzebne słowa. Kiedy fala światła zalała schody, zaдрżała. Mimo to Cade pociągnął ją na górę.

Powyżej pierwszego podestu schody były wyłożone ciemnoszarym dywanem. Bailey poczuła mdłości. Korytarz na piętrze był na tyle szeroki, że mogli iść obok siebie, a w odpowiednio wybranych kąciach stały lśniące, antyczne stoliki. W srebrnym wazonie wędły czerwone róże. Ich intensywny zapach przyprawił ją o zawrót głowy.

Cade uchylił drzwi, a potem szeroko je otworzył. Już na pierwszy rzut oka poznał, że to gabinet Bailey. Wszystko leżało na swoim miejscu. Wypolerowane biurko - ładne damskie biureczko z czasów królowej Anny - lśniło pod cieniutką warstwą kilkudniowego kurzu. Na biurku spoczywał podłużny, mleczny kryształ, zakrzywiony na końcu, jak złamane ostrze szabli. Bailey mówiła, że to chalcedon, przypomniał sobie Cade. A leżący obok gładki, wielokątny kamień to musiał być rutyłowany kwarc.

Na ścianach wisały romantyczne akwarele w cienkich, drewnianych ramkach. Przed sofą, obitą różowym materiałem i zarzuconą bladozielonymi poduszkami, ustawiono mały stoli-

czek, a na nim szklany wazonik z fiołkami oraz kilka fotografii w srebrnych ramkach.

Cade sięgnął po pierwszą z brzegu. Bailey musiała mieć na niej jakieś dziesięć lat. Trochę łobuziakowata i nie uformowana, ale oczy były niewątpliwie te same. A poza tym, wyrosła na kobietę wyjątkowo podobną do osoby, która siedziała obok niej na zdjęciu.

- Oto twoja przeszłość, Bailey. - Sięgnął po następną fotografię, przedstawiającą trzy roześmiane kobiety, trzymające się pod rękę. - Ty, MJ i Grace. Twój dzień dzisiejszy. - Odstawił ją i wziął następną. Przedstawiała przystojnego, jasnowłosego mężczyznę o ciepłym, krzepiącym uśmiechu.

Czy to jest jej przyszość?

- On nie żyje. - Słowa wyrwały jej się z piersi, rozdzierając serce. - To mój ojciec. On nie żyje. Samolot rozbił się w Dorset. On nie żyje.

- Tak mi przykro. - Cade odstawił fotografię.

- Nigdy nie wrócił do domu. - Bailey ciężko opierała się o biurko. Nogi pod nią drżały, a serce mocno biło w piersi, kiedy walczyła z natłokiem obrazów bombardujących uporczywie jej mózg. - Wyjechał w interesach i nigdy nie wrócił. Zawsze jedliśmy razem lody na werandzie. To on pokazywał mi wszystkie skarby. Chciałam się wszystkiego nauczyć. Przepiękne, stare przedmioty. Pachniał mydłem sosnowym i pszczelim woskiem. Lubił sam polerować meble.

- Miał antyki - cicho podpowiedział Cade.

- To był spadek. Otrzymał je po swoim ojcu, a potem zapisał wszystko mnie. Sklep. Był pełen pięknych rzeczy. On umarł, zginął w Anglii, tak daleko od domu. Moja matka musiała sprzedać firmę. Musiała ją sprzedać, kiedy...

- Powoli, nie denerwuj się. Wyrzuć to wszystko z siebie.
- Wyszła po raz drugi za męża. Miałam wtedy czternaście lat.

Ona była wciąż młoda i czuła się bardzo samotna. Nie potrafiła prowadzić firmy. On tak mówił. Ona tego nie umiała. Powiedziała, że sam się wszystkim zajmie, żeby się nie martwiła.

Zająknęła się i umilkła. A potem jej spojrzenie spoczęło na stojącym na biurku alabastrowym słońiu, z wysadzaną klejnotami derką.

- MJ dała mi go na urodziny. Lubię takie śmieszne rzeczy. Zbieram figurki słońi. Czy to nie dziwne? Dałeś mi słońia w wesółym miasteczku, a ja zbieram słońie. - Przesunęła dłonią po oczach, próbując się skoncentrować. - Śmiałyśmy się, kiedy go odpakowałam. Cała nasza trójka. MJ, Grace i ja, zaledwie przed kilkoma tygodniami. Urodziny obchodzę w czerwcu. Dziewiętnastego czerwca. Mam dwadzieścia pięć lat. - Spojrzała na Cade'a. W głowie jej wirowało. - Mam dwadzieścia pięć lat. Nazywam się Bailey James. Bailey Anne James.

Cade ostrożnie posadził ją w fotelu i położył dłoń na jej ręce.

- Miło mi panią poznać, Bailey Anne James.

ROZDZIAŁ 11

Wszystko miesza mi się w głowie. - Bailey przycisnęła palce do oczu, przed którymi przelatywały jej tysięczne wizje, nakładając się na siebie i blednąc, zanim zdążyła je pochwycić.

- Opowiedz mi o swoim ojcu.
- O moim ojcu... On nie żyje.
- Wiem, kochanie. Opowiedz mi o nim.
- On... on kupował i sprzedawał antyki. To była rodzinna

firma. Rodzina była wszystkim. Mieszkaliśmy w Connecticut. Firma wywodziła się stamtąd. Tam był też nasz dom. Ojciec... rozwinął interes. Otworzył filię w Nowym Jorku i w Waszyngtonie. Jego ojciec założył firmę, a mój ojciec ją rozbudował. Miał na imię Matthew. - Przycisnęła dłoń do serca, które omal nie wyskoczyło jej z piersi. - To tak, jakbym go znowu traciła. On był dla mnie wszystkim, on i moja matka. Mama nie mogła mieć więcej dzieci. Podejrzewam, że mnie rozpieszczali. Tak bardzo ich kochałam. Na podwórku za domem rosła wierzba. Tam właśnie poszłam, kiedy mama powiedziała mi o katastrofie, w której zginął. Wyszłam wtedy z domu, usiadłam pod wierzba i próbowałam go przywołać.

- A twoja mama znalazła cię pod drzewem, tak? - zgadł Cade, próbując pomóc jej pokonać ból.

- Tak, wyszła na dwór i obie długo siedziałyśmy pod wierzbą. Słońce dawno już zaszło, a my wciąż tam siedziałyśmy. Bez niego czułyśmy się kompletnie zagubione. Cade. Ona starała się, tak bardzo się starała utrzymać firmę, zajmować się mną i domem. Ale to było ponad jej siły. Nie mogła sobie poradzić. Wtedy poznała ... poznała Charlesa Salviniego.

- To jest jego budynek.

- Był. - Bailey wierzchem dłoni otarła usta. - On był jubilem, specjalizował się również w nieruchomościach i antykach. Mama zasięgała u niego konsultacji w sprawie części naszego majątku. I tak to się zaczęło. Czuła się samotna, a on był dla niej bardzo dobry. Mnie też bardzo dobrze traktował. Podziwiałam go. Myślę, że on bardzo kochał moją mamę. Nie wiem, czy i ona go kochała, w każdym razie bardzo go potrzebowała. Ja chyba też. Sprzedała resztę antyków i wyszła za niego.

- Czy był dla was dobry?

- O, tak. To był bardzo dobry człowiek. I podobnie jak mój ojciec - kryształowo uczciwy. Uczciwość w interesach, w sprawach osobistych - to było dla niego najważniejsze. Pragnął mojej matki, ale dostał mnie na dodatek i zawsze był dla mnie bardzo dobry.

- Kochałaś go?

- Tak. Łatwo było go kochać, być mu wdzięcznym za to, co robił dla mnie i dla mojej matki. Był bardzo dumny ze swojej firmy. Kiedy się zorientował, że interesują mnie kamienie szlachetne, bardzo mi pomógł. Praktykowałam tutaj, podczas wakacji. Po maturze wysłał mnie do college'u. Kiedy byłam na studiach, zmarła moja matka. Nie było mnie przy niej. Byłam daleko.

- Kochanie. - Cade objął ją i mocno przytulił. - Tak mi przykro.

- To był wypadek. Wszystko stało się tak szybko. Pijany kierowca przejechał środkową linię jezdni i zderzył się czołowo z samochodem matki. I tyle. - Ból znowu był dojmujący i świeży. - Charles kompletnie się załamał. Nigdy już nie doszedł do siebie. Był od niej starszy o piętnaście lat i po jej śmierci stracił zainteresowanie życiem. Odszedł na emeryturę, stał się odludkiem, i w niecały rok potem zmarł.

- A ty zostałaś zupełnie sama?

- Miałam moich braci. - Bailey wzdrygnęła się i chwyciła Cade'a za rękę. - Timothy'ego i Thomasa, synów Charlesa. Moich przyrodnych braci. - Z jej piersi wyrwał się głuchy szloch. - Bliźniaków. - Dłonie zaczęły spazmatycznie ścisnąć rękę Cade'a. - Chcę już stąd iść. Proszę, ja muszę stąd wyjść.

- Opowiedz mi o twoich braciach - powiedział ze spokojem. - Są od ciebie starsi, prawda?

- Chcę już iść. Muszę stąd wyjść.

- Pracowali tutaj - ciągnął Cade. - Przejęli interes po twoim ojczymie. Ty też tu z nimi pracowałaś.

- Tak, oni przejęli firmę, a ja zaczęłam tu pracować po ukończeniu studiów. Jesteśmy rodziną. To moi bracia. Mieli dwadzieścia lat, kiedy ich ojciec ożenił się z moją matką. Mieszkaliśmy w jednym domu. Tworzymy rodzinę.

- Jeden z nich próbował cię zabić.

- Nie, nie. - Znowu zakryła rękami twarz, żeby nie spojrzeć prawdzie w oczy. - To jakaś straszliwa pomyłka. Mówiłam ci, że to moi bracia. Moja rodzina. Razem mieszkaliśmy, razem pracowaliśmy. Nasi rodzice nie żyją. Mamy tylko siebie. Owszem,

bywali czasami niecierpliwi albo szorstcy, ale przecież nigdy by mnie nie skrzywdzili. Ani siebie nawzajem. Nie mogliby.

- Są tu jakieś biura? W tym budynku, na tym piętrze?

Bailey potrząsnęła głową, ale umknęła spojrzeniem gdzieś w bok.

- Muszę tam zajrzeć. - Cade ujął w dłonie jej twarz i spojrział w oczy. - Wiesz, że muszę tam zajrzeć. Zostań tu. Nie ruszaj się stąd.

Położyła głowę na oparciu fotela i zamknęła oczy. Zaczeka tu. Nie ma tam nic, co chciałaby zobaczyć, czego chciałaby się dowiedzieć. Znała już swoje nazwisko, odzyskała tożsamość, rodzinę. Czy to nie wystarczy?

Ale obrazy z tamtej nocy, scena po scenie, zaczęły przesuwać się przed jej oczyma, przy wtórze błyskawic. Jęknęła, zdjęta trwogą.

Nie poruszyła się, kiedy Cade wrócił do pokoju. Otworzyła tylko oczy i zobaczyła, że ma to wszystko wypisane na twarzy.

- To Thomas - powiedziała głuchym tonem. - To Thomas leży martwy w swoim biurze na końcu korytarza.

Cade wcale się nie dziwił, że próbowała wymazać z pamięci to, co zobaczyła. Atak był gwałtowny, pełen nienawiści. Już sam widok jego skutków, nawet dla osoby obcej, tak jak on, był przerażający. A Bailey musiała na to patrzeć z odległości kilku kroków, wiedząc, że to jeden z braci morduje okrutnie drugiego. Żeby coś takiego opisać... na to nie było słów...

- Thomas - powtórzyła i zalała się łzami. - Biedny Thomas. Zawsze chciał być we wszystkim najlepszy. I często był. Oni nigdy nie byli dla mnie niedobrzy. Na ogół po prostu nie zwracali na mnie uwagi, pewnie jak to starsi bracia. Wiem, że byli niezadowoleni, gdy Charles zostawił mi część majątku, ale się z tym pogodzili.

Urwała i spojrzała na swoje dłonie.

- Nie da się już nic dla niego zrobić, prawda?

- Nie. Chodź, zabieram cię stąd. - Wziął ją za rękę i pomógł wstać. - Trzeba zawiadomić policję.

- Oni chcieli ukraść Trzy Gwiazdy Mitry. - Bailey nagle poczuła grunt pod nogami. Zrozumiała, że potrafi to wszystko znieść. Dlatego musi teraz wszystko powiedzieć. - Poproszono nas o weryfikację i ekspertyzę trzech diamentów. A raczej mnie, bo to moja specjalność. Często wystawiałam opinie dla Smithsonian Institute. Miały być częścią wystawy klejnotów. Pochodzą z Persji. Są bardzo stare i kiedyś były osadzone w trzech wierzchołkach złotego trójkąta, który statua Mitry trzymała w otwartych dłoniach. - Bailey chrząknęła, a kiedy znowu zaczęła mówić, głos jej brzmiał spokojnie, niemal obojętnie. - To staroperski bóg słońca. Mitra miał zabić boskiego byka, z którego ciała zrodziły się rośliny i zwierzęta.

- Opowiesz mi o tym w samochodzie.

Pociągnął ją do drzwi, ale ona nie chciała ruszyć się z miejsca, póki tego wszystkiego z siebie nie wyrzuci.

- Kult Mitry pojawił się w Rzymie dopiero w 68 roku przed narodzeniem Chrystusa, i bardzo szybko się rozprzestrzenił, głównie w wojsku. Mitraizm przyjmował za zasadę bytu odwieczną walkę dobra ze złem i samodyscyplinę. - Głos jej się załamał. Umilkła na chwilę. - Trzy Gwiazdy uważano za mit, legendę zrodzoną z pojęcia Trójcy, choć niektórzy uczeni głęboko wierzyli w ich istnienie i opisywali je jako symbole miłości, hojności i wiedzy. Uważano, że ten, kto będzie miał wszystkie trzy klejnoty, zdobędzie władzę i nieśmiertelność.

- Chyba w to nie wierzysz.

- Wierzę, że są na tyle potężne, by wzbudzić wielką miłość,

wielką nienawiść i wielką chciwość. Odkryłam, co robili moi bracia. Timothy chciał wyprodukować fałszywe kamienie w swoim laboratorium. - Potarła powieki. - Może i udałoby mu się ukryć to przede mną, gdyby był bardziej uporządkowany, bardziej ostrożny. Ale z nich dwóch to on zawsze był tym niecierpliwym i nierozsądnym. - Nagle wszystko sobie przypomniała. Opuściła głowę. - Już kilka razy miał kłopoty. Pobił parę osób. Jest bardzo pory wczy.

- A tobie nigdy nie próbował zrobić krzywdy?

- Nie, nigdy. Choć może parę razy sprawił mi przykrość. - Próbowała się uśmiechnąć. - On podejrzewał, że moja matka wyszła za jego ojca tylko po to, żeby sobie i mnie zapewnić opiekę. Myślę, że było w tym żdźbło prawdy. Dlatego tak bardzo mi zależało, żeby się sprawdzić.

- Przecież się tu sprawdziłaś - powiedział Cade.

- Nie, chodziło mi o niego. Timothy nigdy nikogo nie pochwalił. Ale nie był też chamski czy zbyt szorstki. Nigdy nie podejrzewałam żadnego z nich o nieuczciwość. Stało się to dopiero po tym, jak poproszono nas o ekspertyzę Trzech Gwiazd.

- Takiej pokusie nie potrafili się oprzeć.

- Niestety. Co prawda, nie dałoby się nikogo oszukać na dalszą metę, ale zanim fałszerstwo zostałoby odkryte, moi bracia zdążyliby ulotnić się z pieniędzmi. Nie wiem, kto im płacił, ale jestem pewna, że działali na czyjeś zlecenie.

Przystanąła na schodach i spojrzała w dół.

- On gonił mnie po tych schodach, a ja biegłam. Było zupełnie ciemno. O mały włos nie spadłam ze schodów. Słyszałam, jak mnie goni. I wiedziałam, że mnie zabije. Odkąd skończyłam czternaście lat, wspólnie spędzaliśmy wszystkie święta. A on zabiłby mnie tak samo, jak zabił Thomasa. Dla pieniędzy.

Schodząc na dół, trzymała się kurczowo poręczy.

- Kochałam go, Cade, kochałam ich obu. - U podnóża schodów odwróciła się i wskazała małe drzwi. - Tam jest zejście do piwnicy. Ciasne i ciemne. Tam właśnie pobiegłam. Pod schodami jest mała komórka z ażurowymi drzwiami. Kiedy byłam nastolatką, buszowałam po całym budynku. Wtedy właśnie odkryłam ten schowek i lubiłam w nim przesiadywać, bo panował tam taki spokój. Czytałam książki o drogich kamieniach, które dał mi Charles. Nie wydaje mi się, żeby Timothy wiedział, że tam się schowałam. Bo gdyby wiedział, byłabym teraz martwa.

Wyszli na dwór, na słońce.

- Szczerze mówiąc, nie pamiętam, jak długo siedziałam tam w ciemnościach, czekając, aż mnie znajdzie i zabije. Nie wiem, w jaki sposób dotarłam do hotelu. Część drogi przebyłam chyba na piechotę. Nie jeżdżę samochodem do pracy. Mieszkamy o kilka przecznic stąd.

Chciał jej powiedzieć, że już po wszystkim, ale to nie byłaby prawda. Żeby zdała się na niego i zapomniała o przeżytych horrorze, ale to nie było jeszcze możliwe. Wziął ją za rękę i odwrócił ku sobie.

- Bailey, gdzie są pozostałe dwie gwiazdy?

- One... - Bailey śmiertelnie pobladła, jakby miała zaraz zemdleć. Cade chwycił ją w objęcia.

- O mój Boże, mój Boże, co ja najlepszego zrobiłam, Cade - wyszeptwała, patrząc na niego szeroko otwartymi oczami. - On wie, gdzie one mieszkają. Zna ich adres.

- Dałaś je MJ i Grace? - Cade szarpnął drzwiczki wozu. Policja będzie musiała zaczekać. - Powiedz mi, dokąd mam jechać.

- Byłam taka zła - powiedziała, kiedy pędzili zatłoczonymi ulicami. - Zdałam sobie sprawę, że posłużyli się mną, moim nazwiskiem, moją wiedzą i reputacją, żeby poświadczyć prawdziwość tych kamieni. Potem zamierzali je ukraść i uciec, zostawiając firmę, którą założył ich ojciec, oraz mnie. Po tym wszystkim, co Charles zrobił, żeby rozbudować interes, firma Salvini byłaby skończona. Uważam, że zasłużył sobie na naszą lojalność. Byłam mu to winna. I - niech mnie diabli - oni też.

- Więc zabrałaś te kamienie.

- To był czysty impuls. Miałam zamiar powiedzieć im, co o tym wszystkim myślę, ale najpierw chciałam zabezpieczyć Gwiazdy. Pomyślałam sobie, że te klejnoty nie powinny być w jednym miejscu. Bo jak długo były, ktoś mógł je zabrać. Dlatego jeden wysłałam do MJ, a drugi do Grace, nocną kurierską pocztą.

- Święty Boże, Bailey, wysłałaś te bezcenne diamenty pocztą?

Bailey zacisnęła powieki.

- Używamy stale pewnych firm kurierskich do przesyłania klejnotów - powiedziała urażonym tonem. Jak już wiedział, potrafiła być dosyć szorstka. - Nie mogłam myśleć o niczym innym poza tym, że Grace i MJ to jedyne dwie osoby na świecie, którym mogę zaufać. Nie zdawałam sobie sprawy, że narażam je na wielkie niebezpieczeństwo. Nie miałam pojęcia, że sprawy zajdą tak daleko. Byłam pewna, że kiedy dojdzie do poważnej rozmowy z braćmi i powiem im, że dla bezpieczeństwa rozdzieliłam diamenty i sama zajmę się dostarczeniem ich do muzeum - to wystarczy.

Mocno chwyciła się drzwiczek, kiedy Cade wziął ostry zakręt.

- To ten budynek. Mieszkamy na trzecim piętrze. MJ i ja zajmujemy mieszkania naprzeciw siebie.

Nim zdążył do końca zaliamować, wyskoczyła z wozu i już Spędziła w stronę wejścia. Klnąc, wyrwał kluczyki ze stacyjki pomknął za nią. Dogonił ją na schodach.

- Idź za mną! - powiedział. - To rozkaz.

Zamek i blokada w drzwiach do mieszkania numer 324 były wyłamane. Na środku drzwi naklejono policyjną taśmę.

- MJ! - krzyknęła Bailey. Odepchnęła Cade'a i szarpnęła za klamkę.

- O, jesteś, kochanie. - Korytarzem szła tęga kobieta w różowym szlafroku i futrzanych kapciach. - Już się o ciebie martwiłam.

- Pani Weathers. - Bailey kurczowo zacisnęła palce na klamce. - Gdzie jest MJ... Co się stało z MJ?

- Co tu się działo! - Pani Weathers potrząsnęła sztywno wylakierowanym hełmem utlenionych włosów i obrzuciła Cade'a taksującym wzrokiem. - Czegoś takiego nigdy bym się nie spodziewała w naszej porządnej kamienicy. Świat się kończy, moja droga.

- Gdzie MJ?

- Kiedy ją ostatni raz widziałam, uciekała z jakimś facetem. Biegli po schodach i przeklinali na cały głos. Ale to było już po tej awanturze z wybijaniem szyb i rozbijaniem mebli. Słyszałam nawet jakieś strzały. - Pani Weathers aż zatrzęsała się z podniecenia.

- Strzelanina? Czy MJ została ranna?

- Nie wyglądała mi na ranną. Była wściekła, jeszcze nigdy nie widziałam jej w takim stanie.

- A mój brat? Czy była może z moim bratem?

- Nie, na pewno nie. Tego młodego człowieka widziałam po raz pierwszy. Gdybym go kiedykolwiek spotkała, tobym go zapamiętała, jestem tego pewna. Był wysoki, włosy miał związane w kucyk, spojrzenie ostre i przenikliwe. Miał też dziurkę w brodzie, jak gwiazdor filmowy. Dobrze mu się przyjrzałam, bo o mało co nie zwałam z nóg.

- Kiedy to było, pani Weathers? - wtrącił się Cade.

Kobieta utkwiła wzrok w Cade'a i z promiennym uśmiechem wyciągnęła rękę.

- Nie miałam jeszcze przyjemności pana poznać.

- Nazywam się Cade i jestem przyjacielem Bailey. - Cade błysnął zębami w uśmiechu, choć nerwy miał napięte jak struny.

- Nie było nas przez parę dni, a chcielibyśmy się zobaczyć z MJ.

- Niestety, nie widziałam jej od soboty - od tej awantury. Uciekała tak, że nawet nie zamknęła za sobą drzwi. To znaczy tak myślałam, póki nie zobaczyłam, że zostały wyłamane. Więc zajrzałam do środka i aż się przeraziłam. Jej mieszkanie to była jedna ruina. Wiem, że ona nie jest taka porządna jak ty, Bailey, ale tam wszystko było poprzewracane do góry nogami i... - zrobiła dramatyczną pauzę - na podłodze leżał jakiś człowiek! Był nieprzytomny. Wielkie chłopotisko, jak tamten pierwszy. Pobiegłam do telefonu i wezwałam policję. Co mogłam innego zrobić? A on pewnie doszedł do siebie i zmył się, zanim przyszła policja. Bóg mi świadkiem, że nie przestąpiłam progu jej mieszkania, póki policjanci nie sprawdzili, że już go tam nie ma.

Cade otoczył Bailey ramieniem. Drżała tak silnie, jakby miała zaraz upaść.

- Pani Weathers - zapytał - może ma pani zapasowy klucz do mieszkania Bailey? Bo ona swój zostawiła u mnie, a chcielibyśmy zabrać kilka rzeczy.

- Ach, to tak. - Pani Weathers uśmiechnęła się chytrze, potrząsnęła tlenioną koafiurą i karcącym tonem zwróciła się do Bailey:

- Najwyższy czas wrócić do domu, kochasiu. Jak można tak się włóczyć po nocach? Zaraz zobaczę. Właśnie podlewałam begonie pana Hollistera, więc mam tu wszystkie klucze. O, jest, masz.

- Nie przypominam sobie, że bym dawała pani moje klucze.

- Ależ oczywiście, że mi je dałaś, kochasiu. To było w zeszłym roku, kiedy pojechałaś z dziewczętami do Arizony. Zrobiłam sobie wtedy duplikat, tak na wszelki wypadek. - Mruczając pod nosem, otworzyła mieszkanie Bailey, ale zanim zdążyła wejść do środka, Cade odsunął ją i zastawił sobą drzwi.

- Bardzo pani dziękuję.

- Nie ma za co. Nie mam pojęcia, dokąd poszła ta dziewczyna - powiedziała pani Weathers, wyciągając szyję, żeby zajrzeć do środka. - Mówiłam już policji, że uciekała, jakby sam diabeł ją gonił. Ach, a skoro już o tym mowa, Bailey, widziałam twojego brata.

- Timothy'ego - wyszeptała Bailey.

- Nie mogę tego powiedzieć na pewno. Oni są dla mnie jak dwie krople wody. Wstąpił tu, zaraz, zaraz... to musiało być w sobotę wieczorem. Powiedziałam mu, że cię nie widziałam i że pewnie wyjechałaś na weekend. Był trochę zdenerwowany. Wszedł do twojego mieszkania i zatrzasnął mi drzwi przed nosem.

- Nie wiedziałam, że i on miał klucz - powiedziała Bailey, a potem przypomniała sobie, że kiedy uciekała, zostawiła w biurze torebkę. Pomyślała, że to byłby kompletny bezsens zmieniać teraz zamki. - Dziękuję pani, pani Weathers. Gdybym się znowu minęła z MJ, będzie pani uprzejma powtórzyć jej, że jej szukałam.

- Ależ oczywiście, kochanie. A jeżeli... - Urwała, urażona, bo Cade mrugnął do niej znacząco, wciągnął Bailey do środka i zatrzasnął drzwi.

Jeden rzut oka wystarczył mu, żeby stwierdzić, że i tu ktoś był przed nimi. Jego schludna Bailey nigdy by nie zostawiła w mieszkaniu rozprutych poduszek i pootwieranych szuflad, których zawartość poniewierała się na podłodze.

Widocznie Salvini nie zadowolił się samym przeszukaniem mieszkania, lecz chciał je również zdemolować.

- Pieprzony wandal - mruknął Cade, gładząc Bailey po plecach.

Bailey bez słowa patrzyła na otaczający ją bałagan. To była ta sama furia. Ten sam dziki brak samokontroli, którego była świadkiem, gdy Timothy chwycił antyczny nóż do otwierania listów i zaczął nim na oślep zadawać bratu śmiertelne ciosy.

To tylko przedmioty, pomyślała. Choćby nawet bardzo cenne i ulubione, ale tylko przedmioty.

A przecież ona na własne oczy widziała, co Timothy jest w stanie zrobić ludziom.

- Muszę natychmiast zadzwonić do Grace. MJ mogła pójść do Grace.

- Czy na podstawie opisu twojej sąsiadki możesz powiedzieć, z kim była MJ?

- Nie. Nie znam nikogo takiego, a przecież znam większość jej przyjaciół. - Przeskakując ponad połamanymi meblami, dotarła do telefonu i sięgnęła po słuchawkę. Światelko automatycznej sekretarki migotało, ale ona nie zwróciła na to uwagi, tylko szybko wystukała numer. - Ma włączoną sekretarkę - mruknęła i z napięciem słuchała, jak gardłowy głos recytuje zapowiedź. A potem zawołała: - Grace, jeżeli tam jesteś, odbierz. To bardzo

ważne. Mam kłopoty. MJ też ma kłopoty. Nie wiem, co się z nią dzieje. Masz iść na policję i dać im paczuszkę, którą ci przesłałam. Zadzwoń do mnie, jak tylko wrócisz.

- Podaj jej mój numer - powiedział Cade.
- Kiedy go nie znam.

Cade sięgnął po telefon, wyrecytował swój numer, a potem zwrócił słuchawkę Bailey.

To było wykalkulowane ryzyko, podawać namiary Bailey, ale diament był w bezpiecznym miejscu, a Cade nie chciał w żaden sposób ograniczać Grace możliwości skontaktowania się z nimi.

- To sprawa życia i śmierci - mówiła dalej Bailey. - Nie zostawaj sama w domu. Idź na policję. I broń Boże nie rozmawiaj z moim bratem ani go nie wpuszczaj do mieszkania. Zadzwoń do mnie, błagam, zadzwoń jak najszybciej.

- Gdzie ona mieszka?

- W Potomacu - powiedziała Bailey, kiedy Cade wziął delikatnie z jej rąk słuchawkę i odłożył na widełki. - Ale może wcale jej tam nie być. Ona ma też domek na wsi, w zachodnim Maryland. To właśnie tam wysłałam diament. Nie ma tam telefonu, i tylko wtajemniczeni wiedzą, kiedy ona tam jeździ. Bo na ogół, gdy ma ochotę wyjechać z miasta, wsiada po prostu w samochód i jedzie przed siebie tak długo, aż znajdzie miejsce, które się jej spodoba. W tej chwili może być właściwie wszędzie.

- A jeśli Grace wyjeżdża, jak długo się z nikim nie kontaktuje?

- Nie więcej niż parę dni. W końcu zawsze dzwoni albo do mnie, albo do MJ.

Nagle coś sobie przypomniała, i klnąc rzuciła się do automatycznej sekretarki. Wcisnęła klawisz. Rozległ się głos Grace.

„Bailey, co to ma znaczyć? Czy to cacko jest prawdziwe? Bawisz się w przemytnika? Słuchaj, wiesz, jak nienawidzę tych maszynek. Będziemy w kontakcie”.

- Sobota, godzina czwarta. - Bailey uczepliła się tej myśli.
- Zgodnie z tym, co mówi maszynka, o czwartej w sobotę ona była bezpieczna.

- Nie wiemy, skąd dzwoniła.

- Nie, ale w sobotę wszystko było u niej w porządku. - Bailey znowu włączyła sekretarkę, żeby odsłuchać następną wiadomość. Tym razem rozległ się głos MJ.

„Posłuchaj, Bailey, nie wiem, o co chodzi, ale mamy cholerne kłopoty. Nie zostawaj w mieszkaniu. On może tam wrócić. Dzwonię z budki przed jakąś knajpą koło...” - usłyszeli hałas i głośne przekleństwo - „...łapy przy sobie, ty sukinsynu...”. Rozległ się sygnał przerwanej rozmowy.

- Sobota, druga rano. Co ja narobiłam, Cade? - jęknęła Bailey.

Cade bez słowa włączył następny komunikat. Tym razem był to męski głos.

„Słyszysz mnie, ty dziwko? Znajdę cię i odbiorę to, co do mnie należy. On mi pociął twarz. Kazał im, żeby mi poharatali twarz. A wszystko przez ciebie. Teraz ja zrobię ci to samo”.

- To Timothy - szepnęła Bailey.

- Tego sam się domyśliłem.

- On postradał zmysły, Cade. Widziałam to tamtej nocy. Coś go opętało.

Cade nie miał co do tego cienia wątpliwości. Jak mógł mieć po tym, co zobaczył w gabinecie Thomasa Salviniego?

- Czy potrzebujesz stąd jakieś rzeczy? - zapytał, a kiedy Bailey rozejrzała się nieprzytomnie wokoło, wziął ją za rękę.
- Później się tym zajmiemy. Chodźmy.

- Ale gdzie?
- W jakieś spokojne miejsce, gdzie będziesz mogła usiąść i o wszystkim mi opowiedzieć. A potem zadzwonimy na policję.

Park był zielony i pełen cienia. Na małych ławeczkach pod drzewami nie czuło się aż tak bardzo upału. Od paru dni nie padało i powietrze było duszne.

- Musisz nad sobą panować, kiedy pójdziemy na policję - powiedział Cade. - Musisz mieć jasny umysł.

- Tak, masz rację. Ale najpierw chciałabym ci wszystko wyjaśnić.

- Mnie samemu udało się jakoś poskładać w całość fragmenty twojej historii. W końcu to moja praca.

- Tak - mruknęła Bailey i spojrzała na swoje dłonie. - To twoja praca.

- Straciłaś ojca, kiedy miałaś dziesięć lat. Twoja matka starała się jak mogła, ale nie miała głowy do interesów. Walczyła o to, żeby utrzymać dom, wychować córkę i prowadzić firmę antykwaryczną. A potem poznała mężczyznę starszego od niej, człowieka sukcesu, kompetentnego, zamożnego i atrakcyjnego, który zakochał się w niej i zgodził się przyjąć do rodziny również jej córkę.

Bailey cicho westchnęła.

- Tak mniej więcej było, mówiąc ogólnie.
- Każde dziecko chce mieć rodzinę, więc zaakceptowałaś ojczyzna i przyrodnych braci. Tak?
- Tak. Tęskniłam za moim ojcem. Charles mi go nie zastąpił, ale zaspokoił moją potrzebę posiadania ojca. A poza tym, był dla mnie bardzo dobry.
- Za to braciszekowie trochę kręcili nosem, kiedy oprócz

macochy dostali na dodatek siostrzyczkę. Ładną, bystrą, miłą siostrzyczkę.

Otworzyła usta, żeby zaprzeczyć, a zaraz je zamknęła. Po-
ra spojrzeć w oczy prawdzie, której nie chciała dostrzec przez
tyle lat.

- Tak, chyba tak. Starałam się nie wchodzić im w drogę. Nie
chciałam konfliktów. Kiedy nasi rodzice się pobrali, oni byli
w college'u, a gdy wrócili i zamieszkali w domu, ja wyjecha-
łam. Nie mogę powiedzieć, że byliśmy sobie bliscy, ale zdawało
mi się... miałam zawsze wrażenie, że stanowimy rodzinę. Nigdy
mi nie dokuczali, nie traktowali mnie źle i nie dawali mi odczuć,
że jestem niemile widziana.

- A czy dawali ci odczuć, że jesteś mile widziana?

Bailey potrząsnęła głową.

.- Póki żyła moja matka, nie było żadnych spięć. Dopiero
gdy Charles zamknął się w sobie i odsunął od wszystkich, oni
przejęli firmę. To było zupełnie naturalne. W końcu to była ich
firma. Wiedziałam, że zawsze będę miała u nich pracę, ale nigdy
nie spodziewałam się procentowego udziału. Kiedy Charles
ogłosił, że dostanę dwadzieścia procent, urządzili mu scenę.
Każdy z nich dostał po czterdzieści procent, ale uważali, że to za
mało.

- Z tobą też się kłócili?

- Trochę - przyznała z westchnieniem. - Byli wściekli. Na
ojca, na mnie. Thomas wycofał się dość prędko. Bardziej intere-
sowała go sprzedaż niż projektowanie biżuterii, a wiedział, że to
moja działka. W sumie, nie było między nami większych konfli-
któw. Timothy dłużej był niezadowolony, ale doszedł do wnios-
sku, że szybko się znudzę i znajdę sobie bogatego męża, a wtedy
i tak im wszystko zostawię.

Na wspomnienie, jak na nią krzyczał, poczuła dojmujący żal.

- Charles założył dla mnie konto. Będę mogła podjąć pieniądze, które mi zostawił, dopiero gdy skończę trzydzieści lat. Nie jest to jakaś wielka suma, ale wystarczająco przyzwoita. Dostanę więcej, niż naprawdę potrzebuję. Ojczym zafundował mi studia, stworzył mi dom, dał mi pracę, którą kocham. A kiedy wysłał mnie do college'u, dał mi tym samym Grace i MJ. To tam je poznałam. Byłyśmy w jednej grupie na pierwszym semestrze. Potem zamieszkałyśmy we wspólnym pokoju. Miałam wrażenie, że znamy się od zawsze. To najlepsze przyjaciółki, jakie w życiu miałam. O mój Boże, co ja najlepszego zrobiłam?

- Opowiedz mi o nich.

Po chwili Bailey opanowała się, i zaczęła mówić dalej:

- MJ jest bardzo ruchliwa. Zmieniała specjalizacje tak często, jak niektóre kobiety zmieniają fryzury. Zapisywała się na wszelkiego rodzaju tajemnicze kursy. Egzaminy albo oblewała, albo dostawała pierwszą lokatę, w zależności od humoru. Jest wysportowana, niecierpliwa, hojna, wesoła i nieugięta. Na ostatnim roku studiów prowadziła bar w college'u i tak jej się to spodobało, że postanowiła mieć własny. Kupiła sobie mały lokal dwa lata temu. To pub w pobliżu Georgia Avenue, niedaleko metra.

- Nie zauważyłem go.

- To taki mały bar, znany głównie w sąsiedztwie. Przycho-
dzą bywalcy. W weekendy gra irlandzka kapela. MJ na ogół sama pilnuje porządku. Jeżeli jest jakaś awantura i ktoś nie daje się uspokoić albo nie chce wyjść, MJ potrafi go wykopać na ulicę. Ma czarny pas karate.

- Będę musiał uważać, żeby jej nie zdenerwować.

- Zobaczysz, że cię polubi. Potrafi sobie radzić w każdej

sytuacji, zawsze to sobie powtarzam. Nikt nie radzi sobie lepiej niż ona.

- A Grace?

- Jest piękna. Widziałeś jej portret. Większość ludzi dostrzega tylko jej urodę i niewiele ponadto. A ona posługuje się swoją urodą, kiedy uzna za stosowne. Nie znosi tego robić, ale jednak robi.

Patrząc na drepczące po ścieżce gołębie, Bailey dała się ponieść fali wspomnień.

- Wcześniej została sierotą, wcześniej nawet niż ja. Wychowywała się u ciotki w Wirginii. Miała się nauczyć dobrych manier i być kimś. W końcu to spadkobierczyni Virginia Fontaine.

- Fontaine? Chodzi o tę sieć domów towarowych?

- Tak, pieniądze, masa starych pieniędzy. A przynajmniej na tyle starych, żeby miały tę co najmniej stuletnią patynę, z której bierze się prestiż. Ponieważ jest piękna, bogata i z dobrej rodziny, spodziewano się po niej, że zdobędzie stosowne wykształcenie, będzie się obracać wśród właściwych ludzi i wyjdzie dobrze za mąż. Ale Grace miała inny pomysł na życie.

- Czy ona przypadkiem nie pozowała do...? - Cade prze-rwał i chrząknął znacząco.

Bailey uniosła tylko brwi.

- Do rozkładówki „Playboya”? Owszem, kiedy była w colleges. Uniwersytecka Miss Kwietnia. Zrobiła to, nie mrugnawszy nawet okiem, żeby zgorszyć rodzinę. Jak to powiedziała - żeby wyzyskać wyzyskiwaczy. Zarobiła pierwsze duże pieniądze, kiedy miała dwadzieścia jeden lat, więc nie dbała o to, co pomyśli jej rodzina.

- Nigdy nie widziałem tych zdjęć - powiedział Cade, zastanawiając się, czy w tej sytuacji powinien się z tego cieszyć, czy martwić. - Ale słyszałem, że wywołały niezłe zamieszanie.

- Oto jej właśnie chodziło.- Bailey znowu się uśmiechnęła.
 - Grace lubi robić zamieszanie. Była przez krótki czas modelką, bo ją to bawiło. Ale nie dawało jej satysfakcji. Myślę, że ona wciąż jeszcze nie znalazła swojej pasji. Udziela się w instytucjach charytatywnych, bardzo dużo podróżuje. Nazywa siebie ostatnią z dyletantek, ale to nieprawda. Robi wiele dobrego dla dzieci niepełnosprawnych, ale nie życzy sobie rozgłosu. Ona bardzo współczuje ludziom pokrzywdzonym przez los i jest dla nich niezwykle hojna.

- Właścicielka baru, społeczniczka i gemmolog - co za niewiarygodna trójka.

Bailey uśmiechnęła się.

- To rzeczywiście może tak wyglądać. My... nie chcę, żeby to zabrzmiało dziwnie, ale my poznałyśmy się na sobie od pierwszego wejrzenia. To było takie proste. Zresztą, nie oczekuję, że to zrozumiesz.

- A kto może to lepiej zrozumieć? Przecież ja także poznałem się na tobie od pierwszej chwili.

Bailey spojrzała mu w oczy.

- Wiesz już, kim jestem, ale to niczego nie rozwiązało. Moje życie to jeden wielki chaos. Naraziłam przyjaciółki na straszliwe niebezpieczeństwo i nie wiem, jak im pomóc, jak zatrzymać tę maszynę, którą sama wprawiłam w ruch.

- Robiąc kolejny krok do przodu. - Cade musnął ustami jej dłoń. - Wrócimy teraz do domu, weźmiemy płócienną torbę i skontaktujemy się z moim kumplem z policji. Znajdziemy twoje przyjaciółki, Bailey.

Spojrzął na niebo i na chmury, które właśnie zasłoniły słońce.

- Wygląda na to, że wreszcie spadnie deszcz.

Timothy Salvini potknął kolejny środek przeciwbólowy. Twarz tak bardzo go bolała, że nie był w stanie zebrać myśli. A przecież w tej chwili musiał się głęboko zastanowić, co zrobić. Człowiek, który nasłał na niego swoich zbirów, przysłał potem swojego osobistego lekarza, żeby mu pozszywał twarz. I dał mu też ostatnią szansę.

Jeżeli do wieczora nie uda mu się odnaleźć Bailey i przynajmniej jednego z trzech diamentów, nie ma czego szukać na tym świecie.

A strach był silniejszy niż ból.

Nie mógł pojąć, jak doszło do tego, że sprawy przybrały tak katastrofalny obrót. Przecież wszystko starannie zaplanował, do najdrobniejszych szczegółów. I wszystkiego pilnował, nawet kiedy Thomas schował głowę w piasek. To on załatwiał kontakty i prowadził rozmowy. Bo to on był tym mądrzejszym, i wiedział, jak rozegrać partię.

I to jemu udało się przeprowadzić transakcję.

Thomas był z początku zachwycony. Połowa z dziesięciu milionów dolarów całkowicie usatysfakcjonowałyby jego brata, a i jego też.

Takich dochodów nigdy nie udałoby im się uzyskać z firmy, bez względu na to, jak świetnie by prosperowała. To miały być prawdziwe pieniądze. Fortuna, o której mogli dotąd jedynie marzyć.

Potem jednak Thomasa obleciał strach. Zaczekał do ostatniej chwili, kiedy wszystko było dopięte na ostatni guzik, i wtedy postanowił go przechytrzyć. Swojego własnego brata, swoją krew.

Był taki wściekły, kiedy się dowiedział, że Thomas planuje wyjąć milion z konta i wyjechać za granicę, obarczając go wszelkim ryzykiem i odpowiedzialnością za całą operację.

Przeklęty tchórz, pomyślał Timothy. Przestraszył się Bailey i tego, co mogła wiedzieć. Ta mała, pazerna dziwka, zawsze wchodziła mu w paradę. Ale on gotów był ją załatwić - sam by się wszystkim zajął - gdyby tylko ten idiota Thomas nie zaczął mu grozić.

Niestety, ich kłótnia przerodziła się w awanturę. Wszystko wymknęło mu się z rąk. Krzyki, szal wściekłości, burza z piorunami, błyskawice.

A potem nie wiadomo skąd wziął się ten nóż. Może po prostu tam był. I jakim cudem znalazł się w jego ręku. Nim dotarło do niego, co się dzieje, ostrze już ociekało krwią.

Nie był w stanie nad sobą zapanować. Po prostu nie potrafił przestać. Rzeczywiście, na chwilę wpadł w szal. To wszystko przez ten stres, poczucie zdrady, świadomość, że został nikczemnie oszukany przez własnego brata.

Ona też tam była i patrzyła na niego tymi swoimi wielkimi oczyma. Patrzyła na niego w ciemnościach.

Gdyby nie burza i piekielne ciemności, znalazłby ją na pewno i zrobił z nią porządek. Miała szczęście, i tyle. Ta pieprzona dziwka zawsze miała szczęście.

To nie była jego wina, wszystko starannie zaplanował. Nie był niczemu winien. Tymczasem to jego obarczono winą za niepowodzenie i w efekcie to jego życie wisi na włosku, a wszystko przez tchórzostwo brata i spisek kobiety, której nienawidził od lat.

Był pewny, że wysłała gdzieś co najmniej jeden z kamieni. W torebce, którą zostawiła w biurze, znalazł kwit nadania przesyłki kurierskiej. Myślała, biedaczka, że jest taka sprytna.

Zawsze jej się wydawało, że zjadła wszystkie rozumy. Pedantka, lizuska, ósmy cud świata. Tanimi babskimi sztuczkami

omotała ich ojca. Zapłacił nawet za studia i był taki dumny z jej nagród i dyplomów. Ale w biznesie nie liczą się nagrody i dyplomy. Liczy się spryt, odwaga, przebiegłość. A Timothy Salvini je ma.

Mógł również mieć pięć milionów dolarów, gdyby jego brat nie stchórzył i nie zaalarmował Bailey. I gdyby nie próbował przechytrzyć ich klienta.

Klienta, pomyślał z goryczą, dotykając obandażowanej twarzy. Teraz był to raczej jego pan, ale i to się wkrótce zmieni.

Będzie miał pieniądze i diament, odszuka też pozostałe dwa. A wtedy ucieknie na koniec świata, gdzie nikt go nie znajdzie. On, Timothy Salvini, patrzył już diabłu w oczy i miał na tyle rozumu, żeby wiedzieć, że gdy tylko wszystkie trzy diamenty znajdą się w ręku diabła, jego zasługi przestaną się liczyć.

Czyli praktycznie był już martwy.

Chyba że okaże się mądrzejszy.

Spędził całe godziny przed domem Bailey, czekając, aż wróci. I w końcu się doczekał. Była przecież znaną pedantką i wiodła wyjątkowo regularne życie. Wszystko chodziło u niej zawsze jak w zegarku. Tym razem także nie sprawiła mu zawodu.

Kto by się spodziewał, że ktoś tak... zwyczajny może pokrzyżować mu plany? Rozdzielić diamenty i nadać je pocztą w różne strony świata. Nigdy by jej nie podejrzewał o tyle sprytu. Sprawiała mu tym tyle niepotrzebnych kłopotów.

Teraz miał przed sobą jedno zadanie - musi skoncentrować się na Bailey. Tamtymi kobietami zajmie się kto inny. On nie ma na razie na to czasu. Jego cierpliwość już się wyczerpała.

Wszystko okazało się takie proste. Elegancki wóz zajęchał przed dom, Bailey wysiadła. A tamten gość popędził za nią i w pośpiechu nawet go nie zamknął. Znalezienie dowodu reje-

stracyjnego w skrytce na desce rozdzielczej zajęło mu niecałe pół minuty. Wystarczyło odpisać adres.

A teraz włamywał się przez wybite okienko kuchennych drzwi do pustego domu.

Za pasem miał zatknięty nóż, którym już wcześniej zabił brata. To broń cichsza niż rewolwer, a równie skuteczna.

ROZDZIAŁ 12

IMick to dobry policjant - zwrócił się Cade do Bailey, kiedy zatrzymali się na podjeździe. - On cię wysłucha i pomoże nam znaleźć odpowiedzi na dręczące cię pytania.

- Gdybym od razu do nich poszła...

- Nie zaszłabyś dalej, niż nam się udało - przerwał jej Cade.

- A może nawet zostałabyś w tyle. Potrzebowałam czasu, Bailey, po tym, przez co przeszłam. - Na samą myśl o tym poczuł, że ściska mu się serce. - Zrób sobie małą przerwę, - Z głębokim poczuciem winy przypomniał sobie, jak bezlitośnie ciągnął ją przez budynek, w którym była świadkiem tak okrutnej zbrodni.

- Przepraszam cię, kochanie, że byłem taki brutalny.

- Gdybyś mnie do tego nie zmusił, pewnie bym stamtąd uciekła. Nie potrafiłabym stawić czoła mojej przeszłości. Jestem ci za to wdzięczna.

- Musiałem zadać ci ból. - Cade otoczył dłońmi jej twarz.

- Gdybym cię nie zmusił do tamtej wyprawy, poleciałabyś prosto do domu, jak gołąb pocztowy, i zadzwoniła do twoich przyjaciółek. A wtedy on by cię znalazł. Znalazłby całą waszą trójkę.

- On by mnie zabił. Nie chciałam pojąć tej prawdy. A może po prostu nie mogłam. Przez ponad dziesięć lat myślałam o nim

jako o bracie, a nawet broniłam jego i Thomasa przed Grace i MJ. A on mimo to by mnie zabił. I moje przyjaciółki.

Zadrzała. Cade pokiwał głową.

- Najlepsze, co mogłaś zrobić dla całej waszej trójki, to zniknąć na jakiś czas. Tutaj nikt by cię nie szukał. Kto by na to wpadł?

- Mam nadzieję, że się nie mylisz.

- Ja wiem, że mam rację. Następny krok to telefon na policję. Muszą wydać nakaz aresztowania Salviniego. A on jest przerażony i zdesperowany. Znalezienie go nie potrwa długo.

- On powie im, kto go wynajął. - Bailey trochę się uspokoiła. - Nie jest wystarczająco silny, żeby postąpić inaczej. Jeżeli uzna, że uda mu się wytargować coś od policji, nie będzie się wahał. A Grace i MJ...

- Będą bezpieczne. Cieszę się, że je poznam. - Cade nachylił się i otworzył drzwiczki wozu. Nagle zagrzmiało. Bailey wzdrygnęła się, zaniepokojona, a on uściśnął jej rękę. - Chodź, pójdziemy do pubu. Strzelimy sobie kilka piw.

- Czy to ma być randka? - Rozradowana tą perspektywą Bailey wysiadła i podała mu rękę. - Kiedy to wszystko się skończy, będziesz mógł mnie bliżej poznać.

- Kochanie, ile razy mam ci powtarzać, że poznałem się na tobie, jak tylko weszłaś do mojego biura? - Wyjął z kieszeni klucze i wsunął jeden z nich w zamek.

Życie ocalił mu ślepy instynkt i wrodzona potrzeba, by wszystkich chronić.

Kątem oka dostrzegł jakiś zamazany ruch. Błyskawicznie zwrócił się w tamtą stronę, odpychając do tyłu Bailey. Gwałtowny ruch jego ciała sprawił, że nóż ześlizgnął mu się po ramieniu, zamiast utkwąć w plecach.

Ból był gwałtowny i palący. Nim zdążył uświadomić sobie, co się dzieje, krew zmoczyła koszulę, spływając aż do nadgarstka. W głowie kołatała mu tylko jedna myśl: Bailey!

- Uciekaj! - krzyknął, czując kolejny cios. - Uciekaj, Bailey!
Ale ona zastygła w bezruchu.

Wszystko stało się tak szybko. Była pewna, że trwało to najwyżej ułamek sekundy. Zobaczyła twarz brata, z opatrunkami na policzkach i krwawą szramą nad lewą brwią.

W jego wzroku znowu czaiła się żądza mordu.

Rzucił się na Cade'a. Cade zrobił unik i chwycił Timothy'ego za przegub uzbrojonej ręki. Zaczęli się mocować, z twarzą tuż przy twarzy, jak kochankowie. W powietrzu unosił się zapach krwi, potu i zbrodni.

Przez krótką chwilę byli jak dwa cienie w mroku holu. Słychać było ich chrapliwe, przyspieszone oddechy. Na dworze były pioruny.

Bailey widziała, jak nóż zbliża się do Cade'a, a jego ostrze niemal dotyka jego gardła. A oni mocują się na zakrwawionej podłodze holu, niby w jakimś obscenicznym tańcu.

Jej brat znowu zabije, a ona znowu będzie stać i patrzeć.

Rzuciła się na Timothy'ego.

To był bezmyślny, zwierzęcy odruch. Wskoczyła mu na plecy i zaczęła szarpać za włosy, przeklinając z płaczem. Nagłe uderzenie odrzuciło Cade'a do tyłu. Potknął się, ręka mu się poślizgnęła, a w oczach pociemniało.

Bailey wpiła palce w poranioną twarz Salvinięgo. Zawył z bólu i rzucił ją na podłogę. Padając, uderzyła głową o poręcz schodów tak mocno, że gwiazdy stanęły jej przed oczami. Zaraz jednak poderwała się na nogi i zaatakowała go ze zdwojoną furia.

To Cade odciągnął ją na bok, ostrze śmignęło o milimetry od jej twarzy. A potem siła uderzenia Cade'a rzuciła jego i przeciwnika na stół. Spleceni w śmiertelnym uścisku przewrócili się na podłogę, dysząc jak psy. Cade'owi w głowie kołatała tylko jedna myśl: musi żyć tak długo, by zdążyć ocalić Bailey. Ale ręce miał śliskie od krwi i nie mógł mocno chwycić Salviniego.

Z najwyższym wysiłkiem udało mu się wykręcić mu rękę, w której trzymał nóż, odsuwając ostrze od serca, a potem go odepchnął.

Kiedy przetoczył się na wznak, zrozumiał, że jest już po wszystkim.

Bailey czołgała się ku niemu, wołając wśród szlochów jego imię. Zobaczył jej twarz, siniec wykwitający na policzku. Udało mu się unieść rękę i delikatnie go dotknąć.

- Miałaś zostawić czyny bohaterskie mnie. - Jego własny głos zabrzmiał mu w uszach dziwnie odlegle i obco.

- Czy jesteś poważnie ranny? O Boże, jak ty krwawisz. - Zaczęła robić coś z jego ręką, wywołując w niej palący ból, ale to jakby nie miało znaczenia. Odwrócił głowę i spojrzał Salvinemu w twarz. Salvini także patrzył na niego, a choć oczy zachodziły mu już mgłą, był przytomny.

Cade kaszlnął i wychrypiał:

- Kto cię wynajął, ty draniu?

Salvini uśmiechnął się leniwie, a w końcu jego uśmiech przeordził się w grymas. Twarz miał całą we krwi.

- Diabeł - wycharczał.

- No to pozdrów go ode mnie w piekle. - Cade znowu usiłował skupić wzrok na Bailey. Brwi miała ściągnięte z wyrazem najwyższej koncentracji.

- Do takiej pracy potrzebne ci okulary, kochanie.

- Leż spokojnie. Muszę powstrzymać krwotok, zanim wezwę pogotowie.

- Przypominam ci, że choć to tylko rana na ciele, szczerze mówiąc, boli jak diabli.

- Przepraszam, przepraszam. - Miała ochotę oprzeć mu głowę na ramieniu i płakać, płakać bez końca. Ale nie mogła sobie na to pozwolić. Grubym tamponem z oberwanego kawałka jego koszuli usiłowała zatamować krwawienie z długiej, głębokiej rany. - Zadzwońię po karetkę, jak tylko opatrzę ci ramię. Wszystko będzie dobrze.

- Wezwij detektywa Micka Marshalla. Koniecznie jego. Powołaj się na mnie.

- Dobrze, dobrze, bądź spokojny.

- Co się tu dzieje, na Boga!?

Cade aż się wzdrygnął.

- Błagam cię, powiedz mi, że to halucynacje- mruknął do Bailey. - Tylko mi nie mów, że to moja matka.

- Dobry Boże, Cade, co ty wyprawiasz? Czy to krew?

Cade zamknął oczy. Z oddali dobiegł go zdecydowany głos Bailey, nakazujący jego matce wezwać pogotowie. A potem, Bogu dzięki, zemdlął.

Kiedy się ocknął w karetce, Bailey trzymała go za rękę, a deszcz głośno bębnił o dach. Po raz drugi odzyskał przytomność w izbie przyjęć, kiedy lampy świeciły mu w oczy, a jacyś ludzie głośno krzyczeli. Ból był jak żarłoczna bestia, która kawałek po kawałku szarpała mu ramię.

- Można tu dostać jakiś narkotyk? - zapytał jak najuprzejmiej, po czym znowu zemdlął.

Kiedy ocknął się po raz kolejny, był w łóżku. Leżał przez

chwilę bez ruchu, z zamkniętymi oczami, póki nie sprawdził poziomu bólu i przytomności. Bólowi dał ocenę sześć w dziesięciostopniowej skali, ale tym razem był już w pełni przytomny.

Otworzył oczy i ujrzał Bailey.

- Cześć. Miałem nadzieję, że ciebie pierwszą zobaczę, kiedy się obudzę.

Podniosła się z krzesła i wzięła go za rękę.

- Dwadzieścia sześć szwów, mięśnie nie uszkodzone. Straciłeś masę krwi, ale wpompowali w ciebie jeszcze więcej. - Przysiadła na brzegu łóżka i z ulgą się rozpłakała.

Nie uroniła jednej łzy, kiedy Cade leżał na podłodze, a ona usiłowała powstrzymać krwotok. Nie płakała też w karetce, kiedy pędzili przez zalane deszczem ulice, pośród grzmotów i błyskawic.

Ani gdy podczas operacji Cade'a krążyła nerwowo po szpitalnym korytarzu, ani podczas ciężkiej próby, jaką była rozmowa z jego rodzicami. Nawet kiedy próbowała opowiedzieć policji o tym, co się stało.

Ale teraz mogła sobie wreszcie na to pozwolić.

- Przepraszam - szepnęła, kiedy się uspokoiła.
- To był ciężki dzień, prawda?
- Chyba najgorszy w moim życiu.
- Co z Salvinim?

Odwróciła wzrok i spojrzała w stronę okna, zalanego strugami deszczu.

- Nie żyje. Wezwałam policję. Poprosiłam detektywa Marshalla. Jest tutaj. Czeka, aż się obudzisz i lekarze wydadzą mu przepustkę. - Wstała i wygładziła prześcieradła. - Próbowałam mu wszystko opowiedzieć, jakoś to wyjaśnić. Nie wiem, czy mi

się udało. W każdym razie porobił notatki i zadał mi masę pytań. On się o ciebie martwi. Cade.

- Doprowadzimy wszystko do korka, zobaczysz, Bailey.
- Cade znowu chwycił ją za rękę. - Wytrzymasz jeszcze trochę?
 - Tak długo, jak będzie trzeba.
 - Powiedz Mickowi, żeby mnie stąd zabrał.
 - To śmieszne. Jesteś tu na obserwacji.
 - Przecież mam tylko szwy na ramieniu, a nie guza na mózgu. Chcę wrócić do domu i pić piwo, a Mick niech mi to jakoś załatwi.

Bailey uśmiechnęła się.

- Twoja matka uprzedzała mnie, że będziesz marudził.
- Ja wcale nie marudzę. Ja... - Cade nagle się poderwał.
- Co to znaczy, moja matka? Chcesz mi powiedzieć, że to nie były halucynacje?

- Nie. Ona przyszła, żeby dać ci szansę na przeprosiny. Podobno nie masz zwyczaju przeproszać.

- Świetnie. Doczekałem się. "Widzę, że trzymasz jej stronę.
 - Wcale nie trzymam jej strony. - Bailey potrzęsnęła głową.
- Czy to możliwe, że ta rozmowa w ogóle ma miejsce? W takiej sytuacji? - Cade, ona była przerażona, kiedy się o wszystkim dowiedziała i zobaczyła, że jesteś ranny. Razem z twoim ojcem...

- Z moim ojcem? Co on tu robi? Myślałem, że łowi ryby w Montanie.

- Wrócił do domu dziś rano. Oboje są w poczekalni i zamartwiają się o ciebie.
- Bailey, jeżeli żywisz do mnie bodaj odrobinę uczucia, powiedz im, żeby sobie poszli.
- Z pewnością tego nie zrobię, a ty powinieneś się wstydić.

- Będę się wstydził później. Teraz mam dwadzieścia sześć szwów. - Nic z tego nie będzie, pomyślał. Widział to wyraźnie po jej minie. - No, dobrze, ubijmy interes - westchnął. - Poproś tu moich rodziców, a ja postaram się z nimi jakoś dogadać. A potem chcę się widzieć z lekarzem. Ma mnie stąd wypisać. Z Mickiem będziemy rozmawiać w domu i tam załatwimy resztę spraw.

Bailey skrzyżowała ręce na piersi.

- Twoja matka ostrzegała mnie, że ty zawsze musisz postawić na swoim. - Odwróciła się i wymaszerowała z pokoju.

Kosztowało to masę wdzięczenia się, wiele argumentów i sporo uporu, ale już po trzech godzinach Cade leżał wygodnie rozparty na sofie w swoim pokoju. W ciągu następnych dwóch udało mu się zrelacjonować Mickowi przebieg wydarzeń, jakie miały miejsce.

- Pracowity z ciebie chłopak, Parris - stwierdził Mick.

- Praca detektywa nie polega na jedzeniu pączków i picciu kawy, stary.

Mick chrząknął.

- Skoro już mowa o kawie - rzucił Bailey znaczące spojrzenie - sędzę, panno James, że...

- Och. - Bailey natychmiast się poderwała. - Zaraz zaparzę świeżą kawę. - Wzięła pusty dzbanek i wybiegła do kuchni.

- Sprytne posunięcie, Mick, bardzo sprytne,

- Posłuchaj. - Mick nachylił się nad nim. - Porucznik nie będzie zachwycony, kiedy się dowie o dwóch trupach i dwóch zaginionych diamentach.

- Buchanan nigdy nie jest zachwycony.

- On z zasady nie lubi, jak ktoś bawi się w policję, a poza

tym, w tej sprawie jest cała masa niejasności. Na przykład dla-
czego twoja przyjaciółka czekała aż cztery dni, zanim zgłosiła
się na policję?

- Straciła pamięć.

- Powiedziała mi to samo. I ja jej wierzę. Ale czy po-
rucznik...

- Jeżeli Buchanan będzie miał jakieś wątpliwości, przyślij
go do mnie. - Cade usiadł, zirytowany, nie zwracając uwagi na
pulsujący ból ręki. - Na Boga, Mick, przecież ona widziała, jak
jeden z jej braci zabija drugiego, a potem rzuca się na nią. Idź
tam i zobacz, na co musiała patrzeć, a potem powiedz mi, co
miała zrobić w tej sytuacji.

- Dobrze już, dobrze. - Mick wyciągnął rękę. - A wystanie
diamentów?

- Chciała zapobiec kradzieży. Gdyby tego nie zrobiła, już by
ich nie było. Masz jej oświadczenie; a także moje, w tej sprawie.
Wiesz doskonale, o co chodzi. Odkąd do mnie przyszła, nie
robiła nic innego, tylko usiłowała rozwikłać tę zagadkę.

- Ja też tak to widzę - powiedział Mick po chwili i spojrzał
na stojącą przy jego krześle płócienną torbę. - Działaliście
w obronie własnej. Salvini wybił szybę w drzwiach kuchen-
nych, wszedł do domu i czekał na wasz powrót.

Mick przecesał palcami kędzierzawą czuprynę. Doskonale
zdawał sobie sprawę, że wszystko mogło potoczyć się zupełnie
inaczej. Niewiele brakowało, by stracił najlepszego przyjaciela.

- Mówiłem ci, żebyś sobie założył alarm.

Cade wzruszył ramionami.

- Może w końcu to zrobię. Zwłaszcza teraz, kiedy muszę
chronić coś bardzo cennego.

Mick spojrzał w stronę drzwi.

- To twoja... dziewczyna?

- O, tak, wyłącznie moja. Posłuchaj, Mick, musimy odnaleźć MJ. O'Leary i Grace Fontaine. I to szybko.

- Musimy?

- Nie zamierzam siedzieć na tyłku.

Mick znowu pokiwał głową.

- Wszystko, co wiemy o tej O'Leary, to że w jej mieszkaniu była jakaś karczemna awantura, po której uciekła z jakimś facetem uczesany w kucyk. Wygląda na to, że się zapadła pod ziemię.

- Albo ktoś ją tam przetrzymuje - mruknął Cade, spoglądając nerwowo w stronę drzwi, żeby się upewnić, czy Bailey go nie słyszy. - Mówiłem ci już o rozmowie nagranej na automatyczną sekretarkę.

- Tak. Nie da się namierzyć, skąd dzwoniło, ale założymy u niej podsłuch. A co do Fontaine, wysłałem ludzi, żeby przeszukali jej dom w Potomacu. Szukamy jej też w górach. W ciągu paru godzin powinienem już coś wiedzieć.

Wstał i sięgnął z uśmiechem po torbę.

- Na razie uszczęśliwię tym Buchanana i chętnie zobaczę, jak się będzie wił w Smithsonian Institute. - Roześmiał się na myśl o tym, jak bardzo jego porucznik nienawidzi bawić się w dyplomatę. - Jak myślisz, stary, ile mogą być warte te kamyki?

- Jak na razie, kosztowały już życie co najmniej dwóch osób - powiedziała Bailey, wnosząc tacę z kawą.

Mick głośno chrząknął.

- Przykro mi, że poniosła pani taką stratę, panno James.

- Mnie też. - Pomyślała, że jakoś będzie musiała z tym żyć.

- Nie ma ceny na Trzy Gwiazdy Mitry. Oczywiście jest kwestia

ubezpieczenia, i tak dalej, więc Smithsonian Institute zwrócił się do nas z prośbą o ekspertyzę i określenie ceny rynkowej. Jakakolwiek cenę w dolarach wyznaczyłabym jako gemmolog, to i tak bez znaczenia. Te kamienie symbolizują miłość, wiedzę i hojność. A na to nie ma ceny.

Nie wiedząc, jak się zachować w tej sytuacji, Mick stanął na baczność.

- Tak jest, proszę pani.

Bailey blade się uśmiechnęła.

- Bardzo pan miły i wyrozumiały. Jeżeli trzeba, jestem gotowa iść z panem.

- Iść ze mną? A dokąd?

- Jak to: dokąd? Na komisariat. Przecież musi mnie pan aresztować.

Mick podrapał się po głowie. Po raz pierwszy w jego dwudziestoletniej karierze piękna kobieta podała mu kawę, a potem uprzejmie poprosiła, żeby ją aresztował.

- Miałbym kłopoty ze sformułowaniem zarzutów. Chciałbym tylko, żeby pani nie wyjeżdżała z miasta, ale rozumiem, że Cade już o to zadba. Przypuszczam też, że ludzie z muzeum będą chcieli z panią porozmawiać.

- Więc nie pójdę do więzienia?

- O Boże, ale zbladłaś. Usiądź, Bailey. - Cade chwycił ją zdrową ręką i pociągnął na sofę.

- Myślałam, że póki diamenty się nie odnajdą, jestem odpowiedzialna. ..

- Twoi bracia byli za to odpowiedzialni - przerwał jej Cade.

- Muszę się z tym zgodzić - powiedział Mick. - Bardzo pani dziękuję za kawę, panno James. Może będę jeszcze chciał z panią porozmawiać.

- A co z moimi przyjaciółkami?

- Pracujemy nad tym. - Mick zasalutował Cade'owi i wyszedł.

-- Timothy nic może im już zrobić krzywdy - powiedziała cicho Bailey. - Ale ten, kto go wynajął...

- Jemu chodzi o diamenty, a nie o twoje przyjaciółki. Wszystko przemawia za tym, że Grace jest w swojej górskiej kryjówce, a MJ spuszcza lanie jakimś facetom.

Bailey blade się uśmiechnęła.

- Masz rację. Wkrótce się odezwą. Jestem tego pewna. Gdyby stało im się coś złego, wiedziałabym o tym. Czułabym to. - Nalała kawy do filiżanki, ale jej nie tknęła. - To one są jedyną rodziną, jaką mam, odkąd straciłam rodziców. Oszukiwałam samą siebie, wmawiając sobie, że jest inaczej.

- Nie jesteś już sama, Bailey. Nie udawaj, że o tym zapomniałaś.

- Powinieneś się położyć, Cade.

- Chodź tu do mnie.

Odwróciła się w samą porę, by dostrzec na jego twarzy łobuzerski uśmiech.

- Musisz teraz dużo odpoczywać.

- Nie jestem zmęczony.

Uśmiech zniknął z twarzy Bailey. Oczy jej pociemniały.

- Uratowałeś mi życie.

Cade przypomniał sobie, jak skoczyła na grzbiet Salviniemu, gryząc go i drapiąc jak wściekła kotka.

- To nie jest takie całkiem oczywiste, kto komu uratował życie.

- Ty uratowałeś mi życie - powtórzyła z naciskiem. - I to już wtedy, gdy pojawiłam się w twoim biurze. Bez ciebie była-

bym zgubiona. Dziś załoniłeś mnie własnym ciałem, biłeś się o mnie. Ryzykowałeś życie, żeby mnie obronić.

- Zawsze marzyłem, żeby zabić smoka dla pięknej damy. A ty dałaś mi tę szansę.

- Nie było tu rycerza z bajki ani Sama Spade'a. - Bailey głos drżał ze wzruszenia. - Była za to prawdziwa krew tryskająca z twoich ran. Był też mój brat, który zwrócił przeciwko tobie swój nóż.

- I przeciwko tobie też - przypomniał jej Cade. - Nie ponosisz żadnej odpowiedzialności za to, co on zrobił. Jesteś zbyt rozsądna, żeby wierzyć w coś takiego.

- Przynajmniej się staram. - Odwróciła się na chwilę, żeby opanować wzruszenie. - Gdyby wszystko potoczyło się inaczej, gdybyś to ty zginął, kogo mogłabym za to winić? Przecież to ja przyszedłam do ciebie. Z całym moim balastem.

- Taką mam pracę. - Cade wstał i lekko się zachwiał. - Tak zarabiam na życie. Ryzyko jest w to wliczone.

- Nie myślałam o tym w ten sposób. - Bailey znowu się odwróciła i spojrzała na niego. - W moich oczach liczy się przede wszystkim to, co dla mnie zrobiłeś. I nigdy nie będę w stanie odwdziaczyć ci się za to.

Niecierpliwym gestem odrzucił włosy z czoła.

- Zagłaszczesz mnie na śmierć, Bailey.

- Nie. Ale muszę powiedzieć to wszystko, co leży mi na sercu. Od samego początku. Przyjąłeś mnie pod swój dach. Kupiłeś mi szczotkę do włosów. To taki drobiazg, ale ile osób pamiętałoby o czymś takim? Wysłuchałeś mnie i obiecałeś, że mi pomożesz. I dotrzymałeś słowa. A dziś omal nie zginąłeś z tego powodu.

- Chcesz, żebym ci powiedział, że umarłbym dla ciebie?

Chyba tak. Że zabiłbym dla ciebie? Z pewnością. Nie jesteś jakimś wytworem mojej fantazji, Bailey. Dzięki tobie wreszcie znalazłem się na właściwym miejscu.

Bailey poczuła dziwny ucisk w gardle. Znowu był na nią zły. Oczy w jego posiniaczonej twarzy spoglądały na nią ze zniecierpliwieniem. Ramię, zabandażowane od łokcia aż po pachę, musiało mu sprawiać straszliwy ból.

Należał do niej. Co do tego nie miała najmniejszych wątpliwości.

- Chyba się domyślam dlaczego - powiedziała.

- Nie próbuj kierować się rozumem tam, gdzie rozum nie ma nic do powiedzenia. To nie jest fragment układanki, Bailey. To już gotowa układanka. - Z westchnieniem przeczesał włosy.

- Pierwsza gwiazda to miłość, prawda? Czy już wreszcie wszystko zrozumiałaś?

Więc to takie proste, pomyślała. Takie cudowne. Zaciskając usta, zrobiła krok w jego stronę.

- Nazywam się Bailey James - zaczęła. - Mam dwadzieścia pięć lat, mieszkam w Waszyngtonie i jestem gemmologiem. Jestem niezamężna. - Musiała przerwać, żeby się opanować, a potem mówiła dalej: ~ Jestem schludna i pedantyczna. Jedna z moich najbliższych przyjaciółek mówi, że porządek jest moją religią. Obawiam się, że może mieć rację. Lubię, by wszystko było na swoim miejscu. Lubię gotować, ale nieczęsto to robię, bo mieszkam sama. Lubię stare filmy, zwłaszcza kryminały.

Cade patrzył na nią z uśmiechem, ale ona tylko pokręciła głową. Było jeszcze coś więcej ponad to, co powiedziała.

- Niech no się zastanowię - mruknęła, zniecierpliwiona. - Mam słabość do włoskich butów. Wolę nie jeść obiadów przez cały miesiąc niż odmówić sobie ładnych butów. Lubię

eleganckie stroje i antyki. Wolę kupić jedną dobrą rzecz niż kilka gorszych. Ta sama przyjaciółka nazywa mnie snobką do kwadratu, i tu też ma rację. Wolę szukać drogocennych kamieni niż jechać do Paryża, choć najchętniej zrobiłabym jedno i drugie.

- Zabiorę cię do Paryża.

Bailey znowu potrząsnęła głową.

- Jeszcze nie skończyłam. Mam wady, całą masę wad. Czasami czytam do późna w nocy i zasypiam przy świetle i włączonej telewizji.

- No cóż, jakoś sobie z tym poradzimy.

Zrobił krok w jej stronę, ale ona się cofnęła, unosząc rękę.

- Mrużę oczy i zezuję bez okularów, ale rzadko je noszę, ponieważ jestem próżna. Więc ciągle robię miny. Kiedy byłam w college'u, nie chodziłam na randki, bo byłam nieśmiała, zapracowana i nudna. Nie miałam żadnych doświadczeń seksualnych, aż, dopiero niedawno...

- Naprawdę? Jeżeli wreszcie zamkniesz buzię, zaoferuję ci kolejne doświadczenie seksualne.

- Jeszcze nie skończyłam - powiedziała ostro, jak nauczycielka besztająca niesfornego ucznia. - Jestem dobra w swoim fachu. To ja zaprojektowałam moje pierścionki.

- Zawsze się nimi zachwycałem. Do twarzy ci z tą powagą, Bailey. Chciałbym cię już dostać w swoje ręce.

- Nie jestem pozbawiona ambicji - ciągnęła, cofając się.

- Mam zamiar odnosić sukcesy zawodowe. Chcę też sama zapracować na swoje nazwisko.

- Jeżeli życzysz sobie, żebym cię gonił dookoła sofy, daj mi przynajmniej fory. Przecież wiesz, że mam dwadzieścia sześć szwów.

- Pragnę mieć kogoś, dla kogo będę najważniejsza. Chcę mieć dzieci i urządzać uroczyste kolacje w Święto Dziękczynienia. Chcę, żebyś zrozumiał, dlaczego to dla mnie takie ważne. Bo taka właśnie jestem. Jestem pedantyczna, praktyczna i - niestety - potrafię też być trochę nudna.

- Nigdy w życiu nie spędziłem tak nudnego weekendu - stwierdził sucho Cade. - Ciężko mi było utrzymać otwarte oczy.

Kiedy Bailey chrząknęła, zastąpił jej drogę i wziął ją w objęcia. I zaklął, gdy piekący ból przeszył mu ramię.

- Cade, jeżeli otworzyły ci się szwy...

- Skoro jesteś taka praktyczna, potrafisz mnie z powrotem zszyć. - Z uśmiechem uniósł jej podbródek. - Czy już wreszcie skończyłaś?

- Nie, nie zaznam spokoju, póki MJ i Grace się nie odnajdą, całe i zdrowe, a także póki Trzy Gwiazdy nie trafią do muzeum.

- Zapiszę to sobie, na wypadek gdyby mi wyleciało z pamięci. A teraz, może wzięłabyś mnie na górę? Moglibyśmy się pobawić w doktora.

- Jeszcze jedno - powiedziała, a kiedy Cade wzniosł oczy do góry, dodała: - Bardzo cię kocham.

Cade zamarł. Ogarnęła go fala dziwnej, potężnej słodyczy. Może i nie lśnią w jej oczach gwiazdy, pomyślał, ale jest w nich jej serce. I to serce należy do niego.

- Długo trwało, zanim do tego doszłaś.

- Wydawało mi się, że zrobiłam to w samą porę i w stosownym i miejscu.

Cade obdarzył ją długim, delikatnym pocałunkiem.

- Znam pewne lepsze miejsce...

- Kocham cię, Cade - powtórzyła. - Nareszcie mogę zacząć nowe życie.

EPILOG

Jedna gwiazda była na razie poza jego zasięgiem. Wiedział o tym od chwili, gdy zyskał pewność, że przejęła ją policja. Ale nie wpadł w szal i nie przeklinał bogów. Czyż w końcu nie był cywilizowanym człowiekiem? Odesłał tylko tego roztrzęsionego posłańca jednym lodowatym spojrzeniem.

Siedział teraz w swoim skarbcu, wodząc palcem po brzegach złotego pucharu, napełnionego winem. Z głośników płynęła cicha muzyka, przynosząc mu ukojenie.

Uwielbiał Mozarta. Płynnym gestem zaczął łagodnie podkreślać miodowe frazy.

Ta kobieta przysporzyła mu kłopotów. Salvini jej nie doceniał. Twierdził, że jest tylko ozdobą, pupilką jego zmarłego ojca. Oczywiście nie pozbawioną inteligencji i bez wątpienia zdolną, jednak kompletnie wyzutą z odwagi. Mówił, że to taka cicha myszka, która nie widzi świata poza swoimi kamieniami.

Błąd polegał na tym, że zaufał opinii Salviniego na temat Bailey James.

Ale nie popełni już tego błędu po raz drugi. Roześmiał się drwiąco. Nie będzie to konieczne, skoro panna James i jej opiekun sami rozprawili się z Salviniem.

A skoro wyświadczyli mu tę przysługę, nic już nie łączy go z klejnotami i ze śmiercią obu braci. I nic też nie zdoła go odwieść od jego planów - oczywiście z pewnymi poprawkami. Bo on potrafi być elastyczny, jeśli zajdzie potrzeba.

Dwie gwiazdy wciąż były wolne - albo zaginęły, albo właśnie gdzieś wędrowały. Wystarczyło zamknąć oczy, a już je widział. Pulsowały niezmiernym światłem, czekając, żeby je wziął i połączył z trzecią. By przejął ich moc.

Już wkrótce będzie je miał. Jeśli ktoś spróbuje stanąć mu na drodze, zostanie zlikwidowany.

W gruncie rzeczy szkoda, że stało się tak, jak się stało. Nie było potrzeby uciekać się do przemocy. Nie było też potrzeby dopuszczać do rozlewu krwi. Ale skoro już do tego doszło no cóż...

Uśmiechnął się do siebie i pociągnął łyk rozgrzanego, czerwonego wina. Krew za krew, pomyślał.

Trzy kobiety, trzy kamienie, Trzy Gwiazdy. Jakie to poetyczne. ! I co za ironia. A kiedy złoty trójkąt będzie już kompletny, kiedy Trzy Gwiazdy Mitry będą już należały wyłącznie doniego i będzie mógł je dotykać na ołtarzu, wtedy pomyśli o tych kobietach, które próbowały pozbawić go tego, co było mu przeznaczone.

Bedzie o nich myślał z sympatią, a nawet podziwem

Miał też nadzieję że dla każdej z nich uda mu się wymyślić jakąś niezwykle poetycką śmierć.



Harlequin

Orchidea

REKONSTRUKCJA SERIE *Temptation*

NORA ROBERTS



Schwytana gwiazda

Z CYKLU
„NIEBIESKI DIAMENT”

NOWA SERIA III

NORA ROBERTS

Schwytana gwiazda

ROZDZIAŁ 1

Gotów był niemal zabić za jedno piwo. Za wielki oszroniony kufel napełniony ciemnym importowanym piwem, W tej chwili smakowałoby mu dużo bardziej niż pocałunek pociągającej kobiety. Piwo w jakimś mrocznym, chłodnym pubie, w towarzystwie paru innych siedzących na stołkach bywalców, śledzących przebieg meczu baseballowego na ekranie telewizora.

Nie spuszczać z oka mieszkania, które obserwował, Jack Dakota dla zabicia czasu puszczał wodze fantazji.

Piana na kuflu, zapach drożdży, pierwszy łakomy haust dla ochłody i ugaszenia pragnienia. A potem powolne smakowanie, łyk za łykiem, aż w końcu doszedłby do przekonania, że na świecie wszystko byłoby w porządku, gdyby politycy i prawnicy debatowali nad rozwiązaniami nieuniknionych konfliktów przy kuflu zimnego piwa w miejscowym pubie, a tymczasem pałkarz szykowałby się do decydującego odbicia.

Było tuż po pierwszej po południu, ciut za wcześnie na drinka, ale upał tak dawał się we znaki, że cała lodówka pełna puszek z zimnymi napojami nie sprawiłaby takiej frajdy jak jedno, zimne piwo z pianką.

Jego stareńki oldsmobile nie miał takich luksusów jak klimatyzacja. Prawdę mówiąc, jedynym luksusem była kosztowna, rozdierająca uszy wieża, zainstalowana w obłożonej desce rozdzielczej pokrytej imitacją skóry. Zestaw stereo był wart dwa razy tyle co samochód, ale Jack nie potrafił żyć bez muzyki. Podczas jazdy lubił nastawiać sprzęt na pełną moc i śpiewać na całe gardło z Beatlesami czy Stonesami.

Solidny, ośmiocylindrowy silnik pod powyginaną brudnoszarą maską, wyregulowany jak szwajcarski zegarek, zawoził Jacka wszędzie, gdzie ten chciał, i to szybko. Teraz silnik odpoczywał, a Jack, dostosowując się do atmosfery spokojnej dzielnicy w północno-zachodniej części Waszyngtonu, nastawił cicho odtwarzacz CD i mruczał do wtóru Bonnie Raitt.

Była jedną z nielicznych uznawanych przez niego współczesnych wykonawczyń muzyki rozrywkowej.

Jack często myślał, że urodził się w niewłaściwej epoce. Może nawet byłby z niego niezły rycerz Okrągłego Stołu. Oczywiście na czarnym koniu. Odpowiadała mu prosta filozofia prawa pięści. Wspierałby króla Artura, dumał, bębniąc palcami o kierownicę, jednak w Camelot rządziłby na swój własny sposób. Trzymanie się ustalonych reguł powoduje niepotrzebne komplikacje.

Mógłby też żyć na Dzikim Zachodzie i na przykład pokiwać na bandytów. Żadnej nonsensownej papierkowej roboty. Po prostu chwyciłby ich i dostarczał, dokąd trzeba

Żywych lub umarłych.

W dzisiejszych czasach bandyci wynajmowali adwokata albo zapewniało im go państwo, a rozprawy sądowe sprowadzały się do przeproszania ich za kłopoty.

„Bardzo nam przykro, sir. To, że pan gwałcił, rabował i mor-

dował, nie usprawiedliwia zabierania pańskiego cennego czasu i naruszania pańskich praw”.

Tak przedstawiała się smutna rzeczywistość.

Był to jeden z powodów, dla których Jack Dakota nie został policjantem, choć jako nieopierzony dwudziestolatek przez jakiś czas się nad tym zastanawiał. Sprawiedliwość nigdy nie była dla niego pustym słowem. Ale sprawiedliwość to jedno, a regulaminy i przepisy to drugie.

Właśnie dlatego w wieku trzydziestu lat Jack Dakota trudnił się chwytniem zbiegłych przestępców.

Tropił złych facetów, ale sam określał swój czas pracy, płacono mu za wykonanie zadania i nie musiał zajmować się upiorną papierkową robotą.

Tu też obowiązywały jakieś przepisy, ale bystry facet wie, jak je obchodzić. A Jack zawsze był bystry.

W kieszeni miał dokumenty dotyczące tropionego właśnie obiektu. Tego ranka o ósmej zadzwonił do niego Ralph Finkelman z nowym zadaniem. Dziwny facet z tego Ralph, zamyslił się Jack. Wiecznie się czymś martwi, a z drugiej strony jest optymistą. Ciekawa kombinacja, ale pewnie typowa dla poręczyciela. On osobiście nie był w stanie zrozumieć idei pożyczania pieniędzy nieznanym - skoro potrzebowali poręczenia, tym samym ujawniali swoją niewiarygodność.

Ale w grę wchodziły niezłe pieniądze, a pieniądze to wystarczająca motywacja większości działań.

Jack dopiero co wrócił ze zbiegiem, którego tropił aż do Karoliny Północnej. Kiedy przyholował głupiego jak but wiejskiego chłopaka, który próbował wzbogacić się, okradając całodobowe sklepy na stacjach benzynowych, Ralph Finkelman wprost nie wiedział, jak mu dziękować. Wyłożył za niego

kaucję, uznawszy, że chłopakowi do głowy nie przyjdzie, żeby uciekać.

Jack mógłby mu powiedzieć, prosto z mostu, że dzieciak jest na tyle nierozgarnięty, że nie rozumie, czym grozi ucieczka.

Ale nie płacono mu za udzielanie rad.

Zamierzał przez kilka dni odpoczywać, może obejrzeć parę meczów na Camden Yards, zadzwonić do którejś ze swych przyjaciółek, by pomogła mu przepuścić zarobione pieniądze. Właściwie chciał odesłać Ralpa z kwitkiem, ale chłopisko tak skamlało, tak się usprawiedliwiało, że nie miał serca odmówić.

No więc wpadł do jego firmy i wziął papiery na niejaką O'Leary, która najwyraźniej postanowiła nie stawiać się w sądzie z wyjaśnieniami, dlaczego postrzeliła swego żonatego kochanka.

Doszedł do wniosku, że ona również jest głupia jak but. Niebrzydka kobieta - a sądząc z fotografii i opisu, można było tak o niej powiedzieć - z paroma szarymi komórkami na swoim miejscu, mogła z łatwością przekonać sędziego i ławę przysięgłych, że taki drobiazg jak postrzelenie niewiernego księgowego nie powinien podlegać zbyt surowej karze.

Robota wydawała się jak kaszka z mlekiem, ale Ralph był okropnie nerwowy. Jąkał się bardziej niż zwykle, a oczy latały mu jak błędne.

Jack nie miał jednak ochoty analizować zachowania Ralpa. Chciał szybko zakończyć pracę, napić się piwa i zacząć się cieszyć zarobioną forszą.

Pieniądze z tej ekstra roboty oznaczały, że może pozwolić sobie na pierwsze wydanie „Don Kichota”. Zależało mu na nim od dawna. Dla czegoś takiego można znieść spływanie potem w samochodzie przez parę godzin.

Nie wyglądał na mężczyznę, który poluje na białe kruki czy rozsmakowuje się w filozoficznych rozprawach o naturze ludzkiej. Brązowe włosy z jaśniejszymi od słońca pasemkami nosił związane w krótki kucyk - co wynikało raczej z jego nieufności do fryzjerów niż chęci hołdowania modzie. Gładka fryzura uwydatniała jego pociągłą, wąską twarz o ostro zarysowanych szczękach i zapadniętych policzkach. Nad płytkim rowkiem w brodzie rysowały się pełne, stanowcze wargi sprawiające wrażenie rozmarzonych, gdy nie wykrzywił ich szydery uśmiech.

Jego stalowoszare oczy przybierały odcień dymu na widok pożółkłych stron pierwszego wydania Dantego bądź ciemniały z zachwytu na widok ładnej kobiety w cienkiej letniej sukience. Lekko demoniczne wygięcie brwi uwydatniała biała blizna idąca po skosie lewej, skutek zetknięcia ze scyzorykiem zabójcy, który nie zamierzał pozwolić, by Jack odebrał swoje pieniądze.

Jack odebrał pieniądze, a zbieg zarobił złamaną rękę i pokiereszowany nos, który już nigdy nie będzie taki jak przedtem, chyba że państwo zafunduje mu operację plastyczną.

Co wcale by Jacka nie zaskoczyło.

Były też inne blizny. Jego smukłe, mocne ciało nosiło ślady licznych walk. Kobiety to uwielbiały.

Jack nie miał nic przeciwko temu.

Wyciągnął przed siebie długie nogi, rozluźnił ramiona i medytował, czy nie otworzyć kolejnej puszkii napoju i czy znowu nie udawać, że to piwo.

Kiedy obok przeleciał ze świstem MG z opuszczonym dachem i włączonym na cały regulator radiem, pokręcił głową. Głupia jak but, powtórzył w myśli, choć w pełni aprobował jej muzyczny gust. Pęd samochodu poruszył papierami, a szybkie

zerknięcie na kobietę siedzącą za kierownicą potwierdziło jego przypuszczenia. Krótkie rude włosy rozwiewające się na wietrze zdradzały ją bez pudła.

Zaparkowała tuż przed nim. Obserwując, jak wydostaje się z małego samochodu, pomyślał, że to ironia losu, iż kobieta z takim wyglądem może być tak żałośnie głupia.

Nie, nie nazwałby jej milutką. Wyglądało na to, że nie ma w niej nic łagodnego, ale on miał słabość do długonogich, niebezpiecznych kobiet. Była wysoka. Wąskie chłopiące biodra oblepiały spłowiałe dzinsy starte na szwach do białości i rozdarte na kolanie. Podkoszulek wciśnięty w dzinsy był zwyczajny, z białej bawełny, a jej małe, nie skrupowane stanikiem piersi odznaczały się wyraźnie pod miękką tkaniną.

Wyciągnęła torbę z samochodu i przed Jackiem odsłonił się miły dla oka widok jędrnego damskiego tyłeczka. Uśmiechnął się szeroko do siebie i poklepał po sercu. Nic dziwnego, że jakiś kretyn zdradził z nią swoją żonę.

Miała buźkę tak kanciastą jak ciało. Choć delikatna, mlecznobiała cera harmonizowała z płomiennymi włosami, nie było w niej nic z niewinnego dziewczątka. Ostro zarysowany podbródek i wyraźne kości policzkowe tworzyły upartą, zmysłową twarz, którą dopełniały pełne, wrażliwe usta.

Nosiła ciemne, przylegające do twarzy okulary, ale z dokumentów wiedział, że ma zielone oczy. Ciekawe, czy przypomina ją mech czy szmaragdy.

Z olbrzymią torbą zarzuconą na jedno ramię i torbą ze sklepu spożywczego opartą o biodro ruszyła w stronę domu. Pozwolił sobie na jedno westchnienie na widok tego sprężystego, zamaszystego kroku.

Stanowczo lubił długonogie kobiety.

Wysiadł z samochodu i poszedł za nią. Uznał, że nie sprawi mu kłopotu. Najwyżej trochę podrapie i pogryzie. Nie wyglądała na kogoś, kto rozpuści się w błagalnych łzach.

Naprawdę nie lubił, kiedy do tego dochodziło.

Jego plan był prosty. Mógł dopaść ją na ulicy, ale nie znosił publicznych pokazów, jeśli sprawę można było załatwić inaczej. Postanowił, że wdrze się za nią do mieszkania, wyjaśni sytuację i dopiero wówczas ją zwinie.

Nie wyglądała na zaniepokojoną, skonstatował, wchodząc za nią do budynku. Czy naprawdę sądziła, że policja nie będzie jej szukać u krewnych i znajomych? W dodatku pojechała na zakupy własnym samochodem. Dziwne, że do tej pory jej nie złapano.

Jednak z drugiej strony gliny miały wystarczająco dużo roboty bez uganiania się za kobietą, która posprzeczała się z kochankiem.

Miał nadzieję, że jej kumpelki, do której należy mieszkanie, nie ma w domu. Obserwował okna blisko godzinę i nie zauważył, żeby coś się za nimi działo. Nie usłyszał żadnego dźwięku, kiedy przeszedł niedbale pod otwartymi oknami drugiego piętra ani kiedy wszedł do budynku, chcąc podsłuchać, co się dzieje za drzwiami.

Ale nigdy nie można być zbyt pewnym.

Kiedy minęła windę i skierowała się na schody, zrobił to samo. Nie odwróciła głowy, co sugerowało, że albo jest wyjątkowo pewna siebie, albo bez reszty pochłonięta własnymi myślami.

Pokonał dzielącą ich przestrzeń i błysnął zębami w uśmiechu.

- Może pomóc?

Zwróciła głowę w jego kierunku i popatrzyła badawczo

przez ciemne szkła okularów. Po wargach nie przemknął nawet cień uśmiechu.

- Nie trzeba, poradzę sobie.

- Wierzę, ale i tak idę na górę. W odwiedzinach do ciotki. Nie widziałem jej od... do licha... od dwóch lat. Właśnie dziś rano wpadłem do Waszyngtonu. Zapomniałem, jak tu bywa gorąco.

- To nie gorąco - powiedziała oschle. - To wilgoć.

Zaśmiał się cicho, słysząc w jej głosie niechęć i zniecierpliwienie.

- Tak, tak mówią. Dorastałem tutaj, ale ostatnie parę lat mieszkałem w Wisconsin... Zdażyłem zapomnieć... Proszę pozwolić sobie pomóc,

Kiedy przesunęła torbę, by wsunąć klucz do zamka w drzwiach, jednym gładkim ruchem próbował ją przechwycić. Równie gładko zablokowała ciężar ramieniem i pchnięciem otworzyła drzwi.

- Poradzę sobie - powtórzyła i zaczęła zamykać mu drzwi przed nosem.

Wśliznął się do środka jak wąż i chwycił mocno jej przedramię.

- Pani O'Leary...

Nie zdążył powiedzieć nic więcej, bo uderzyła go łokciem w podbródek. Zaklął, zamrugał i w samą porę uchylił się przed kopnięciem w krocze. Cios był jednak na tyle blisko celu, że Jack natychmiast zmienił taktykę.

Na wyjaśnienia przyjdzie czas.

Kiedy ją chwycił, odwróciła się w jego uścisku, przydeptała mu stopę tak, że zobaczył wszystkie gwiazdy. A potem uderzyła go na odlew pięścią w twarz.

Torba z zakupami poszybowała w powietrze, a dziewczyn-

na waliła go raz za razem, oddychając przy tym szybko i rytmicznie. Początkowo blokował jej ciosy. Nie można powiedzieć, że było to łatwe. Najwidoczniej przeszła szkolenie w walce wręcz - nieistotny szczegół, o którym Ralph nie wspominał.

Kiedy stanęła na ugiętych nogach, gotowa do ataku, zrobił to samo.

- Nie stawiaj się. - Nie uśmiechała mu się myśl, że będzie musiał jej przyłożyć... może w ten seksowny spiczasty podbródek? -I tak cię dopadnę, a nie chciałbym robić ci krzywdy.

W odpowiedzi błyskawicznie kopnęła go w żołądek. Wolałby podziwiać ten manewr z pewnej odległości, ale był zbyt zajęty zderzaniem się ze stołem.

Do diabła, naprawdę była niezła.

Oczekiwał, że rzuci się do drzwi, więc szybko zerwał się na równe nogi, by przeciąć jej drogę ucieczki. Tymczasem ona go tylko okrzyła, wciąż ukrywając oczy za ciemnymi okularami i wykrzywiając wargi.

- No, dalej - prowokowała. -Jeszcze nikomu, kto próbował obrobić mnie na moim terenie, nie udało się uciec.

- Nie jestem złodziejem. - Kopnął trzy jędrne, dojrzałe brzoskwinie, które wysypały się z torby. - Jestem łowcą nagród. Poluję na zbiegów, a ty jesteś aresztowana. - Podniósł dłoń, dając jej do zrozumienia, że ma pokojowe zamiary, po czym z nadzieją, że jej spojrzenie powędrowało w tamtym kierunku, ruszył szybko do przodu, zaczepił stopą o jej nogę i podciął ją tak, że wylądowała na podłodze.

Zwarł się z nią i może doceniłby długie czyste linie kobiecego ciała przyciśniętego do jego ciała, gdyby nie to, że teraz jej kolano trafiło lepiej niż za pierwszym razem. Zabrakło mu tchu, a ból,

który tylko mężczyzna jest w stanie pojąć, rozchodził się falami po całym ciele. Mimo to nie puścił jej.

Miał teraz przewagę i ona zdawała sobie z tego sprawę. Na stojąco była szybka, jej pole manewru było niemal tak duże jak jego, a siły bardziej wyrównane. Ale w zapasach górował nad nią wagą i muskulaturą. Rozwścieczyło ją to na tyle, że uciekła się do nieczystych chwytów. Wbiła mu zęby w ramię i kiedy krzyknął z bólu, uśmiechnęła się z widoczną satysfakcją, a adrenalina wprost w niej buzowała.

Szczepieni z sobą potoczyli się po podłodze i zderzyli ze stolikiem do kawy. Wielka błękitna czarka napełniona czekoladowymi pastylkami spadła na podłogę i rozleciała się na kawałki. Odłamek szkła wbił mu się w ramię. Znow zaklął. Dziewczyna zadała mu cios w głowę i drugi w nerki.

Właśnie zaczynała myśleć, że w końcu go pokona, kiedy błyskawicznie przewróciła ją na brzuch. Wylądowała na podłodze z głośnym plaśnięciem, a zanim zdołała zaczerpnąć tchu, przesunął jej ręce na plecy i usiadł na niej.

To, że gwałtownie dyszał, nie sprawiało jej wielkiej satysfakcji. I po raz pierwszy w życiu naprawdę się bała.

- Nie rozumiem, dlaczego, u diabła, postrześliś tego faceta, skoro mogłaś go po prostu sprać na kwaśne jabłko - mruknął Jack.

Sięgnął do tylnej kieszeni spodni po kajdanki i zaklął ponownie, kiedy ich tam nie znalazł. Wypadły mu z kieszeni podczas walki. Nie zmienił więc pozycji i przeczekał chwilę, kiedy próbowała go z siebie zrzucić.

Z trudem zaczerpnął powietrza. Nie toczył takiej walki z kobietą od czasu polowania na Dużą Betsy. A było to dziewięćdziesiąt kilo samych mięśni.

- Słuchaj, w ten sposób narobisz sobie jeszcze więcej kłopo-

tów. Dlaczego spokojnie się nie poddasz, zanim do reszty rozwalimy mieszkanie twojej przyjaciółki?

- Zgniatasz mnie, kretynie - wysyczała. - A poza tym to moje mieszkanie. Spróbuj mnie zgwałcić, to urwę ci ten twój powód do dumy i wcisnę do ręki. Załatwię cię tak, że gliny nie będą miały czego zeskrobywać z butów.

- Nie napastuję kobiet, kotku. To, że jakiś księgowy nie potrafił trzymać łap z dala od ciebie, nie oznacza, że i ja nie potrafię. A gliny nie interesują się mną. Chcą ciebie.

Wypuściła gwałtownie powietrze, próbowała zaczerpnąć tchu, ale Jack zgniatał jej płuca.

- Nie wiem, o czym, u diabła, mówisz?

Wyjął papiery z kieszeni i podsunął jej pod nos.

- Niejaka O'Leary, oskarżona o zranienie z zamiarem zabicia i tak dalej. Ralph naprawdę zawiódł się na tobie, kotku. To ufny gość i nie spodziewał się, że taka miła kobieta będzie próbowała zwiać. W końcu wpłacił za ciebie dziesięć kawałków kaucji.

- To jakaś bzdura. - Wpatrywała się z niedowierzaniem w swoje nazwisko i jakiś adres na czymś, co wyglądało jak nakaz aresztowania. - Pomyliłeś mnie z kimś. Nikt nie wyznaczył za mnie kaucji. Nie zostałam aresztowana, a to jest moje mieszkanie. Kretynscy gliniarze - mruknęła i znów próbowała go z siebie zrzucić. - Zadzwoń do swojego sierżanta, czy gdzie tam chcesz. Wyjaśnij to. A jak już będzie po wszystkim, pozwę was do sądu.

- Niezłe przedstawienie. Jak sądzę, nigdy nie słyszałaś o niejakim George'u MacDonaldzie?

- Nie, nie słyszałam.

- A więc to naprawdę nieuprzejmie z twojej strony, że go pos-

trzeleń. - Popuścił na tyle, że szarpnął jej głowę do góry, a potem chwycił za nadgarstki. Zauważył, że zgubiła okulary, a jej oczy nie przypominały ani mchu, ani szmaragdów, były zielone zielenią mrocznej rzeki. I pełne wściekłości. - Posłuchaj, siostrze, chcesz mieć romans ze swoim księgowym, nic mnie to nie obchodzi. Chcesz go zastrzelić, nie dbam o to. Ale jeśli zamierzasz zwać po uzyskaniu poręczenia, to mnie wkurzasz.

Teraz oddychało jej się nieco łatwiej, ale dłonie na jej nadgarstkach były niczym stalowe obręcze.

- Mój księgowy nazywa się Holly Bergman i nie mamy romansu. Nikogo nie zastrzeliłam i nie uciekam, bo nie wyznaczono za mnie żadnej kaucji. Chcę zobaczyć twoje dokumenty, bystrzaku.

Pomyślał, że stawianie żądań w jej sytuacji dowodzi sporej odwagi.

- Nazywam się Dakota, Jack Dakota. Jestem łowcą nagród.

Przyjrzała mu się kątem oka. Pomyślała, że wygląda jak bohater westernu. Zimny rewolwerowiec albo groźny hazardzista, albo...

- Łowca nagród. Cóż, nie ma tu nagrody, głupcze. - To nie był gwałt ani napad rabunkowy, uspokoiła się w duchu i odetchnęła z ulgą. Poczowała przypływ energii. - Ty sukinsynu. Wdarłeś się tu, podarłeś mi ubranie, zniszczyłeś zakupy warte dwadzieścia dolarów, a wszystko dlatego, że nie potrafisz iść właściwym tropem? Bądź pewien, że dobiore się do ciebie. Kiedy z tobą skończę, nie będziesz w stanie napisać swego własnego imienia przez szablon. Nie będziesz... - Zaniemówiła, kiedy podsunął jej zdjęcie.

- Masz siostrę bliźniaczkę, O'Leary? Siostrę, która jeździ MG 68, ma na tabliczce SLAINTE i kochanka o nazwisku Bailey James?

- Bailey to kobieta - szepnęła, wpatrując się w swoją własną podobiznę.

Głowę zaprzątęły jej nowe zmartwienia. Czy w tym wszystkim chodziło o Bailey, o to, co Bailey jej przysłała? W jakie kłopoty wplątała się jej przyjaciółka?

- W dodatku to nie jej mieszkanie, tylko moje. Nie mam bliźniaczki. - Ponownie popatrzyła mu w oczy. - Co się dzieje? Czy z Bailey wszystko w porządku? Gdzie jest Bailey?

Pod jego zaciśniętymi dłońmi puls jej przyspieszył. Znow próbowała się wyrwać, z nową, pełną nienawiści energią, która, jak się domyślał, wynikała ze strachu. I był absolutnie pewien, że nie boi się o siebie.

- Nie wiem nic o tym gościu, poza tym, że ten adres widnieje pod jego nazwiskiem w dokumentach.

Zaczynał jednak coś podejrzewać. I nie podobało mu się to. Już nie uważał, że O'Leary jest głupia jak but. Kobieta z odrobiną rozumu nie zostawiłaby za sobą tylu śladów, gdyby naprawdę zamierzała uciec.

Ralph, przypomniał sobie Jack, wpatrując się ze zmarszczonym czołem w twarz kobiety, był dziś rano wyjątkowo zdenerwowany. Dlaczego?

- Jeśli będziesz ze mną szczerą, możemy to szybko sprawdzić. Może to jakaś urzędnicza pomyłka - powiedział, ale nie wierzył, że tak istotnie jest. Naprawdę nie. Czuł to swoje śwędzenie u nasady kręgosłupa. - Posłuchaj... - zaczął.

Drzwi mieszkania gwałtownie się otworzyły i do środka wpadł z rykiem istny olbrzym.

- Miałeś ją wyprowadzić - warknął, wymachując robiącym wrażenie magnum .357. - Za dużo gadasz. On czeka.

Jack nie miał wiele czasu na decyzję, jak to rozegrać. Nie

znał tego dużego gościa, ale znał ten typ. Same mięśnie i zero rozumu, wielka kulista głowa z małymi oczkami i atletyczne plecy. Pistolet był wielki jak armata, ale w dłoniach wielkości szynka sprawiał wrażenie zabawki.

- Przepraszam. - Lekko ścisnął nadgarstek O'Leary z nadzieją, że dziewczyna domyśli się, iż on w ten sposób chce dodać jej otuchy, i powstrzyma się od niepotrzebnych ruchów.

- Zaistniały drobne kłopoty.

- To tylko kobieta. Miałeś po prostu wyprowadzić ją na zewnątrz.

- Tak, pracuję nad tym. - Jack uśmiechnął się przyjacielsko.

- Ralph przysłał cię, żebyś mi pomógł?

- No już, wstawaj. Ruszaj się. Wychodzimy.

- Jasne. Nie ma problemu. Nie będziesz potrzebował broni. Mam ją pod kontrolą - zapewnił, ale pistolet z lufą wielką jak armata był wycelowany prosto w jego głowę.

- Ona nam wystarczy. - Kiedy olbrzym uśmiechnął się, obwisłe wargi odsłoniły wielkie zęby. - Już cię nie potrzebujemy.

- W porządku. Domyślam się, że chcesz wziąć papiery.

- Jack, wstając, złapał puszkę z sosem pomidorowym i w braku czegoś lepszego cisnął nią w olbrzyma, trafiając go w nos. Coś chrupnęło. Jack pochylił się i rzucił do przodu jak taran. Przypominało to walenie głową o ceglana ścianę, a siła uderzenia odrzuciła ich obu na krzesło z drewnianym oparciem.

Broń wystrzeliła, wybijając w suficie dziurę wielkości pięści, po czym przeleciała przez pokój.

MJ pomyślała o ucieczce. Zanim zdołałyby się rozplatać, zdążyłaby dobiec do drzwi i uciec. Ale przypomniała sobie o Bailey i o tym, co ma w torbie. O kłopotach, w które się nie-

oczekiwanie wpakowała. A poza tym była zbyt wściekła, by uciekać.

Pobiegła po broń i upadła do tyłu, gdy Jack upadł na nią. Złagodziła jego upadek, więc szybko wstał, wyskoczył jak sprężyna w powietrze i obiema nogami kopnął olbrzyma w żołądek.

Niezła forma, oceniła MJ, gramoląc się na nogi. Złapała torbę, rozkręciła ją nad głową i uderzyła mocno w gładki, kulisty łeb.

Olbrzym padł na sofę, łamiąc sprężyny.

- Dewastujesz moje mieszkanie! - krzyknęła i uderzyła Jacka w bok, po prostu dlatego, że był pod ręką.

- Pozwij mnie do sądu.

Uchylił się przed ciosem pięści i zaatakował olbrzyma w podbrzusze. Ból przeniknął mu wszystkie kości, kiedy przeciwnik walnął nim o ścianę. Obrazy pospadały, szkło rozprysnęło się na podłodze. Przez mgłę zobaczył, że rudowłosa skoczyła naprzód i rzuciła się niczym rój os na atletyczne plecy mężczyzny. Kiedy ten odwrócił się z wściekłością i usiłował ją chwycić, zaczęła walić go pięściami po policzkach.

- Trzymaj go! - krzyknął Jack. - Do diabła, przytrzymaj go przez minutę!

Szukając czegoś odpowiedniego, chwycił to, co zostało z nogi od stołu, i ruszył do ataku. Powstrzymał pierwszy cios. Tych dwoje kręciło się jak szalony, dwugłowy smok. Gdyby teraz zaatakował, mógłby rozplatać dziewczynie głowę.

- Powiedziałem, przytrzymaj go!

- Chcesz, żebym wymalowała tarczę strzelniczą na jego twarzy, skoro przy tym jesteśmy? - Z płynącym z trzewi warknięciem zacisnęła ramiona na gardle mężczyzny, udami ścisnęła

jak imadłem jego szeroki, potężny tors i krzyknęła: - Uderz go, na litość boską! Przestań się czaić i uderz go!

Jack uniósł nogę od stołu jak pałkarz z dwoma uderzeniami na koncie i zamachnął się z całej siły. Noga od stołu rozleciała się jak zapalka, krew trysnęła niczym woda z fontanny. Mężczyzna runął jak podcięta sekwoja. MJ miała akurat tyle czasu, by odskoczyć.

Upadła na czworaki, z trudem chwytając powietrze.

- Co tu się dzieje? Co tu, u diabła, się dzieje?

- Nie mamy teraz czasu zastanawiać się nad tym. - Wiedziony instynktem samozachowawczym, złapał ją za rękę i pomógł wstać. - Takie typy zazwyczaj miewają towarzystwo. Chodźmy.

- Jak to chodźmy? - W drodze do drzwi złapała torbę. - Dokąd?

- Byle dalej stąd. Jak odzyska przytomność, będzie w kiepskim nastroju, a jeśli ma przyjaciela, następnym razem możemy nie mieć tyle szczęścia.

- Szczęścia, dobre sobie - mruknęła ze złością, ale biegła wraz z nim, kierując się czystym instynktem, podobnie jak on.

- Ty skurczybyku! Wdarłeś się do mojego mieszkania, rozkazujesz mi, rządź się jak szara gęś, zrujnowałeś mi dom, a w dodatku przez ciebie omal mnie nie zastrzelono.

- Uratowałem twój tyłek.

- To ja uratowałam twój! - wrzasnęła, obrzucając go przekleństwami, gdy zbiegali z hałasem po schodach. - Jak tylko uda mi się złapać oddech, rozerwę cię na sztuki, kawałek po kawałku.

Przeskoczyli półpiętro i omal nie stratowali jednej z sąsiadek. Kobieta w rannych pantoflach ozdobionych puszkami i z fryzurą w kształcie hełmu skuliła się, przylgnęła pieca-

mi do ściany i przycisnęła dłonie do mocno uróżowanych policzków.

- MJ, co u licha...? Co znaczyły te strzały?

- Pani Weathers...

- Nie mamy czasu. - Jack niemal uniósł MJ w powietrze i runął na następną kondygnację.

- Nie wrzeszcz na mnie, kretynie. Zapłacisz za każde zgniecione winogrono, za każdą lampę, każdą...

- Tak, tak, rozumiem. Gdzie jest wyjście ewakuacyjne?

MJ wskazała w głąb korytarza, Jack skinął głową i obydwójce wyslizgnęli się na zewnątrz, a potem za róg budynku.

Jack błyskawicznie zerknął zza osłony krzaków najpierw w górę, potem w dół ulicy. W odległości mniejszej niż pół parceli stała furgonetka bez okien, a koło niej kręcił się człowieczek o twarzy kurczęcia odziany w tandetny garnitur.

- Pochyl się - polecił Jack, zadowolony, że zaparkował oldsmobile'a przed frontem budynku. Kiedy przebiegli chodnik, prawie wrzucił MJ na przednie siedzenie samochodu.

- O Boże, co to, u diabła, jest? - Zrzuciła puszkę, na której usiadła, odkopała opakowania zaśmiecające podłogę i niespodziewanie znalazła się wśród nich, gdy Jack położył jej dłoń na karku i popchnął.

- Pochyl się! - warknął i dodał gazu. Usłyszawszy słaby świst, domyślił się, że mężczyzna o twarzy kurczęcia posłużył się karabinem maszynowym z tłumikiem.

Samochód Jacka ruszył z piskiem opon z krawężnika, na dwóch kołach skręcił za róg i wystrzelił w dół ulicy niczym rakietą. Rzucana jak piłka pingpongowa, MJ walnęła głową w deskę rozdzielczą, zakłęta i próbowała złapać równowagę, podczas gdy on manewrował swoim krążownikiem po bocznych uliczkach.

- Co ty, u diabła, wyprawiasz?!

- Znów ratuję twój tyłek, kotku. - Zerknął w lusterko wsteczne i gwałtownie skręcił w prawo. Para dzieciaków, jadąca chodnikiem na rowerach, uniosła ręce i pochwaliła ten manewr. Jack w odpowiedzi błysnął zębami w uśmiechu.

- Zwolnij tę górę śmieci. - MJ znów wczołgała się na siedzenie i dla utrzymania równowagi złapała się ręcznej dźwigni zmiany biegów. -I wypuść mnie stąd, zanim przejedziesz jakiegoś dzieciaka wyprowadzającego psa na spacer.

- Nie zamierzam nikogo przejeżdżać, a ty zostajesz. - Obrzucił ją szybkim spojrzeniem. - Jeśli nie zauważyłaś, facet z furgonetki strzelał do nas. Jak tylko się upewnię, że go zgubiliśmy i znajdę jakieś spokojne miejsce, by się ukryć, powiesz mi, o co w tym wszystkim, u diabła, chodzi.

- Nie wiem.

Spojrzał na nią groźnie.

- Kłamiesz.

Ponieważ był tego pewny, zaryzykował. Znów podjechał do krawężnika, sięgnął pod siedzenie i wyjął zapasowe kajdanki. Zanim zdążyła mrugnąć, przykuł ją do klamki. Nie wypuści jej, dopóki się nie dowie, dlaczego rzucał nim stutrydziestokilogramowy goryl.

Żeby nie słyszeć jej wrzasków i coraz barwniejszych gróźb i przekleństw, puścił stereo na pełny regulator.

ROZDZIAŁ 2

Zdecydowała, że dokopie mu przy pierwszej nadarzającej się okazji. Z całym okrucieństwem. Bez litości. Zaledwie przed dwiema godzinami była szczęśliwa, wolna, krążyła po sklepie spożywczym i jak każdy normalny człowiek robiła zakupy. To prawda, umierała z ciekawości na myśl o przedmiocie, który spoczywał na dnie jej torby, ale była przekonana, że Bailey nie bez powodu jej go przysłała i potrafi to racjonalnie wytłumaczyć.

Bailey James przytaczała ważne argumenty i udzielała racjonalnych wyjaśnień w każdej sytuacji. Była to tylko jedna z cech, które MJ tak w niej podziwiała.

Ale teraz naprawdę miała się czym martwić. Wiele wskazywało na to, że paczka, którą Bailey przesłała jej poprzedniego dnia przez kuriera, była odpowiedzialna za obecną sytuację.

Wołała jednak obwinić o wszystko Jacka Dakotę.

Wdarł się do jej mieszkania i uderzył ją. To prawda, może ona zaatakowała pierwsza, ale to w końcu naturalna reakcja, kiedy jakiś ciemny typ próbuje pakować się siłą na czyjeś terytorium. W każdym razie była to naturalna reakcja MJ. Za czasów szkolnych z reguły najpierw uderzała, a potem zadawała pytania. Była w tym mistrzynią.

To upokarzające, że udało mu się ją pokonać. Miała wiele kresek na swoim czarnym pasie piątej klasy i nie lubiła przegrywać.

Odpłaci mu za to.

Była przekonana, że on tkwi u źródła całego tego zamieszania. Przez niego jej mieszkanie zostało zrujnowane, wszystko porozrzucane, a w dodatku zostawili otwarte drzwi i wyłamany zamek. Nie przywiązywała się specjalnie do rzeczy, ale chodziło o zasadę. To były jej rzeczy i przez niego będzie musiała tracić czas na kupowanie nowych.

Nie dość tego - jakiś wymachujący bronią osiłek rozwalił drzwi, musiała uciekać z własnego mieszkania, by ratować życie, i wreszcie, co było najmniej przyjemne - strzelano do niej.

Wszystko bladło jednak wobec tego, że była przykuta kajdankami do klamki oldsmobile'a. Ta sytuacja doprowadzała ją do wściekłości.

Jack Dakota zapłaci jej za to.

Kim on jest, u diabła...? Łowca nagród, groźny przeciwnik w walce wręcz. Niechluj - uzupełniła, trącając stopą papierki od cukierków i papierowe kubki - i kierowca o stalowych nerwach.

W innych okolicznościach byłaby pod wrażeniem jego stylu jazdy, tego, jak panował nad tym swoim krążownikiem, płynnie biorąc łuki, z wizgiem opon pokonując zakręty, przyspieszając na żółtych światłach i przelatując ze świstem obwodnicą Waszyngtonu niczym faworyt wyścigu o Grand Prix.

Gdyby wszedł do jej baru, zawiesiłaby na nim oko, przyznała niechętnie. Od właścicielki pubu w dużym mieście wymagano czegoś więcej niż umiejętności sporządzania drinków i prowadzenia ksiąg rachunkowych. W tym fachu trzeba było umieć

szybko oceniać ludzi, odróżniać awanturników od samotnych serc. I wiedzieć, jak sobie radzić z jednymi i drugimi.

Określiłaby go jako twardego faceta. Miał to wypisane na twarzy. Razem wzięwszy, całkiem niezłej twarzy, surowej i przystojnej. Tak, zawiesiłaby na nim oko, pomyślała MJ z zacisniętymi zębami, wyglądając przez okno pędzącego samochodu. Ładni chłopcy zbytnio jej nie interesowali. Wolała mężczyzn, którzy wyglądali tak, jakby przeszli swoje, wyszli cało z paru bójek i mogli przeżyć jeszcze parę.

A ten był właśnie taki. Wystarczyło jedno spojrzenie w jego granitowoszare oczy, by zorientować się, że on nie jest z tych, którzy pozwalają, by parę zakazów stanęło im na drodze.

Ciekawe, co by zrobił mężczyzna taki jak on, gdyby wiedział, że jej zniszczona skórzana torba kryje królewski okup?

Do diabła, Bailey! Do diabła! MJ zacisnęła wolną rękę w pięść i uderzyła nią nerwowo o kolano. Dlaczego przysłałaś mi ten diament i gdzie są dwa pozostałe?

Czyniła sobie również wyrzuty, że wróciwszy do domu po zamknięciu pubu poprzedniego wieczora, nie poszła od razu do Bailey. Była jednak wykończona, a poza tym przypuszczała, że przyjaciółka śpi kamiennym snem. A ponieważ była najsolidniejszą, najbardziej praktyczną osobą, jaką знаła, postanowiła po prostu poczekać na to, co z pewnością będzie bardzo rozsądnym wytłumaczeniem.

Idiotka, mówiła sobie teraz. Dlaczego założyła, że Bailey przysłała jej kamień, bo wiedziała, iż MJ będzie w domu w ciągu dnia i odbierze przesyłkę? Dlaczego uznała, że kamień to imitacja, kopia, choć w dołączonym do niego liściku przyjaciółka prosiła MJ, by się z nim nie rozstawała?

Ponieważ Bailey nie należała do kobiet, które przesłałyby

komuś błękitny brylant wart ponad milion dolarów bez ostrzeżeń czy wyjaśnień. Z zawodu gemmolog, była oddana pracy, bystra i cierpliwa jak Hiob. Jak inaczej mogłaby pracować dla padalców, którzy byli jej, pozał się Boże, rodziną?

MJ zacisnęła wargi na samą myśl o przyrodnych braciach przyjaciółki. Bliźniacy Salvini zawsze traktowali Bailey jak piąte koło u wozu, jak kogoś, na kogo są skazani, ponieważ ich ojciec w testamencie zostawił jej część firmy. A ślepo lojalna wobec rodziny Bailey potrafiła ich usprawiedliwić.

Teraz MJ zastanawiała się, czy nie są przypadkiem zamieszani w tę sprawę. Może próbowali jakichś numerów? Z pewnością byli do tego zdolni. Niemniej jednak trudno było uwierzyć, że Timothy i Thomas Salvini będą na tyle głupi, by próbować zagrywek z Trzema Gwiazdami Mity.

Tak właśnie nazywała je Bailey, i miała wtedy taki rozmarzony wyraz oczu. Trzy bezcenne niebieskie diamenty wprawione w złoty trójkąt, który kiedyś trzymał w dłoniach bóg Mitra, były teraz własnością Smithsonian Institute. Firma Salvini, wsparta fachową wiedzą Bailey, miała za zadanie ocenić kamienie, potwierdzić ich autentyczność i oszacować je.

A jeśli tym kretynom przyszło do głowy je zatrzymać?

Nie, to zbyt niedorzeczne, uznała MJ. Lepiej wierzyć, że ten cały bałagan to jakieś kosmiczne nieporozumienie, komedia omyłek.

Znacznie lepiej zrobi, jeśli skupi się na tym, by odpłacić temu typowi za zmarnowanie wolnego popołudnia.

- Jesteś martwy - powiedziała spokojnie, rozkoszując się brzmieniem własnych słów.

- Tak, cóż, każdy umiera wcześniej czy później. - Właśnie kierował się na południe autostradą numer 95 i był zadowolony,

że przestała obrzucać go przekleństwami na tyle długo, by mógł zebrać myśli.

- Dla ciebie to będzie wcześniej. Dużo wcześniej. - Ponieważ był to przedłużony weekend z okazji Święta Niepodległości, na drogach panował spory ruch, ale samochody mknęły bez przeszkód.

Przez chwilę rozważała, czy nie wychylić głowy przez okno i krzyczeć o pomoc. Na pewno byłoby to potwornie upokarzające, niemniej spróbowałyby, gdyby wierzyła, że zadziała. Byłoby łatwiej, gdyby wpadli w jeden z tych nie wyjaśnionych, nieprzewidywalnych korków, które wstrzymywały ruch samochodów na przestrzeni kilometrów.

Gdzie, do diabła, podzieli się policjanci z drogówki i uwielbiający obserwować ich poczynania gapie w turystycznych autokarach?

Mając w perspektywie niczym nie zmaconą jazdę, uznała, że czas pogadać z tym draniem.

- Jeśli chcesz dożyć następnego wschodu słońca, zatrzymaj to, co nazywasz samochodem, zdejmij mi kajdanki i wypuść.

- A dokąd pójdziesz? - Oderwał wzrok od drogi na chwilę, by na nią zerknąć. - Wrócisz do swego mieszkania?

- To moja sprawa.

- Już nie, siostró. Kiedy ktoś do mnie strzela, traktuję to jako osobistą zniewagę, naprawdę osobistą. Ponieważ mam nieodpartą wrażliwość, że stało się to za twoją przyczyną, przez jakiś czas cię zatrzymam.

Gdyby nie jechali setką, uderzyłaby go. W obecnej sytuacji pozostało jej tylko potrząsnąć kajdankami.

- Zabierz to cholerstwo.

- Nie ma mowy.

- Doigrałeś się, Dakota. Jesteśmy w Wirginii. Porwanie z przekroczeniem granicy stanu. To przestępstwo federalne - powiedziała z mściwym błyskiem.

- Przekroczyłeś ją ze mną - podkreślił. - I zostaniesz ze mną, dopóki nie dowiem się, o co w tym wszystkim chodzi.
- Drzwi zagrzecotały złowieszczo, kiedy przemknął obok osiemnastokołowego tira. - Nawiasem mówiąc, powinnaś być mi wdzięczna.

- Och, z pewnością. Włamałeś się do mojego mieszkania, napadłeś na mnie, zniszczyłeś moje rzeczy i przykułeś mnie do drzwiczek samochodu.

- Gdybym tego nie zrobił, prawdopodobnie leżałabyś teraz w tym mieszkaniu z kulą w głowie.

- Przyszli po ciebie, mądralo, nie po mnie.

- Nie wydaje mi się. Nie mam długów, nie zabawiam się z niczyją żoną i ostatnio nikomu się nie naraziłem. Poza tobą. Nikt nie miał powodu nasyłać na mnie tego byczka. A co do ciebie... - znów prześliznął się wzrokiem po jej twarzy - komuś bardzo na tobie zależy, kotku.

- Tysiącom - burknęła, wyciągnęła przed siebie długie nogi i odwróciła się w jego stronę.

- Założę się. - Nie poddał się impulsowi, by popatrzeć na te nogi, jedynie o nich pomyślał. - Ale w przeciwieństwie do tych pustogłowych kretynów, którym zapadłeś w serce, ktoś interesuje się tobą naprawdę. Na tyle, żeby mnie w to wmanewrować i zgarnąć wraz z tobą.

Ralph, ty podstępny draniu.

Odsunął na bok egzemplarz „Gron gniewu” i podarty podkoszulek i sięgnął po telefon komórkowy. Trzymając kierownicę jedną ręką, drugą wystukał numer i przytrzymał słuchawkę brodą.

- Ralph, ty podstępny draniu - powtórzył, kiedy z drugiej strony ktoś odebrał.

- D... Dakota? To ty? Jeszcze jej nie dopadłeś?

- Kiedy z tym skończę, przyjadę po ciebie.

- O czym... o czym mówisz? Znalazłeś ją? Słuchaj, to prosta sprawa, Jack. D... dałem ci wszystko na tacy. Parę godzin pracy za pełną s... stawkę.

- Jąkasz się bardziej niż zwykle, Ralph. Wybawię cię z tego problemu, kiedy wcisnę ci zęby do gardła. Komu zależy na tej kobiecie?

- Posłuchaj, mam... mam tu kłopoty. Muszę wcześniej zamknąć. Długi weekend, Mam k... kłopoty osobiste.

- Nie ma takiego miejsca, w którym zdołałbyś się przede mną ukryć. Co to za pomysł z tymi fałszywymi papierami? Dlaczego mnie wystawiłeś?

- Mam k... kłopoty. Du... duże k... kłopoty.

- Teraz ja jestem twoim dużym kłopotem. - Nie przerywając rozmowy, nacisnął hamulce, płynnie wyminął kabriolet i wjechał na pas szybkiego ruchu. - Jeśli ten, kto przypiera cię do muru, próbuje ustalić, skąd dzwonię, do twojej wiadomości, jestem w samochodzie, jeżdżąc sobie tu i tam. - Pomyślał przez chwilę, po czym dodał: - A ona jest ze mną.

- Jack, posłuchaj mnie. P... posłuchaj. Powiedz mi, gdzie jesteś, pozbadź się jej i o... odjeżdżaj. Ja za... zaraz przyjadę. Nie wtrącaj się w to. Nie pakowałbym cię w tę robotę, ale wiedziałem, że sobie poradzisz. Teraz radzę ci jak przyjaciel, ukryj ją gdzieś, powiedz mi gdzie i odjedź. Daleko. Niepotrzebne ci to.

- Komu na niej zależy, Ralph?

- Nie musisz wie., wiedzieć. Le... lepiej, żebyś nie wiedział. Tylko to... zrób. Dołożę jeszcze pięć kawałków. P... premię.

- Pięć kawałków? - Jack uniósł brwi. Kiedy Ralph rozstał się dobrowolnie z pięciocentówką, było to niemal wydarzenie. - Daj dziesięć, powiedz mi, komu na niej zależy, i możemy porozmawiać o interesach.

Ucieszył się, kiedy MJ oprotestowała jego słowa gradem przekleństw i gróźb. To dodało smaczku temu blefowi.

- Dzie... dziesięć! - Ralpha niemal zamurowało, jękał się przez całe dziesięć sekund. - Dobrze, dobrze, dziesięć patoli, ale bez nazwisk i u., uwierz mi, Jack, ratuję ci życie. Po... powiedz mi tylko, gdzie zamierzasz ją ukryć.

Jack z ponurym uśmiechem zaproponował mu coś niewykonanego z anatomicznego punktu widzenia, po czym się rozłączył.

- No, kotku, twoja skóra jest teraz dla mnie warta dziesięć tysięcy dolarów. Znajdziemy jakieś przyjemne, ciche miejsce, gdzie mi powiesz, dlaczego nie powinienem jej sprzedawać.

Z piskiem opon zjechał z autostrady, wziął ostry zakręt i z powrotem skierował się na północ.

W ustach jej zaschło. Chciała wierzyć, że to od krzyku, ale gardło ścisnął jej strach.

- Dokąd jedziesz?

- Zacieram ślady. Niełatwo namierzyć komórkę, ale ostrożność nie zawadzi.

- Wiesz mnie z powrotem?

Nie patrzył na nią i zachował kamienną twarz, chociaż napięcie w jej głosie sprawiło mu przyjemność. Jeśli będzie bała się wystarczająco, zacznie mówić.

- Dziesięć tysięcy to kusząca oferta, kotku. Zobaczymy, czy potrafisz mnie przekonać, że żywa jesteś warta więcej.

Dokładnie wiedział, czego szuka. Jeździł drugorzędnymi drogami, tu i ówdzie przedzierając się przez przedświąteczne korki. Zapomniał, że to długi weekend. To i tak wszystko jedno, pomyślał. Nie wyglądało na to, że będzie miał dużo okazji, by zafundować sobie zimne piwo i pooglądać pokazy fajerwerków.

Chyba że będą pochodziły od kobiety siedzącej obok.

Rzeczywiście przypominała fajerwerk. I to taki z efektami dźwiękowymi. Do tej pory musiała być nieźle przestraszona, ale trzymała się. To mu odpowiadało. Nic nie irytowało go bardziej niż płaczące kobiety. Ale przestraszona czy nie, z pewnością przy pierwszej nadarzącej się okazji spróbuje go załatwić.

Nie zamierzał jej dać tej okazji.

Przy odrobinie szczęścia, jak tylko gdzieś się ulokują, wyciągnie z niej całą historię w ciągu kilku godzin.

A później pomoże jej wypłatać się z tego bałaganu. Oczywiście nie za darmo. Nie musi to być jednak wygórowane wynagrodzenie. Był nieźle wkurzony i doszedł do wniosku, że w jego interesie leży zając się tym, kto go na nią nasłał.

Kimkolwiek był, zadał sobie mnóstwo trudu. Ale nie wybrał najlepszych bandziorów. Nietrudno było domyślić się, jak zamierzali to rozegrać. Jak tylko złapałyby ofiarę i umieściły ją w samochodzie, mężczyźni z furgonetki rusziliby za nimi w pościg. On doszedłby do wniosku, że to akcja konkurencji i, chociaż nie zrezygnowałby z wynagrodzenia bez walki, w końcu by przegrał, bo górowali nad nim liczbą i uzbrojeniem.

Łowcy zbiegów nie wypłakują się glinom w mankiet, kiedy rywal zgarnie ich premię.

Zbiry mogłyby go lekko poturbować, może zafundować mu niewielki wstrząs mózgu, a potem puścić wolno. Ale mając w pamięci sposób, w jaki ta góra mięsa wymachiwała swoją

spluwą w mieszkaniu MJ, Jack uznał, że bardziej prawdopodobne byłoby zainkasowanie świeżutkiej kuli w jakąś newralgiczną część ciała.

Ponieważ ta góra mięsa była najwyraźniej niedorozwinięta umysłowo.

A więc teraz uciekał z wściekłą kobietą u boku, mając niewiele ponad trzysta dolarów w kieszeni i ćwierć baku benzyny.

Zamierzał dowiedzieć się, jak do tego doszło.

Na północ od Leesburga w stanie Wirginia znalazł to, czego szukał. Turyści i weekendowicze, jeśli nie wiedzie się im wyjątkowo kiepsko, ominą szerokim łukiem taką walącą się norę jak Country Club Motel. Ten wciśnięty w ziemię budynek, z którego pomalowanych na zielono drzwi obłaziła płåtami farba i z wyboistym parkingiem doskonale pasował do potrzeb Jacka.

Podjechał do krańca parkingu, z dala od grupy porzadzianych wehikułów zaparkowanych obok recepcji i zgasił silnik.

- To tu przywozisz dziewczyny na randki, Dakota?

Uśmiechnął się czarująco.

- Dla ciebie wszystko, co najlepsze, kotku.

Doskonale wiedział, o czym ona myśli. Gdy ją oswobodzi, rzuci się na niego jak pantera. Jeżeli uda jej się wydostać z samochodu, pogna w stronę recepcji tak szybko, jak tylko zdołają unieść ją te niesamowicie długie nogi.

- Nie oczekuję, że mi uwierzysz - rzucił niedbale, schylając się, by odpiąć kajdanki od drzwiczek. - Chociaż nie będzie to dla mnie zabawne...

Była napięta jak struna. Czuł, jak jej ciało pręży się do skoku. Musiał być szybki i brutalny. Zanim zdążyła odetchnąć, obie

ręce miała skute za plecami. Wciągnęła powietrze do krzyku, ale w tym momencie położył jej dłoń na ustach.

Szamotała się i wiła, próbowała tak wysunąć nogi, by go kopnąć, ale rzucił ją na siedzenie, twarzą w dół. Kiedy wreszcie zatkał jej usta bandaną, brakowało mu tchu.

- Skłamałem. - Ciężko chwytając powietrze, potarł świeże stłuczenie w miejscu, gdzie jej łokieć zetknął się z jego żebrami.
- Może trochę mi się to podobało.

Użył podartego podkoszulka, by unieruchomić jej nogi, próbując przy tym nie zwracać zbytnej uwagi na ich długość i kształt. Ale, do diabła, przecież był tylko człowiekiem. Kiedy już była związana jak indyk, zapętlili łańcuszek kajdanek wokół dźwigni zmiany biegów i zamknął okna.

- Gorąco jak w piekle, prawda? - powiedział tonem pogawędki. - Cóż, niedługo wrócę. - Zamknął samochód i oddalił się, pogwizdując.

Chwilę zajęło MJ odzyskanie równowagi. Zdała sobie sprawę, że jest przerażona. Naprawdę, do szpiku kości przerażona. Nie mogła sobie przypomnieć, czy kiedykolwiek przedtem czuła taki obezwładniający strach. Cała drżała, ale wiedziała, że musi się opanować. Tylko wówczas może uda jej się wyjść cało z tej niewiarygodnej sytuacji.

Kiedyś, jakoś tak wkrótce po otwarciu pubu, zamykała lokal późnym wieczorem. Była sama, gdy wszedł mężczyzna i zażądał pieniędzy. Wtedy też była przerażona, sparaliżowana dzikim wyrazem jego oczu, z których wyzierał narkotyczny głód. Wręczyła mu więc utarg, tak jak zalecają gliny.

A potem potraktowała go grubszym końcem pałki baseballowej, którą trzymała za barem.

Była przerażona, ale poradziła sobie.

Teraz też sobie poradzi.

Knebel doprowadzał ją do szału. Nie mogła go zsunąć ani wypluć, dała więc spokój i skupiła się na odplątywaniu kajdanków. Gdyby tylko udało jej się uwolnić ręce z dźwigni, mogłaby się zwinąć, zgiąć nogi i zyskać możliwość poruszania się.

Powiedziała sobie w duchu, że jest zwinna. Silna i sprytna. Nakazała sobie spokój, a tymczasem była przestraszona, bezsilna i bezradna. Wściekała się w duchu. Kajdanki mogłyby być równie dobrze przymurowane do dźwigni.

Gdyby tylko mogła spojrzeć za siebie, wykręcić się, żeby widzieć, co robi. Nie dawała za wygraną. Omal nie zwichnęła barku, ale w końcu udało jej się obrócić. Kiedy szarpnęła stalowy łańcuch kajdanek, była złana potem.

Przerwała, zamknęła oczy i próbowała odzyskać oddech. Drżącymi palcami po omacku przesuwała wzdłuż łańcuszka, aż dotarła do gładkiej powierzchni drażka. Nie otwierając oczu, wyobrażała sobie, co robi, ostrożnie, powoli, i dotąd poruszała dłońmi, aż poczuła, że łańcuch zaczyna się zsuwać. Ramiona jej trzeszczały, kiedy zmuszała je do przyjęcia nienaturalnej pozycji.

Czuła, że coś się poddało, miała tylko nadzieję, że to nie staw i barkowy, po czym padła jak kłoda, wycieńczona, ledwie żywa, w momencie gdy kajdanki zsunęły się z dźwigni.

- Do licha, niezła jesteś - skomentował Jack, kiedy szarpnięciem otworzył drzwiczki. Wyciągnął ją ze środka i przerzucił i przez ramię. - Jeszcze pięć minut i mogłoby ci się udać. - Wniósł ją do obskurnego pokoju na końcu budynku. Już wcześniej otworzył z klucza drzwi samochodu i stał przez chwilę, podziwiając jej zmagania.

Teraz rzucił ją na łóżko, a MJ znowu zaczęła walczyć. Jack przewrócił ją na brzuch i po prostu położył się na jej plecach. Czekał, aż się zmęczy tym bezsensownym szamotaniem.

To też go bawiło. Właściwie nie był z siebie dumny, ale podobało mu się to. Ta kobieta miała niewiarygodną energię i niewyczerpane siły. Wyobrażał sobie, że gdyby się spotkali w innych okolicznościach, poszarpaliby tanie hotelowe przścieradła jak szaleńcy i rozstali się jak przyjaciele.

Może faktycznie leżał na niej i wdychał jej zapach troszkę dłużej, niż to było konieczne. W końcu nie był świętym, prawda? - stwierdził w duchu samokrytycznie, kiedy uwolnił jej jedną rękę i przymocował kajdanki do żelaznego wezgłowia łóżka.

Wreszcie wstał i przegarnął dłonią włosy.

- Przez ciebie jest to dla nas obojga trudniejsze, niż mogłoby być - powiedział.

W odpowiedzi przeszła go morderczym spojrzeniem płonących zielonych oczu. Brakowało mu powietrza i wiedział, że to nie z powodu tej ostatniej drobnej utarczki. Jędrne, smukłe ciało przyciśnięte do jego ciała błyskawicznie go podnieciło.

Nie chciał być podniecony.

Odwrócił się do niej plecami, włączył telewizor i nastawił głoś na pełną moc. MJ zdążyła już wyrwać knebel wolną ręką i syczała teraz jak wąż.

- Możesz wrzeszczeć, jeśli masz ochotę - powiedział, wyjął mały nóż i przeciął sznur telefonu. - Trzy następne pokoje są wolne, więc nikt cię nie usłyszy. - Uśmiechnął się szelmowsko. - Poza tym rozgłosiłem w recepcji, że jesteśmy w podróży poślubnej, więc jeśli coś usłyszą, nie będą nam przeszkadzać. Za minutę wracam.

Wyszedł, zamykając za sobą drzwi na klucz.

MJ była w rozterce. Co się z nią dzieje? Przez chwilę, tylko przez jedną szaloną chwilę, kiedy przycisnął ją swym ciałem do materaca, poczuła w członkach słodką słabość. Obudziło się w niej pragnienie, by wziąć ją w ramiona.

To było chore.

Przez tę jedną szaloną chwilę wyobraziła sobie, że on zdiera z niej ubranie, dotyka ustami i dłońmi, rozpala do białości, by w końcu omdlała z rozkoszy.

Co więcej, pragnęła tego.

Wzdrygnęła się, chcąc wierzyć, że była to tylko jakaś nietypowa reakcja na szok.

Nie należała do kobiet, które unikają kontaktów z mężczyznami, nie stroniła od seksu. Ale nie oddawała się nieznanym, mężczyznom, którzy ją przewracali na ziemię, wiązali i rzucali na łóżko w jakimś tanim motelu.

On też był podniecony. Nie była tak naiwna ani tak wstrząśnięta, żeby nie być świadoma reakcji jego ciała. Z trudnością opanowała oddech. Nie zamierzał jej zgwałcić. Nie chciał seksu. Chciał... Bóg jeden wie czego.

Nie czuj, powiedziała sobie. Tylko myśl. Daj spokój głupstwom i myśl.

Powoli otworzyła oczy i rozejrzała się po pokoju.

Był po prostu odrażający.

Najwidoczniej jakieś wprowadzone w błąd stworzenie pomyślało, że wykorzystanie kłującego w oczy połączenia barw i pomarańczowej i niebieskiej zmieni tandetnie umeblowany ciasny pokoik w coś egzotycznego.

Trudno o większą omyłkę.

Zasłony były cienkie jak papier i wyglądało na to, że równie

nietrwałe, ale Jack zaciągnął je szczelnie na wąskim oknie od frontu, więc pokój był pogrążony w mroku.

Z telewizora stojącego na rozklekotanym szarym stoliku rozbrzmiewał fatalnie zdubbingowany film o Herkulesie. Jedyna komoda była upstrzona zachodzącymi na siebie krążkami od wody. Obok łóżka stała metalowa skrzynka. Za parę dolarów w piętnastocentówkach można było zafundować sobie masaż „tańczącymi paluszkami”. Oto imprezka.

Żółta szklana popielniczka na nocnym stoliku nie wyglądała na wystarczająco ciężką, by posłużyć jako skuteczna broń. Mimo hałasu dochodzącego z telewizora słyszała wycie klimatyzatora, który w najmniejszym stopniu nie chłodził pokoju.

Przy wąskich drzwiach, zapewne prowadzących do łazienki, wisiała krzykliwa reprodukcja przedstawiająca wiejski krajobraz na jesieni z obowiązkową czerwoną stodołą i krowami o tępych mordach.

Sięgnęła nad głowę i wymacała lampę przy łóżku. Była z jaskrawoniebieskiego szkła, okopcona i pożółkła, ale miała swoją wagę. Mogła okazać się przydatna.

Słyszac zgrzyt klucza w zamku, odłożyła lampę i wbiła wzrok w drzwi.

Wszedł do środka z małą czerwono-białą turystyczną lodówką. Postawił ją na komodzie. Serce zaczęło jej walić jak młotem, kiedy zobaczyła, że jej torba wisi mu na ramieniu, ale rzucił ją na podłogę przy łóżku tak niedbale, że znów się odprężyła.

Diamant jest wciąż bezpieczny, pomyślała. Tak samo pojemnik z gazem łzawiącym, otwieracz do puszek i rolka pięćcentówek, które z przyzwyczajenia nosiła jako broń.

- Nic nie sprawia mi większej przyjemności niż naprawdę kiepski film - odezwał się i zamilkł, podziwiając, jak Herkules

walczy z kilkoma groźnie wyglądającymi wojownikami odzianymi w skóry i szczerzącymi popsute zęby. - Zawsze się zastanawiam, skąd wytrzasnęli ten dialog. Wiesz, chodzi o to, czy był równie zły po litewsku czy nie wiem po jakimś, czy po prostu wszystko traci się w tłumaczeniu?

Wzruszając ramionami, podszedł do komody, uniósł klapę lodówki i wyjął z niej dwa napoje bezalkoholowe.

- Domyślam się, że umierasz z pragnienia. - Podszedł do niej, podał jej puszkę. - Nie jesteś typem kobiety, która odmówi, żeby zrobić mi na złość. - Jego przypuszczenie okazało się trafne. MJ chwyciła puszkę i pociągnęła solidny łyk. - Nie ma tu obsługi w pokojach - ciągnął. - Ale niedaleko jest bar, więc głód nam nie grozi. Chcesz coś zjeść teraz?

Popatrzyła na niego znad puszeki.

- Nie.

- W porządku. - Usadowił się wygodnie na łóżku i uśmiechnął do niej. - W takim razie porozmawiamy.

- Pocałuj mnie w tyłek.

Wypuścił powietrze.

- To atrakcyjna propozycja, kotku, ale ja próbuję nie myśleć o takich rzeczach. - Poklepał ją przyjaźnie po udzie. - Wracając do sprawy, tak jak ja to widzę, obydwoje jesteśmy w coś wplątani, a ty masz klucz. Jak tylko powiesz mi, kto cię ściga i dlaczego, zajmę się tym.

Ugasiwszy pierwsze pragnienie, sączyła napój powoli. Jej głos ociekał ironią.

- Ty się tym zajmiesz?

- Tak. Uważaj mnie za swego obrońcę. Kogoś w rodzaju pocziwego starego Herkulesa. - Wskazał kciukiem obraz za sobą. - Opowiesz mi o wszystkim, a ja zajmę się złymi chłopca-

mi. Potem wystawię ci rachunek. A jeśli ta oferta pocałowania cię W tyłek będzie nadal aktualna, skorzystam z niej.

- Niech pomyślę. - Odchyliła głowę do tyłu, wytrzymując jego wzrok. - Co takiego powiedziałeś twemu staremu kumpłowi Ralphowi? Och, tak. - Ściągnęła wargi i powtórzyła jego słowa.

Pokręcił tylko głową.

- Czy tak ma wyglądać rozmowa z facetem, który uchronił cię od kuli w głowę?

- To ja uratowałam cię przed kulą w głowę, kolego, chociaż mam poważne wątpliwości, czy zdołaliby w nią trafić, biorąc pod uwagę, jak jest malutka. A ty odpłaciłeś mi się, maltretując mnie, wiążąc, kneblując i zawożąc do jakiegoś taniego motelu na godziny.

- Zapewniono mnie, że zatrzymują się tu rodziny z dziećmi - odparł, nie kryjąc drwiny.

Do licha, ależ ta kobieta ma charakterek. Pluć na niego mimo jego przewagi, prowokować, by ją wziął, choć nie mogła mieć nadziei na wygraną w tym pojedynku. I seksowna jak diabli w tych obcisłych dżinsach i zmiętym podkoszulku.

- Tylko pomyśl - powiedział. - Ten bezmózgi olbrzym powiedział coś o tym, że zbyt długo się tobą zajmuję i że za dużo mówię. To nasunęło mi myśl, że nas podsłuchiwali. W furgonetce musieli mieć sprzęt do podsłuchu i zniecierpliwili się. Gdybyś wyszła ze mną od razu, jak grzeczna dziewczynka, śledziliby nas, wyczekali odpowiedni moment i porwaliby cię. Nie chcieli bezpośrednio się włączać i nie chcieli świadków.

- Ty byłąś świadkiem - zauważyła.

- Nie przypuszczam. Pomyślałbym, że inny łowca nagród kradnie mi pracę, ale ludzie w mojej branży nie skarżą się poli-

cji. Przepadłby mi zarobek, uznałbym dzień za stracony, może nagadałbym Ralphowi. W każdym razie tak bym to sobie wytłumaczył, a Ralph pewnie naraiłby mi jakąś łatwą robotkę, żebym nie czuł się pokrzywdzony.

Zamilkł i zamyślił się na dłuższą chwilę, po czym podjął rozmowę.

- Ktoś przyparł go do muru. Chciałbym wiedzieć, kto to był.
- Nie mam pojęcia. Nie znam twojego przyjaciela Ralph.
- Byłego przyjaciela.
- Nie znam tego goryla, który rozwalił mi drzwi do mieszkania, i nie znam ciebie. - Była zadowolona, że udało jej się zachować neutralny ton. - Jak tylko mnie wypuścisz, zawiadomię o wszystkim policję.

Wykrzywił wargi.

- Po raz pierwszy wspomniałaś o policjantach, kotku. Błefujesz. Wcale nie chcesz, żeby się w to wtrącali. To następna kwestia do wyjaśnienia.

Miał rację. Nie chciała w to mieszać policji, w każdym razie nie teraz, dopóki nie skontaktuje się z Bailey i nie dowie się, o co w tym wszystkim chodzi.

- Mógłbyś usłyszeć ten blef, gdybyś nie przeciął sznura telefonu.

- Nie zawiadomiłabyś glin, ale ten, do kogo byś zadzwoniła, mógłby mieć telefon na podsłuchu. Nie po to zadawałem sobie tyle trudu, szukając tego wytwornego motelu na uboczu, by dać się wyśledzić.

Pochylił się i uniósł dłonią jej podbródek.

- Do kogo byś zadzwoniła?

Nie zamykała oczu, usiłując zignorować ciepło płynące z tych palców, dotyk jego skóry na skórze.

- Do mojego kochanka - wypluła z siebie. - Rozdarłby cię na sztuki kawałek po kawałku. Wydarłby z ciebie serce i pokazał ci jeszcze bijące.

Uśmiechnął się i pochylił jeszcze bardziej. Po prostu nie mógł się oprzeć.

- Jak mu na imię?

W głowie miała pustkę, całkowitą, kompletną, idiotyczną pustkę. Patrzyła przez chwilę w te zimne szare oczy, po czym strząsnęła jego rękę.

- Hank. Rozedrze cię na pół i rzuci psom na pożarcie, kiedy się dowie, że zrobiłeś mi krzywdę.

Zaśmiał się cicho, czym rozwścieczył ją jeszcze bardziej.

- Może i masz kochanka, kotku. Może masz ich tuzin. Ale nie masz ani jednego o imieniu Hank. Za długo się zastanawiałaś. W porządku, skoro nie chcesz wydusić tego z siebie i nie wierzysz, że nas z tego wyciągnę, zrobimy to inaczej.

Wstał i pochylił się. Usłyszał, jak szybko wciągnęła powietrze w płuca, kiedy sięgał po jej torbę. Bez słowa wysypał za wartość na łóżko. Pięcioletówki usunął już wcześniej.

- Używasz tego otwieracza do czegokolwiek poza piwem? - spytał.

- Jak śmiesz! Jak śmiesz grzebać w moich rzeczach?!

- Och, myślę, że to naprawdę drobiazg po tym, cośmy razem przeszli. - Wziął do ręki aksamitny woreczek i wytrząsnął na dłoń kamień, który rozbłysnął płomiennym blaskiem.

Nie odrywał od niego oczu. Nie mógł sobie na to pozwolić w samochodzie, kiedy przeszukiwał jej torbę. Kamień był nieprawdopodobnie, intensywnie błękitny, wielkości niemowlęcej piąstki i szlifowany tak, że rzucał błękitne ognie. Kiedy tak trzymał go w dłoni, poczuł ukłucie w sercu, dziwną potrzebę

chronienia go. Prawie tak niewytłumaczalną, pomyślał, jak pragnienie chronienia tej niezdolnej, niewdzięcznej kobiety.

- No więc - powiedział, podzuczając kamień w powietrze - opowiedz mi o tym, MJ, w jaki sposób udało ci się położyć rękę na błękitnym diamencie na tyle wielkim, by zadławił się nim kot...

ROZDZIAŁ 3

Prze głowę przelatywały jej różne rozwiązania. W końcu uznała, że najprostszym i najbardziej satysfakcjonującym będzie zrobienie z niego kretyna.

- Oszalałeś? - Wzniosła oczy do nieba i prychnęła. - Tak, jasne, diament, wielki niebieski brylant. W schowku na rękawiczki w samochodzie mam zielony, a w drugiej torbie czerwony. Wydaję wszystkie dochody z mego pubu na diamenty. To taki kaprys.

Obserwował ją leniwie, podrzucając kamień do góry jak piłkę. Doszedł do wniosku, że wygląda na poirytowaną, a zarazem rozbawioną i pewną siebie.

- W takim razie co to jest?
 - Przycisk do papieru, na litość boską.
- Odczekał ułamek sekundy.
- Nosisz w torbie przycisk do papieru.
 - To prezent - powiedziała wyniośle.
 - Tak. Z pewnością od Hanka Przystojniaka. - Wstał i niebale przejrzał resztę rzeczy, które przed chwilą wysypał z torby.
- Popatrzmy, poza maczugą...
- To rulon pięciocentówek - poprawiła.

- Ten sam efekt. Pojemnik z gazem łązawiacym, otwieracz, swoj4 drog4 nie jestem przekonany, że służy ci do otwierania butelek Budweisera. Elektroniczny notes, portfel. Więcej w nim zdjęć niż gotówki...

- Nie podoba mi się, że grzebiesz w moich rzeczach.

- Pozwij mnie do sądu. Butelka wody mineralnej, sześć długopisów, cztery ołówki. Konturówka do oczu, zapafki, klucze, dwie pary okularów przeciwsłonecznych, ostatnia powieść Sue Grafton w miękkich okładkach - nawiasem mówiac, całkiem niezła. Nie powiem ci, jak się kończy. Batonik... - Rzucił go w jej kierunku. - To na wypadek, gdybyś zgłodniała. Telefon, - Wsadził go do tylnej kieszeni spodni. - Około trzech dolarów drobnymi, wodoszczelne radio i paczka prezerwatyw. No, no. Nie naruszona. Ale cóż, nigdy nie wiadomo, co się może przydarzyć.

Gorący rumieniec upokorzenia i wściekłości wspinał się po jej szyi.

- Zboczeniec.

- Powiedziałbym, że jesteś kobiet4, która lubi być przygotowana na różne okoliczności. Dlaczego więc nie miałabyś nosić ze sobą przycisku do papieru? Mogłabyś natrafić na stertę papierów, wymagających przymocowania. To się przecież ciągle zdarza.

Paroma ruchami zgarnął rzeczy rozrzucone na łóżku, wrzucił je z powrotem do torby i odsunął ją na bok.

- Nie będę pytać, czy masz mnie za durnia, bo już zdążyłem się o tym przekonać. - Podeszedł do lustra wiszącego nad komod4 i przejechał kamieniem szkło na ukos, zostawiacjąc dług4, cienk4 rysę.

- Nie robią już takich luster motelowych jak dawniej - za-

uważył, po czym usiadł na łóżku obok niej. - Teraz wróćmy do mego pierwszego pytania. Co robisz z błękitnym brylantem na tyle dużym, żeby kot mógł się nim zadławić?

Ponieważ zawzięcie milczała, ujął jej policzki w palce jak w imadło i gwałtownie przyciągnął jej twarz do swojej.

- Słuchaj, siostró, mógłbym znów cię związać jak indyka, zostawić cię tu i odjechać z twoim wartym milion dolarów przyściskiem do papieru. To wyjście numer jeden. Mogę sobie odpuszczać, oglądać film i czekać, aż pęknie, bo prędzej czy później i tak powiesz mi to, co chcę wiedzieć. To wyjście numer dwa. A teraz wyjście numer trzy. Powiesz mi, dlaczego masz przy sobie kamień, za który można kupić wysepkę w Indiach Zachodnich, i zaczniemy się zastanawiać, jak wyciągnąć nas oboje z tego kłopotliwego położenia.

Nie drgnęła, nawet nie mrugnęła. Podziwiał jej zimną krew i czekał cierpliwie, podczas gdy przyglądała mu się badawczo tymi ciemnozielonymi, kocimi oczami.

- Dlaczego nie wybrałaś wyjścia numer jeden?

- Bo nie podoba mi się, kiedy jakiś goryl próbuje pogruchotać mi kości, nie lubię, gdy się do mnie strzela, i nie popuszczę tylko dlatego, że oszukuje mnie jakiś wrogo nastawiony rudzielec. - Pochylił się tak blisko, że niemal dotykali się nosami.

- Muszę za to odpłacić, kotku. A zacznę od ciebie.

Złapała go wolną ręką za nadgarstek i pchnęła.

- Groźby nie robią na mnie żadnego wrażenia, Dakota.

- Nie? - Zręcznie zmienił taktykę. Przesunął z powrotem dłoń ku jej twarzy, ale teraz lekko musnął knykциями kość policzkową, aż zamrugała zaskoczona, po czym przymknęła oczy.

- Chcesz, żebym zabrał się do tego inaczej?

Przejechał palcami po jej szyi, piersi, brzuchu i z powrotem,

wreszcie położył dłoń na jej karku. Ustami zawisł nad wargami MJ, dając jej czas do namysłu.

- Nawet o tym nie myśl - ostrzegła.

- Za późno. - Wygiął wargi i spojrzał jej w oczy. - Myśla

- tem o

schodach do swego mieszkania.

Nieprawda. Uświadomił sobie, że myślał o tym, odkąd Ralph wcisnął mu jej zdjęcie. Zastanowi się nad tym później.

Musnął ustami jej wargi, odsunął się odrobinę. Oczekiwał, że MJ skurczy się ze strachu albo będzie walczyć. Bogu jednemu wiadomo, jak bezwzględnie wykorzystał te wszystkie kobiece lęki. To było godne pożałowania, ale nad tym również zastanowi się później. Chciał tylko zmusić ją w ten sposób do ujawnienia wszystkiego, zanim obydwoje zginą. A jeśli przy okazji doznawał odrobiny prymitywnej przyjemności, cóż, do diabła, miał swoje wady, jak każdy.

Ale ona nie walczyła, nie skurczyła się też ze strachu. Nie drgnął jej żaden mięsień, wbijała tylko w niego te niezwykle zielone oczy. Mroczny dreszcz przeniknął go aż do łędźwi.

Kolejny grzech na koncie, pomyślał i, zaciskając dłoń na jej wolnej ręce, przyłgnął wargami do jej ust w długim, głębokim pocałunku.

To był czysty żar, prymitywny jak plemienne bębny. Żadnych myśli, żadnego analizowania, sam instynkt. Te zadziwiająco zmysłowe usta poddały się jego ustom, więc sięgnął głębiej. Z pomrukiem zadowolenia zatopił się w niej, wciskając język między pełne, zapraszające wargi, wtulając się w smukłe gibkie ciało, wsuwając rozpostartą dłoń w miękkie, gęste włosy o barwie płomienia.

Jego umysł wyłączył się jak rozbita lampa. Zapomniał, że to

miało być oszustwo, prowokacja, która powinna zbić ją z tropu, zapomniał, że jest cywilizowanym człowiekiem. Wiedział tylko, że MJ jest jego. Wystarczy sięgnąć ręką.

Zamknął zachłannie dłoń na jej piersi, kciukiem i palcem wskazującym drażnił brodawkę, aż stwardniała pod cienką bawełną podkoszulka. MJ poruszyła się pod nim, zapraszająco wygięła ku niemu. Krew uderzyła mu do głowy.

Nagle MJ wyciągnęła rękę i szarpnęła za ucho, niemal odrywając mu je od głowy, a zęby, z całej siły, zacisnęła na jego dolnej wardze.

Zaskowyczał, odskoczył gwałtownie i pewien, że odgryzła mu kawałek ciała, mocno ścisnął jej podbródek, aż w końcu go puściła. Oderwał rękę, przycisnął wierzch dłoni do pulsującej wargi, a potem obejrzał smugę krwi.

- Do diabła!

- Świnia. - Wprost kipiała energią, gramoliła się na kolana, by zadać mu kolejny cios, i zakłęta, kiedy nie sięgnęła celu.

- Zboczeniec.

Rzucił jej jedno mordercze spojrzenie, po czym odwrócił się plecami. Drzwi do łazienki zamknęły się za nim z trzaskiem. Usłyszała szum wody. Zmrużywszy oczy, opadła na plecy i poddała się ogarniającym ją dreszczom.

To jakiś koszmar, powtarzała w myśli, przyciskając dłoń do twarzy. Chyba całkiem oszalała.

Czy walczyła z nim? Nie. Czy wzdragała się z oburzenia, z obrzydzenia? Nie.

Podobało jej się to.

Zatrzęsa się z wściekłości, obrzuciła się wyzwiskami i posłała Jacka Dakotę do wszystkich diabłów.

Pozwoliła mu się pocałować. Nie może udawać, że było

inaczej. Patrzyła w te niebezpieczne szare oczy, była jak naelektryzowana, kiedy te aroganckie wargi ocierały się o jej wargi.

I pragnęła go.

Mięśnie zwiotczały, piersi pulsowały, a krew zaczęła krążyć szybciej. Pozwoliła mu się pocałować bez słowa protestu. Oddała mu pocałunek, nie bacząc na konsekwencje.

O'Leary, dziewczyna, która szczyciła się tym, że zawsze panuje nad sytuacją, która w jednej sekundzie potrafiła przewrócić dziewięćdziesięcikilogramowego mężczyznę na plecy i postawić mu stopę na gardle - pewna siebie, zdecydowana i stanowcza MJ zmiękła jak wosk od jednego pocałunku.

W dodatku on ją związał, zakneblował, przykuł kajdankami do łóżka w jakimś tanim motelu. Chyba rzeczywiście kompletnie oszalała, skoro pragnęła go choćby przez sekundę.

Dzięki Bogu, otrząsnęła się z tego. Nie miało znaczenia, że głównym powodem, by mu się przeciwstawić, był przenikający ją do szpiku kości strach przed własnymi uczuciami. Liczyło się to, że go powstrzymała - a wiedziała, że była o włos od tego, by pozwolić mu na wszystko.

Bardzo się bała, że gdyby miała wolne obie ręce, zarzuciłaby mu je na szyję, zachęcając do następnego pocałunku.

To szok, powiedziała sobie. Nawet kobieta, która potrafi poradzić sobie ze wszystkim, co staje jej na drodze, w pewnych okolicznościach ma prawo do odrobiny oszołomienia.

Dość tego. Trzeba się zastanowić się, co robić dalej.

Faktów było niewiele, ale mówiły same za siebie. Musiała się skontaktować z Bailey. Niezależnie od przyczyny, dla której przesłała jej kamień, nie zdawała sobie sprawy, jak niebezpieczne skutki wywoła. Bailej miała swoje powody, MJ była tego

pewna, ale mógł to być jeden z rzadkich u przyjaciółki przejawów spontaniczności i buntu.

Nie chciała, żeby Bailey za to płaciła.

Co zrobiła z tamtymi dwoma kamieniami? Czy miała je przy sobie, czy... O Boże!

Opadła ciężko na twardą jak kamień poduszkę. Pewnie popadła jeden Grace. Na pewno. To było logiczne, a o Bailey można było powiedzieć wszystko, tylko nie to, że postępuje wbrew logice. Skoro były trzy kamienie, jeden dostała MJ, drugi zatrzymała Bailey, a ostatni został wysłany pozostałej z dwóch osób na świecie, do których Bailey miała absolutne zaufanie.

Grace Fontaine. Wszystkie trzy od czasów college'u były sobie bliskie jak siostry. Bailey spokojna, pilna i poważna. Grace bogata, olśniewająca i szalona. MJ stanowcza i zdecydowana. Wynajmowały wspólnie mieszkanie przez cztery lata studiów w Radcliffe i od tej pory trzymały się razem. Po studiach Bailey zaczęła pracę w firmie ojczyma, MJ zgodnie z rodzinną tradycją otworzyła własny pub, a Grace robiła co mogła, żeby zaszokować bogatych, konserwatywnych i mających jej wszystko za złe krewnych.

Jeśli któraś z nich miała kłopoty, miały je wszystkie. Musiała je ostrzec.

Musiała uciec Jackowi Dakocie albo go wykorzystać.

Ale na ile, spytała siebie, odważy się mu zaufać?

Jack oglądał badawczo skaleczoną wargę w lustrze. Pewnie zostanie mu blizna. No cóż, zasłużył na to. Powinien bardziej nad sobą panować.

Co nie znaczy, że ona była całkiem niewinna, leżąc tak na łóżku z tym tylko-spróbuj-chłoptasiu wyrazem w oczach.

I czyż nie przycisnęła smukłego, jędrnego ciała do niego, nie rozchyliła miękkich zmysłowych ust, nie wygięła zgrabnych, wąskich bioder?

Przejechał dłońmi po twarzy. Tak było, tylko czy dał jej jakiś wybór?

Opuściwszy ręce, popatrzył na siebie w lustrze, prosto w oczy i przyznał, że nie chciał dać jej wyboru.

Po prostu jej pragnął.

To prawda, nie jest zwierzęciem. Mógł się opanować, mógł pomyśleć, mógł się zastanowić. I właśnie to zamierzał zrobić.

Pewnie zostanie mi blizna, pomyślał znów ponuro, ostrożniej dotykając opuszką palca nabrzmiącej wargi. Niech to będzie dla ciebie lekcja, Dakota. Pokiwał głową na widok odbicia w poplamionym lustrze. Jeśli nie potrafisz zaufać sobie, z pewnością nie powinieneś ufać jej.

Kiedy wyszedł z łazienki, spostrzegł, że wpatruje się w ohydne zasłony w oknie. Przeszył ją wzrokiem. Odpowiedziała mi równie nieprzychylnym spojrzeniem. Nic nie mówiąc, usiadł w jedynym sfatygowanym fotelu, skrzyżował stopy w kostkach i nastawił telewizor.

„Herkules” już się skończył. Tytułowy bohater prawdopodobnie zwyciężył. Teraz nadawano japoński film fantastyczny z niewiarygodnie marnie wykonaną gigantyczną jaszczurką, która właśnie niszczyła pociąg ekspresowy. Pokój wypełniły wrzaski przerażonych statystów.

Przez chwilę wpatrywali się w ekran. Wojsko pospieszyło na odsiecz z wielkimi karabinami, które w najmniejszym stopniu nie zaszkodziły olbrzymiej jaszczurce. Małutki człowieczek w hełmie bojowym został pożarty. Jego towarzysze o zajętych sercach uciekli, ratując życie.

MJ znalazła batonik, który Jack rzucił jej wcześniej, ułamała kawałek i zjadła go w zamyśleniu. Król jaszczurek z przestrzeni kosmicznej ociężale posuwał się w kierunku Tokio, by dokończyć dzieła zniszczenia.

- Mogę dostać swoją wodę? - spytała z wyszukaną uprzejmością.

Wstał, wyjął butelkę z torby i podał jej.

- Dzięki. - Pociągnęła długi łyk, poczekała, aż Jack znów usiądzie.

- Ile bierzesz? - spytała.

Wyjął kolejną wodę sodową z turystycznej lodówki. Szkoda, że to nie piwo.

- Za co?

- Za to, co robisz - odparła zniecierpliwiona. - Powiedzmy, że uciekłam, nie chcąc stawić się w sądzie. Ile dostałbyś za schwytanie mnie?

- To zależy. Dlaczego pytasz?

Wzniosła oczy do góry.

- Od czego Zależy?

- Od tego, jaką kaucję za ciebie zapłacono.

Przez chwilę milczała, rozważając jego słowa. Jaszczurka zdemolowała wieżowiec wraz z jego Bogu ducha winnymi mieszkańcami.

- A co mi zarzucają?

- Postrzeliłaś swego kochanka, księgowego. Pewnie miał na imię Hank.

- Bardzo zabawne. - Ułamała kolejny kawałek batonika i kiedy Jack wyciągnął rękę, niechętnie podzieliła się z nim.

- Ile miałeś za mnie dostać?

- Więcej, niż jesteś warta.

Westchnęła.

- Chcę ci coś zaproponować, Jack, ale jestem kobietą interesu i nie uznaję niedomówień. Jaka jest twoja stawka?

Interesujące, pomyślał i postukał palcami o poręcz krzesła.

- Jak dla ciebie, kotku, biorąc pod uwagę, co trzymasz w tym kufrze, który nazywasz torebką, plus to, co zaproponował mi Ralph za wydanie cię tym zbirom... - Zastanawiał się przez chwilę. - Sto tysięcy.

Nawet nie mrugnęła.

- Doceniam, że próbujesz rozładować napięcie, siląc się na dowcipy. Setka tauzenów dla faceta, który sam nie potrafi załatwić jednego wynajętego bandziora, to śmieszne...

- Kto powiedział, że nie potrafiłem go załatwić? Ja go załatwiłem, kotku. Jego i jego spluwę, a ty nawet nie raczyłaś mi za to podziękować. - Najwidoczniej zraniła jego dumę.

- Och, wybacz mi. To musiało umknąć mej pamięci, kiedy byłam włączona tu i tam, skuta kajdankami. Jakie to nieuprzejme z mojej strony. A poza tym nie ty go załatwiłeś, tylko ja. Ale nieważne - ciągnęła, trzymając w górze wolną rękę niczym policjant z drogówki. - Teraz, kiedy już sobie pożartowaliśmy, spróbujmy być poważni. Dam ci tysiąc, jeśli ze mną nad tym popracujesz.

- Tysiąc? - Błysnął tym szybkim, niebezpiecznym uśmiechem. - Kotku, na całym świecie nie ma tylu pieniędzy, żeby mnie skłonić do pracy z tobą. Ale za sto patoli wyciągnę cię z tej kabały, w której się znalazłaś.

- Po pierwsze... - podciągnęła nogi i usiadła w pozycji lotosu - nie jestem twoją siostrą i nie jestem twoim kotkiem. Jeśli musisz się do mnie zwracać, używaj mego imienia.

- Ty nie masz imienia, tylko inicjały.

- Po drugie - ciągnęła, nie zwracając uwagi na jego słowa gdyby taki facet jak ty położył łapy na stu tysiącach, po prostu przegrałby je w Vegas albo wydał na striptizerki. Ponieważ nie życzę sobie, żeby coś takiego stało się z moimi pieniędzmi, daję ci tysiąc. - Uśmiechnęła się do niego. - Z taką forszą możesz spędzić miły weekend na plaży z beczką importowanego piwa.

- To bardzo ładnie z twojej strony, że troszczysz się o mnie, ale nie jesteś w sytuacji, w której mogłabyś dyktować warunki. chcesz pomocy, więc będzie cię to kosztować.

Nie wiedziała, czy chce jego pomocy. Tak naprawdę wcale nie była pewna, czy kłóci się z nim o zapłatę. W zaistniałych okolicznościach może obiecać mu każdą sumę bez żadnych zobowiązań, bo i tak nie wiadomo, czy i kiedy nadejdzie czas. Była to jednak kwestia zasad.

- Pięć tysięcy - i będziesz słuchał moich poleceń.
 - Siedemdziesiąt pięć i nie będę słuchał żadnych poleceń.
 - Pięć. - Zacisnęła zęby. - Wóz albo przewóz.
 - Nie zgadzam się. - Niedbale wziął znów kamień do ręki, uniósł go i przyjrzał mu się uważnie. - I biorę to ze sobą. - Wstał i poklepał się po tylnej kieszeni spodni. - Może, jak się stąd wyniosę, zadzwonię po gliny z tego śmiesznego małego telefonu.

Zacisnęła dłonie w pięści, poruszyła nimi. Nie chciała w to włączyć policji, przynajmniej dopóki nie skontaktuje się z Bailey. Nie mogła też pozwolić sobie na ryzyko, że Jack spełni groźbę i zabierze kamień.

- Pięćdziesiąt tysięcy. - Wypluła z siebie słowa jak surowe mięso. - To wszystko, na co mnie stać. Większość zainwestowałam w swój biznes.

- Znalazne za tę błyskotkę to, jak mi się wydaje, więcej niż pięćdziesiąt tysięcy.

- Nie ukradłam tego cholernego kamienia. Nie należy do mnie. Jest... - Urwała i mocno zacisnęła wargi.

Już chciał usiąść na brzegu łóżka, ale przypomniał sobie, co stało się przed chwilą, i wybrał poręcz fotela.

- Do kogo on należy, MJ?

- Nie zamierzam ci nic powiedzieć. Zdażyłam się zorientować, że jesteś takim samym padalcem jak ten, który rozwalił mi drzwi. Mógłbyś być złodziejem, a nawet mordercą.

- I właśnie dlatego obrabowałem cię i zamordowałem.

- Jeszcze możesz to zrobić.

- Pozwól, że zwrócę twoją uwagę na oczywisty fakt. W pobliżu jestem tylko ja.

- To nie budzi zaufania. - Zastanawiała się przez chwilę. Jak dalece ośmieli się go wykorzystać? I ile odważy się mu powiedzieć?

- Jeśli chcesz mojej pomocy - powiedział, zupełnie jakby czytał w jej myślach - będę potrzebował faktów, szczegółów i nazwisk.

- Nie mam zamiaru podawać ci żadnych nazwisk. - Wolno pokręciła głową. - To wykluczone, dopóki nie porozmawiam z innymi osobami włączonymi w tę sprawę. A co do faktów i szczegółów sama niewiele wiem.

- Powiedz, co wiesz.

Znów zmierzyła go wzrokiem. Nie, nie wierzyła mu. Nie na tyle, żeby mu wyjawic choć część prawdy. Ale musiała znaleźć jakiś punkt wyjścia.

- Zdejm mi kajdanki.

Pokręcił głową.

- Na razie zostawmy wszystko tak, jak jest. - Wstał, podszedł do telewizora i wyłączył go. - Skąd masz ten diament, MJ?

Wahała się kolejną chwilę. Mniejsza o zaufanie, myślała. On mógłby pomóc, jeśli nie w inny sposób, to chociaż podsuwając jakieś pomysły.

- Przysłano mi go. Przez nocnego posłańca. Dostałam go wczoraj.

- Skąd pochodzi?

- Zdaje się, że pierwotnie był w Azji Mniejszej- Wzruszyła ramionami na jego syk zniecierpliwienia. - Nie powiem ci, skąd został wysłany, ale na pewno musiał być ku temu powód. Ten, kto mi go przysłał, jest uczciwy do szpiku kości. W dołączonym liście proszono mnie, żebym nie rozstawała się z nim i nikomu o nim nie mówiła, póki nadawca nie będzie miał możliwości wyjaśnienia wszystkiego. - Najwidoczniej przyszły jej do głowy różne okoliczności, ponieważ wyraźnie się zaniepokoiła. - Na pewno ma kłopoty. Duże kłopoty. Muszę zadzwonić.

- Żadnych telefonów.

- Posłuchaj, Jack...

- Żadnych telefonów - powtórzył. - Ktokolwiek szuka ciebie, pewnie szuka też twojego kumpla. Jego telefon może być na podsłuchu, a to doprowadziłoby ich do ciebie. Co z kolei doprowadziłoby ich do mnie, a więc żadnych telefonów. Teraz powiedz, jak twemu uczciwemu przyjacielowi udało się położyć łapę na błękitnym brylancie, który sprawia, że Hope wygląda jak nagroda w pudełku po prażonej kukurydzy?

- W najzupełniej legalny sposób. - Przechesała palcami włosy, chcąc pokryć zakłopotanie. Najwyraźniej był przeświadczeni, że ten przyjaciel to mężczyzna - dlaczego miałyby wy-

prowadzać go z błędu? - Nie zamierzam ci wszystkiego wyjaśnić. Dodam tylko tyle, że do jego obowiązków należało zajmowanie się nim. Słuchaj, pozwól, że powiem ci co nieco o tym kamieniu. Jest jednym z trzech. Kiedyś zdobiły ołtarz zbudowany na cześć starożytnego rzymskiego boga. Mitraizm był jedną z ważniejszych religii w Cesarstwie Rzymskim...

- Trzy Gwiazdy Mitry - mruknął. Spojrzała na niego uważnie, najpierw ze zdziwieniem, potem podejrzliwie.

- Skąd wiesz o Trzech Gwiazdach?

- Przeczytałem o nich w poczekalni u dentysty - mruknął.

Teraz, kiedy wziął do ręki kamień, podziw w jego oczach przerodził się w fascynację. - Uważano, że to mit. Trzy Gwiazdy osadzone w złotym trójkącie trzymanym przez boga światła.

- To nie mit - zauważyła MJ. - Smithsonian Institute przed paru miesiącami kupił te unikalne kamienie gdzieś w Europie. Mój przyjaciel powiedział, że muzeum chce to utrzymać w tajemnicy aż do weryfikacji.

- I oszacowania - myślał głośno - ubezpieczenia i zapewnienia ścisłej ochrony.

- Miały być pilnie strzeżone - powiedziała MJ.

W odpowiedzi zaśmiał się cicho.

- Nie wygląda na to, że się udało, prawda? Te brylanty symbolizują miłość, wiedzę i hojność. - Zmrużywszy oczy, wpatrywał się w starożytny klejnot. - Ciekawe, który to z nich?

- Nie mam pojęcia. - Była szczerze zdziwiona. W mgnieniu oka zmienił się z zabijaki o podejrzanym rodowodzie w erudyte. - Ale najwidoczniej ty wiesz o nich tyle samo co ja.

- Słyszałem o mitraizmie - odparł. - Poprzedzał chrześcijaństwo i rozwijał się równoległe z nim. Ludzkość zawsze poszukiwała łagodnego i sprawiedliwego bóstwa. - Wzruszył ra-

mionami, obracając kamień w dłoni. - Ludzie nie zawsze dostają to, czego chcą. Znam legendę o Trzech Gwiazdach. Mówiono, że bóg trzymał ten trójkąt przez wieki, i utrzymywał w ten sposób świat w równowadze. Potem trójkąt zaginął albo padł czymś łupem, albo zatonął wraz z Atlantydą. - Dla swojej własnej przyjemności włączył lampę, patrzył, jak kamień wybucha mocą w mętym świetle. - A najprawdopodobniej trafił do jakiegoś skorumpowanego rzymskiego skarbnika. - Delikatnie pogładził kciukami ścianki klejnotu. - To coś, za co ludzie gotowi byliby zabić. Albo umrzeć - dodał. - Niektóre legendy umieszczają Gwiazdy Mitry w grobie Kleopatry, według innych Merlin zamknął je w kryształach i strzeże do powrotu króla Artura. Jeszcze inne twierdzą, że sam bóg cisnął je w niebo i zapłakał nad ludzką głupotą. Ale powodem, dla którego zostały ukradzione i rozdzielone, są po prostu pieniądze. - Uniósł wzrok znad kamienia i napotkał jej spojrzenie. - Pojedynczo każdy jest wart fortunę, a w trójkącie wieczność.

Tak, trzeba przyznać, że ją fascynowało to, w jaki sposób ten głęboki, męski głos nabierał chłodnego tonu wykładowcy. I cały czas muskał lśniący kamień tak, jak mężczyzna mógłby muskać świetlistą skórę kobiety.

Ale pokręciła głową, słysząc ostatnie zdanie.

- Nie wierzę w to.

- Nie, ale tak mówi legenda, prawda? Ktokolwiek posiada trójkąt, ze wszystkimi Trzema Gwiazdami, zdobywa boską władzę i nieśmiertelność. Ale niekoniecznie łaskę. Ludzie zabijają za mniejsze rzeczy. O wiele mniejsze.

Położył kamień na stoliku między nimi, gdzie płonął spokojnym ogniem. Uświadomił sobie, że teraz wszystko się zmieniło. Stawki poszły w górę, a szanse zmaleły.

- Jesteś w kiepskim położeniu, MJ. Ktokolwiek go szuka, nie będzie się zastanawiał nad tym, czy wziąć z nim twoją głowę. - Podrapał się w podbródek, palcami przejeżdżając po płytkim dołeczku. - A moja głowa jest teraz niebezpiecznie blisko twojej.

Nie mógł uwierzyć, że ma takiego pecha. To tylko jego wina, powiedział sobie, kojąc nerwy Mozartem i Moetem. Ponieważ próbował trzymać się z dala od głównego nurtu wydarzeń, musiał polegać na tych, którym powierzył swoje sprawy.

Niekompetentni co do jednego, uznał, znajdując ulgę w głądzeniu sobolowego płaszcza, który kiedyś zdobił ramiona carycy Katarzyny.

I pomyśleć, że bawiła go myśl, że łowca nagród dopadnie denerwującej panny O'Leary. Prościej byłoby porwać ją z mieszkania czy z pracy. Ale lubił finezję. No i oczywiście dystans.

Łowca nagród mógłby zostać oskarżony o jej uprowadzenie! i śmierć. Tacy mężczyźni są gwałtowni z natury, nieprzewidywalni. Policja zamknęłaby dochodzenie bez większego namysłu czy wysiłku.

Tymczasem dziewczyna uciekła i na pewno miała przy sobie kamień.

Wypłynie na powierzchnię, pomyślał, oddychając powoli równo. Z pewnością lada chwila skontaktuje się ze swymi przyjaciółkami. Zapewniano go, że są wobec siebie niesłychanie lojalne.

Był mężczyzną, który ceni lojalność.

A kiedy panna O'Leary spróbuje skontaktować się z przyjaciółkami - tą, która znikła, i tą poza jego zasięgiem - będzie ją miał.

Kamień też.

Z nią bez wątpienia zdobędzie dwie pozostałe Gwiazdy.

W końcu, pomyślał z łagodnym uśmiechem, Bailey James słynie z tego, że jest dobrą przyjaciółką, współczującą i inteligentną kobietą. Był przekonany, że Bailey będzie lojalna wobec przyjaciółki, na tyle współczująca, by przedłożyć jej dobro nad wszystko. I dzięki tej lojalności i współczuciu zdobędzie kamienie bez dalszej zwłoki.

W zamian za życie niejakiej O'Leary.

Spędził wiele lat na poszukiwaniu Trzech Gwiazd. Zainwestował w to znaczną część olbrzymiego majątku. I odebrał życie wielu ludziom. Teraz niemal miał je w rękach. Tak blisko, myślał, tak bardzo blisko, że palce drżały mu z niecierpliwości.

A kiedy będzie je miał, osadzi je w trójkącie i umieści na ołtarzu, który dla nich zbudował, dostąpi najwyższej władzy. Nieśmiertelności.

Potem oczywiście zabije kobiety.

Stosowna ofiara, uznał, w sam raz dla boga.

ROZDZIAŁ 4

Zostawił ją samą. Teraz miała czas na zastanowienie się, czy może mu zaufać. Czy powinna wierzyć, że po prostu wyszedł, by przynieść jakieś jedzenie? On jej nie uwierzył, że zostanie, skoro ponownie przykuł ją do łóżka, zamyśliła się MJ, bezskutecznie usiłując się pozbyć kajdanek.

Musiała przyznać, że trafnie ją ocenił. W mgnieniu oka znalazłaby się za drzwiami. Nie dlatego, że się go bała. Po rozważeniu wszystkich faktów i odwołaniu się do instynktu uznała, że nie mógłby jej skrzywdzić. Gdyby tak miało być, już by to zrobił.

Widziała, w jaki sposób rozprawił się z osiłkiem, który rozwalił jej drzwi. To prawda, miał pełne ręce roboty, ale załatwił sprawę szybko, umiejętnie i godnymi podziwu metodami.

Choć przyznawała to z najwyższą niechęcią, zdawała sobie sprawę, że podczas walki z nią cały czas się hamował. Oczywiście związał ją i wrzucił do jakiegoś taniego pokoju w motelu, ale jeśli miała być sprawiedliwa, nie mogła zaprzeczyć, że gdyby chciał, mógłby jej wyrządzić znacznie większą krzywdę podczas ich gwałtownego starcia.

A tak naprawdę zranił tylko jej dumę.

Nie był tępym brutalem - co ją zaskoczyło. Na początku zmyliła ją jego powierzchowność i niezaprzeczalnie zmysłowy wygląd. Okazało się, że poza sprytem, którego by się spodziewała po mężczyźnie tego typu, Jack Dakota ma intelekt. I to nie najgorszy.

Nie uwierzyła, że czytał o mitraizmie w poczekalni u dentystry. Na ogół w kolejce do borowania nie studiuje się dzieł o starożytnych religiach. Chcąc nie chcąc, musiała przyznać, że Jack ma więcej zalet, niż początkowo przypuszczała. Należało tylko ustalić, czy jest to dla niej korzystne, czy nie.

Teraz, kiedy się trochę uspokoiła, była pewna, że Jack nie ma również zamiaru jej napastować. Gotowa była się założyć, że ten nieszczęsny incydent wywarł na nim równie silne wrażenie jak na niej. Z pewnością był to z jego strony błędny ruch. Przestrasz kobietę, zademonstruj jej swoją przewagę, a ona powie ci wszystko, co chciałbyś wiedzieć.

Nie zadziałało. Osiągnął tylko tyle, że obydwójce mieli na siebie chętkę.

Do diabła, ależ ten facet potrafi całować.

Uświadomiła sobie, że zbacza z tematu, i obrzuciła ponurym spojrzeniem rozkręcony znów na cały regulator telewizor ciągle z tym samym idiotycznym filmem.

Nie, nie bała się go, ale obawiała się sytuacji, w jakiej się znalazła, i wynikających z niej konsekwencji. Co oznaczało, że nie chciała siedzieć beczynnym i czekać, co się wydarzy. W jej stylu było działanie. Nieważne, czy działanie było rozsądne, czy nie. Chodziło o sam fakt.

Uniosła się na kolana, zerknęła na kajdanki, obracając nadgarstek w jedną i drugą stronę, wyginając dłoń jak cyrkówka przygotowująca się do najnowszego numeru.

Obmacała pręty przy wezłowie i skonstatowała, że są niepokojąco mocne.

Tanie hotele nie są już takie jak dawniej, pomyślała z westchnieniem. Żałowała, że nie ma szpilki do włosów, pilnika do paznokci, młotka, czegokolwiek.

Wszystko, co znajdowało się w lepkiej od brudu szufladzie nocnego stolika, to podarta książka telefoniczna i twardy jak skała kawałek batonika.

Zabrał ze sobą jej torbę. Choć wiedziała, że nie znalazłaby w środku żadnej szpilki, pilnika czy młotka, była wściekła, że nie ma jej przy sobie.

Naturalnie mogła wzywać pomocy. Mogła krzyczeć, ile się w płucach, i narazić się na upokorzenie, gdyby ktokolwiek zwrócił na to uwagę.

Co ważniejsze, nie uwolniłoby jej to z kajdanek, chyba że ten ktoś wezwałby kowala. Albo gliny.

Odetchnęła głęboko, usiłując się opanować. Musiała szybko znaleźć właściwą drogę ucieczki. Chora ze zmartwienia o Bailey i Grace, rozpaczliwie starała się uspokoić samą siebie, że żadnej, z nich nic się nie stało.

Załóżmy, że poszłaby na policję. Jakiego rodzaju kłopoty mogłaby mieć wówczas jej przyjaciółka? Formalnie rzecz biorąc zagarnęła fortunę. Czy władze wykazałyby zrozumienie sytuacji, czy wręcz przeciwnie, zaarrestowano by Bailey i skazano?

MJ nie mogła podjąć takiego ryzyka. Jeszcze nie. Tak długo nie, póki uważała, że istnieje choćby najmniejsza możliwość wyrównania szans. Aby to zrobić, musiała wiedzieć, z czym, do diabła, walczy.

Co znowu oznaczało konieczność wyrwania się z tego pokoju.

Zastanawiała się właśnie, czy nie zacząć szarpać zagłówek zębami, kiedy usłyszała zgrzyt klucza w zamku. Jack rzucił jej szybki uśmiech z gatunku tych, które oznaczały, że myśli zostały przejrzone na wylot.

- Kochanie, jestem w domu.

- Bardzo zabawne, Dakota. Bołą mnie boki.

- Pięknie wyglądasz przykuta do łóżka, MJ. - Postawił na komodzie dwie białe torby. - Ktoś mniej szlachetny niż ja miałby teraz nieczyste myśli.

Teraz ona uśmiechnęła się złośliwie.

- Ty już to zrobiłeś. I nie tylko. Na pewno będziesz miał bliznę na dolnej wardze.

- Tak. - Ostrożnie potarł ranę kciukiem. Wciąż piekło. - Powiedziałbym, że na to zasłużyłem, ale początkowo ze mną współpracowałaś.

To też zabolęło. Prawda zwykle boli.

- Zmierzasz w dobrym kierunku, myśląc w ten sposób, Jack - burknęła. - Jestem pewna, że takie ego jak twoje wymaga regularnych porcji ułudy.

- Kotku, odróżniam ułudę od pocałunku. Ale mamy ważniejsze rzeczy do roboty od rozmowy o tym, że ci się podobam. - Zadowolony z ostatniego docinka zanurzył rękę do jednej z toreb. - Hamburgery.

- A więc będziemy się tu kryć jak para zbiegłych więźniów - dla lepszego efektu potrząsnęła łańcuchem - i jeść tłuste świństwa? - zaczęła narzekać, choć na widok jedzenia napłynęła jej do ust ślinka.

- Możesz się o to założyć. - Podał jej hamburgera i wyjął frytki, wymyślane po to, by zatykać arterie i poprawiać nastrój. - Lepiej mi się myśli podczas jedzenia.

Usadowił się przy niej, opierając się plecami o zagłówek, umieścił jedzenie na kolanach i wyciągnął przed siebie nogi.

- Mamy poważny problem.

- Jeżeli mamy poważny problem, dlaczego tylko ja mam kajdanki?

Uwielbiał ten ironiczny ton. Ciekawe, co z nim jest nie tak.

- Bo zrobiłabyś jakieś głupstwo, gdybym cię nie zostawił pod kluczem. Muszę troszczyć się o moją inwestycję. - Wskazał na nią reszką swego hamburgera. - To znaczy o ciebie, kotku.

- Potrafię sama się o siebie zatroszczyć. A jeśli cię wynajmuję, to ty powinienesz wykonywać polecenia. A pierwsze to: zdejmij ze mnie to cholerstwo.

- Porozmawiamy o tym, jak tylko ustalimy podstawowe zasady. - Otworzył papierowy pakiecik z solą i posypał nią frytki.

- Właśnie myślę.

- Cóż. - Wgryzła się z goryczą w przypalony kotlet tkwiący między dwoma kawałkami czerstwej bułki. - Dlaczego się martwię? Przecież ty myślisz o wszystkim.

- Masz drwiącą minę, ale podoba mi się to. - Podał jej mikroskopijną papierową serwetkę. - Wytrzyj ketchup z brody. Wracając do tematu, ktoś wywarł nacisk na Ralpa, na tyle duży, że podrobił dokumenty i wystawił mnie na odstrzał. Nie zrobił by tego dla pieniędzy. Nie dlatego, że nie lubi pieniędzy - ciągnął Jack - za parę zielonych nie zaryzykowałby jednak utraty licencji ani tego, że będę chciał go dopaść. To oznacza, że, ratował skórę.

- Rozumiem, że skoro Ralph bez wątplenia jest filarem społeczeństwa, to zawęza się krąg podejrzanych?

- To znaczy, że był to ktoś na tyle silny, by nie obawiać się że stary Ralph wygada się przede mną czy pójdzie na policję

Ktoś, kto chciał, żeby cię wyprowadzono na zewnątrz bez hałasu. Kto wie, że masz kamień?

- Nikt poza osobą, która mi go przysłała. - Zmarszczyła czoło, wpatrując się w swego hamburgera. - I może jeszcze jedną.

- Jeśli więcej niż jedna osoba zna sekret, przestaje być sekretem. Jak twój przyjaciel zdobył ten diament, MJ? Nie możesz bez końca robić uników. Musisz mi to powiedzieć.

- Powiem ci, jak tylko uda mi się wyjaśnić pewne sprawy. Muszę zadzwonić.

- Żadnych telefonów.

- Ty zadzwoniłeś do Ralpa - zauważyła.

- Ryzykowałem, a poza tym byliśmy na szosie. Nigdzie nie zadzwonisz, dopóki nie dowiem się, o co chodzi. Przysłano ci brylant zaledwie wczoraj - zamyślił się. - Szybko cię namierzyli.

- Co oznacza, że namierzyli mojego przyjaciela. - Dostała nerwowych skurczy żołądka. - Jack, proszę. Muszę zadzwonić. Muszę się dowiedzieć. Zrozum wreszcie.

- Jak dużo on dla ciebie znaczy?

Chciała go poprawić, wyjaśnić, że Bailey jest kobietą, jej przyjaciółką, ale tylko pokręciła głową.

- Bardzo dużo. Na całym świecie nie ma nikogo, kto znałby więcej.

- Szczęśliwiec.

Nie była to odpowiedź, której chciała czy oczekiwała. Podminowana całą tą niecodzienną sytuacją, lękając się o przyjaciółki i o siebie, złapała go za koszulę.

- Co się, u diabła, z tobą dzieje? Ktoś próbował nas zabić. Jak możemy tak po prostu tu siedzieć?

- Właśnie dlatego tu siedzimy. Pozwalamy, by przez jakiś czas biegali w kółko. Twój przyjaciel na razie musi sobie radzić

sam. A ponieważ nie wyobrażam sobie, że mogłabyś się zadurzyć w facecie, który nie potrafi zatroszczyć się o siebie, na pewno nic mu się nie stanie.

- Niczego nie rozumiesz. - Usiadła i przegarnęła palcami włosy. - Boże, ale zamieszanie. Teraz powinnam się szykować do pracy, a tymczasem tkwię tu z tobą. Dzisiaj przypada mój dyżur za barem.

- Pracujesz jako barmanka? - Nie krył zdziwienia. - Myślałem, że jesteś właścicielką.

- To prawda, jestem właścicielką. - Stanowiło to dla niej powód do dumy. - Lubię obsługiwać bar. Nie pasuje ci?

- Ależ skąd. - Ponieważ temat zwrócił jej myśli w innym kierunku, postanowił go kontynuować. - Dobra jesteś?

- Nikt nie narzeka.

- Jak to się stało, że się tym zajęłaś? - Zauważył, że mierzy go przenikliwym spojrzeniem, ale wzruszył tylko ramionami.

- Daj spokój, trochę rozmowy przy jedzeniu to nic złego. Musimy jakoś spędzić czas, zanim podejmemy działanie.

- Jestem właścicielką pubu w czwartym pokoleniu. Mój pradziadek prowadził pub w Dublinie. Dziadek wyemigrował do Nowego Jorku i stał za barem w swym własnym pubie. Kiedy przeniósł się na Florydę, przekazał go memu ojcu. Właściwie, dorastałam za barem.

- Jaka to dzielnica Nowego Jorku?

- West Side, na rogu Siedemdziesiątej Dziewiątej i Columbus.

- U O'Leary'ego. - Na jego twarzy pojawił się najpierw szeroki, a potem rozmarzony uśmiech. - Mnóstwo ciemnego drewna i miedzi. Irlandzka muzyka na żywo w sobotnie wieczory. I najlepszy Guinness po tej stronie Atlantyku.

Ponownie zmierzyła go wzrokiem, zaintrygowana wbrew sobie samej.

- Byłeś tam?

- Nie tylko. Wypiłem sporo kufli. To było mniej więcej dziesięć lat temu. - Był wtedy w college'u. Miotał się między zajęciami z prawa i literatury i próbował zdecydować, kim, u diabła, chce zostać. - Chyba ze trzy lata temu zawitałem do Nowego Jorku w poszukiwaniu zbiega. Oczywiście wpadłem do pubu. Nic się nie zmieniło, nawet rysy na tym starym barze.

Jego słowa wprawiły ją w sentymentalny nastrój - nic nie mogła na to poradzić.

- U O'Leary'ego nic się nie zmienia.

- Byłbym przysiągł, że na stołkach na końcu baru siedzieli ci sami dwaj faceci co przed laty. Ćmili papierosy, czytali „Racing Form” i pili irlandzką whisky.

- Callahan i O'Neal. - Uśmiechnęła się na to wspomnienie.

- Umrą na tych stołkach.

- I twój ojciec. Pat O'Leary. Skurczybyk. - Pograżony we mgle wspomnień zamknął oczy. - Ta duża szeroka irlandzka twarz, gęste, sztywne jak druty rade włosy i głos prosto z filmów Cagneya.

- Tak, to tata - szepnęła z uczuciem.

- Wiesz, jak wszedłem - a upłynęło przynajmniej sześć lat od czasu, kiedy byłem tam po raz ostatni - twój ojciec uśmiechnął się do mnie szeroko. „Jak leci, studencie?” - powiedział do innie, wziął kufel i zaczął nalewać mi piwo.

- Byłeś w college'u?

Kiedy wyczuł zdziwienie w jej głosie, rozmarzenie ulotniło się. Otworzył jedno oko.

- I co z tego?

- To, że nie wyglądasz jak ktoś, kto studiował. - Wzruszyła

ramionami i zabrała się za swego hamburgera. - Ja też mam niezłego Guinnessa. Napiłabym się teraz.

- Nie miałbym nic przeciwko temu. Może później. Od dawna znasz tego swojego przyjaciela?

- Poznaliśmy się w college'u. Nie ma nikogo, do kogo miałabym większe zaufanie, jeśli do tego zmierzasz.

- Może powinnaś to przeanalizować. Tylko pomyśl - dodał pośpiesznie, zauważywszy, że zrobiła groźną minę. - Trzy Gwiazdy to duża pokusa dla każdego. Możliwe, że dał się skusić może postanowił działać na własną rękę.

- Nie, to nie w jego stylu, ale myślę, że ktoś inny mógłby tak postąpić, a jeśli mój przyjaciel dowiedział się o tym... - Zaciśnięta wargi. - Gdybyś chciał zabezpieczyć te kamienie, upewnić się, że nie wpadną w niepowołane ręce, co byś zrobił?

- Nie chodzi o to, co ja bym zrobił - podkreślił - tylko co by zrobił on.

- Rozdzielił je - powiedziała MJ. - Przesłał je osobom, do których ma pełne zaufanie. Ludziom, którzy dla ciebie zrobiliby absolutnie wszystko, ponieważ ty zrobiłbyś to samo dla nich. Bezwarunkowo.

- Absolutne zaufanie, absolutna lojalność? - Zwinął swoją serwetkę w kulkę i celnym rzutem posłał ją do kosza na śmieci.

- Nie wierzę w to.

- Żal mi ciebie - mruknęła - że w to nie wierzysz. Tak po prostu jest. Nie masz nikogo, kto skoczyłby za tobą w ogień; Jack?

- Nie. I nie ma nikogo, za kogo ja poszedłbym w ogień. - Uświadomienie sobie tego po raz pierwszy w życiu sprawiło mu przykrość. Drgnął, zamknął oczy. - Teraz się zdrzemnę.

- Co takiego?

- Mam zamiar się zdrzemnąć. Tobie radziłbym to samo.
- Jak możesz spać w takiej chwili?
- Jestem zmęczony. - W jego głosie dało się wyczuć rozdrażnienie. - A poza tym nie będę miał dużo okazji do snu, kiedy ruszymy. Jeszcze parę godzin do zachodu słońca.
- A co się stanie po zachodzie słońca?
- Zrobi się ciemno - powiedział i zapadł w sen.

Nie mogła uwierzyć własnym oczom. Ten facet po prostu wyłączył się jak maszyna, jak pacjent u hipnotyzera na kiwnięcie palcem. Jak... Zakłęła, kiedy zabrakło jej porównań.

Dobrze, że przynajmniej nie chrapał.

Cóż, doskonale, wściekała się. Po prostu świetnie. Co ona miała robić, podczas gdy on odbywał tę swoją małą drzemkę?

Poskubała resztę frytek, spojrzała z obrzydzeniem na ekran telewizora, na którym właśnie gigantyczną jaszczurkę spotykał gwałtowny koniec. Telewizja kablowa obiecywała więcej takich atrakcji w ramach Festiwalu Potworów i Bohaterów z okazji świątecznego weekendu.

O Boże.

Leżała w mrocznym pokoju, zastanawiając się, co powinna zrobić, i nie wiadomo kiedy zasnęła.

Śniły jej się potwory i bohaterowie, i niebieski brylant, który pulsował jak żywe serce.

Jack obudził się spowity kobiecością. Najpierw owionął go jej zapach, posmak, nieco ostry, cytrynowego mydła. Czysty, świeży i bezpretensjonalny.

Usłyszał ją - wolny, równy oddech. Przez chwilę rozkoszował się spokojną intymnością wspólnego snu. Krew zaczęła mu szybciej krążyć w żyłach, zanim jeszcze poczuł dotyk jej ciała.

Długie, gibkie członki. Kształtne smukłe nogi przerzuciła przez jego nogę. Jedno umięśnione ramię, o skórze delikatnej jak świeża śmietanka, spoczywało na jego torsie. Głowę przyjaźnie oparła na jego ramieniu.

MJ lubi się tulić, uświadomił sobie i uśmiechnął się pod nosem. Kto by przypuszczał? Zanim zdołał to sobie wyperswadować, uniósł dłoń i musnął ostrożnie potarganą rudą czuprynę. Włosy jak jedwab, zamyślił się. Spory kontrast z gwałtownością charakteru i ostrym języczkiem.

Z pewnością miała styl. Styl, który mu odpowiadał. Ciekawa do czego by mogło dojść, gdyby po prostu pewnego wieczoru wszedł do jej pubu i próbował ją poderwać.

Wykopałaby go stamtąd, pomyślał i uśmiechnął się szeroko. Co za kobieta.

To fatalnie, po prostu fatalnie, że nie dane mu było spróbować. Naprawdę chciał jej posmakować jeszcze raz.

Ponieważ rzeczywiście tak było, wysliznął się spod niej, wstał i rozprostował kości, podczas gdy ona poruszyła się i próbowała znaleźć przytulne miejsce. W końcu obróciła się na plecy i podłożyła wolną rękę pod głowę.

Poczuł gwałtowny przypływ pożądania.

Opanował się całą siłą woli i przypomniał sobie, że od czasu do czasu bywa cywilizowanym człowiekiem. Cywilizowani mężczyźni nie rzucają się na śpiące kobiety w wiadomym celu.

Ale mogą o tym myśleć.

Ponieważ uznał, że znacznie bezpieczniej będzie myśleć o tym na odległość, poszedł do łazienki, polał twarz zimną wodą i zastanowił się nad następnym ruchem.

Trzymała kamień w dłoni, zaintrygowana jego pięknem. Promienie światła słonecznego przeświecały przez baldachim drzew. Zamiast przeniknąć przez kamień, odbijały się od niego, tworząc migający, cudowny wir, który raził oczy i palił duszę.

Mogła go przynajmniej trzymać, jeśli nie zatrzymać. Odpowiedzi były tu, ukryte wewnątrz, gdyby tylko potrafiła tam zajrzeć.

Skądś dobiegło warczenie bestii, niskie i dzikie. Zamiast uciekać, odwróciła się w tamtym kierunku, w jednej dłoni chroniąc kamień, z drugą uniesioną w obronie.

Coś poruszyło się w krzakach, w ukryciu, wyczekując, poszukując. Polując.

Potem pojawił się on, na grzbiecie wielkiego czarnego wierzchowca. U boku miał szeroki miecz z matowego srebra, symbol przemocy. Jego szare oczy były tak groźne jak oczy bestii, która przekradała się tuż przy ziemi. Podał jej dłoń, a w tym powolnym uśmiechu kryło się wyzwanie.

Niebezpieczeństwo przed nią. Niebezpieczeństwo za nią.

Zrobiła krok do przodu, złączyła dłoń z jego ręką i pozwoliła, by podciągnął ją na tego lśniącego czarnego wierzchowca. Koń stanął dęba, zarżał. Ruszyli galopem. Krew tęmiąca w jej skroniach nie miała nic wspólnego ze strachem. Oznaczała wyłącznie triumf.

Obudziła się z walącym sercem i bólem w skroniach. Była w ciemnym, ciasnym pokoiku w motelu, a Jack brutalnie potrząsał ją za ramię.

- Co? Co?

- Koniec drzemki. - Zastanawiał się, czy nie obudzić jej pocałunkiem, ryzykując cios pięścią między oczy. Ale jedno i drugie mogłoby zbyt rozproszyć jego uwagę. - Musimy pojechać w parę miejsc.

- Dokąd? - Usiłowała pozbyć się resztek snu.
- Na początek odwiedzimy przyjaciela. - Odpiął kajdanki i zatrzaskał na własnym nadgarstku, przykuwając MJ do siebie.

- Masz przyjaciela?

- Nareszcie się obudziła. - Wyciągnął ją na zewnątrz w mglisty zmierzch, który wciąż pulsował gorącem. - Wsiadaj i posuń się - poinstruował ją po otwarciu drzwiczek od strony kierowcy.

Była wciąż na tyle oszołomiona snem, że posłuchała bez słowa sprzeciwu. Zanim jednak zapalił silnik, energia jej powróciła.

- Posłuchaj, Jack, te kajdanki muszą zniknąć.

- No, nie wiem, podobasz mi się w nich. Widziałaś film z Tonym Curtisem i Sidneyem Poitier? Kawał dobrego kina.

- Nie jesteśmy zbiegłymi kryminalistami ścigającymi po ciąg, Dakota. Jeśli mają nas łączyć interesy, w grę musi wchodzić zaufanie.

- Kotku, ty nie wierzysz mi bardziej niż ja tobie. - Nie spiesząc się, wyjechał z pełnego wybojów parkingu. - Spójrz na i to w ten sposób. - Uniósł rękę, tym samym szarpiąc jej dłoń.
- Jesteśmy obydwoje w tej samej sytuacji. A ja mogłem po prostu cię tam zostawić.

Trzepnęła palcami o kolano.

- Ciekawe, dlaczego tego nie zrobiłeś.

- Myślałem o tym - przyznał. - Bez ciebie mógłbym poruszać się szybciej. Wolę jednak mieć cię na oku. Poza tym, gdyby coś poszło nie tak i nie mógłbym wrócić, nie zniósłbym, gdybyś musiała się tłumaczyć, dlaczego jesteś przykuta do łóżka kajdankami w tanim motelu.

- To bardzo ładnie z twojej strony.
- Też tak uważam. Chociaż to twoja wina, że poruszam się po omacku. Byłoby mi łatwiej, gdybyś wypełniła puste miejsca.
- Pomyśl o tym jako o wyzwaniu.
- Och, z pewnością. O tym i o tobie. - Spojrzał na nią z ukosa. - Co ten facet takiego ma, MJ? Ten twój przyjaciel, dla którego jesteś gotowa tak wiele zaryzykować?

Wyrzała przez okno, przywołała w pamięci postać Bailey. Już po chwili odrzuciła tę wizję. Niepokój o przyjaciółkę powodował, że znów zaczynała się bać, a strach zaciemniał umysł i sprawiał, że nie była w stanie jasno myśleć.

- Nie rozumiesz miłości, prawda, Jack? - Jej głos był spokojny, bez zwykłego zaczepnego tonu, a spojrzenie uważnie przesunęło się po jego twarzy w powolnym poszukiwaniu. - Takiej miłości, która nie stawia pytań, nie wymaga przysług i nie ma granic.

- Nie. - Uczucie pustki, którą te słowa mu przyniosły, przerozdziło się w zazdrość. - Powiedziałbym, że jeśli nie stawia pytań i nie uznaje granic, jest głupia.

- A ty nie jesteś głupi.

- W tych okolicznościach powinnaś być wdzięczna losowi, że nie jestem. Wyciągnę cię z tego, MJ. Wtedy będziesz mi winna pięćdziesiąt tysięcy zielonych.

- Wiesz, co jest najważniejsze. - W jej głosie znowu pojawiła się ironia.

- Tak, pieniądze wygładzają wiele wybojów na drodze życia. I powiem jeszcze, że zanim mi zapłacisz, znów wylądujemy w łóżku. Ale tym razem nie po to, żeby się zdrzemnąć.

Odwróciła się twarzą do niego, ignorując podniecenie przenikające jej ciało.

- Dakota, tylko wtedy uda ci się zaciągnąć mnie do łóżka jeśli znów mnie zakujesz.

- Cóż, to mogłoby być interesujące, prawda?

Chcąc nadrobić czas, zjechał na międzystanową autostradę i skierował się na północ. I obiecał sobie solennie, że nie tylko zaciągnie ją do łóżka, ale że kiedy to zrobi, ona nie będzie myślała o innym mężczyźnie.

- Wracasz do Waszyngtonu?

- Tak. Mamy tam coś do załatwienia. - W światłach samochodów nadjeżdżających z przeciwka widziała jego ponurą twarz,

Pojechał okrężną drogą, klucząc, krążąc w pobliżu celu, wycofując się, póki nie nabrał pewności, że w żadnym z samochodów zaparkowanych w pobliżu domu nie ma żywej duszy.

Było za to trochę pieszych. Przyjrzał się im za drugim przejazdem. Interesy jak zwykle, zadumał się. A ten rodzaj interesów wymagał, by ludzie się poruszali.

- Miła dzielnica - zauważyła MJ na widok pijaka, który wytoczył się ze sklepu monopolowego, ściskając w garści brązową papierową torbę, - Czarująca. Mieszkasz tu?

- Nie ja. Ralph. Parę domów dalej jest sąd. - Przejechał obok prostytutki, która zeszła ze zwykłego szlaku, i skręcił za róg. - Podoba mu się tu.

Wiedziała, że to teren, którego starają się unikać nawet najodważniejsi taksówkarze. Okolica, gdzie życie jest często warte mniej niż splunięcie na chodnik, a ci, którym ono nie obrzydło, zamykają szczelnie drzwi przed zachodem słońca i wyczekują świtu.

Tutaj graffiti nasmarowane na rozpadających się budynkach nie było formą sztuki. Było groźbą.

Wtem usłyszała siarczyste przekleństwo, a potem dźwięk tłuczonego szkła.

- Trzeba przyznać, że ten twój przyjaciel Ralph ma gust i klasę.
- Były przyjaciel. - Wziął ją za rękę i wysiadł z auta, zmuszając tym samym, by prześliznęła się przez siedzenie kierowcy.

- To ty, Dakota? To ty? - Z sieni jednego z domów wynurzył się jakiś mężczyzna. Miał czerwone oczy, przerażone jak u zbitego psa. Przejechał wierzchem dłoni po wargach i powłócząc nogami, przybliżył się do nich w zniszczonych sportowych butach za kostkę i płaszczu, w którym musiał się dusić w tym letnim upale.

- Hej. Freddie. Jak leci?

- Bywało lepiej. - Jego oczy prześliznęły się po MJ, po czym powędrowały dalej. - Bywało lepiej - powtórzył.

- Tak, wiem. - Jack sięgnął do kieszeni po banknoty, które włożył tam wcześniej. - Powinieneś zjeść gorący posiłek.

- Gorący posiłek. - Freddie wpatrywał się w banknoty, obliżując wargi. - Jasne, przydałby mi się gorący posiłek.

- Widziałeś Ralpha?

- Nie. - Drżące palce Freddiego sięgnęły po pieniądze, zacisnęły się na nich. Zamrugał, kiedy zorientował się, że Jack nie ma zamiaru wypuścić ich z ręki. - Nie widziałem - powtórzył.

Pewnie wcześniej dziś zamknął interes. To święto. Te cholerne dzieciaki już puszczają sztuczne ognie. Nie można ich odróżnić od strzałów. Cholerne dzieciaki.

- Kiedy ostatnio widziałeś Ralpha?

- Nie wiem. Wczoraj? - Spojrzał na Jacka w oczekiwaniu potwierdzenia. - Chyba wczoraj. Jestem tu od jakiegoś czasu, ale dziś go nie widziałem. A jego dom jest zamknięty.

- Może zauważyłeś kogoś innego, kogoś obcego?

- Ja, - Freddie wskazał na MJ i uśmiechnął się. - Ja,
 - A poza nią?
 - Nie, nikogo. - Głos przeszedł w skamlenie. - Na pewno bywało lepiej, Jack, wiesz.
 - Tak. - Jack bez dalszego ociągania wypuścił pieniądze z ręki. - Znikaj, Freddie.
 - Tak, dobrze. - Mężczyzna pospieszył w dół ulicy i skręcił za róg.
 - On nie kupi sobie jedzenia - mruknęła MJ. - Dobrze wiesz, co sobie za to kupi.
 - Nie możesz zbawić świata. Czasami nie możesz uratować nawet jego małej części. Ale może dzisiaj nikogo nie obrabuje albo nie zginie od kuli, próbując to zrobić. - Jack wzruszył ramionami. - Był martwy, kiedy po raz pierwszy wziął do ręki igłę. Nic nie mogę na to poradzić.
 - A więc dlaczego czujesz się z tym tak kiepsko? Masz to wypisane na twarzy, Dakota.
 - Kiedyś miał rodzinę - mruknął. - Chodźmy.
- Poprowadził ją w górę ulicy, potem nagle szybko pociągnął na bok budynku. Ku jej zaskoczeniu otworzył kajdanki.
- Masz na tyle rozsądku, że nie odważysz się na ucieczkę w tej dzielnicy. - Uśmiechnął się. - A twój kamień jest schowany w bagażniku mego samochodu.
 - Na takiej ulicy będziesz miał szczęście, jeśli twój samochód jeszcze tam będzie, kiedy wrócisz.
 - Znają mój samochód. Nikt go nie tknie. - Odwrócił się, a właściwie zawirował. Aż podskoczyła, kiedy dwukrotnie kopnął z wściekłością w brudnoszare drzwi.
- Usłyszała, jak drewno pęka, i ściągnęła wargi w uznaniu, gdy drzwi poddały się za trzecim razem.

- Dobra robota.

- Dzięki. Jeśli Ralph nie zmądrzał i nie zmienił szyfru, jesteśmy w domu. - Wszedł do środka i namacał alarm przy rozwalonych drzwiach. Zręcznymi palcami wystukał numery.

- Skąd znasz jego kod?

- W mojej pracy takie rzeczy się przydają. Odsuń się. - Z godną podziwu siłą podniósł rozwalone drzwi do góry i umieścił je z powrotem na zawiasach. - Powinien sobie zafundować stal. To tandeta.

Zapalił światło, rzucił okiem na cuchnącą pleśnią niewielką przestrzeń zapchaną kartotekami. MJ zobaczyła mysz, która uciekła w kąt.

- Czarujące. Na razie jestem pod wrażeniem twoich znajomych, Dakota. Czy jego sekretarka ma roczny urlop?

- Ralph nie ma sekretarki. Wierzy niewzruszenie w niskie koszty administracyjne. Biuro jest tam.

- Nie mogę się doczekać. - W obawie przed gryzoniami i wszystkim, co ma więcej niż dwie nogi, uważnie patrzyła pod stopy. - To coś takiego, co nazywają włamaniem i naruszeniem prywatnej własności, prawda?

- Gliniarze mają nazwy na wszystko. - Zatrzymał się z ręką na gałce drzwi, spojrzał przez ramię. - Gdybyś chciała mieć do czynienia z kimś, kto grzecznie puka do frontowych drzwi, nie byłabyś tu ze mną.

Uniosła rękę i potrząsnęła zwisającymi kajdankami.

- Nie zapomniałeś o tym?

Tylko pokręcił głową.

- Nie byłabyś tu ze mną - powtórzył i otworzył drzwi.

Wciągnęła gwałtownie powietrze, ale był to jedyny dźwięk, jaki z siebie wydobyła. Później on będzie o tym pamiętał i doce-

ni jej wytrzymałość i zimną krew. Struga światła z przedpokoju wlała się do gabinetu wielkości szafy. Brudnoszare metalowe kartoteki, pokieroszowane i powyginane, zajmowały dwie ściany. Papiery wysypywały się z otwartych szuflad, zaśmiecały podłogę, trzepotały na biurku w podmuchach powietrza ze skrzypiącego, elektrycznego wiatraczka.

Wszędzie było pełno krwi.

Zapach podrażnił jej żołądek, sprawił, że zacisnęła zęby i przełknęła ślinę. Ale kiedy odezwała się, jej głos był dość opanowany.

- Domyślam się, że to Ralph?

ROZDZIAŁ 5

W yjątkowo nieporządna robota, zamyślił się Jack. Jeśli byli to profesjonaliści, nie zawracali sobie głowy, żeby zrobić wszystko precyzyjnie i szybko. Ale z drugiej strony nie było ku temu powodów. Ralph był wciąż przywiązany do krzesła.

A raczej to, co z niego zostało.

- Możesz poczekać za drzwiami - rzucił.
- Nie muszę.

Przemoc nie była jej obca. Dziewczyna, która wychowuje się w barze, od czasu do czasu bywa świadkiem rozlewu krwi.

Co prawda, czegoś takiego nie widziała jeszcze nigdy. Choć uważała się za osobę trzeźwo patrzącą na życie, tak naprawdę aż do tej chwili nie wierzyła, że jedna ludzka istota mogłaby zadać takie męczarnie drugiej.

Nie odrywała wzroku od ściany, ale stanęła obok Jacka.

- Jak myślisz, czego szukali?
- Tego samego co ja. Czegoś, co prowadzi do kogoś, kto wykorzystał Ralpha, żeby nas w to wpakować za pomocą fałszywego oskarżenia. - Głos złagodniał mu nagle, zabrzmiała w nim najwyraźniej nutka żalu. - Dlaczego nie uciekł?
- Być może nie miał szans. - Jej żołądek powoli się uspoka-

jał, ale wciąż oddychała płytko, z trudnością. - Musimy zawiadomić policję.

- Jasne, wykręcimy dziewięćset jedenaście, poczekamy na nich i wszystko wytłumaczymy. Z celi. - Przykucnął i zaczął przerzucać papiery.

- Jack, na litość boską, ten facet został zamordowany.

- Nie będzie ani trochę mniej martwy, jeśli wezwiemy gliny, prawda? Nigdy nie udało mi się rozszyfrować systemu kartotek Ralph.

- Czy ty nie masz żadnych uczuć? Przecież go znałeś.

- Nie mam czasu na uczucia. - Ponieważ próbowały naci nim zapanować, przybrał maskę obojętności. - Pomyśl o tym! kotku. Ktokolwiek mu to zrobił, z pewnością chciałby zrobić to samo z tobą. Przypatrz się uważnie i spytaj siebie samej, czy właśnie w taki sposób chciałybyś skończyć. - Odczekał chwilę, po czym przyjął jej milczenie za oznakę zrozumienia. - Teraz! możesz iść do pokoju na tyłach i ratować swą delikatność uczuć, Możesz też pomóc mi przekopać się przez ten bałagan.

Kiedy się odwróciła, pomyślał, że odejdzie. Wtedy mogłaby pójść dalej, nie bacząc na to, w jakiej dzielnicy się znajdują, Zatrzymała się jednak przy kartotekach i wzięła do ręki plik papierów.

- Czego mam szukać?

- Wszystkiego.

- To faktycznie zawęży krąg poszukiwań. A dlaczego miałyby tu coś zostać? Oni już tu byli.

- Na pewno gdzieś trzymał kopie. - Jack syknął z dezaprobatą na widok fruujących dokumentów. - Dlaczego, do diabła, nie używał komputera jak każdy normalny człowiek?

Wstał, podszedł do biurka, wyszarpnął szufladę. Obejrzał ją

uważnie, odwrócił, sprawdził spód, tył, po czym odrzucił ją na bok. Tak samo postąpił z następną. Za trzecim razem znalazł podwójny tył.

Słyszając jego pomruk satysfakcji, MJ odwróciła się, obserwowała, jak wyjmuje scyzoryk i odbija drewno. Porzuciwszy własne poszukiwania, podeszła do niego. W milczącym porozumieniu z Jackiem chwyciła poluzowaną krawędź i pociągnęła, podczas gdy on podważał nożem miejsca złączenia. Udało mu się odłupać kawałek drewna.

- Sklejone na mur - zauważył. - I to niedawno.

- Skąd wiesz?

- Jest czyste. Nie ma kurzu i brudu. Uważaj na palce. Weź nóż. Pozwól mi... - Zamienili się rolami. Obtarł sobie kostki, zaklął i powrócił do odłupywania drewna warstwa po warstwie. Nagle płytką odskoczyła.

Jack ponownie chwycił nóż, przeciął taśmę mocującą klucz do tyłu szuflady.

- Klucz do skrytki - mruknął. - Ciekaw jestem, co takiego Ralph tam ukrył.

- Dworzec autobusowy? Kolejowy? Lotnisko? - MJ pochyliła się bardziej, wpatrując się w klucz. - Nie ma nazwy, tylko numer.

- Typowałbym pierwsze albo drugie. Ralph nie znosił latań, a poza tym lotnisko jest kawałek drogi stąd.

- Wciąż pozostaje wiele przechowalni i równie dużo skrytek - zauważyła.

- Znajdziemy tę właściwą.

- Masz pojęcie, ile przechowalni musi być w całym mieście?

Obrócił klucz między palcami i uśmiechnął się niewyraźnie.

- Potrzebujemy tylko jednej. - Wziął ją za rękę i zanim się zorientowała, co zamierza zrobić, znów skuł ich razem.
- Och, na litość boską, Jack.
- Po prostu się zabezpieczam. Chodź, mamy mnóstwo pracy.

Na pierwszym dworcu autobusowym z niechęcią zdjął jej kajdanki, zawłókł do budki telefonicznej i zadzwonił, nie podając swego nazwiska, na policję, by zawiadomić o popełnionym morderstwie. A potem dokładnie wytarł telefon.

- Jeśli mają deszyfrant - wyjaśnił - dojdą, skąd telefonowano.
- Założę się, że twoje odciski są w kartotece.

Rzucił jej szeroki uśmiech.

- Drobne nieporozumienie przy grze w bilard w mojej grzesznej młodości. Pięćdziesiąt dolarów grzywny i odsiadka.

Przesunął ją w róg budki, przyciskając do ściany swoim ciałem.

- Tu jest trochę tłoczno.
- Zauważyłem. - Uniósł dłoń, odgarnął włosy z jej skroni.
- Dobrze zniosłaś tamto. Większość kobiet na twoim miejscu wpadłaby w histerię.
- Ja nie wpadam w histerię.
- Nie, ty nie wpadasz. A więc przez chwilę przestań się , stawiać, dobrze. - Uniósł jej twarz w górę, pochylił głowę. Tylko przez chwilę. -I dotknął wargami jej ust.

Mogła się temu oprzeć. Miała taki zamiar. Ale to był lekki pocałunek. Niemal przyjacielski, mógł być przyjacielski, gdyby nie to, że Jack przylgnął do niej całym ciałem i gdyby nie gorąco płynące z tego ciała.

I lekki, niemal przyjacielski pocałunek nie doprowadziłby jej do tego, że zapragnęła przywrzeć do niego, objąć go i tak pozost-

stać. Wybrała kompromis. Walnęła go pięścią w plecy, nie przytulając się, ale i nie protestując.

Jeśli jej usta zmiękły pod jego wargami, rozgrzały się i rozchyliły, trwało to tylko chwilę. Nie oznaczało niczego. Mogło nie oznaczać niczego.

- Pragnę cię. - Wyszeptał te słowa wprost w jej usta, później jeszcze raz, kiedy przycisnął wargi do jej szyi. - To nie najlepszy moment, żeby ci to powiedzieć, niezbyt właściwe miejsce. Ale pragnę cię, MJ. Niełatwo mi się temu oprzeć.

- Nie chodzę do łóżka z nieznanymi.

- A kto cię o to prosi? - Uniósł głowę, spojrzał jej w oczy. - Poznaliśmy się dostatecznie dobrze, prawda? A ty nie należysz do kobiet, które potrzebują idiotycznych randek czy czułych słówek.

- Może nie. - Ogień, który Jack w niej rozniecił, wciąż się tlił. - Może ja nie wiem, czego pragnę.

- A więc pomyśl o tym. - Cofnął się, wziął ją za rękę i wyciągnął z budki. - Sprawdźmy skrytki. Może będziemy mieli szczęście.

Nie mieli szczęścia. Ani na tym dworcu, ani na dwóch następnych. Kiedy wreszcie schował klucz do kieszeni, dochodziła pierwsza w nocy.

- Mam ochotę się napić.

Odetchnęła głęboko, poruszyła ramionami. Po dwunastu godzinach koszmaru na jawie rozumiała go aż nadto dobrze.

- Ja też nie odmówię. Stawiasz?

- Czemu nie?

Ominął wszystkie miejsca, w których mógłby zostać rozpoznany, i wybrał obskurną małą knajpę o rzut kamieniem od Union Station.

- Miałem do wyboru to albo ekskluzywny bar dla gejów. Potem możemy sprawdzić skrytki na Union Station. Dwa piwa z beczki - rzucił kelnerce i zgniótł orzeszek.

- Nie rozumiem, dlaczego takie miejsca nie bankrutują. MJ krytycznie przyglądała się wnętrzu. Gęste od papierosowego dymu powietrze, zastarzały odór, lepka podłoga usłana skorupkami fistaszków, niedopałkami papierosów i licho wie czym |
- Kilkanaście litrów płynu dezynfekcyjnego, przyzwoite oświetlenie i ta spelunka zmieniłaby się nie do poznania.

- Mam wrażenie, że tutejszym bywalcom na tym nie zależy
- Zerknął na siedzącego przy barze mężczyznę z gburowatą miną i na uwieszoną u jego ramienia dziewczynę o zmęczonych oczach. - Niektórzy ludzie po prostu przychodzą do baru po to żeby się napić, aż w końcu są na tyle pijani, że zapominają, jak.: się tu znaleźli.

Przyznała mu rację skinieniem głowy.

- To typ klienta, których nie chcę u siebie. Od czasu do czasu przychodzą, ale rzadko wracają. Nie szukają okazji do rozmowy muzyki czy towarzyskiego drinka z przyjacielem. A właśnie oferuję u siebie.

- Jaki ojciec, taka córka.

- Można tak powiedzieć. - MJ skrzywiła się z dezaprobatą, kiedy kelnerka ciężko postawiła przed nimi kufle. Piwo przelało się przez brzegi. - Nie popracowałaby u mnie pięciu minut.

- Nieuprzejme kelnerki mają swój wdzięk. - Jack uniósł kufel i pociągnął solidny łyk. - Wcześniej mówiłem serio. - Uśmiechnął się szeroko, kiedy popatrzyła nieufnie na niego, mrużąc oczy. - O tym też, ale teraz chodziło mi o to, jak wzięłaś się w garść. To była trudna sytuacja, MJ, dla każdego.

- Coś takiego zdarzyło mi się pierwszy raz. - Odchrząknęła, napiła się piwa. - A tobie?

- Też. I mam nadzieję, że ostatni. Ralph był łajdakiem, ale nie zasłużył na taki koniec. Trzeba przyznać, że ktokolwiek mu go zgotował, zrobił to z wielką przyjemnością. Paru naprawdę złych ludzi się tobą interesuje.

- Na to wygląda. - I ci sami ludzie, pomyślała, interesują się Bailey i Grace. - Jak myślisz, ile czasu zajmie nam znalezienie zamka, który pasuje do klucza?

- Trudno powiedzieć. Jak znam Ralpha, nie wybrałby się zbyt daleko w miasto. Ukrył klucz w swoim biurze, nie w mieszkaniu, co wskazuje na to, że skrytka jest gdzieś w pobliżu.

A jeśli nie? - zadała sobie w duchu pytanie MJ. Wtedy mogą minąć całe godziny, nawet dni, zanim ją znajdą. Nie miała ochoty czekać tak długo. Upiła kolejny łyk piwa.

- Muszę iść do łazienki. - Kiedy obrzucił ją badawczym spojrzeniem, uśmiechnęła się ironicznie. - Chcesz iść ze mną?

Obserwował ją przez chwilę, po czym wrzucił ramionami.

- Pospiesz się.

Z trudem się hamowała, by nie pobiec na zaplecze. W myśli szybko układała plan. Dziesięć minut, wyliczyła Dokładnie tyle potrzebowała, by wydostać się na zewnątrz, dotrzeć do budki telefonicznej, którą zauważyła przed barem, i połączyć się z Bailey.

Zamknęła za sobą drzwi damskiej toalety, obrzuciła wzrokiem kobietę w czarnym kombinezonie mizdrzącą się w lustrze i uśmiechnęła się szeroko na widok małego dwuskrzydłowego, otwieranego na zewnątrz okna umieszczonego tuż przy suficie.

- Hej, podsadź mnie.

Kobieta nałożyła na wargi drugą warstwę szminki w kolorze krwi.

- Co?

- No, bądź dobrym kumplem. - MJ oparła rękę na wąskim parapecie. - Pomóż mi, dobrze?

Kobieta z irytującą powolnością zamknęła szminkę.

- Nieudana randka?

- Najgorsza z możliwych.

- Znam to uczucie. - Chwiejnie podeszła do niej na cieniutkich szpilkach. - Naprawdę sądzisz, że uda ci się przecisnąć? Jesteś chuda, ale to nie będzie łatwe.

- Poradzę sobie.

Kobieta, wokół której unosił się zapach ciężkich, zbyt słodkich perfum, wzruszyła ramionami i złożyła dłonie.

- Jak chcesz.

MJ umieściła stopę na tym zaimprovizowanym strzemieniu, po czym podciągnęła się w górę, aż zaczepiła ręce na parapecie. Szybki manewr i już była na parapecie do wysokości biustu.

- Popchnij jeszcze trochę.

- Nie ma sprawy. - Kobieta, nabrawszy animuszu, umieściła obie dłonie na pupie MJ i pchnęła. - Przepraszam - powiedziała, kiedy MJ uderzyła głową o okno i zakłęta.

- W porządku. Dzięki.

Poruszyła ciałem w jedną i drugą stronę, wykręciła tułów i wcisnęła się w otwór. Głowa, później ramiona. Wzięła szybki oddech i, próbując nie myśleć o tym, co się stanie, jeśli utknie w oknie, siłą przecisnęła się przez nie, rozdzierając po drodze dzinsy.

- Powodzenia, złotko.

MJ stała na czworakach na parapecie na tyle długo, by podziękować swojej pomocnicy szybkim, szerokim uśmiechem. Po czym skoczyła na ziemię i pobiegła. Po drodze sięgnęła do kieszeni, szukając ćwierćdolarówki, którą tam zwykle nosiła.

Słyszała głos matki: „Nigdy nie wychodź z domu bez drobnych na telefon w kieszeni. Nie wiadomo, kiedy będziesz ich potrzebować”.

- Dzięki, mamó - szepnęła i dopadła budki telefonicznej.

Bądź w domu, bądź w domu - powtarzała jak zaklęcie, wrzucając monetę i wybierając numery.

Po drugim dzwonku usłyszała łagodny, chłodny głos Bailey zaklęła, rozpoznając nagranie na automatycznej sekretarce.

- Gdzie jesteś, gdzie jesteś? - Z trudem zapanowała nad uczuciem paniki. - Bailey, słuchaj - zaczęła w chwilę po sygnale. - Nie wiem, o co, u diabła, w tym wszystkim chodzi, ale mamy poważny kłopot. Nie siedź w domu, oni mogą wrócić. Jestem w budce telefonicznej przed knajpką w pobliżu...

- Cholerna idiotka. - Jack złapał ją za ramię.

- Ręce przy sobie, ty draniu! Bailey...

Jack rozłączył rozmowę. Wykorzystując ciasnotę budki odwrócił MJ i unieruchomił ręce kajdankami. Po czym po prostu podniósł ją i przerzucił przez ramię. Pozwolił jej wygłaszać tyrady i kopać. Jej groźby i obietnice nie robiły na nim wrażenia. Wrzucił ją do samochodu, zanim jakaś dobra dusza zdążyła się zainteresować tym, co się dzieje. Oderwał się od krawężnika i błyskawicznie wjechał w boczną uliczkę.

- Tyle jest warte zaufanie. - A kiedy nie ma zaufania, pomyślał, musi być dowód. Ostrożnie zawrócił i tak długo penetrował teren, aż wypatrzył wąską uliczkę pół przecznicy od budki telefonicznej. Wjechał w nią tyłem, zgasił światła i silnik.

Wyciągnął rękę, zacisnął na jej karku i przyciągnął jej twarz do swojej.

- Chcesz zobaczyć, dokąd zaprowadziłby nas twój telefon? Tylko siedź spokojnie.

- Zabierz ode mnie te łapska.

- Bądź pewna, że to w tej chwili twoje najmniejsze zmartwienie. Bądź cicho. I czekaj.

Kiedy rozluźnił uścisk, próbowała się wyrwać.

- Czekać na co?

- To nie powinno długo potrwać - odparł i w ponurym milczeniu obserwował mroczną ulicę.

Nie upłynęło nawet pięć minut. Według jego wyliczeń nie więcej niż piętnaście od jej telefonu. Do krawężnika wolno i ostrożnie podjechała furgonetka. Wysiedli z niej dwaj mężczyźni.

- Rozpoznajesz ich?

Oczywiście. Widziała ich dziś rano. Jeden z nich rozwalił jej drzwi. Drugi do niej strzelał. Zadrżała i zamknęła oczy. Zdała sobie sprawę, że namierzyli telefon do mieszkania Bailey. Zrobili to szybko i sprawnie.

Gdyby Jack nie zareagował dostatecznie szybko, mogliby ją schwytać. Równie szybko, równie sprawnie.

Mniejszy z nich wszedł do baru, podczas gdy jego towarzysz stał przy budce telefonicznej i obserwował ulicę, trzymając jedną rękę pod marynarką.

- Da barmanowi parę dolców, żeby sprawdził, czy jesteś w środku, czy byłaś sama, jak dawno wyszłaś. Nie zostaną tu długo. Dowiedzą się, że wciąż jesteś ze mną, więc będą szukać samochodu. Nie będziemy mogli dziś z niego korzystać w tej okolicy.

Mężczyzna wyszedł z baru i dołączył do osiłka przepatrującego wzrokiem okolicę. Wyglądało na to, że nad czymś się naradzają, kłóca, po czym wsiedli do samochodu. Tym razem nie pełzał po ulicy, pomknął jak rakietą.

MJ milczała jeszcze przez chwilę, wciąż patrząc prosto przed siebie.

- Miałeś rację - powiedziała w końcu. - Przepraszam.
- Przepraszasz mnie? Nie jestem pewien, czy dobrze słyszałem.

- Miałeś rację. - Przełknęła ślinę, niepokojąco bliska łez.
Przepraszam.

Słyszac łzy w jej głosie, zdenerwował się jeszcze bardziej.

- Daj spokój - burknął i zapalił silnik. - Następnym razem, jak będziesz chciała popełnić samobójstwo, bądź łaskawa upewnić się, że nie ma mnie w pobliżu.

- Musiałam spróbować. Nie mogłam tego tak zostawić. Myślałam, że przesadzasz albo mnie po prostu prowokujesz. Myliłam się. Ile razy mam to powtórzyć?

- Jeszcze się nie zdecydowałem. Jeśli zaczniesz się nad sobą rozczulać, naprawdę mnie to wkurzy.

- Nie rozczulam się nad sobą - odparła, a łzy paliły ją w gardle. Prawie tak samo trudno było połykać je, jak pozwolić, by popłynęły.

Usiłowała się uspokoić, podczas gdy Jack, klucząc, wyprowadził samochód poza granice miasta i skręcił na opustoszałą boczną drogę w Wirginii. Otulił ich przyjazny mrok.

- Nikt za nami nie jedzie - powiedziała.

- To dlatego, że jestem dobry, nie dlatego, że nie jesteś głupia.

- Przestań się mnie czepiać.

- Gdybym posiedział w barze jeszcze pięć minut, czekając na ciebie, byłbym w tej chwili równie martwy jak Ralph. A więc przyjmij, że masz szczęście, jeśli nie wyrzucę cię na pobocze i nie pojedę do Meksyku.

- Dlaczego tego nie zrobisz?

- Zainwestowałem. - Pochwycił jej spojrzenie, lśnienie wil-

gotnych oczu i prychnął. - Nie patrz tak. To mnie naprawi doprowadza do szału.

Nie przestając przeklinać, zjechał na pobocze. Wyjął klucz z kieszeni, zdjął MJ kajdanki, wyskoczył z samochodu i zaczął chodzić tam i z powrotem.

Dlaczego, do diabła, wplątał się w aferę z tą kobietą? Dlaczego się od niej nie uwolnił? Dlaczego teraz jej nie zostawi? Meksyk to nie takie złe miejsce. Mogłby znaleźć sobie miły kącik na plaży, wygrzewać się na słońcu i czekać, aż spraw; przycichnie.

Nic go nie powstrzymywało.

Wysiadła z samochodu, powiedziała cicho:

- Mój przyjaciel ma kłopoty.

- Nic mnie nie obchodzi twój przyjaciel. - Odwrócił się gwałtownie twarzą do niej. - Chodzi mi o mnie. I może o ciebie chociaż Bóg jeden wie czemu, bo odkąd zobaczyłem, jak wchodziśz po schodach do mieszkania, kręcąc tyłkiem, nie przyniosłaś mi nic prócz zmartwień.

- Pójdę z tobą do łóżka, jeśli...

Przerwał jej w pół słowa.

- Co takiego?!

Wyprostowała ramiona.

- Pójdę z tobą do łóżka. Zrobię, co tylko zechcesz, jeśli mi pomożesz.

Patrzył na nią, na to, w jaki sposób światło księżyca opromienia jej włosy, na to, jak wciąż lśnią jej oczy. I pragnął jej z całych sił bez względu na wszystko.

Ale nie w ramach handlu wymiennego.

- Och, to miłe. - Jego głos był zaprawiony goryczą. - To wspaniałe. Nawet nie muszę przywiązywać cię do tych przekle-

tych torów. - Zbliżył się o krok, złapał ją za ramiona i potrząsnął. - Za kogo, do diabła, mnie bierzesz?

- Nie wiem.

- Nie wykorzystuję kobiet - rzucił przez zęby. - Kiedy idę z którąś do łóżka, obie strony muszą mieć na to ochotę. Dziękuję za ofertę, ale nie jestem zainteresowany tym najwyższym poświęceniem.

Puścił ją i ruszył do samochodu. Wściekłość sprawiła, że się odwrócił.

- Myślisz, że twój przyjaciel doceniłby ten gest, gdyby się dowiedział, że spałaś ze mną, żeby mu pomóc?

Wzięła głęboki oddech, by się uspokoić. Swoją reakcją bardziej zdobył jej zaufanie niż jakąś obietnicą czy przysięgą.

- Nie. Choć to by mnie nie powstrzymało.

Zbliżyła się do niego, zatrzymując się, gdy byli na odległość ramienia.

- Mój przyjaciel nazywa się Bailey James. Ona jest gemmologiem.

To nazwisko figurowało w sfałszowanych dokumentach. Ale dla niego najistotniejszą częścią informacji było jedno małe słówko.

- Ona?

- Tak, ona. Studiowałyśmy razem w college'u, mieszkałyśmy razem. Jeden z powodów, dla których osiadłam w Waszyngtonie, to Bailey i Grace, nasza trzecia współlokatorka. To moje najbliższe przyjaciółki. Martwię się o nie i potrzebuję twojej pomocy.

- Bailey przysłała ci ten kamień?

- Tak, a nie zrobiłaby tego bez uzasadnionego powodu. Myślę, że trzeci posłała Grace. Tak właśnie postąpiłaby Bailey. Sporządza ekspertyzy dla Smithsonian Institute.

Nagle zmęczona MJ poczuła piasek w oczach.

- Nie widziałam jej od środy wieczorem. Miałyśmy dziś wybrać się do pubu. Położyłam jej pod drzwi kartkę, żeby ustalić godzinę. Ja przeważnie pracuję wieczorami, ona w dzień, więc chociaż mieszkamy naprzeciwko siebie, porozumiewamy się za pomocą karteczek wsuwanych pod drzwi. A ostatnio, odkąd poproszono ją o konsultację w sprawie Trzech Gwiazd, stale i pracowała po godzinach. Nie niepokoiłam się, kiedy nie widziałam jej przez parę dni.

- A w piątek dostałaś przesyłkę.

- Tak. Od razu zadzwoniłam do niej do pracy, ale włączyła się automatyczna sekretarka. Firma jest zamknięta do wtorku. Zapomniałam, że Bailey mówiła mi o tym, że prawdopodobnie będzieTM cały czas pracować. Poszłam tam, wszystko było pozamykane. Zadzwoniłam do Grace, odezwała się automatyczna sekretarka. Od tego czasu zaczęłam się niepokoić o obie. W końcu doszłam do wniosku, że Bailey ma swoje powody i wyjaśni mi je w odpowiednim czasie. Więc poszłam do pracy. Po prostu poszłam do pracy.

- Wyrzucanie sobie tego nic nie da. Nie miałaś wielkiego wyboru.

- Dysponuję kluczem do jej mieszkania. Mogłam tam zajrzeć. Mamy taką umowę o prywatności, dlatego wsuwamy kartki pod , drzwi. Nie użyłam klucza z przyzwyczajenia. Jednak teraz, kiedy i zadzwoniłam sprzed baru, nie odebrała telefonu, choć była druga w nocy. Bailey jest taka akuraterna, nie ma zwyczaju włączyć się po nocy, mimo to nie odebrała telefonu. Boję się... To, co zrobili temu mężczyźnie... Boję się o nią.

Położył jej dłonie na ramionach, tym razem delikatnie.

- Można zrobić tylko jedno. - Ponieważ pomyślał, że ona tego potrzebuje, pocałował ją w skroń. - Sprawdźmy to.

Wypuściła powietrze z drżącym westchnieniem.

- Dzięki.
- Ale tym razem musisz mi zaufać.
- Tym razem to zrobię.

Otworzył drzwiczki, poczekał, aż wsiądzie.

- A ten drugi przyjaciel, o którym mówiłaś wcześniej? Ten męczycyna?

Odgarnęła włosy do tyłu, uniosła głowę.

- Nie ma nikogo.

Pochylił się i przywarł do jej ust w długim, namiętym pocałunku.

- Ale będzie.

Zaryzykował, wrócił na Union Station. Będą szukali jego samochodu, to prawda, ale zakładał, że brudnoszary oldsmobile z pokiereszowanym winylowym dachem wtopi się w tło.

A poza tym zamierzał się pospieszyć.

Pomyślał, że w środku nocy dworce autobusowe i kolejowe są do siebie bardzo podobne. Nie wszyscy ludzie skuleni na krzesłach czy wyciągnięci na kocach czekali na odjazd. Niektórzy nie mieli po prostu dokąd iść.

- Nie zatrzymuj się - powiedział do MJ - i miej oczy otwarte. Nie chcę, żeby mnie tu dopadli.

Dopasowując krok do jego kroku, zastanawiała się, dlaczego takie miejsca rankiem mają zapach rozpachy. Nie pozostało nic z podniecenia, krzątania, oczekiwania wyjazdów i przyjazdów tak typowego dla dnia. Ci, którzy podróżowali nocą albo szukali suchego kąta do spania, zwykle nie tryskali entuzjazmem.

- Powiedziałaś, że sprawdzimy mieszkanie Bailey.
- Jak tylko załatwię to. - Poszedł prosto do skrytek, obrzucił je

szybkim spojrzeniem. - Czasami po prostu ma się szczęście - mruknął i, znalazłszy odpowiedni numer, wsunął klucz do zamka.

MJ pochyliła się nad jego ramieniem.

- Co jest w środku?

- Jak przestaniesz dyszeć mi w kark, zobaczę. Kopie twoje go nakazu - powiedział, podając go jej. - Na pamiętkę.

- O kurczę, dzięki. Miło będzie powspominać sobie naszą małą letnią przejażdżkę. - Zerknąwszy na nie szybko, wrzuciła papiery do torby. Jej zainteresowanie wzrosło, kiedy Jack wyciągnął mały notes oprawny w czarną imitację skóry. - To wygląda bardziej obiecująco.

- Ciekawe, gdzie trzymał pieniądze na bieżące wydatki zastanawiał się Jack, kiedy obmacał skrytkę po raz ostatni, głębo rozczarowany tym, że nie znalazł żadnej gotówki. - Powinien trochę mieć tutaj pod ręką na wypadek, gdyby chciał szybko złapać pociąg.

- Może już je wyjął.

Otworzył usta, chcąc zaprzeczyć, ale zrezygnował.

- Tak, masz rację. Możliwe, że chciał je mieć przy sobie na wypadek, gdyby musiał się szybko zwinąć. - Ze ściągniętymi brwiami przekartkował notes. - Nazwiska, numery.

- Adresy? Telefony? - spytała, wykręcając szyję, żeby ci zobaczyć.

- Nie. Liczby, daty. Łapówki - uznał. - Wygląda na to, że" Ralph na boku zajmował się szantażem.

- Sól ziemi, twój przyjaciel Ralph.

- Były przyjaciel - podkreślił Jack automatycznie, zanim uświadomił sobie, że to tak dosłowna prawda. - Bardzo były - mruknął. - Gdyby to wyszło na jaw, straciłby więcej niż interes. Trafiliby na długo za kratki.

- Myślisz, że ktoś postanowił szantażować szantażystę?
- To się zdarza. I nie każdemu chodzi o pieniądze. - Pokiwał głową. - Sądząc z tych liczb, uboczna działalność dawała mu więcej niż przyzwoity dochód. Czasami zależy im na krwi.
- Co to nam daje? - spytała MJ.
- Niezbyt wiele. - Wcisnął notes do tylnej kieszeni spodni, znów rozejrzał się po dworcu. - Ktoś, kogo Ralph naciskał, zrewanżował mu się. Albo, co bardziej prawdopodobne, ktoś, kto wiedział o tym małym, niezupełnie legalnym interesie Ralphi, przechowywał w pamięci tę informację, aż okazała się użyteczna.
- A potem go zabił - dodała MJ. - Nie jest to związane tylko z tym małym notesem czy z Ralphem. Z pewnością chodzi o kamienie. Muszę odnaleźć Bailey.
- Następny przystanek - obiecał i wziął jej dłoń w swoją.

ROZDZIAŁ 6

M J była świadoma ryzyka, toteż przyrzekła sobie, że nie będzie protestować, bez względu na to, jakie byłyby polecenia Jacka. Nie będzie zadawać żadnych pytań. W końcu to on był; fachowcem od takich spraw, a ona potrzebowała profesjonalisty.;

Nie wytrzymała nawet trzydziestu minut.

- Dlaczego wciąż jeździmy w kółko? - spytała. - Powinieneś skrócić w lewo za rogiem, który właśnie minęliśmy. Zapomniałeś, jak tam dojechać?

- Nie, nie zapomniałem, jak tam dojechać. Nie zapominam jak dojechać dokądkolwiek.

Westchnęła.

- Cóż, skoro uważasz, że masz mapę w głowie, muszę powiedzieć, że właśnie skróciłeś w złą stronę.

- Zapewniam cię, że nie.

Ach, ci mężczyźni, pomyślała, parszkając z rozdrażnieniem.

- Wiem, co mówię. Przecież tu mieszkam. Mój dom jest trzy przecznice stąd.

Powiedział sobie, że musi być cierpliwy. Była pod wpływem silnego stresu, obydwójce mieli za sobą długi, ciężki dzień.

Skończyło się na dobrych intencjach.

- Wiem, gdzie mieszkasz - powiedział przez zęby. - Obserwowałem twoje mieszkanie przez dwie godziny, kiedy ty chodziłaś sobie po sklepach.

- Nie chodziłam po sklepach. Robiłam zakupy, a to coś zupełnie innego. A ty jeszcze nie odpowiedziałeś na moje bardzo proste pytanie.

- Mogłabyś się przymknąć?

- Zawsze jesteś taki nieuprzejmy?

Zahamował na światłach, zabębnił palcami o kierownicę.

- Chcesz wiedzieć, dlaczego jeżdżę w kółko. Powiem ci, dlaczego jeżdżę w kółko. Ponieważ szukają nas dwaj uzbrojeni faceci w furgonetce, którzy znają mój samochód, a jeśli tak się składa, że są gdzieś w okolicy, wolałbym zobaczyć ich pierwszy. Z tej prostej przyczyny, że nie mam ochoty zginać od kuli dzisiejszej nocy. Czy to wystarczająco jasne?

Złożyła ramiona na piersi.

- Dlaczego nie powiedziałeś tego od razu?

Wymamrotał coś pod nosem i skręcił ponownie. Jechał po wolutku do połowy przecznicy, po czym zatrzymał się przy krawężniku i zgasił silnik.

- Dlaczego się zatrzymałeś? Mamy jeszcze dwie przecznice. Słuchaj, jeśli masz niski poziom testosteronu i zgubiłeś drogę, nie wykorzystam tego przeciwko tobie. Mogę...

- Nie zgubiłem drogi. - Wsunął obie dłonie we włosy. Miał ochotę je wyrwać. - Nigdy nie gubię drogi. Wiem, co robię.

- Wyciągnął rękę i szarpnięciem otworzył schowek na rękawiczki.

- No to dlaczego...

- Pójdziemy pieszo. - Wyjął ze schowka latarkę wielkości długopisu i trzydziestkę ósemkę. Upewnił się, że MJ wi-

dzi broń, i bez pośpiechu sprawdził magazynek. Nawet niej mrugnęła.

- To nie ma sensu. Jeśli musimy...

- Zrobimy to na mój sposób.

- Och, wielka niespodzianka. Po prostu pytam...

- Jestem zmęczony odpowiadaniem na twoje pytania, naprawdę zmęczony. - Westchnął. - Przetniemy tę ulicę, potem przejdziemy między tamtymi dwoma podwórkami, za budynek na następnej parceli, a później na tyły twego domu. Pójdziemy pieszo, ponieważ tym sposobem nie będziemy się tak bardzo rzucać w oczy, a twój dom może być obserwowany.

Przemyślała jego słowa, rozważyła ze wszystkich stron, po czym skinęła głową.

- Cóż, to ma sens.

- Wielkie dzięki. - Złapał torbę i, nie zważając na gwałtowny protest MJ, wyjął gotówkę z portfela.

- Co ty, u diabła, wyprawiasz? To moje pieniądze. - Wyrwała mu portfel, który Jack zdążył już opróżnić, po czym zaniemowała na chwilę, widząc, że wepchnął banknoty do kieszeni, wyłuskał z torby diament i wcisnął go w ślad za banknotami. - Oddaj mi to. Oszalałeś?

Rzuciła się na niego jak tygrysyca. Jack po prostu pchnął ją z powrotem na siedzenie, przytrzymał i, ryzykując ponowne ugryzienie, przywarł wargami do jej ust. Próbowwała się wyrwać, wyrzucała z siebie jakieś niewyraźne słowa, zapewne przekleństwa, uderzyła go pięścią w żebra. A potem zdecydowała się na współpracę.

Tej współpracy, żarliwej, zachłannej, o wiele trudniej było się oprzeć niż protestom. Przez chwilę zapomniał o całym świecie. Dał się ponieść fali.

Było tak jak za pierwszym razem. Pałaca żąda. W głowie tłukła mu się myśl, że czekał całe życie na to, by przycisnąć wargi do jej ust. To moja kobieta.

Pięść, którą go uderzyła, rozwarła się, a palce wślizgnęły się na jego plecy i zacisnęły władczo na ramieniu. Jest mój, pomyślała.

Kiedy się od niej oderwał, wpatrywali się w siebie w mroku, dwoje niezależnych władczych ludzi o silnej woli, którzy właśnie poddali się namiętności, która ich popychała ku sobie.

- Dlaczego to zrobiłeś? - wykrztusiła wreszcie.

- Głównie po to, żebyś przestała mówić. - Dłoń prześliznęła się po jej ramieniu, zawędrowała we włosy. - Ale to się zmieniło.

Bardzo powoli przytaknęła.

- Tak, to prawda.

Zaprzagnął pociągnąć ją na tylne siedzenie samochodu i zabrać się w parę nastolatków. Na myśl o tym omal się nie uśmiechnął.

- Nie mogę teraz o tym myśleć.

- Nie, ja też nie.

Dłoń w jej włosach poruszyła się i po chwili w zadziwiająco delikatnym geście ujęła jej dłoń. Splątali palce.

- Później o tym pomyślimy. I nie tylko.

- Tak. - Lekko wygięła wargi. - Myślę, że tak.

- Chodźmy. Nie, nie bierz torby. - Kiedy chciała zaprotestować, po prostu wyrwał jej ją, rzucił na tylne siedzenie. - MJ, to waży chyba z tonę. Może będziemy musieli poruszać się szybko. Biorę pieniądze i kamień na wypadek, gdyby oni namierzili samochód albo gdybyśmy my nie mogli do niego wrócić.

- Zgoda. - Wsiadła i czekała na niego na chodniku. Zerk-

nęła na rewolwer, który wsunął do kabury, umocowanej pod pachą. - Wiem, że to ryzykowne, ale muszę to zrobić, Jack.

Znów ujął ją za rękę.

- No to do roboty.

Poszli trasą, którą zaplanował, prześlizgnęli się między podwórkami, minęli szczekającego za nimi bez przekonania psa. Na niebie pojawił się księżyc. Srebrzysta tarcza oświetlała zarówno ich obydwoje, jak i ich drogę.

Przez chwilę żałował, że MJ nie zmieniła białego podkoszulka na coś innego. Świecił w ciemnościach jak latarnia morska. Ale szła dobrze, miarowymi długimi krokami. Już zdążył się przekonać, że gdyby było trzeba, potrafiłaby biec. To musiało wystarczyć.

- Masz robić to, co ci powiem - zaczął przyciszonym głosem, badając tyły budynku. - Wiem, że to wbrew twojej naturze ale musisz pokonać swoje opory. Jeśli ci powiem, że masz iść, po prostu idź. Jeśli powiem, że masz biec, biegnij. Żadnych pytań. Żadnych sporów.

- Nie jestem głupia. Chcę tylko znać powody.

- Tym razem rób tylko to, co ci powiem, a o powodach porozmawiamy później.

Z trudem dotrzymywała mu kroku.

- Jej samochód jest tutaj - szepnęła. - Ten mały biały.

- To dobrze, w takim razie może jest w domu. - Albo, pomyślał, nie była w stanie prowadzić. Uznał jednak, że lepiej nie dzielić się tymi obawami z MJ. - Wejdziemy z boku drzwiami pożarowymi i przedostaniemy się na schody. Żadnego hałasu, żadnych rozmów.

- W porządku.

MJ już utkwiała oczy w oknach Bailey. W mieszkaniu pa-

nowały ciemności, zasłony były zaciągnięte, a przecież Bailey na ogół zostawiała zasłony odsłonięte, uprzytomniła sobie MJ. Przyjaciółka lubiła wyglądać przez okno i rzadko je zasłaniała.

Wślizgnęli się do budynku jak cienie i - Jack o pół kroku przed MJ - podeszli cicho do schodów. Słabe światło awaryjne rozjaśniało hol i schody. Jack, cały czas trzymając się w cieniu, zerknął przez frontowe drzwi na zewnątrz. Jeśli ktoś obserwuje dom, pomyślał, zaraz, gdy tylko wejdą w krąg światła, może ich wykryć.

Musieli jednak podjąć to ryzyko.

Gdy wspinali się po schodach, łowił uchem każdy odgłos, rejestrował każdy ruch. Było tak późno, że właściwie można było powiedzieć, iż jest wcześnie. Budynek spał. Zza mijanych na pierwszym piętrze drzwi nie dobiegał nawet szmer włączonych telewizorów.

Kiedy weszli na drugie piętro, MJ po raz pierwszy wydała dźwięk, który natychmiast zdusiła: szybko wciągnęła powietrze w płuca. Drzwi do jej mieszkania były oklejone taśmą policyjną.

- Ta twoja sąsiadka w klapkach z puszką wezwała gliny - szepnął Jack. - Założę się, że ciebie też szukają. - Wyciągnął rękę. - Klucz?

Odwróciła się i, nie odrywając oczu od drzwi do mieszkania Bailey, sięgnęła do kieszeni i podała mu klucz. Nakazał gestem, aby cofnęła się w kierunku schodów, co dawało jej możliwość ucieczki, wyjął z kabury rewolwer, po czym otworzył drzwi.

Zachowując absolutną ciszę, włączył latarkę i uważnie przyjrzał się pierwszemu pomieszczeniu. Nie zauważył żadnego ruchu. Powstrzymawszy MJ gestem dłoni, wszedł do środka. To,

co już zobaczył, upewniło go, że w mieszkaniu nikogo nie ma, ale chciał sprawdzić sypialnię i kuchnię, zanim wpuści MJ.

Zdażył przejść zaledwie parę kroków, kiedy usłyszał jej ciężki oddech. Odwrócił się powoli.

- Nie ruszaj się - polecił. - Stój spokojnie.

- O Boże. Bailey. - Pognała jak strzała do sypialni, przeskakując poszarpane poduszki i poprzewracane krzesła.

Dopadł drzwi na krok przed nią, odsunął ją brutalnie z drogi.

- Opanuj się, do diabła - syknął, po czym zajrzał do sypialni. - Nie ma jej tu - powiedział po chwili. - Zamknij drzwi do mieszkania, na klucz.

Wycofała się na drżących nogach, idąc wężykiem przez zniszczony salon. Zamknęła drzwi i oparła się o nie plecami.

- Co oni jej zrobili, Jack? Och, Boże, co oni jej zrobili?

- Usiądź i pozwól mi się rozejrzeć.

Zacisnęła mocno powieki, usiłując się opanować. Pamięć podsunęła jej obrazy z przeszłości - ona i Grace siedzące w ciemni, podczas gdy rozradowana Bailey szuka kamieni; wszystkie trzy, chichoczące jak wariatki, późnym wieczorem nad dzbankiem wina; Bailey, z falą blond włosów opadającą na twarz, trzeźwo przyglądająca się parze włoskich pantofli na wystawie jakiegoś sklepu.

- Pomogę ci. Potrafię to zrobić.

Tak, pomyślał, patrząc, w jaki sposób prostuje plecy, ramiona, prawdopodobnie tak jest.

- Dobrze, musisz robić to po cichu i tak szybko, jak tylko zdołasz. Nie możemy ryzykować zapalenia światła, nie mamy też za wiele czasu.

Omiótł pokój światłem miniaturowej latarki. Zawartość szuflad i szaf była poprzewracana i porozrzucana. Z kilku łatwo

tłukących się rzeczy zostały skorupy. Poduszki, materac, nawet oparcia krzeseł pocięto tak, że materiał, którym były wypchane, wysypywał się w lawinie zniszczenia.

- W tym bałaganie nie będziesz w stanie stwierdzić, czy czegoś brakuje. - Rozejrzał się wokół i uznał, że mieszkająca tu kobieta rzeczywiście musi przepadać za bibelotami. - Ale jedno mogę powiedzieć. Nie sądzę, żeby twoja przyjaciółka była w mieszkaniu, kiedy to się stało.

MJ przycisnęła dłoń do serca, zupełnie jakby chciała podtrzymać nadzieję.

- Dlaczego tak uważasz?

- Nie ma śladów walki. To była rewizja - szybka, bałaganiarska i cicha. Nietrudno się domyślić, czego szukali. Czy to znaleźli, czy nie...

- Miałyby go ze sobą - wtrąciła szybko MJ. - Z jej liściku jasno wynikało, że nie powinnam rozstawać się z kamieniem. Ona zrobiłaby tak samo.

- Jeśli to prawda, możemy z dużym prawdopodobieństwem założyć, że wciąż go ma. Nie było jej tu - powtórzył, przesuwając promień światła po pokoju dziennym. - Nie stoczyła tu waliki, nie została zraniona. Nie ma krwi.

- Nie ma krwi. - MJ przycisnęła dłoń do ust, chcąc stłumić cichy szloch ulgi. - W porządku. Nic jej nie jest. Ukryła się, tak samo jak my.

- Jeśli jest tak bystra, jak mówisz, właśnie to powinna zrobić.

- Jest wystarczająco bystra na to, żeby uciekać, kiedy trzeba uciekać. - Obejrzała uważnie przewrócony do góry nogami pokój. - Nie wzięła samochodu, więc podróżuje pieszo albo korzysta z komunikacji publicznej. - MJ zamarła na samą myśl

o tym. - Ona nie zna ulic, Jack. Nie wie, jak się należy zachować. Bailey jest inteligentna, ale naiwna. Łatwo nabiera zaufania do ludzi, zawsze stara się dostrzegać w nich tylko to, co najlepsze. Jest słodka - dodała MJ i przeszły ją ciarki.

- Musiała się przecież czegoś nauczyć od ciebie - zauważył Jack, zadowolony, że wreszcie zdołała się uśmiechnąć. - Rzućmy okiem na to wszystko, zobaczymy, może coś się okaże. Sprawdź jej rzeczy, pewnie byłabyś w stanie zorientować się, czy zabrała coś ze sobą.

- Ma specjalną kosmetyczkę podróżną, zawsze w pogotowiu. Nigdy nie wyrusza w drogę bez niej. - Zaabsorbowana tym prostym spostrzeżeniem MJ ruszyła do łazienki zajrzeć do wąskiej szafy na bieliznę pościelową.

Nawet stamtąd rzeczy zostały wyciągnięte, półki wyszarpnięte, butelki otwarte i opróżnione. Ale znalazła samą kosmetyczkę, otwartą i pustą. Na podłodze rozpoznała część jej zawartości: podróżną szczoteczkę do zębów, składaną szczotkę do włosów, jednorazowe szampony i mydełko.

- Kosmetyczka jest na miejscu. - Weszła do sypialni, gdzie zrobiła co mogła, przeglądając rzeczy przyjaciółki. - Nie wydaje mi się, żeby coś zabrała. Brakuje kostiumu. Jest nowy, więc go zapamiętałam. Elegancki kostium z błękitnego jedwabiu. Może ma go na sobie. Co do butów i torebki, nie mam pojęcia. Kolekcjonuje je jak inni znaczki.

- Gdzie trzyma towar?

Oburzona, uniosła gwałtownie głowę.

- Bailey nie bierze narkotyków.

- Nie chodzi o narkotyki. - Bądź cierpliwy, powiedział sobie i wzniosł oczy do sufitu. - Niezłą masz o mnie opinię, kotku. Pieniądze, gotówka.

- Och. - Wyprostowała się. - Przepraszam. Tak, trzyma w domu trochę gotówki. - Nie za bardzo jej się to podobało, ale zaprowadziła go do kuchni. - O rany, ale będzie wściekła, jak to zobaczy. Naprawdę lubi porządek. Można powiedzieć, że ma obsesję na tym punkcie. Szczególnie jeśli chodzi o kuchnię. - Przesunęła nogą parę puszek, utyłanych w mące, cukrze i kawie, które wysypano z pojemników. - Mówię ci, nie znalazłbyś ani okruszka w jej tosterze.

- Powiedziałbym, że mamy większe problemy niż gospodarstwo domowe.

- Tak. - Schyliła się, wyciągnęła puszkę zupy. - To taka puszka na niby - wyjaśniła i odkręciła wieczko. - Nie wzięła ze sobą pieniędzy na czarną godzinę - zauważyła z widoczną ulgą. - Prawdopodobnie nie wróciła do mieszkania od... Hej! - Wy-rwała mu puszkę, ale on już zdążył wyjąć z niej gotówkę. - W tej chwili odłóż to na miejsce.

- Posłuchaj, nie możemy zaryzykować używania kart płatni-czych, więc potrzebujemy pieniędzy. W gotówce. - Wcisnął przyjemnie gruby zwitek do kieszeni. - Oddasz jej później.

- Ja? To ty je wzięłeś.

- Szczegóły - mruknął, biorąc ją za rękę. - Chodźmy już. Niczego tu nie znajdziemy. Tylko wyzywamy los.

- Mogłabym zostawić jej kartkę na wypadek, gdyby wróciła. Przestań mnie szarpać.

- Nie tylko ona może wrócić. - Pociągnął ją do wyjścia i holował, póki nie znaleźli się na schodach.

- Muszę się dowiedzieć, co z Grace.

- Jedna przyjaciółka za jednym podejściem, MJ. Chwilowo zajmujemy się czymś innym.

- Mogłabym do niej zadzwonić z mojego telefonu albo

z twojego komórkowego. Jack, jeśli Bailey i ja w tym tkwimy, to Grace też.

- Wszystko robicie razem?

- I co z tego? - Pośpieszyła wraz z nim do bocznych drzwi, popędzana nowym zmartwieniem. - Muszę się z nią skontaktować. Grace mieszka nad Potomakiem. Nie sądzę, że jest tam teraz. Pewnie zaszyła się w swoim domku na wsi, ale...

- Bądź cicho. - Otworzył drzwi, obrzucił wzrokiem spokojny parking, pogrążone we śnie otoczenie domu. Do tej pory wszystko szło jak po maśle. Brak kłopotów zawsze wzbudzała w nim niepokój. - Siedz cicho, dopóki się stąd nie wyniesiemy dobrze? Boże, ale masz gadane.

Mamrotała coś pod nosem, kiedy pociągnął ją na dwór i zaczął biec.

- Nie rozumiem, o co ci chodzi. Ktokolwiek szukał Bailey i brylantu, przyszedł i poszedł.

- Co nie znaczy, że nie wróci. - Zauważył odbicie światła księżycowego od chromowanej karoserii furgonetki, która właśnie podjeżdżała z piskiem opon pod dom. - Czasami wolałbym nie mieć racji. Biegnij! - rozkazał, popychając ją przed siebie.

Obrócił się wokół własnej osi, chcąc osłonić plecy MJ, i pomodlił się w duchu, by ich nie zauważono. Uznał, że najwidoczniej Bóg jest zajęty czymś innym, bo drzwi furgonetki gwałtownie się otworzyły. Wystrzelił w jej kierunku, po czym odwrócił się i pognał za MJ.

Miał nadzieję, że pojedynczy strzał da napastnikom do myślenia.

- Powiedziałem, biegnij! - krzyknął, kiedy wpadł na nią i omal nie przewrócił jej na ziemię.

- Usłyszałam strzał. Myślałam...

- Nie myśl. Biegnij! - Złapał ją za rękę, żeby mieć pewność, że tak będzie. Jak to dobrze, że nie miała problemu z dotrzymaniem mu kroku.

Przedarli się między podwórkami. Tym razem pies bardziej się nimi zainteresował. Głośne szczekanie niesło się po okolicy. Księżyc wskazywał im drogę. Choć Jack nie słyszał żadnych kroków dudniących w pościgu, nie zwolnił biegu, gdy przemysłali wzdłuż boku budynku i skręcili za róg.

Uważnie przebiegł wzrokiem ulicę, po czym znów zaczął biec.

- Do środka - rzucił i podbiegł do samochodu od strony kierowcy.

Nie musiał się martwić o to, czy polecenie zostanie wykonane. MJ błyskawicznym szarpnięciem otworzyła drzwiczki i zanurkowała na siedzenie.

- Nie pobiegli za nami - dyszała. - To niedobrze. Powinni za nami pobiec.

- Uważaj. - Przekręcił kluczyk w stacyjce, nacisnął sprzęgło i oderwał się gwałtownie od krawężnika właśnie gdy zza rogu wynurzyła się furgonetka. - Złap się czegoś.

Choć nie wierzyłyby, że to możliwe, błyskawicznie wykonał tym dużym samochodem manewr w kształcie litery U, wjeżdżając przy tym dwoma kołami na przeciwległy krawężnik. Zderzakiem zaczepił lekko błotnik sedana i już grzał dziewięćdziesiątką spokojną podmiejską ulicą.

Kiedy wpadł w pierwszą przecznicę, furgonetka była trzy długości za nimi.

- Umiesz strzelać?

MJ wzięła broń z siedzenia.

- Jasne.

- Miejmy nadzieję, że nie będziesz musiała. Zapnij pas, jeśli zdołasz to zrobić - zasugerował, skręcając gwałtownie w kolejną przecznicę. MJ uderzyła łokciem o deskę rozdzielczą. I nie kieruj tego w moją stronę.

- Wiem, jak się obchodzić z bronią. - Zaciśnęła zęby, zebrła się w sobie i wyrzała przez tylne okno. - Po prostu jedź. On są coraz bliżej.

Jack zerknął w lusterko wsteczne, zmierzył wzrokiem dystans dzielący ich od zbliżających się świateł samochodu.

- Nie tym razem - zapewnił.

Prześlizgiwał się po ulicach jak wąż, naciskając hamulec doduszając gaz, manipulując kierownicą tak, że opony aż piszczały. Ta próba sił, szybkość, szaleństwo sprawiły, że radośni się uśmiechnął.

- Lubię robić to przy muzyce - powiedział i rozkręcił radio na cały regulator.

- Jesteś szalony - rzuciła, ale złapała się na tym, że sama idiotycznie śmieje się do niego. - Oni chcą nas zabić.

- A skazani na męki piekielne chcą śniegu. - Wjechał na czteropasmówkę i dodał gazu do stu dwudziestu. - Ta gabłota może na to nie wygląda, ale potrafi się ruszać.

- Furgonetka też. Nie robisz na nich wrażenia.

- Jeszcze nie zacząłem. - Zerknął szybko na lewo, na prawo, po czym przejechał na czerwonych światłach. Ruch był nieduży, nawet kiedy zbliżyli się do centrum. - To cały kłopot z Waszyngtonem - skomentował. - Żadnego nocnego życia. Sami politycy i ambasadorzy.

- Za to ma styl.

- Tak, rzeczywiście. - Pokonał zakręt pięćdziesiątką i zaczął kluczyć labiryntem wąskich tylnych uliczek i rond. Usły-

szął świst metalu o metal, gdy kula trafiła w tylny zderzak samochodu.

- Teraz zaczynają się robić nieprzyjemni.
- Zdaje się, że próbują przestrzelić opony.
- A tak niedawno je zmieniałem.

Stare czy nowe, pomyślała MJ, jeśli kula trafi w gumę, gra dobiegnie końca. Wzięła głęboki oddech, po czym wychyliła się z okna aż do pasa i strzeliła.

- Oszalałaś? - Serce skoczyło mu do gardła. O mało nie uderzył w latarnię. - Schowaj głowę do środka, zanim ci ją odstrzelą.

Z ponurą miną, zbyt zaperzona, by się bać, strzeliła ponownie.

- Nie daruję im tego. - Za trzecim razem trafiła w światło. Brzęk tłuczonego szkła zabrzmiał w jej uszach jak muzyka. Nie miało właściwie znaczenia, że celowała w przednią szybę. - Trafiłam ich.

Z bezwiednym warknięciem Jack złapał ją za pasek dżinsów i wciągnął do środka. Po raz pierwszy w życiu ręce mu drżały na kierownicy własnego samochodu.

- Co ty sobie wyobrażasz, że kim jesteś, Bonnie Parker?
- Wycofali się.
- Nie. Ja im uciekłam. Pozwól mi się tym zająć, dobrze?

Znów wykręcił na czteropasmówkę, przejechał przez strefę rozdzielającą pasma, uderzając przy tym kilkakrotnie o barierkę. Iskry poleciały jak gwiazdy, kiedy stal otarła się o beton. Z godną podziwu zręcznością wprowadził samochód w szeroki łuk i skierował się na północ.

- Wciąż próbują. - MJ wykręciła się na siedzeniu, znów wychyliła głowę przez okienko, choć Jack nie przestawał kłąć. - Nie sądę, żeby zrezygnowali. - Aż gwizdnęła, słysząc dźwięk skrzypiącego metalu. - Wracają, kierują się na południe.

- Widzę. Nie potrzebuję cholernego komentarza. Wracaj tu. Tym razem zapnij pas.

Wjechał sześćdziesiątką na obwodnicę Waszyngtonu. Wzdług jego obliczeń zyskali na tyle dużo czasu, że mogło im się udać. Przyspieszył jeszcze na pierwszym zjeździe i wjechał do Marylandu.

- Zgubiłeś ich. - Przysunęła się i pocałowała go entuzjastycznie w policzek. - Dobry jesteś, Dakota.

- Cholerna racja. - Kiedy tylko uznał, że może sobie na to pozwolić, zjechał na pobocze, chwycił ją za ramiona i potrząsnął tak, że dzwoniły jej zęby. Uśmiech zniknął z jej twarzy. - Nigdy więcej nie waż się robić czegoś tak głupiego. Masz szczęście, że nie wypadłaś lub że nie odstrzelili ci głowy.

- Zamknij się, Jack. - Jej ręka już zwijała się w pięść. - Nie żartuję. - Ale zrobiła się całkiem bezsilna, kiedy przyciągnął ją do siebie i przytrzymał. Twarz ukrył w jej włosach, serce waliło mu jak młotem. - No. - Zbita z tropu, poruszona, poklepała go po plecach. - Ja tylko chciałam pomóc.

- Nie rób tego nigdy więcej. - Przycisnął usta do jej warg w desperackim pocałunku. - Po prostu nie. - I tak gwałtownie, jak ją pochwyił, teraz ją odepchnął. - Zdenerwowałeś mnie - mruknął, wściekły, że tak uległ emocjom. - Po prostu się zamknij. - Kiedy otworzyła usta w proteście, odwrócił gwałtownie głowę. - Po prostu się zamknij. Nie chcę o tym rozmawiać.

- W porządku.

Czuła nerwowe skurcze żołądka. Zupełnie jakby od tego zależały losy świata, starannie zapięła pas bezpieczeństwa, kiedy znów wyjechali na drogę.

- Naprawdę chciałabym zadzwonić do Grace. To przecież moja przyjaciółka.

Zacisnął ręce na kierownicy, ale głos miał spokojny.

- Nie możemy teraz sobie na to pozwolić. Nie mamy pojęcia, jaki sprzęt zainstalowali w tej furgonetce, a wciąż są zbyt blisko. Jutro zobaczymy, co się da zrobić.

Wiedząc, że będzie musiała się tym zadowolić, potarła drżące dłonie o kolana.

- Jack, wiem, że ryzykowałeś, jadąc do mieszkania Bailey, by mnie uspokoić. Doceniam to.

- To należy do umowy.

- Naprawdę?

Zerknął na nią spod oka i napotkał jej wzrok.

- Do diabła, przestań. Powiedziałem, że nie chcę o tym rozmawiać.

- Nie mówię o tym. - Nie była pewna, czy wie, co zrobić z tymi zaskakującymi uczuciami, które się w niej kłębiły. - Próbowалам ci podziękować.

- Proszę bardzo. Słuchaj, wracamy do motelu. Jesteś bardziej głodna czy zmęczona?

To przynajmniej nie wymagało myślenia.

- Głodna.

- To dobrze. Ja też.

Swoją drogą miała sporo do przemyślenia. Jej przyjaciółka zniknęła, ona była w posiadaniu bezcennego błękitnego brylantu spoczywającego teraz w kieszeni Jacka - a tak niedawno ścigano ją, strzelano do niej i zakuto w kajdanki.

Nie dość tego, bardzo się obawiała, że zakochuje się w pewnym buńczucznym łowcy nagród o stalowym spojrzeniu, który prowadzi samochód jak szalenię, a całuje jak marzenie.

Gorące, parne marzenie.

W dodatku właściwie znała tylko jego nazwisko.

To wszystko nie miało najmniejszego sensu. Chociaż lubiła brawurę, to nie w sprawach sercowych. W tej kwestii bardzo się pilnowała i przerażała ją utrata kontroli nad sobą z powodu mężczyzny, z którym dosłownie zderzyła się zaledwie wczoraj.

Nie należała do naiwnych romantyczek czy kapryśnych kobieciatek. Ale była uczciwa. Na tyle uczciwa, by przyznać, że jakiegokolwiek niebezpieczeństwo czekało ją na zewnątrz, ona znalazła się w obliczu niebezpieczeństwa równie wielkiego, równie rzeczywistego, które czaiło się w jej własnym sercu.

Trząsał się z wściekłości. Co za niekompetencja. Nie był w stanie pogodzić się z taką amatorszczyzną. To prawda, że musiał wynająć tych mężczyzn szybko, a ich rekomendacje pozostawiały wiele do życzenia, ale ta nieumiejętność przeprowadzenia jednego prostego zadania, unieszkodliwienia jednej kobiety była wprost oburzająca

.Nie wątpił, że sam zająłby się nią we właściwy sposób, gdyby tylko mógł zaryzykować.

Teraz, kiedy księżyc zaszedł i gwiazdy zbladły, stał na tarasie, kojąc duszę kieliszkiem wina.

W duchu przyznawał, że była to po części jego wina. Z pewnością powinien dokładniej przyrzeć się temu Jackowi Dakocie. Ale czas naglił, a poza tym założył, że głupi poręczyciel jest w stanie znaleźć kogoś na tyle kompetentnego, by ją dopadł, a jednocześnie na tyle mądrego, by ją przekazał w inne ręce.

Najwidoczniej Jack Dakota nie był mądry, tylko uparty. A kobieta miała niesamowicie dużo szczęścia. Cóż, podobno tak to bywa z Irlandczykami, ale fortuna kołem się toczy.

Już on tego dopilnuje.

Tak samo jak dopilnuje Bailey James. W końcu będzie mu-

siała wypłynąć na powierzchnię. Wówczas on będzie gotowy. A Grace Fontaine... Szkoda.

Cóż, znajdzie również trzeci kamień.

Będzie miał je wszystkie. A ci, którzy próbowali go powstrzymać, zapłacą za to wysoką cenę.

Zacisnął palce na kruchej nóżce kieliszka. Szkło zadzwoniło o marmur. Wino rozprysnęło się kroplami. Uśmiechnął się ponuro, patrząc, jak czerwony płyn wypełnia szczeliny posadzki.

Nie tylko wino się poleje, obiecał sobie.

I to wkrótce.

ROZDZIAŁ 7

Ulokowali się w niewielkim całonocnym barze niedaleko motelu. Najpierw poprosili o kawę, wystarczająco mocną, by postawiła ich na nogi. Podała ją kelnerka o zaspanych oczach, w bawełnianym cukierkoworóżowym kombinezonie i z plastikową plakietką z imieniem Midge na piersi.

MJ poruszyła się w swoim kącie, zaczepiając przy tym dżinsami o podarty skaj siedzenia, uważnie przeczytała menu wypisane ręcznie na kartce włożonej w przezroczystą folię, po czym oparła łokcie o porysowany, poplamiony kawą laminat, którym pokryty był stół.

Z szafy grającej dobiegała bardzo stara melodia country, a powietrze było przesycone gęstym odorem smażonego tłuszczu.

Estetyki tu nie serwowano, ale śniadania owszem. Dwadzieścia cztery godziny na dobę.

- To jest niemal zbyt doskonałe - zauważyła MJ po zamówieniu gigantycznego śniadania, na które składały się dwa naleśniki, jaja sadzone i plasterki bekonu. - Ona nawet wygląda jak Midge: pracowita, kompetentna i przyjacielska. Zawsze się zastanawiam, czy to ludzie dopasowują się do imion czy odwrotnie. Weźmy na przykład Bailey: zrównoważona, wiecznie po-

grażona w książkach, inteligentna. Albo Grace: elegancka, bardzo kobieca i hojna.

Jack przejechał dłonią po zarosniętym podbródku.

- A co się kryje za MJ?

- Nic.

Uniósł brwi.

- Niemożliwe. A więc: Mary Jo, Melissa Jane, a może Margaret Joan?

Upiła łyk kawy.

- To po prostu inicjały. Tak jest w dokumentach.

Wykrzywił usta.

- Spiję cię i wyciągnę to z ciebie.

- Daj spokój, Dakota. Pochodzę z rodziny irlandzkich właścicieli pubów. Upicie mnie przerasta twoje możliwości.

- Będziemy musieli to sprawdzić... może w twoim pubie. Ciemne drewno? - spytał z półuśmiechem. - Mnóstwo miedzi, irlandzka muzyka, zespół gra w weekendy?

- Tak. I żadnej paproci w zasięgu wzroku.

- To rozumiem. A skoro jesteś właścicielką, może postawisz pierwszą kolejkę, jak już będzie po wszystkim.

- Umowa stoi. - Znów wzięła do ręki kubek z kawą. - Świetnie, nie mogę się tego doczekać.

- Dlaczego, czy teraz nie bawimy się dobrze?

Odchyliła się do tyłu, kiedy kelnerka stawiała kopiaste talerze na stoliku.

- Dzięki.

A potem wzięła widelec i zabrała się do jedzenia.

- Były niezłe momenty - zauważyła. - Mogę zobaczyć notes Ralpha?

- Po co?

- Żeby ucieszyć wzrok jego elegancką plastikową okładką
- odparła zjadliwie.

- Jasne, czemu nie. - Uniósł się na ławie, wyciągnął notes z kieszeni i rzucił na stół. Podczas gdy go kartkowała, skoszto-
wał jajek. - Widzisz tam kogoś, kogo znasz?

Ten przemądrzały ton sprawił, że spojrzała na niego z prawdziwą satysfakcją, uśmiechnęła się i powiedziała:

- Właściwie tak.

- Słucham? - Miał ochotę wyrwać jej notes z ręki, ale trzy mała go poza jego zasięgiem. - Kogo?

- T. Salvini. To musi być jeden z przyrodnych braci Bailey.

- Żartujesz?

- Nie żartuję. Przy jego nazwisku jest piątka i trzy zera. Tylko pomyśl. Tim albo Thom prowadził interesy z Ralphem. Ty prowadziłaś interesy z Ralphem, teraz ja, w pewnym sensie, prowadzę interesy z tobą. - Zielone oczy w kolorze mrocznej rzeki napotkały jego wzrok. - Świat jest mały, prawda, Jack?

- Z tego miejsca tak - przyznał.

- A oto kolejna płatność, około pięciu tysięcy. Wygląda na to, że pieniądze wpłynęły osiemnastego - i tak przez cztery, nie, pięć miesięcy. - Z namysłem uderzyła notesem o krawędź stolika. - Zastanawiam się, który to z nich... A może obydwaj zrobili coś takiego, że kalkulowało im się zapłacić dwadzieścia pięć tysięcy za milczenie Ralpa.

- Ludzie bez przerwy robią rzeczy, które pragną ukryć, i płacą za to w taki czy inny sposób.

Przekrzywiła głowę.

- Jesteś znawcą natury ludzkiej, prawda, Dakota? I cynikiem.

- Życie to cyniczna podróż. Cóż, mamy tu jedno solidne

powiązanie z Ralphem. Może wkrótce złożymy wizytę tym padalcom.

- To biznesmeni - zauważyła. - Obłeśni, moim zdaniem, ale zabójstwo to poważna sprawa. Niezbyt mi do nich pasuje.

- Czasami popełnienie morderstwa jest znacznie łatwiejsze, niż się wydaje. - Wziął notes i znów wsadził go do kieszeni.

- Mogę ich sobie wyobrazić, jak fałszują księgi rachunkowe - myślała głośno. - Timothy ma problemy z hazardem. No wiesz, lubi grać, a zazwyczaj przegrywa.

- Naprawdę? Cóż, Ralph miał różne powiązania, jeśli chodzi, powiedzmy, o gry losowe. Ten element doskonale pasuje do naszej układanki.

- Założmy, że Ralph odkrywa, iż facet ostro gra, być może regularnie podbiera pieniądze z kasy firmy, by nie połamano mu nóg, więc postanawia wyrzucić na niego nacisk.

- To mogłoby zadziałać. Wówczas Salvini użala się komuś, kto ma większą władzę, komuś, kto chce zdobyć diamenty. - Wzruszył ramionami i postanowił zmienić temat. - W każdym razie to nie była zła robota, kotku.

- To była świetna robota.

- Powiedziałbym, że niezła. Wspaniale wyglądałaś z biodrami wystającymi z okna samochodu, strzelając do rozpędzonej furgonetki. - Polał naleśniki syropem. - Choć omal mi serce nie wyskoczyło z piersi. Jeśli kiedykolwiek zdecydujesz się zmienić zawód, możesz zostać łowcą zbiegów.

- Naprawdę? - Nie była pewna, czy uznać to za komplement. - Nie wydaje mi się, że mogłabym spędzać życie na polowaniach. Rola ściganej zwierzyny też mi nie odpowiada. - Posypała jajka taką ilością soli, że Jack, sam amator tej przyprawy, aż zamrugał. - A jak to się stało, że ty to robisz? I dlaczego?

- Jak tam twoje ciśnienie?

- Co?

- Nieważne. Myślę, że stawia się na mocne punkty. Znam się na obserwacji, jestem dobry w tropieniu i potrafię przewidywać ludzkie zachowania. Poza tym lubię polowanie. - Drapieźny uśmiech rozchylił mu wargi. - Uwielbiam polowanie. Nieważne, jaka jest zdobycz, tak długo, jak się ją tropi.

- Przepęstwo to przepęstwo?

- Niezupełnie. Tak myślą gliny. Ale jeśli masz właściwy, punkt widzenia, z równą satysfakcją dopadasz jakiegoś ojca próżniaka uciekającego przed płaceniem alimentów, jak i faceta który zastrzelił współnika. Można dopaść obydwo, jeśli poznasz swój łup. Przeważnie nie są zbyt bystrzy - mają nawyki, których nie potrafią się pozbyć.

- Na przykład?

- Gość okrada kasę sklepu, w którym pracuje. Łapią go stawiają w stan oskarżenia, poręczyciel wpłaca za niego kaucji a on ucieka. Najprawdopodobniej ma przyjaciół, krewnych, kochaną. Nie upłynie wiele czasu, a poprosi kogoś o pomoc. Ludzie w większości nie są samotnikami. Myślą, że są, ale tak nie jest. Coś ich zawsze przyciąga z powrotem. Prędzej czy później zadzwonią, przyjdą. Zostawią kartkę. Weźmy na przykład ciebie.

Zaskoczona, zmarszczyła czoło.

- Niczego nie przeskrobałam.

- Nie o to chodzi. Jesteś inteligentną, zaradną kobietą, jesteś dzielna, ale nie odeszłabyś daleko, nie wytrzymałabyś długo bez telefonu do przyjaciół. - Podniósł do ust sporą porcję jajecznicy i uśmiechnął się do MJ. - Tak właśnie postąpiłaś.

- A ty? Do kogo byś zadzwonił?

Do nikogo. - Jego uśmiech znikł. Kiedy kelnerka dolewała im kawy, był pochłonięty bez reszty jedzeniem.

- Nie masz żadnej rodziny?

- Nie. - Nabił na widelec plasterek bekonu i połknął go w dwóch kęsach. - Ojciec odszedł z domu, kiedy miałem dwanaście lat. Po prostu zniknął. Matka wówczas znenawidziła cały świat. Miałem starszego brata, który wstąpił do wojska w dniu swoich osiemnastych urodzin i postanowił nie wracać do domu. Nie słyszałem o nim od dziesięciu, może dwunastu lat. A kiedy poszedłem do college'u, matka doszła do wniosku, że zrobiła już, co do niej należało, i ruszyła w trasę. Można powiedzieć, że od tej pory nie utrzymujemy kontaktów.

- Przykro mi.

Żachnął się, broniąc się przed jej współczuciem, zirytowany na siebie, że jej o tym wszystkim powiedział. Nie miał zwyczaju rozmawiać o rodzinie. Nigdy i z nikim.

- Nie widziałeś swojej rodziny przez te wszystkie lata? - ciągnęła, nie mogąc powstrzymać się od maleńkiego śledztwa.

- Nie wiesz, gdzie się podziewają? Oni nie wiedzą, gdzie ty mieszkasz?

- Nie byliśmy, jak byś to nazwała, w bliskich stosunkach i nie spędzaliśmy ze sobą tyle czasu, by to uznać za coś niezwykłego.

- Mimo to...

- Zawsze uważałem, że to się ma we krwi - powiedział, nie dając jej skończyć. - Niektórzy ludzie po prostu nie przywiązują się na dłużej.

W porządku, pomyślała, jego rodzina to nie temat do rozmowy. Trafiła go w czułe miejsce, nawet jeśli on nie do końca zdawał sobie z tego sprawę.

- A ty, Jack? Na jak długo się przywiązujesz?

- Na tym między innymi polega atrakcyjność mojej pracy
Nigdy nie wiadomo, dokąd trzeba będzie wyruszyć.

- Nie to miałam na myśli. - Wpatrywała się w jego twa
- Wiesz o tym.

- Nigdy nie miałem powodu przywiązywać się do kogo
kolwiek.

Położyła dłoń na stoliku, tuż obok jego dłoni. Zapragnął!
ująć, potrzymać. To go zaniepokoiło.

- Mam znajomych, mnóstwo znajomych, ale nie mam przy-
jaciół. Nie na tej zasadzie jak ty, Bailey i Grace. Wielu z nas
przechodzi przez życie bez tego, MJ.

- Wiem. Ale czy ty tego chcesz?

- Nigdy się nad tym nie zastanawiałem. - Potarł dłońmi
twarz. - Boże, ależ muszę być zmęczony. Filozofować nad śnia-
daniem o piątej rano.

Zerknęła przez okno na jaśniejące niebo na wschodzie, na
niemal pustą drogę.

- „W długą ulicę ścichłą wnikł...

- ...W srebrnych sandałach blady świt, niby dziewczyny
lęk” - dokończywszy, wzruszył ramionami.

Szeroko otworzyła oczy ze zdumienia.

- Jak to się stało, że to znasz? Co właściwie studiowałeś
w college'u?

- To i owo.

Teraz ona uśmiechnęła się szeroko, oparła łokcie na stoliku.

- Ja też. Doprowadzałam moich opiekunów do szału. Nie
potrafiłabym ci powiedzieć, ile razy słyszałam, że brak mi celu.

- Ale możesz cytować Oscara Wilde'a o piątej rano. Potrafisz strzelać z trzydziestki ósemki, rozprawić się z facetem jak kick bokser, jesz jak wilk, znasz się na starożytnych rzymskich bóstwach i założę się, że robisz wspaniałe piwo z młotkiem.

- Najlepsze w mieście. Oto my, Jack, dwójka ludzi, o których większość naszego społeczeństwa powiedziała by, że jesteśmy zbyt wykształceni jak na rodzaj wykonywanej pracy, pijemy kawę o jakiejś barbarzyńskiej porze, a ciemne typy w furgonetce z jednym światłem polują na nas i na piękny kamień, który masz w kieszeni. Jest czwarty lipca, znamy się mniej niż dwadzieścia cztery godziny, poznaliśmy się w okolicznościach najgorszych z możliwych, a osoba, która nas ze sobą zetknęła, jest martwa jak kłoda.

Odsunęła talerz na bok.

- Co robimy teraz?

Wyciągnął z kieszeni banknoty, rzucił je na stolik.

- Idziemy do łóżka.

Pokój w motelu był nadal wilgotny, ciasny i ponury. Cienkie prześcieradła w kwiatki były nadal zmięte tak jak przed kilkoma godzinami.

Zaledwie parę godzin, pomyślała MJ. Miała wrażenie, że minęło wiele dni, całe miesiące i lata. Wydawało się jej, że zna Jacka od zawsze. Patrząc, jak wyjmuje rzeczy z kieszeni i kładzie je na toaletkę, uświadomiła sobie, że stał się istotną częścią jej samej. Na zawsze.

Gdyby to nie wystarczało, pozostawało jeszcze pożądanie. Może takie pożądanie jak to jest czymś najlepszym w życiu. Jest tym, czego można się uchwycić, kiedy twój świat chwieje się

w posadach. Nie było przecież niczego i nikogo, komu mogłaby zaufać, prócz Jacka.

Dlaczego miałyby powiedzieć nie? Dlaczego miałyby zrezygnować z namiętności i z ukojenia? Uciec od życia?

Dlaczego miałyby odwrócić się od Jacka, skoro instynkt mówił jej, że on potrzebuje tego wszystkiego tak samo jak ona?

Zwrócił się twarzą do niej i czekał. Mógłby ją uwieść. Nie miał co do tego najmniejszych wątpliwości. Była teraz kłębkim nerwów, czy zdawała sobie z tego sprawę, czy nie. Była bezbronna i potrzebowała ukojenia, a on był obok.

Czasami wystarczało tylko tyle.

Mógłby ją uwieść, zrobiłby tak, gdyby to nie było takie ważne. Gdyby ona nie była dla niego tak niewytłumaczalnie i niezwykle ważna. Seks byłby wyzwoleniem, odprężeniem, czysto fizycznym aktem między dwojgiem dorosłych ludzi.

Jedynie tego powinien chcieć.

Ale on chciał więcej. Nieporównanie więcej.

Został tam, gdzie był, obok toaletki, a ona stała w noga łóżka.

- Chciałbym coś powiedzieć - zaczął.

- Mów.

- Będę ci pomagał, dopóki to się nie skończy, ponieważ właśnie tego chcę. Zawsze kończę to, co zaczynam. Nie chcę niczego, co wynika z wdzięczności czy poczucia obowiązku.

Gdyby serce tak jej mocno nie biło, pewnie by się uśmiechnęła.

- Rozumiem. A więc, gdybym zaproponowała ci, żeby przespał się w wannie, nie stanowiłoby to dla ciebie problemu?

Oparł się biodrem o toaletkę.

- To byłby twój problem, nie mój. Jeśli właśnie tego chcesz, możesz spać w wannie.

- Cóż, nigdy nie twierdziłeś, że jesteś dżentelmenem.

- Nie, ale będę trzymał ręce z dala od ciebie.

Przekrzywiła głowę, obserwowała go. Wyglądał niebezpiecznie, bardzo niebezpiecznie. Puls jej przyspieszył. Ciemny zarost, grzywa włosów, szare oczy płonące w surowej, pociągłej twarzy.

Myślał, że daje jej wybór.

Zastanawiała się, czy któreś z nich jest na tyle naiwne, by wierzyć, że ona ma jakiś wybór.

Uśmiechnęła się, powoli, wyniośle. Nie odrywając wzroku od jego oczu, opuściła ręce, wyciągnęła podkoszulek z džinsów. Widziała, jak jego spojrzenie przenosi się na jej dłonie i śledzi ich ruchy, podczas gdy ona zdejmuje podkoszulek przez głowę i odrzuca go na bok.

- Chciałabym widzieć, jak próbujesz trzymać ręce ode mnie z daleka - powiedziała cicho i odpięła džinsy.

Wyprostował się na nagle miękkich nogach, kiedy zaczęła rozsuwać zamek błyskawiczny.

- Zostaw, ja chcę to zrobić.

- Proszę bardzo.

Jej ramiona były długimi zachwycającymi krzywiznami. Jej piersi, drobne i białe, zmieściłyby się z łatwością w męskiej dłoni. Powoli, starając się nie spieszyć, podszedł do niej, uchwycił metalowy języczek suwaka między kciuk a palec wskazujący i opuścił powoli w dół. Nie odrywając wzroku od jej twarzy, wsunął dłoń za rozpięte džinsy i dotknął jej.

Czuł ją, gorącą, nagą. Czuł, jak drży z powstrzymywanej namiętności.

- Wiedziałem, że tak będzie.

Wypuściła ostrożnie powietrze i choć z trudem zaczerpnęła kolejny haust, nie odmówiła sobie ironicznego:

- Skąd ta pewność?

Zsunął jej dzinsy o kolejny centymetr i objął dłońmi pośladki.

- Jesteś stworzona do szybkości, MJ. To dobrze, bo nic nie będzie działo się wolno. Chyba nie potrafiłbym teraz zrobić tego powoli. - Mocno przycisnął ją do siebie, aby wiedziała, jak rozpaczliwie jej pragnie. - Po prostu będziesz musiała dotrzymać mi kroku.

Zatonęła roziskrzonymi oczami w jego wzroku, uniosła podbródek w wyzwaniu.

- Do tej pory nie miałam kłopotu z dotrzymywaniem ci kroku.

- Do tej pory tak - zgodził się, a kiedy unióśł ją w powietrze i przycisnął zachłanne wargi do jej piersi, zabrakło jej tchu.

To było oszałamiające, wspaniałe doznanie, dreszcz, który zapowiadał największą rozkosz. Objęła Jacka za szyję, a nogi zacisnęła wokół jego pasa, oddając mu się cała. Ocieranie się jego brody o skórę, dotyk zębów, muskanie języka - wszystko wywoływało osobne, oszałamiające kolejne dreszcze rozkoszy.

Spleceni upadli na łóżko - szalony skok ze skały. Zaciśnięcie jego dłoni na jej - kolejne ogniwo łańcucha. Jego zachłanne usta na jej ustach - natarczywe pytanie, na które możliwa była tylko jedna odpowiedź.

Usiłowała ściągnąć mu koszulę. W końcu zniecierpliwiona, zdarła ją i rzuciła na podłogę. Teraz oboje byli nadzy do pasa.

Odkryła u Jacka stalowe mięśnie i liczne blizny - ślady potyczek. Jej dłonie i usta były nie mniej niecierpliwe niż jego. Jej pragnienia równie gwałtowne.

Ni to z przysięgą, ni modlitwą obrócił ją na wznak i zaczął się zmagać z jej obcisłymi dżinsami. Ściągając je, ustami zapamiętale wytyczał ścieżkę w dół jej ciała. Pożądanie oślepiło go, odbierało mu oddech i brutalnie atakowało zmysły. Żaden głód nie był tak dokuczliwy, tak ostry i dojmujący jak głód jej ciała. Wiedział tylko, że jeśli za chwilę nie będzie jej miał, skona z pragnienia niczym zagubiony wędrowiec na pustyni.

Długie, nagie członki, energia pulsująca w każdym skrawku ciała, ten chrapliwy, zdyszany oddech, wszystko to sprawiało, że krew wrzała mu w żyłach i przepalała serce. Oszałały z pożądania, mocnym szarpnięciem uniósł jej biodra i sięgnął po nią ustami.

Spazm spełnienia przeszedł przez MJ jedną grzmiącą, spiętrzoną falą. Szlochała z zaskoczenia i rozkoszy. Paznokciami drapała bezwiednie jego plecy, w górę i w dół, aż w końcu ukryła je w gęstej czuprynie o złotych końcach. Pozwoliła, żeby ją unicestwił, co więcej, przyjęła to z zachwytem. I z ciałem wciąż drżącym od tego gwałtownego ataku, przewróciła go na plecy, by zedrzeć z niego resztę ubrania.

Czuła, jak wali mu serce. Słyszała je. Ich ciała, śliskie od potu, ocierały się o siebie podczas miłosnych zapasów. Odnalazł jej kobiecość, doprowadził do tego, że nie mogła już dłużej czekać. Gdyby była w stanie mówić, powiedziałyby mu o tym. Zamiast tego ścisnęła go mocno udami i wzięła w siebie, szybko i głęboko.

Jack doznał dojmującego uczucia szczęścia i spełnienia, choć był to dopiero oszałamiający początek miłosnych uniesień.

Wyzwolenie dopiero miało nadejść, a on już wiedział, należy do MJ, że zaprzedał jej ciało i duszę.

Potem zaczęła się poruszać, popędzając go bezlitośnie w szaleńczym wyścigu. Jej oddech przeszedł w łkanie, palce wplątała w jego włosy. W miłosnym zapamiętaniu zdał sobie sprawę, że ona należy do niego.

Uniósł się gwałtownie, jego nienasycone wargi błędziły po jej piersiach, po szyi, wszędzie, gdzie mógł jej posmakować, podczas gdy poruszali się razem w odwiecznym miłosnym rytmie.

Potem wziął ją w ramiona, wymawiając jej imię. Ich złączonymi ciałami wstrząsały dreszcze.

Pozostali w swoich objęciach, połączeni, drżący. Czas przestał dla niego istnieć. Poczował, jak jej uścisk słabnie, a ręce ześlizgują się z jego pleców. Pocałował ją delikatnie w ramię. Położył się na plecach, pociągając ją za sobą, tak że teraz spoczywała rozciągnięta na jego piersi.

Pogłaskał ją po głowie i mruknął:

- To był ciekawy dzień.

Udało jej się słabo zachichotać.

- W sumie tak.

Niewykluczone, że są szaleni, pomyślała. To pewne, szaleństwem było czuć się tak szczęśliwie, tak doskonale, kiedy wszystko wokół się waliło.

Mogłaby mu powiedzieć, że nigdy przedtem nie poszła z mężczyzną do łóżka tak szybko albo że nigdy nie czuła takiej więzi i bliskości.

Ale miała wrażenie, że nie o to chodzi. To, co się z nimi działo, po prostu się działo. Otworzyła oczy, spojrzała na kamień spoczywający na blacie odrapanej toaletki. Czyżby świecił? - zastanowiła się. Czy to tylko gra świateł w pokoju?

Jaką moc miał naprawdę, poza wartością materialną? W końcu to tylko kawałek węgla, któremu pewne pierwiastki nadały ten niezwykle intensywny kolor. Rósł w ziemi, pochodził z ziemi i ludzkie ręce go stamtąd wyrwały.

A kiedyś trzymały go dłonie boga.

Drugi kamień symbolizował wiedzę, pomyślała i zamknęła oczy. Może o niektórych sprawach wie tylko serce.

- Powinnaś się przespać - powiedział cicho Jack. Ton jego głosu sprawił, że zaczęła się zastanawiać, dokąd zabłądziły jego myśli.

- Może. - Zsunęła się i wyciągnęła na brzuchu w poprzek łóżka. - Moje ciało jest zmęczone, ale nie potrafię wyłączyć głowy. - Znów się zaśmiała. - Albo nie mogę teraz, kiedy już jestem w stanie myśleć. Kochanie się z tobą naprawdę wyczerpuje mózg.

- To wspaniały komplement. - Usiadł, przesunął dłoń po jej ramieniu, w dół pleców, zatrzymując się na krótko na łagodnym zaokrągleniu pośladków. Zaintrygowany, zmrużył oczy, pochylił się bliżej. Po czym uśmiechnął się szeroko. - Niezły tatuaż, złotko.

Uśmiechnęła się, wtulona twarzą w rozgrzane, pomięte prześcieradła.

- Dzięki. Lubię go. - Zamrugwała, kiedy zapalił nocną lampkę. - Hej! Zgaś światło.

- Chciałem tylko się przyjrzeć. - Rozbawiony, potarł kciukiem barwny rysunek na jej pośladku. - To gryf, prawda?

- Masz dobre oko.

- Symbol siły. I czujności.

Odwrociła głowę tak, żeby widzieć jego twarz.

- Wiesz najdziwniejsze rzeczy, Jack. Ale to prawda, właśnie

dlatego go wybrałam. Grace wpadła na pomysł, żebyśmy zrobiły sobie tatuaż, wszystkie trzy, z okazji ukończenia studiów. Pojechałyśmy na weekend do Nowego Jorku i każda z nas zafundowała sobie malutki obrazek na pupie.

Na myśl o przyjaciółkach spoważniała.

- To był szalony weekend. Zmusiliśmy Bailey, by poszła pierwsza, ponieważ bałyśmy się, że stchórzy. Wybrała jednorozca. Pasuje do niej.

- Daj spokój, przestań o tym myśleć. - Był śmiertelnie przeżarty, że MJ zacznie szlochać. - Z tego, co wiemy, wszystko z nią w porządku. Nie ma sensu doszukiwać się kłopotów tam, gdzie ich nie ma - ciągnął, masując jej plecy. - Mamy mnóstwo własnych. Za parę godzin zabierzemy się stąd, ruszymy w drogę, trochę pojeździmy i spróbujemy zadzwonić do Grace.

- Dobrze. - Opanowała się jakoś. - Może...

- Czy w college'u trenowałaś biegi?

- Słucham?

Właśnie o to mu chodziło. Ta nagła zmiana tematu oderwała ją od zmartwień.

- Czy trenowałaś biegi? Masz ciało biegaczki i jesteś szybka.

- Tak, rzeczywiście. Biegałam na tysiąc pięćset metrów. Nigdy nie przepadałam za sztafeta. Nie nadaję się też do gier zespołowych.

- Tysiąc pięćset metrów, mówisz? - Przekreślił ją na plecy i nie przestając się uśmiechać, czubkiem palca obrysował krzywiznę jej piersi. - Musisz być wytrzymała.

Ściągnęła brwi.

- To prawda.

- Wigor. - Przygniótł ją swoim ciałem.

- Absolutnie.

Pochylił głowę, muskał jej wargi.

- I chcesz wiedzieć, jakie tempo sobie nadać, żeby mieć wiatr na kośćcówce.

- A pewnie.

- To mi odpowiada. - Delikatnie ugryzł płatek jej ucha. - Bo tym razem ja zamierzam zadbać o odpowiednie tempo. Znasz to powiedzenie, MJ? To o tym, że wyścig wygrywa się powoli i spokojnie?

- Chyba coś o tym słyszałam.

- A może to sprawdzimy? - zapytał i przystąpił do działania.

Zasnęła. Miał nadzieję, że tak będzie. Z twarzą wtuloną w poduszkę, zadumał się, obserwując MJ, leżącą w poprzek łóżka. Pogładził ją po głowie. Po prostu nie miał dość dotykania jej. Nie pamiętał, czy kiedykolwiek czuł taką potrzebę dotykania kobiety. Chociażby tylko muśnięcie ramienia, splecenie palców.

Obawiał się, że jest śmiesznie sentymentalny, i był zadowolony, że MJ śpi.

Mężczyzna o reputacji pozbawionego uczuć, zaprawionego w bojach cynika nie chciałby, żeby go przyłapano, jak po udanym zbliżeniu marzy na jawie u boku śpiącej kobiety.

Chciał znów się z nią kochać. To przynajmniej było dla niego zrozumiałe. Zatracić się w seksie, skoro tak doskonale do siebie pasowali, czemu nie?

Poddałaby mu się, wiedział o tym, gdyby o to poprosił. Mógł obudzić ją teraz, podniecić ją, zanim całkiem się rozbudzi. Otworzyłaby się dla niego, wzięła go w siebie, podażyła z nim do krainy rozkoszy. Rzecz w tym, że za bardzo do siebie pasowali. To go niepokoiło. Poza tym, MJ potrzebowała snu.

Pod oczami, tymi ciemnozielonymi oczami czarownicy, miała cienie. A kiedy z jej skóry znikł rumieniec namiętności, zauważył, że policzki ma blade i zapadnięte ze zmęczenia wyraźnie zaznaczone kości policzkowe podkreślone łukiem jej dwabistej skóry.

Przycisnął palce do oczu. Tego tylko brakowało. Jeszcze trochę, a będzie komponował odę albo zajmował się czymś równie upokarzającym.

A więc przesunął ją delikatnie i ułożył się wygodniej. Połpi godzinę, pomyślał sennie, nastawiając swój wewnętrzny zegar. A potem powrócą do rzeczywistości.

Zamknął oczy i się wyłączył.

MJ obudził szum deszczu. Przypominał jej leniwe poranki, letnie deszcze. Wtulała wtedy głowę w poduszkę, przechodząc od snu do snu.

Zrobiła to teraz, znów zapadając w drzemkę.

Koń przeskoczył wąski, płytki strumień, w którym niebieszczyła się woda. Jej serce skoczyło wraz z nim. Chwyliła mężczyzną mocniej. Pachniał skórą i potem.

Wokół nich, niczym żołnierze na warcie, wznosiły się wprost w niebo pnie rozpalone olbrzymim, oślepiającym białym słońcem. Upał był nie do zniesienia.

Mężczyzna miał czarny ubiór, ale nie był jej rycerzem. Twarz była ta sama - twarz Jacka - ukryta pod czarnym kapeluszem z szerokim rondem. Na biodrach, zamiast srebrnego miecza, zwisał mu pas z kaburą.

Przednimi rozciągała się jałowa ziemia, rozległa jak morze, z falami skał, o krańcach ostrych jak naostrzone noże. Jeden nierozważny krok i ziemia byłaby zroszona ich krwią.

Ale on podązał bez leku naprzód, a ona czuła tylko moc i podniecenie pędem.

Kiedy ściągnął cugle i obrócił się w siodle, wpadła w jego ramiona. Przywitała twarde, zachłanne wargi swoimi ustami.

Podawała mu kamień, który oślepił błękitnym blaskiem.

- Pasuje do tamtych dwóch. Miłość potrzebuje wiedzy, a obie wymagają hojności.

Wziął go od niej, wsadził do kieszeni na sercu.

- Jeden znajduje drugi. Oba wskażą drogę do trzeciego.

- Oczy mu zapłonęły, -A ty należysz do mnie.

W cieniu skaty rozwinął się wąż, wysyczał ostrzeżenie. Zaatakował.

MJ podskoczyła na łóżku ze zduszonym w gardle krzykiem. Obie dłonie przycisnęła do serca, które waliło jak oszalałe. Zachwiała się, wciąż walcząc z upadkiem we śnie.

Waż, pomyślała, wstrząsając się. Waż o oczach mężczyzny.

Boże. Usiłowała opanować lęk, który nią nagle zawładnął. Jak to się stało, że jej sny stały się tak wyraziste, tak realne i tak dziwne zarazem.

Zamiast znów się położyć, znalazła podkoszulek - Jacka - i nałożyła go. W głowie wciąż się jej kręciło, więc dobrą chwilę trwało, zanim zorientowała się, że dobiegający do niej dźwięk to nie deszcz, tylko szum prysznic.

Sama świadomość, że on jest po drugiej stronie drzwi, odpędziła resztki strachu.

Chlubiła się tym, że potrafi sobie poradzić w każdej sytuacji, ale jeszcze nigdy nie znalazła się w takim niebezpieczeństwie. Pomagała jej myśl, że jest ktoś, kto stanie u jej boku.

I tak będzie. Uśmiechnęła się i potarła zaspane oczy. On się nie cofnie, nie odejdzie. Będzie trwał i wraz z nią zmierzy się

z potworami czającymi się w zaroślach, z węzami kryjącymi się w cieniu skał.

Wstała i przeciągnęła dłońmi przez włosy. W tym momencie otworzyły się drzwi łazienki.

Stanął w nich Jack, a za nim wysnuł się kłęb pary. Był owinięty w pasie starym białym ręcznikiem, a na jego ciele lśniły jeszcze krople wody. Mokre włosy sięgały mu do ramion, złoto przeświecało przez brąz.

Jack uprzytomnił sobie, że powinien się jeszcze ogolić.

MJ stała bez ruchu, z ciężkimi od snu powiekami, z potarganymi włosami, w zmiętym, postrzępionym na brzegu podkoszulku sięgającym jej do połowy uda.

Przez dobrą chwilę wpatrywali się w siebie bez słowa.

Była tu, tak realna i żywa w tym nędznym pokoiku. I lśniła tak jasno, tak żywo, jak kamień, który przywiódł ich do tego punktu.

Jack potrząsnął głową, jakby uwalniał się od resztek snu - być może równie realnego i niepokojącego jak ten, z którego przebudziła się MJ. Oczy mu pociemniały z irytacji.

- To głupie.

Gdyby podkoszulek miał kieszenie, wcisnęłaby w nie ręce. Zamiast tego skrzyżowała ramiona na piersi i spojrzała na niego, marszcząc czoło.

- Tak.

- Nie szukałem tego.

- A myślisz, że ja szukałam?

Uśmiechnąłby się w odpowiedzi na oburzenie wyraźnie słyszalne w jej głosie, gdyby nie był zbyt zajęty rzucaniem gniewnych spojrzeń i desperackimi próbami ucieczki przed tym, co właśnie trafiło go prosto w serce.

- To miała być tylko cholerna praca.

- Nikt cię nie prosi, żebyś traktował to inaczej.

Mrużąc oczy, zrobił krok ku niej.

- Cóż, wyszło inaczej.

- Tak, wyjątkowo się z tobą zgadzam. Co zamierzasz z tym zrobić?

- Rozwiązę to jakoś. - Podeszedł do toaletki, wziął do ręki kamień, znów go odłożył. - Myślałem, że to sprawa okoliczności, ale tak nie jest. - Odwrócił się i przyjrzał jej twarzy. - To mogłoby się zdarzyć i tak.

Jej serce zwolniło tempo, zamierało.

- Ja tak to czuję.

- Dobrze. Ty pierwsza.

- No, no. - Po raz pierwszy, odkąd otworzył drzwi, jej wargi zadrgały. - Ty.

- Do diabła. - Przeciagnał dłońmi przez mokre włosy, czuł się jak kompletny idiota. - Dobrze, dobrze - mruknął, chociaż czekała w milczeniu, cierpliwie. Nerwy wybijały mu rytm pod skórą, mięśnie napięły się, ale spojrzał jej prosto w oczy.

- Kocham cię.

W odpowiedzi wybuchnęła śmiechem, na dźwięk którego zacisnęła zęby, aż mięsień zadrgał mu w policzku.

- Jeśli sądzisz, że uda ci się zrobić ze mnie idiotę, kotku, przemyśl to jeszcze raz.

- Przepraszam. - Stłumiła kolejny wybuch śmiechu. - Ale miałaś taką zboląłą, nieszczęśliwą minę. Romantyzm tej sceny poruszył najczulsze struny mego serca.

- Czyżbyś chciała, żebym to wyśpiewał?

- Może później. - Znów się roześmiała, jej radosny śmiech wypełnił pokój. - Teraz nie będę cię dłużej dręczyć. Ja też cię kocham. Tak lepiej?

- Mogłabyś przynajmniej spróbować być odrobinę poważniejsza. Nie uważam, że to powód do śmiechu.

- Popatrz na nas. - Przycisnęła dłoń do ust i usiadła w nogach łóżka. - Jeśli to nie jest powód do śmiechu, to nie wiem, co nim jest.

Tu go miała. Właściwie, uświadomił sobie, miała go, kropka. Teraz jego wargi wykrzywiły się w wyrazie zdecydowania.

- W porządku, kotku. Zamierzam właśnie zetrzeć ten drwiący uśmieszek z twojej twarzy.

- Zobaczmy, czy potrafisz.

Uśmiechnęła się prowokująco, kiedy pchnął ją z powrotem na łóżko.

ROZDZIAŁ 8

Nie ma wyjścia, trzeba się nauczyć ustępować mu w pewnych sprawach, uznała MJ. Na tym polega kompromis, na tym polega związek dwojga ludzi, tłumaczyła sobie w duchu. Rzeczywiście, on ma większe doświadczenie niż ona w takich sytuacjach. Przecież jest rozsądną kobietą, potrafi wziąć sobie do serca wskazówki i posłuchać rad.

Akurat.

- Co jest, Jack, czy musimy dotrzeć do granic Mongolii, żeby wykonać jeden głupi telefon?

Obrzucił ją szybkim spojrzeniem. Jechali dokładnie od dziesięciu minut. Jak na nią i tak długo powstrzymała się od narzekań. Jest niespokojna, tłumaczył sobie. Ostatnie dwadzieścia cztery godziny były dla niej trudne. Postanowił być cierpliwy.

Niestety, nie bardzo mu się udało.

- Jeśli spróbujesz zadzwonić z tego telefonu, zanim ci pozwolę, wyrzucę go przez okno.

Zabębniła palcami o mały kieszonkowy aparat.

- Odpowiedz mi tylko na jedno pytanie. Jakim cudem ktoś zdołałby wysledzić nas przez to urządzenie? Jesteśmy w środku buszu.

- Jesteśmy o niecałą godzinę drogi od Waszyngtonu, miejska dziewczyno. Byłabyś zaskoczona, gdybym powiedział ci, co i jak szybko można wysledzić.

Na dobrą sprawę, sam nie był całkowicie pewny, czy rzeczywiście można to zrobić. Przypuszczał, że technicznie jest to możliwe. Jeśli telefon jej przyjaciółki jest na podsłuchu, a ci, którzy ich ścigają, mają odpowiedni sprzęt, częstotliwość jej komórki mogłaby posłużyć za ślad.

Nie chciał zostawiać śladów.

- W jaki sposób?

Bał się, że go o to spyta.

- Słuchaj, ta zabawka to rodzaj radia, mam rację?

- Tak, i co z tego?

- Radia mają częstotliwości. Nastawiasz na jakąś częstotliwość, prawda? - Na tym kończyły się jego wiadomości z elektroniki. Z ulgą zobaczył, że MJ ściąga wargi i zamyśla się.
- Poza tym dobrze by było, żeby między miejscem, w którym się znajdujemy, a tym, gdzie się zatrzymamy, był pewien dystans. Gdyby na ogonie siedziało nam FBI, chciałbym zmusić ich do jeżdżenia w kółko.

- A czego mogłoby chcieć od nas FBI?

- To tylko przykład. - Z coraz większym trudem nad sobą panował. - Po prostu zastanów się nad tym, MJ, i zacznij myśleć racjonalnie.

Naprawdę próbowała. Usiłowała wytłumaczyć sobie, że przecież minął zaledwie dzień, jeden dzień.

Tak, tylko że tego jednego dnia zmieniło się całe jej życie.

- Mógłbyś przynajmniej powiedzieć mi, dokąd jedziemy.

- Chcę pojechać autostradą numer piętnaście na północ, do Pensylwanii.

- Do Pensylwanii?

- Stamtąd będziesz mogła zadzwonić. Później skierujemy się na południowy wschód, w kierunku Baltimore. - Rzucił jej spojrzenie. - Jeśli Orioles są w mieście, moglibyśmy skoczyć na mecz.

- Chcesz iść na mecz?

- Słuchaj, jest czwarty lipca. Mecze, piwo, parady i fajerwerki. Niektóre obyczaje są święte.

- Kibicuję Jankesom.

- Nie ma sprawy. Chodzi o to, że stadion to świetne miejsce, żeby zgubić się w tłumie na parę godzin. I dobre miejsce na spotkanie, jeśli uda ci się skontaktować z Grace.

- Grace na meczu baseballowym? - Parsknęła. - A to dobre.

- To niezły kamuflaż - zaczął. Nagle zmarszczył czoło. - Czy twoja przyjaciółka ma coś przeciwko uświęconym w Ameryce sposobom spędzania wolnego czasu?

- Sport jest niezupełnie w guście Grace. Do niej pasuje raczej wzbudzający sensację pokaz mody albo porywająca opera.

- Jakim cudem zostałyście przyjaciółkami? - Jack nie mógł wyjść z podziwu,

- Słuchaj, naprawdę chodzę do opery.

- Skuta łańcuchami?

Musiała się roześmiać.

- Szczerze mówiąc, tak. Tak, jesteśmy przyjaciółkami. - Westchnęła. - Na pewno trudno zrozumieć, jak to jest możliwe, kiedy się patrzy na to z boku. Naukowiec, szalona Irlandka i księżniczka. Ale po prostu przypadłyśmy sobie do gustu i tyle.

- Opowiedz mi o nich. Zaczynj od Bailey, bo, zdaje się, ona tkwi u źródła tego wszystkiego.

- W porządku. - Wzięła głęboki oddech, popatrzyła przez

okno, za którym szybko przesuwały się drzewa i wzgórza, typowe wiejskie krajobrazy. - Jest urocza, sprawia wrażenie niezwykle delikatnej. Blondynka, z brązowymi oczami, o cerze koloru płatków róży. Ma słabość do ładnych rzeczy, różnych uroczych drobiazgów, jak na przykład słonie. Kolekcjonuje je. W ubiegłym miesiącu podarowałam jej słonia wyrzeźbionego w stępcie.

Na wspomnienie tego zwyczajnego, prostego gestu zacisnęła wargi.

- Lubi stare filmy, zwłaszcza z gatunku *film noir* i czasami bywa odrobinę marzycielska, ale potrafi dążyć do celu. Z nas trzech w college'u ona była jedyną, która dokładnie wiedziała, czego chce, i robiła wszystko, żeby to osiągnąć.

Bailey z tego opisu podobała się Jackowi.

- A czego chciała?

- Gemmologii. Fascynuje się skałami, kamieniami. Nie tylko ozdobnymi. Od czasu do czasu rozmawiamy o tym, jak to na parę tygodni wybierzemy się do Paryża, wszystkie trzy, ale w ubiegłym roku wylądowałyśmy w końcu w Arizonie, szukając kamieni. Była w swoim żywiole. Życie Bailey nie było usłane różami. Jej ojciec umarł, kiedy była dzieckiem. Zajmował się handlem antykami - więc to jest jej kolejna słabość, piękne starocie. Uwielbiała ojca. Matka po jego śmierci próbowała utrzymać interes, ale to nie było łatwe. Mieszkały w Connecticut. Wciąż ma akcent Nowej Anglii. To stylowe.

Przez chwilę milczała, usiłując opanować dręczący ją niepokój.

- Matka po paru latach wyszła ponownie za mąż, sprzedała firmę i przeniosła się do Waszyngtonu. Bailey lubiła ojczyma. Traktował ją dobrze, rozbudził w niej zainteresowanie kamieniami szlachetnymi, to była jego dziedzina, i posłał ją do colle-

ge'u. Była jeszcze nastolatką, kiedy jej matka zginęła w wypadku samochodowym. Jej ojczym zmarł trochę później. To był niełatwy czas dla Bailey.

- To trudne, wciąż tak tracić bliskich.

- Tak. - Spojrzała na Jacka, pomyślała o tym, że on stracił ojca, brata, matkę. Być może nigdy nie miał ich naprawdę. - Ja nigdy nikogo nie straciłam.

Odgadł, dokąd podażyły jej myśli, i wzruszył ramionami.

- Można to znieść. Po prostu życie toczy się dalej. Czy z Bailey tak nie było?

- Tak, ale to ją zraniło. Takie odejścia zostawiają ślady, Jack.

- Ludzie jakoś z tym żyją.

Zdała sobie sprawę, że on nie chce o tym rozmawiać, i powróciła do przerwanej wątku.

- Ojczym zostawił jej w spadku udziały w firmie. Co nie przypadło do gustu tym padalcom.

- Rozumiem, padalcom.

- Thomas i Timothy Salvini, nawiasem mówiąc, to bliźniacy, podobni do siebie jak dwie krople wody. Oślizgłe typy w drogich garniturach i z fryzurami po sto dolarów.

- To jeden powód, by ich nie lubić - zauważył Jack. - Ale dla ciebie nie najważniejszy.

- Nie. Nigdy nie podobał mi się ich stosunek do Bailey i do kobiet w ogóle. Najprościej można ująć to tak. Bailey od początku uważała ich za swoją rodzinę, ale jej uczucie nie zostało odwzajemnione. Zwłaszcza Timothy bywał wobec niej przykry. Mam wrażenie, że przed śmiercią ojca starali się ją ignorować, a potem wściekli się, kiedy na mocy testamentu odziedziczyła część przedsiębiorstwa Salvinich.

- Co to za przedsiębiorstwo?

- Szanowna, z tradycjami firma jubilerska. Projektują, kupują, sprzedają kamienie i biżuterię, przygotowują wyceny, opracowują ekspertyzy.

- Salvini... Nie mogę powiedzieć, żebym o nich słyszał, ale nie kupuję zbyt wielu świecidełek.

- Sprzedają wspaniałe - zwłaszcza te, które wymyśla Bailey. Prowadzą też konsultacje dla muzeów i prywatnych właścicieli. Tym zajmuje się przede wszystkim Bailey. Chociaż uwielbia projektować biżuterię.

- Jeśli Bailey zajmuje się projektowaniem i sporządza ekspertyzy, co robią kochani braciszkanie?

- Thomas zajmuje się sprawami organizacyjnymi przedsiębiorstwa: księgowość, sprzedaż, podróże mające na celu rozpoznawanie źródeł klejnotów. Timothy, kiedy ma na to ochotę pracuje w laboratorium, a poza tym lubi przechadzać się salonie wystawowym, udając ważniaka.

Nerwowo wyciągnęła rękę w stronę guzików przy stereo i dostała po łapach.

- Ręce z daleka.

- Przewrażliwiony na punkcie zabaweczek, mam rację? - mruknęła. - Wracając do tematu, to dość snobistyczna niewielka firma o ustalonej renomie. To dzięki kontaktom Bailey ze Smithsonian Institute Salvini dostali do oceny Trzy Gwiazdy Mitry. Kiedy udało się jej to załatwić, skakała do sufitu. Wprost nie mogła się doczekać, kiedy dotknie diamentów, zbada je na tych wszystkich tajemniczych urządzeniach w pracowni.

- A więc to jej powierzono potwierdzenie ich autentyczności i wycenę.

- Właśnie. Nie mogła się doczekać, żeby je nam pokazać, więc w zeszłym tygodniu Grace i ja wybrałyśmy się do niej do

laboratorium. Wtedy zobaczyłam kamienie po raz pierwszy - ale wyglądały dziwnie znajomo. Imponujące, prawie nierzeczywiste, a jednak znajome. Pewnie dlatego, że Bailey opisała je nam tak dokładnie. - Poruszyła ramionami, chcąc otrząsnąć się z wrażeń i wspomnień niedawnych snów. - Widziałeś jeden z nich, dotykałeś go. Jest wspaniały. Widok wszystkich trzech wprost zapiera dech.

- Zdaje się, że również uspiły czyjeś sumienie. Jeśli Bailey jest tak uczciwa, jak mówisz...

- Jest uczciwa - przerwała mu MJ.

- W takim razie będziemy musieli przyjrzeć się uważniej jej przyrodnim braciom.

Uniosła brwi.

- Czy oni odważyliby się na próbę kradzieży Trzech Gwiazd? - myślała głośno. - Czy to dlatego Ralph mógł szantażować jednego z nich, a nie z powodu hazardu?

- Nie.

- Cóż, dlaczego nie? - Po chwili pokręciła głową, odpowiadając na swoje pytanie. - Nie mogło tak być. Płatności zaczęły się parę miesięcy temu, a oni stosunkowo niedawno zawarli tę umowę ze Smithsonian.

- Właśnie.

Zastanawiała się nad tym jeszcze przez chwilę.

- A może zamierzali ukraść brylanty? Gdyby próbowali oszukać Smithsonian, zniszczyłoby to ich firmę... firmę, którą ich ojciec budował w trudzie przez całe życie - dodała z namysłem. - I zniszczyłoby Bailey. Wystarczyłaby sama myśl o tym. Bailey zrobiłaby niemal wszystko, żeby do tego nie dopuścić.

- Na przykład coś takiego jak przesłanie kamieni dwóm osobom na świecie, do których mogła mieć pełne zaufanie.

- Tak. A potem stanęłaby twarzą w twarz z braćmi. Sama.
- Strach ścisnął ją za gardło. - Jack...

- Myśl logicznie. - Jego głos był oschły, jakby chciał w ten sposób pokonać drżenie jej głosu. - Jeśli są zamieszani w tę sprawę, a na moje oko to całkiem możliwe, to znaczy, że mają klienta, kupca. I potrzebują wszystkich trzech diamentów. Bailey jest bezpieczna, dopóki ich nie mają. Jest bezpieczna, dopóki my jesteśmy nieuchwytni.

- Może są gotowi na wszystko. Może ją gdzieś przetrzymują. Może jest ranna.

- Zranienie to jeszcze nie zabicie. Potrzebują jej żywej, MJ. Tak długo, jak nie będą mieć w ręku wszystkich trzech kamieni. A z informacji, które właśnie mi dostarczyłaś, wynika, że twoja przyjaciółka może jest wrażliwa i naiwna, ale nie jest głupia.

- Masz rację. - Wzięła się w garść i spojrzała na aparat spoczywający na jej kolanach. Uprzytomniła sobie, że telefon był ryzykiem nie tylko dla niej, ale dla nich wszystkich. - Jeśli zechcesz pojechać do Nowego Jorku, zanim będę mogła go użyć, nie będę protestować.

Uściskał jej dłoń.

- Nie pojedziemy na stadion Jankesów, choćbyś mnie nie wiem jak o to prosiła.

- Teraz jestem ci wdzięczna nie tylko za siebie. Powinnam wcześniej zdać sobie z tego sprawę. Jestem ci wdzięczna za Bailey i za Grace. Złożyłam ich los w twoje ręce, Jack.

Odsunął rękę, zacisnął ją na kierownicy.

- Nie bądź taka sentymentalna, kotku. To mi działa na nerwy.

- Kocham cię.

To niespodziewane wyznanie zrobiło na Jacku wrażenie.

- Domyślam się, że chcesz, bym powiedział to znów. I to teraz.

- Tak.

- Niech ci będzie, kocham cię. Co oznaczają te inicjały, MJ? Zgodnie z jego przewidywaniami uśmiechnęła się.

- Posłuchaj, Jack, namiętny seks i deklaracje miłości to jedna sprawa. Ale nie znam cię na tyle długo, żeby odpowiedzieć na twoje pytanie.

- Martha Jane. Jestem przekonany, że to Martha Jane.

Wydała z siebie paskudny bzyzcący dźwięk.

- Pudło. Co oznacza, że tę rundę pan przegrał, życzymy szczęścia następnym razem.

Gdzieś przecież musi być świadectwo chrztu, zadumał się. W końcu je znajdzie. Przecież jest ekspertem w takich sprawach.

- Dobrze, opowiedz mi o Grace.

- Grace to skomplikowana kobieta. Jest absolutnie, niewiarogodnie piękna. To nie przesada. Widywałam dorosłych mężczyzn, którzy zmieniali się w jękających kretyńców po jednym spojrzeniu jej błękitnych, niewinnych oczu.

- Nie mogę się doczekać spotkania z nią.

- Prawdopodobnie na jej widok zapomnisz języka w gębie, ale nie szkodzi, nie jestem zazdrosna. A to całkiem zabawne widzieć, jak faceci topnieją przy Grace. Zwróciłeś uwagę na zdjęcia w moim portfelu, kiedy przeszukiwałeś mi torebkę, prawda?

- Tak, rzuciłem okiem.

- Jest tam kilka moich zdjęć z Grace i Bailey.

Pogrzebał w pamięci, skupił się. Nie zamierzał się przyznawać, że zaledwie zauważył blondynkę i brunetkę. Całą jego uwagę przyciągnęła ruda.

- Brunetka, w wielkim idiotycznym kapeluszu.
- Tak, to było na tej wyprawie w poszukiwaniu kamieni w ubiegłym roku. Poprosiliśmy jakiegoś turystę, żeby pstryknął nam fotkę. W każdym razie, ona jest olśniewająca i uprzywilejowana. I osierocona. W dzieciństwie straciła obydwój rodziców i zamieszkała z ciotką. Fontaine'owie są obrzydliwie bogaci.

- Fontaine... Fontaine... - Mózg pracował mu intensywnie.
- Tak jak domy towarowe Fontaine?

- Zgadłeś za pierwszym razem. To bogate, nudne, nadęte snoby. Grace uwielbia ich szokować. Oczekiwano od niej, że skończy studia na Radcliffe, wybierze się w obowiązkową podróż po Europie i usidli stosownie bogatego, nudnego, nadętego snoba. Nie wyraziła najmniejszej ochoty na współpracę, a ponieważ ma góry własnych pieniędzy, naprawdę nie dba ani trochę o to, co myśli o niej rodzina. - Przerwała i zamyśliła się. - Myślę, że nie dbałaby również wówczas, gdyby była spłukana. Pieniądze nie robią na niej wrażenia. Bawi się nimi, jest rozrzutna, ale nie szanuje ich.

- Ludzie, którzy zarabiają swoje pieniądze, szanują je.

- Ona nie jest nierobem, dziedziczką - najeżyła się natychmiast MJ, stając w obronie przyjaciółki. - Po prostu nie obchodzi jej, jeśli ludzie tak ją widzą. Prowadzi dyskretnie działalność charytatywną. Nie nadaje temu rozgłosu. Jest jedną z najhojniejszych osób, jakie znam. I jest lojalna. Jak również pełna sprzeczości i humorzasta. Wyjeżdża na całe tygodnie, kiedy przychodzi jej ochota. Rusza w drogę i już. Celem podróży może być Rzym - albo Duluth. Po prostu musi jechać. Ma takie miejsce w zachodnim Maryland, coś w rodzaju wiejskiej posiadłości. Niewielki dom, ale za to hektary ziemi, z dala od cywilizacji.

Żadnych telefonów, żadnych sąsiadów. Zdaje się, że miała się tam wybrać w ten weekend.

Zamknęła oczy, próbując je sobie przypomnieć.

- Nie wiem, czy zdołałabym odnaleźć to miejsce. Byłam tam tylko raz, a w dodatku Bailey prowadziła. Kiedy wyjeżdżam z miasta, wszystkie te wiejskie drogi wydają mi się takie same. To gdzieś w górach, w pobliżu jakiegoś stanowego lasu.

- Może warto byłoby tam podjechać. Pomyślimy o tym. Czy wybrały się do rodziny w razie kłopotów?

- To ostatnie miejsce.

- A mężczyzna?

- Dlaczego liczyć na kogoś, kogo można jednym uśmiechem owinać wokół palca? Nie, nie ma mężczyzny, do którego mogłaby się zwrócić.

Przez chwilę rozważał je słowa. Wtem kiwnął głową i ukazał zęby w uśmiechu.

- Grace Fontaine - Miss Kwietnia. To ten kapelusz na zdjęciu w twoim portfelu mnie zmylił. Nigdy nie zapomniabym tej... twarzy.

- Naprawdę? - wycodziła, poruszyła się na siedzeniu i spojrzała na niego znad okularów przeciwsłonecznych. - Czy spędzasz dużo czasu, śliniąc się nad zdjęciami króliczków, Dakota?

- Robiłem to w przypadku Miss Kwietnia - przyznał pogodnie i położył rękę na sercu. - O kurczę, jesteś kumpelką Miss Kwietnia.

- Ona ma na imię Grace i pozowała do tamtego zdjęcia całe wieki temu, kiedy byliśmy w college'u. Zrobiła to, żeby zirytować rodzinę.

- Dzięki Bogu. Zdaje się, że gdzieś mam to zdjęcie. Teraz przyjrzę mu się jeszcze dokładniej. Co za ciało - wspominał z lubo-

ścią. - Kobiety zbudowane w ten sposób to dar dla męskiego rodu.

- Może zechciałbyś zjechać na pobocze i pomilczeć przez chwilę.

Spojrzał na nią, cały czas uśmiechając się łobuzersko.

- O rany, MJ, twoje oczy zrobiły się zieleńsze. A mówiłaś, że nie jesteś zazdrosna.

- Nie jestem. Na ogół. To sprawa godności. Snujesz jakieś obrzydliwe, lubieżne fantazje na temat mojej najlepszej przyjaciółki.

- Wcale nie obrzydliwe, zapewniam cię. Może lubieżne, ale na pewno nie obrzydliwe. - Bez skargi przyjął uderzenie w ramię. - Ale to ciebie kocham, kotku.

- Przymknij się.

- Jak myślisz, czy podpisze dla mnie to zdjęcie? Może dokładnie w ...

- Ostrzegam cię.

Żarty żartami, pomyślał, ale mężczyzna podejmując niepotrzebne ryzyko, może wpaść w kłopoty. Na wiele sposobów. Zjechał z autostrady i skierował się na wschód.

- Poczekaj, myślałam, że jedziemy do Pensylwanii, żeby zadzwonić.

- Właśnie powiedziałaś, że Grace ma posiadłość w zachodnim Maryland. Nie byłoby mądrze jechać w tę stronę właśnie teraz. Zmiana planów. Najpierw skoczmy do Baltimore. Nie zastanawiaj się, tylko dzwoń. Myślę, że już na dobre pożegnaliśmy się z naszym małym rajem w motelu. - Uśmiechnął się i poklepał jej dłoń. - Nie martw się, kotku. Znajdziemy coś innego.

- Mam nadzieję, że nie uda się znaleźć takiego samego - mruknęła i spiesznie wystukała numer. - Dzwonię.

- Nie rozmawiaj zbyt długo, nie mów, skąd dzwoniisz. Powiedz jej tylko, żeby poszła do automatu w jakimś publicznym miejscu i oddzwoniła do ciebie.

- To ja... - zaklęła. - Automatyczna sekretarka. Tego właśnie się obawiałam. - Uderzyła niecierpliwie pięścią w kolano, kiedy ze słuchawki popłynął nagrany głos Grace. - Grace, odbierz, do diabła. To pilne. Jeśli sprawdzisz wiadomości, nie wracaj do domu. Znajdź jakiś automat i zadzwoń na moją komórkę. Mamy kłopoty, poważne kłopoty.

- Streszczaj się, MJ.

- O Boże. Grace, uważaj na siebie. Zadzwoń. - Rozłączyła się. Z trudem łapała oddech. - Musi być w górach albo coś ją napadło i postanowiła spędzić święto w Londynie. Albo jest na plaży w Indiach Zachodnich. Albo... już ją znaleźli.

- Nie wygląda na damę, którą łatwo wytropić. Skłaniam się ku twojej pierwszej hipotezie. - Zawrócił samochód na autostradzie międzystanowej i skierował się na północ. - Pokręcimy się tu trochę, potem zatrzymamy i zatankujemy. I kupimy mapę. Zobaczymy, czy uda nam się pobudzić twoją pamięć i znaleźć kryjówkę Grace w górach.

Ta perspektywa uśmierzyła jej niepokój.

- Dzięki.

- Na uboczu, mówisz?

- W środku jakiegoś lasu, a las jest gdzieś na pustkowiu.

- Hm, nie przypuszczam, że chodzi tam nago. - Zaśmiał się cicho, kiedy go uderzyła. - Tak sobie tylko pomyślałem.

Znaleźli stację benzynową i kupili mapę. Zatrzymali się na lunch w barze na postoju ciężarówek tuż obok autostrady międzystanowej, rozłożyli mapę na stoliku i zabrali się do dzieła.

- Cóż, popatrzmy, w zachodnim Maryland jest zaledwie jakieś pół tuzina stanowych lasów - zauważył Jack i nabrał na widelec trochę pieczeni rzymskiej. - Czy któryś z nich coś ci przypomina?

- A czym się różnią? Drzewa wyglądają zawsze tak samo

- Prawdziwy z ciebie mieszczuch, wiesz?

Wzruszyła ramionami i odgryzła kęs sandwicza z szynką

- A z ciebie nie?

- Chyba tak. Nigdy nie mogłem zrozumieć, dlaczego ludzie chcą mieszkać w lasach czy w górach. Zawsze się zastanawia gdzie jedzą.

- W domu.

Spojrzeli na siebie, pokręcili głowami.

- Wieczorami przeważnie też - przytaknął. - A gdzie idą się rozerwać, odpocząć po pracy? Na patio. To przerażające.

- Żadnych ludzi, samochodów, żadnych restauracji i barów ani kin. Żadnego życia.

- Zgadzam się z tobą. Najwidoczniej nasza przyjaciółka Grace jest innego zdania.

- Moja przyjaciółka - podkreśliła MJ. - Ona lubi samotność. Uprawia ogród.

- Co sadzi, pomidory?

- Nie tylko, kwiaty też. Wtedy, jak przyjechałyśmy, grzebała w ziemi, sadząc - nie mam pojęcia, petunie czy coś takiego. Lubię kwiaty, ale przecież można je po prostu kupować. Nikt nie mówi, że musisz je hodować. W lasach były jelenie. Było całkiem fajnie. Bailey od razu poczuła się jak u siebie w domu. To dobre na parę dni, ale ona nie ma tam nawet telewizora.

- To barbarzyństwo.

- Właśnie. Słucha tylko kompaktów i jednoczy się z naturą

czy coś w tym rodzaju. W okolicy jest mały sklepik - przynajmniej parę kilometrów od domu. Można w nim kupić chleb, mleko i gwoździe. Wyglądał jak z serialu telewizyjnego o Mayberry, tylko że tamto miasteczko jest w Karolinie Północnej. Był tam bank, jak mi się zdaje, i poczta.

- Jak się nazywa to miasteczko?

- Nie mam pojęcia. Dogpatch?

- Zabawne. Spróbuj przypomnieć sobie drogę, przynajmniej w przybliżeniu. Jechałyście szosą numer dwieście siedemdziesiąt.

- Tak. A potem skręciłyśmy w siedemdziesiątą, zdaje się w pobliżu... Frederick. Ja na trochę się wyłączyłam. Chyba nawet przysnęłam. Ta jazda zdawała się nie mieć końca.

- Zatrzymywałyście się po drodze - podpowiedział. - Dziewczeta na takich wyprawach robią mnóstwo krótkich postojów.

- Czy to krytyka?

- Skądże, stwierdzam po prostu fakt. Gdzie się zatrzymałyście? Co robiłyście?

- Gdzieś przy siedemdziesiątej. Byłam głodna. Chciałam coś przekąsić w barze szybkiej obsługi.

Zamknęła oczy, usiłując odtworzyć w pamięci tamten dzień.

Wciąż jesz jak nastolatka, MJ.

I co z tego?

Dlaczego dla odmiany nie mogłybyśmy wziąć sałatki?

Ponieważ dzień bez frytek to ponury, zmarnowany dzień.

Na myśl o tym, jak przyjaciółka wzniosła oczy do nieba, a w końcu dała za wygraną, MJ uśmiechnęła się.

- Och, poczekaj. Zjadłyśmy szybki lunch, a potem Bailey zobaczyła afisz sklepu z antykami. Pomieszczenie wielkości stodoły wypełnione starociami. Oczywiście natychmiast się podnieciła, musiała to zobaczyć. To było nieopodal autostrady,

miało jakąś głupią nazwę, typowo wiejską. Mam to na końcu języka. Rabbit Hutch, Chicken Coop. Nie, coś z wodą w nazwie. Trout Stream. Beaver Creek! - wykrzyknęła z triumfem. - Zatrzymałyśmy się, żeby pobuszować na gigantycznym pchlim targu, czy jak to nazywają w Beaver Creek. Spędziłaby tam cały weekend, gdybym nie wyciągnęła jej siłą. Kupiła Grace starą, wagę i dzban. No, wiesz, podarunek dla domu. Ja kupiłam jej bujany fotel na werandę. Omal nie padłyśmy trupem, kiedy ładowałyśmy go do samochodu Bailey.

- W porządku. - Skinął głową i złożył mapę. - Pojedziemy do Beaver Creek. Stamtąd będziemy szukać dalej.

Później, kiedy stali na parkingu pchlego targu, MJ popijała napój bezalkoholowy z puszki. To samo zrobiła podczas tamtej wyprawy z Bailey i miała nadzieję, że to w jakiś sposób pobudzi jej pamięć.

- Jestem pewna, że wróciłyśmy na siedemdziesiątą. Bailey coś trajkotała o jakimś szkle - z czasów Wielkiego Kryzysu, Zamierzała wrócić i wykupić cały targ. Wpadł jej też w oko pewien stół. Była zła na siebie, że nie capnęła go i nie kazała przesłać pod swój adres. Ja wygrałam stację.

- Co?

- Stację. Bailey lubi muzykę klasyczną. No, wiesz, Beethoven i takie tam. Kiedy podróżujemy razem, rzucamy monetą, żeby ustalić, kto nastawi radio. Ja wygrałam, więc słuchałyśmy Aerosmith - mojej wersji muzyki długowłosych.

- Myślę, że jesteś dla siebie stworzeni. To zaczyna się robić przerażające. - Pochylił się, musnął jej wargi swoimi.
- Jak była ubrana?

- Skąd ta nagła obsesja na punkcie strojów moich przyjaciółek?

- Po prostu chodzi o to, żebyś sobie wszystko przypomniała. Wypełniła obraz. Im więcej szczegółów, tym łatwiej powinno ci pójść.

- Aha, rozumiem. - Udobruchana, ściągnęła wargi i wpatrzyła się w niebo. - Miała na sobie spodnie w odcieniu beżu. Bailey unika śmiałych barw. Grace zawsze nad tym ubolewa. Jedwabna bluzka, szyta na miarę, bladoróżowa. W uszach miała wspaniałe kolczyki. Sama je zrobiła. Duże bryłki różowego kwarcu. Przymierzyłam je w samochodzie. Nie było mi w nich do twarzy.

- Róż nie mógłby pasować, nie przy tych włosach.

- To mit. Rudowłose mogą się ubierać na różowo. Z międzystanowej skręciłyśmy na zachód. Nie pamiętam numeru drogi, Jack. Bailey miała go w głowie. Zabrałyśmy plan, ale ona nie potrzebowała mnie jako pilota.

Zerknął na mapę.

- Sześćdziesiąta ósma kieruje się na zachód od Hagerstown. Zobaczmy, czy coś ci się przypomni.

- Pamiętam, że stąd było jeszcze ze dwie godziny jazdy - powiedziała, wsiadając z powrotem do samochodu. - Mogłabym na jakiś czas się za kółkiem.

- Nie, nie mogłabyś.

Prześliznęła się wzrokiem po samochodzie, zauważając, że tylne drzwi są przymocowane drutem.

- Z tym starym gratem naprawdę trudno czuć się jak dumny właściciel, Jack.

Zacisnęła szczęki. Ten stary grat do niedawna był jego jedyną prawdziwą miłością.

- Jest bardziej prawdopodobne, że przypomnisz sobie to miejsce, jeśli będziemy trzymać się planu.

- Niech ci będzie. - Wyciągnęła przed siebie nogi, kiedy wyjeżdżali z parkingu. - Myślałeś kiedyś o tym, żeby go pomalować?

- Ten samochód ma charakter właśnie taki, jaki jest. A liczy się to, co jest pod maską, nie lśniąca powierzchnia.

- To, co jest pod maską. - Zerknęła na zestaw stereo. - Założę się, że ta zabawka kosztowała cię przynajmniej cztery kawałki.

- Lubię muzykę. A co z tą zabaweczką, którą ty jeździsz?

- Mój MG to klasyka.

- To samochód dla dzieci. Musisz chyba składać nogi, kiedy siadasz za kółkiem.

- Przynajmniej kiedy parkuję, nie przypomina to dokowania parowca w porcie.

- Skup się na drodze, dobrze?

- Uważam. - Podała mu resztę swego napoju. - Wiem, że tak to wygląda, ale ty chyba nie mieszkasz w tym samochodzie, prawda?

- Kiedy muszę. Poza tym mam mieszkanie na Mass Avenue. Dwa pokoje.

Zakurzone bezosobowe meble, pomyślał teraz, stopy książek, ale za to żywej duszy. Żadnych korzeni, niczego, czego nie mógłby bez wahania zostawić.

Zupełnie tak samo wyglądało jego życie, aż do wczoraj.

Co on, u diabła, wyprawia? Nie stało za nim nic, co nawet na wyrost można byłoby nazwać podstawą. Nic, na czym można byłoby budować. Nic do zaoferowania.

Ona ma rodzinę, przyjaciół, bar, który sama otworzyła i z sukcesem prowadzi. Bez udziału ich woli los postawił ich w niebezpiecznej sytuacji. Co ich łączy poza podobnymi upodobaniami, jeśli chodzi o muzykę, i tym, że oboje woleli mieszkać w mieście?

I faktem, że jest w niej zakochany po uszy.

Spojrzał na MJ. Pochylała się w skupieniu do przodu, wyglądała ze zmarszczonym czołem przez okno, próbując tropić punkty orientacyjne.

Nie jest piękna, pomyślał. Mógł być ślepo zakochany, ale nigdy nie określiłby jej tak prostym terminem. Ta dziwna, trójkątna twarz przyciągała uwagę - zwłaszcza męską uwagę. Była seksowna, niezwykła, z kontrastem płaszczyzn i kątów i wygięciem tych zmysłowych warg.

Jej ciało było stworzone do szybkości i ruchu, nie do marzeń. A jednak zatracił się w nim. I w niej.

Wiedział, że kiedy ją spotkał, w jego życiu nastąpił przełom, ale nie miał pojęcia, jak ta historia się zakończy.

- To ta droga. - Odwróciła się i uśmiechnęła do niego, aż serce mu załomotało. - Jestem tego pewna.

ROZDZIAŁ 9

Droga prowadziła przez sam środek góry. MJ pomyślała, że to jakieś nadzwyczajne osiągnięcie nowoczesnej myśli technicznej, ale nie czuła się zbyt pewnie. Jej niepokój budziły zwłaszcza znaki ostrzegające przed spadającymi głazami i strzeliste poszczerbione ściany skał po obu stronach szosy.

Mogła zrozumieć i przewidywać zachowania oszustów, ale kto zdołałby przewidzieć zachowanie matki natury? Co miałyby ją powstrzymać od drobnego napadu złego humoru i zrzucenia paru otoczek na ich samochód? A ponieważ był na tyle duży, że mogło się w nim wygodnie pomieścić osiem osób, stanowił świetny cel.

Ostrożnie wyglądała przez boczne okienko, zaklinając skały, żeby tkwiły w miejscu, póki oni nie przejadą przez przełęcz.

Na horyzoncie wznosiły się kolejne góry, których zbocza porastała bujna zieleń pełni lata. Upał i wilgoć zlały się w jedno, powietrze było gęste jak ulepek. Opony szumiały na szosie.

Od czasu do czasu jej oczom ukazywały się domy, zza przydrożnych drzew. Zupełnie jakby się skrywały przed wscibskim wzrokiem. Rozmyślała o nich, tych ledwo widocznych domach, bez wątpienia z czyściutkimi podwórkami strzeżonymi przez

ujadające psy, z dobrze utrzymanymi ogrodami i bujanymi ła-
weczkami, pomostami i patiami, na których stały grille i wygod-
ne fotele.

Niewątpliwie był to jakiś sposób na życie, ale trzeba było
dbać o ogród, strzyc trawnik, dokonywać napraw.

MJ nigdy nie mieszkała w domu z ogrodem. Do jej trybu
życia zawsze bardziej pasował miejski apartament. Na niektó-
rych ludziach mieszkanie sprawiało pewnie wrażenie pudełka
wciśniętego wraz z innymi pudełkami w duże pudło, ale ona
była zadowolona. Gdy zamykała drzwi, była u siebie, a przy tym
wiedziała, że za ścianą mieszkają inni, co dawało poczucie
bezpieczeństwa.

Po co chcieć trawnika i huśtawki, jeśli nie ma się dzieci?

Na tę myśl poczuła lekki niepokój. Czy kiedykolwiek przedtem
myślała o tym, żeby mieć dzieci? O kołysaniu dziecka, obserwowaniu,
jak rośnie, wiązaniu sznurowadeł i wycieraniu nosa?

Przecież to Grace uwielbia dzieci. Nie znaczy to, że ona sama
ich nie lubi. Miała całe mnóstwo kuzynów, którzy z zapamięta-
niem zaludniali świat, i spędzała wiele czasu na odwiedzinach
w ich domach, rozplływając się w zachwytach nad kolejnym nie-
mowlakiem, bawiąc się na podłodze z parolatką czy podając
piłkę świeżo upieczonemu zawodnikowi Małej Ligi.

Nie przypuszczała, że wygląda to tak samo, kiedy ma się
własne dzieci. Ciekawe, jakie to uczucie, kiedy twoje własne
dziecko opiera ci główkę na ramieniu i ziewa albo kiedy berbec
na niepewnych nogach unosi rączki do góry, żeby go wziąć na
ręce?

Co ona, na litość boską, wyprawia, myśląc o dzieciach w ta-
kiej chwili? Wsunęła palce za okulary i przycisnęła je do zmę-
czonych oczu.

A potem uważnie spojrzała na profil Jacka. Ciekawe, co on sądzi o dzieciach.

To niewiarygodne, poczuła, jak na policzki wypełza jej rumieniec. Szybko odwróciła twarz do okna. Idiotka, powiedziała sobie w duchu. Znasz faceta od niedawna, a zaczynasz rozmyślać o pieluszkach i bucikach.

Właśnie, skonstatowała ponuro, oto co się przydarza kobiecie, kiedy przywiąże się do jakiegoś faceta. Staje się słaba, miękka i sentymentalna.

Nagle wydała okrzyk, który zaskoczył ich obojwoje.

- Tutaj! To ta droga! Właśnie tu skręciłyśmy, jestem tego pewna.

- Następnym razem mnie zastrzel - zaproponował Jack, skręcając w prawo. - Z pewnością będzie to mniejszy szok niż atak serca.

- Przepraszam.

Wziął zakręt wolno, dając jej czas, by się rozejrzała, kiedy wjeżdżali na dwupasmową szosę.

- W lewo - powiedziała po chwili. - Jestem prawie pewna, że skręciłyśmy w lewo.

- Dobrze, i tak muszę zatankować. - Skierował się do najbliższej stacji benzynowej i zatrzymał samochód przy dystrybutorach. - O czym myślałaś przed chwilą, MJ?

- O czym myślałam?

- Wydawałaś się taka odległa.

Fakt, że potrafił to rozpoznać, wprowadził ją w zakłopotanie. Poruszyła się niespokojnie, wzruszyła ramionami.

- Po prostu się koncentrowałam, to wszystko.

- Nie, to nieprawda. - Ujął dłonią jej podbródek i odwrócił ją twarzą do siebie. - Tego właśnie nie robiłaś. - Potarł kciukiem

jej wargi. - Nie martw się. Odnajdziemy twoje przyjaciółki. Nic im nie będzie.

Skinęła głową, przejęta nagłym wstydem. Powinna myśleć o Grace i Bailey, a tymczasem śniła na jawie o dzieciach jak jakaś usychająca z miłości kretynka.

- Grace na pewno jest w domku. Musimy tylko go odnaleźć.

- Tego się trzymaj. - Pochylił się, musnął ustami jej wargi. - A teraz idź i kup mi batonik.

- Ty masz całą forszę.

- Faktycznie. - Wsiadł z samochodu, sięgnął do kieszeni i wyciągnął stamtąd zwitek banknotów. - Możesz zaszałec - zasugerował - i dla siebie też kupić jednego.

- Ojej, dzięki, tatusiu.

Uśmiechnął się, kiedy odeszła, wyciągając długie nogi. Wąskie biodra poruszały się pod dopasowanym materiałem dżin-sów. Ale sztuka, zadumał się, wsuwając dyszę dystrybutora do wlewu paliwa. Nie zamierzał narzekać na los, który postawił ją na jego drodze.

Zastanawiał się, jak długo będą razem. Czy jest im pisana wspólna przyszłość? Ludzie nie zostawali w jego życiu na długo - przychodzili i odchodzili. Dotychczas wszystko przebiegało według tego samego schematu i stracił nadzieję, iż może być inaczej. Być może przestał pragnąć, by było inaczej.

Wiedział jednak, że gdyby ona zdecydowała się odejść, nigdy by się z tym nie pogodził. Dlatego też postanowił dołożyć starań, by go nie porzuciła.

Napełniając żarłoczny bak oldsmobile'a, patrzył, jak MJ w drodze powrotnej kieruje się do automatu z napojami. Zauważył, że nie on jeden ją obserwuje. Nastolatek tankujący zardze-

wiałego pick-upa przy sąsiednim dystrybutorze również zwrócił na nią uwagę.

Nie można cię winić, kolego, pomyślał Jack. Jest naprawdę niezła. Może kiedy dorośniesz, poszczęści ci się i znajdziesz sobie kobietę, która będzie choć w połowie tak doskonała.

Zaklinając swoje szczęście, zakręcił wlew i podszedł do MJ. Korzystając z tego, że miała ręce zajęte batonikami i napojami, przyciągnął ją do siebie i nakrył ustami jej wargi w długim, płomiennym, oszałamiającym pocałunku.

Kiedy ją wreszcie puścił, brakowało jej tchu.

- Za co to?

- Bo mam ochotę - powiedział po prostu i dumnym, rozkołysanym krokiem poszedł zapłacić za benzynę.

MJ pokręciła głową. Spozrzegła, że nastolatek zagapił się i przelał bak.

- Na twoim miejscu nie używałabym teraz zapałek, kolego - rzuciła, mijając go i wsiadła do samochodu.

Kiedy Jack do niej dołączył, poszła za głosem impulsu, wsunęła dłonie w jego włosy i przyciągnęła go do siebie, by oddać mu pocałunek.

- To dlatego, że ja też mam ochotę.

- Tak. - Był pewny, że z uszu wydobywa mu się dym. - Dobrana z nas para.

Chwilę trwało, zanim zapanował nad pożądaniem i przypomniał sobie, jak się przekręca kluczyk w stacyjce.

Poruszona i rozbawiona reakcją Jacka wyciągnęła w jego stronę czekoladowy batonik.

- Masz ochotę na coś słodkiego?

Mruknął twierdząco, wziął go, ugryzł.

- Uważaj na drogę - powiedział. - Spróbuj znaleźć coś znajomego.

- Wiem, że nie jechałyśmy tą drogą zbyt długo - zaczęła. - Wkrótce skręciłyśmy na jakieś boczne dróżki. Tak jak powiedziałam, Bailey miała to wszystko w głowie. Bailey! - Wtem doznała olśnienia. Przycisnęła obie dłonie do ust.

- O co chodzi?

- Przez cały czas zastanawiałam się, dokąd by się wybrała, gdyby miała kłopoty, gdyby uciekała. - Z płonącym wzrokiem gwałtownie odwróciła się ku niemu. - A odpowiedź jest prosta. Ona wie, jak dojechać do domku Grace. Podobał jej się. Czułaby się tam bezpieczna.

- To możliwe - zgodził się.

- Na pewno zwróciłyby się do jednej z nas. - Potrząsnęła głową, gwałtownie, desperacko. - A nie mogła zwrócić się do mnie. To znaczy, że skierowała się tutaj, może autobusem czy pociągiem, tak daleko, jak zdołała, a potem wynajęła samochód. - Ciężar spadł jej z serca. - Tak, to jest racjonalne i pasuje do niej. Obie są tutaj, w środku lasów, zastanawiają się, co robić i martwią się o mnie.

A on niepokoił się o nią, ponieważ jej nadzieje mogły okazać się płonne. Nie miał jednak serca jej o tym powiedzieć.

- Jeśli tak jest w istocie - zasugerował - musimy jeszcze je znaleźć. Cofnij się pamięcią do tamtej wyprawy, postaraj się wszystko odtworzyć.

- Dobrze. - Z nową energią przyglądała się mijanym widokom. - To było wiosną - zadumała się. - Wokół było pięknie. Wszystko kwitło. Derenie, zdaje się, i żółte krzewy w takim neonowym kolorze. I coś, co Bailey nazwała judaszowcem. Mi-jałyśmy ogród - przypomniała sobie nagle. - No wiesz, szkółkę.

Bailey chciała tam zajrzeć i kupić Grace jakiś krzak czy coś w tym rodzaju, a ja powiedziałam, że powinnyśmy wpierw do niej pojechać i zobaczyć, co już ma.

- A więc szukamy szkółki.

- Miała taką idiotyczną nazwę. - Zamknęła na moment oczy, usiłując ją sobie przypomnieć. - Sentymentalną. Była przy samej szosie i było tam pełno ludzi. Między innymi dlatego nie chciałam się zatrzymywać. To zajęłoby całe wieki. Buds and Blooms. - Zaklaskała w dłonie, kiedy wreszcie sobie przypomniała. - Jakies półtora kilometra za nią skręciłyśmy w prawo.

- Znakomicie. - Ujął jej dłoń, uniósł do ust i pocałował. Obydwoje spieszyli się tym gestem. Jeszcze nigdy w życiu nie pocałował kobiety w rękę.

MJ poczuła dziwne ssanie w żołądku. Odchrząknawszy, położyła dłoń na kolanie.

- Cóż... W każdym razie Grace i Bailey pojechały do tej szkółki. Ja zostałam w domku. Obie przepadają za zakupami. Wszystko jedno jakimi. Przypuszczałam, że wykupią cały towar, co nie było dalekie od prawdy. Wróciły obładowane plastikowymi tacami z kwiatami, kwiatami w doniczkach i paroma krzewami. Grace ma tam pick-upa. Wyobrażam sobie, co by pisali w kolumnie poświęconej modzie w „Post” o tym, jak Grace Fontaine prowadzi pick-upa.

- Przejęłaby się tym?

- Uśmiełaby się. Ale zachowuje to miejsce w tajemnicy. Jej krewni - właśnie tak mówi o swojej rodzinie: krewni - nic o nim nie wiedzą.

- Powiedziałbym, że to działa na naszą korzyść. Im mniej ludzi o nim wie, tym lepiej. - Uśmiechnął się, widząc szylt.

- Oto i nasz ogród, kotku. Interes kręci się doskonale.

Twarz jej pojaśniała zadowoleniem na widok sznura samochodów osobowych i ciężarówek zaparkowanych na poboczu i tłumu krążącego wokół stołów z kwiatami.

- Założę się, że mają świąteczną wyprzedaż. Dziesięć procent zniżki za czerwone, białe czy niebieskie bukiety.

- Boże, błogosław Amerykę. Półtora kilometra, mówisz?

- Tak, a potem skręciłyśmy w prawo. Jestem pewna.

- Nie lubisz kwiatów?

- Co? - Spojrzała na niego z roztargnieniem. - Jasne, są w porządku. Lubię te pachnące. Wiesz, takie jak goździki. Nie pachną za słodko i nie więdną po dwóch dniach.

Zaśmiał się cicho.

- Muskularne kwiaty. Czy to ta droga?

- Nie... chyba nie. Trochę dalej. - Pochyliła się do przodu, zabębniła palcami o deskę rozdzielczą. - Ta! Skręcaj teraz. Jestem prawie pewna.

Zwolnił, wziął zakręt w prawo. Droga wznosiła się i skręcała. Ogrodzenie wzdłuż niej powoli zarastało kapryfolium, a za nim pasły się krowy.

- Wydaje mi się, że to ta. - Przygryzła wargi. - Wszystkie te cholerne drogi wyglądają tak samo. Pola, kamienie i drzewa. Skąd ludzie wiedzą, jak trafić?

- Jechałyście tą drogą do samego końca?

- Nie, znów skręciłyśmy. Na prawo czy na lewo? - zastanawiała się.

- W prawo czy w lewo?

- Wjechałyśmy głębiej i wyżej w leśne ostępy. Może tutaj.

Zwolnił, by dać jej czas do namysłu. Skrzyżowanie było wąskie, z jednej strony na rogu stał dom z kamienia. Na podwórzu, w cieniu starego klonu drzemał pies. Po trawie dreptały szare kaczki.

- To mogła być ta droga, w lewo. Przepraszam, Jack, to jest takie mgliste.

- Posłuchaj, mamy pełen bak benzyny i mnóstwo czasu do zmroku. Nie przejmuj się tak.

Skręcił w lewo, na krętą drogę, która wznosiła się i opadała. Domy były teraz daleko jeden od drugiego, a pola porastała gęsto kukurydza sięgająca mężczyźnie do pasa. Po polach zaczęły się lasy, gęste i zielone, a przydrożne drzewa pochyłały konary nad drogą, tworząc cienisty tunel dla przedzierającego się samochodu.

Wjechali na wzniesienie i ich oczom ukazał się oszałamiający widok. Porywająca przestrzeń zielonych gór i falującej u ich podnóża ziemi.

- Tak. Bailey o mało nie wykończyła samochodu, zanim wjechałyśmy na to wzgórze. Jeśli to jest to wzgórze - dodała.

- Myślę, że to część lasu stanowego. Ten widok zrobił na niej niesamowite wrażenie. Ale znów skręciłyśmy. W jedną z tych wąskich drózek między drzewami.

- Dobrze sobie radzisz. Powiedz mi, w którą mam skręcić.

- Na tym etapie twój wybór jest równie dobry jak mój. - Czują się kompletnie bezradna. - Teraz wszystko wygląda inaczej. Drzewa są gęste. Wtedy okrywała je tylko zielona mgiełka.

- Spróbujmy tę - postanowił, rzuciwszy metalowy pieniążek, i skręcił na prawo.

Tylko dziesięć minut zajęło im stwierdzenie, że się zgubili, a kolejne dziesięć wydostanie się na główną drogę. Przejechali przez małe miasteczko, którego MJ nie pamiętała, i wrócili do punktu wyjścia.

Po godzinie błędzenia MJ czuła, że jej wytrzymałość jest na wyczerpaniu.

- Jak możesz być tak spokojny? - zapytała. - Przysięgåłbym, że przedarliśmy się przez wszystko, co przypomina drogę, w promieniu kilkudziesięciu kilometrów. Przez każdą uliczkę, drózkę i ścieżkę dla krów. Zaczynam wariować.

- Moja praca wymaga cierpliwości. Czy opowiadałem ci, jak ścigałem Dużego Billa Bristola?

Poruszyła się, pewna, że od tej wielogodzinnej jazdy porobiły jej się odciski na pupie.

- Nie, nie opowiadałeś mi o tym, jak ścigałeś Dużego Billa. Czy zamierzasz to zmyślić?

- Nie muszę.

Chcąc dać im obojgu trochę wytchnienia, zjechał z drogi. Na poboczu był niewielki parking, a przy nim coś, co można było nazwać stawkiem. Drzewa zwieszające się nad ciemną wodą przepuszczały niewiele promieni słonecznych, które padały na powierzchnię wody i odbijały się od niej.

- Duży Bill był poszukiwany za napaść. Stracił cierpliwość przy grze w siedem kart i próbował ograć przeciwnika. To było po tym, jak złamał mu nos i znokautował go. Duży Bill ma blisko dwa metry wzrostu, waży sto trzydzieści kilo i ma ręce jak bochny. Nie lubi przegrywać. Wiem to na pewno, bo spędziłem z nim pewien wieczór przy automatach do gry.

MJ uśmiechnęła się czarująco.

- Do licha, Jack, nie mogę się doczekać, kiedy poznam twoich znajomych.

Nie musiał się wysilać, żeby dosłyszeć sarkazm w jej głosie. Rzucił jej spojrzenie z ukosa.

- W każdym razie Ralph złożył za niego kaucję, ale Duży Bill dowiedział się o pewnej grze w Jersey i nie chciał, żeby go ominęła. Prawo jest przeciwne nie tylko nie licencjonowanym

grom hazardowym, ale również ucieczkom, kiedy za kogo wpłacono kaucję. Zwolnienie cofnięto i Bill znalazł się na liści uciekinierów.

- A ty ruszyłeś za nim.

- Właśnie. - Jack potarł podbródek. Przemknęło mu przez głowę, że warto byłoby się ogolić. - To miała być prosta robota. Znaleźć zdobycz, przypomnieć Billowi, że ma się stawić w sądzie, przyprowadzić go z powrotem. Ale, zdaje się, Bill wygrał w Jersey sporo forsy i wyruszył w drogę, by pograć gdzie indziej. Powinienem dodać, że Bill jest wprawdzie duży, ale za to mało przewidujący. A poza tym karta mu szła, więc podróżował od gry do gry, od stanu do stanu.

- Z Jackiem Dakotą, łowcą nagród, tuż za nim.

- W każdym razie na jego tropie. Przeważnie tuż za nim. Jeśli głupek zamierzał mnie zgubić, powinien lepiej się do tego zabrać. Przemierzyłem północny wschód Stanów, brałem udział w każdej grze.

- Ile przegrałeś?

- Za mało, żeby o tym mówić - odparł, widząc jej szeroki uśmiech. - Około północy dotarłem do Pittsburgha. Czułem, że coś wisi w powietrzu, ale ani groźbą, ani łapówką nie mogłem od nikogo wyciągnąć, gdzie się gra. Śledziłem Billa od czterech dni, mieszkalem w samochodzie i grałem w pokera z facetami o imionach Bats i Fast Charlie. Byłem zmęczony, brudny i miałem przy sobie ostatnie sto dolarów. Poszedłem do baru.

- Naturalnie.

- To ja opowiadam - zauważył, wicherząc jej włosy. - Wybrałem go na chybił trafił, bez namysłu, bez planu. I zgadnij, kto był w pomieszczeniu na tyłach, trzymając parę asów i zgarniając kasę?

- Pomyślmy... Czy mógł to być... Duży Bill Bristol?

- We własnej osobie. Cierpliwość i logika zawiodły mnie do Pittsburgha, ale instynktowi zawdzięczam, że wszedłem w srodek gry.

- Jak go skłoniłeś, żeby wrócił z tobą?

- Miałem wybór. Zastanawiałem się, czy nie walnąć go krzesłem w głowę. Ale było bardziej niż prawdopodobne, że to by go tylko rozdrażniło. Myślałem też o tym, żeby zaapelować do jego poczciwości, przypominając, że ma dług u Ralpha. Ale on wciąż był na fali i nic by go to nie obeszło. A więc wypilem drinka i przyłączyłem się do gry. Po paru godzinach wytłumaczyłem całą sytuację Billowi i przemówiłem do niego na jego poziomie. Jedno rozdanie. Ja wygrywam, on wraca ze mną, bez protestu. On wygrywa, ja zostawiam go w spokoju.

- I wygrałeś?

- Tak. - Znów podrapał się w podbródek. - Oczywiście miałem asa w rękawie, ale jak już mówiłem, rozum nie jest mocną stroną Dużego Billa.

- Oszukiwałeś?

- Jasne. To było najrozsądniejsze wyjście z sytuacji. W rezultacie wszyscy byli zadowoleni.

- Z wyjątkiem Dużego Billa.

- Nie, on też był zadowolony. Miał dobrą passę i zgromadził na tyle dużo gotówki, żeby zapłacić facetowi, któremu rozbił głowę. Oskarżenie wycofano. I po sprawie.

Przekrzywiła głowę na bok.

- A co byś zrobił, gdyby postanowił nie wracać posłusznie z tobą?

- Rozbiłbym krzesło na jego głowie i miałbym nadzieję, że jakoś to przeżyje.

- Ależ ty życie prowadzisz, Jack.

- Lubię to. A morał z tej historii jest taki, że w życiu trzeba się kierować rozumem. A kiedy rozum nie wystarcza, wówczas pozostaje instynkt. - Sięgnął do kieszeni i wyjął kamień. - Drugi kamień to wiedza. - Spojrzał jej w oczy. - Co wiesz, MJ?

- Nie rozumiem.

- Znasz swoich przyjaciół. Znasz ich lepiej niż ja Dużego Billa, niż kogokolwiek innego, jeśli już przy tym jesteśmy.

- Uświadomił sobie, że może jej tego zazdrościć. Pomyśli o tym później. - Są częścią twego świata, tego, kim byłaś, kim jesteś iak się domyślasz, kim będziesz.

Poczuła ucisk w piersiach.

- Próbujesz na mnie swoich filozoficznych sztuczek, Dakota.

- Czasami to też się przydaje. Zawierz swemu instynktowi, MJ. - Położył jej na dłoni brylant i zacisnął na nim jej palce.

- Zaufaj temu, co znasz.

Miała nerwy napięte jak struny.

- Oczekujesz ode mnie, że potraktuję ten kamień jak coś w rodzaju kompasu? Różdżki?

- Czujesz to, prawda? To tak jak oddychanie. Wiesz, na czym polegają mity? Jeśli sięgniesz wystarczająco głęboko, dotrzesz do prawdy. Drugi kamień to wiedza. - Odchylił się do tyłu, położył dłonie na kierownicy. - W którą stronę chcesz jechać?

Było jej zimno, tak zimno, że dostała dreszczy. Jednak kamień płonął jej w dłoni niczym słońce.

- Na zachód. - Słyszała siebie, jak to mówi, zdała sobie sprawę, że to dziwne dla mieszkanki miasta wskazywać kierunek w ten sposób, zamiast mówić po prostu: w prawo czy w lewo. - To idiotyczne.

- Normalność zostawiliśmy za sobą wczoraj. Nie ma sensu szukać tamtego tropu. Powiedz mi tylko, w którą stronę chcesz jechać. Jaki kierunek wydaje ci się właściwy?

A więc trzymała kamień zaciśnięty w dłoni i kierowała go przez kręte drogi wśród drzew i nagich skał, wzdłuż wijącego się płytkiego strumienia, który, na wpół wyschnięty, sączył się leniwie, obok małego brązowego domku stojącego tak blisko drogi, że jego drzwi otwierały się niemal wprost na nią.

- Na prawo - wychrypiała. W gardle jej zupełnie wyschło. - Musisz uważać, żeby jej nie przegapić. My ją minęliśmy, musiałyśmy zawracać. To wąski podjazd. Przecinka przez las. Ledwie można ją dojrzeć. Nie ma skrzynki na listy. Grace jeździ do miasteczka i odbiera listy na pocztę. Tam. - Jej dłoń drżała nieco, kiedy wskazywała mu kierunek. - Właśnie tam.

Wjechał w prześwit. Dróżka była rzeczywiście wąska. Gałęzie muskały i rysowały boki samochodu, podczas gdy toczyli się powoli w górę po żwirze, za zakręt ukryty wśród drzew.

Tuż za zakrętem, pośrodku dróżki stał jeleń, nieruchomy niczym kamienny posąg, a jego sierść świeciła ciemnym złotem w blasku słońca.

To na pewno biała łania, pomyślał głupio Jack. Biała łania to symbol poszukiwań.

Łania patrzyła na zbliżający się samochód z głową uniesioną w górę, z szeroko otwartymi, czujnymi oczami. Po czym, z błyskawicznym ruchem ogona, szybkim skrzętem wspaniałego ciała, pognała w las na cienkich, pełnych gracji nogach. I niemal bezszelestnie znikła.

Dom wyglądał właśnie tak, jak pamiętała MJ. Przytulony do wzgórza ładny piętrowy budynek, położony nad małym szem-

rzącym strumykiem, wtapiał się w okoliczne lasy. Był z drewna i szkła, o prostych kształtach, z długą werandą od frontu, pomalowaną na jaskrawoniebieski kolor. Stały na niej dwa białe fotele na biegunach oraz miedziane donice, z których wprost kipiały płożące się kwiaty.

- Wykonała kawał roboty - mruknęła MJ, ogarniając spojrzeniem ogród. Kwiaty rosły wszędzie, szalone, zupełnie jak nie planowane. Powódź kolorów i kształtów staczała się pol wzgórzu niczym rzeka. Szerokie drewniane schody przecinały ten kwietny dywan, skręcały w lewo i prowadziły w dół, do drogi.

- W domu przy Potomacu wynajęła architekta krajobrazu. Wiedziała, czego chce, ale wynajęła kogoś, żeby zrobił to za nią. Tutaj postanowiła zająć się wszystkim sama.

- Wygląda jak z bajki. - Poruszył się niespokojnie, zdziwiony własnymi wrażeniami. Nie przepadał za swoimi bajkami

- Wiesz, co mam na myśli.

- Tak.

Na końcu dróżki stał lśniący niebieski pick-up, ale nigdzie nie było śladu samochodu, którym Grace mogłaby przyjechać do swego wiejskiego domu, ani też zakurzonego wynajętego samochodu świadczącego o obecności Bailey.

Właśnie pojechały do sklepu, powiedziała sobie MJ. Zaraz wróca.

Nie mogła uwierzyć, że odbyli tak daleką podróż, odszukali dom, a nie odnaleźli Grace i Bailey.

Gdy tylko Jack zatrzymał samochód przy pick-upie, wyskoczyła, chcąc biec w stronę domu.

- Poczekaj. - Chwycił ją za ramię i przytrzymał. - Najpierw schowajmy sól ziemi. - Delikatnie rozgiął jej palce, wyjął ka-

mień. Kiedy już włożył go do kieszeni, wziął ją za rękę. - Mówiłaś, że pick-upa zostawia tutaj.

- Tak. Przyjeżdża mercedesem ze składanym dachem, albo małym beemerem.

- Twoja przyjaciółka ma trzy bryki?

- Grace na ogół ma wszystkiego więcej niż jedną sztukę. Twierdzi, że nie wie, na co będzie miała nastrój w danej chwili.

- Są tu jeszcze jakieś drzwi?

- Tak, jedne z kuchni, a drugie z boku domu. - Wskazała na prawo, usiłowała nie zwracać uwagi na ciężar gniotący jej piersi.

- Prowadzą na małe patio i w las.

- Najpierw rozejrzymy się wokół domu.

Była tam ogrodowa szopa, w której znajdowały się porządnie ułożone narzędzia: kosiarka, grabie i łopaty. Pomiedzy trawnikami umieszczono kamienne płytki, które porastał sprężysty mech. I znów kwiaty - kwietniki w rozkwicie i zieleń zarastająca ciemną ścianę, a w tle skała porośnięta bluszczem.

Nad jaskrawoczerwonym karmnikiem krążył koliber, którego opalizujące skrzydła tworzyły w powietrzu mglistą różnobarwną plamę. Kiedy się zbliżyli, wystrzelił w niebo jak pocisk, a do ich uszu dobiegł trzepot skrzydeł.

Jack nie dostrzegł wybitych okien czy innych śladów włamania, kiedy obeszli tyły domu, przeszli ogród ziołowy pełen zapachu rozmaitych i mięty. Miedziane dzwonki wisały cicho przy tylnych drzwiach. Nie poruszył się żaden liść.

- To okropne. - Potarła gęsią skórę na ramieniu. - Podkraść się w ten sposób.

- Przyczajmy się jeszcze przez chwilę.

Przeszli na drugą stronę domu z niewielkim patiem. Stał tam szklany stolik, wyściełana leżanka, kolejne kwiaty w betono-

wych kwietnikach i glinianych donicach. Tuż obok domu spostrzegli mały staw z młodymi ozdobnymi trawami.

- To coś nowego. - MJ przystanąła, żeby mu się przyjrzeć.

- Wtedy go nie było. Ale mówiła o nim. Wygląda na świeżo zrobiony.

- Powiedziałbym, że twoja przyjaciółka w tym tygodniu była ogrodnikiem. Jak myślisz, jest gdzieś jakaś roślina albo kwiat, który umknął jej uwagi?

- Prawdopodobnie nie. - MJ uśmiechnęła się blade i tak wrócili do frontowych drzwi. - Chcę wejść do środka, Jack. Muszę tam wejść.

- Rzućmy okiem. - Jednym susem przeskoczył schody werandy i sprawdził, czy frontowe drzwi są zamknięte. - Czy ona ma jakieś schowanko na klucz?

- Nie. - Mimo przykrego gorąca gęsia skórka na jej ramionach nie zniknęła. Tu jest zbyt spokojnie. Stanowczo zbyt spokojnie. - Kiedyś trzymała zapasowy klucz do swego domu nad Potomakiem w doniczce z kwiatami przy drzwiach, ale jej kuzynka Melissa znalazła go i rozgościła się w nim, kiedy Grace wyjechała do Mediolanu. To ją naprawdę wkurzyło.

Przykucnął, przyjrzał się zamkom.

- Dobre zamki. Łatwiej byłoby stłuc szybę.

- Nie stłuczysz żadnej z jej szyb.

Westchnął i wyprostował się.

- Bałem się, że to powiesz. Dobrze, zadamy sobie trochę trudu.

Jack poszedł do samochodu, otworzył bagażnik. W środku było pełno narzędzi, ubrań, książek, starych czasopism, słoików, papierów i wszelkich możliwych szpargałów. Grzebał, dopóki nie znalazł tego, czego szukał.

- Czy jest tu system alarmowy?

- Nie. Przynajmniej ja nic o tym nie wiem. - MJ oglądała uważnie zawartość skórzanego worka. - Co zamierzasz zrobić?

- Spróbuję się włamać. To może trochę potrwać, dawno tego nie robiłem. - Zatarł ręce, z ochotą przyjmując wyzwanie. - Może tymczasem obejdiesz dom jeszcze raz. Na wszelki wypadek. Może znajdziesz jakieś nie domknięte okno.

- Jeśli zamknęła jedno okno, zamknęła wszystkie. Ale niech ci będzie.

Ponownie przeszła wokół domu, zatrzymując się przy każdym oknie, szarpiąc, zaglądając do środka przez szyby. Zanim zatoczyła koło, Jack pracował już przy drugim zamku.

Zaintrygowana patrzyła, jak umiejętnie go otwiera. Było tu chłodniej niż w mieście, ale i tak gorąco nie do zniesienia. Pot przesiąkał mu przez podkoszulek, lśnił na szyi.

- Możesz mnie nauczyć, jak to się robi? - spytała.

- Słucham? - Wytarł dłonie o dzinsy, mocniej chwycił swój wytrych. - Zrobione. Zimny prysznic - mruknął. - Zimne piwo. Ucałuję stopy twojej przyjaciółki, jeśli ma jedno i drugie.

- Grace nie pija piwa. - MJ już wchodziła do środka, wyprzedzając Jacka.

Wnętrze było przytulne, bardzo czyste, ale dom wyglądał na zamieszkały. W salonie stała sofa w szerokie pasy, a obok niej przepastne fotele w odcieniach głębokiego błękitu. W miedzianej donicy ustawionej na ceglany kominku pyszniła się zielona paproć. MJ przebiegła przez pokoje, po podłogach wyłożonych szeroką orzechową klepką i wysłanych barwnymi dywanami, zajrzała do wyłożonej białymi kafelkami słonecznej kuchni, z blatami w kolorze leśnej zie-

leni, i do przytulnego saloniku, który Grace przerobiła na bibliotekę.

Wydawało się, że dom rozbrzmiewa wokół niej, kiedy pobiegła na górę, zajrzała do sypialni, do łazienek.

Lśniące mosiężne łoże Grace było porządnie zasłane, bieli ręcznie robionej koronkowej narzuty, którą kupiła w Irlandii, kontrastowała z barwnymi plamami poduszek. Na nocnym stoliku leżała książka o ogrodnictwie.

Łazienka była pusta, wyszorowana do czysta umywalka w kolorze kości słoniowej lśniła w swojej pudrowobłękitnej obudowie. Na półkach wysokiej wiklinowej etażerki leżały starannie ułożone ręczniki.

Zdając sobie sprawę, że to nie ma sensu, zajrzała do garderoby obok sypialni. Niewielkie pomieszczenie było nieprawdopodobnie zapchane, ale panował w nim wzorowy porządek.

- Nie ma ich tutaj, MJ. - Jack dotknął jej ramienia, ale odskoczyła jak oparzona.

- Chyba mam oczy, prawda? - burknęła, po czym głos jej się załamał. - Ale Grace tu była. Była właśnie tu. Czuję jej zapach. - Zamknęła oczy, wciągnęła powietrze. - Jej perfumy. Jeszcze się nie ulotniły. To jej zapach. Jakiś król perfum, który się w niej zakochał, skomponował je specjalnie dla niej. Czuję je tutaj.

- W porządku. - Sam też wyczuł ten zapach, zmysłowy, z nutą dzikości. - Może pojechała po coś do miasta, albo wybrała się na przejażdżkę.

- Nie. - Podeszła do okna i ciągnęła: - Nie zamykałaby wówczas domu. Zawsze mówi, jakie to miłe, że tutaj nie trzeba się martwić o zamykanie drzwi. Robi to tylko, kiedy wyjeżdża na dłużej. Bailey tu nie ma. Grace też nie ma i przez jakiś czas j nie zamierza wrócić. Minęliśmy się z nią.

- Myślisz, że wróciła nad Potomac?

Pokręciła głową. Ucisk w jej piersi był nie do zniesienia, zupełnie jakby jakieś zachłanne ręce ścisnęły jej serce i płuca.

- To niezbyt prawdopodobne. W święto unikałaby miasta. Za duży ruch, zbyt wielu turystów. To dlatego byłam pewna, że zostanie tu przynajmniej do jutra. Może być wszędzie.

- Co oznacza, że gdzieś wynurzy się na powierzchnię. - Ruszył w jej kierunku, zauważył smugę wilgoci na jej policzku i zatrzymał się gwałtownie jak ktoś, kto nadział się twarzą na szklaną ścianę. - Co ty wyprawiasz? Czyżbyś płakała? - W jego głosie dało się słyszeć paniczny strach.

MJ, milcząc, skrzyżowała ręce na piersi. Dotychczasowe podniecenie i napięcie, obawy i lęk, nadzieje i oczekiwania zmieniły się w rozpacz.

Dom był pusty.

- Chcę, żebyś przestała. Natychmiast. Mówię poważnie. Pochlipywanie nie przyniesie ci nic dobrego.

I z pewnością nie przyniesie nic dobrego jemu. Przeraziło go, sprawiło, że czuł się głupio, niezręcznie i nieswojo.

- Po prostu zostaw mnie samą - powiedziała, a jej głos przeszedł w zduszony szloch. - Idź sobie.

- Właśnie to zamierzam zrobić. Jeśli nie przestaniesz, odejdę. Mówię serio. Nie będę stał tu i patrzył, jak beczysz. Weź się w garść. Gdzie twoja duma?

W tej chwili duma była daleko stąd. Poddając się, przycisnęła czoło do szyby i dała upust rozpaczy.

- Idę sobie, MJ - ostrzegł i ruszył ku drzwiom. - Zrobię sobie drinka i wezmę prysznic. A kiedy doprowadzisz się do porządku, zastanowimy się, co robić dalej.

- A więc idź. Po prostu idź.

Doszedł do progu, po czym klnąc siarczyście, odwrócił się gwałtownie.

- Tylko tego mi brakowało - mruknął.

Nie miał pojęcia, co począć na widok kobiecych łez. Zwłaszcza łez silnej kobiety, która była najwidoczniej u kresu wytrzymałości. Zaklął ponownie i wziął ją w ramiona, przygarnął z całych sił. Nie przestając jej wymyślać, wziął ją na ręce i usiadł z nią w fotelu z szerokim oparciem.

Kołysał ją i gładził.

- A więc wypłacz się i miej to za sobą. - Pocałował jej skroń. - Proszę. Zabijasz mnie.

- Boję się. - Oddychanie sprawiało jej trudność, kiedy wtuliła twarz w jego mocne, szerokie ramię. - Jestem taka zmęczona i boję się.

- Wiem. - Pocałował jej włosy, przytulił mocniej. - Wiem.

- Nie przeżyłabym, gdyby cokolwiek im się stało. Po prostu nie przeżyłabym.

- Nie. - Objął ją mocniej, zupełnie jakby mógł w ten sposób zdusić te gorące, przerażające łzy. Jego usta prześlizgnęły się po jej policzku, odnalazły wargi i muskały je z czułością. - Będzie dobrze. Wszystko będzie dobrze. - Niezręcznie otarł jej łzy kciukami. - Obiecuję.

Zwróciła ku niemu zalane łzami oczy.

- Byłam taka pewna, że je tu zastanę.

- Wiem. - Odgarnął włosy z jej twarzy. - Masz prawo się załamać. Nie znam nikogo innego, kto doszedłby tak daleko jak ty bez chwili słabości. Ale już nie płacz, MJ. Czuję się rozdzielany na strzępy.

- Nie cierpię płaczu. - Pociągnęła nosem, otarła łzy pięściami.

- Miło mi to słyszeć. - Wziął jej dłonie, pocałował obie.
- Tylko pomyśl. Była tu dziś, może godzinę temu. Posprzątała, pozamykała okna i drzwi. To znaczy, że kiedy wyjeżdżała, wszystko było z nią w porządku.
 - Masz rację. Nie myślę rozsądnie.
 - To dlatego, że potrzebujesz przerwy. Przyzwoitego posiłku, odrobiny odpoczynku.
 - Tak. - Znów oparła głowę na jego ramieniu. - Czy moglibyśmy po prostu posiedzieć tu przez chwilę? Tak jak teraz?
 - Oczywiście. - Z łatwością przyszło mu przytulić ją do siebie i trzymać w mocnym uścisku.

ROZDZIAŁ 10

Wy tłumaczył jej, że nie ma sensu jechać do miasta, przedierać się przez korki spowodowane przez miłośników fajerwerków. Zwłaszcza że wiejski dom Grace idealnie nadawał się na nocleg i kryjówkę.

W gruncie rzeczy chodziło mu o to, że skoro MJ załamała się raz, mogłaby zrobić to ponownie. Przyzwoity posiłek i pokrzejający sen być może pozwoli jej odzyskać równowagę.

W każdym razie tego dnia spędzili w samochodzie przeszło pięć godzin po drzemce, która trwała niewiele ponad godzinę. Gdyby natychmiast ruszyli w powrotną drogę, na pewno czuliby się tak, jakby wysiłek włożony w odnalezienie domu Grace został zmarnowany.

Poza tym chciał mieć trochę czasu, by spokojnie popracować nad planem, który zaczął rodzić się w jego głowie.

- Weź prysznic. Pożycz podkoszulek czy co tam chcesz od twojej przyjaciółki. Od razu poczujesz się lepiej.

- To nie powinno zaszkodzić. - Zdobyła się na uśmiech.
- Zdawało mi się, że też masz ochotę na prysznic. Nie chcesz zaoszczędzić wody?

- Cóż... - To było kuszące. Mógł z łatwością wyobrazić

sobie, jak wchodzi wraz z nią pod chłodny natrysk, namydla siebie - namydla ją - i pozwala, by sprawy przybrały swój własny interesujący bieg.

Przyszło mu również do głowy, że MJ od wielu godzin nie była sama nawet przez pięć minut. Mniej więcej tyle potrafił jej w tej chwili dać.

- Najpierw poszukam czegoś do picia. Zobaczymy, czy twoja przyjaciółka ma tu jakieś puszkę, które zdołam otworzyć. - Pocałował ją czule w czubek nosa. - Nie zastanawiaj się i zacznij beze mnie.

- Zgoda, a skoro mowa o czymś do picia, możesz poszukać drinka również dla mnie, ale nie licz na to, że w lodówce znajdziesz piwo. I Bóg jeden wie, co ona trzyma w tych puszkach.

MJ ruszyła do łazienki, ale po drodze zatrzymała się i odwróciła.

- Jack? Dzięki, że pozwoliłeś mi to z siebie wyrzucić.

Wcisnął ręce w kieszenie. Jej oczy, te piękne skośne kocie oczy, były jeszcze zapuchnięte od płaczu, a policzki blade z wyczerpania.

- Domyślałam się, że właśnie tego potrzebowałam.

- Tak, a dzięki tobie nie czuję się jak kompletna idiotka. A więc dziękuję - powtórzyła i weszła do łazienki.

Rozebrała się z zadowoleniem, niemal siłą odrywając bawełnę i dzins od lepkiej, rozgrzanej skóry. Pełen prostoty styl, który Grace wybrała dla reszty domu, nie obowiązywał w jej łazience. Była to czysta ekstrawagancja.

Dzięki kafelkom o barwach bladego błękitu i mglistej zieleni wyglądała jak chłodna nadmorska łąka. Olbrzymia niczym jeziorko biała wanna pośrodku była zaopatrywana w wodę przez

tryskające z jej ścianek strumyki i obramowana szerokim skrajem, na którym bujnie rosły paprocie w donicach w kolorze herbatników.

Przy jednej ze ścian stała olbrzymia toaleta z imponującym postumentem służącym jako stołek i lustrem do makijażu w miedzianych ramach. Górne oświetlenie dawały liczne lampy z matowego szkła w kształcie tulipanów. Lustrzane drzwi, za którymi ukryto bieliznę i ręczniki wielkości prześcieradeł, powiększały i tak spore wnętrze, potęgując wrażenie rozległości i luksusu.

Choć MJ przez chwilę zastanawiała się nad kąpielą w wannie z perlстыми strumykami, po namyśle ruszyła do bloku z falistego szkła, za którym krył się prysznic. Końcówki natryskowe umieszczono w trzech ścianach na różnych poziomach. Rozkręciła je wszystkie do oporu, a potem z głębokim westchnieniem sięgnęła po kosztowne mydło i szampon Grace.

Znajomy zapach sprawił, że znów zachciało jej się płakać. Tak bardzo przypominał Grace.

Jednak nie pozwoliła sobie na płacz, już żałowała wcześniejszych łez. W niczym jej nie pomogły. Zwykłe codzienne czynności były o wiele skuteczniejsze. Prysznic, posiłek, odrobina wytchnienia, wszystko to przywróci jasność jej myślom. Bez wątplenia potrzebowała paru godzin snu, by naładować baterie. Nie tylko wskutek tego idiotycznego napadu płaczu chwiała się na nogach i kręciło jej się w głowie.

Należało działać, trzeba było wykonać jakiś ruch, i to szybko. Aby to uczynić, musi być wypoczęta i sprawna.

Właściwie nie miało znaczenia, że upłynął zaledwie dzień. Każda godzina, w której nie mogła skontaktować się z Bailey czy Grace, była dla niej torturą.

Najwyższy czas wszystko uporządkować. Jej świat musi wrócić na swoje miejsce. A kiedy to się stanie, będzie musiała zmierzyć się z tym, co się dzieje, i tym, cokolwiek się będzie działo między nią a Jackiem.

Była w nim zakochana, nie miała co do tego wątpliwości. Tempo, w jakim uległa jego urokowi, tylko spotęgowało to uczucie. Nigdy, wobec żadnego mężczyzny nie czuła tego, co wobec Jacka - to uczucie przenikało ją na wskroś. A namiętności, którą mogłaby powściągnąć, towarzyszyło całkowite zaufanie, głębokie przywiązanie, pomieszany z dumą szacunek i pewność, że mogłaby spędzić z nim całe życie - jeśli nie w absolutnej zgodzie, to w obopólnym zadowoleniu.

Podsunęła twarz pod najwyżej umieszczony natrysk. W tym momencie uświadomiła sobie, że rozumie Jacka. Wątpiła, czy on zdaje sobie z tego sprawę, ale była to szczerza prawda. Rozumiała jego samotność, zablizniony ból i dumę z własnych umiejętności.

Był zarazem dobry i cyniczny, cierpliwy i impulsywny. Miał umysł badacza, wdzięk poety - i więcej niż domieszkę nonkonformisty. Żył na swój własny sposób, ustalając własne reguły i łamiąc je, kiedy tak postanowił.

Miał wszystkie cechy mężczyzny, z którym chciałaby dzielić życie.

Właśnie to ją niepokoiło. To, że zaczęła myśleć o małżeństwie, trwałości i stworzeniu rodziny z mężczyzną, który w tak oczywisty sposób unikał wszystkich tych rzeczy i uciekał przed nimi przez większość życia.

Być może jednak, ponieważ te pomysły narodziły się tak niedawno, mogła zdusić je w zarodku. Miała swoją firmę, swoje życie. Pragnienie, żeby Jack stał się jego częścią, nie musiało zmieniać podstawowego porządku rzeczy.

Przynajmniej taką miała nadzieję.

Zakreśliła prysznic, owinęła się ręcznikiem i, tylko ze względu na Jacka, nie pożałowała pachnącego balsamu do ciała. I znów poczuła się jak kobieta. Wycierając ręcznikiem włosy, powędrowała nago do sypialni, by pobuszować w szafach.

Przynajmniej na wsi garderoba Grace skłaniała się ku prostocie. MJ nałożyła bluzeczkę z krótkimi rękawami w drobniutką biało-niebieską kratkę, a w szufladzie komody znalazła parę bawełnianych szortów. Były na nią trochę za obszerne. Grace wciąż mogła pochwalić się figurą fotomodelki, którą kiedyś była, a MJ natura nie obdarzyła krągłymi biodrami. Spodenki były również za krótkie, ponieważ MJ miała o parę centymetrów dłuższe nogi niż jej przyjaciółka.

Ale przyjemnie chłodziły skórę i kiedy je nałożyła, przestała się czuć jak kobieta, która od dwóch dni nie zmieniała ciuchów.

Miała zamiar rzucić ręcznik w ką, ale wzniosła oczy do góry na myśl o tym, jak zareagowałaby na taki postępek przyjaciółka. Posłusznie wróciła do łazienki i przerzuciła go przez obudowę prysznic. Po czym na bosaka, z wilgotnymi włosami zwijającymi się w pierścionki wokół twarzy, ruszyła na poszukiwanie Jacka. Znalazła go w kuchni.

- Nie tylko zaczęłam bez ciebie - powiedziała. - Skończyłam też bez ciebie. Jesteś powolny, Dakota.

Odwrócił się, wciąż wpatrując się ze zmarszczonym czołem w trzymany w dłoni mały słoik.

- Znalazłem tylko... - Zamilkł, oszołomiony.

Powiedział sobie przedtem, że MJ nie jest piękną, i była to prawda. Ale robiła wrażenie. Działała na niego tak samo jak poprzednio, ten ponętny, zmysłowy wygląd, niewiarygodne no-

gi, jeszcze dłuższe w maleńkich błękitnych szortach. Zatknęła kciuki za ich przednie kieszenie, twarz rozświetlał jej szeroki, na wpół prowokujący uśmiech, a wilgotne włosy kręciły się idiotycznie, zakrywając uszy.

- Ładnie się umyłaś, kotku.

- Trudno byłoby tego nie zrobić pod tym wymyślnym prysznicem Grace. Poczekaj, aż go zobaczysz. - Przekrzywiła głowę, kiedy poczuła, że przyjemne gorąco zaczyna wędrować w górę od jej palców u nóg. - Nie wiem, dlaczego tak na mnie patrzysz, Jack. Widziałeś mnie bez ubrania.

- Cóż. Może mam słabość do smukłych kobiet w króciutkich szortach. Czy pożyczylaś od niej również bieliznę?

- Nie. Niektórych rzeczy nie dzielą nawet najbliższe przyjaciółki. Na samej górze listy są mężczyźni i bielizna.

Odstawił słoik.

- W takim razie...

Uniosła dłoń i uderzyła go lekko w pierś.

- Raczej nie, kolego. Pachniesz w tej chwili niezupełnie jak róże. A poza tym jestem głodna.

- Kiedy kobieta się umyje, robi się wybredna. - Ponownie przejechał dłonią po podbródku, odnotował w pamięci, żeby tym razem wyjąć z bagażnika maszynkę do golenia. - Nie powiedziałbym, że mamy tu wielki wybór. Ta twoja Grace trzyma jakiegoś wyszukanego francuskiego szampana w lodówce i luksusowe francuskie wino na półce w schowku. Ponadto trochę krakersów w puszkach oraz jakieś makarony w szklanych słojach. Znalazłem też pastę pomidorową. Myślę, że można potraktować to jako zaczątek spaghetti.

- Czy to oznacza, że któreś z nas musi gotować?

- Obawiam się, że tak.

Wpatrywali się w siebie przez pełne dziesięć sekund.

- W porządku - postanowił. - Będziemy rzucać monetę.

- To uczciwe. Orzeł, ty gotujesz. - MJ wyciągnęła ćwierć - dolarówkę. - Reszka, ja. Tak czy inaczej, mam wrażenie, że potem będziemy musieli poszukać czegoś na żołądek.

Syknęła, kiedy moneta upadła reszką do góry.

- Nie ma tu nic innego? Czegoś, co moglibyśmy po prostu zjeść z puszki?

- Ty gotujesz - podkreślił, ale wyciągnął jeszcze jeden słoik.

- Są rybnie jaja.

- Nie lubisz kawioru?

- Daj mi pstrąga, usmaż go, to rozumiem. Ale dlaczego, u diabła, miałbym jeść jakieś rybnie jaja? - Rzucił jej słoik. - Po- częstuj się. Pójdę się umyć, a ty tymczasem zrobisz coś z tą pastą pomidorową.

- Prawdopodobnie nie będzie ci smakowało - powiedziała ponuro, ale po jego wyjściu z kuchni wyciągnęła rondel.

Po trzydziestu minutach pojawił się ponownie. Włosy miał zaczesane do tyłu, twarz starannie ogoloną. Uznał, że zapachy unoszące się z rondla nie są takie straszne. Drzwi kuchenne były otwarte, a MJ siedziała w patiu, wypychając do ust krakersa z kawio- rem.

- Niezły - skomentowała, widząc Jacka. - Po prostu uda- jesz, że to coś innego, a potem splukujesz go tym. - Popiła szampana, wzruszyła ramionami. - Grace lubi takie rzeczy. Za- wsze tak było. Właśnie tak została wychowana.

- Otoczenie może zepsuć charakter - zgodził się, po czym otworzył usta i pozwolił MJ wepchnąć w nie krakersa. Skrzywił się, chwycił jej kieliszek i splukał smak. - Wolałbym hot doga i dobre ciemne piwo.

Westchnęła, w pełni się z nim zgadzając.

- Faktycznie, ale cóż, żebracy nie mogą grymasić, kolego. Tutaj na powietrzu jest całkiem miło. Trochę się ochłodziło. Ale wiesz, na czym polega kłopot? Po prostu niczego nie słysząc. Żadnych pojazdów, żadnych głosów, żadnego ruchu. Skóra mi od tego cierpnie.

- Ludzie, którzy mieszkają w takich miejscach, tak naprawdę nie przepadają za towarzystwem. - Był na tyle głodny, że sam przyrządził sobie kolejnego krakersa z kawiolem. - Ty i ja, MJ, jesteśmy zwierzętami towarzyskimi. Najlepiej czujemy się w tłoku.

- Tak, właśnie dlatego przez większość wieczorów pracuję w pubie. Lubię godziny szczytu. - Zamyśliła się, obserwując słońce, które szybko chowało się za drzewami. - Dziś w nocy będzie spokojnie. Niedziela, i do tego święto. Wszyscy będą się zastanawiać, gdzie się podziałam. Na szczęście mam znakomitą główną kelnerkę. Poradzi sobie.

Poruszyła się niespokojnie, sięgnęła po kieliszek.

- Pewnie policja przyszła do pubu, porozmawiali z nią i z barmanami, a także niektórymi stałymi gośćmi. Na pewno wszyscy się niepokoją.

- To nie potrwa długo. - Już od jakiegoś czasu pracował nad udoskonaleniem swego planu, szukając ewentualnych niebezpieczeństw. - Twój pub przez kilka dni da sobie radę bez ciebie. Chyba od czasu do czasu robisz sobie wakacje, prawda?

- Parę tygodni tu czy tam.

- Następny ma być Paryż.

Była zdziwiona, że to zapamiętał.

- Taki mamy plan. Byłeś tam kiedyś?

- Nie. A ty?

- Nie. Kiedy byłam dzieckiem, wybraliśmy się do Irlandii. Ojciec stał się strasznie sentymentalny. Dorastała na West Side na Manhattanie, ale pomyślałabyś, że urodził się i wychował w Dublinie i został porwany przez Cyganów. Poza tym jednym wypadem, nie wyjeżdżałam za granicę.

- Ja byłem w Kanadzie, w Meksyku, ale nigdy nie leciałem nad oceanem. - Uśmiechnął się i znów wziął od niej kieliszek. - Zdaje się, że twój sos się przypala, kotku.

Zakłęta, zerwała się na równe nogi i pognała do kuchni. Podczas gdy mruczała coś pod nosem, sprawdził wzrokiem, ile jeszcze zostało w butelce. W innych okolicznościach nie zalecałby alkoholu jako środka uspokajającego, ale czasami zdarzają się trudne momenty. Kiedy wspomniął o Paryżu - i tym samym przypomniał jej o przyjaciółkach, zauważył w jej oczach cierpienie.

Przez parę godzin, przez tę jedną noc zamierzał sprawić, by o wszystkim zapomniiała.

- Zdażyłam - powiedziała, odgarniając włosy, gdy znów wyszła do patia. -I nastawiłam wodę na makaron. Nie wiem, jak długo trzeba gotować ten sos - pewnie ze trzy dni, ale my zjemy, go jako półprodukt.

Uśmiechnął się szeroko i podał jej kieliszek, który właśnie napełnił.

- To mi odpowiada. Zdaje się, że została jeszcze jedna butelka tego chłodzącego napoju.

- Tak, zwrócę go jej przy okazji. Mój dostawca wprost je uwielbia. - Wypiła trochę i zachichotała wprost w delikatne bąbelki. - Wyobrażam sobie, co by powiedzieli moi klienci, gdybym umieściła Brother Dom w karcie.

- Ja zaczynam się do niego przyzwyczajać. - Wstał, przeje-

chał dłonią po jej włosach. - Nastawię jakąś muzykę. Tu jest stanowczo zbyt spokojnie.

- Dobry pomysł. - Ostrożnie zerknęła przez ramię. - Wiesz, Grace, zdaje się, mówiła, że są tu niedźwiedzie i tak dalej.

Spojrzał podejrzliwie na las.

- Chyba pójdę po mój rewolwer.

Wziął nie tylko rewolwer. Ku jej zaskoczeniu przyniósł do kuchni świece, nastawił cicho radio i odnalazł stację nadającą bluesa. Zatknał jej za ucho różowy kwiat, który trochę przypominał mu goździk.

- Tak, chyba rzeczywiście rudowłose mogą nosić różowe rzeczy - uznał z uśmiechem, przyjrawszy się jej uważnie. - Wyglądasz interesująco.

Odgarnęła włosy z uszu i odcedziła makaron.

- Co to jest? Nutka romantyzmu?

- Mam jedną w zapasie. - Korzystając z tego, że ma zajęte ręce, pochylił się i skubnął wargami jej szyję. - Przeszkadza ci to?

- Nie. - Przechyliła głowę, rozkoszując się zmysłowym dreszczem przebiegającym wzdłuż kręgosłupa. - A ty, by dopełnić nastroju, zjesz to i będziesz udawał, że ci smakuje. - Zmarszczyła czoło, kiedy wyjął z lodówki kolejną butelkę szampana. - Czy ty masz pojęcie, ile kosztuje butelka, kolego? Nawet w hurcie?

- Żebracy nie mogą pozwolić sobie na wybrzydzenie - przypomniał jej i wyciągnął korek.

Jeśli chodzi o kolację, obydwójce jadali już lepiej - gorzej też. Makaron był odrobinę rozgotowany, sos bez smaku, ale do zniesienia. A ponieważ byli głodni, rzucili się na dokładki bez narzekań.

Postarał się skierować rozmowę na tematy odległe od wszystkiego, co ją niepokoiło.

- Może powinnam użyć tych ziół, które uprawia Grace - zastanawiała się MJ. - Ale nie mam pojęcia, co jest co.

- Jedzenie jest w porządku. - Ujął jej dłoń, pocałował wnętrze, aż pokręciła głową ze zdziwienia. - Jak się czujesz?

- Lepiej. - Wzięła do ręki kieliszek. - Do pełna, proszę.

Nerwy? Zabawne, pomyślał, nie okazywała zdenerwowania, kiedy zakuł ją w kajdanki ani kiedy jechał jak szaleniiec ulicami Waszyngtonu, uciekając przed ścigającymi ich bandziorami.

Ale pocałuj ją w rękę, a ona trzęsie się jak dziewicza panna młoda podczas nocy poślubnej. Ciekawe, do jakiego stanu uda się ją doprowadzić.

- Lubię na ciebie patrzeć - szepnął.

Pospiesznie wypita szampana, odstawiła kieliszek, znów wzięła go do ręki.

- Patrzysz na mnie od dwóch dni.

- Nie w świetle świec. - Ponownie napełnił jej kieliszek. - One dodają płomiennego blasku twoim włosom. I oczom. Płomienna gwiazda. - Uśmiechnął się leniwie, podał jej kieliszek. - Jak to idzie? „A piękna jak samotna iskra gwiazdy w wieczornym mroku” .

- Tak. - Przełknęła trunek, poczuła, jak zaszczypał ją w gardle. - Chyba tak.

- Jesteś niepowtarzalna, MJ. - Odsunął talerze na bok, by móc muskać wargami jej palce. - Ręka ci drży.

- Wcale nie - zaprzeczyła, ale wyszarpnęła rękę na wypa-

* William Wordsworth: Żyła w ustroniu, gdzie ślad ścieżek... Tłum. Stanisław Barańczak. W: Miłość jest wszystkim, co istnieje. Poznań 1992, s. 334

dek, gdyby jednak miał rację. Upiła kolejny łyk i zmrużyła oczy.

- Próbujesz mnie upić, Dakota.

Uśmiechnął się leniwie, pewny siebie.

- Chciałem, żebyś się odprężyła. I byłaś odprężona, MJ. Zanim zacząłem cię uwodzić.

-- Tak to nazywasz?

- Dojrzałaś do uwiedzenia. - Odwrócił jej dłoń, teraz skubał zębami wewnętrzną stronę nadgarstka. - W głowie ci się kręci od szampana, puls bije nierówno. Gdybyś miała wstać, nogi by cię nie podtrzymały.

Nie potrzebowała wstawać, żeby się o tym przekonać. Nawet teraz, kiedy siedziała, kolana jej się trzęsły.

- Nie musisz mnie uwodzić. Wiesz o tym.

- Wiem, że mi się to spodoba. Chcę, żebyś drżała, była słaba i moja.

W obawie, że to już się stało, szarpnęła się do tyłu, nagle wytracona z równowagi.

- To głupie. Jeśli chcesz iść do łóżka...

- Znajdziemy się tam, kiedy przyjdzie pora. - Podniósł się i pociągnął ją za sobą, po czym jednym władczyim gestem przejechał dłońmi po jej ciele. - Boisz się tego, co mogę z tobą zrobić.

- Nie boję się ciebie.

- Ależ boisz się. - Przycisnął ją do siebie, na chwilę zawisł wargami nad jej ustami, ale przesunął je i musnął policzek. - I to bardzo.

Oddychała szybko, nierówno.

- Ugotuj mężczyźnie jeden posiłek, a on już myśli, że jest najważniejszy na świecie - powiedziała zgryźliwym tonem, a kiedy zaśmiał się cicho, owiewając ciepłym oddechem jej

policzek, zadrżała. - Pocałuj mnie, Jack. - Odwróciła twarz, szukając jego warg. - Po prostu mnie pocałuj.

- Nie boisz się ognia. - Uciekł przed jej wargami, usłyszał jęk, gdy przesunął ustami po szyi. - Ale ciepło odbiera ci odwagę. Możesz mieć i to, i to. - Musnął wargami jej usta, wycofał się. - Dziś w nocy będziemy mieli jedno i drugie. Nie mamy wyboru.

Szampan wirował jej w głowie, właśnie tak jak zapowiedział. Drżała i przenikały ją obezwładniające dreszcze, i ledwie trzymała się na nogach.

I była bezsilna, tak jak zapowiedział.

Próbowała sięgnąć po ogień, ale płomień tańczył poza jej zasięgiem. Czuła tylko ciepło, pozbawiające sił, słodkie, narkotyczne.

- Dlaczego to robisz? - spytała, gdy wziął ją na rękę.

- Bo tego potrzebujesz - szepnął, -I ja też.

W drodze do sypialni rozgrzał jej skórę drobniutkimi pocałunkami. W głowie mu wirowało od zmysłowego, pełnego tajemniczości zapachu kobiecego ciała.

Dom był mroczny, pusty, schody na górę oświetlało srebrne księżycowe światło. Jack położył MJ na łóżku i nakrył swoim ciałem. I nareszcie, nareszcie, przylgnął ustami do jej ust.

Członki zrobiły jej się słabe, pocałunek wyczerpał ją, obezwładnił. Broniła się, próbowała trzymać się powierzchni. Ale Jack pogłębił pocałunek tak powoli, tak umiejętnie, tak czule, że , zapadła w pułapkę, którą na nią zastawił.

Wyszepiała jego imię, usłyszała, jak odbiło się echem w jej głowie. W końcu uległa.

Wyczuł zmianę, całkowite poddanie. Ten dar podsycił jego pożądanie, sprawił, że mroczne fale rozkoszy przeniknęły go do

głębi, pragnienie prawie pozbawiało go oddechu. Oderwał usta od warg MJ i delikatnie badał nimi tętno bijące mocno i szybko w zagłębieniu jej szyi.

- Poddaj się temu - powiedział cicho. - Po prostu poddaj się i pozwól mi zabrać cię w podróż.

Jego dłonie delikatnie muskały ciało MJ, obrysowując krzywizny i łuki. To dlatego wzdycha, pomyślał. I dlatego jęczy. Zupełnie, jakby mieli przed sobą całą wieczność, uczył się z zapalem jej cudownego ciała. Mocna krzywizna ramienia, długie mięśnie uda, zaskakująco kruche linie szyi.

Rozebrał ją powoli, przyciskając wargi do dłoni, które wyciągały się ku niemu, aż znów opadły bezwładne.

Nie pozostawił jej niczego, czego mogła się uchwycić. Poza zaufaniem. Nie dał nic poza przyjemnością. Czułość przełamała jej opory, a świat skurczył się do burzy, zbierającej się powoli w jej ciele.

Były tam ogień, błyskawice i nieprawdopodobne gorąco, wycie wiatru i huk grzmotów. Ale Jack chronił ją przed żywiołami wszystkowiedzącymi dłońmi i cierpliwymi ustami, prowadząc bezpiecznie ścieżką, którą dla nich wybrał.

Odwrocił ją na brzuch i masował mięśnie jej ramion, aż stały się elastyczne. Ustami wytyczał ścieżkę pocałunków wzdłuż kręgosłupa i sprawił, że drżała na całym ciele.

Słyszała szelest prześcieradeł, kiedy poruszał się nad nią, słyszała jego szeptane obietnice.

A z zewnątrz, z zapadającej nocy dobiegło przejmujące pohukiwanie polującej sowy.

Nie zapomniał o żadnej części jej ciała. Nie pominął żadnego elementu sztuki miłosnej. Leżała pod nim bezradna, otwarta na każde żądanie.

Ukrył twarz między jej piersiami, starając się nie spieszyć teraz, kiedy prowadził ją tak zmysłowo na szczyt.

- Chcę jeszcze więcej - szepnął. - Chcę ciebie całej. Chcę wszystkiego.

Zamknął usta na jej piersi, aż znów się pod nim poruszyła, chwytając gorączkowo powietrze. Kiedy głos MJ załamał się przy wymawianiu jego imienia, Jack połączył się nią i powoli wypełnił ją sobą.

Patrzyli sobie w oczy, biorąc się w posiadanie. W poświacie księżycy widziała tylko jego twarz, ciemne oczy, stanowcze usta, grzywę włosów przetykanych złotem.

Porwana gwałtownym przypływem namiętności uśmiechnęła się do niego.

- Weź więcej. - Czuła drżenie jego palców splecionych z jej palcami. - Weź mnie całą. - Ujrzała w jego oczach błysk triumfu i pragnienia zarazem. - Weź wszystko.

Ogień sięgnął i ogarnął obydwaje.

Kiedy zasnęła, tulił ją do siebie i dopracowywał ostatnie szczegóły planu. W końcu doszedł do wniosku, że szanse na to, czy się powiedzie, czy nie, są takie same.

Dla niej zaryzykowałby o wiele więcej. Tylko dlatego, żeby już nigdy po jej policzkach nie popłynęły łzy. Czekał na to trzydzieści lat i pewnie dlatego zakochał się tak mocno, tak szybko.

Chyba że zechciałby przyjąć bardziej tajemnicze wytłumaczenie i uwierzyć, że to po prostu przeznaczenie - czas, kamień, MJ. Tak czy inaczej, znalazł się w tym samym punkcie. Była pierwszą i jedyną osobą, którą kiedykolwiek kochał i zrobiłby wszystko, żeby ją chronić.

Nawet jeśli oznaczało to utratę jej zaufania.

Nawet jeśli teraz leżał przy niej po raz ostatni, nie powinien narzekać. Nie miał prawa. W ciągu tych dwóch dni dała mu więcej, niż otrzymał przez całe życie.

Kochała go, a to starczało za odpowiedź na wszystkie pytania.

Kiedy Jack leżał w kompletnych ciemnościach, takich, które zdarzają się tylko na wsi, rozmyślając o swoim życiu, zastanawiając się nad przyszłością, inny mężczyzna siedział w pokoju zalanym światłem. Jego pracowity dzień dobiegł końca. Był zmęczony. Ale jego umysł nie potrafił się wyłączyć. A poza tym nie mógł sobie pozwolić na zmęczenie.

Patrzył, jak fajerwerki rysują smugi na niebie. Uśmiechał się, rozmawiał, popijał szlachetne wino, ale przez cały czas od wewnątrz zżerała go wściekłość, jak rak.

Teraz był na szczęście sam, w pokoju, który koił jego duszę. Napawał wzrok obrazem Renoira. Cudowne, delikatne kolory. Subtelne muśnięcia pędzla. I tylko on będzie patrzył na tę świetność.

Tam szkatułka chińskiego cesarza. Lśniące laka, czerwony smok mknący po niej wprost w czarne niebo. Bezcenna, pełna sekretów. A klucz ma tylko on.

Tutaj pierścień z rubinem, który kiedyś ozdabiał królewski palec Ludwika XIV. Wsunął go na swój mały palec. Obrócił kamień do światła i patrzył, jak rzuca ogień. Z królewskiej ręki na jego dłoń, pomyślał. Nie obyło się bez paru przygód po drodze, ale teraz był tu, gdzie jest jego miejsce.

Zazwyczaj takie rzeczy sprawiały mu głęboką, subtelną rozkosz.

Ale nie dziś.

Niektórzy zostali ukarani, pomyślał. Niektórych kara nie dosięga. Ale to mu nie wystarczało.

Jego skarbiec był pełen oszałamiających, unikatowych dzieł sztuki. Ale to mu nie wystarczało.

Trzy Gwiazdy były jedyną rzeczą, która go mogła zadowolić. Oddałby za nie wszystkie swoje bogactwa. Mając je, nie potrzebowałby niczego innego.

Ci głupcy wierzyli, że je rozumieją. Wierzyli, że mogą nad nimi panować. I wymknąć się mu. A one były przeznaczone dla niego. To oczywiste. Ich moc była mu przeznaczona od zawsze.

A ich stratę odczuwał równie boleśnie jak szklany pył w gardle.

Wstał, zdarł rubin z palca i rzucił go przez pokój jak dziecko rzuca zepsutą zabawkę. Dostanie je z powrotem. Był tego pewny. Ale najpierw trzeba złożyć ofiarę. Bogu, pomyślał z powolnym uśmiechem. Naturalnie bogu.

Krwawą ofiarę.

Wyszedł z pokoju, zostawiając w nim zapalone światło. I resztki rozumu.

ROZDZIAŁ 11

Jack zastanawiał się, czy nie zostawić kartki. Kiedy MJ się obudzi, przy jej boku nie będzie nikogo. Z początku pewnie pomyśli, że wybrał się na poszukiwanie tego małego sklepiku, o którym przedtem mówiła.

Będzie zniecierpliwiona, trochę zirytowana. Po godzinie czy dwóch może zacznie się martwić, czy nie zabłądził na bocznych drogach.

Ale wkrótce zda sobie sprawę, że odjechał na dobre.

Kiedy o pierwszym brzasku schodził cicho po schodach, wyobrażał sobie, że wtedy MJ wpadnie we wściekłość. Przebiegnie jak burza przez cały dom, przeklinając go i złorzecząc. Prawdopodobnie na czymś się wyładuje.

Niemal żałował, że tego nie zobaczy.

Może przez chwilę będzie go nienawidzić. Ale tutaj będzie bezpieczna. To liczyło się przede wszystkim.

Wyszedł na dwór, wprost w chłodną, poranną mgłę, która okryła płaszczem drzewa i przysłoniła niebo. Kilka ptaków zbudziło się wraz z nim i teraz stroiły gardła. Kwiaty Grace nasycały powietrze cudownym zapachem, a na trawie lśniły krople rosy. Na skraju lasu zobaczył jelenia. Możliwe, że to ta sama łania, która stała na drodze poprzedniego dnia.

Przez chwilę mierzyli się wzrokiem, obydwójce zaciekawieni, a zarazem obawiający się obcych. Wreszcie łania, zbywając go, pobiegła niemal bezszelestnie skrajem lasu i powoli została przezeń wchłonięta.

Spojrzał na dom, w którym zostawił śpiącą MI. Jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem, wróci po nią przed zapadnięciem zmroku. Zdawał sobie sprawę, że to nie będzie proste, musiał jednak wierzyć, że w końcu uda mu się ją przekonać, iż zrobił tylko to, co uważał za najszuszniesze w tej sytuacji. A jeśli przy tym zranił jej uczucia, trudno, zranione uczucia to jeszcze nie koniec świata.

Znów zastanowił się, czy nie zostawić kartki - coś związłego i do rzeczy. Ostatecznie postanowił tego nie robić. Ona sama wystarczająco szybko domyśli się, co się stało. Bystra z niej kobieta.

Jego kobieta, pomyślał, wsuwając się za kierownicę. Cokolwiek stanie się z nim tego dnia, ona będzie bezpieczna.

Niczym żołnierz gotowy do bitwy, rycerz gotów do ataku, uzbroił się w męstwo, by zostawić swą damę i ruszyć wprost w mgłę. W tak podniosłym nastroju obrócił kluczyk w stacyjce. Silnik odpowiedział tępym trzaskiem.

Jego nastrój opadł jak żagiel nagle pozbawiony wiatru.

Wspaniale, doskonale, właśnie tego mu było trzeba. Wyskoczył z samochodu, z trudem powstrzymując się przed zatrzaśnięciem drzwi, i okrążył maskę. Mamrocząc przekleństwa, otworzył ją gwałtownie i wsadził głowę do środka.

- Zgubiłeś coś, kolego?

Powoli wysunął głowę spod maski. MJ stała na werandzie, rozstawiwszy szeroko nogi, ze zwiniętymi w pięści rękami na biodrach, z jadem w oczach. Wystarczyło rzucić okiem, żeby się

zorientować, że znikła głowica rozdzielacza. Nie musiał nawet patrzeć na MJ, by wiedzieć, że go załatwiła.

Zachował spokój. Na swej pełnej wybojów drodze życia radził sobie z trudniejszymi przeszkodami niż jedna rozwścieczona kobieta.

- Na to wygląda. Wcześniej wstałaś, MJ.

- Ty też, Jack.

- Byłem głodny. - Wyszczrzył radośnie zęby, ale trzymał się z dala od niej, na wszelki wypadek. - Myślałem, że uda mi się upolować jakieś śniadanie.

- A masz maczugę w samochodzie?

- Maczugę?

- Chyba tak właśnie postępowali jaskiniowcy, prawda? Brali maczugę i ruszali w las, by grzmotnąć niedźwiedzia na pieczyste.

Kiedy zeszała po schodach w jego kierunku, Jack, z uśmiechem przyklejonym do twarzy, oparł się o zderzak.

- Miałem na myśli coś bardziej cywilizowanego. Coś takiego jak jajka na bekonie.

- Tak? Ciekawe, gdzie o tej porze zamierzałeś znaleźć jajka i bekon?

Załatwiła go.

- No... myślałem, że mógłbym, no wiesz, znaleźć jakiegoś farmera i... - Powietrze ze świstem uszło mu z płuc, kiedy dostał pięścią w brzuch.

- Nie waż się mnie okłamywać. Czy ja wyglądam na idiotkę?

Zakaszła, odzyskała oddech i zdołał się wyprostować.

Nie, posłuchaj...

- Sądzisz, że w nocy nie domyślałam się, co się dzieje? To, w jaki sposób się ze mną kochałeś, mówiło samo za siebie.

Myślisz, że rozrzewniłeś mnie na tyle, że nie zorientuję się, że to wielka scena pożegnania? Ty skurczybyku! - Znów się zamachnęła, ale tym razem zdążył się uchylić, więc minęła jego szczękę o parę centymetrów.

Teraz on zaczął się irytować. Nigdy jeszcze nie potraktował kobiety z taką atencją, z jaką obchodził się ostatniej nocy z MJ, a teraz ona wykorzystuje to przeciwko niemu.

- A co ty zrobiłaś? Podkrađałaś się tu w środku nocy i zniweczyłaś moje plany.

Ujrzał odpowiedź na swoje pytanie w oszczędnym, pełnym zadowolenia uśmiechu, który pojawił się na jej twarzy.

- O, to miłe. Naprawdę miłe. Pełne zaufanie.

- Jak śmiesz mówić o zaufaniu! Zamierzałaś mnie tu zostawić.

- Tak, to prawda. Gdzie jest głowica rozdzielacza? - Wziął ją stanowczo pod rękę, zanim zdołała zadać mu kolejny cios. - Gdzie?

- A dokąd to się wybierałaś? Jaki znowu idiotyczny plan obmyśliłaś w tym swoim małym, głupim mózdzku?

- Zamierzam zadbać o interesy - powiedział ponuro. - Wróć po ciebie, jak skończę.

- Wrócisz po mnie? Kim ja dla ciebie jestem, jakaś maskotką? - Szarpnęła się, ale udało jej się oswobodzić dopiero, gdy wbiła mu obcas w środek stopy. - A ty chciałaś wrócić do miasta, prawda? Szukać kłopotów.

Był na nią tak wściekły, że tylko przez moment zastanawiał się, ile mogła mu złamać kości w stopie.

- Wiem, co robię. J właśnie to robię. A ty oddasz mi głowicę i zaczekasz tu na mnie.

- Ani myślę. Zaczęliśmy to razem i razem skończymy.

- Nie. - Odwrócił ją i przycisnął jej plecy do samochodu.
- Nie będę cię narażał.
- A odkąd to jesteś za mnie odpowiedzialny? Sama decyduję, czy mogę ryzykować, czy nie. Zabierz ode mnie te łapy.
- Nie. - Pochylił się, splótł jej dłonie ze swoimi. - Raz w życiu zrobisz to, co ci mówię. Zostaniesz tutaj. Bez ciebie będę mógł się poruszać szybciej i niech mnie diabli, jeśli pozwolę sobie na to, by rozpraszało mnie martwienie się o ciebie.
- Nikt cię nie prosi, żebyś się o mnie martwił. A co właściwie zamierzasz?
- Zmarnowałem już dość czasu, pozwalając, by mnie ścigali. Pora wyciągnąć ich z cienia i zmierzyć się z nimi na moim terenie, na moich warunkach.
- Wyruszasz na poszukiwanie tych dwóch maniaków w furgonecie? - Serce skoczyło jej do gardła, ale nie pozwoliła, żeby owładnął nią strach. - Świetnie. Dobry pomysł. Jadę z tobą.
- Zostaniesz tutaj. Jeżeli do tej pory nie znaleźli tego miejsca, to już nie znajdą. Tu będziesz bezpieczna. - Podciągnął ją, aż stanęła na palcach i potrząsnął. - MJ, nie mogę tak cię narażać. Jesteś wszystkim, co ma dla mnie znaczenie. Kocham cię.
- A ja mam siedzieć tu jak jakaś bezradna kobietka i pozwalać, żebyś ryzykował sam?
- Właśnie.
- Ty arogancki kretynie! A co według ciebie powinnam zrobić, jeśli dasz się zabić? Chciałam ci przypomnieć, że to mój problem, moja sprawa. To ty jesteś ze mną i nigdzie beze mnie nie pojedziesz.
- Będziesz mi przeszkadzała.
- To kompletna bzdura. Jakoś sobie do tej pory radziłam.

Jadę, Jack, a jeśli nie chcesz wracać do Waszyngtonu autostopem, możesz jechać ze mną, masz to załatwione.

Odskoczył, mrucząc coś pod nosem, po czym zaczął chodzić tam i z powrotem. Przez chwilę rozważał, czy nie przykuć jej kajdankami w domu. To byłaby brutalna walka - i on by wygrał. A gdyby sprawy nie ułożyły się po jego myśli...? Nie potrafił przewidzieć, ile czasu by upłynęło, zanim ktoś by ją znalazł.

Nie, nie mógł zostawić jej samej, skutej kajdankami w pustym domu na odludziu.

Mógł skłamać. Zgodzić się na jej warunki, a potem wyrzucić ją po drodze. Nie byłoby łatwo pozbyć się jej, ale to było jakieś wyjście. Mógł też całkiem zmienić taktykę.

Odwrocił się, uśmiechnął ujmująco.

- No, dobrze, kotku. Powiem ci całą prawdę. Mam dość.

- Masz dość?

- To było zabawne, a nawet pouczające, ale robi się nudne. Nawet pięćdziesiąt tysięcy, które mi obiecałaś, nie jest warte nadstawiania karku. A więc pomyślałem sobie, że skoczę na parę tygodni na północ, przeczekać, aż wszystko się uciszy. - Wzruszył niedbale ramionami, czując na sobie jej wzrok. - Między tobą a mną zaczynało się robić gęsto. To nie w moim stylu. A więc doszedłem do wniosku, że się zmyję po cichu, unikając obowiązkowej sceny rozstania. Na twoim miejscu wezwałbym gliny, dał im kamień i uznał ten weekend za jeden z bardziej interesujących.

- Zostawiasz mnie - powiedziała głosem, który sprawił, że poczuł się jak śmieć.

- Powiedzmy po prostu, że ruszam w dalszą drogę. Facet musi dbać przede wszystkim o własne interesy.

- A to wszystko, co mi mówiłeś...

- No, kotku, obydwójce jesteśmy wolnymi strzelcami. Oby-

dwoje wiemy, co jest grane. Podrzucę cię do najbliższego miasta i dam parę dolców na dalszy transport.

Bez słowa ruszyła chwiejnie do werandy. Każdy jej krok odczuwał jak cios w samo serce. Kiedy ciężko usiadła i ukryła twarz w dłoniach, miał ochotę zapaść się pod ziemię.

Będzie bezpieczna, powtarzał sobie. Liczy się tylko to, że będzie...

Śmiała się jak szalona. Patrzył z otwartymi ustami, jak odrzuca głowę do tyłu i pokłada się ze śmiechu. Dłonie przycisnęła do brzucha, nie w obronie przeciwko atakowi serca, ale żeby nie pęknąć z uciechy.

- Ty kretynie - wykrztusiła wreszcie. - Naprawdę myślałeś, że dam się na to nabrać? - Z trudnością wyrzucała słowa między kolejnymi atakami niepohamowanego śmiechu. Im bardziej ponurą miał minę, tym dziksza radość ją ogarniała. - Domyślam się, że teraz powinnam ze łzami w oczach wręczyć ci głowicę i pozwolić zostawić mnie gdzieś, gdzie mogłabym pielęgnować moje złamane serce. - Wytarła zażawione oczy. - Tak bardzo mnie kochasz, Dakota, że nie myślisz jasno.

Myślał wystarczająco jasno. Właśnie się zastanawiał, jak by jej się podobało, gdyby zacisnął jej ręce na gardle i obdarzył ją miłym, kochającym uściskiem.

- Mógłbym sobie z tym poradzić -- mruknął.

- Nie, nie mógłbyś. Walnęło cię prosto między oczy. Znam to uczucie. Jesteśmy skazani na siebie, Jack. Żadne z nas nie mogłoby sobie z tym poradzić. - Odetchnęła głęboko, potarła dłonią bolące żebra. - Powinnam ci dokopać za to, że próbowałeś, ale to było zbyt głupie. I zbyt słodkie.

Wcisnął ręce w kieszenie. To ostatnie słowo sprawiło, że czuł się jak kompletny idiota. Zrozumiał, że próba przechytrzenia MJ

zdała się na nic. Gniew ani groźby nie zmieniły jej postanowienia ani na jotę, a kłamstwa tylko ją rozbawiły.

Zdecydował więc, że spróbuje prawdy. Prostej, nagiej prawdy. I będzie bronił swego stanowiska.

- Zgoda, masz rację. - Podszedł do niej, usiadł obok i wziął ją za rękę. - Nigdy dotąd nikomu nie powiedziałem, że go kocham - zaczął. - Nigdy nikogo nie kochałem. Ani kobiety, ani rodziny, ani przyjaciela - dodał.

- Jack. - Przepełniona uczuciem, odgarnęła mu włosy z czoła. - Po prostu nigdy nie dano ci szansy.

- Nieważne - powiedział gwałtownie, zaciskając palce na jej palcach. - Naprawdę myślałem to, co mówiłem w nocy. Jesteś tylko ty, MJ. - Przycisnął jej dłoń do warg, przytrzymał ją tak przez chwilę. - Nie potrafiłabyś tego zrozumieć, nie do końca. Przez całe życie otaczali cię ludzie, którzy wiele dla ciebie znaczyli.

- To prawda. - Wzruszona, pochyliła się ku niemu, pocałowała w policzek. - Są ludzie, których kocham. Może ty nie jesteś jedyny, Jack, ale to, co do ciebie czuję, różni się od wszystkiego, co kiedykolwiek czułam w stosunku do drugiego człowieka.

Patrzył przez chwilę na ich złączone dłonie.

- Tak dobrze do siebie pasują, prawda? - zauważył. - Po prostu połączyły się, zupełnie jakby każda z nich czekała na parę. Przez długi czas żyłem na swój własny sposób - ciągnął. - Stroniłem od niepotrzebnych komplikacji. Unikanie stałych związków nie było trudne. Dopóki nie poznałem ciebie.

Spojrzał jej w oczy i musnął dłonią policzek.

- Wczoraj płakałaś zaniepokojona losem przyjaciółek, z którymi jesteś tak blisko związana. To mnie zważyło z nóg.

Kiedy cię obejmowałem płaczącą, uświadomiłem sobie, że zrobiłbym dla ciebie wszystko. Pozwól mi na to.

- Zamierzałeś mnie tu zostawić dlatego, że płakałam?

- To całkiem proste. W końcu pełni zdałem sobie sprawę z tego, ile znaczą dla ciebie twoje przyjaciółki i jak bardzo to w sobie tłumiłaś. Chcę ci pomóc. I im też.

Na chwilę odwróciła głowę, by ukryć łzy. To nie była stosowna pora do okazania słabości. Słowa Jacka i głębokie uczucie, które wyczuwała za nimi, poruszyły ją bardziej niż cokolwiek do tej pory.

- Pokochałam cię, Jack. - Westchnęła głęboko. - Teraz jestem bliska tego, by cię wielbić.

- A więc zostaniesz?

- Nie - ujęła w dłonie jego twarz - ale nie jestem już na ciebie wściekła.

- Wspaniale. - Zerwał się ze schodków i znów zaczął chodzić tam i z powrotem. - Czy nie słyszałaś ani słowa z tego, co powiedziałem? Nie mogę cię wystawiać na takie ryzyko. Nie mógłbym znieść, gdyby coś ci się stało.

- A ja mam uporać się z tym, jeśli coś stanie się tobie? To nie działa w taki sposób, Jack. - Podniosła się i stanęła na wprost niego. - Nie dla mnie. To, co ty czujesz wobec mnie, ja czuję wobec ciebie. Tkwimy w tym razem. Na równych prawach. - Uniosła rękę, zanim zdołał się odezwać. -I nie mów mi żadnych bzdur o tym, że ty jesteś mężczyzną, a ja kobietą.

Szczerze mówiąc, miał te słowa na końcu języka.

- Nie przyniosłoby mi to wielkiego pożytku.

- A więc ustalone. - Przechyliła głowę na bok. -I pozwól, że dodam coś jeszcze na wypadek, gdyby przyszedł ci do głowy wspaniały pomysł pozbycia się mnie gdzieś po drodze. Jeśli

spróbujesz to zrobić, udam się do najbliższej budki telefonicznej i wezwę gliny. Powiem im, że mnie porwałś i wykorzystałeś. Opiszę im ciebie, to, co nazywasz samochodem, i podam im twój numer rejestracyjny. Zanim przejedziesz trzydzieści kilometrów, będziesz się gęsto tłumaczył dzielnemu szeryfowi i jego ludziom.

- Zrobiłabyś to, naprawdę?

- Możemy się założyć. I zrobiłabym to dobrze, tak dobrze, że prawdopodobnie zdefasonowaliby ci tę przystojną buźkę, przed wrzuceniem do celi. Teraz wiemy, na czym stoimy?

- Tak. - Zrozumiał, że nie ma wyjścia. - Wiemy, na czym stoimy. Zabezpieczyłaś się, kotku.

- Masz to jak w banku. - Podeszła do niego, położyła mu dłonie na ramionach. - Możesz liczyć na mnie, Jack. Nie opuszczę cię. - Nie oczekując odpowiedzi, dotknęła wargami jego ust. - Nie odejdę od ciebie - szepnęła i ujrzała błysk zrozumienia w jego oczach. - I nie zawiodę cię. - Znów musnęła ustami jego wargi. - Nie odejdę i nie zostawię cię.

Uświadomił sobie, że ona widzi zbyt wiele. Może więcej niż on sam.

- To nie jest o mnie.

- Ależ jest. Nikt przy tobie nie trwał, ale ja będę. Nikt nie kochał cię wystarczająco, ale ja kocham, - Przesunęła dłonie wzdłuż jego ramion, aż w końcu objęła nimi jego twarz. - Dlatego to wszystko dotyczy nas. Zamierzam być tu dla ciebie, nawet jeśli spróbujesz grać bohatera i odtrącis mnie.

Przegrywał i zdawał sobie z tego sprawę.

- Mogłabyś zacząć od jutra.

- Już jestem przy tobie. No więc, zamierzasz mnie pocałować czy nie?

- Może.

- Pragnę cię - szepnęła, ocierając się o niego zmysłowo. - Teraz, zanim wyruszymy... - przechyliła głowę - na szczęście.

W głowie mu zawirowało, kiedy przylgnęła do niego tak, że czuł ją całą.

- Trochę dodatkowego szczęścia nie zaszkodzi.

Roześmiała się, odciągnęła go od samochodu. Upadli na ziemię i potoczyli się po trawie jeszcze wilgotnej od rosy.

- Pozwól mi... - dyszał i szarpał jej dzinsy. - Nie mogę...

- Tutaj. - Jej ręce splątały się z jego rękami, odciągały materiał na bok. - Pospiesz się.

Znów się obróciła i przejechała ustami po jego nagiej piersi. Chciała się nim nasycić, jego zapachem, smakiem skóry. Przyśięgłaby, że ziemia się zatrzęsła, gdy zawładnął jej ustami w namiętym pocałunku, jedną dłonią ujął jej pierś, a drugą...

- Co ty... jak ty... - Pociągnął ją gwałtownie na skraj przepaści. Z trudem chwytając powietrze, odrzuciła głowę, uniosła ręce, oplótła nimi szyję Jacka i bez reszty poddała się namiętności.

Jej mocne, zwinne ciało odpowiadało na każdy ruch jego ciała. Jej pragnienia były tak zachłanne i tak pierwotne jak jego. Być może w tym pośpiechu ją podrapał, ale jej dłonie były nie mniej śmiałe, nie mniej spragnione.

- Teraz - zażądała, a jej oczy lśniły jak oczy kota na polowaniu. - Właśnie teraz.

Z trudem wracali do rzeczywistości i odnajdowali znajome barwy i kształty otoczenia. Mgła się podniosła, słońce zaczęło przygrzewać, rozeszły się cudowne, kwiatowe wonie. A oni trwali w objęciach, wyczerpani i szczęśliwi.

- Kocham cię. - Jego wargi złączyły się z jej ustami, piły z nich jak ze źródła. - Boże, jak ja cię kocham.

- Wiem. - A kiedy wtulił twarz w jej włosy, cały drżący, i całkiem się z nią połączył, nie musiała wiedzieć nic więcej.

- Jack. - Zwichrzyła mu włosy. Słońce świeciło jej w oczy, była przygnieciona ciałem Jacka, a pod plecami czuła wilgotną trawę. Pomyślała, że to jedna z najwspanialszych chwil w jej życiu. - Jack - powtórzyła i westchnęła.

Był niemal gotów na powtórkę.

- Może jednak życie na wsi ma pewien urok. - Oparł się na łokciach. - Dlaczego płaczesz? Chcesz mnie zabić?

- Nie. Słońce świeci mi prosto w oczy. ~ Czując się głupio, starła pojedynczą łzę. - W każdym razie to nie ten rodzaj płaczu. Nie bój się, nie zamierzam beczeć.

- Czy cię uraziłem? Słuchaj, przepraszam, ja...

- Jack. - Znów westchnęła. - To nie ten rodzaj płaczu, rozumiesz? A w ogóle już w porządku.

Nieufny, wpatrywał się bacznie w te lśniące oczy.

- Jesteś pewna?

- Tak. - Uśmiechnęła się. - Ty tchórze.

- Wiem. - I nie było mu wstyd przyznać się do tego. Pocałował ją w nos. - Teraz, kiedy mamy to dodatkowe szczęście, ruszajmy lepiej w drogę.

- Nie będziesz próbował żadnych sztuczek, prawda?

Pomyślał o tym, jak ujęła jego twarz w dłonie i powiedziała mu, że go nie zostawi. Dotąd w jego życiu nie było nikogo, kto złożyłby mu taką obietnicę.

- Nie. Rozumiem, że stanowimy zespół.

- Dobrze rozumiesz.

MJ poczekała, aż wróca na autostradę prowadzącą do cywilizacji, zanim spytała:

- No, dobrze, Jack, jaki masz plan?

- Nic wymyślnego. Prostota oznacza mniej pułapek. Tak jak ja to widzę, musimy dotrzeć do tego kogoś, kto pociąga za sznurki. Nasze jedyne powiązanie z nim czy z nią to chłopcy z furgonetki i może bracia Salvini.

- Na razie zgadzam się z tobą.

- Chcę uciąć sobie z nimi małą pogawędkę. Aby to zrobić, muszę ich gdzieś zwabić, utrzymać przewagę i przekonać, że w ich interesie leży udzielenie mi paru informacji.

- W porządku, ci dwaj faceci są uzbrojeni, w dodatku jeden z nich jest mniej więcej tak duży jak Washington Monument. A ty zamierzasz ich przekonać, żeby z tobą pogawędzili. - Uśmiechnęła się do niego promiennie. - Jestem pełna podziwu dla twojego optymizmu.

- Wszystko jest kwestią argumentów - powiedział i wyjaśnił, w jaki sposób zamierza osiągnąć cel.

Grzmot przetaczał się po pociemniałym niebie, kiedy Jack zajechał przed firmę Salvinich. Był to dostojny budynek oddzielony od pasażu handlowego dużym parkingiem.

Na mniejszym, dobrze utrzymanym prywatnym parkingu Salvinich stał samotny mercedes.

- Wiesz, czyj to wóz?

- Jednego z tych padalców, zdaje się, Thomasa. Bailey mówiła, że zamykają firmę na świąteczny weekend. Jeśli Thomas jest w środku, nie mam pojęcia dlaczego.

- Pomyszkujmy tu trochę.

Jack wysiadł i podszedł do samochodu. Był dokładnie za-

mknięty, a wewnątrz mrugało światło alarmu. Najpierw obejrzał frontowe drzwi budynku i zerknął do zaciemnionego salonu wystawowego, ale nie zauważył niczego podejrzanego.

- Czy biura są na górze? - spytał MJ.

- Tak. Bailey, Thomasa i Timothy'ego, - Serce zaczęło jej bić szybciej. - Może ona tam jest, Jack. Bailey rzadko jeździ do pracy samochodem. W końcu mieszkamy tuż obok.

- Hm, hm. - i chociaż nie należało to do jego planu, troska w głosie MJ sprawiła, że zadziałał zgodnie z impulsem i nacisnął brzęczyk przy drzwiach. - Sprawdźmy tyły - powiedział po chwili.

- Może trzymają ją w środku. A może jest ranna? Powinam pomyśleć o tym wcześniej. - Niebo od zachodu rozdarł postrzępiony zygzak błyskawicy. - Może jest w środku, ranna i...

- Posłuchaj, jeśli mamy przeprowadzić nasz plan, musisz się trzymać. Nie ma czasu na załamywanie rąk i snucie przypuszczeń.

- Dobrze. Przepraszam.

Przyjrząwszy się uważnie jej twarzy, skinął głową, po czym podjął marsz na tyły budynku, gdzie dokładnie obejrzał stalowe drzwi awaryjne,

- Ktoś majstrował przy zamkach.

- Co masz na myśli? - Kiedy przykucnął, pochyliła się nad jego ramieniem. - Chodzi ci o to, że ktoś otwierał je wytrychem?

- I to niedawno, żadnej rdzy, żadnego kurzu w zadrapaniach. Ciekawe, czy udało mu się wejść. - Wstał, obejrzał krawędzie, framugi. - Nie próbował wyważać ich łomem ani nie walił w nie młotkiem. Powiedziałbym, że wiedział, co robi. W innych okolicznościach uznałbym, że to zwyczajne włamanie, ale to coś więcej.

- Potrafisz wejść do środka?

To również nie mieściło się w jego najbliższych planach, ale pomyślał chwilę.

- Chyba tak. Orientujesz się, jaki system alarmowy tu mają?

- Za drzwiami jest skrzynka. Kodowany. Nie znam kodu. Jack... — Z trudem panowała nad głosem. - Ona może tam być. Może jest ranna. Jeśli tego nie sprawdzimy i coś pójdzie nie tak...

- Zgoda. Ale jeśli nie uda mi się wyłączyć alarmu, i to szybko, zostaniemy aresztowani.

Jednak wyjął narzędzia z bagażnika i zabrał się do pracy,

- Obserwuj, co dzieje się za mną, dobrze? Upewnij się, że żaden z tych ludzi robiących zakupy w sąsiedztwie, nie interesuje się tym, co się tu dzieje.

Odwróciła się, obrzuciła wzrokiem parking i pobliski pasaż handlowy. Panował duży ruch. Pasaż przemierzały tłumy ludzi, najwyraźniej zbyt zaabsorbowanych korzystnymi zakupami, które już porobili, czy okazjami, na które polowali, by zwracać uwagę na mężczyznę przycupniętego przy drzwiach awaryjnych zamkniętego budynku.

Burza przybliżyła się i z nieba lunął długo oczekiwany deszcz. MJ nie miała nic przeciwko zmoknięciu, a nawet uznała, że ulewa da im lepszą osłonę. Odetchnęła jednak z ulgą, kiedy dał jej znak, że skończył.

- Kiedy otworzę, będę miał prawdopodobnie minutę, najwyżej półtorej, zanim włączy się alarm. Jeśli nie uda mi się rozłączyć przewodów, będziemy musieli uciekać, i to szybko.

- Ale...

- Nie będę słuchał żadnych sprzeciwów, MJ. Jeśli Bailey rzeczywiście jest w środku, gliny będą tu w ciągu paru minut i znajdą ją.

Czy miała jakiś wybór?

- Zgoda.

- W porządku. - Odgarnął mokre włosy z oczu. - Masz zostać tutaj. Jeśli powiem, że masz biec, ruszaj prosto do samochodu.

Biorąc jej milczenie za zgodę, wszedł do środka. Natychmiast zobaczył urządzenie alarmowe. Ze zdziwieniem uniósł brwi.

- Ciekawe - mruknął, po czym ręką dał MJ znak, że może wejść za nim. - Wyłączony.

- Nie rozumiem. Zawsze jest włączony.

- To po prostu nasz szczęśliwy dzień. - Wziął ją za rękę, a drugą zapalił swoją latarkę wielkości długopisu. - Najpierw pójdziemy na górę, zobaczymy, czy znów będziemy mieli szczęście.

- Tymi schodami - powiedziała. - Gabinet Bailey jest na prawo w głąb holu.

- Niezła buda - zauważył, obejmując wzrokiem kosztowne dywany, gustowne kolory, łowiąc jednocześnie uchem dźwięki. Nie było słychać nic poza bębniącym o dach deszczem. Powstrzymał MJ wyciągniętą rękę, a sam uchylił drzwi do gabinetu Bailey, po czym omiół pokój światłem latarki.

Wnętrze było uporządkowane, eleganckie i puste. Usłyszał urywany oddech MJ.

- Żadnych śladów walki - uspokoił ją. - Sprawdzimy pozostałe pokoje na piętrze, a potem zejdziemy na dół i przejdziemy do realizacji pierwszej fazy planu A.

Przeszedł dalej i na metr przed następnymi drzwiami zatrzymał się.

- Wróć do jej gabinetu i zaczekaj tam na mnie.

- Dlaczego? O co chodzi? - Wtem poczuła ciężki zapach w powietrzu, rozpoznała, co to może być.

- Bailey! O mój Boże!

Jack przycisnął ją plecami do ściany i nie puszczał, aż przestała się szamotać.

- Zrobisz tak, jak powiedziałem - mruknął przez zęby. - Zostaniesz tutaj.

Zamknęła oczy, przyznała w myśli, że z pewnymi rzeczami nie czuje się na siłach zmierzyć. Skinęła głową.

Usatysfakcjonowany, puścił ją. Powoli, ostrożnie otworzył drzwi.

Nigdy w życiu nie widział czegoś takiego, choć śmierć rzadko bywa piękna. Ale to, pomyślał, przesuwając światłem latarki po zniszczeniach dokonanych przez walkę na śmierć i życie, było obłędem.

Życie przegrało.

Odwrócił się szybko, wrócił do MJ. Opierała się o ścianę, blada jak Wosk.

- To nie Bailey - powiedział natychmiast. - To jakiś mężczyzna.

- Nie Bailey?

- Nie. - Dotknął dłonią jej policzka, poczuł, że jest lodowaty, ale z jej oczu zniknął szklisty wyraz. - Sprawdzę pozostałe pokoje. Nie chcę, żebyś tam wchodziła, MJ.

- Czy zrobili to co z Ralphem?

- Nie. - Miał beznamiętny, twardy głos. - Znacznie gorzej. Zostań tutaj.

Wszedł do każdego pokoju; sprawdził kąty i szafy, uważając, by niczego niepotrzebnie nie dotknąć, i staranie wycierał powierzchnie, których musiał dotknąć. W milczeniu sprowadził MJ po schodach i szybko, dokładnie przeszukał parter.

- Ktoś tu był - mruknął, kucając, by oświetlić małą wnę-

kę pod schodami. - Kurz jest naruszony. - Z namysłem potarł podbródek. - Powiedziałbym, że jeśli ktoś jest bystry i potrzebuje szybko jakiegoś miejsca, w którym mógłby się ukryć, to byłby dobry wybór.

Jej mokre ubranie kleiło się do skóry. Ale nie dlatego drżała.

- Bailey jest bystra.

Skinał głową, wyprostował się.

- Pamiętaj o tym. Teraz zróbmy to, po co przyszliśmy.

- Dobrze. - Rzuciła ostatnie spojrzenie przez ramię, wyobraziła sobie, jak Bailey kryje się w ciemnościach. Przed czym? - zastanawiała się. Przed kim? I gdzie jest teraz?

Kiedy wyszli na zewnątrz, Jack zaniknął drzwi i wytarł gałkę.

- Myślę, że jeśli zajdzie potrzeba, dostaniesz się do pasażu na tych swoich nogach w trzydzieści sekund.

- Nie mam zamiaru uciekać.

- Będiesz uciekać, jeśli ci każę. - Schował latarkę do kieszeni. - Zrobisz dokładnie to, co ci powiem. Żadnych pytań, żadnych dyskusji, żadnych wahań. - Jego oczy błysnęły niebezpiecznie, a ją znów przeszył dreszcz. - Ktokolwiek zrobił to, co widziałem na górze, to zwierzę, nie człowiek. Pamiętaj o tym.

- Będę pamiętać - obiecała, rozumiejąc, że znaleźli się w poważnym niebezpieczeństwie. - A ty pamiętaj, że jesteśmy razem.

- Mam zamiar dać tym facetom nauczkę, po kolei. Jeśli zdołasz dobiec do furgonetki, jak będę odwracał ich uwagę, i uszkodzisz samochód, to dobrze. Ale nie ryzykuj.

- Już ci powiedziałam, że nie będę.

- Jak tylko ich unieszkodliwię - ciągnął, nie zwracając uwagi na zniecierpliwienie w jej głosie - możemy wykorzystać fur-

gonetkę do naszych celów. Mógłbym w niej z nimi pogawędzić. Myślę, że uda mi się wyciągnąć od nich nazwisko szefa. - Popatrzył na swoją pięść, po czym uśmiechnął się przebiegle, spojrzał w oczy MJ. -I trochę podstawowych informacji.

- Ooo... - mimo wszystko zdobyła się na lekką drwinę - jakie męski.

- Przymknij się. W zależności od nazwiska i informacji, jakie uzyskamy, no i od sytuacji, możemy albo iść na policję - co byłoby moim wariantem numer dwa - albo przejść do następnego etapu.

- Zgoda.

Otworzył drzwiczki oldsmobile'a, zaczekał, aż MJ wśliznie się na siedzenie, i podał jej telefon.

- Dzwon. Przeciagnij to przynajmniej do minuty, na wszelki wypadek.

Wystukała numer, po czym zaczęła mówić do automatycznej sekretarki Grace w jej domu przy Potomacu, nie odrywając wzroku od Jacka. Kiedy skinął głową, rozłączyła się.

- Etap drugi? - spytała, z trudem zachowując spokój.

- Czekamy.

Nie minęło piętnaście minut, a na parking Salvinich wjechała furgonetka. Deszcz się zmniejszył, ale nie ustał. Jack, ukryty za podstarzałym kombi, kulił ramiona i obserwował ruchy przyszłych.

Z furgonetki wysiedli dwaj mężczyźni, którzy rozdzielili się i zaczęli powoli obchodzić budynek.

Celem Jacka był większy z nich.

Wykorzystując zaparkowane samochody jako osłonę, przedostał się bliżej. Widział, jak mężczyźna pochylił się, podniósł

z ziemi telefon MJ. To był niezły pomysł, uznał Jack. Dał osiłkowi do myślenia. Gdy facet o ptasim mózdku dumał nad telefonem, Jack skoczył i zaatakował go z rozbiegu, uderzając z całej siły w nerki

Zdażył jeszcze zapiąć kajdanki na jednym potężnym stalowym nadgarstku i został odrzucony jak mucha.

Poczuł piekący ból, kiedy jego ciało otarło się o wilgotny, ziarnisty asfalt i zwinął się, zanim but o rozmiarze 45 uderzył go w twarz. Wyciągnął rękę, a kiedy natrafił na gigantyczną stopę, spróbował ją unieść.

MJ, która obserwowała walkę z ukrycia, drgnęła, gdy Jack uderzył o ziemię, pomodliła się, kiedy się potoczył po asfalcie, syknęła, kiedy pięści chrupnęły o kość. W końcu zaczęła przekradać się w kierunku furgonetki, co chwila zerkając do tyłu, by obserwować przebieg starcia.

Został pokonany, pomyślała z rozpaczą. W najlepszym razie skreca mu kark. Zbierała się w sobie, zamierzając rzucić mu się z odsieczą, kiedy zauważyła, że drugi mężczyzna okrąża dalszy róg budynku.

Będzie przy nich za chwilę. Plan Jacka, by unieszkodliwić ich obu, jednego po drugim, walił się w gruzy. Nabrała powietrza, chcąc wykrzyknąć ostrzeżenie, ale zmrużyła oczy. Może jest jeszcze sposób, żeby uratować sytuację.

Wyskoczyła zza swej osłony i pognęła w kierunku budynku Salvinich. Pośliznęła się i zahamowała. W tym momencie zorientowała się, że drugi mężczyzna ją zobaczył. Jej oczy rozszerzył strach. Mężczyzna wsadził rękę pod marynarkę, ale MJ ani drgnęła, czekając, aż zacznie się do niej zbliżać.

Potem pobiegła w tworzący zasłonę deszcz, odciągając napastnika od Jacka.

Zarówno Jack, jak i ten drugi usłyszeli krzyk. Obaj instyn-

ktownie unieśli głowy. Zobaczyli kobietę o płomiennych włosach i biegnącego za nią mężczyznę.

Nigdy nie słucha, pomyślał Jack z ostrym ukłuciem przerażenia. Po czym odwrócił się i zobaczył, jak wielkolud szczyrzy do niego zęby.

Jack w odpowiedzi uśmiechnął się szeroko, a jego spuchnięte lewe oko zaślniło wściekłością.

- Muszę cię unieszkodliwić, i to szybko - powiedział lekkim tonem, wbijając pięść w usta faceta. - To moją kobietę goni twój kumpel.

Wielkolud otarł krew z twarzy.

- Jesteś martwy.

- Czyżby?

Nie było czasu na żarty. Modląc się, żeby nogi MJ i jego kark wytrzymały, pochylił głowę i zaatakował jak szarżujący byk. Siła tego ataku odrzuciła faceta do tyłu, aż uderzył boleśnie głową o stalowe drzwi. Zakrwawiony, potłuczony i ledwie żywy Jack uniósł wysoko kolano. Po sekundzie do jego uszu dobiegł przyjemny syk powietrza uchodzącego z już niegroźnej kupy tłuszczu.

Mrugając, by pozbyć się z oczu piekącego potu i ciepłego deszczu, Jack wykręcił ramiona mężczyzny do tyłu i zacisnął kajdanki na drugim ręku.

- Wróć po ciebie - obiecał, po czym zabrał telefon i pognął na poszukiwanie MJ.

ROZDZIAŁ 12

Jack przykazał jej, żeby, jeśli coś pójdzie nie tak, uciekała w stronę sklepów i starała się zgubić w tłumie. Skoro uzna to za konieczne, niech narobi krzyku.

Mając w pamięci jego wskazówki, MJ skręciła w stronę pasażu. Chciała przede wszystkim odwrócić uwagę mężczyzny od Jacka, który wówczas miałby szansę rozprawić się ze swoim przeciwnikiem, drugim gangsterem.

Bięgnąc w kierunku sklepów z olbrzymimi zapowiedziami wyprzedaży, zobaczyła pary, rodziny, dzieci prowadzone za rękę, niemowlęta w wózkach. I przypomniał jej się sposób, w jaki ścigający ją mężczyzna wsunął dłoń pod marynarkę.

Pomyślała o ofiarach, jakie mogłaby spowodować strzelanina w tłumie.

Odwrociła się błyskawicznie, gwałtownie zmieniła kierunek i popędziła do oddalonego krańca parkingu.

Nie zmniejszając tempa, rzuciła szybkie spojrzenie przez ramię. Mężczyzna wciąż biegł za nią, ale teraz znacznie wolniej, na pewno zgrzany w tym workowatym garniturze i skórzanych butach, śliz-

gających się po mokrej nawierzchni. Ciekawe, jak długo będzie ją ścigał, zanim da za wygraną i zdecyduje się wrócić do kumpla.

A wówczas natknie się na Jacka.

Rozmyślnie zwolniła kroku, zmniejszając tym samym dystans między nimi, by zachęcić go do dalszej pogoni. Nie mogła uwolnić się od myśli, że on po prostu użyje tego rewolweru i wpakuje jej kulę w nogę albo w plecy. Z tym obrazem kołącym się po głowie błyskawicznie wślizgnęła się w rząd zaparkowanych samochodów.

Słyszała swój własny świszczący oddech. W końcu zdobyła się na wysiłek potrzebny do pięćdziesięciometrowego biegu z piłką podczas meczu rugby, i to podczas upalnej letniej burzy. Przykucnęła za niewielką furgonetką, otarła pot z czoła i próbowała myśleć.

Czy zdoła wrócić okrężną drogą, znaleźć jakiś sposób, by pomóc Jackowi? Czy ten goryl już wgniół go w ziemię i ruszył na pomoc kumplowi? Jak zapobiec temu, żeby jakaś niewinna czteroosobowa rodzina po udanych okazyjnych zakupach nie znalazła się wprost na linii ognia, uciekając przed deszczem do samochodu?

Starając się poruszać jak najciszej, okrążyła z pochyloną głową furgonetkę. Musiała złapać oddech, musiała zobaczyć, co się dzieje za budynkiem Salvinich.

Zebrawszy się w sobie, położyła drżącą rękę na zderzaku i zaryzykowała szybkie spojrzenie w kierunku napastnika.

Był bliżej, niż przypuszczała. Cztery samochody za nią z lewej. Nie spieszył się. Szybko pochyliła głowę, przycisnęła plecy do zderzaka. Czy gdyby została tu, gdzie jest, przeszedłby obok czy dostrzegłby ją?

Lepiej zginąć w biegu, pomyślała, albo z pięściami wzniesio-

nyimi do ciosu, niż dostać kulkę podczas skrywania się za jakiś samochód.

Wzięła głęboki oddech, zmówiła kolejną błyskawiczną modlitwę za Jacka i ruszyła w drogę. Świst kuli o asfalt tuż obok napełnił ją przerażeniem. Poczuła, jak ostra krawędź kamyka otarła się o materiał džinsów.

Strzelał do niej. Gdy sobie to uświadomiła, strach sparaliżował jej ruchy. Już w następnym momencie wzięła się w garść i z powrotem, jak piłeczka pingpongowa, schowała za zaparkowany samochód. Jeszcze trzy, najwyżej cztery centymetry i kula wbiłaby się w jej ciało.

Zdała sobie sprawę, że ją namierzył. A teraz chodzi mu tylko o to, by ją dopaść, zapędzić w pułapkę bez wyjścia. Cóż, już ona się tym zajmie.

Zaciskając zęby, wczołgała się pod samochód, nie zwracając uwagi na mokry żwir, zapach benzyny i oleju, wślizgnęła się jak wąż pod podwozie, a następnie, precyzyjnie się przemieszczając, przecisnęła się przez wąską przestrzeń pod sąsiedni pojazd.

Teraz go słyszała. Ciężko oddychał, sapiąc przy każdym wdechu, rzeżąc przy wydychaniu. Widziała jego buty. Małe stopy, pomyślała lekceważąco, wystrojone w lśniące czarne pantofle o dziurkowanych noskach i bokach i skarpety w barwną kratę.

Zamknęła oczy na jedną krótką chwilę, próbując zapamiętać wygląd napastnika. Sto siedemdziesiąt parę centymetrów wzrostu, może siedemdziesiąt kilo. Przed czterdziestką. Bystre oczy, spory nos. Dość masywny, ale niezbyt wysportowany. A już na pewno nie typ biegacza.

Do diabła, pomyślała zuchowato. Mogła sobie z nim poradzić.

Przesunęła się o kolejny centymetr. Właśnie przygotowywała się, by wykonać swój ruch, gdy ujrzała, jak te lśniące pantofle znikają.

Przed jej oczami pojawiła się znajoma para wytartych wysokich butów Jacka, a do uszu dotarły zdyszane przekleństwa. Wzrok zamglił jej się z ulgi i przerażenia, kiedy usłyszała stłumione głucho uderzenie, które oznaczało, że z rewolweru z tłumikiem znów oddano strzał.

Obdzierając ze skóry łokcie i kolana, wyszła spod samochodu. W samą porę, żeby zobaczyć, jak rewolwerowiec ucieka, szukając jakiejś kryjówki, a Jack zaczyna za nim biec.

- Jack!

Zatrzymał się natychmiast, odwrócił gwałtownie, a na jego umęczonej twarzy jaśniała ulga. I wtedy zobaczyła krew na jego koszuli.

- O Boże! Postrzelił cię. - Nogi się pod nią ugięły, potykając się, doszła do niego, podczas gdy patrzył z roztargnieniem w dół, przyciskając rękę do boku.

- Do diabła. - Poczul stłumiony ból, kiedy wziął ją w ramiona. - Samochód - udało mu się powiedzieć. - Idź do samochodu. On może odciąć nam odwrót.

Jego dłoń, mokra od krwi i deszczu, zamknęła się na jej dłoni.

Później MJ przypomniał sobie, że biegli. Ale kiedy to się działo, nie wydawało się realne. Stopy uderzające o śliską nawierzchnię, nierówne walenie jej serca, narastające poczucie strachu i wściekłości, przerażone oczy kobiety niosącej torby z zakupami, której o mało nie przewrócili w pośpiechu.

I Jack, przeklinający ją jednostajnie, że nie zastosowała się do jego poleceń.

Kiedy pośliznęli się na pochyłości, furgonetka właśnie wyjeżdżała z piskiem opon z parkingu.

- Niech to diabli! - Płuca go paliły, bok piekł żywym ogniem. Gwałtownie wyszarpnął kluczyki z kieszeni. - Do samochodu! Natychmiast!

Prawie zanurkowała przez okno, ledwie utrzymując równowagę, podczas gdy on błyskawicznie cofał samochód.

- Jesteś ranny. Pozwól mi...

Odepchnął jej troskliwe ręce i skręcił z całej siły kierownicę.

- Zabrał też tego swojego trzytonowego przyjaciela. Po tych wszystkich kłopotach nie umkną nam teraz.

Samochód zatańczył na jezdni, zakołysał się, a potem koła wgrzyły się w asfalt. Ruszyli w pościg.

- Wymij pistolet ze schowka na rękawiczki. Daj mi go.

- Jack, ty krwawisz. Na litość boską..

- Czy nie powiedziałem ci, że masz uciekać? - Wcisnął gaz i otarł się o tylny zderzak furgonetki, gdy gnali w kierunku głównej drogi. - Mówiłem ci, że masz biec w stronę ludzi, żeby cię stracił z oczu. Mógł cię zabić. Daj mi ten cholerny pistolet.

- Dobrze, już dobrze. - Waliła pięścią o schowek na rękawiczki, aż lepkie od brudu drzwiczki gwałtownie się otworzyły.

- Kieruje się na obwodnicę.

- Widzę.

- Nie będziesz do niego strzelał. Mógłbyś uszkodzić samochód jakiegoś biedaka.

Jack wyrwał jej pistolet z ręki, ostro skręcił na zjazd, aż zarzuciło samochodem na mokrym asfalcie.

- Trafiam w to, w co strzelam. Teraz zapnij pas i siedź cicho. Tobą zajmę się później.

Bała się o niego tak bardzo, że nawet nie mrugnęła, słysząc te

słowa. Przemykał przez zatłoczoną jezdnię jak szaleniec, wpa-
trzony w zderzak furgonetki niczym stęskniony kochanek.
A kiedy zwiększył szybkość do stu pięćdziesięciu, ogarnęło ją
zimne odrętwienie, zupełnie jakby jej organizm dostał potężną
dawkę nowokainy.

- Możesz kogoś zabić - powiedziała spokojnie. - Nie cho-
dzi mi nawet o nas.

- Potrafię poradzić sobie z samochodem. - To przynajmniej
była szczerą prawdą. Przedzierał się przez ruch uliczny, trzyma-
jąc się celu jak zdalnie sterowany pocisk, a potężne nowe opony
nie odrywały się od śliskiej nawierzchni. Był na tyle blisko, że
widział, jak większy z mężczyzn, zgarbiony na siedzeniu pasa-
żera, odwrócił się.

- Zgadza się, idę po ciebie, ty sukinsynu - mruknął Jack.
- Masz moje zapasowe kajdanki.

- Krew kapie na siedzenie. - MJ usłyszała swój głos, jakby
to mówił ktoś inny, a nie ona.

- Nie martw się, jeszcze dużo zostało.

Z pistoletem na kolanach skręcił kierownicą, przesunął się
o parę centymetrów z boku furgonetki. Wyliczył sobie, że ich
odetnie, zepchnie na pobocze. Większy facet był w kajdankach,
z drugim mógł sobie poradzić.

A potem się zobaczy.

Oczy mu się zwięziły, kiedy dostrzegł, że kierowca furgonetki
odwraca głowę, usłyszał, jak zapiszczały koła. Furgonetka za-
tańczyła na szosie, zadrżała, po czym skręciła gwałtownie
w kierunku zbliżającego się zjazdu z obwodnicy.

- Nie uda mu się. - Jack przydusił hamulce, cofnął się
i przygotował na szybki, ostry skręt. - Nie pokona tego zakrętu.
Nie ma mowy.

Zaklął, kiedy furgonetka zakołysała się, straciła kontrolę na śliskiej nawierzchni i uderzyła o barierkę przy szybkości stu dwudziestu. Zderzenie było tak silne, że pofrunęła w górę jak piłka. Obróciła się w powietrzu i wśród pisku hamulców innych samochodów wylądowała niemal cztery metry niżej, na skarpie.

Jack zdążył zjechać na bok i wyskoczyć z samochodu, zanim wybuch odrzucił go jak wielka gorąca dłoń. MJ chwyciła go za ramię, kiedy buchnęły płomienie. Powietrze było przesiąknięte zapachem benzyny.

- Nie udało mi się - mruknął. - Straciłem ich.

- Wracaj do samochodu, Jack. - Zdziwiło ją, jak chłodno, jak spokojnie brzmi jej głos. Z samochodów wysiadali przerażeni kierowcy i pasażerowie. Wszyscy biegli w kierunku wraku. - Usiądź po stronie pasażera. Teraz ja poprowadzę.

- Po tym wszystkim... - Urwał, oszołomiony dymem i bólem. - I tak ich nie dopadłem.

- Do samochodu. - Okrążyła maskę, ignorując wysokie podniecono głośy. Ktoś z pewnością zadzwonił już na policję. Nie zostało nic do zrobienia. - Musimy się stąd wydostać.

Skierowała się do swego mieszkania. Bezpieczne czy nie, w końcu był to dom, a Jack potrzebował opieki. Prowadzenie jego samochodu przypomina sterowanie łodzią, pomyślała. Bardzo starą, bardzo dużą łodzią. Zwłaszcza że usiłowała jechać w miarę szybko i nie zmylić drogi, podczas gdy deszcz przeszedł w mżawkę. Z dziwnym poczuciem zaskoczenia zaparkowała przy swoim MG.

Nic się nie zmieniło. Samochód wciąż tu był, budynek stał na swoim miejscu. Para dzieciaków, które nie miały nic prze-

ciwko z moknięciem, rzucała do siebie na podwórku plastikowy krążek, tak jakby to był najzwyczajniejszy dzień w zwyczajnym życiu.

- Poczekaj, aż do ciebie podejde. - Podniosła torbę z podłogi, odnalazła klucze. Oczywiście nie posłuchał i kiedy obeszła maskę, już stał na chodniku. - Możesz się na mnie oprzeć - szepnęła, obejmując ramieniem jego plecy. - Po prostu się o mnie oprzyj, Jack.

- Możemy tu pobyc - zgodził się. - Przynajmniej przez jakiś czas. Chyba wkrótce znów będziemy musieli ruszyć w drogę. - Uświadomił sobie, że utyka z powodu bólu w prawej nodze, którego przedtem nie czuł.

- Po prostu przemyję ci ranę.

- Tak. Napiłbym się piwa.

- Załatwione - obiecała, prowadząc go do środka. Choć z przyzwyczajenia skierowała się na schody, cofnęła się do windy. - Jak tylko wejdziemy do mieszkania. - A potem zawiozę cię do szpitala, dodała w duchu. Najpierw musi zobaczyć, jak wygląda rana. Jak tylko to zrobi, zacznie działać. Gliny, lekarze, FBI, co tylko będzie trzeba.

Szybko zmówiła dziękczynną modlitwę, kiedy zobaczyła, że na korytarzu jest pusto. Żadnych wścibskich sąsiadów, pomyślała, zrywając taśmę policyjną i otwierając drzwi. Żadnych kłopotliwych pytań. Usunęła kopnięciem stłuczoną lampę i zaprowadziła go, wymijając po drodze przewróconą kanapę, prosto do łazienki.

- Siadaj - poleciła i zapaliła światło. - Popatrzmy. - Jej drżące dłonie przeczyły spokojnemu głosowi, gdy delikatnie zdejmowała mu przez głowę zakrwawiony podkoszulek.

- O Boże, Jack, ten facet nieźle ci dołożył.

- Ja zostawiłem go z twarzą przy asfalcie i rękami skutymi za plecami.

- Tak, jasne. - Oderwała wzrok od szkarłatnych zadrapań na jego torsie i zmoczyła szmatkę. - Postrzelono cię już kiedyś?

- Raz, w Abilene. Dostałem w nogę. Później przez jakiś czas miałem kłopoty.

Zabawne, ale czuła ulgę, że to nie pierwszy raz. Przycisnęła szmatkę do jego boku nisko wzdłuż żeber. W oczach zapiekły ją łzy, których nie była w stanie powstrzymać.

- Wiem, że to boli.

- Miałś mi dać piwo.

Czyż ona nie wygląda ładnie, pomyślał, w roli pielęgniarki, z tymi bladymi policzkami, zielonymi oczami i chłodnymi jak jedwab dłońmi?

- Za chwilę. Teraz po prostu się nie ruszaj. - Uklękła przy nim, nastawiając się na najgorsze. A potem przykucnęła na piętach i gwizdnęła. - Do licha, Jack, to tylko draśnięcie.

Uśmiechnął się do niej szeroko, mimo iż czuł każdy siniak i zadrapanie.

- To miała być moja kwestia.

- Naszykowałam się na jakąś wielką dziurę w twoim boku. Ta kula cię po prostu musnęła.

Spojrzał w dół, zastanowił się.

- Ale krwawiłem porządnie. - Teraz sam wziął szmatkę, przycisnął do długiej, płytkiej rany. - A co do tego piwa...

- Będzie i piwo. Powinam ci nim dać po głowie.

- Porozmawiamy o tym, kto komu da po głowie, jak tylko zjem butelkę aspiryny. - Wstał, krzywiąc się z bólu, zajrzał do lustrzanej szafki nad umywalką. - Chyba powinnaś mi przynieść

koszulę z samochodu, kotku. Nie wydaje mi się, by ta nadawała się jeszcze do noszenia.

- Przeraziłeś mnie. - Gniew, łzy i gwałtowna ulga zlały się w jedno. - Czy masz chociaż pojęcie, jak mnie przestraszyłeś?

Kiedy znalazł aspirynę, zamknął szafkę i napotkał w lustrze wzrok MJ.

- Chyba tak, skoro wiem, jak się czułem, kiedy zobaczyłem, że próbujesz ściągnąć na siebie atak tego przygłupa. Obiecałeś pobiec w stronę pasażu.

- Cóż, nie zrobiłam tego. Możesz mnie pozwać do sądu.

- Straciwszy cierpliwość, znów go popchnęła na siedzenie, nie zwracając uwagi na zduszony jęk bólu. - Siedź lepiej cicho i pozwól mi skończyć. Gdzieś tu powinien być jakiś środek antyseptyczny.

- Może przynajmniej skórzany pasek, żebym mógł go przygryźć, kiedy będziesz mi sypała sól na rany.

- Nie kuś mnie. - Zwilżyła drugą szmatkę, po czym uklękła i zaczęła delikatnie przemywać mu twarz. - Masz podbite oko, spuchniętą wargę, a tutaj pięknego dużego siniaka. - Jęknął znów, kiedy przycisnęła szmatkę do jego skroni. - Zupełnie jak dziecko.

- Jeśli zamierzasz odgrywać siostrę Nancy, daj mi przynajmniej jakieś znieczulenie. - Ponieważ miał wrażenie, że MJ zapomniała o wodzie, połknął aspirynę na sucho.

Wciąż utyskiwał, kiedy smarowała go antyseptykiem i przewiązywała bandażem. Zniecierpliwiona przycisnęła wargi do jego ust, co okazało się równie bolesne jak przyjemne.

- Czy zamierzasz całować wszędzie, gdzie boli? - spytał.

- Chciałbyś. - Potem położyła mu głowę na kolanach i wydała z siebie długie, długie westchnienie. - Nie dbam o to, jaki jesteś wścickły. Nie wiedziałam, co robić. Był coraz bliżej.

Wiedziałam tylko jedno, że za wszelką cenę muszę go od ciebie odciągnąć.

Ułagodzony, pogłaskał ją po głowie.

- Dobrze, później do tego wrócimy. - Dopiero teraz zauważył otarty naskórek na jej łokciach. - Hej, ty też się podrapałaś.

- Trochę piecze - szepnęła.

- Au. Chodź, kotku. Teraz ja będę panem doktorem. - Zamienił się z nią miejscami i uśmiechnął od ucha do ucha. - To może trochę boleć.

- Podobałoby ci się, prawda? Au! Do diabła, Jack!

- Zachowujesz się jak dziecko. - Ale ucałował startą skórę, po czym delikatnie ją zabandażował. - Jeśli jeszcze kiedykolwiek przestraszysz mnie tak jak dziś, przykuję cię na miesiąc kajdankami do łóżka.

- Obiecanki cacanki. - Pochyliła się do przodu. - Oni nie żyją, prawda? Nie mogliby przecież wyjść z tego cało.

- Szanse są właściwie żadne. Przykro mi, MJ, nie udało mi się z nich niczego wydobyć. Nic a nic.

- Nie udało nam się nic z nich wydobyć - poprawiła. - Ale zrobiliśmy wszystko, co w naszej mocy. - Z trudem odpędziła od siebie smutek, wyprostowała ramiona. - Pozostają padalcy - zaczęła, po czym znów zbladła, na myśl o tym, co się stało w siedzibie firmy Salvinich. Wszystko wskazywało na to, że przynajmniej jeden z braci nie żyje.

Ale nie było tam Bailey, uprzytomniła sobie z niewymowną ulgą.

- Cóż, przynajmniej teraz mogę przebrać się w czyste ubranie i wziąć trochę gotówki. Zadzwoń też do pubu. - To było dość ryzykowne posunięcie. - Poczekam, aż znów będziemy gotowi wyruszyć w drogę, ale dowiem się, co się dzieje, powiem im, że

u mnie wszystko w porządku, wydam dyspozycje do końca tygodnia.

- Wspaniale być kobietą interesu. - Wstał, objął ją mocno.
- Znajdziemy twoje przyjaciółki, MJ, obiecuję ci. I chociaż to wbrew moim zasadom, uważam, że najwyższy czas zadzwonić na policję.

- Tak. - Westchnęła z ulgą. - Trzy dni czegoś takiego to w zupełności wystarczy.

- Będą zadawać sporo pytań.

- A więc udzielimy im odpowiedzi.

- Powinienem cię uprzedzić, że mężczyzna z moim zawodem nie jest ulubieńcem policjantów. Mam trochę kontaktów, ale im są bardziej znaczące, tym niżej spada poziom tolerancji.

- Poradzimy sobie z tym. Zadzwonimy stąd czy po prostu pójdziemy na posterunek?

- Stąd. Posterunki sprawiają, że dostaję wysypki.

- Nie dam im kamienia. - Rozstawiła stopy, przygotowana na kłótnię. - Należy do Bailey, a w każdym razie to powinna być jej decyzja. Nie oddam go nikomu poza nią.

- W porządku - zgodził się bez dyskusji Jack, czym ją zdziwił.

- Popracujemy nad tym. Ona i Grace są teraz najważniejsze.

Jej uśmiech zrobił się jaśniejszy. Brzęczący dźwięk sprawił, że obydwójce drgnęli.

- Co to? - MJ wpatrywała się w leżącą na podłodze torebkę, zupełnie jakby nagle ożyła. - To mój telefon. Mój telefon dzwoni.

Dotknął ręką kieszeni, uspokoił się, kiedy wyczuł kształt pistoletu.

- Odbierz.

Wstrzymując oddech, wsadziła rękę do torebki, nacisnęła przycisk.

- O'Leary. - Łzy po prostu popłynęły jej strumieniem po policzkach. Osunęła się na podłogę. - Bailey. O mój Boże, Bailey. Nic ci nie jest? Gdzie jesteś? Nie jesteś ranna? Co ? Co? Tak, tak, wszystko w porządku. W moim mieszkaniu, ale gdzie...

Uniosła dłoń, złapała Jacka za rękę.

- Bailey, przestań mnie o to pytać i powiedz gdzie, u diabła, jesteś. Tak. Mam go. Za dziesięć minut będziemy. Nie ruszaj się stamtąd.

Rozłączyła się.

- Przepraszam - powiedziała. - Muszę. - Po czym wybuchnęła płaczem. - Nic jej nie jest - udało jej się wykrztusić, kiedy westchnął i podniósł ją z podłogi. - U niej wszystko w porządku.

To była spokojna, solidna dzielnica z pięknymi starymi drzewami. MJ zacisnęła ręce na kolanach i pilnie przyglądała się numerom mijanych domów.

- 22, 24, 26. Mamy! To ten. - Kiedy Jack skręcał na podjazd stylowego domu, już łapała za klamkę drzwiczek. Wsadziła dłoń w kieszeń jej džinsów i pociągnął ją z powrotem na siedzenie.

- Spokojnie, poczekaj, aż się zatrzymam.

W momencie gdy to uczynił, zobaczył kobietę, kruchą, ładną blondynkę, która wybiegła przez frontowe drzwi i przecięła mokry trawnik. MJ wyskoczyła z samochodu i rzuciła się jej w ramiona.

Ładny obrazek, uznał Jack, ostrożnie wysiadając z auta. Sta-

ły w blasku słońca, w ciasnym uścisku, zupełnie jakby chciały siebie wzajemnie wchłonać. Kołysały się, szlochając, mówiąc jedna przez drugą i po prostu tuląc się do siebie.

I chociaż była to wzruszająca i miła scena, od niczego nie chciał być bardziej z dala niż od dwóch wzruszonych kobiet. Zobaczył mężczyznę stojącego tuż przy frontowych drzwiach, zauważył uśmiech w jego oczach, świeży opatrunek na ramieniu. Bez wahania ominął kobiety szerokim łukiem i skierował się do domu.

- Cade Parris.

Jack ujął wyciągniętą rękę, oszacował mężczyznę. Około metra osiemdziesięciu pięciu, starannie ubrany, brązowe włosy, oczy koloru bardziej rozmarzonej zieleni niż oczy MJ. Mocny uścisk dłoni równoważył zbyt gładką powierzchowność.

- Jack Dakota.

Cade zerknął na zadrapania, potrząsnął głową.

- Sprawiasz wrażenie faceta, który ma ochotę się napić.

Mimo zranionej wargi usta Jacka rozciągnęły się w pełnym wdzięczności uśmiechu.

- Bracie, właśnie stałeś się moim najlepszym przyjacielem.

- Wejść do środka - zaprosił Cade, rzucając ostatnie spojrzenie w kierunku MJ i Bailey. - One muszą się sobą nacieszyć, a my tymczasem wymienimy informacje.

Zajął im to trochę czasu, ale Jack poczuł się znacznie lepiej z nogami opartymi o stół do kawy i z puszką piwa w ręku.

- Amnezja - mruknął. -- To musiało być dla niej trudne.

- Przeżyła parę ciężkich dni. Na własne oczy widziała, jak jeden, pozał się Boże, przyrodni brat zabija drugiego, po czym przychodzi po nią.

- Wstąpiliśmy do firmy Salvinich. Widziałem rezultat.
Cade skinął głową.

- Skoro tak, nie muszę ci mówić, jak paskudnie to wyglądało. Gdyby nie uciekła... Cóż, zrobiła to. Wciąż nie pamięta wszystkiego, ale wcześniej przesłała jeden z brylantów do MJ, a drugi do Grace. Pracuję nad tą sprawą od piątku, kiedy Bailey zjawiła się w moim biurze. A ty?

- Od sobotniego popołudnia - powiedział Jack i przepłukał gardło zimnym piwem.

- Tu wszystko działo się błyskawicznie. - Cade zmarszczył brwi, spoglądając w kierunku okna. - Bailey była przestraszona, zdezorientowana, ale chciała znaleźć odpowiedzi i uznała, że prywatny detektyw jej ich dostarczy. Dziś osiągnęliśmy znaczny postęp.

Jack uniósł brwi, wskazał na opatrunek.

- Czy to jest z tym związane?

- Drugi Salvini - odparł Cade, z chłodem w oczach - nie żyje.

- Myślisz, że oni to wszystko uknuli?

- Nie. Mieli klienta. Jeszcze go nie namierzyłem. - Cade wstał, podszedł do okna. MJ i Bailey wciąż stały przed domem, pogrążone w rozmowie. - Gliny też nad tym pracują. Mam przyjaciela, Micka Marshalla.

- Tak, znam go. Rzadki okaz. Gliniarz z głową i sercem.

- Cały Mick. Jednak nad nim jest Buchanan. On nie przepada za prywatnymi detektywami.

- Buchanan nie przepada za nikim. Ale jest w porządku.

- Na pewno będzie chciał porozmawiać z tobą i MJ.

Jack westchnął.

- Chyba wypiliśmy jeszcze jedno piwo.

Cade ze śmiechem odwrócił się od okna.

- Przyniosę nam obu jeszcze po jednym. A ty mi opowiesz, jak spędziłeś weekend. - Jego oczy prześliznęły się po twarzy Jacka. - I co z tamtym drugim facetem.

- Timothy - powiedziała MJ z zaskoczeniem. - Nigdy go nie lubiłam, ale nie sądziłam, że jest zdolny do morderstwa.

- Wyglądało to tak, jakby postradał zmysły. - Bailey wciąż trzymała MJ za rękę w obawie, że przyjaciółka zniknie bezpowrotnie. - Wymazałam to wszystko z pamięci, po prostu wyrzuciłam. Wszyscyutko. Małe fragmenty zaczęły powracać, ale nie mogłam ich poskładać w całość. Nie przeszłabym przez to bez Cade'a.

- Nie mogę się doczekać, kiedy go poznam. - Spojrzała Bailey w oczy. - Zdaje się, że szybko pracuje - dodała domyślnie.

- Czy to widać? - spytała Bailey i zarumieniła się.

- Zupełnie jak wielki neonowy napis.

- A poznałam go przed paru dniami - powiedziała Bailey, prawie do siebie. - Wszystko potoczyło się błyskawicznie. Nie wydaje się, że to dopiero kilka dni. Mam wrażenie, że znam go od zawsze. - Jej usta wygięły się w uśmiechu, w miodowobrazowych oczach zaświeciły iskierki. - On mnie kocha, MJ. Po prostu. Wiem, że to idiotycznie brzmi.

- Byłabyś zaskoczona tym, co nie brzmi idiotycznie dla mnie. Jesteś z nim szczęśliwa? Tylko to się liczy.

- Nie mogłam sobie ciebie przypomnieć. Ani Grace. - Spod zaciśniętych powiek Bailey wypłynęła samotna łza. - Wiem, że minęło zaledwie parę dni, ale czułam się bez was taka samotna. W końcu zaczęłam odzyskiwać pamięć, ale nie przypomina-

łam sobie niczego konkretnego, raczej wrażenia. Strata czegoś ważnego. Kiedy pamięć mi wróciła, poszliśmy do twojego mieszkania, ale nie było cię tam. Włamano się do ciebie. Nie wiedziałam, gdzie cię szukać. Potem wszystko zaczęło się dziać bardzo szybko. To było zaledwie parę godzin temu. Wreszcie przypomniałam sobie o tym telefonie, który stale nosisz w torebce. Przypomniałam sobie i zadzwoniłam. I przyjechałaś.

- To był najprzyjemniejszy telefon, jaki kiedykolwiek miałam.

- Najlepszy, jaki kiedykolwiek wykonałam. - Wargi jej zadrżały. - MJ, nie mogę odnaleźć Grace.

- Wiem. - MJ przerzuciła rękę przez ramiona Bailey i przytuliła ją do siebie. - Musimy wierzyć, że z nią wszystko dobrze. Jack i ja tego ranka byliśmy w jej domu na wsi. Była tam przed nami, Bailey. Jeszcze czułam zapach jej perfum. I odnalazłyśmy siebie. Ją też znajdziemy.

- Tak, znajdziemy ją. - Poszły razem w kierunku domu. - A ten Jack? Czy jesteś z nim szczęśliwa?

- Tak. Kiedy mnie nie beszta.

Bailey z uśmiechem otworzyła drzwi.

- A więc ja też muszę go poznać jak najszybciej.

- Podoba mi się ta twoja przyjaciółka. - Jack stał w patiu domu Cade'a, zapatrzony w przedmieścia Waszyngtonu.

- Ty też jej się podobasz.

- Ma klasę. I przeszła ciężkie chwile, nie poddając się. Ten Parris wydaje się dość inteligentny.

- Pomógł jej to przetrwać, więc według mnie jest super.

- Wypełniliśmy razem większość białych plam. Ma chłod-

na głowę, bystry umysł. I wariuje na punkcie twojej przyjaciółki.

- Chyba to zauważyłam.

Jack wziął MJ za rękę, przyjrzał się jej. Nie jest tak delikatna jak dłoń Bailey, ale wąska, zręczna, mocna.

- On ma wiele do zaoferowania. Pochodzi ze znanej i bogatej rodziny, ma pieniądze i piękny dom. Chyba może dać kobiecie poczucie bezpieczeństwa.

Zaintrygowana przyglądała się jego twarzy.

- Chyba tak.

Zdał sobie sprawę, że nie zamierzał zaczynać takiej rozmowy. Uznał, że niezależnie od tego, jak szybko pewne rzeczy mogą się dziać, życie jest za krótkie, by tracić czas.

Mój stary był włóczęgą, próżniakiem - powiedział szorstko. - Moja matka serwowała drinki pijakom, kiedy była w nastroju do pracy. W college'u zarabiałem na życie, nosząc cegły i mieszając zaprawę dla pewnego murarza. Tak doszedłem do bezużytecznego stopnia naukowego z angielskiego i na okrasę dodatkowego z antropologii. Nie pytaj dlaczego. Wówczas wydawało mi się, że właśnie to powinienem zrobić. Mam parę tysięcy odłożone na czarną godzinę. W mojej pracy zdarzają się posuchy. Wynajmuję dwa pokoje. - Odczekał chwilę, ale MJ milczała. - Nie mam niczego, co można by nazwać pewnym.

- Faktycznie.

- Czy tego chcesz? Poczucia bezpieczeństwa?

Zastanowiła się.

- Nie.

Przejechał dłonią po włosach.

- Wiesz, jak wyglądały te dwa kamienie, kiedy ty i Bailey położyłyście je obok siebie? Wyglądały efektownie,

jasne, cały ten ogień i siła naraz. Ale przede wszystkim wyglądały tak jak powinny, na swoim miejscu. - Spojrzał jej w oczy, próbując zajrzeć w głąb duszy. - Czasami tak właśnie jest.

- A kiedy tak jest, nie trzeba szukać powodów.

- Może i nie. Nie wiem, co tutaj robię. Nie wiem, dlaczego tak jest. Przez całe życie byłem sam i taki stan rzeczy mi odpowiadał. Rozumiesz to?

Bawiła ją irytacja w jego głosie. Uśmiechnęła się z satysfakcją.

- Tak, rozumiem. Samotny wilk. Chcesz dziś w nocy wyć do księżycy czy co?

- Nie bądź taka przemądrzała, kiedy próbuję ci wyjaśnić, co się ze mną dzieje.

Okrażył wielkimi krokami patio. Między dwoma drzewami powieszono hamak. Gdzieś w ociekających wodą zielonych liściach śpiewał ptak.

Jego życie, zadumał się Jack, nigdy nie było tak proste, spokojne i miłe. Nie miał nic do zaoferowania poza sobą samym i swoimi uczuciami.

Będzie musiała zdecydować, czy to wystarczająca podstawa, by na niej budować.

- Chodzi o to, że nie chcę dłużej być sam. - Gwałtownie uniósł głowę i podbite oko spojrzało wściekle spod uniesionej, przeciętej blizną brwi. - Rozumiesz to?

- Czemu miałabym nie rozumieć? - Jej uśmiech się nie zmienił. - Jesteś kłiwie we mnie zakochany, kolego.

-- Trzymaj tak dalej, po prostu trzymaj tak dalej. - Wypuścił z sykiem oddech, dotknął dłonią bolącego boku. - Nie chodzi o moje uczucia, a może o twoje również nie. W szczegól-

nych okolicznościach z ludzkimi uczuciami dzieją się dziwne rzeczy.

- Teraz znów zaczyna filozofować. To chyba ta dodatkowa specjalizacja z antropologii.

Zamknął oczy, modlił się o cierpliwość.

- Próbuję wyłożyć karty na stół. Pochodzisz z innego środowiska niż ja, być może nie zechcesz iść tam, gdzie ja. Może teraz planujesz trochę zwolnić, podejść do tego ostrożniej. Bardziej tradycyjnie.

Teraz parsknęła.

- To tak mnie widzisz? Jako tradycjonalistkę?

Jego zmarszczka tylko się pogłębiła.

- Może nie, ale to nie zmienia faktu, że przed tygodniem chodziłaś swoimi własnymi ścieżkami i było ci z tym dobrze. Masz prawo zadawać pytania, szukać uzasadnień. Parę dni w moim towarzystwie...

- Nie zadaję pytań i nie szukam uzasadnień, Jack - przerwała mu. - Przestałam chodzić własnymi ścieżkami w dniu, w którym cię spotkałam, i cieszę się z tego. - Co tam, do diabła, pomyślała i zebrała się w sobie. - Te inicjały oznaczają Magdalen Juliette.

Parsknął niedowierzającym śmiechem. Była to ostatnia rzecz, jakiej się spodziewał.

- Nabierasz mnie.

- To inicjały Magdalen Juliette - powtórzyła przez zęby. A jedyne osoby, które o tym wiedzą, to moja rodzina, Bailey i Grace. Innymi słowy, tylko ludzie, których kocham i którym ufam. co teraz odnosi się również do ciebie.

- Magdalen Juliette - powtórzył, rozkoszując się brzmieniem tych słów. - Nieźle, kotku.

- Mam na imię MJ. Zgodnie z przepisami MJ, ponieważ właśnie tego chciałam. A jeśli kiedykolwiek nazwiesz mnie Magdalen Juliette, obedrę cię żywcem ze skóry. Osobiście i z wielką przyjemnością.

Zrobiłaby to, pomyślał z krzywym uśmiechem.

- Skoro nie chcesz, żebym tak do ciebie mówił, to dlaczego mi powiedziałaś?

Podeszła bliżej.

- Powiedziałaś ci tamto i mówię ci to, ponieważ nazywam się O'Leary i wiem, czego chcę.

Jego oczy zapłonęły.

- Jesteś tego pewna?

- Drugi kamień to wiedza. I ja wiem. A ty?

- Tak. - Zabrakło mu tchu. - To poważny krok.

- Najważniejszy.

- Dobrze. - Dłonie spoczęły mu się w kieszeniach, więc je wyjął. - Ty pierwsza.

Zaśmiała się szeroko.

- Nie, ty.

- Nie ma mowy. Ostatnio ja powiedziałem to pierwszy. Sprawiedliwość to sprawiedliwość.

Wierzyła, że tak jest. Przechyliła głowę i popatrzyła na niego bacznie. Tak, pomyślała. Wiem.

- Dobrze. Pobierzmy się.

Rozkoszując się nagłym dreszczem radości, zatknął kciuki za kieszenie spodni.

- Czy nie powinnaś spytać? No, wiesz, oświadczyć się? Mężczyzna ma prawo do odrobiny romantyzmu w ważnych chwilach.

- Przeciągasz strunę - powiedziała, ale roześmiała się i za-

mknęła ramiona wokół jego szyi. - Co tam, u diabła. Ożenisz się ze mną, Jack?

- Pewnie, dlaczego nie?

A kiedy znów się roześmiała, przytulił ją do swego zbolałego ciała.

Idealna para.